

Przez krainę Skipetarów

Karol May



calibre 0.9.27

PRZEZ KRAINĘ SKIPETARÓW

Karol May

ZDEMASKOWANY

Wiadomo, że turecki wymiar sprawiedliwości wyróżnia się pewnymi osobliwościami albo — mówiąc wprost — posiada swoje słabe strony, występujące tym bardziej wyraźniej, im okolica, w której mamy z nim do czynienia, jest bardziej dzika. Odczuliśmy to jeszcze tego samego popołudnia i postanowiliśmy w stanowczy sposób wystąpić przeciwko jego naruszaniu podczas rozprawy, na którą właśnie zmierzaliśmy.

Kiedy wyruszyliśmy do „*gmachu sądu*”, nastał zmierzch. Po drodze zauważyliśmy wielu stojących, dla których zabrakło miejsca na dziedzińcu i dlatego gromadzili się oni tutaj, aby przynajmniej przez chwilę zobaczyć przybyszy. Kiedy znaleźliśmy się w obrębie podwórza, zamknięto za nami bramę. Nie wróżyło to nic dobrego. Mübarek użył tu skutecznie swego wpływu.

Z trudem przeciskaliśmy się przez tłum na miejsce przesłuchania. Tam gdzie przedtem stało tylko jedno krzesło, dostawiono jeszcze długą ławę. Nie usunięto natomiast przyrządu do wymierzania kary chłosty. Do naczyń wiano oliwy, dołożono pakul i zapalono je. Płomienie przydawały otoczeniu niesamowitości.

Panowie sędziowie przebywali jeszcze wewnątrz domostwa, kiedy zameldowano im o naszym przybyciu. Otoczyli nas saptije, zagradzając odwrót ku bramie. Ponieważ brama była zamknięta, zachowanie policjantów szczególnie nam podpadło.

Zapadła cisza. Na widok pięciu panów wychodzących z budynku, w rękach saptije zabłyśły ostrza szabel.

— Na Allaha! — drwił Halef. — Boję się sihdi, co nas tutaj czeka! I drzę cały.

— Ja także.

— Czy mam może poczęstować batem tych głupców, myślących, że szablami napędzą nam strachu?

— Tylko bez głupstw! Już raz byłeś dziś nierozważny i dlatego ponosisz winę za to, że w ogóle tu jesteśmy.

Pięciu sędziów zajęło miejsca: kodża baszi na krześle, pozostali na ławie. Jakaś kobieta wydostała się z tłumy i przystanąła za plecami zastępcy. Rozpoznałem w niej Nomadę zwaną Fasolką, która swoją urodę podkreślała ochrą. Zastępca o obojętnym wyrazie twarzy był chyba jej szczęśliwym mężem.

Tuż obok kodży baszi siedział Mübarek z jakimś papierem rozłożonym na kolanach. Pomiędzy nim a sąsiadem stała jakaś czarka. Ponieważ tkwiło w niej gęsie pióro, przypuszczałem, że zawiera ona atrament.

Kodża baszi kiwał głową i znacząco chrząknął. Był to sygnał, że rozprawa powinna się zacząć i donośnym, skrzeczącym głosem oznajmił:

— W imię Proroka i w imię padyszacha, któremu niech Allah pozwoli dożyć tysiąca lat, zwołaliśmy tę oto każę, aby zawyrokować o dwóch przestępstwach, które wydarzyły się dziś w naszym mieście i w najbliższej okolicy. Selimie, wystąp! Jesteś oskarżycielem, zatem opowiedz, co ci się przydarzyło.

Policjant zbliżył się do swego zwierzchnika i opowiadał, a to, co usłyszeliśmy, było po prostu śmieszne. Otóż podczas wykonywania przez niego niezwykle odpowiedzialnych czynności urzędowych, dokonaliśmy zbrodniczej napaści na jego osobę i tylko dzięki nieustraszonności i

odważnej obronie zdołał on z całej tej opresji ujść z życiem.

Gdy skończył, zapytał go kodża baszi:

— A który z nich na ciebie nastawał?

— Ten tutaj — odparł Selim, wskazując na Halefa.

— Znamy zatem sprawcę i jego czyn, możemy się więc naradzić. I po chwili poszeptywań z ławnikami oznajmił donośnym głosem:

— Kaza postanowiła, iż przestępca otrzyma po czterdzieści razy na każdą piętę i zostanie uwięziony na całe cztery tygodnie. Oznajmiamy nasz wyrok w imieniu padyszacha, któremu niech Allah błogosławi!

Dłoń Halefa zaciskała się na rękojeści bicia. Sam musiałem się powstrzymać, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

— Teraz zajmijmy się drugim przestępstwem — oznajmił urzędnik. — Zbliź się mahonadzi i mów!

Przewoźnik posłuchał wezwania, ale bał się w każdym razie bardziej niż ja. Zanim wszelako zaczął swoją relację, zwróciłem się bardzo uprzejmie do kodży baszi:

— Czy nie zechciałbyś łaskawie powstać?

Kodża baszi podniósł się bezwiednie, ja zaś odsunąłem go na bok i usiadłem na jego krześle.

— Dziękuję ci — powiedziałem. — Godzi się bowiem, *aby* nisko urodzony okazywał szacunek wysoko urodzonemu. Postąpiłeś więc całkiem słusznie.

Ogromna szkoda, że nie da się opisać wyrazu jego twarzy. Głowa zaczęła mu niebezpiecznie chybotać. Chciał coś powiedzieć, ale zatykała go wściekłość. Dlatego, aby przynajmniej gestem wyrazić oburzenie, podniósł suche ręce, potrząsając dłońmi nad rozdygotaną głową.

Nikt nie puścił nawet pary z ust. Nie ruszył się żaden saptije. Oczekiwano na wybuch gniewu sędziego, który szczęśliwym trafem odzyskał mowę. Zaczął coś w nieopisany sposób wykrzykiwać, aż naskoczył na mnie:

— Co ci wpadło do głowy! Jak mogłeś się dopuścić takiego bezceństwa i...

— Hadzi Halefie Omarze! — przerwałem mu, podnosząc głos. — Weź do ręki bicz! I poczęstuj nim każdego, kto urazi mnie chociażby jednym jedynym słowem, obojętne kto by to był!

Bicz znalazł się natychmiast w ręku małego Halefa.

— Jestem ci posłuszny, sihdi — powiedział stanowczo. — Daj mi tylko znak!

Z powodu niedostatecznego oświetlenia nie można było niestety widzieć zdumionych twarzy. Kodża baszi nie bardzo wiedział, jak ma się zachować, ale Mübarek podszeptał mi kilka słów, na co sędzia krzyknął do saptije:

— Brać go! I do lochu z nim! Przy czym wskazywał na mnie.

Policjanci zbliżali się do mnie z obnażonymi szablami w dłoniach.

— Precz! — zawołałem. — Zastrzelę tego, kto mnie dotknie! Wycelowałem w nich oba rewolwery i w tym momencie policjanci zniknęli pośród tłumu gapiów.

— Dlaczego się pienisz? — pytałem sędziego. — Dlaczego stoisz? Możesz przecież sięść! Każ wstać Mübarekowi i usiądź na jego miejscu.

Głuchy pomruk odezwał się wśród zgromadzonych. To, że obraziłem sędziego, mogli jeszcze tolerować, ale posunąłem się jednak zbyt daleko, atakując także człowieka świętego. Niezadowolenie rosło.

Ono właśnie dodało kodży baszi szczególnej odwagi i dlatego podniósł na mnie swój gniewny głos:

— Możesz być dla mnie, kim chcesz, obcy człowieku, ale za taką czelność zostaniesz przeze mnie

surowo ukarani. Mübarek to człowiek święty, umiłowany przez Allaha cudotwórca. Jeżeli zechce, może na ciebie ściągnąć ogień z nieba!

— Zamilcz, kodża baszi! Kiedy zabierasz głos, to mów coś mądrzejszego! Mübarek nie jest ani świętym, ani cudotwórcą. Wręcz przeciwnie, jest przestępcą, oszustem i łajdakiem!

Groźne głosy w tłumie przybierały na sile. Ale jeszcze bardziej donośnie rozległ się głos samego Mübareka, który powstał z miejsca i wyciągnął w moim kierunku rękę wołając:

— Niech będzie przeklęty ten niewierny pies. Ten gjaur. Niech otworzy się pod nim piekło i pochłonie go na wieczne potępienie. Złe duchy będą...

W tym momencie przerwał, bowiem Hadzi zamierzył się i zdzielił go batem tak mocno, że stary grzesznik zachłysnął się pod ciosem.

Jak się okazało, było to duże ryzyko. Kiedy osłupiała przez moment ciżba ochłonęła, groźna cisza zamieniła się w rozbrzmiewające ze wszystkich stron krzyki gniewu, a ludzie stojący z tyłu napierali. Sprawa mogła przybrać fatalny obrót, dlatego podszedłem spiesźnie do Mübareka i zawołałem ze wszystkich sił:

— Spokój, cisza! Udowodnię wam, że mam rację. Podejdź tu ze światłem, Halef! Patrzcie ludzie, kim jest Mübarek i jak on was tumani! Widzicie te oto kule?

Złapałem oszusta prawą ręką za kark i zacisnąłem palce na chudej szyi. Lewą rozerwałem mu na piersi kaftan. Nie myliłem się. Spod ramion zwisały mu odpowiednio złożone i umocowane kule. Przy okazji zobaczyłem, że wewnętrzna strona kaftana jest w innym kolorze niż jego wierzch. Kaftan miał wiele kieszeni. Sięgnąłem do pierwszej z brzegu i wyczułem w niej jakiś włochaty przedmiot. Wyjąłem go. Była to peruka z tym samym zmierzwionym włosiem, jaki widziałem u żebraka.

Łajdak był tak przestraszony, że zapomniał o wszelkiej obronie. Teraz dopiero zaczął wołać o pomoc i opędzał się rękami.

— Osko, Omar, przytrzymajcie go! Ale mocno! Nawet gdyby to bolało!

Wezwani złapali Mübareka na tyle skutecznie, że mogłem teraz uwolnić obie ręce. Ponieważ Halef przyniósł kaganek, nasza osobliwa gromada znalazła się w jasnym świetle, tak że obecni mogli wszystko wyraźnie widzieć, ale w tej chwili zachowywali spokój.

— Ten człowiek, którego uważaliście za świętego — ciągnąłem dalej — jest sprzymierzeńcem Szuta, albo nawet samym Szutem. Jego chata stanowi melinę złodziei i bandytów, na co przedstawię wam dowody. Penetruje kraj we wszelkich możliwych przebraniach, aby wypatrzeć okazji do przestępstw. Zarówno on jak i kaleki Busra, to jedna i ta sama osoba. Tutaj podwiązał sobie kule pod pachami. Kiedy chodził, stukwały, zaś wy myśleliście, że jest to grzechot jego kości. A oto peruka, którą wkładał na głowę, gdy udawał kalekę.

Opróżniałem po kolei jego kieszenie, oglądałem poszczególne przedmioty i objaśniałem ich przeznaczenie:

— To jest puszka ze sproszkowaną farbą służącą do tego, aby szybko odmienić kolor twarzy. Tutaj macie szmatkę, którą mógł farbę prędko zmyć. Pokazuję wam flaszeczkę wypełnioną do połowy wodą, którą w miejscach, gdzie wody brak, mógł się w razie potrzeby obmywać. A to — co to w ogóle jest? Aha... Dwie małe gumowe półkule. Wkładał je sobie do ust, gdy chciał udawać żebraka. Twarz miał wtedy pełniejszą. Przypatrzcie się dwojakiej barwie kaftana. Gdy odgrywał rolę żebraka, wywracał go ciemną stroną na zewnątrz. Sukno miało wtedy wygląd starego. Czy spotkaliście kiedyś razem Mübareka i żebraka. A czy Mübarek nie pojawił się także po raz pierwszy w tym samym czasie, co żebrak?

Ostatnie moje argumenty zdawały się trafiać im do przekonania, gdyż ze wszystkich stron słyszałem okrzyki zdumienia i aprobaty.

Teraz wyciągnąłem z jednej kieszeni niewielkie zawiniątko. Rozwijając starą szmatę, ujrzałem na niej bransoletę wykonaną z dawnych weneckich złotych cekinów. Na niektórych monetach zachowały się tłoczenia. W blasku płomienia widziałem na awersie wizerunek świętego Marka podającego doży chorągiew ze znakiem krzyża, zaś na rewersie jakiegoś innego nieznanego mi świętego w otocze gwiazd i łacińskiej inskrypcji: *Sit tibi, Christe, datus, quem tu regis, iste ducatus.*

— Mamy tu również klejnot z dwunastu złotych monet — wyjaśniłem. — Kto wie, gdzie on go ukradł! Rozejrzyjcie się, czy nie ma wśród was właścicielki owego klejnotu.

— Dwanaście monet? — odezwał się za moimi plecami niewieści głos. — Chcę je zobaczyć! Och! Właśnie w ubiegłym tygodniu skradziono mi taką oto bransoletę ze skrzyni.

Był to głos Nohudy zwanej Fasolką. Podeszła ona bliżej, wzięła mi bransoletę z ręki i przyglądała się jej.

— Na Allaha! — zawołała. — To moja bransoleta. Cenna pamiątka po przodkach mojej matki. Popatrz mężu i przekonaj się, że ona naprawdę do mnie należy!

Podawała ją mężowi.

— To naprawdę twoja bransoleta — przytaknął mąż.

— A zatem Nohudo, przypomnij sobie, czy w tym czasie był u ciebie Mübarek — powiedziałem.

— Mübareka nie widziałam, ale kalekę owszem. Kazałam go zawołać do środka, aby mu dać coś do jedzenia. Moja biżuteria leżała wtedy na stole i chowałam ją właśnie do skrzyni. I on to widział. Kiedy po kilku dniach zajrzałam do niej przypadkiem, bransolety już tam nie było.

— A teraz poznałaś złodzieja.

— Tak, tak! To oczywisty dowód! Ty łajdaku! Wydrapię ci zaraz oczy. I...

— Uspokój się! — przerwałem jej w obawie, że potok słów zamieni się w powódź, którą niełatwo powstrzymać. — Zabierz bransoletę i nie przeszkadzaj w wymierzeniu kary złodziejowi! Widzicie teraz, jakiego to czciliście człowieka. I takiego bandytę mianowano nawet starszym pisarzem zasiadającym do sądenia innych. Mnie samego posyłał do piekła i niewiele brakowało, a ściągnąłby na mnie gniew tego oto szanownego zgromadzenia. Żądam, aby zamknięto go w bezpiecznym miejscu, z którego nie ma ucieczki i aby doniesiono o jego niecznych czynach przewodniczącemu w Salonikach.

Nie tylko, że mi przytakiwano, lecz słyszałem także liczne słowa zachęty:

— Ale najpierw wymierzyć mu chłostę! Rozwalić pięty!

— Niech zapłaci głową! — nagliła Fasolka, rozżłoszczona kradzieżą. Mübarek dotąd się nie odzywał, ale teraz zaczął wykrzykiwać: — Nie dawajcie mu wiary! To giaur, który sam jest złodziejem.

To on wcisnął mi co dopiero bransoletę do kieszeni. To on, ojej, ojej! Uciał z okrzykiem bólu, gdyż Halef zdzielił go batem przez plecy.

— Poczekaj hultaju! — wołał Hadzi. — Wypiszę ci na plecach, że dopiero dzisiaj przybyliśmy w te okolice. W jaki więc sposób mógł ten oto efendi ukraść bransoletę? Zresztą tak sławny człowiek nie jest złodziejem. Masz na to moje potwierdzenie.

Halef zdzielił go jeszcze kilkakrotnie tak mocno, że Mübarek głośno zawył.

— Brawo, brawo! — wołali ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą mogli mi zagrozić.

Kodża baszi nie wiedział, co ma począć i co powiedzieć. Nie przeszkadzał mi, lecz natychmiast wykorzystał okazję, aby znów usiąść na urzędowym krześle. W ten sposób chronił przynajmniej swoją godność. Ławnicy patrzeli w milczeniu na to, co się dzieje. Policjanci zorientowawszy się, że moje akcje idą w górę, co jak przypuszczali musiało poprawić moje samopoczucie i mój stosunek do nich, ujawniali się stopniowo jeden po drugim.

— Zwiążcie tego człowieka! — rozkazałem im. — Spętajcie mu ręce!

Natychmiast mnie posłuchali. Również żadna z urzędowych osób nie sprzeciwiała się mojej samowoli.

Mübarek zrozumiał chyba, że lepiej dla niego będzie, gdy się podda. Bez oporu pozwolił się związać i usiadł ze spuszczoną głową na swoim miejscu. W tym momencie szybko podnieśli się ławnicy, nie chcieli bowiem oni dzielić miejsca na ławie z przestępcą.

— A teraz, co do twego wyroku — odezwałem się do kodży baszi.

— Czy znasz prawa obowiązujące w twoim kraju?

— Oczywiście, że muszę je znać — odparł. — Studiowałem przecież w szkołach.

— Nie wierzę.

— Dlaczego? — zapytał urażony. — Znam całe prawo oparte na Koranie i Sunnie oraz na egzegezie pierwszych czterech kalifów.

— Czy znasz także kodeks prawa cywilnego i kryminalnego zawarty w *Miilteka el buhur*?

— Znam go. Napisał go szejk Ibrahim Halebi.

— Jeśli znasz naprawdę te przepisy, to dlaczego według nich nie postępujesz?

— Zawsze, i także dzisiaj, ściśle się na nich opierałem.

— Nieprawda. Piszę się bowiem w kodeksie, że zanim zapadnie wyrok, sędzia musi zezwolić na obronę nawet najgorszemu przestępcy. Wy natomiast, wydaliście wyrok na mego przyjaciela i przewodnika, nie pozwalając mu powiedzieć nawet jednego słowa. Wasz wyrok nic zatem nie znaczy. W czasie rozprawy powinni być również obecni wszyscy oskarżeni i świadkowie, czego w tym przypadku wcale nie przestrzegano.

— Przecież wszyscy są obecni!

— Niestety, brakuje bowiem handżiego Ibareka. Gdzie on się podział?

Sędzia zakłopotany pokiwał głową, potem wstał i odparł:

— Sprowadzę go.

Chciał wyjść. Ponieważ jednak wiedziałem, co się stało z Ibarekiem, przytrzymałem kodżę baszi za ramię, natomiast do saptije rzekłem:

— Przyprowadźcie Ibareka! Ale w takim stanie, w jakim się teraz znajduje!

Dwóch z nich oddaliło się i wkrótce przyprowadzili oberżystę z rękami związanymi na plecach.

— Co to ma znaczyć? Co ten człowiek uczynił, że go spętano?

— spytałem. — Kto wydał taki rozkaz?

Kodża baszi kiwał głową to w tę, to w tamtą stronę i odparł:

— To na żądanie Mübareka.

— A więc kodża baszi musi czynić to, co mu rozkaże basz kiatib? A mimo to powiadasz, że studiowałeś prawa! Nic zatem dziwnego, iż w twoim okręgu największych hultajów uważa się za świętych.

— Miałem do tego prawo — bronił się trwożliwie.

— Nie zdołasz mi tego dowieść.

— A jednak! Was nie kazałem uwięzić, jesteście bowiem tutaj obcymi, ale handżi jest człowiekiem miejscowym i podlega mojej władzy.

— I ty uważasz, że wolno ci jej nadużywać? Masz przed sobą kilkuset swoich poddanych. Myślisz może, że możesz z nimi robić, co zechcesz? Możliwe, że dotąd tak postępowaleś, ale dzisiejsze zdarzenie ci ludzie zachowają w pamięci i w przyszłości będą żądać sprawiedliwości. Ibareka ograbiono i dlatego przyszedł do ciebie po pomoc, ale ty zamiast mu ją zapewnić, kazałeś go związać i uwięzić. Jak chcesz odpowiedzieć za to bezprawie? Żądam, abys uwolnił go z pęt.

— Niech to uczynią policjanci.

— O nie. Zrobisz to sam, jako pokutę za czynienie bezprawia. Tego było staremu już za dużo i wrzasnął na mnie z gniewem:

— Kim ty właściwie jesteś, że się tutaj rządysz, jakbyś był naszym mahredzem albo bilad-im chamze mollalarem?

— Spójrz, oto moje papiery!

Podąłem mu trzy paszporty. Na widok teskere, bujuruldu, a nawet fermana, zmrużył kaprawe oczka, zaś jego głowa kołysała się niby metronom słynnego ratyzbończyka Jana Nepomucena Mähla.

— Efendi! Ty się cieszysz względami samego sultana! — zawołał.

— A zatem staraj się, abym mógł cię obdarzyć chociaż odrobiną tych względów!

— Uczynię to, czego zażadasz. Podszedł do Ibareka i uwolnił go z pęt.

— Jesteś teraz zadowolony? — spytał.

— Na razie tak. Ale to nie wszystko. Twój saptije, Selim, przedstawił rzecz z gruntu fałszywie. Spotkanie wyglądało bowiem całkiem inaczej, niż on to opowiedział. To Mübarek podsunął mu, co ma mówić, aby nam jak najbardziej zaszkodzić.

— Nie wierzę.

— Ale ja w to wierzę, bowiem nakłonił on także mahonadziego, aby świadczył fałszywie przeciwko mnie.

— Czy to prawda?

Pytanie to było skierowane do przewoźnika, który uwierzył, że Mübarek już mu teraz nie może zaszkodzić i dlatego opowiedział bez obaw, jak on go pouczał.

— Widzisz — powiedziałem do kodzy baszi — że ja w żadnym wypadku nie czyhałem na życie tego człowieka. Widziałem, że szpieguje na rzecz starego i dlatego zabrałem go, aby go przy okazji sprawdzić. To wszystko. Jeśli' chcesz mnie za to ukarać, to jestem gotów przystąpić do obrony.

— O ukaraniu nie może być mowy, efendi, bowiem nie popełniłeś żadnego wykroczenia.

— A zatem, z powodu tego policjanta nie można także karać mego towarzysza, gdyż to nie Hadzi Halef, a ktoś inny ponosi winę za zajście.

— Kto?

— Ty sam.

— Ja? Dlaczego?

— Kiedy Ibareka okradziono, on przyszedł ci o tym donieść. A co ty zrobiłeś, aby wypełnić swój obowiązek?

— Wszystko, co do mnie należało.

— Tak? Zatem co?

— Poleciałem Selimowi, aby pomyślał, co w tej sprawie należy zrobić.

— A innym saptije tej sprawy nie powierzałeś?

— Nie. Uznałem to za zbyt ciche. Oni i tak nic by nie wykryli.

— Twoi policjanci muszą być wielkimi głupcami, jeśli z góry wiesz, że nic nie wykryją. Czyn został popełniony tutaj. Dlaczego więc powierzyłeś tę sprawę Selimowi, skoro wiesz, że on jest tu od niedawna?

— Bo on jest najmądrzejszy.

— Myślę, że miałeś inny powód.

— Efendi! Jaki ja miałbym mieć inny powód?

— Dobry urzędnik porusza wszystkie sprężyny, aby wykryć sprawcę takiego przestępstwa. Ty jednak sprawę przemilczałeś, a człowiekowi, którego o niej powiadomiłeś, dałeś prawie tydzień

czasu do namysłu. Stwarza to podejrzenie, jakbyś sobie życzył, by złodzieje umknęli.

— Efendi, o co ty mnie posądzasz?

— Wnioskuje jedynie ściśle z twego zachowania. Nic prostszego, byś sprawców kazał szukać w Ostromczy.

— Oni odjechali przecież do Doiranu!

— Trzeba być bardzo ograniczonym, by w to uwierzyć. Żaden złodziej nie powie, dokąd zamierza się udać. Jako doświadczony sędzia musisz przecież tyle wiedzieć. A co będzie, jeśli odkryję, że jesteś kolegą przestępców?

Trwożliwie potrząsnął głową, wołając w zakłopotaniu:

— Efendi! Nie wiem, co ci odpowiedzieć!

— Lepiej nic nie mów, gdyż mego zdania i tak nie zmienię. Gdybyś zabrał się do tej sprawy tak jak ci to nakazuje obowiązek, wtedy już dawno wykryłbyś złodziei.

— Uważasz, że dobrowolnie sami by się u mnie zgłosili?

— Nie, ale wierzę, że są oni w Ostromczy.

— To niemożliwe. Do żadnej z gospod nie zawitało trzech jeźdźców.

— Coś podobnego nie przysłoby im nawet do głowy. Przecież nie będą się pokazywać tak blisko miejsca przestępstwa. I ukryli się.

— Mogę wiedzieć u kogo?

— Dlaczego nie? Jestem tu obcy, a mimo to wiem.

— Jesteś zatem wszechwiedzący.

— Co to, to nie, ale nauczyłem się myśleć. Tacy przestępcy będą szukać schronienia tylko u tak samo złych ludzi. A kto jest najgorszym człowiekiem w Ostromczy?

— Masz na myśli Mübareka?

— Zgadłeś.

— Mieliby być u niego? Mylisz się.

— W żadnym wypadku się nie myślę. Jeśli chcesz złapać złodziei, musisz się udać na górę do starej ruiny.

Spojrzał na Mübareka, ten zaś odwzajemnił się także spojrzeniem. Byłem pewien, że obaj są w znowie.

— Efendi! Nasza przejażdżka będzie daremna — stwierdził sędzia.

— Przeciwnie. Jestem przekonany, że znajdziemy tam nie tylko złodziei, ale i skradzione przedmioty, dlatego nakazuję ci, abys podążał ze mną razem z twoimi policjantami.

— W takich ciemnościach?

— Boisz się?

— Nie, ale wiem, że tacy ludzie są groźni. Jeśli naprawdę są tam na górze, to będą się bronić. Oczekaj lepiej do jutra.

— Do tego czasu mogą umknąć, dlatego idziemy teraz! Postaraj się, abyśmy wyruszyli szybko i rozkaż, aby zabrano latarnie!

— A Mübarek?

— Zabieramy go. On nas poprowadzi.

— Pozwól więc, że zatroszczę się o oświetlenie.

Sędzia udał się do domu. Ponieważ jednak nie chciałem go nawet przez chwilę zostawić samego, będąc pewnym, że jest on w znowie z Mübarekiem, skinąłem na Omara.

— Omar. Idź za kodzą baszi i nie spuszczaaj go z oka! Postaraj się, aby z nikim po kryjomu nie rozmawiał i nie robił nic wbrew mej woli.

Omar oddalił się ku drzwiom, za którymi wcześniej zniknął sędzia. Wielu ludzi opuszczało dziedziniec. Przypuszczałem, że szli po latarnie lub coś podobnego, aby nam towarzyszyć. Ibarek przysłuchiwał się dotąd w milczeniu, teraz natomiast pytał mnie:

— Efendi! Czy myślisz naprawdę, że złapiemy tych trzech hultajów, i że odzyskam moją własność?

— Jestem o tym przekonany.

— Efendi! Nie mogę cię zrozumieć! Wydaje się, że ty wiesz wszystko. Z radością idę z tobą.

— A co teraz powiesz o „świętym”? Wychwalałeś go, chociaż się go bałeś. A kiedy o nim mówiłeś, zaraz przeczuwałem, że to wielki hultaj. Złodzieje twego mienia są u niego.

Kodża baszi wkrótce wrócił i wraz z Omarem przyniósł kilka latarni, większą ilość pochodni i główne. Omar skwitował zaprzeczającym ruchem moje pytające spojrzenie. Sędzia nie dał mu powodu do interwencji. Ludzie wracali także z różnego rodzaju światłami i pochod wkrótce wyruszył. Nigdy nie widziano tutaj podobnego nocnego pochodu ku stojącej na wzgórzu ruinie, po to, aby złapać złodziei. Dlatego wędrowała za nami niemal cała ludność Ostromczy. Ponieważ nie ufałem ani kodży baszi, ani jego saptije, Mübareka pilnowali Osko i Omar. Wzięli go zatem pomiędzy siebie.

Na przedzie kroczyło kilku policjantów. Potem podążał kodża baszi z sędziowską ławą, za nimi Mübarek z dwoma strażnikami, następnie szedłem ja z Halefem i dwoma spowinowaconymi wieśniakami, zaś za nami kłębili się starsi i młodszy mieszkańcy Ostromczy. Z ciekawością przysłuchiwałem się, co się tam mówiło, także i o nas. Ktoś uważał, że jestem wielkopańskim hrabią, inny zaś, że jestem synem perskiego księcia. Ktoś trzeci przysięgał, że jestem hinduskim magikiem, natomiast czwarty wykrzykiwał głośno, że jestem pretendentem do tronu moskiewskiego i przybyłem, aby te ziemie zdobyć dla Rosji.

Im bardziej zbliżaliśmy się do ruiny, tym większa robiła się cisza. Ludzie rozumieli, że trzeba być ostrożnym, jeśli chce się złapać złodziei. Wielu zatrzymało się w tym miejscu, gdzie zaczynał się las. Byli to tchórze zapewniający szumnie i żarliwie, że pozostają tutaj tylko dlatego, żeby nie przepuścić złodziei, gdyby im się udało zbiec z góry.

Kiedy dotarliśmy do polany, panowała tam grobowa cisza. Bohaterowie poczuli się nieswojo. Przestępcy mogli się pojawić w każdej chwili, albo mogli tkwić za każdym drzewem. Stąpano tak cicho, jak tylko to było możliwe, aby ich nie spłoszyć i — aby nie być pierwszym lub pierwszą, który albo która, zacznie się z nimi bić, gdyż kobiet także tu nie brakowało.

Ową ciszę na krótko przerwano. Z kobiecego gardła rozległ się przenikliwy głos. Kiedy zjawiłem się na miejscu, spostrzegłem, że Fasolka wpadła do zimnego źródelka, w pobliżu którego znalazłem kaczeńce. Siedziała we wodzie, zręcząc stłumionym głosem na swego wybrańca-ławnika, zaś treść tego, co mówiła, nadawała się wyłącznie na szept. Nohuda nie pozwalała się stamtąd wyciągnąć, gdyż, jak twierdziła, przeziębii się od chłodnego, wieczornego powietrza, i dopiero kiedy jej wytłumaczyłem, że woda jest zimniejsza od powietrza, stwierdziła:

— Posłucham twojej rady, efendi. Ty wiesz wszystko lepiej niż inni, a nawet lepiej niż mój mąż, który mnie wprost na tę dziurę naprowadził.

Wyostałem stamtąd Fasolkę. Na szczęście wody nie było więcej nad pół metra. Nie wiem niestety, czy rozmazała przy tym makijaż z ochry, który miał jej przydać młodzieńczej urody.

Mübarek zatrzymał się wraz z Omarem i Osko przed drzwiami swojej chaty i żądał, abyśmy go wpuścili. Ponieważ jednak był on oblatany w różnorodnych sztuczkach, nie ufałem mu. Mógł bowiem przygotować jakieś urządzenie obliczone na wypadek nagłego niebezpieczeństwa albo jakiejś wpadki.

— Co tam zamierzasz robić?

— Mam zwierzęta, które trzeba nakarmić, jeśli nie mają zdechnąć z głodu.

— Sam je nakarmię jutro rano. Twoim domem jest odtąd więzienie. Lecz jestem gotów spełnić twe życzenie, jeśli odpowiesz mi na kilka pytań zgodnie z prawdą.

— A zatem pytaj!

— Czy ktoś w twoim domu przebywa?

— Nie.

— A czy prócz ciebie jeszcze ktoś zamieszkuje tę ruinę?

— Nie.

— Czy znasz człowieka o nazwisku Manach el Barsza?

— Nie.

— Albo innego, który się nazywa Barud el Amasad?

— Także nie.

— A przecież ci ludzie mówią, że dobrze cię znają.

— To nieprawda.

— Że powiadomiłeś ich dzisiaj przed moim przybyciem.

— To kłamstwo.

— I że chciałeś się postarać, aby mnie uwięzić, a potem chcieliście mnie zamordować.

Nie odpowiedział od razu. Czuł się nieswojo pod wpływem tego, co ode mnie usłyszał. Mogło się w nim zrodzić przypuszczenie, że dzisiejszego wieczoru nie znajdzie po powrocie wszystkiego w takim stanie, w jakim wszystko zostawił. Słyszałem, jak raz po raz przełykał ślinę, jakby nie mógł czegoś połknąć. Potem odparł:

— Nie wiem, o czym mówisz i czego ode mnie chcesz, efendi. Nie znam nazwisk i nie mam nic wspólnego z ludźmi, których wymieniłeś, mimo że tak ci się zdaje.

— A więc pewnie także nie wiesz, że miało tu przyjechać dwóch braci, aby wam zameldować, że zamordowano mnie w Melniku?

— Na Allaha, nic o tym nie wiem!

— Jesteś do tego stopnia nieświadom, że twoja nieświadomość wywołuje we mnie litość, i dlatego chcę ci pokazać, jakich to groźnych ludzi masz w pobliżu. Chodź!

Ująłem obłudnika za ramię i wyprowadziłem. Na mój gest Halef poprzedał nas z pochodnią, aby nam poświecić. Podążali za nami panowie z kazy oraz Osko i Omar, a także obaj wieśniacy. Reszta musiała zostać na miejscu, bowiem we wnętrzu ruiny nie było aż tyle miejsca. Wyobrażam sobie, co działo się teraz w Mübareku, gdy zorientował się, z jaką pewnością podążaliśmy drogą, o której był przekonany, że stanowi ona dla intruzów tajemnicę!

Kiedy Halef odsunął gąszcz bluszczu, usłyszałem jak staremu wymknęło się przekleństwo, którego całkiem nie zdołał stłumić.

— Co? Konie? — zapytał kodża baszi, kiedy znaleźliśmy się w pomieszczeniu używanym jako stajnia.

Ponieważ była to noc, zwierzęta sprawiały nam trochę kłopotu, nie były bowiem uwiązane i płoszyły się przed światłem i obcymi ludźmi.

— Tam gdzie są konie, muszą także być ludzie, do których one należą — uważał Halef. — Wyjdźcie stąd, a zaraz ich znajdziemy.

Trzech związanych osobników leżało nadal tak, jak ich zostawiliśmy. Przy naszym wejściu panowało milczenie. Przy pomocy Halefa rozwiązałem tych trzech, ale tylko na tyle, aby mogli uczynić użytek z nóg i wstać.

— Manachu el Barsza, odpowiedz mi, czy znasz tego człowieka? — pytałem, wskazując na Mübareka.

— Niech cię Allah ukarze! — zazgrzytał przez zęby.

— A ty, Barudzie el Amasad, znasz go?

— Oby cię pochłonęło piekło! — zawołał wściekły. Wtedy zwróciłem się do więziennego strażnika:

— Popełniłeś tylko jeden czyn, bo uwolniłeś tego więźnia. Ich obu czeka ciężka kara. Twoją karę możesz sam złagodzić, jeżeli okaże się, że nie jesteś zatwardziałym grzesznikiem. A zatem powiedz prawdę, czy znasz tego człowieka?

— Tak — odparł po chwili namysłu. — To jest stary Mübarek.

— Czy znasz także jego prawdziwe nazwisko?

— Nie znam.

— A czy on i twoi dwaj kompani znają się?

— Owszem. Manach el Barsza często u niego bywał.

— Miałem zostać w Melniku zamordowany?

— Tak.

— I dzisiaj postanowiono to samo. Chciano mnie zabić w więzieniu?

— Tak w istocie było.

— I jeszcze jedno. Czy wtedy, kiedy Ibarekowi i innym ludziom pokazywałeś sztuczki z kartami, ci dwaj go okradali?

— To nie ja, to tylko oni.

— Już dobrze. Brałeś w tym tak samo udział jak oni, bo przyczyniłeś się do tego, że kradzież się udała. To mi wystarczy.

I zwracając się do kodży baszi, zapytałem:

— I co? Nie miałem racji, że złodzieje są w ruinie?

— Efendi! Znalazłeś ich właśnie wtedy, kiedy o nich ze mną mówiłeś.

— Zapewne! Ale to, że znalazłem ich tak szybko, powinno być dla ciebie dowodem, jak łatwo mogłeś wykonać twoją powinność. Teraz należy ich odprowadzić do więzienia i pilnie strzec. Zaś jutro wczesnym rankiem wyślesz mahredżowi swój raport, do którego dołączę także moją relację. On zadecyduje, co dalej. Ibarek! Spójrz tylko na ziemię! Myślę, że są to przedmioty, które ci skradziono.

Zawartość kieszeni i pasów trzech uwięzionych osobników złożono na trzech kupkach. Ibarek cieszył się na widok odnalezionej własności. Chciał ją wziąć, lecz kodża baszi rzekł:

— Stop! Nie tak szybko. Wszystkie te przedmioty muszą zabrać ze sobą. Będą one dowodem rzeczowym na rozprawie i wskazówką przy określeniu wymiaru kary.

Ponieważ znałem zwyczaje tych ludzi, wątpiłem, czy Ibarek kiedykolwiek coś z tego otrzyma. Dlatego odparłem, wyręczając go:

— To zbyteczne. Sam sporządzę wykaz przedmiotów i je oszacuję. Wykaz spełni taką samą rolę, jaką spełniłyby przedmioty.

— Nie jesteś jednak urzędnikiem, efendi!

— Posłuchaj mnie kodża baszi: Udowodniłem tobie dzisiaj, że mógłbym być lepszym urzędnikiem od ciebie! Jeśli odrzucisz moją propozycję, wówczas napiszę do mahredża bardziej wyczerpująco, niżbyś tego sobie sam życzył. Zatem milcz! Dla twego własnego dobra.

Widać było, że sędzia chciał ostro zareagować, ale zdołał się opanować. Widocznie zrozumiał, że tylko by sobie zaszkodził. Wyraził zatem inne pretensje:

— Niech więc Ibarek zatrzyma swoje rzeczy, a ja zabiorę wszystkie pozostałe, które oni mieli

przy sobie.

Chciał się nachylić, aby podnieść sakiewkę z pieniędzmi i inne przedmioty.

— Poczekaj! — powiedziałem. — Te rzeczy są już zarekwirowane!

— Przez kogo?

— Przeze mnie.

— Masz do tego prawo?

— Oczywiście! Sporządzę również ich wykaz, przy czym ty możesz być świadkiem, że nic nie pominąłem. Potem wyślę jedno i drugie, listę i rzeczy, mahredżowi.

— Wszystko powinno trafić do moich rąk!

— Dostaniesz, co ci się należy. Zostawiam konie i całe wyposażenie. Wszystko inne należy jednak do mnie. Halef, pochowaj wszystko!

Mały Hadzi był tak bystry, że w ciągu trzech sekund wszystko zniknęło w jego szerokim pasie.

— Złodzieje! — mruknął Mübarek.

Reakcja była błyskawiczna. Bicz Halefa stanowił dla niego na wskroś wyraźną i bardzo aktualną odpowiedź.

Więźniów wyprowadzono teraz z ruiny na polanę, którą zajął ciekawski ludek, tłoczący się, aby zobaczyć całą trójkę.

Iberek rozповідаł głośno, że odzyskał szczęśliwie swoją własność, przy czym nie szczędził pochwał pod naszym adresem.

Policjanci wzięli czterech aresztantów do środka i ruszyli, a rozprawiający o pomyślnie zakończonej przygodzie tłum, za nimi. Wracając byli o wiele głośniejsi, niż kiedy szli w tę stronę.

Przedstawiciele władzy dołączyli także do pochodu, natomiast ja zatrzymałem się wraz z Halefem, który na mnie skinął:

— Sihdi! Mam jeszcze pół pochodni — powiedział. — Wprawdzie jest już zgaszona, ale możemy ją znów zapalić. Może przyjrzelibyśmy się chacie starego?

— Możemy przynajmniej spróbować.

— Masz jeszcze klucz? Widziałem, jak go zabierałeś, kiedy w czasie rozprawy opróżniałeś mu w sądzie kieszenie.

— Mam go, ale nie wiem, czy jest to klucz od chaty.

— Z pewnością tak, bo jakie inne jeszcze klucze stary mógłby mieć? Poczekaliśmy, aż wszyscy zniknęli i wtedy otworzyliśmy drzwi kluczem. Za pomocą zapałki i kawałka papieru zapaliliśmy pochodnię i weszliśmy do wnętrza.

Jak już wspomniano, nędzny budynek przylegał do muru. Z zewnątrz wyglądało na to, że ma on tylko jedno małe pomieszczenie. Jednak w środku zobaczyliśmy, że jest tu więcej izb położonych jedna za drugą. Wewnętrzne pomieszczenia należały do starego zamku, natomiast chata w przemyślny sposób zasłaniała sobą otwór. Przednia izba była prawie pusta. Wyglądało na to, że służy ona jedynie jako izba gościnna. Kiedy chcieliśmy wejść do drugiego pomieszczenia, zauważyłem nici przeciągnięte górą, dołem i przez środek wejścia. Ostrożnie poruszyłem jedną z nich ręką i bicza i natychmiast rozległ się huk wystrzału. Miauczały koty, szczekał pies, krakały kruki i słychać było jeszcze inne głosy.

— Na Allaha! — zaśmiał się Halef. — Znajdujemy się chyba w arce patriarchy Noego, ale proponuję sihdi, żebyśmy dalej nie wchodzili. Zaczekajmy lepiej, aż nastanie dzień.

Chętnie na to przystałem. Mimo że nie przypisywałem staremu Mübarekowi jakichś szczególnych umiejętności, to i te, które posiadał, mogły wystarczyć do wynalezienia jakiegoś skutecznego urządzenia do unieszkodliwiania intruzów. Zamknęliśmy więc chatę na klucz i zgasiliśmy pochodnię.

Kiedy chcieliśmy wracać, zbliżyła się do nas jakaś kobieca postać. Nie poznawałem twarzy. Ona natomiast chwyciła rąbek mego kaftana i zanim zdołałem temu przeszkodzić, przycisnęła go do ust.

— W świetle pochodni poznałam, żeś to ty, efendi, i pragnę ci raz jeszcze podziękować.

Była to zielarka Nebatja.

— Co tu porabiasz na górze? — zapytałem. — Byłaś tu jeszcze wtedy, kiedy braliśmy więźniów?

— O nie. Nie sprawia mi radości widok nieszczęśników. Byłam jednak na podwórku kodży baszi, gdy miałeś zostać skazany. Efendi, byłeś odważny, ale przysporzyłeś sobie groźnego wroga.

— Kogo? Mübareka?

— Nie o nim mówię, chociaż on ciebie także nienawidzi. Mam na myśli kodżę baszi.

— Uważam, że kodża baszi nie musi mnie specjalnie kochać, ale nie potrzebuję go się także obawiać.

— Mimo to, proszę cię, bądź ostrożny!

— Taki z niego zły duch?

— Owszem. Sędzia powinien stać na straży porządku, ale on po cichu popiera ludzi Szuta.

— Ach! Skąd to wiesz?

— On często bywał nocą na górze u Mübareka.

— Czy się czasem nie mylisz?

— Na pewno nie. Widziałam go wyraźnie w świetle księżyca, a w ciemną noc poznawałam go po głosie.

— Hm... Często tu bywałaś?

— Często, mimo że Mübarek mi tego zabraniał. Ale ja Kocham noc, bowiem jest ona przyjaciółką człowieka. Ona pozostawia go sam na sam z Bogiem i nie pozwala, by człowiekowi przeszkadzano w modlitwie. Istnieją również rośliny, które wolno szukać tylko w nocy.

— Naprawdę?

— Tak. Podobnie jak istnieją rośliny, które pachną jedynie w nocy, tak istnieją również takie, które na noc się budzą, a w dzień śpią. I tu na górze rosną takie właśnie przyjaciółki nocy, w pobliżu których siadam, aby z nimi rozmawiać i nasłuchiwać ich odpowiedzi. W ostatnim czasie nie mogłam tutaj przychodzić, ale dziś zdemaskowałem mojego wroga, który został uwięziony i dlatego przyszedłam zaraz na górę, aby o północy zerwać króla.

— Króla? Czy mówisz o roślinie?

— Owszem. Nie znasz jej?

— Nie.

— Ona jest królem, bo jeśli umrze, to wraz z nią umiera cały jej lud. Miałem przed sobą niezwykłą kobietę o uduchowionej twarzy. Ta kobieta w pocie czoła zabiegała o utrzymanie rodziny, a mimo to znajdowała jeszcze czas, aby po nocach godzinami obcować z roślinami, rozmawiać z nimi i wsłuchiwać się w tajniki ich życia.

— Jak się ta roślina nazywa? — zapytałem z ciekawości.

— To Hadż-i Marjam. Jaka szkoda, że jej nie znasz!

— Znam ją, ale nie wiedziałem, że ma ona swego króla.

— Tylko nieliczni o tym wiedzą, a pośród tej garstki rzadko się trafia szczęśliwiec znajdujący króla. Trzeba Hadż-i Marjam kochać i znać dogłębnie sposób jej życia, wówczas znajdzie się króla. Pospólstwo rośnie chętnie na nieurodzajnym podłożu, na stokach, skałach i nagich zboczach, tworząc zawsze to mniejszy, to znów większy krąg, a pośrodku tego kręgu zawsze wyrasta król.

Było to dla mnie czymś nowym. Hadż-i Marjam znaczy *krzyż Maryi*. Roślina ta (*sylibum marianum*) rośnie także w Niemczech. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności nazwa tej rośliny

rosnącej w Rudawach brzmi tak samo, jak tej ze wzgórz Planina Babuna i Planina Plaskawica!

Nebatja ciągnęła swój ulubiony temat:

— Oset ten jest bardzo suchy i kruchy. Nie jest zbyt wysoki i ma cienką łodyżkę. Natomiast król jest szeroki i z latami jest coraz szerszy. Łodygę ma cieniutką jak żyłka. Może się jednak rozrosnąć do rozmiarów dwóch dłoni i posiada długą, wąską główkę, zaś na jej ciemnym tle rysuje się jasna, zygzakowata żmijka. Żmijka ta świeci w nocy. Widziałam często jej światło i zobaczę je znów dzisiaj. Jeśli zabierze się króla, giną wszyscy jego poddani. W ciągu jednego miesiąca. Natomiast żyjąc wraz z królem, dożywają pięknego wieku. Król, po którego dzisiaj idę, liczy sobie około dziesięciu lat.

— Ale jeżeli go zetniesz, to zginie przecież cała kolonia!

— O, nie! Wyrósł już nowy, młody król. Można teraz zabrać starego króla. Może to nastąpić tylko w niedzielę po nowiu, w święto chrześcijan, dla których Marjam jest królową niebios. Tego dnia król świeci najpiękniej. Nawet święty świeci jeszcze kilka nocy. Posiada wtedy największą moc. Dzisiaj mamy pierwszą niedzielę po nowiu, dlatego tej nocy idę po króla. Jeśli masz czas, możesz zobaczyć, jak on świeci.

— Poszedłbym z tobą, gdyż bardzo mnie ciekawią tajemnice przyrody, ale muszę być niestety w mieście.

— Wobec tego przyniosę ci jutro wieczorem króla ostów. Będzie jeszcze świecił.

— Nie wiem, czy do tego czasu będę jeszcze w Ostromczy.

— Chcesz tak szybko wyjechać, efendi?

— Nie przyjechałem tu na dłuższy pobyt, a mój czas jest ściśle określony. Ale powiedz mi, jaką to moc przypisuje się królowi ostów?

— Zwyczajny Hadż-i Marjam, pity jako herbata, lecz suchoty, jeśli się one w człowieku jeszcze nie zakorzeniły. Oset zawiera substancję zabijającą drobne żyjątka wywołujące w płucach chorobę. Natomiast o królu mówi się, że wyleczy nawet suchotnika stojącego nad grobem. — Wypróbowałaś go?

— Niestety nie, ale wierzę w to, bowiem stwórca jest wszechmocny i potrafi, jeśli zechce, najmniejszą nawet roślinkę wyposażyć w niezwykłą moc.

— A więc przyjdź jutro do mnie i pokaż mi tego króla, jeżeli mnie jeszcze zastaniesz. Wiesz, gdzie mieszkam?

— Słyszałam. Śpij spokojnie, efendi!

— Niech ci się poszczęści z tym królem, Nebatja! Poszła.

— Sihdi! Czy wierzysz w tego króla ostów? — pytał mnie Halef w drodze.

— Nie podważałbym o nim opinii.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem, aby rośliny miały swoich panujących.

— A więc nie wierzysz. Zatem, gdy tylko Nebatja przyniesie mi owego władcę zwanego Hadż-i Marjam, wtedy i ty go zobaczysz.

Dzisiaj nie wiedziałem jeszcze, że wkrótce będę zawdzięczał życie królowi ostów. O jego niezwykłych walorach świadczyło to, że zielarka przychodziła po niego aż tu, na górę. Zresztą król ostów, to naprawdę osobliwa roślina. Kolonię tych ostów znalazłem w saksońskich Rudawach na łysej porębie położonej pomiędzy Scheibenbergiem i Schwarzenbergiem, gdzie spędziłem całe cztery dni na poszukiwaniu króla.

Teren, na którym rozpleniły się osty, tworzył niemal regularny krąg. Przewędrowałem po jego obwodzie, a potem po przekroju kolejne odcinki, lecz bez rezultatu. Wreszcie znalazłem poszukiwanego króla w miejscu, obok którego często przechodziłem, wcale go nie dostrzegając, gdyż

był otoczony kępą gęstej, suchej trawy. Odpowiadał on opisowi Nebatji. Wyciąłem go i posiadam jeszcze do dziś. Kiedy mniej więcej po czterech latach przybyłem znów do Annabergu, postanowiłem z ciekawości, mimo braku czasu, powędrować do mego znaleziska, aby na miejscu stwierdzić, że poddani pozbawieni swego króla po prostu wyginęli.

Oczywiście, tutaj w Ostromczy, nie miałem dowodu na prawdziwość opisu Nebatji, ale mimo to wierzyłem jej. Wielki Linneusz opowiada przecież z pięknym uznaniem o tym, że swoje największe znaleziska i obserwacje poczynił, idąc za wskazaniem prostych ludzi. Dziecko ludu z większą miłością przypatruje się tajemnikom przyrody, aniżeli czyni to tak zwany człowiek ze sfer.

PONOWNA UCIECZKA

Przybywszy do Ostromczy, poszliśmy do kodzy baszi, u którego sporządziłem przyrzeczony wykaz. W jego małych oczkach pojawiły się iskry w momencie, w którym liczyliśmy pieniądze wysypane z sakiewek. Jeszcze raz zapytał, czy nie zechcę mu powierzyć wysyłki, ale ja obstawałem przy tym, że załatwię to sam. Wkrótce miało się okazać, że dobrze uczyniłem. Sędzia nalegał, w każdym razie po to, by mnie irytować, aby worki opieczętować jego pieczęcią. Co do tego nie wahałem się ani przez moment.

Potem chciałem zobaczyć więźniów. Znajdowali się oni w pomieszczeniu przypominającym piwnicę. Byli związani. Powiedziałem sędziemu, że zadaje im zbyt ciężkie katusze. On uważał natomiast, że wobec takich przestępców wszelkie środki ostrożności nie są zbyt surowe i dlatego na noc postawi jeszcze policjanta jako strażnika. Poczuję się uspokojony stanem zabezpieczenia więźniów i nie pomyślałem o tym, że sędzia związał ich jedynie dlatego, że należało oczekiwać, iż zechcę to sprawdzić.

Stąd udałem się do hanu, gdzie spożywano teraz spóźnioną kolację. Siedzieliśmy razem, tak jak w południe, w tym samym pokoju. Było bardzo gwarno, wydarzenia tego dnia dawały bowiem sporo okazji do ożywionej wymiany myśli, i tak zrobiło się już grubo po północy, kiedy ułożyliśmy się do snu.

Wskazano mi najlepszą izbę, do której prowadziły schody. Ponieważ przygotowano w niej dwa legowiska, zaproponowałem jedno z nich małemu Hadziem. Wiedziałem, jak bardzo będzie sobie cenił taki dowód przyjaźni.

Zegarek wskazywał parę minut po drugiej, kiedy zaczynaliśmy rozbierać się do spania, ale wtedy ktoś załomotał na dole do zaryglowanej bramy. Otworzyłem okiennice na zewnątrz. Ktoś stał przy bramie, ale nie mogłem poznać, kto to był.

tego Kto tam? — spytałem.

— Ach, to twój głos — odparły niewieście usta. — To ty jesteś, efendi? Czy się nie mylę?

— Tak! A to ty zielarko?

— Zgadza się, efendi. Zejdź na dół! Muszę ci coś powiedzieć.

— Koniecznie?

— Oczywiście.

— Czy będę mógł się jeszcze położyć?

— Chyba nie tak zaraz.

— Poczekaj! Już idę.

Minutę później byłem już z Halefem na dole.

— Efendi! Wiesz co się stało? Albo zaczekaj, tyle czasu chyba jeszcze masz. Spójrz, oto król: Hadż-i Marjam!

Nebatja dała mi go do ręki. Kolczasty oset o rozmiarze dwóch rozłożonych dłoni, ale rzeczywiście cienki jak żyłka. Mimo ciemności łatwo można było dostrzec na długiej wąskiej koronie jasną, zygzakowatą zmiękę. Wprawdzie nie świeciła ona, ale odznaczała się niemal wyraźnie fosforyzującym blaskiem.

— Teraz mi wierzysz? — spytała.

— Nie wątpiłem w twoje słowa. Tu jest zbyt ciemno. Odwiedzę cię wczesnym rankiem, aby

zobaczyć oset dokładnie przy dziennym świetle. Ale teraz powiedz mi, co chciałaś mi powiedzieć!

— Stało się coś bardzo niedobrego: więźniowie uciekli.

— Tak? Naprawdę? Skąd to wiesz?

— Widziałam ich i nawet słyszałam co mówili!

— Gdzie?

— Na górze. W pobliżu chaty Mübareka.

— Sihdi! — zerwał się Halef. — Musimy natychmiast udać się na górę i ich zastrzelić, bo jeśli nie, to oni pozbawią nas życia.

— Poczekaj! Najpierw musimy się wszystkiego dowiedzieć. Powiedz nam Nebatja, ilu ich było?

— Trzech przybyszy, Mübarek i kodża baszi.

— Co? Kodża baszi był z nimi? — dziwiłem się.

— Tak. To on ich wypuścił i dostał za to od Mübareka pięć tysięcy piastrów.

— Wiesz to na pewno?

— Wyraźnie wszystko słyszałam — zapewniała Nebatja.

— Zatem opowiedz, ale zwięźle! Nie możemy tracić czasu.

— Miałam już króla ostów i chciałam wracać przez polanę, gdy zobaczyłam czterech mężczyzn przybywających z miasta. Nie chciałam, aby mnie ujrzeli i przycupnęłam w kącie pomiędzy chatą a przylegającym murem. Ludzie ci chcieli wejść do chaty, ale chata była zamknięta. Trójki z nich nie znałam, ale czwartym był Mübarek. Mówili, że sędzia ich wypuścił i zaraz przybędzie, aby w zamian za to otrzymać pięć tysięcy piastrów. Pragną potem wyjechać, ale postanowili się na was zemścić. Jeden z nich mówił, że ty z pewnością pojedziesz do Radowicza i do Istip. Po drodze mają was napaść niejacy Aladzi.

— Kto to są ci Aladzi?

— Nie wiem. Potem zjawił się kodża baszi. Ponieważ nikt nie miał klucza, otworzyli drzwi kopnięciem. Zapalono światło i otwarto okiennice nad moją kryjówką. Wyleciały tamtędy ptaki, nietoperze, i inne zwierzęta wypuszczone przez Mübareka. Przeraziłam się i zbiegłam jak szybko mogłam na dół, by ci to powiedzieć.

— Dziękuję ci, Nebatja. Jutro cię za to wynagrodzę. Teraz wracaj do domu, czas bowiem nagli.

Wróciłem do siebie. Nie musiałem nikogo budzić. To, że mnie wywołano, stanowiło oznakę, że coś się wydarzyło. Wszyscy zatem wstali. Nie upłynęły nawet dwie minuty, a byliśmy w pełnym rynsztunku, gotowi do działania: Halef, Osko, Omar i ja. Obaj wieśniacy mieli ochotę na podniesienie larum, ale im tego wzbronilem, gdyż uciekinierzy usłyszeliby hałas, który by ich ostrzegł. Poleciałem wieśniakom, aby po cichu sprowadzili kilku dziarskich ludzi i wraz z nimi obsadzili drogę prowadzącą do Radowicza. W każdym przypadku zbiegowie powinni wpaść im w ręce, jeśli wcześniej nie udałoby się nam ich unieszkodliwić.

Całą czwórką pospieszyliśmy najpierw ścieżyną prowadzącą na górę. Jednak po dojściu do lasu musieliśmy zwolnić. Ponieważ teren był osłonięty, trzeba było uważać, aby nie upaść. Droga wznosiła się stromo w górę, natomiast pomiędzy drzewami wystawały z ziemi kamienie, gdyż spływająca woda wypłukała z powierzchni ścieżyny piasek.

Nagle zdało mi się, jakbym usłyszał jakiś ostry, przenikliwy krzyk wywołany strachem. Potem dobiegł do mych uszu głuchy odgłos, jakby ktoś upadł.

— Stać! — szepnąłem do moich towarzyszy. — Przed nami jest jakiś człowiek. Stójcie i sza...

Ktoś się do nas zbliżał, powoli krocząc. Kroki te były nieregularne, gdyż człowiek ten stawiał jedną stopę wolniej od drugiej. Utykał.

Może zranił się przy upadku. Teraz znajdował się tuż przede mną. Noc nie była jasna, a tutaj,

pośród drzew i pod nimi zalegał głęboki mrok. Dlatego bardziej przecucie aniżeli wzrok pozwoliły mi rozpoznać chudą postać podobną do kodzy baszi. Złapałem go.

— Stój i milcz! — poleciłem mu słumionym głosem.

— Kim jesteś, na Allaha? — zawołał przerażony.

— Nie poznajesz mnie?

— Owszem! Jesteś tym obcym człowiekiem! Czego tutaj chcesz? Być może, poznał mnie po głosie, albo po sylwetce — w każdym razie wiedział, kogo ma przed sobą.

— A ty, kim jesteś? — pytałem. — Czy nie kodzą baszi, który wypuścił uwięzionych!

— Maszallah! — krzyknął głośno. — On już wie!

Zrobił uskok, aby się uwolnić. Przewidując, że będzie próbował ucieczki, starałem się trzymać go mocno, ale jego stary, zleżały kaftan nie trzymał tak mocno jak ja, dlatego w pewnym momencie poczułem szarpnięcie i w moim ręku pozostał kawałek materiału, zaś jego właściciel zniknął pomiędzy drzewami, gdzie wszelka pogoń byłaby bezcelowa. Przy czym krzyczał ze wszystkich sił:

— Hajdę sa-usz kulibeden, uszabuk, czubuk — uciekajcie z chaty prędko, prędko!

— Jaki z ciebie naiwniak, sihdi! — gniewał się Halef. — Masz łobuza w garści, a potem go puszczasz! Gdybym to ja zrobił, to...

— Cisza! — przerwałem mu. — Nie mamy teraz czasu na wymówki. Musimy pośpieszyć do chaty, gdyż jego ostrzeżenie potwierdza, że tam są nasi wrogowie.

Wtem z góry rozległo się pytanie:

— Niczün, neje — dlaczego? Przed kim?

— Jabanczylar, ecznebiler! Kaczyn, koszyn, syczyn — przed tymi obcymi! I to prędko! — odpowiedział im głos czmychającego.

Staraliśmy się przyspieszyć kroku, ale wyboista droga nie bardzo nam na to pozwalała. Zrobiliśmy zaledwie parę ruchów, kiedy na górze usłyszeliśmy hałas: zobaczyliśmy strzelający w niebo płomień, a potem znów zapadła cisza.

— To raca! — uznał Halef, sapiąc za moimi plecami. — Jeszcze się pali.

Spoza drzew widzieliśmy teraz płomień, a kiedy wyszliśmy na polanę, ujrzeliśmy przed sobą chatę stojącą w ogniu.

— O tam! Widzicie ich? Strzelajcie!

Znajdowaliśmy się w blasku płomieni i stanowiliśmy dogodny cel.

— Z powrotem! — ostrzegłem i w tejże chwili uskokiem za drzewo. Moi towarzysze zrobili w ostatnim momencie to samo, dzięki czemu z oddanych w naszym kierunku trzech strzałów żaden nie trafił. Sam byłem również przygotowany do strzału. Błysk wystrzałów zdradził miejsce pobytu hultajów, dlatego w tej samej co oni sekundzie pociągnąłem za spust trafiając, bo ktoś zakrzyknął:

— Ej falaket, bre ha! Jaralannyszim! — pomocy! Ranili mnie!

— Naprzód! Na nich! — wołał dzielny, mały Hadzi Halef Omar, wyskakując zza drzewa.

— Zatrzymaj się! — zawołałem, chwytając go za ramię. — Mogą mieć dwururki!

— Niech te dranie mają i po sto luf, to i tak ich zniszczę! Wyrwał się, obrócił strzelbę i skoczył przez jasno oświetlony plac.

Nie pozostało nam zatem nic innego, jak podążyć za nim. Było to niebezpieczne, ale na szczęście przeciwnicy nie mieli dwururek, a na ponowne załadowanie zbiegom nie starczyło czasu. Dotarliśmy więc cali do skały, skąd padły strzały, ale był to nasz jedyny sukces osiągnięty nieprzemyślanym atakiem, bowiem nikogo już tam nie było.

— Gdzie oni są, sihdi? — spytał Halef. — Domyślasz się?

— Gdzie są, tego nie wiem, ale wiem dobrze, jacy oni są.

— Można wiedzieć jacy są?

— Mądrzejsi niż my. Przede wszystkim są mądrzejsi od ciebie.

— Chcesz mnie znów strofować.

— Zasłużyłeś na to. Z pewnością byśmy ich złapali, gdybyś się nie wyrwał jak Filip z konopi.

— W jaki sposób?

— Gdybyśmy pod osłoną drzew skradali się wokół polany, zaskoczylibyśmy zbiegów.

— Też by uciekli.

— Nie wiadomo. Oczywiście, że tych czterech uniknęło otwartego ataku, ale skryte podejście z pewnością przyniosłoby efekt, szczególnie wtedy, gdyby jeden z was pozostał na miejscu i oddał kilka strzałów w powietrze. Myśleliby wtedy, że jeszcze wszyscy tu jesteśmy.

— Uważasz, że teraz ich już nie złapiemy?

— Są jeszcze w pobliżu, ale szukaj ich w takich ciemnościach! Ogień rzuca światło tylko na polanę. A nawet gdybyśmy wiedzieli, gdzie oni tkwią, byłibyśmy zmuszeni zostawić ich w spokoju. Usłyszeli by, jak ich podchodzimy i możesz sobie wyobrazić, co wtedy by nastąpiło.

— Owszem. Poczęstowaliby nas kulkami, a taka kulka potrafi niekiedy położyć kres młodości, ale co dalej?

— Nadstawmy uszu!

Tę krótką wymianę myśli prowadziliśmy oczywiście po cichu. Należało zakładać, że czwórka ludzi znajduje się niedaleko od nas i nie powinniśmy ich zwabić nieostrożną rozmową. Przystanęliśmy więc w ciemnościach.

Nasłuchiwaaliśmy małą chwilę, w czym przeszkadzało nam trzaskanie płomieni. Ale kiedy ucho już do tego przywykło, usłyszałem stosunkowo wyraźnie głośny szelest. Słyszał go także Osko, bo spytał mnie:.

— Słyszysz efendi, jak oni przedzierają się przez zarośla?

— Sądząc po odgłosach, jest to niecałe sto metrów od nas, a ponieważ przypuszczam, że nie ma tam krzewów, a więc krąg, który tworzą drzewa wokół góry, musi w tym miejscu być niezbyt gęsty. Oni o tym wiedzieli i dlatego tamtędy uciekają.

— Skądżeby to wiedzieli? Oni też są przybyszami!

— Manach el Barsza bywał tutaj często, a Mübarek jest przecież także z nimi.

Podszedłem do chaty i zerwałem z niej płonąca głównię. Ponieważ drewno miało w sobie bardzo dużo żywicy, płonęło jak pochodnia. Z tym oświetleniem udałem się w kierunku, jaki przypuszczalnie obrali zbiegowie. Moi trzej towarzysze przyłączyli się do mnie, trzymając strzelby gotowe do strzału.

Wszelako łoskot ognia wprowadził mnie w błąd. Teren porośnięty drzewami nie był tak wielki, jak myślałem, bowiem już wkrótce dotarliśmy do zarośli i zobaczyliśmy także miejsce, w którym zbiegowie utorowali sobie drogę. Weszliśmy na nią, ale w tym samym momencie, w którym zgasła moja pochodnia, znaleźliśmy się na wolnej przestrzeni.

Usłyszeliśmy wówczas rzenie konia i zaraz potem nocną ciszę przerwał tętent.

— Allah smarladyk, chowardalar — żegnajcie psubraty! — zawołał ktoś do nas. — O bir gün janadszaksynys czehennede — jutro będziecie się smażyć w piekle.

Powiedziano to bardzo wyraźnie. Gdybym nie zdawał sobie sprawy z tego, że oni na nas czyhają, to sama ta groźba by mnie o tym przekonała. Zbyt mądrzy to ci ludzie nie byli.

Małego Halefa bardzo rozzłościła ta obelga. Przyłożył więc do ust obie dłonie i wrzasnął ze wszystkich sił w nocną ciemność:

— Szejtana gidin — jedźcie do diabła! — Gniew jego rozgorzał do tego stopnia, że wykrzykiwał jeszcze: — A chyrsyler, hajdudlar, katyllar, kondakszilar, ipden kasykdan kurtulmuszlar—zbóje,

mordercy, podpalacze, hycle, obwiesie!

W odpowiedzi rozległ się tylko drwiący śmiech. Halef pozbawiony z wysiłku prawie tchu spytał:

— Lepiej nie mogłem, co sihdi? Chyba wystarczy?

— To ludzie niewykształceni. Nie wiedzą, jak się zachowywać. Nie mają zielonego pojęcia o zasadach uprzejmości i o regułach dobrego obyczaju. Nawet do wroga należy się odnosić uprzejmie i zwyciężyć go pięknie brzmiącymi grzecznościami.

— Owszem. Tego właśnie dowiodłeś, miły Halefie. Epitety, jakie za nimi rzucałeś, były wspaniałe.

— To nie ja, lecz mój gniew. Ja byłbym uprzejmy. A teraz uciekli. I co dalej?

— Na razie nic. Znaleźliśmy się w tym samym miejscu, co przed przybyciem do Ostromczy. Wrogów mamy przed sobą. Wolnych, wzmocnionych nawet o jeszcze jednego człowieka. Goniłwa zacznie się od nowa, i kto wie, czy nadarzą się jeszcze tak dogodne okoliczności, jakie mieliśmy tutaj.

— Masz rację, sihdi! Tego kodzę baszi należałoby powiesić! — On nie tylko wypuścił więźniów, ale oddał im nawet konie.

— Tak myślisz?

— Oczywiście! Słyszałeś przecież, że mieli konie, które były dla nich przygotowane.

— Sędzia będzie temu przeczył.

— Kłamstwa mu nie pomogą. Oderwałem mu kawał kaftana i trzymam go za pasem.

— Lecz co chcesz z nim zrobić? Nie masz przecież nad nim żadnej władzy?

— Niestety.

— A więc biorę sprawę w swoje ręce.

— Halef! Znowu zamierzasz się spieszyć!

— Nie martw się, sihdi! Nie będę działał pochopnie, lecz ze spokojem i opanowaniem. Może zajrzemy teraz do chaty?

— Dobrze. Może jest tam jeszcze coś do uratowania.

Nie sprawiało nam trudności odnalezienie drogi powrotnej, którą zdołaliśmy wcześniej poznać. Domostwo Mübareka musiało zawierać wiele łatwopalnych materiałów, gdyż płomień strzelał wysoko w górę. W tym czasie zdążyli się zjawić ludzie, których zwabił widoczny z daleka pożar. Kiedy wyszliśmy spod drzew, zbliżał się z drugiej strony, tam gdzie w las wrzynała się droga, sam kodża baszi. Na nasz widok ojciec miasta Ostromczy podniósł rękę w górę i wskazując na nas zawołał:

— Łapcie ich! Trzymajcie! To podpalacze!

Taka bezczelność bardziej mnie zdziwiła niż rozgniewała. Człowiek ten posiadał wprost zaskakujący bezwstyd. Zgromadzeni, którzy widzieli, jak go dziś zdemaskowałem, wcale się nie kwapili, aby wykonać jego rozkaz.

— Słyszeliście? — wrzeszczał na poddanych. — Macie ująć tych podpalaczy! — potwierdził kodża baszi.

Wtedy zdarzyło się coś, co trudno nam było przewidzieć. Mały Halef podszedł do niego i zapytał:

— Bis ne jis sewgilim — kim my jesteśmy, mój kochany?

— Kondakszi sinis — jesteście podpalaczami — odrzekł.

— Mylisz się. Jesteśmy bowiem zupełnie kimś innym. Garbarzami, a by ci to unaocznic, wygarbujemy ci co nieco skórę, lecz nie całą, tylko tę część, której odpornością będziesz się naprawdę cieszył, ponieważ jest ci ona niezbędna do siedzenia. — Osko! Omar! Zbliżcie się!

Ci dwaj nie kazali sobie tego dwa razy powtarzać. Rzucili wprawdzie najpierw pytające

spojrzenia na mnie, aby sprawdzić, jak zareaguję na zamiary bojowego Halefa. Ponieważ jednak nie mówiłem nic, ani za, ani przeciw, lecz zachowywałem się neutralnie, złapali starego trzęsigłówkę i położyli go na ziemi. Ten zorientowawszy się na co się zanosi, podniósł przeraźliwy krzyk.

— Allah! Allah! — wrzeszczał. — Co chcecie zrobić? Macie czelność targnąć się na religijnego i świeckiego zwierzchnika? Allah was zniweczy, a padyszach wtrąci do lochów. Zetną wam głowy, a ciała wasze zostaną rozwieszane na bramach miast i wiosek.

— Zamilcz! — rozkazał mu Halef. — Prorok polecił bowiem swoim wyznawcom, aby cierpliwie znosili każde zrządzenie losu, co przecież zapisano w Księdze Żywota. Wczoraj wyczytałem w niej, że zostaniesz wychłostany, a ponieważ jestem wiernym wyznawcą Proroka, dlatego postaram się, aby wypełniło się owo piękne kismet. Połóżcie go na brzuchu, jeśli go w ogóle ma, i przytrzymajcie!

Osko i Omar posłuchali wezwania. Wprawdzie kodża baszi użył wszystkich swych sił, aby oprzeć się wyrokowi, lecz owi dwaj byli od niego znacznie silniejsi, więc jego opór był równie mało skuteczny, jak i trwający w dalszym ciągu krzyk.

Szczerze wyznaję, że wcale mi się to wszystko nie podobało. Sprawiać komuś baty, to nic estetycznego. Ponadto byliśmy tu obcymi ludźmi i nie mogliśmy wiedzieć, jak zachowa się w obliczu tych wydarzeń miejscowa ludność. Ludzi zebrało się bowiem dużo i wciąż jeszcze przybywali. Lecz ów niegodny prominent zachował się wobec nas bardzo wrogo. Postępował niezgodnie z prawem, a oskarżenie nas o to, że jesteśmy podpalaczami, było tak bezczelne, że jakaś pamiątka po nas nie mogła mu zaszkodzić. Być może baty poskutkują na tyle, iż w przyszłości będzie lepiej interpretował swoje paragrafy.

Co się tyczy ludzi tłoczących się ciekawie i tworzących krąg wokół nas, to ich się nie obawiałem. Sędzia nie miał prawdopodobnie przyjaciela, który zechciałby się za niego poświęcić, dlatego znalazł się w odpowiednio wymuszonej pozycji. Osko trzymał go za ramiona, Omar natomiast klęczał mu na nogach. Lecz kiedy mały Halef dobywał zza pasa bicz, dał się słyszeć donośny głos:

— Czy pozwolicie na to, aby bito naszego naczelnika? Brońcie kodżę baszi!

Ze strony kilku kompanów przeciskających się w kierunku mówiącego rozległ się groźny pomruk. Przesunęli się jeszcze bliżej. Podszedłem z wolna do owej gromady, oparłem niedźwiedziówkę kolbą o ziemię, położyłem dłonie na wylotach luf i patrzałem im w twarze bez słowa. Zrozumieli, o co chodzi i odstępili od delikwenta.

— Czok eji, czok doghru, wurun onu, wurun onu — Słusznie! Słusznie! Należy mu się! — wołało wiele głosów nastawionych do nas przyjaźnie.

Halef skinął nader łaskawie, w stronę, skąd dobiegały te głosy i rozpoczął swoje dobroczynne dzieło. Oddawał mu się ze wzruszającą gorliwością. Kiedy zaś wkładał znów bat za pas, wygłosił pod adresem ukaranego następującą dobrą radę:

— A teraz proszę cię, abyś w najbliższe dni nie siadał na niczym twardym. Może to bowiem zaszkodzić blaskowi twoich oczu, piękności oblicza, regularności rysów i dostojności twojej mowy. Nie wolno ci zniweczyć efektu naszego szlachetnego czynu, a potem, od twojej obecnej młodości aż po późną starość, będziesz błogosławił obcym przybyszom, których pojawienie się okazało się dla ciebie aż na tyle łaskawe. Wierzmy, że co roku będziesz uroczyście świętował rocznicę dzisiejszego dnia. My zaś w ten sam dzień będziemy cię stale wspominali ze szczególną sympatią. Powstań i obdarz mnie dziękczynnym pocałunkiem, który mi się słusznie należy.

Głośny śmiech rozległ się po tej mowie wygłoszonej z wielką powagą.

Wypuszczony z rąk Osko i Omara, kodża baszi powoli wstawał, kładąc obie dłonie na tę część ciała, którą bliżej określił Halef. Kiedy Mały zbliżył się ku niemu, wrzasnął:

— Ty psie! Wiesz, na coś się naraził? Znieważyłś ciało naczelnika, dlatego zarówno ciebie jak i

twoich kompanów wsadzę do lochu!

— Nie denerwuj się! — przerwał mu Mały. — Jeśli dwadzieścia cięgów, jakie dostałeś, nazywasz znieważeniem, to natychmiast ten błąd sprostujemy. Połóżcie go jeszcze raz!

— Nie! Nie! — krzyczał delikwent. — Już sobie idę! Już odchodzę! Pragnął się szybko oddalić, ale wtedy ująłem go za ramię:

— Zostań, kodża baszi! Muszę zamienić z tobą słowo!

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia, absolutnie nie! — wołał, podczas gdy ja przyciągałem go na poprzednie miejsce.

— Nie chcę o was nic więcej wiedzieć! Mam was dosyć!

— Tak myślę, ale ja od ciebie chcę się czegoś dowiedzieć i dlatego jeszcze przez moment zostaniesz. Zabierz te ręce z tyłu! Nie wypada trzymać je w takim miejscu, gdy siu! rozmawia z efendim.

Usiłował wykonać moje polecenie, ale przychodziło mu to z wielkim trudem i na przemian, raz prawą, to znów lewą ręką sięgał do tyłu.

— Nazwałeś nas podpalaczami? Co? — zapytałem poważnie. Pytanie to nie było staremu na rękę. Jeśli odpowie twierdząco, to może na siebie łatwo ściągnąć ponowne cięgi. A jeśli zaprzeczy, wtedy obwołają go kłamcą. Podrapał się więc lewą ręką po głowie, trzymając prawą z tyłu i ostrożnie rzekł:

— Tak myślałem.

— A dlaczego tak myślałeś? Kodża baszi musi umieć uzasadnić każdą swoją myśl.

— Dlatego, że byliście tutaj przed nami. Widzieliśmy pożar i pospieszyliśmy do niego, a tutaj zastaliśmy także was. Czy nie jest to powód do podejrzeń?

— Nie. Gdyż mogliśmy, podobnie jak wy, przybyć tutaj widząc, że się pali. Ale pomyśl dobrze! Czy naprawdę byliśmy tu przed tobą?

— Oczywiście! Widzieliście przecież, jak przybyłem.

— Myślę jednak, że nas wyprzedziłeś.

— Niemożliwe!

— A jednak! Widzieliśmy, jak stąd odchodziłeś i poznaliśmy ciebie.

— Mylisz się, efendi. Byłem w domu i spałem. Zbudziły mnie jakieś głośnie krzyki. Podniosłem się, spojrzałem przez okno, zobaczyłem ogień na górze i przybiegłem do pożaru, bo jest to obowiązek naczelnika.

— A czy jako naczelnik jesteś także zobowiązany do ostrzegania uciekających przestępców?

— Efendi, nie rozumiem ciebie.

— Nie kłam! Gdzie są bowiem ci czterej więźniowie, których twej opiece powierzono?

— Oczywiście, że w więzieniu.

— Powiesz może jeszcze, że pod dobrą strażą?

— I to podwójną. Jeden policjant stoi przed drzwiami, a drugi przed domem.

— A więc co ten tu szuka?

Człowiek, który przedtem ujął się za kodżą baszi, stał w pobliżu. Poznałem w nim policjanta, któremu powierzono strzeżenie więźniów i teraz wyciągnąłem go z gromady gapiów.

Kodża baszi udawał zagniewanego.

— Dlaczego tu stoisz? — krzyknął na saptije. — Wracaj natychmiast na swój posterunek!

— Zostaw go! — powiedziałem. — Tam nie ma już kogo pilnować. Więźniowie zostali uwolnieni.

— Uwolnieni? — udawał przerażonego.

— Nie udawaj! Wiesz o tym lepiej niż ja. Sam ich wypuściłeś i dostałeś za to znaczną sumę od Mübareka.

Sędzia po raz pierwszy miał teraz obie ręce przed sobą i załamując je krzyczał:

— Co? O co ty mnie posądzasz? Kim jesteś ty, który zdobywasz się na odwagę piętnowania kodzy baszi mianem przestępcy? Ja miałbym dostać pieniądze? Zamknę cię do więzienia i potraktuję z całą surowością prawa... odczep się, puszczaj!

Ostatnie słowa odnosiły się do Halefa, który złapał go za ramię i unosząc w górę bicz, pytał z groźbą w głosie:

— Czy mam ci wygarbować jeszcze inne części ciała? Czy wciąż jeszcze nie wiesz, że z nami tak się nie postępuje? Powiesz tylko jeszcze jedno słowo, którego nie chcą słyszeć moje uszy, a mój bat zasypie cię gradem ciosów.

Zwróciłem się teraz do ludzi i opowiedziałem im to, co słyszałem od Nebatji, nie wymieniając jednak jej nazwiska. Dodałem jeszcze, że spotkaliśmy też kodzę baszi, który ostrzegł przestępców.

W tym momencie wystąpił z tłumu człowiek, w którym rozpoznałem członka sędziowskiej ławy i przemówił:

— Ze zdumieniem słucham tego, co tu opowiadasz, efendi. Zawdzięczamy tobie wiele, bo zdemaskowałeś największego przestępcę, który kiedykolwiek był tutaj. Jeśli uwięzieni faktycznie zbiegli, ów domniemany Mübarek i jego kompani, wówczas tego, który im w tym pomógł, trzeba jak najsurowiej ukarać. Przyglądałem się dziś tobie i słuchałem tego, co mówisz. Uważam, że nie mówisz nic, czego wcześniej nie przemyślałeś. Musisz mieć zatem szczególne powody, aby oskarżać kodzę baszi. Ponieważ jestem prokuratorem, a więc w hierarchii drugą osobą po nim, jestem zobowiązany zająć jego miejsce, jeśli on stał się niegodny pełnienia swego urzędu, a ty powinienesz teraz zwracać się do mnie.

Człowiek ten zdawał się dobrze myśleć, mimo że nie bardzo wierzyłem w jego stanowczość. Nie namyślając się długo, powiedziałem:

— Cieszę się, że widzę w tobie człowieka, któremu leży na sercu dobro obywateli, i mam nadzieję, że będziesz działał odważnie i obiektywnie.

— Będę tak postępował, ale ty musisz udowodnić prawdziwość twego oskarżenia.

— Oczywiście!

— Powiesz mi zatem, skąd wiesz, że kodza baszi był tu ze zbiegami na górze i że od Mübareka dostał pieniądze?

— Nie. Tego nie powiem.

— Dlaczego nie powiesz?

— Nie chcę narazić na szwank osoby, która to wszystko widziała i słyszała.

— Nic jej nie grozi.

— Pozwól, że będę miał co do tego wątpliwości. Ty sam jesteś dzielnym człowiekiem, ale nie wszyscy urzędnicy są tacy jak ty. Znam was dostatecznie dobrze. Po moim wyjeździe, ten kochany kodza baszi będzie się rządził według własnego widzimisie, zaś osobie, od której się tego wszystkiego dowiedziałem, dopiero by się dostało. Dlatego będzie lepiej, jeżeli nie wymienię jej nazwiska.

— Ale wtedy nie udowodnisz tego, co powiedziałeś.

— A jednak! Pieniądze, które dostał kodza baszi, ma on albo przy sobie, albo też w domu. Mogę także łatwo udowodnić, że był on tu na górze, i że wyrwał mi się. bowiem w moim ręku pozostał strzep jego kaftana.

— To nieprawda! — zawołał obwiniony. — Spójrz tylko! Czy tu coś brakuje?

I wskazał obiema rękami miejsce, w którym go uprzednio złapałem. Kaftan był nie naruszony.

— Widzisz, że się mylisz? — uznał prokurator.

— Chyba żartujesz — odparłem ze śmiechem. — Patrząc na wyraz twojej twarzy, zorientowałem się, że doskonale widziałeś, czym się kodża baszi zdradził.

— Zdradził się?

— Owszem. Chce być naczelnikiem Ostromczy, a popełnia głupstwa początkującego przestępcy. Czy widziałeś miejsce, które wskazał na kaftanie?

— Oczywiście! Z przodu, górną, lewą stronę.

— A czy ja wam może mówiłem, w którym miejscu mu ten strzęp wyrwałem.

— Nie, efendi.

— Otóż właśnie, w miejscu, które wskazał sędzia. Skąd więc znał to miejsce?

Przedstawiciel prawa patrzył na mnie z niedowierzaniem i zapytał:

— Efendi! Czyżbyś był inspektorem policji?

— Niby dlaczego?

— Gdyż tylko kwalifikowany zawodowiec może myśleć tak przenikliwie.

— Mylisz się. Nie mieszkam w kraju padyszacha, lecz w Almanii, której obywatele tak ściśle przestrzegają prawa, że tam każde dziecko spostrzegłoby natychmiast nierozważne postępowanie kodży baszi i zrozumiałoby, o co chodzi.

— A więc Allah obdarzył wasze okolice większym rozumem niż nasze?

— Ale chyba widzisz, że mam rację?

— Tak. Ponieważ kodża baszi wyraźnie wskazał na to miejsce, musiał wiedzieć, że kaftan w tym właśnie miejscu został naruszony. Co na to powiesz, kodża baszi?

— Nic nie powiem — mruknął zapytany. — Duma mi nie pozwala, abym miał dłużej rozmawiać z takim człowiekiem jak ten Alman.

— Twoja postawa wcale jednak nie świadczy o dumie. Co tam z tyłu ciągle jeszcze szukasz? — śmiałem się.

— Zamilcz! — krzyknął na mnie gniewnie. — Spotka cię wielka przykrość i jeszcze po wielu latach będziesz pamiętał o następstwach tej potwarzy. Czyż nie widzisz, że mój kaftan nie jest porwany?

— Oczywiście, że widzę. Widzę jednak także, że jest to inny kaftan. Ten, który miałeś dziś na sobie, a więc, który nosiłeś także przedtem, był starszy od tego.

— Mam tylko ten jeden jedyny kaftan.

— Chciałbym w to uwierzyć.

— Owszem. Kodża baszi ma tylko ten jeden kaftan — wtrącił się policjant.

— Słuchaj! Wolno ci mówić tylko wtedy, gdy będziesz pytany — pouczyłem go. I zwracając się do prokuratora, ciągnąłem dalej:

— Czy nie wiesz przypadkiem, ile kaftanów ma kodża baszi?

— Nie wiem, efendi. Kto troszczyłby się o odzież drugiego człowieka?

— Ale wiesz chyba, dokąd zaprowadził konie tych trzech przestępców, które mu zostawiłem?

— Do swojej stajni.

— Czy on także ma konie?

— Cztery. Trzyma je zazwyczaj w okólniku, aby zażywały powietrza.

— Jakiej są maści?

— Uwielbia czern, więc i konie ma karę. Czyż nie tak, kodża baszi?

— Co tych przybłądów obchodzą moje konie!

— Obchodzą i to bardzo, o czym chyba wiesz — wtrąciłem. — Dopomogłeś zbiegom końmi, a ponieważ pragną oni nas zmylić, dlatego potrzebne im były konie innej maści, które ty im dałeś. Dla ciebie byłoby bardzo dobrze, gdybyśmy w stajni zastali wszystkie twoje konie. Tutaj nie ma co ratować. Chata spłonęła do szczętu i za chwilę będzie ciemno. Mübarek był na tyle mądry, że podpalił ją, zanim się stąd oddalił. Inaczej znaleźlibyśmy w niej z pewnością wiele dowodów jego niecznych czynów. Miał nawet w zapasie proch, by łatwo spłonęła, lub by ją wysadzić w powietrze. Kodża baszi zwariował twierdząc, że to myśmy ją podpalili. Właśnie nam zależało na tym, aby ją zastać w nie naruszonym stanie. Pójdźmy teraz do mieszkania sędziego, aby was przekonać, że więźniowie faktycznie zbiegli.

Kiedy szykowaliśmy się do odejścia, zobaczyłem jak Hadzi raptownie się oddalił i zaraz potem rozległ się z drogi jego ostrzegawczy głos:

— Stój! Zatrzymaj się!

— Odczep się! — wołał ktoś inny. — Nie mam z tobą nic wspólnego!

— Ja też nie, ale właśnie dlatego cię złapię!

— No, no!

— A jeśli nie posłuchasz, to mam bicz, z którym i ty jako policjant możesz się zaprzyjaźnić, podobnie jak to było z twoim szefem!

Ach tak! Więc policjant chciał się pośpieszyć, aby przed nami dotrzeć do mieszkania kodży baszi, przestrzec jego rodzinę i przygotować ją na nasze pytania. Podobnie jak szefa, wzięliśmy i jego do środka, pomiędzy siebie.

I po raz drugi wyruszył w dół osobliwy pochód. Kilku mężczyzn niosło pochodnie, oświetlając drogę. Nikt z mieszkańców miasta nie spał, a kiedy weszliśmy na dziedziniec, było na nim prawie tyle ludzi co wieczorem.

TURECKI PROKURATOR

Więzienie było oczywiście puste. Konie zbiegów stały w starej walącej się stajni, natomiast karych koni kodzy baszi nie było. Parobcy uważali, że zniknęły one w tak samo niezauważalny sposób jak przestępcy.

— A teraz zobaczmy, czy znajdziemy pieniądze i stary kaftan należący do kodzy baszi — powiedziałem do prokuratora.

— Gdzie chcesz tego szukać?

— U jego rodziny.

— Rodzina będzie wszystkiemu zaprzeczać.

— Zobaczymy. Wszystko zależy od tonu, jakim się mówi. Wejdz ze mną!

Weszliśmy do wnętrza domu, na co dotąd nikomu nie pozwalaliśmy, a przede wszystkim właścicielowi. Prokurator znał jego rozkład. Poruszał się w ciemności i pchnął jakieś drzwi prowadzące do niedużej izby, w której stał niski stół i kilka drewnianych krzeseł. Wzdłuż jednej ze ścian leżała długa poducha dla osób, które lubiły siadać na wschodni sposób. Na stole stała gliniana lampa. Obok siedziała stara kobieta, która szybko zasłoniła sobie twarz.

— To jego żona — powiedział mój przewodnik.

Podszedłem bliżej, z hukiem walnąłem kolbą niedźwiedziówki o posadzkę i zapytałem szorstko:

— Gdzie jest stary kaftan twego męża?

Jeśli nawet zamierzała odpowiadać wymijająco, to mój ton zmieszał ją całkowicie, gdyż wskazując na drugie drzwi odparła:

— W skrzyni.

— Przynieś go!

Kobieta wyszła. Usłyszałem odgłos zamykanej pokrywy i po chwili wróciła z kaftanem. Wziąłem go od niej i rozwinąłem. Brakowało w nim lewej części na wysokości klatki piersiowej, a kiedy wyjąłem oderwany strzep i przyłożyłem go w brakujące miejsce, idealnie do niego pasował. Kobieta obserwowała nasze ruchy z lękiem w oczach. Była z pewnością we wszystko wtajemniczona.

— A teraz pieniądze! — rozkazałem tym samym szorstkim tonem.

— Jakie pieniądze? — spytała, ociągając się.

— Te, które twój mąż dostał od Mübareka. Gdzie one? Szybciej! — odpowiedział prokurator.

Starał się przy tym naśladować mój ton. Przeraziliśmy ją do tego stopnia, że drząc wyznała:

— Także w skrzyni.

— Dawaj je tutaj!

Znów poszła do ciemnej izby, ale tym razem trwało dłużej, zanim wróciła. Pieniądze zostały schowane głęboko i owinięte w stary, podarty turban. Prokurator przeliczył je. Suma była dokładnie taka, jaką podała mi Nebatja.

— Co z nimi zrobić? — spytał urzędnik.

— To ty musisz wiedzieć — odparłem.

— Zarekwiruję je.

— Oczywiście. Musisz je przesłać do sądu okręgowego.

— Tak zrobię. I to nie później niż zaraz rano. Idziemy?

— Jeszcze nie. Muszę bowiem rozmówić się z tą kobietą, którą czeka zły los, jeśli mi nie powie

prawdy. Chłosta dla kobiety w jej wieku to groźba dla życia.

Padła na kolana i wzniosła w górę ręce wołając:

— Tylko nie chłosta, tylko nie chłosta, wielki, sławny, łaskawy efendi! Widzę przecież, że wszystko zostało zdradzone i nie będę mówiła nieprawdy.

— A zatem wstań! Klękać wolno tylko przed Allahem. Prawdą jest, że twój pan pozwolił tym czterem ludziom zbiec?

— Tak było.

— I dał im na dodatek konie?

— Tak. Wszystkie cztery.

— I dokąd się udali?

— Do... do... Radowicza!

Ponieważ zaczęła się jąkać, przypuszczałem, że tylko częściowo mówi prawdę, dlatego nalegałem:

— Mów wszystko! Dlaczego przemilczasz pozostałe miejscowości? Jeżeli nie powiesz całej prawdy, to będę jednak zmuszony do przyniesienia ławy i każę cię wychłostać na oczach twoich dziewczek.

— Już mówię, efendi. Udali się do Radowicza i stamtąd chcą dalej jechać do Żigancy.

— Może do Czuraka, który tam mieszka i jest rzeźnikiem?

— Tak. Do niego.

— A potem do koliby?

— Wiesz o niej, efendi?

— Odpowiadaj!

— Owszem. Chcą się tam udać.

— A potem dalej?

— Tego nie wiem.

— Czego tam chcą?

— Również nie wiem. Mój łaskawca nie mówi mi o takich rzeczach.

— Czy zawsze załatwiał z Mübarekiem jakieś sekretne sprawy?

— Nigdy się nie dowiedziałam, czym się zajmowali, ale łaskawca często chodził na górę, natomiast Mübarek przychodził do nas często nocą.

— Co poza tym jeszcze wiesz o tym, co się stało?

— Nic, efendi. Zupełnie nic. Powiedziałam ci wszystko to, co sama wiem.

— Wierzę, że mówisz prawdę, dlatego nie chcę cię dalej dręczyć. Ale być może słyszałaś już kiedyś nazwisko Aladzi?

— Nie, nie słyszałam.

— Efendi — wtrącił się prokurator — a o co chodzi?

— Znasz ich?

— Nie, ale słyszałem, jak o nich rozmawiano.

— A więc jest ich dwóch? Mów, co o nich słyszałeś?

— To największe zawalidrogi, dwaj bracia olbrzymy, których kule nigdy nie chybią, a nóż trafia zawsze w upatrzone miejsce. Ich czekany są straszną bronią. Rzucają je na odległość kuli, uderzając tak niezawodnie w kark przeciwnika i gruchocząc mu kręgi, jakby to sam szatan ciskał toporem. Nikt im także nie dorównał w posługiwaniu się procą.

— Gdzie mieszkają?

— Są wszędzie tam, gdzie węższą mord lub rabunek.

— Byli już kiedyś tutaj?

— W samej Ostromczy jeszcze nie, byli natomiast w okolicy. Dopiero co miano ich widzieć w rejonie Koczany.

— To niedaleko stąd. Myślę, że do tej miejscowości można dotrzeć konno mniej więcej w ciągu pięciu godzin.

— Zdaje mi się, że znasz dobrze naszą okolicę?

— Zaledwie trochę. Nie wiesz, skąd ci bracia pochodzą?

— Powiadają, że z Kalkandeli, z gór Szar Dagh, gdzie zamieszkują Skipetarzy.

— A dlaczego nazywają się Aladzi?

— Ponieważ dosiadają srokaczy, koni, które mają w sobie diabła, tak samo jak ich właściciele.

Ponoć urodzili się trzynastego dnia miesiąca muharram, to jest w dniu, w którym diabeł został wypędzony z nieba. Bracia podają koniom wraz z paszą codziennie jedną sentencję Koranu, dlatego konie te są szybkie jak błyskawica, nie można ich zranić, są odporne na wszelkie choroby i nigdy nie popełniają błędu.

— Mübarek wynajął owych Aladzi, aby mnie wysledzić i zabić.

— Skąd wiesz?

— Od osoby, która usłyszała wszystko w pobliżu chaty.

— I wierzysz w to?

— Oczywiście.

— Jest to prawdopodobne, gdyż w pobliżu widziano te dwa monstra. Miej się na baczności, efendi! Trzydziestu mężów takich jak ty nic nie poradzi przeciwko tym dwom Skipetarom. Jeśli cię dopadną, jesteś zgubiony. Dobrze ci życzę.

— Dziękuję ci za zainteresowanie, ale nie boję się, mam bowiem obrońcę, któremu w pełni mogę zaufać.

— Kto jest tym obrońcą?

— Hadzi Halef Omar, którego już widziałeś. Prokuratorowi wydłużyła się twarz, uniósł w górę brwi i zapytał:

— On? Ten pędrak!

— Przecież nie wiesz, co on potrafi.

— Istotnie. Doskonale posługuje się batem, ale co pomoże bicz przeciwko tak potężnym mocarzom!

— Uważasz, że trzydziestu takich jak ja nie sprosta dwom braciom Aladzi. A ja ci mówię, że pięćdziesięciu takich jak oni nie dorówna Hadzi Halefowi. Jestem pod jego skrzydłami i nie muszę się obawiać żadnego wroga.

— Jeśli tak myślisz, to ci oczywiście nie można pomóc i jesteś zgubiony.

— O nie! Musisz wiedzieć, że Hadzi zjada codziennie nie tylko jedną sentencję, ale całą surę Koranu, dlatego odbije się od niego nawet armatnia kula. Jest odporny na klucie, ciosy i kule. Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że połknął nóż, bagnet, proch i zapałki i wszystko to przyswoił sobie tak, jak gdyby rozkoszował się tłustym pilawem.

Patrzył mi w twarz poważnym, badawczym wzrokiem i po chwili namysłu powiedział:

— Kara ben Nemsy, ty chyba żartujesz?

— W takim samym stopniu co człowiek, który opowiadał, że koni Skipetarów nie można zranić.

— Ale w to co mówisz, nie można uwierzyć!

— Jak i w to co mówisz o koniach.

— Och! To jest coś całkiem innego! — Uważam, że jest to to samo.

— Mylisz się efendi. Sentencja Koranu na zwitku papieru nie jest dla konia groźna, bo z łatwością ją strawi, ale przełknąć nóż i bagnet! I do tego proch i zapalki! Takiego człowieka musiałoby rozerwać.

— Był przy tym mały huk, ale tylko wewnętrzny, i nawet tego by nie było, gdyby zjadł dwie sury zamiast jednej.

— Nie pojmuję tego, efendi, lecz Prorok zasiada w siódmym niebie i on potrafi wszystkiego dokonać. Będę się temu zadziwiającemu Hadzi przyglądał dokładniej niż dotąd.

— Zrób to! Jestem przekonany, że on nie przerazi się nawet stu takich drapichrustów.

— Czy mogę choć raz wystawić go na próbę?

— W jaki sposób?

— Będę się skradał za nim z pistoletem i spróbuję ukradkiem strzelić mu w głowę.

— Zrób to — odparłem z taką samą powagą, z jaką on mówił o swojej próbie.

— I uważasz, że Hadzi Halef nic nie spostrzeże?

— Oczywiście, że coś poczuje, tak zupesposnie skrycie bowiem nie da się tego załatwić. Jeśli kula odbije się od głowy, poczuje ją mimo to. O tym musisz pamiętać.

— Zapewne.

— A nadto obawiam się, że nie będzie to dla ciebie bezpieczne. Odbita kula najprawdopodobniej może cię zranić.

— To całkiem możliwe, efendi.

— A nawet, gdyby się to nie stało, wówczas z całą pewnością można oczekiwać, że gniewny Hadzi może ci wepchnąć nóż tam, gdzie tego najmniej oczekujesz.

— Dlaczego miałby się tak złościć? — pytał prokurator.

— Z powodu twojej niewiary. On bowiem w ogóle nie lubi, aby bez jego zgody dokonywać na nim takich prób.

— A zatem, lepiej odstąpię całkowicie od tego pomysłu, albo zapytam go przynajmniej o zgodę. Myślisz, że się zgodzi?

— Owszem, jeśli poprę twoje życzenie.

— Zrób to, proszę cię.

— Porozmawiam z nim. Teraz mamy jednak ważniejsze sprawy. Czy jesteś już przekonany o winie kodzy baszi?

— W zupełności.

— Oddaję go zatem w twoje ręce. Musisz się zająć także dwoma policjantami, którzy mu pomagali. Co się tyczy mnie, to nie chcę mieć już z tą sprawą nic wspólnego.

— Jak mam sobie bez ciebie poradzić, efendi?

— Sam to musisz wiedzieć, ponieważ jesteś müdde-i-umumi. W momencie, w którym padyszach powierzył ci pełnienie tego ważnego urzędu, ufał, że posiadasz niezbędne ku temu walory, i myślę, że nie zawiedziesz jego zaufania.

— O, nie! Zapewniam, że nie zawiodę. Będę surowym i sprawiedliwym sędzią. Czy mam aresztować także tę kobietę?

— Nie. Ona musiała być posłuszna. Kobieta nie posiada duszy i nie wejdzie do raju: przeto nie powinna być także karana za grzechy popełnione przez męża.

W uszach kobiety zabrzmiało to tak życzliwie, że ujęła frędzle od mego pasa i przycisnęła je do swego czarczafu. Ponieważ szybko się oddaliłem, uniknąłem jej dziękczynnych słów.

Prokurator podążał za mną, niosąc w ręku kaftan i pieniądze. Jestem przekonany, że od tej chwili uważał je za swoją własność. Możliwe, iż po rozstaniu się ze mną doszedł do mądrego stwierdzenia,

że mógłbym zabrać wszystko dla siebie.

Tymczasem na dworze czekano na nas. W tym czasie nadeszli także nasi bohaterowie, którzy wyruszyli pod rozkazami obu wieśniaków, by urządzić na zbiegów zasadzkę i wrócili z pustymi rękami.

Ibarek podszedł do mnie i ku mojemu cichemu zadowoleniu całkiem poważnie zapytał:

— Nie macie ich, efendi?

— Nie, jak się chyba zdołałeś zorientować.

— My też nie.

— No to nie musimy sobie przynajmniej nic wzajemnie zarzucać.

— Oczywiście, że nie. Wypełniliśmy swój obowiązek.

— A jak to wyglądało?

— Zwołaliśmy sąsiadów i poszliśmy tam, gdzie nas posłałeś.

— Ilu ludzi z tobą było?

— Było nas dwunastu.

— Wystarczyło. Dwunastu na czterech.

— Byliśmy uzbrojeni, przygotowani na kule i noże.

— Wiem, że Ostromcza słynie z dzielnych mieszkańców. Czy nie było nic widać albo słyszać?

— O tak! Niejedno.

— A co? Opowiedz!

— Widzieliśmy ogień i to nas cieszyło.

— Hm... Dlaczego?

— Bo myśleliśmy, że w chacie spaliliście złodziei.

— Niestety nie. Nie jestem aż tak gorliwy, a zresztą wcale ich tam nie było.

— Potem widzieliśmy ludzi z pochodnią w zaroślach.

— To byłem ja z moimi przyjaciółmi.

— Potem znów słyszeliśmy nawoływania.

— Rozpoznaliście głosy?

— Oczywiście. Najpierw wołał Mübarek do was na górę, a potem Hadzi Halef.

— A więc wiedziałeś, że to był Mübarek?

— Oczywiście. Wszyscy poznaliśmy jego głos.

— A więc powinniście zatrzymać go wraz z kompanami.

— Niestety. Byłoby to niezgodne z twoim rozkazem.

— Co? Jak?

— Rozkazałeś nam, byśmy zagrodzili im drogę i tak też zrobiliśmy, ale oni byli na tyle mądrzy, że nie jechali drogą, lecz ugorem, pomiędzy drogą a rzeką.

— A wy nie udaliście się tam?

— O nie. Czyżbyśmy mieli opuścić nasze posterunki? Człowiek dzielny stoi tam, gdzie go postawiono, nawet za cenę życia.

Ibarek powiedział to z dumą i spoglądał na mnie tak wyzywająco, jakby oczekiwał szczególnej pochwały. Prawdopodobnie w tym momencie nie miałem inteligentnego wyrazu twarzy, bowiem Halef trącił mnie w bok i szepnął:

— Zamknij usta, sihdi! Chcesz połknąć tego dzielnego człowieka?

Pewnie, że byłem zaskoczony ową naiwną argumentacją. Czy było w niej coś zaskakującego? Co zrobić z takimi ludźmi? Ganić ich? Nie. Może chwalić? Tym mniej. Na szczęście wybawił mnie z tej sytuacji prokurator, który się właśnie pojawił. Jego — jako urzędowego kierownika całej akcji —

jak najbardziej powinna interesować relacja odważnego wieśniaka, lecz on się jej nie przysłuchiwał, natomiast bezustannie przypatrywał się Hadziem. Teraz wcisnął się pomiędzy Halefa a mnie i rzekł po cichu:

— Teraz jest chyba najlepsza pora, efendi?

— Na co?

— Abyś poparł moją propozycję u Hadzi Halefa, jak mi to przyrzekałeś. A może nie chcesz dotrzymać słowa?

Miałem się z tego śmiać, czy złościć? Poczciwy prokurator bardziej się troszczył o to, czy Hadzi odporny jest na kule, aniżeli o przekazane mu do załatwienia przestępstwo.

— Zrobię to jutro, kiedy będziemy wyspani — wyjaśnił mu. — Teraz powinienesz czynić twoją powinność.

— Jakaż to?

— Tam stoi kodża baszi, a tu masz na ręku kaftan. Ci ludzie czekają, abyś mu udowodnił przestępstwo, a ty się jeszcze ociągasz. Nie wygląda na to, abyś chciał się zabrać do roboty.

— Mylisz się, efendi! Zaraz się przekonasz, z jaką powagą i stanowczością zajmę się tym znaczącym przypadkiem.

— Mam taką nadzieję i z ochotą będę się przysłuchiwał. Policjantom polecono, aby znów zapalili kilka pochodni. Dzięki

temu dziedziniec został oświetlony na tyle, że można było rozpoznać postacie.

Prokurator postąpił kilka kroków do przodu i przemówił:

— Wyznawcy Muhammada! Stoję tu na miejscu padyszacha, któremu ongiś Allah przyrzekł rajskie rozkosze. Pragnę wam rzec, że kodża baszi popełnił udowodnione przestępstwo. Znaleźliśmy kaftan, z którego część oderwał przybyły do nas efendi. Zgodnie z zasadami prawa będzie on musiał zapłacić za kaftan, ale chętnie to uczyni, bo jest bogaty, natomiast pieniądze z tego tytułu wpłyną do kasy sądu (oznaczało to tyle samo, jakby powiedział, że do jego kieszeni) ale tym samym udowodnił, że kodża baszi był na górze. Znaleźliśmy także pieniądze, które kodża baszi otrzymał za uwolnienie czterech łajdaków. Sprawdziliśmy również, że oddał im swoje cztery konie dla umożliwienia ucieczki. Nie ma więc już żadnej wątpliwości co do jego winy, a więc pytam się ciebie Kara ben Nemsu, ile chcesz za ten kaftan zapłacić?

— Allah akbar — wielki Boże! — zawołał obok mnie Halef.

Byłem nie mniej zdziwiony od niego. Oczekiwałem, że w następstwie udowodnienia winy kodży baszi zostanie on aresztowany. Zamiast tego usłyszałem, że mam zapłacić za nędzny kaftan. Odpowiedziałem głośno:

— Z radością słyszę o müdde-i-umumi, iż poczucie sprawiedliwości jest w tobie tak samo wielkie jak bystrość twego umysłu, dlatego pytam cię, kto właściwie podarł ten kaftan?

— Ty, efendi!

— O nie!

— Dziwię się tobie, Kara ben Nemsu! Przecież to udowodniono i wszyscy o tym wiemy.

— Bądź tak dobry i wysłuchaj mnie. Czy wolno zatrzymać człowieka znajdującego się na drodze przestępstwa?

— Oczywiście. Jest to nawet obowiązek każdego poddanego padyszacha.

— A więc nie można przecież mnie kara wys za to, że chciałem zatrzymać kodżę baszi!

— Za to nie można.

— I nic innego nie zrobiłem.

— Zaraz! Podarłeś na nim kaftan. .

— Wcale nie! Wezwałem go, aby stał i trzymał go za kaftan. Czy to okrycie zostałoby podarte, gdyby jego właściciel stał, jak tego żądałem?

— Z pewnością nie.

— A czy on stał?

— Nie. Nagle się wyrwał.

-- Kto zatem podarł kaftan?

Trwało chwilę, zanim odpowiedział:

— Na Allaha! Trudne pytanie. Może coś uzupełnię.

— To zbyteczne. Twoje poczucie sprawiedliwości wystarczy, aby na nie odpowiedzieć. Pytam ciebie: Czy ten strzęp został wyrwany z kaftana, czy też kaftan został oderwany od niego? Ja stałem spokojnie i trzymałem go, natomiast kodża baszi wyrwał się wraz z kaftanem.

Prokurator spojrział, zastanawiając się, ku ziemi i głośno powiedział:

— Słuchajcie mieszkańcy Ostromczy. Przekonajcie się, jak sprawiedliwi są wasi sędziowie. Rozstrzygam w imię prawa zawartego w Koranie, że kaftan został oderwany od strzępa. Czy jesteście tego samego zdania?

Odpowiedziało mu zwielokrotnione „tak”.

— A zatem odpowiedz mi, efendi, na jeszcze jedno pytanie. Miałeś zapłacić za kaftan, gdyż uważaliśmy, że to ty go podarłeś. Czy nie uważasz, że powinien za niego zapłacić ten, kto go podarł?

— Z całą pewnością! — odparłem zadowolony z takiego obrotu sprawy, gdyż przejrzałem jego zamiar. — Ale kto go podarł?

— Kodża baszi.

— Kto więc powinien za niego zapłacić?

— On sam.

— A dokąd trafią pieniądze?

— Do kasy sądu.

— Ile powinien zapłacić?

— Równowartość kaftana przed zniszczeniem.

— Prawidłowo. Sam go oceń. Na ile go szacujesz?

— Był stary i brudny. Nie dałbym za niego więcej niż piętnaście piastrów.

— To za mało, efendi!

— Nie był więcej wart.

— Co to jest piętnaście piastrów wniesionych do kasy padyszacha!

— Padyszach przyjmuje chętnie także małe kwoty.

— Masz w pełni rację, ale czy to się godzi, aby kodża baszi nosił brudny kaftan?

— Chyba nie.

— Oczywiście, że nie. Godność urzędu, jaki sprawuje, wymaga, aby nosił porządny, długi i w dodatku nowy kaftan. Ile jednak taki kosztuje?

— Widziałem coś takiego na bazarze w Stambule w cenie trzystu, ale także i pięciuset piastrów.

— Nie były to najdroższe kaftany. Kaftan za trzysta piastrów wystarczy dla biednego basz kiatiba, natomiast kodża baszi musi mieć kaftan co najmniej za pięćset piastrów. Nie uważasz?

— Zgadza się z tobą.

— Czy mam zatem kodżę baszi ocenić i karać zgodnie z jego stanowiskiem, czy też zrównując go z basz kiatibem?

— Postępuj zgodnie z jego pozycją.

— Tym samym udzielam mu surowej nagany za to, że nosząc tak brudny kaftan dowiódł, iż nie

ceni on swego urzędu i skazuję go odpowiednio dopiastowanej godności na zapłatę równowartości nowego kaftana w cenie pięciuset piastrów. Jeśli nie posiada on tyle gotówki, wtedy zajmę jego własność i spieniężoną kwotę przekażę do kasy. Ustaliłem to i zarządziłem na podstawie świętego Koranu będącego naszą regułą i naszym wskazaniem. A teraz należy kodzę baszi wraz z jego policjantami aresztować i zamknąć. Surowość prawa z pewnością go skruszy.

Kodża baszi skrzecząco protestował. Miałem już tego dosyć. Nie chciałem nic więcej słyszeć. Skinąłem na moich trzech towarzyszy i oddaliłem się. Dwaj dzielni wieśniacy, którzy tak szalenie odważnie wytrzymywali na posterunku, podążali za nami. Na zewnątrz, za bramą, czekała jakaś kobieta, która zbliżyła się, gdy tylko mnie zobaczyła. Była to Nebatja.

— Czekałam na ciebie, efendi. Bałam się.

— Dlaczego?

— Boję się zemsty sędziowskiej ławy. Czy zdradziłeś im, że to ja ci wszystko powiedziałam?

— Nie. Nawet słowem.

— Dziękuję ci! Mogę być zatem spokojna?

— Całkowicie. Będę starał się także w inny sposób, aby ulżyć twojej biedzie. Odwiedzę cię, gdy nastanie dzień.

— Będiesz efendi moim szacownym gościem, gdyż twoje pojawienie się było dla mnie jak wschód słońca. Niech Allah pozwoli ci spokojnie spać i pięknie śnić!

Poszła, ale pomyślałem wtedy sobie o czymś, co mi wpadło na myśl jeszcze na górze. Zawołałem ją z powrotem i zapytałem: —Znasz może roślinę zwaną hadad?

— Owszem. Bardzo dobrze. Ma ona kolce i gorzkie jagody w kształcie ziarenek pieprzu.

— Czy gdzieś tutaj rośnie?

— Nie tutaj, ale w okolicy Banji.

— Szkoda. Potrzebuję liści tej rośliny. — Możesz je mieć.

— Od kogo?

— Od aptekarza, któremu przyniosłam kolcowój.

— Na jakie choroby on go stosuje?

— Jako okład na wrzody. Wywar pomaga na chore uszy i szkorbut, przydaje blasku oczom i leczy spierzchnięte wargi.

— Dziękuję ci. Kupię te zioła.

— Czy mam ci te liście przynieść, efendi?

— Nie trzeba. Sam po nie pójde.

Roślina ta ma szczególne właściwości, ale nie byłem pewny, czy mogę ją zastosować.

W drodze powrotnej wieśniacy rozprawiali o domniemanych czynach, których by dokonali, gdyby czterej zbiegowie się na nich natknęli. Nie zwracałem uwagi na tę paplaninę. Po przybyciu do hanu udałem się wraz z Halefem zaraz na górę do naszej izby. W pojedynkę trudno by było zasnąć bez podsumowania bogactwa wrażeń minionego dnia i oczyszczenia zaprzątniętych umysłów.

— Jak długo tu zostaniemy, sihdi? — spytał Hadzi.

— Nie mam ochoty na pozostawanie w tej dziurze dłużej niż trzeba.

— Ja również, sihdi. Zbrzydli mi ci ludzie. Musimy jutro jak najszybciej podążyć za Barudem el Amasadem.

— Jutro? Masz na myśli dzisiaj, gdyż ranek jest już bliski, o czym nie pomyślałem. Musimy się wyspać. Odwiedzę jeszcze Nebatję i wyjeżdżamy.

— Jeśli ktoś nas nie zmusi do pozostania!

— Nie pozwolę się powstrzymać.

— Czy dobrze zrobiłem, że poczęstowałem sędziego batem?

— Hm... — mruknąłem.

— Czy może mieliśmy na jego zniewagi zareagować spokojniej?

— Nie. Co do tego przyznaję ci rację. Uczciwie na te baty zasłużył.

— Nie on jeden!

— Kogo masz na myśli?

— Prokuratora. Jeden wart drugiego. Łajdaki. Bardzo bym się cieszył, gdybyś mi pozwolił również jego poczęstować biczem!

— Drogi Halefie! Uwziąłeś się na ten bat, ale pomyśl o tym, że może on się obrócić przeciwko tobie.

— Sihdi! Czyż nie zostaliśmy stworzeni po to, aby stawić czoła zagrożeniom?

— Przyznaję, że dotąd dopisywało ci szczęście.

— I będzie mi dopisywać dalej.

— Również wtedy, kiedy nas już razem nie będzie? Zawsze udawało mi się wybawić ciebie z tarapatów, w które uwikłał cię twój bat. Później nie będzie to już możliwe.

— Nie chcę o tym wcale myśleć.

— A jednak musisz się z tą myślą codziennie oswajać. Kiedyś musi to przecież nastąpić. Ciebie wzywa twoja ojczyzna, a mnie moja, zaś obie leżą niestety tak daleko od siebie, że musimy się rozstać.

— Na zawsze?

— Najprawdopodobniej.

— A zatem nigdy więcej nie chcesz przyjechać do Arabistanu?

— Czym jest wola człowieka? Niczym wobec woli Boga!

— Będę więc błagał Allaha, aby ci nakazał wrócić. Co tam u siebie masz? Nic. Zupełnie nic. Ani pustyni, ani wielbłądów. Nie masz nawet daktyli ani nędznych oślich ogórków, którymi nawet szakal gardzi.

— Mam więcej niż ty. Mam rodziców i rodzeństwo.

— Ho, ho! Ja mam moją Hanneh, ozdobę wszystkich kobiet i dziewcząt. Czy znajdziesz dziewczynę u siebie, w kraju, dla którego stałeś się obcy? W Arabistanie możesz wybierać najpiękniejszą, oprócz mojej Hanneh. Może i twój kraj jest piękny, ale nie jest on jednak pustynią. Zastanów się: człowieka, który cię obrazi, nie wolno ci nawet wybatożyć, bo wniesie on skargę do kadiego, a ten cię zamknie do więzienia albo zapłacisz pięćdziesiąt piastrów grzywny. U siebie mogę nawet wychłostać kadiego, jeśli na to zasłuży. I co tam wszystko musisz jeść! Na Allaha!

— Co ty o tym wiesz.

— Niejedno sam mi powiedziałeś. Wiele też dowiedziałem się o twoim kraju w Stambule. Jada się u was ziemniaki z rybą, które spożywa jedynie człowiek pijany. Oprócz tego buraki i grzyby, których trucizna pożera wnętrzności. Potem ostrygi podobne do ślimaków, a kto będzie jadł ślimaka! Jecie podobno także raki, żywiące się martwymi ropuchami, i nawet nieczystości bekasów. Musi to być okropne życie! Jeździecie koleją w klatkach, w których nie można się wyprostować, a jeśli jeden spojrzy na drugiego, wtedy musi zdjąć z głowy kapelusz i w ten sposób ją znieważa. Jeżeli jeden mieszka u drugiego, płaci za to wysoki czynsz, zaś ten kto pilnie pracuje zgodnie z nakazem Allaha, aby wyżywić rodzinę, musi zapłacić podatek. Kiedy jakaś kobieta upuści chusteczkę, to wszyscy mężczyźni skaczą, by ją podnieść. Natomiast gdy mężczyzna chce zapalić fajkę, musi najpierw zapytać niewiastę o pozwolenie. Jeżeli wasi ludzie chcą wiedzieć, która godzina, wtedy spoglądają na kościelną wieżę, ale jeśli ksiądz żąda, byście żyli według nakazów Allaha, wtedy się go wzywa.

Gdy ktoś ma u was katar i kicha, co jest znakiem poprawy i ulgi, wtedy wołacie do niego „Na zdrowie!” Natomiast jeśli kaszle, bo ma suchoty, wówczas milczycie, mimo że są one o wiele groźniejsze od kataru. Wasi młodzieńcy wkładają na nos okulary ze szkła okiennego, a wasi mężczyźni zamiast studiować Koran, dzień i noc grają w karty. Jeśli ktoś chce się u was weselić, zanoszą swoją odzież i pościel do lombardu i skacze potem w tańcu jak wariat. Czy w takim kraju może być pięknie? Powiedz mi sihdi, czy naprawdę tęsknisz?

Mały, dzielny Hadzi nie miał dobrego wyobrażenia o życiu na Zachodzie. Ale co mu miałem odpowiedzieć? Jeżeli nawet przesadził i niektóre zjawiska rozumiał fałszywie, to przecież nie mogłem mu w całości nie przyznać racji.

— No i co na to powiesz? — powtórzył, kiedy nie odpowiadałem od razu.

— W tym co mówisz, w wielu sprawach nie masz racji. Z drugiej strony niejedno pasuje do wszystkich krajów zachodnich. Oświata wnosi ze sobą wiele rzeczy wcale niegodnych pochwały i...

— A więc dziękuję za wykształcenie, które nic dobrego nie przynosi. Moje wykształcenie polega na tym, że słucham Allaha, kocham mego pana i przyjaciela, a każdemu łotrowi pokazuję bat. Kiedy tylko docieram do miejsca, gdzie zaczyna się wykształcenie, zawracam.

— Nie będziesz mi więc dalej towarzyszył?

— Tobie? Hm... Owszem. Jeśli mógłbym z tobą zostać i mieć przy sobie Hanneh, wtedy będę ci towarzyszył, nie troszcząc się nigdy o nic innego. Jak długo musimy jeszcze jechać, aby tam dotrzeć?

— Jeżeli nas nic nie zatrzyma, potrzebujemy ponad tydzień, zanim dotrzemy do morza.

— A potem?

— Potem nastąpi rozstanie.

— Tak szybko, sihdi?

— Niestety! Ty popłyniesz statkiem do Egiptu, aby stamtąd udać się do plemienia Hanneh, ja natomiast udam się na północ, do kraju, który ci się tak bardzo nie podoba, który jednak pokochałbyś, gdybyś go poznał.

— Nie myślałem, że to ma nastąpić tak szybko, ale przypuszczam, że znajdzie się coś na pociechę.

— Co?

— To, że prędko stąd nie wyruszymy. Ci czterej przestępcy, którzy jadą przed nami, przysporzą nam jeszcze sporo zajęcia.

— Też tak myślę, tym bardziej, że dochodzą jeszcze bracia Aladzi.

— Srokacze? Czy słyszałeś o nich coś nowego? Opowiedziałem mu, co słyszałem od prokuratora i wspomniałem także, iż ten zabobonny człowiek uważa teraz Halefa za takiego, którego się kule nie mają.

— Sihdi — mruknął Hadzi — to może się okazać dla mnie groźne!

— Z pewnością nie!

— Oczywiście. Jeśli ten Turek wpakuje mi na próbę kulę do głowy?

— Nie zrobi tego, gdyż boi się twego noża.

— To prawda, sihdi. Zresztą nie będziemy już tutaj długo i będę się miał na baczności, ale cieszyłbym się, gdybyśmy go nabrali na taki kawał.

— Też już o tym myślałem. To by nam się bardzo przydało. Nasi wrogowie kazali nas z pewnością obserwować, i mielibyśmy korzyść z tego, że przynajmniej jednego z nas albo obu uznano by za kuloodpornych.

— Sihdi! Czy tego nie da się zrobić?

Hadzi był tą myślą tak podniecony, że aż usiadł na swoim posłaniu.

— Hm... Może... — odparłem.

— Nie mów: może... Bo jak cię znam, to gdy coś takiego mówisz, to z pewnością już znasz rozwiązanie. Czy nie ma jakiejś kuglarskiej sztuczki, którą dałoby się tu zastosować?

— Jest ich nawet wiele.

— Powiedz mi coś o nich!

— Można załadować strzelbę specjalnie spreparowanym nabojem, ale to się nie uda, wzbudzi bowiem podejrzenia.

— A coś innego?

— Ładuje się strzelbę, pokazując nabój. Gdy owijamy go plastrem, wpuszcza się go w rękaw, a do lufy wkłada tylko plaster. Lecz pocisk może wypaść i zamiar oszustwa zostanie wykryty.

— To także nic. Nie. Nie tak! Ktoś, kto pozwala do siebie strzelać, nie powinien sam ładować. Ładować powinien ten, kto chce się przekonać. On i wszyscy inni muszą być przekonani, że w lufie faktycznie tkwi pocisk i on tam naprawdę musi być. Nie da się tego zrobić?

— Może.

— Trzeba by mieć pancierz.

— Byłoby słyhać odbicie pocisku. A co by było, gdyby pancierz zawiódł?

— Na Allaha! Wtedy byłby koniec z twoim biednym Halefem, sihdi!

— Oczywiście, i na to nie możemy pozwolić.

— Mimo to wiem, że znasz jakiś sposób. Widzę to po tobie.

— Znam jeden sposób, ale nie do zrealizowania tutaj.

— Na czym on polega?

— Istnieją dwa metale, które zmieszane w odpowiednich ilościach tworzą twarde, spoisty pocisk wyglądający jak z ołowiu i niemal tak samo ciężki. Po oddaniu strzału, mieszanka ta mniej więcej w odległości arszyna od wylotu lufy rozsypuje się na drobniutki pyłek.

— Jakie to metale?

— Rtęć i bizmut. Tego ostatniego nie znasz. Jest bardzo drogi i chyba tutaj nie do osiągnięcia.

— A gdzie można by go dostać?

— Jedynie w aptece. Jak się wyśpimy, to tam pójdę.

— I jesteś pewien, że pocisk się rozsypie? Jeśli nie, to na zawsze pożegnasz się z twoim Hadżim.

— Nie martw się! Najpierw zrobię próbę. Czytałem o tym w książkach o kuglarskich sztuczках i zaraz wypróbowałem. Udało się znakomicie.

— Czy nie zauważy się jednak drobinek metalu?

— Nie. Metal rozsypuje się na zupełnie małe niewidoczne cząsteczki. Sztuczka ta robiłaby duże wrażenie, gdybyś faktycznie trzymał w ręku ołowiany pocisk. Oddając strzał udajesz, że chciałbyś złapać wylatujący z lufy pocisk, lecz zamiast niego pokazuje się inny pocisk albo ciska się go na ziemię.

— Zrobimy tak, sihdi!

— Owszem. Jeśli zdobędę bizmut. Bez niego jest to niemożliwe.

— Myślisz może, że te łajdaki się dowiedzą, że mi żaden pocisk nie szkodzi?

— Uważam, że mają tutaj kogoś, kto im przekazuje wiadomości.

— Byłoby dobrze, gdyby myśleli, że także ciebie nie razi żadna kula.

— Zapewne.

— A więc każ także strzelać do siebie!

— To zależy od tego, czy i ile pocisków będziemy mieli. Prócz tego, wobec tak brutalnych ludzi musimy być przebiegli, dlatego trzeba tych rabusiów wyprowadzić w pole.

— Po co, sihdi?

— Jutro będę miał blond włosy i rozjaśnioną brodę...

— Jak to zrobisz?

— Istnieje roślina, której liście gotowane w ługu rozjaśniają na pewien czas najciemniejsze włosy. Liście te kupię w tutejszej aptece.

— Ach to ta roślina, o której rozmawiałaś z Nebatją?

— Właśnie. A to zmyli rozbójników. Pojadę przed wami, aby zbadać drogę.

— Oni cię mimo to poznają, bo dowiedzą się z pewnością, że dosiadasz Riha, karego araba z czerwonymi nozdrzami.

— Nie pojadę na nim.

— A na jakim koniu pojedziesz?

— Na twoim, a ty dosiadasz Karego.

Ledwie to powiedziałem, usłyszałem na legowisku Halefa jakieś plaśnięcie i w następnej chwili Mały siedział już na krawędzi mego łoża.

— Co robisz, Mały? — spytałem.

— Wywinałem koziołka z mojego legowiska na twoje — odparł cały rozdygotany. — Czy nie żartujesz, sihdi? Ja mam dosiąść Riha?

— Nie żartuję.

— O wielki Allahu! Co to za szczęście móc jechać na Rihu! Jeżdżę z tobą tak długo, tyle długich miesięcy i mogłem go dosiąść dopiero dwa razy! Pamiętasz jeszcze, gdzie to było?

— Oczywiście. Coś takiego się pamięta.

— Jutro zdarzy się to po raz trzeci! Czy z chęcią mi go powierzysz?

— Z wielką chęcią. Jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi się z nim właściwie obchodzić.

Gdybyż to Mały domyślał się, że przy rozstaniu zamierzam mu podarować tego kosztownego konia, z pewnością zrobiłby jeszcze więcej koziołków, może przebiłby nawet cienką ścianę.

— Nauczyłem się tego od ciebie, kochany i dobry sihdi. Rih ma więcej rozumu niż niejeden głupi człowiek. Rozumie każde słowo, każdy gest, każdy dźwięk. Ten ogier potrafi być za wszystko bardziej wdzięczny niż jakiś człowiek. Będę go traktował jak przyjaciela, jak brata.

— Jestem o tym przekonany.

— Możesz na mnie polegać. Jak długo będę mógł w twoim siodle siedzieć? Godzinę?

— O wiele dłużej. Może nawet cały dzień.

— Co? Jak? Efendi, sihdi, przyjacielu i władco mojej duszy! Serce chce mi pęknąć z rozkoszy. Jestem tylko biednym, nic nie znaczącym i głupim Arabem, a ty jesteś najgodniejszym z godnych. A mimo to musisz mi pozwolić, by moje usta musnęły twoje wargi, które mi oznajmiły tak radosną wieść. Jeśli cię pocałuję, pęknię z zachwytem!

— Nie musisz pękać, Halefie. Nie pękłeś także, gdy zjadłeś nóż, bagnet, proch i zapałki.

— Nie, nie pękłem, ale wewnątrz był jakiś huk — zawołał, śmiejąc się.

Poczułem jego wąsik, sześć włosów z lewej i sześć z prawej strony, które dotknęły mego wąsa. Jego szacunek dla mnie był tak duży, że nie ważył się, mnie pocałować. Przycisnąłem natomiast mocno dobrego i poczciwego chłopaka do piersi, cmoknąwszy go w policzek, co zamiast wybuchu radości kazało mu się zerwać na równe nogi i trwać przez chwilę jak mysz cichutko, dopóki go nie zapytałem:

— I co, Halef! Koniec naszej rozmowy?

— Oh, sihdi — odparł uszczęśliwiony. — Czy wiesz, co zrobiłeś? Ucałowałeś mnie, ucałowałeś.

Usłyszałem, jak się oddalił i szukał czegoś w rzeczach.

— Co tam robisz? — dowiadywałem się.

— Nic. Jutro sam zobaczysz.

Minęła chwila, aż usłyszałem, że znów podszedł do swego legowiska i na nim usiadł. Potem spytał:

— A więc cały dzień mam jeździć na Rihu? Dlaczego tak długo? Czy nie chcesz być z nami?

— Na to pytanie nie mogę ci jeszcze teraz odpowiedzieć, bo sam jeszcze nie wiem, co się wydarzy. Będę się starał zmienić wygląd, a potem...

— Ciebie mimo to poznają!

— Wątpię w to, gdyż bracia Aladzi nigdy mnie dotąd nie widzieli. Znają mnie tylko z opowiadania.

— Wtedy faktycznie jest to możliwe, że ich wprowadzisz w błąd, ale czy oni sami nie przyjadą do Ostromczy?

— To nie wchodzi w grę.

— Dlaczego? Czy myślisz, że czuliby się tutaj zagrożeni?

— Bynajmniej. Tak jak mi opisano braci Aladzi, potrafiliby z pewnością zastraszyć miejscową tchórzliwą ludność, ale nie powinni mi się tutaj pokazać i dlatego czyhają na nas w polu. To jasne. Nie zabiorę nawet strzelb, lecz je wam zostawię. Pojadę sam i będę się zachowywał jak prosty mieszkaniec tego kraju. W każdym razie zobaczę tych rabusiów.

— Nawet wtedy gdy się ukryli?

— Nawet wtedy. Jeśli znajdę miejsce nadające się do zasadzki, wówczas będę szukał śladów i z pewnością je znajdę.

— Ale my musimy przecież wiedzieć, co mamy robić!

— Oczywiście. Pojedziecie, nie spiesząc się, drogą do Radowicza. Po dwóch godzinach przekroczycie rzekę i po trzech dalszych będziecie u celu. Jeśli nic się po drodze nie wydarzy i nic wam nie podpadnie, wtedy zatrzymacie się w pierwszym haniu znajdującym się po waszej prawicy. Mogą się wtedy pojawić trzy możliwości. Albo jeszcze tam będę...

— To fajnie, sihdi.

— Albo mnie już tam nie będzie...

— W takim razie zostawisz dla nas wiadomość.

— Albo jeszcze mnie tam nie będzie i wtedy poczekacie, aż się zjawię.

— A jeśli się nie zjawisz?

— Będę. Z całą pewnością!

— Jesteś tylko człowiekiem i możesz się mylić. Może ci się coś przydarzyć i będziesz potrzebował pomocy.

— Wówczas ty sam zawrócisz następnego dnia, ale nie przed południem i nie na ogierze. Zostawisz go w haniu z Omarem i Osko. Nie chcę konia narażać na szwank. Wracając, znajdziesz pozostawione przeze mnie znaki. To jest właśnie to, co wcześniej powinniśmy omówić. Nic więcej nie da się teraz powiedzieć. A zatem, kończymy gadanie. Potrzebna jest nam cisza i spróbujmy, czy zmorzy nas sen.

— Chyba nie zasną. Sztuczka z pociskiem, no i Rih, nie dają mi spokoju. Dobranoc, sihdi!

— Dobranoc!

Wierzyłem Małemu, że ogarnęła go niezwykła euforia. Istniały trzy umiłowane przez niego istoty. Wiedziałem, że ja jestem na pierwszym miejscu. Drugą była Hanneh, ozdoba niewiast i dziewcząt, a trzecią, kary ogier Rih. To, że miał go dosiąść, było wyjątkowym zdarzeniem. Byłem przekonany, że

Mały nie będzie spał.

I tak się też stało. Sam byłem także poruszony i nie mogłem się uspokoić. Gdyby ta poczciwa Nebatja nie poszła na górę po to, aby przynieść stamtąd ów oset zwany Krzyżem Maryi, wówczas nie podsłuchałaby rozmowy i nie mogłaby mnie ostrzec. W takim przypadku jutro czekałaby mnie niechybna śmierć. Jak znikoma jest wola człowieka w porównaniu ze zrządzeniem Boga! Gdybym był nawet najodważniejszym, najsilniejszym i najrozważniejszym człowiekiem, bez Nebatji chyba bym zginął.

Takie myśli otwierają podwoje, przez które spogląda się w przeszłość. I chwała człowiekowi, który wówczas pojmuje, że wprawdzie sam potrafi kształtować swój los, lecz zawsze podtrzymuje go i prowadzi potężniejsza od niego ręka, nawet wtedy, gdy człowiek sądzi, że zdoła ją odepchnąć! Leżałem, na przemian to rozmyślając, to na poły śniąc, aż wreszcie jednak zapadłem w sen.

IV.

KULOODPORNY

Kiedy się przebudziłem i pchnąłem na zewnątrz okiennice, padło na mnie jasne dzienne światło. Zorientowałem się patrząc na zegarek, że spałem dwie i pół godziny. Halef wstał już wcześniej. Zastałem go na dole w stajni. Czyścił z takim zapałem Karego, że nie spostrzegł mojego wejścia, ale kiedy mnie zobaczył, zapytał:

— Także już wstałeś? Wszyscy jeszcze śpią, ale dobrze, że się już zbudziłeś, bo musisz jeszcze niejedno załatwić.

— Hm. A co? — spytałem, mimo że dobrze wiedziałem, co ma na myśli.

— Chciałeś pójść do apteki.

— Jest na to za wcześnie.

— Och nie, sihdi. Przygotowanie kuli wymaga dużo czasu.

— Skąd to wiesz?

— Nie jestem tak głupi, że nie mógłbym się tego domyślić, sihdi.

— Masz rację. Tym bardziej, że chcę jeszcze gotować liście, ale nie wiem, gdzie jest apteka, a w mieście nie zastanę nikogo, kto by mi ją wskazał.

— Taki tropiciel śladów jak ty trafi także do apteki.

— Spróbuję.

Otwarłem wrota i znalazłem się na pustym placu. Apteka nie powinna się mieścić w jakimś zaułku, lecz musi być ona w miejscu łatwym do znalezienia, a więc w środku miasteczka, gdzie się właśnie znajdowałem.

Podczas kiedy wzrok mój lustrował dom po domu, spostrzegłem jakąś starą, walącą się rudere, która również miała być domem. Na dwóch, prawdopodobnie już także na wpół obluźnionych gwoździach, zwisała ukośnie długa deska z napisem, który na szczęście był jeszcze czytelny.

„Tabib we edszenabi hadži doktor Ömer” — głosił biały napis na zielonym tle. W tłumaczeniu znaczyło to: „Doktor medycyny i pielgrzym do Mekki Ömer. Skład medykamentów”. Ów hadži, pielgrzym, był zatem lekarzem, który albo rzeczywiście miał tytuł doktora, albo go sobie przywłaszczył.

Drzwi były zamknięte, ale wystarczyło silne pchnięcie, abym się za nimi znalazł. Nie było tutaj dzwonek, lecz z dwóch krańców powroza zwisały drewniane deszczułki na takiej wysokości, że mogłem do nich sięgnąć dorosły człowiek. Ponieważ uznałem, że zastępują one dzwonek, ująłem je w ręce i załomotałem jedną o drugą. W efekcie zrobiłem hałas mogący obudzić śpiącego.

Musiałem jednak dłuższy czas walić w owe cymbały, zanim znalazłem posłuch. Nad moją głową uchylono okiennicę, ale tylko trochę, tak że deski nie przylegały już do siebie, a spoza niej ukazała się łysina barwy kości słoniowej, czoło poprzecinane zmarszczkami, dwoje małych, zaspanych oczu, nos przypominający dziób dużego, brązowego, glinianego dzbana do kawy, jakie widuje się u nas na wsi, szerokie, pozbawione warg usta, wygięty, nie szerszy od nosa podbródek. Wreszcie spomiędzy warg dobiegł do mnie głos:

— Kim dir — kto tam?

— Hasta — pacjent!

— Ne asl hastalyk — na co się skarży?

— Mydem kyryk — niestrawność żołądka — wypaliłem bez namysłu.

— Szimdi, szimdi — zaraz, zaraz! — zawołał pań „doktor”, takim głosem, jakby się nigdy dotąd nie spotkał z podobnym schorzeniem.

Głowa cofnęła się śpiesznie, natomiast na mnie, spoglądającego nadal śmiało w górę, posypały się fragmenty okiennicy. Ocknąłem się i uskokczyłem na bok dopiero wtedy, gdy deski leżały już na ziemi.

Nie minęła jeszcze minuta, kiedy usłyszałem za drzwiami hałas tak mocny, jak gdyby zbliżało się trzęsienie ziemi. Przerażliwie miauczały koty, szczekał pies, przewracano naczynia, wrzeszczała nieopisanie dziwnym głosem jakaś kobieta, potem leciało coś w kierunku drzwi, a był to chyba sam lekarz, gdyż drzwi się otworzyły i w głębokim ukłonie ukazał się w nich uczony, zapraszający mnie najłaskawiej do wnętrza.

Ale jakąż to postać miałem przed sobą! Gdybyż owego „doktora” postawić pośród buraczanego pola w mojej ojczyźnie, wówczas wszystkim makolągwom, szczygłom, czyżykom i wróblom napędzilibyśmy takiego stracha, że natychmiast poleciałyby do Afryki, aby stamtąd nigdy już nie wrócić.

Jego twarz, widziana z bliska, wyglądała na jeszcze bardziej przedpotopową. Było na niej tyle fałd i zmarszczek, że zabrakło nawet najmniejszego gładkiego miejsca. Porannik przypominał wprawdzie koszulę sięgającą od ramion do kostek, ale tylko częściowo okrywał goliznę, gdyż składał się niemal wyłącznie z dziur i prześwitów. Jedną stopę miał w znoszonym kapciu z czerwonej skóry, drugą natomiast w podróżnym kamaszu z czarnego filcu. Lecz także ów filc łaknął powietrza, umożliwiając paluchom nieskrępowany widok na wszystkie strony tureckiego imperium. Łysinę nakrył starym damskim fezem, a wszystko to w wyniku pośpiechu, z jakim pragnął przynieść ratunek mojemu choremu żołądkowi.

— Proszę cię bliżej, efendi! — powiedział. — Wstąp do ubogiej fabryki zdrowia twojego uniżonego sługi. Sprawia mi radość fakt, iż właśnie ty oto jesteś tym człowiekiem, którego żołądek przypadło mi leczyć.

— Co? To ty mnie znasz?

— Bardzo dobrze. Rozmawiałeś bowiem przy studni zdrowia z serdeczną przyjaciółką mojej żony Nohudą i z Nebatją, która przynosi nam zioła, i one to opowiadały o tobie. Widziałem cię następnie przed sądem. Świat jest pełen twojej chwały, a moje serce wyśpiewuje pienia na cześć twoją. Płaczę jednak gorzkimi łzami, iż przywiodła cię ku mnie choroba. Ale przestudiowałem przecież działanie iki bin bir iladz i uwolnię cię od twego cierpienia. Jeszcze żaden człowiek nie odszedł ode mnie bez pomocy i ulgi, dlatego możesz mi się z całą ufnością powierzyć.

Brzmiało to, nie powiem, bardzo obiecująco. Wyglądało na to, że Ömer nie tylko przestudiował działanie dwóch tysięcy i jednego zioła, lecz że je również sobie zaaplikował i jeszcze teraz cierpi wskutek ich działania.

Takiemu człowiekowi miałbym w przypadku choroby powierzyć swoje zdrowie! Dlatego powiedziałem:

— Wybacz moje Szifa gineszi, że nie będę cię trudził. Jestem w moim kraju hekim baszi, naczelnym lekarzem, i znam swój organizm.

Wymaga on zupełnie innych środków niż tutejszy człowiek. Przybyłem li tylko po leki, które mi są do leczenia niezbędne.

— Waj, adżynadżak — o jej! Wielka szkoda! — zawołał. — Zbadałbym szczelinę w twoim żołądku i dokładnie bym ją wymierzył. Posiadam maść żołądkową, którą posmarowałbym koniuszek turbanu. Gdybyś go przyłożył do chorego miejsca, dziura w przeciągu paru godzin zostałaby wyleczona.

— Możliwe, że twoja maść jest taka sama jak moja, gdyż działa ona równie szybko, ale pozwól, że ją sobie sam przygotowuję.

— Twoja wola jest także moją wolą. Wejdz przeto do komory cudownych maści i wyszukaj sobie to, czego pragnie twoje serce.

Uchylił boczne drzwi i puścił mnie przodem. Za mną kroczył szczęśliwy właściciel apteki. To co ujrzałem, przepełniło ducha mego nastrojem określanym zwykle jako groza.

Znajdowałem się bowiem w pomieszczeniu, które nadawałoby się raczej na chlewik dla gęsi, a nie na aptekę. Uderzyłem się w głowę. Podłogę komórki stanowiła ukochana matka ziemia, zaś ściany tworzyły liche nieokorowane deski. Na gwoździach wisiały jeden przy drugim, całe rzędy małych, lnianych woreczków. Pośrodku sufitu kołysał się sznur z zawieszoną na nim olbrzymich rozmiarów gruszką do lewatywy. Na półce znajdowały się różne dziwaczne nożyczki, stare bańki, miseczki do golenia i szczypce z grubymi na cal szczękami. Na ziemi stały różnorakie, całe i porozbijane naczynia, a wokół snuła się woń, której nie da się opisać.

— Tak! — powiedział aptekarz. — To moja kuchnia. Teraz powiedz mi, z jakich składników sporządzasz twoją maść żołądkową.

Aptekarz stanął przede mną i wpatrywał się we mnie z wyteżoną uwagą. Nie ukrywał wcale radości z tego, iż pragnie sobie przyswoić moją receptę.

— Czy w którymś z tych woreczków masz może sadar? — spytałem.

— Mam także sadar. Istilah-i fennisi *lotos* komar — w nauce jest on znany jako lotos.

Doktor pragnął zaimponować mi łacińską nazwą. Ponieważ była ona jednak przestarzała, odparłem:

— Hekiki istilah-i fenisi *celtis australis* komar — jego naukowa nazwa brzmi *celtis australis*.

Doktor Ömer otworzył szeroko usta, spojrzał na mnie z podziwem i spytał:

— Czy istnieją dwie różne nauki?

— Istnieje ich więcej niż sto.

— Na Allaha! Ja znam tylko tę jedną. Ile chciałeś tego sadaru, efendi?

— Dużą garść.

— Dobrze. Dam ci go w torebkę. Czy jeszcze coś potrzebujesz, efendi?

Na ziemi leżał jakiś papier. Wyglądało na to, jakby go przywiał z ulicy. „Doktor” podniósł go, zwinął, zwilżył na skraju językiem, aby papier skleić, i wsypał mi w tak zrobioną torebkę garść *celtis australis*. Ponieważ lek chciałem użytkować zewnątrz, nie oponowałem przeciwko swobodnemu postępowaniu aptekarza.

— Masz może alkali? — zapytałem. Ömer uśmiechnął się zarozumiale:

— A jakie potrzebujesz?

— Obojętnie.

— Efendi! Dowiedziałem się, że twój kraj leży na zachodzie. Mam stamtąd bardzo dobre alkali i mogę ci je odstąpić.

— Co to za alkali?

— Szawell suju.

— Pokaż!

Tak jak przypuszczałem, przyniósł mi flaszeczkę z napisem: *Eau de Javelle, fabriqué de Charles Gautier, Paris*.

— Skąd je zdobyłeś? — dowiadywałem się.

— Nabyłem kilka flaszeczek od komiwojażera, który przybył ze stolicy Francji, Pragi. Czy jeszcze czegoś pragniesz, efendi?

— A rtęć masz?

— Tak. Bowiem jest mi ona niezbędna do napełniania wykonywanych przeze mnie barometrów i termometrów.

— Co? Sam je wykonujesz?

— Owszem. Nie dowierzasz mi?

— Oczywiście, że tak. Kto tyle studiował co ty, potrafi wszystko!

— To prawda. Jesteś efendi uczciwym i kształconym człowiekiem. Otrzymałem właśnie zapas rtęci z Salonik. Ile jej potrzebujesz?

— Mniej więcej pół okka. Masz tyle?

— Wystarczy.

— Zaczekaj! Muszę się najpierw zorientować, czy masz jeszcze coś niezbędnego do tej rtęci.

— Co masz na myśli?

— Kül kurszuni — bizmut. To jest oczywiście rzadki metal. Czyżbyś go miał?

— Niestety, ale mam kül kalaji, co używam do sporządzenia ładnej, białej szminki.

— Może być. Daj mi z tego jedną wikieję i do tego dwie wikieje rtęci. Aptekarz przyklęknął na ziemi i buszował w starych naczyniach.

— Co tam szukasz? — spytałem go.

— Butelki, aby ją napełnić rtęcią. Już mam.

Podniósł się i podał mi butelkę, tak dużą, że zmieściłaby się w niej cała rtęć jaką posiadał, a może jeszcze więcej. Uniosłem ją pod światło, sprawdziłem zawartość i rzekłem:

— Został tu jeszcze stary pokost!

— Co to szkodzi? Wezmę wody i go wymyję!

Po tych słowach oddalił się z butelką, ja zaś się temu nie sprzeciwiłem. Wrócił po chwili czerwony na twarzy.

— Efendi! — żalił się. — Ta butelka jest zaczarowana. Pokostu nie można z niej wydostać.

— Wiedziałem, że tak będzie. Można go się pozbyć tylko terpentyną, pokost bowiem nie rozpuszcza się w wodzie.

— Mogłeś mi to przecież wcześniej powiedzieć!

— O nie. To by cię obraziło.

— Niby dlaczego?

— Aptekarz musi o tym wiedzieć. Wie to nawet człowiek, który nie studiował chemii. Byłoby nieuprzejmie, gdybym ci na to zwrócił uwagę, bowiem pomyślałbyś, iż nie wierzę, że przestudiowałeś działanie dwóch tysięcy i jednego leku.

— Uprzejmy z ciebie człowiek. Dostaniesz za to również pokost za darmo. Wsypię ci na niego rtęć. Ale, gdzie jest moja waga? Aha! Na podwórzu. Wczoraj ważyłem królika, którego dzisiaj zjemy.

To dopiero. Aptekarska waga, na której można ważyć także zabitego królika. Kiedy ją przyniósł, zobaczyłem, że belkę wagi wystrugał chyba sam z drewna. Strzałkę stanowił drut poruszający się pomiędzy dwoma zębami widelca. Okrągłe, drewniane pudełka z przykryciem zastępowały miseczki. Mimo to ów dziwaczny przyrząd jako tako wskazywał równowagę.

Na tej to wadze aptekarz odważył mi to, co potrzebowałem i wymienił zadowalającą cenę, tym bardziej, że bizmut otrzymałem w kryształkach w kształcie rombościanów, co dobrze świadczyło o jego jakości.

Po uzupełniającym zakupie ołowiu opuściłem ów osobliwy „skład leków”, przy czym towarzyszyły mi na drogę najlepsze życzenia dobrego samopoczucia.

Teraz poszedłem do poczciwej Nebatji, która przyjęła mnie z radością. Pokazała mi zaraz króla ostów, którego dokładnie obejrzałem przy świetle dziennym. Pragnęła mi go podarować, ale ja go nie przyjąłem. Oczywiście, że podziękowałem za ostrzeżenie i wyjaśniłem jej, jakie ważne jest ono dla mnie. Gdy powiedziałem jej jeszcze, że dzięki temu uratowała mi chyba życie, bardzo ją to uradowało. Ta dzielna kobieta zasługiwała na moją serdeczną wdzięczność i już wczoraj pomyślałem w jaki sposób ulżyć jej przyszłości i teraz miałem mój zamiar wykonać.

Posiadałem pieniądze znalezione przy Manachu el Barszy, Barudzie el Amasadzie i przy strażniku więziennym. Właściwie powinienem je oddać. Ale komu? Uczciwym władzom w Ostromczy? Ba! A może wyżej? Osobiście nie mogłem tego dokonać, bo nie miałem na to czasu. Więc wysłać przez posłańca? Śmiałyby się ze mnie w kułak. Zresztą ta trójka, której je zabraliśmy, uciekła. Pomyśl, aby im oddać pieniądze, był głupi. W każdym razie nie mogłem uczynić nic lepszego, jak podarować je bardziej potrzebującym. A do takich na pierwszym miejscu należała Nebatja.

Oczywiście, że nie mogłem jej powiedzieć, skąd te pieniądze pochodzą, gdyż to by ją mogło przerazić. Nie chciałem również dać jej całej sumy, gdyż mogłem być pewny, iż znajdę jeszcze dosyć potrzebujących, natomiast część przeznaczona dla zielarki była na tyle duża, by ją uchronić przed ubóstwem. Kiedy dawałem jej bez świadków pieniądze, z radości oniemiała. Nie chciała uwierzyć, że ma otrzymać aż taką sumę, która oznaczała dla niej wielkie bogactwo. Łzy radości spływały jej po policzkach i musiałem energicznie protestować przeciw słowom wylewnego podziękowania.

Halef oczekiwał mnie w tym czasie z niecierpliwością. Stał przed wrotami hanu i wołał do mnie z daleka:

— Nareszcie jesteś, sihdi! Bardzo nam się spieszy, a ciebie tak długo nie było! Co słychać z naszą sztuczką?

— Wszystko dobrze, czy gospodarz już wstał?

— Nie tylko on, ale wszyscy już wstali.

— A więc pcham się do pieca. Muszę gotować i topić.

— Będę przy tym, a ty mi wszystko objaśnisz, bym mógł się tego nauczyć.

— Niestety, mój drogi, nic z tego nie będzie. Potrzebne są do tego pewne umiejętności, których ty nie masz, a nawet człowiek wprawiony może przez drobną nieuwagę popełnić błąd i pozbawić życia siebie albo kogo innego. Dlatego nigdy nie wymienię wszystkich czterech składników, ani nie zdradzę doboru mieszanki. Niech mi Osko przyniesie swoją formę do pocisków. Bo ona ma kaliber tutejszych luf.

Nasze przygotowania trwały jedynie pół godziny. Liście sadaru gotowały się w *Eau de Javelle*, i otrzymany roztwór precedziłem przez lnianą chustę. Z uzyskanego metalu otrzymałem osiem kul ładzących podobnych do prawdziwych kul ołowianych, Oprócz tego zostało odlanych jeszcze więcej kul z ołowiu, lekko naznaczonych czubkiem noża. Potem wziąłem strzelbę należącą do Osko i udałem się za dom, przy czym nikt nie mógł mi towarzyszyć. Załadowałem jeden z pocisków rtęciowych do lufy, odsunąłem się na odległość zaledwie pół metra od deski i pociągnąłem za spust. Huk wystrzału był normalny, lecz deska pozostała nie naruszona, zaś na ziemi nie było najmniejszej drobiniki wystrzelonego naboju.

Była to niezbędna próba. Wiedziałem teraz, że nie będzie żadnego nieszczęścia. Nie musiałem się obawiać zdrady, gdyż wtajemniczonymi byli tylko Halef, Osko i Omar. Oni zaś wiele już razy dowiedli mi, że umieją milczeć.

Wszystko to działo się na szczęście w odpowiednim czasie, gdyż wracając zastałem władę pnie prokuratora wchodzącego wraz z innymi ludźmi. Kiedy mnie spostrzegł, podszedł, odciągnął mnie na bok i rzekł:

— Efendi! Domyślasz się, po co przychodzę?

— Chcesz mi zameldować, co dzieje się z kodzą baszi?

— O, nie! Chciałem cię spytać, czy zapytałeś Halefa o zgodę, by ktoś do niego strzelił.

— Tak bardzo ci na tym zależy?

— Tak. Bo to jest wspaniałe. Czy Halef zjadł już dzisiaj surę Koranu?

— Sam go spytaj!

— Wolę raczej Hadzi Halefa nie pytać, bo mógłby mi to wziąć za złe. Wiesz, ten jego nóż! A batem też szafuje żwawo i hojnie!

— No tak, dziarski z niego zuch.

— Zatem powiedz: pytałeś go?

— Tak. Zanim poszliśmy spać.

— I co odpowiedział Hadzi Halef?

— Hm... Zdawał się mieć nie lada ochotę.

— To byłoby wspaniałe! Kiedy może zacząć się próba?

— Trochę cierpliwości! To nie idzie tak szybko, jak sobie życzysz. Mój opiekun ma swoje charakterystyczne cechy. Zresztą nie powiedziałem tobie wczoraj wszystkiego. Otóż, my wszyscy — to jest moi trzej towarzysze i ja — posiadamy takie same właściwości i nie musimy się bać żadnej kuli.

— Co? Ty także?

— Tak rzekłem.

— A więc ty zjadasz także sury Koranu?

— Nie pytaj za wiele! Oczywiście, że takie tajemnice niechętnie się ujawnia.

— A więc możemy do was strzelać, kiedy nam się podoba?

— Owszem. Jeśli tylko życie wam się nie sprzykrzyło.

— Jak to? — zdziwił się prokurator. — Nie czuję, aby mi się życie sprzykrzyło.

— A więc miej się na baczności i nie strzelaj do któregokolwiek z nas, zanim nie spytasz wcześniej o pozwolenie.

— Dlaczego nie, efendi?

— Jeśli wyrazimy na to zgodę, wówczas można to czynić bez uszczerbku. Kto by jednak próbował strzelać za plecami, do tego nabój wróci, trafiając dokładnie w to samo miejsce, w które pragnął nas trafić.

— A więc, jeśli wyceluję w głowę Hadzi Halefa albo w twoją, to nabój trafi w moją własną głowę?

— Z całą pewnością. Chcesz raz spróbować?

— Och nie, efendi. Dziękuję! Ale dlaczego urządziliście to właśnie tak?

— Bystrość twoja powinna ci to z łatwością podpowiedzieć: z powodu ewentualnych wrogów. Aby ich ukarać, nie wystarczy, że kule nam nie szkodzą, lecz muszą zostać trafieni tak samo, jak chcieli nas trafić. Jest to zasada dawnego prawa sprawiedliwości i odwetu.

— Znam to: oko za oko i ząb za ząb. Wolałbym nie być w skórze waszego wroga. Kiedy stąd będziecie odjeżdżać?

— Pewnie się będziesz cieszył z naszego odjazdu?

— Nie. Chciałbym, abyście tutaj na zawsze pozostali, ale przyniosłeś przecież ze sobą znaczne przemiany.

— Wszelako na dobre!

— Tak. I za to jesteśmy ci wdzięczni, mimo że wszystko powinno się pozostawić tak, jak to

urządził Allah.

— Czy Allah pragnął, by Mübarek was oszukał i by kodża baszi uwolnił waszych więźniów?

— Chyba nie, efendi.

— Jak się powodzi kodży baszi?

— Siedzi — zapewnił prokurator.

— Mam nadzieję, że nic nie uczynisz, co pomogłoby mu uchylić się od sprawiedliwej kary?

— Jakie ty masz o mnie mniemanie! Jestem wiernym sługą padyszacha i zawsze spełniam swoje obowiązki. Za to możesz mi również sprawić przyjemność i powiedzieć o moim zamiarze Halefowi.

— Dobrze. Przypomnę mu o tym.

— I pozwolisz, że przyprowadzę jeszcze kilku ludzi?

— Nie mam nic przeciwko temu — odparłem.

— Zaraz wracam. Muszę to powiedzieć Tomaszowi, który tak bardzo chce to widzieć.

— Kto zasz ten Tomasz?

— Człowiek wykonujący zlecenia i pracujący jako kurier pomiędzy Ostromczą a Radowiczem.

— To porządny facet?

— Bardzo porządny. Kiedy się wczoraj oddaliłeś, bardzo cię chwalił. Opowiedziałem mu, że Hadzi Halef konsumuje sury Koranu i dlatego jest kuloodporny. Bardzo chciałby to widzieć. Mogę po niego pójść?

— Przyprowadź go. Prokurator szybko się oddalił.

Jakże łatwo tych ludzi przejrzeć! Podejrzywałem, iż ów porządny kurier otrzymał od braci Aladzi zadanie śledzenia i meldowania o nas. Wkrótce ujrzeliśmy rezultat poczynań prokuratora, zjawilo się bowiem wielu ludzi i aby się ukryć przed ciekawskimi spojrzeniami, wróciliśmy do naszej izby. Prokurator odszukał nas jednak i tam, przyprowadzając krzywonożego człowieka, którego mi przedstawił:

— Efendi! Oto kurier Tomasz, o którym ci opowiedziałem. Staralem się go dobrze zapamiętać i zapytałem:

— A więc, ty chodzisz tam i z powrotem pomiędzy Ostromczą a Radowiczem?

— Zgadza się, efendi — odparł — ale nie chodzę pieszo, lecz jeżdżę konno.

— Kiedy tam znów pojedziesz?

— Pojutrze.

— Nie wcześniej?

Tomasz zaprzeczył, ja zaś dorzuciłem:

— To bardzo dobrze dla ciebie.

— Dlaczego?

— Gdyż dzisiaj droga ta mogłaby dla ciebie okazać się niebezpieczna i dlatego musiałbym cię przestrzec.

— A ty też jedziesz?

Jeżeli dotąd Tomasz patrzył na mnie szczerze i otwarcie, to przy tym pytaniu wzrok miał ostry i kłujący.

— W samej rzeczy — odpowiedziałem z pozorną obojętnością.

— Kiedy, efendi?

— Dokładnie w południe. Nie jeździ się chętnie nocą pośród nieznanycy borów, tym bardziej, że bracia Aladzi są w pobliżu. Znasz ich może?

Zaprzeczył.

— Ale przecież o nich słyszałeś? — wypytywałem dalej.

— Niewiele. Prokurator mówił mi, że oni chcą cię napaść.

— Jeśli ci bracia mają trochę oleju w głowie, to niech się ode mnie odczepią, bo nie pozwalam ze sobą żartować.

— Słyszałem o tym — uśmiechnął się chytrze Tomasz. — Ciebie' i twoich ludzi kule się nie imają.

— To jeszcze nie wszystko!

— Wiem, że kula nawet wraca i trafia tego, który ją wystrzelił. Jego wzrok prześliznął się po mnie z chytrym błyskiem, jak gdyby

chciał mi powiedzieć: „Słuchaj! Ty także nie upadłeś na nos, podobnie jak ja, a więc nie róbmy z siebie durniów”. Kurier był mądrzejszy od prokuratora. Ten zaś zobaczył uśmiech kuriera i właściwie go odgadł, bo zapytał:

— Nie wierzysz?

— Hm. Jeżeli sam efendi tak mówi, trzeba w to uwierzyć!

— Też ci tak radzę. Wątpić, znaczyłoby obrazić. Byłeś zawsze uprzejmym człowiekiem.

— Owszem. Allah to może zaświadczyć. Dlatego myślę, że efendi będzie także na tyle uprzejmy, aby nam dowieść, że kule się go nie imają.

Halef obserwował jego i mnie. Było jego zwyczajem, że w czasie spotkań z jakimś człowiekiem starał się odczytać z mojej twarzy, co o tym człowieku myślę. W każdym razie teraz odgadł, że nie darzę kuriera sympatią, gdyż złapał za rękojeść bicia i rzekł:

— Czyżbyś ty, Tomasz, chciał uczyć uprzejmości naszego sławnego efendi? Jeżeli uważasz, że to ci wolno, to jestem gotów wypisać biczem na twoich plecach wszystkie paragrafy kodeksu uprzejmości. Jesteśmy wyznawcami Proroka i wiernymi poddanymi padyszacha i nie zniesiemy uwag od człowieka noszącego imię Tomasz. Tak może się nazywać jedynie niewierny, któremu wolno jeść jedynie łupiny arbuzów ze stołów muzułmanów. Zresztą udowodniliśmy wam, że nie mówimy nieprawdy, lecz przedstawimy cuda, które zamkną wasze gęby. Czy możemy zaczynać, sihdi?

— Tak, Halef, jeśli ci to odpowiada.

— Dobrze. Przepuście nas na podwórze!

Zapełnione ono było ludźmi oczekującymi z ciekawością na cud zapowiedziany przez prokuratora. Ludzie stojący blisko patrzeli na nas z podziwem, szeroko otwartymi oczami, a stojący dalej wyciągali szyje, aby widzieć każdy nasz ruch. Mały Hadzi strzelał biczem na lewo i prawo, torując w ten sposób drogę kończącą się przed niewielką szopką.

— Sihdi! Dasz mi te kule — pytał mnie potem po cichu.

— Nie. Pragnę uzyskać całkowitą pewność, aby uniknąć przykrego wypadku. Najpierw weźmiemy nabój z ołowiu. Ty natomiast rozmawiaj z ludźmi! Masz w tym względzie większy talent niż ja.

Schlebiła mu ta pochwała. Staął na palcach i głośno zawołał:

— Mężczyźni Ostromczy! Nie zasłużyliście na szczęście, które przypadło wam w udziale, aby zobaczyć czterech dzielnych mężczyzn, których nie przedziurawi żadna wroga kula. Otwórzcie wasze oczy i wyęźcie umysł, abyście nie uronili nic z cudu, który tu zobaczycie, i byście mogli opowiadać o tym waszym dzieciom, dzieciom waszych dzieci i wnukom najbardziej dalekich prawnuków, jeśli będziecie jeszcze żyć. Zachowajcie spokój i nie róbcie hałasu, aby nie było zakłóceń, i przyślijcie do mnie człowieka ze strzelbą, uważanego przez was za najlepszego strzelca.

Powstał półgłosny pomruk. Szukano takiego człowieka i wreszcie ujawnił się ze strzelbą w ręku. Poza nim nikogo ze strzelbą nie widziałem.

— Czy twoja broń jest nabita? — zapytałem go.

— Tak — zapewnił mnie.

— Czy masz przy sobie więcej naboji?

— Nie mam, efendi.

— Nie szkodzi. Dam ci ze swoich, ale najpierw musisz nam pokazać, że jesteś dobrym strzelcem.

Widzisz tę nową deskę przybitą do szopki? Ona ma sęk. Spróbuj w niego trafić!

Człowiek ten zrobił kilka kroków do tyłu, wycelował i strzelił. Kilku obecnych widziało, że trafił o szerokość palca od celu.

— Niezupełnie to się udało — powiedziałem. — Spróbuj jeszcze raz.

Dałem mu jeden ze świeżo odlanych ołowianych naboji, a Osko proch. Drugi strzał był lepszy: strzelający mierzył teraz starannie do celu. Dałem mu następnie cztery kule wykonane z mojego stopu, zaś do prawej ręki wziąłem kulę z ołowiu i rzekłem:

— Spróbuj teraz, czy utrafisz w otwór, który przed chwilą zrobiłeś w desce. Ale przedtem pokaż ludziom naboje, aby się przekonali, czym nabijasz.

Kule wędrowały z ręki do ręki, co zajęło trochę czasu, gdyż każdy chciał je dotknąć i widzieć. Kiedy do niego wróciły, naładował strzelbę:

— Podejdź bliżej! — poleciłem mu i popchnąłem go w stronę celu. — Teraz możesz strzelać.

Mówiąc te słowa, stanąłem na tle deski. On opuścił wtedy podniesioną w górę strzelbę.

— Efendi! — odparł. — W jaki sposób mam teraz trafić w deskę? Przecież mi zasłaniasz!

— Nie szkodzi.

— Twoja pierś pokrywa się z celem.

— Więc ją przestrzel!

— O Kara ben Nemi! Przecież cię zabiję!

— Nic podobnego! Chcę wam pokazać, że kula mnie nie dosięgnie, Strzelec przesunął ręką po głowie i zakłopotany podrapał się za uchem.

— To jest właśnie to! — powiedział. — Sprawa jest dla mnie bardzo niebezpieczna.

— Dlaczego?

— Nabój odbije się od ciebie i przesyje moją pierś.

— Nic się nie bój! Złapię go w rękę i zatrzymam. Tłum wydał z siebie pomruk podziwu.

— Czy to prawda, efendi? Jestem jedynym żywicielem rodziny. Jeśli umrę, wtedy jedynie Allah będzie się o nią troszczył.

— Nie umrzesz! Przyrzekam ci.

— Ponieważ mówisz to ty, więc spróbuję, efendi.

— Strzelaj. Bez obawy!

Bacznie obserwowałem kuriera. Podeszedł bardzo blisko i nie spuszczał ze mnie wzroku. Strzelec znajdujący się w odległości zaledwie dziesięciu albo jedenastu kroków wymierzył we mnie, lecz po chwili jeszcze raz opuścił strzelbę i powiedział:

— Jeszcze nigdy nie celowałem do człowieka. Czy mi wybaczysz efendi, jeśli cię trafię?

— Nie będę ci musiał wybaczać, bo mnie nie trafisz.

— A gdy cię mimo to zranię?

— Wówczas nie musisz sobie nic zarzucać, gdyż ja ci tak kazałem uczynić.

Uniosłem w górę prawą rękę i po kryjomu wpuściłem ołowiany pocisk w rękaw, potem pokazałem pustą dłoń i rzekłem:

— Tą ręką pochwycę kulę, a zatem liczę. Kiedy powiem „trzy”, możesz pociągnąć za spust.

Opuściłem rękę i złapałem przy tym wylatującą z rękawa kulę. Nie było oczu, które nie byłyby na mnie zwrócone.

— Raz, dwa, trzy!

Huk wystrzału. Wysunąłem rękę w kierunku wylotu lufy, jak gdybym miał zamiar złapać wystrzelony nabój i uniosłem w górę posiadaną w dłoni kulę, trzymając ją pomiędzy palcami.

— Masz tu swoją kulę. Albo weź ją ty, Tomaszu! Przyjrzyj się jej, czy nie jest to ta sama kula, którą naładowano strzelbę.

Oczywiście, że była ona do niej ładująco podobna. Kurier stał z szeroko otwartymi ustami i wlepił we mnie wzrok, jak bym był upiorem. Eksperyment wywarł nie mniejsze wrażenie na pozostałych ludziach. Powątpiewano chyba do ostatniej chwili, a teraz wiadomo było, że jednak dokonano cudu. Nabój podawano sobie z ręki do ręki. Kiedy strzelec otrzymał go z powrotem, powiedziałem głośno, aby wszyscy mogli mnie usłyszeć:

— Teraz naładuj ponownie i celuj w deskę. Zrobił to i wystrzelił. Kula przebiła otwór w desce.

— Widzisz! Taką dziurę miałbym w piersi, gdybym nie był odporny na kule. Jeżeli masz ochotę, możesz teraz strzelać do moich trzech towarzyszy.

To, że pocisk przy drugim wystrzale spowodował normalny efekt, mimo że przedtem nie zostałem trafiony, lecz go złapałem, wywołało wśród zebranych ludzi niesamowite ożywienie. Zbliżyli się, aby obejrzeć moją rękę i nie znajdowali dosyć słów, aby wyrazić zdumienie z tego powodu, że nie było na niej nawet śladu zranienia.

Słyszałem, jak jakiś człowiek mówił: — Allah onun 'le — Allah ma go w opiece!

— Szejtan sahibi — włada szatanem! — odparł inny.

— Czy może mu służyć szatan, jeśli zjada Koran? Nie! Allah jest wielki!

Podczas gdy kazałem, aby Halef, Osko i Omar podeszli do szopy, widzowie dzielili się między sobą opiniami. Być może, że moi towarzysze wcześniej też mi tak naprawdę nie ufali. Potem jednak, kiedy zobaczyli, że kula mi nie zaszkodziła, byli bez obawy gotowi, aby także pozwolić do siebie strzelać. Oczywiście, że nie było mowy o fortelu z wyłapywaniem kuli, gdyż to by im się z pewnością nie powiodło. Wołałem to raczej sam demonstrować. Dlatego stanąłem przy nich i przy każdym strzale wykonywałem ruch ręką w powietrzu, aby zwracać ołowianą kulę, z którą robiono próbę przebicia deski.

Kiedy również Halef, Osko i Omar udowodnili swoją kuloodporność, powstał nieopisany entuzjazm. Ludzie napierali, aby nas dotknąć, obejrzeć, zapytać. Potrzeba by kilku dni, aby odpowiedzieć na wszystkie pytania. Aby tego uniknąć, wróciliśmy do naszej izby. Stamtąd obserwowałem Tomasza. Z jego gwałtownych gestów, którymi chciał przedstawić ludziom stojącym bardziej z tyłu przebieg eksperymentu, widziałem, że pozbył się niedowierzania. Skinąłem na Halefa i pokazałem mu kuriera.

— Nie spuszczaaj go z oka, a gdy stamtąd pójdzie, podążaj niepostrzeżenie za nim i obserwuj go.

— Dlaczego, sihdi?

— Podejrzewam, że bracia Aladzi polecili mi, aby nas szpiegował.

— Aha... Dlatego mrużyłeś oko, kiedy go pierwszy raz zobaczyłeś. Zaraz się domyśliłem, że mu nie wierzysz. Ale czy on nam może szkodzić?

— Kurier zamelduje Skipetarom, że w południe stąd odjeżdżamy. — Tomasz powiedział przecież, że nie jedzie.

— Kłamał. Wierz mi! Gdy wróci do siebie, wtedy pójdiesz do miasta i ukryjesz się gdzieś przy drodze, wiodącej do Radowicza, a gdy tamtędy przejedzie, zameldujesz mi.

— A jeśli nie pojedzie?

— To mniej więcej po dwóch godzinach wrócisz. Należy wtedy przypuszczać, że nie pojedzie.

Teraz rozpytywałem o salon golibrody, aby kazać sobie ostrzyć włosy i brodę. Właściciel salonu

także widział nasz wyczyn. W Oriencie salony cyrulików stanowią ulubione miejsca wymiany wszelkich nowinek, dlatego nie byłem zaskoczony, kiedy zastałem „gabinet” wypełniony ludźmi. Ludzie ci bacznie obserwowali każdy mój ruch i milczeli, dopóki balwierz mnie strzygł. Jeden z nich, stojący za mną, ciągle się zrywał, aby złapać spadające kosmyki moich włosów, czemu golibroda usiłował przeszkodzić karcącym spojrzeniem, a kiedy to nie pomogło, poczęstował go kopniakiem i zawołał:

— Złodzieju! To, co tu spada, jest moją własnością i ty mnie nie okradaj.

Wracając, wstąpiłem do sklepu z pończochami i także do sklepu z okularami. Kupiłem parę długich pończoch sięgających aż do uda i okulary z niebieskimi szklami. W trzecim sklepiku nabyłem jeszcze zielony turban, jaki wolno nosić jedynie potomkom proroka, i tym samym miałem wszystko, co potrzebowałem.

Zabrało mi to ponad godzinę. Gdy wróciłem do hanu, zastałem tam już także Halefa.

— Miałeś rację, sihdi — zameldował mi. — Kurier wyjechał.

— Kiedy?

— Kilka minut po powrocie do domu.

— A więc był już wcześniej do tego przygotowany.

— Z pewnością, bo inaczej musiałby jeszcze okulbaczyć zwierzęta.

— Czym dysponuje?

— Tomasz jechał na mule i prowadził za sobą cztery objuczone osły, z których każdy był przywiązany do juków poprzodnika.

— Jechał powoli, czy się spieszył?

— Sprawiał wrażenie, że się spieszy.

— Tomasz pragnie możliwie szybko sprzedać swoje wiadomości. Nam nie powinno to zaszkodzić. Pojadę teraz dalej, zaś wy opuścicie Ostromczę w południe.

— I dotrzymasz tego, co mi przed snem powiedziałeś?

— Oczywiście.

— Dosiądę Riha?

— Tak, a ja wezmę twojego konia. Osiodłaj go i wyjdź znów na miasto, ale zabierz ze sobą sandały!

— Po co, sihdi?

— Masz mi je pożyczyć, dlatego że ja ci zostawię moje buty z cholewami.

— Czy mam je wciągnąć na nogi?

— Skądże znów, Mały. Mógłbyś się w nich utopić. Dam ci teraz wszystko to, co masz mi przechować, w szczególności strzelbę. I pożegnamy się.

Pożegnanie miało okazać się trudniejsze, niż myślałem. Handzi Ibarek, który chciał teraz także wracać do domu, przyrzekł mi, że on tych braci, którzy się u niego zagnieździli, należycie wychłoscze. Nie wierzyłem jednak, aby ten zadzierzysty bohater na to się odważył.

Wreszcie mogłem zasiąść w siodle. Obaj wieśniacy dziwili się, że nie dosiadam ogiera, ale nie domyślali się dlaczego.

Za rogatkami miasta spotkałem Halefa, a obok niego Nebatję.

— Efendi — powiedziała — słyszałam, że chcesz nas opuścić i dlatego przyszłam, aby ci jeszcze raz podziękować, tutaj, gdzie nikt tego nie zobaczy. Będę o tobie myśleć i nigdy cię nie zapomnę!

Jeszcze raz się z nią pożegnałem i szybko podążyłem dalej, bo widok jej zawilgoconych oczu mnie rozczulał. Halef towarzyszył mi jeszcze kawałek drogi, do miejsca osłoniętego zaroślami. Zsiadłem w tym miejscu i poszedłem za krzaki. Mały Hadzi musiał zabrać naczynie z wywarem z

sadaru. Przy pomocy szmatki, którą przywiózł w tym celu, pocierał mi ostrożnie płynem włosy i brodę.

— Sihdi! Dlaczego każesz sobie polewać głowę tą zupą? — pytał.

— Zaraz to zobaczysz.

— Czy dzięki temu włosy mają się zmienić?

— Będziesz się jeszcze dziwił.

— Jestem ciekaw. Ale co to za długie pończochy, które wyciągasz z pasa. Chcesz je może wciągnąć?

— Tak. A twoje sandały wsunę na wierzch.

Kiedy Halef uporał się z „namaszczeniem” mojej głowy, ściągnął mi z nóg wysokie buty, a ja na ich miejsce wciągnąłem pończochy. Sandały były dla mnie trochę za małe, ale jakoś w nie wszedłem. Kiedy Halef spojrział potem na moją głowę, (klasnął ze zdziwienia i zawołał:

— O Allahu! Co za cud! Twoje włosy stają się całkiem jasne!

— Naprawdę? Zupa już działa?

— Miejscami.

— Musimy zatem jeszcze rozjaśnić ciemne miejsca. Masz tutaj grzebień i rozprowadź nim płyn.

Halef kontynuował rozpoczęte dzieło, a kiedy przyjrzałem się sobie w kieszonkowym lusterku, zobaczyłem, że jestem teraz jasnym blondynem. Włożyłem na głowę fez, zaś Halef owiązał go turbanem w kolorze zielonym tak, że z prawej strony zwisały frędzelki.

— Sihdi! Popelniam wielki grzech — powiedział zatrwożony. — W taki sposób mogą się wyróżniać jedynie w prostej linii potomkowie Proroka. Ty natomiast nie jesteś nawet wyznawcą Koranu, lecz Kitab el mukaddas. Czy zostanie mi odpuszczone owo zbeszczeszczenie, gdy kiedyś będę musiał przejść przez wąski jak brzytwa „Most Śmierci”?

— Z całą pewnością.

— W to wątpię.

— Nie martw się, drogi Halefie! Tym grzechem chętnie obciążę własne sumienie.

— I będziesz się za mnie smażył w piekle?

— Owszem.

— Och, sihdi! Na to się nie zgadzam. Za bardzo cię lubię. Lepiej, że ja się będę smażył. Uważam bowiem, że lepiej to wytrzymam od ciebie.

— Uważasz, że jesteś bardziej wytrzymały niż ja?

— Chyba nie, ale jestem o wiele mniejszy od ciebie. Może znajdę miejsce, gdzie przycupnę pod albo między płomieniami, tak że one mnie nie sięgną.

Nie mówił tego serio. Wiedziałem przecież, że w sercu już od dawna jest chrześcijaninem. Aby zakończyć moje przeistoczenie, założyłem na nos okulary i przerzuciłem przez ramię derkę, mniej więcej tak jak Meksykanin nosi swoją serapę.

— Maszallah! — wykrzyknął Halef. — Zupełnie się odmieniłeś, sihdi! Nie wiem, czy bym cię rozpoznał, gdybym cię spotkał na drodze. Jedynie po postawie poznałbym, że to jesteś ty.

— Hm... Postawę także mogę zmienić, ale nie jest to konieczne. Bracia Aladzi nigdy mnie jeszcze nie widzieli. Znają mnie tylko z opowiadania, a zatem łatwo ich zmylić.

— Kurier cię jednak zna!

— Jego chyba nie spotkam.

— A ja myślę, że on z nimi będzie.

— Wątpię. Oni chcą na nas czatować na drodze do Radowicza. Kurier objuczył osły i chce zdać cały towar w Radowiczu. Należy zatem przypuszczać, że po drodze zawiadomił tych zbójów i

podążył dalej.

— I uważasz, że sobie sam z nimi poradzisz?

— Oczywiście.

— Bracia Aladzi są postrachem wszystkich. Może byłoby lepiej, gdybym ci towarzyszył. Jestem przecież twoim przyjacielem i obrońcą.

— Teraz musisz bronić Osko i Omara. Ich obu powierzam twojej pieczy.

To go pocieszyło i poprawiło mu samopoczucie, dlatego szybko odpowiedział:

— Masz w pełni rację, sihdi. Co ci dwaj by zrobili beze mnie, bez twego dzielnego Hadzi Halefa Omara? Nic. Poza tym mam także twego konia, któremu się muszę poświęcić. Powierzyłeś mi bardzo dużo.

— Postaraj się być godnym tego zaufania! Czy pamiętasz wszystko, o czym mówiliśmy?

— Wszystko. Moja pamięć jest jak paszcza lwa, a kły nie wypuszczą tego, co raz pochwyciły.

— Zatem rozstajemy się. Niech Allah ma cię w opiece! Nie popełnij żadnego błędu!

— Sihdi! Nie rań mej duszy taką przestrogą. Jestem mężczyzną, bohaterem! I wiem, co do mnie należy.

Rzucił w zarośla garnek, przerzucił moje buty przez ramię i poszedł z powrotem do miasta. Ja natomiast pojechałem na północny zachód, naprzeciw niebezpiecznemu, a może i zgubnemu spotkaniu.

BRACIA ALADZI

Na razie nie miałem powodu, by się obawiać jakiegoś zagrożenia. Gdyby bracia Aladzi mnie znali, wtedy mógłbym oczekiwać jakiegoś podstępnego napadu albo skrytobójczej kuli, a tak w najgorszym wypadku mogłem się spodziewać jawnej, zbójckiej napaści, jaka mogła spotkać także każdego innego podróżnego. Zaś mój obecny wygląd nie mógł stanowić dla nich dostatecznej pokusy.

Wyglądałem jak ubogi potomek Muhammada, u którego niewiele można zyskać. Ale choć strzelby pozostawiłem u moich ludzi, to mimo wszystko za pasem miałem ukryte dwa rewolwery, a te wystarczyłyby, ażeby unieszkodliwić nawet więcej niż dwóch napastników. Ci bowiem dostrzegliby tylko mój nóż i przypuszczaliby, że nie mam ponadto innej broni. To zachęciłoby ich tylko do beztroskiego zachowania, które mogłoby się dla nich okazać niebezpieczne.

Ziemia wzdłuż drogi z Ostromczy do Radowicza jest żyzna. Pola i łąki przeplatają się z lasami. Strumnica jest dobrą wróżką, której okolica zawdzięcza swoje bogactwo. Z lewej strony miałem północno-wschodnie pasmo Wjelica Dagħ, zaś z prawej opadały łagodnie stoki Plaszkawicy Planiny.

Nie napotykałem ludzi i dopiero po więcej niż godzinie zauważyłem pierwszego człowieka odzianego po turecku, zbliżającego się z przeciwka. Przystanął z powodu mego zielonego turbanu i nisko się pokłonił, aby mnie czołobitnie przepuścić. Nawet najbogatszy muzułmanin czci najbiedniejszego, choćby obszarpanego szeryfa i poważa potomka Proroka, któremu już za życia dane było oglądanie niebios Allaha. Zatrzymałem mego konia, odwzajemniłem jego korne pozdrowienie i zapytałem:

— Niech Allah błogosławi miejsce skąd przybywasz, ale rad bym wiedzieć, gdzie ono?

— W Radowiczu.

— A dokąd zmierzasz?

— Do Ostromczy, dokąd przybędę szczęśliwie, jeśli nie poskąpisz mi swego błogosławieństwa.

— Niech ono ci w pełni towarzyszy! Czy spotkałeś wielu wędrowców?

— Niestety nie, szeryfie. Podążałem samotnie i dlatego mogłem w spokoju skierować moje myśli ku dobrodziejstwom Allaha.

— A więc nikogo nie widziałeś?

— Na drodze spotkałem jedynie kuriera Tomasza z Ostromczy.

— Czy z nim rozmawiałeś?

— Zamieniłem z nim kilka słów. Zawitał do przysiółka, do którego i ty wkrótce dotrzesz, tam, gdzie droga poprowadzi cię przez Strumnice.

— A ty się tam nie zatrzymałeś?

— Nie. Nie miałem na to czasu.

— A nie wiesz przypadkiem, gdzie kurier się zatrzymuje w Radowiczu?

— Chcesz go tam odszukać?

— Być może.

— Jak z pewnością przypuszczasz, on nie zajeżdża do żadnego hanu, lecz zatrzymuje się u krewniaka. Jeśli nawet powiem ci jego nazwisko, to mimo wszystko bez pomocy go nie odnajdziesz, bo nie potrafię ci dokładnie opisać uliczek. Dlatego proszę cię, byś w Radowiczu jeszcze raz się o niego dowiadywał.

— Dziękuję. Niech cię Allah prowadzi!

— A przed tobą niech się otworzy niebo!

Turek poszedł dalej, ja natomiast kontynuowałem spokojnie moją jazdę.

Mogłem teraz pomyśleć, jak się sprawa przedstawia. Bracia Aladzi z pewnością nie przebywali w Radowiczu, gdyż byłoby to dla nich zbyt ryzykowne. Dlatego czekali z pewnością na Tomasza w przysiółku. Ich dalsze poczynania będą zależały od informacji przekazanych im przez kuriera. Z pewnością nie byli skłonni do otwartej napaści. Wątpliwe było również, by chcieli nas poczęstować zdradziecko kulą, dlatego że wiedzieli już, że jesteśmy na to odporni. Nie było jeszcze południa. Uważałem więc, że rabusiów zastanę jeszcze w przysiółku. Kurier powiedział im niechybnie, że dopiero wyruszę o tej porze. Mieli jeszcze dość czasu na wyszukanie dla siebie kryjówki. Cieszyłem się, że zrobię im psikusa, nie dając im się poznać.

Mniej więcej po pół godzinie dotarłem do przysiółka składającego się z kilku zaledwie chat. Droga tworzyła w tym miejscu prostokątny zakręt przed mostem i dzięki temu mogłem zobaczyć tył jednego z budynków stojących blisko rzeki. Na łące obok pały się dwie krowy, kilka owiec oraz trzy konie, z których dwa osiodłane miały miejscami sierść białą, a miejscami brązową. Zorientowałem się, że są to półkrwiste zwierzęta i oceniałem, iż są one chyba potomstwem klaczy rasy meszerdi. Są to konie twarde, niewymagające, z mocno osadzoną szyją i silnymi, tylnymi nogami, a mimo to są bardzo szybkie i wytrzymałe. Dobry jeździec może zaufać takiemu rumakowi.

Miałyż by to być konie braci Aladzi? Czy zatrzymali się oni w budynku, obok którego koniecznie musiałem jechać? Mocno zależało mi na tym, aby z nimi rozmawiać, ale powinno to się odbyć bardzo naturalnie, aby nie wzbudzić w nich nieufności.

Po minięciu zakrętu mogłem teraz zobaczyć także fronton domu. Na czterech słupach spoczywał dach podcienia, pod którym stało kilka stołów i ław zbitych z surowych desek. Stoły były puste, poza jednym, przy którym siedzieli dwaj mężczyźni. Widzieli, jak się zbliżałem. W ogóle wyglądało na to, że uważnie lustrują otoczenie, ludzie takiego autoramentu bowiem muszą się zawsze mieć na baczności. Widziałem, jak obserwują mnie przenikliwym i podejrzliwym wzrokiem i udawałem, że chcę jechać dalej, ale oni podnieśli się z miejsc i zrobili kilka kroków w moim kierunku.

— Dar — stój! — zaczął jeden z nich i władczo podniósł w górę rękę. — Nie wypijesz z nami kieliszka rakii?

Byłem przekonany, że mam przed sobą tych, których szukam. Z pewnością byli braćmi, gdyż łączyło ich niezwykle podobieństwo. Obaj —jednakowo wysocy i barczyści—byli wyżsi i silniejsi ode mnie. Gęste sumiaste wąsy, ogorzałe twarze oraz broń przydawały im wojowniczego wyglądu. Strzelby oparli o stół. Za pasem błyskały im noże i pistolety, natomiast u lewej nogi wisiał im, niby szabla, czekan.

Poprawiłem na nosie okulary, spoglądałem na nich tak, jak patrzy nauczyciel na niesfornego ucznia i spytałem:

— Kim jesteście, wy, którzy zakłóacie nabożne rozmyślanie potomka Proroka?

— Jesteśmy pobożnymi wyznawcami Proroka tak samo jak ty. Nazywam się Sandar, a mój brat, Bybar. Chcemy ci wyrazić nasz szacunek, zapraszając cię na orzeźwiający napój.

— Rakija? I ty to nazywasz orzeźwiającym napojem? Czy nie znasz wersetu z Koranu, zabraniającego picia rakii?

— Nic o nim nie wiem.

— A zatem udaj się do mędrca znającego święte sury i niech on cię pouczy!

— Nie mamy na to czasu. Nie chcesz sam tego zrobić?

— Jeśli sobie tego życzysz, to jestem gotów, bo Prorok powiedział: Gdy ktoś wyzwoli jedną duszę z piekła, ten po śmierci pójdzie zaraz do trzeciego nieba. Ten zaś, kto uratuje dwie dusze, ten

wejdzie zaraz do piątego.

— A więc zasłuż sobie na piąte niebo! Jesteśmy gotowi ci w tym pomóc. Zsiadaj, pobożny człeku i uczyn nas tak samo świętymi, jak ty nim jesteś!

Sandar potrzywał mi strzemień, natomiast Bybar ściągnął mnie z konia za ramię. Po zejściu z konia pokuśtykałem z godnością do stołu, przy którym bracia ponownie zasiedli.

— Powłóczysz nogą? — śmiał się Bybar. — Uszkodziłeś ją?

— Nie. To było moje kismet — odpowiedziałem krótko.

— Urodziłeś się zatem kulawy. Allah ci dobrze życzy, gdyż temu, kogo lubi, zsyła cierpienia. Czy zechciałbyś nam niegodnym grzesznikom wyznać twoje święte imię?

— Jeśli zajrzycie do rejestru nahyba-el-aszrafa, prowadzonego w każdym mieście, to tam je znajdziecie.

— Wierzymy, że tak jest. Ale ponieważ nie mamy tutaj tych rejestrów, okaż nam więc łaskę i wymień swoje imię.

— A więc jestem szeryf Hadzi Szehab Eddin Abd el Kader ben Hadzi Gazali al Farabi ibn Tabit Merwan Abul Ahmed Abu Baszar Chatid esz Szonahar.

Obaj rabusie zasłonili sobie uszy i wybuchnęli śmiechem. Widocznie wcale nie onieśmialo ich to, że byłem szeryfem. Nie dziwiłoby mnie ich zachowanie, gdyby byli Skipetarami greckimi albo katolickimi. Ale ponieważ strój ich wskazywał na to, że są muzułmanami, należało przypuszczać, iż sobie mało co robią z nauk i dogmatów islamu.

— Skąd przybywasz człowieku o nazwisku tak długim, że nikt go nie zapamięta? — pytał dalej Bybar.

Rzuciłem mu zza okularów długie, poważne, karcące spojrzenie i odparłem:

— Którego nikt nie zapamięta? Czyżbym przed chwilą nie powiedział ci swego nazwiska?

Znów się głośno roześmiali.

— Słuchaj, ty! — powiedział potem Bybar. — Byłoby bardzo źle, gdybyś sam go nie pamiętał. Lecz jesteś chyba jedynym człowiekiem, który to potrafi.

— Moje imię nigdy nie zostanie zapomniane, gdyż figuruje ono w Księdze Żywota.

— Ach tak! Jesteś szeryfem i żaden z was nie trafi do piekła, ale ty chciałeś przecież nas od niego uwolnić i wyjaśnić nam, dlaczego picie rakii jest zabronione.

— Tak też jest i to surowo.

— I to napisano w Koranie?

— Oczywiście.

— Czy wtedy, kiedy Prorok otrzymał objawienia, istniała już rakija?

— Nie. Nie ma o niej ani słowa.

— A więc rakija nie może być zabroniona.

— A jednak. Napisano bowiem: „Kullu muskürün haram — wszystko co upaja jest niewskazane, jest zabronione, jest przeklęte”. Dlatego także rakija jest przeklęta.

— My się nią nie upijamy!

— No to już! Nie ma w takim razie zakazu.

— Wino nam tak samo nie szkodzi.

— A więc raczcie się nim rozważnie i z umiarem!

— To się przyjemnie słyszy! Wyglądasz na niezłego mędrca. Czy po wypiciu rakii jesteś zamroczony?

— Jeśli piję mało, to nie.

— A co to znaczy mało?

— Pełen kieliszek rozcieńczony butelką wody — przy czym wskazałem na dużą pękatą flaszę z rakiją, stojącą przed nami na stole.

— Zgoda, ale wtedy wcale nie odczuwasz upojenia. Przyniosę wody i wypijesz z nami.

Bybar wstał i przyniósł garniec napełniony wodą i kieliszek. Napełnił ćwiartkę kieliszka wodą i do pełna nalał rakii.

— No tak — uśmiechał się, stawiając przede mną kieliszek. — Jest z wodą. Możesz teraz z nami pić, nie grzesząc przeciw nakazom Koranu. Niech Allah błogosławi twemu życiu!

Przytknął flaszę do ust, pociągnął długi haust i podał ją bratu, który był tak samo łapczywy. Sam skromnie maczałem usta w kieliszku.

Bybar na ogół prowadził rozmowę, podczas gdy Sandar był baczny i milczący. Zaraz też spytał:

— A więc skąd przybywasz?

— Właściwie przybywam z Avret Hissar.

— I dokąd zmierzasz?

— Do Üsküb, które Bułgarzy zważ Skopja, aby tam nauczać wiernych praw i prawideł Koranu.

— W Üsküb? To się rozczarujesz.

— Dlaczego? — zapytałem skromnie.

— Czyżbyś nie wiedział, że pobożność jest tam pośmiewiskiem?

— Słyszałem o tym i dlatego pragnę tam pojechać.

— Zatem wyplujesz sobie płuca, a nikogo nie nauczysz.

— Co ma być, to będzie. Tak napisano w Księdze Żywota — odparłem.

— Zdaje się, że doskonale znasz tę księgę!

— Zna ją Allah i tylko on sam ją czyta. Mam nadzieję, że zawiera ona także nazwiska niektórych mieszkańców z Üsküb.

— Mocno w to wątpię. Są to Skipetarowie, a oni są niewiele warci.

— Niestety. Także i o tym słyszałem. Nie znam ich, ale są podobno pośród nich złodzieje, rozbójnicy i mordercy.

— Czyżbyś jeszcze nigdy nie widział rozbójnika?

— Nigdy jeszcze nie spotkało mnie to wielkie nieszczęście, abym spotkał któregoś z tych grzeszników — westchnąłem, zrobiwszy przy tym obojętną minę. Bracia trącili się pod stołem nogami i wyraźnie bawiła ich moja naiwność.

— Ale nie boisz się spotkania z nimi? — drażył dalej Bybar.

— Dlaczego miałbym się bać? Czy rozbójnicy mogą uczynić mi coś innego, niż to co mi z góry przeznaczone?

— Hm... A jeśli cię teraz jakiś rozbójnik napadnie?

— Szkoda jego fatygi. To jest bowiem mój cały majątek. Cisnąłem przy tym sześć piastrów na stół i powiedziałem prawdę, gdyż dając moje pieniądze Halefowi, nic więcej przy sobie nie miałem.

— Rzeczywiście nie zdobyłby wiele, ale przecież w podróży musisz mieć pieniądze!

— Pieniądze?... Po co?

— Po to, aby żyć.

— Do życia nic mi nie trzeba. Czyż Prorok nie nakazuje gościnności?

— Zatem żebrzesz? — uśmiechał się Bybar.

— Żebrać! Zamierzasz obrazić szeryfa? Jedzenie, picie, i nocleg wszędzie znajdę.

— A gdzie spałeś ostatniej nocy?

— W Ostromczy.

— Ach tam! To się dobrze składa!

— Dlaczego? Jesteście może stamtąd?

— Nie, ale słyszeliśmy, że ostatniej nocy wybuchł tam. ogromny pożar.

— Ogromny? — O nie!

— Miało przecież spłonąć pół miasta.

— Kłamca wam to powiedział. Prawdą jest, że był tam pożar, ale raczej skromny, i nawet nie w mieście, lecz na wzgórzu za miastem.

— Nie ma tam przecież żadnego domu!

— Ale jest chata.

— Może starego Mübareka?

— Niestety.

— Czy wiadomo, kto ją podpalił?

— Sam Mübarek.

— Nie wierzę. Pobożny człowiek ma być podpalaczem?

— No, nie był on tak pobożny, za jakiego uchodził.

— A więc byłaby to prawda, co o nim słyszeliśmy?

— A co słyszeliście?

— Że jest on właściwie wielkim złodziejem, przestępcą.

— Tym razem jesteście dobrze poinformowani. — Jesteś tego pewien?

— Owszem, gdyż byłem przy tym, jak starego aresztowano. Byłem również przy pożarze i wszędzie.

— A zatem widziałeś być może również czterech obcych ludzi, którzy to wszystko spowodowali?

— Mieszkałem i spałem z nimi nawet w tym samym hanie.

— Naprawdę? To pewnie z nimi także rozmawiałeś?

— Z całą czwórka.

— Czy rozpoznałbyś ich, gdybyś ich teraz spotkał?

— Momentalnie!

— To bardzo dobrze. Czekamy bowiem na nich, bo chcemy z nimi rozmawiać, ale ponieważ nigdy ich dotąd nie widzieliśmy, moglibyśmy się łatwo pomylić. Czy nie chciałbyś ich nam wskazać, kiedy się pojawią?

— Chętnie, jeżeli nie będę musiał zbyt długo czekać.

— Masz przecież czas!

— Pojutrze muszę być w Üsküb.

— Nie będziesz czekał dłużej niż trzy godziny.

— To dla mnie zbyt długo — mruknąłem.

— Zapłacimy tobie.

— Zapłacicie? To może przydać inny obrót sprawie. Ile miałbym otrzymać?

— Zanim przybędą, dostaniesz pięć piastrów.

— A jeżeli się nie zjawią, albo przybędą bardzo późno i nie będę mógł dalej jechać z powodu mroku?

— To opłacimy ci tutaj nocleg i wyżywienie.

— Wobec tego zostaję, ale te pięć piastrów musicie mi wypłacić zaraz.

— Myślisz może szeryfie, że nie mamy pieniędzy?

— Co to, to nie, ale myślę, że to ja ich nie mam i dlatego chciałbym je dostać.

— Taki drobiazg możemy bez trudu wypłacić awansem. Masz! Bybar rzucił mi dziesięć piastrów i uśmiechał się lekceważąco, kiedy ze zdziwieniem przyglądałem się jemu.

— Bierz. Jesteśmy bogaci.

Byli dobrze zaopatrzeni w gotówkę, gdyż sakiewka tego człowieka była duża i brzęczała, jakby w niej było złoto.

Teraz wypytywano mnie o moją osobę. Musiałem dokładnie opisać siebie i moich towarzyszy i opowiedzieć o tym, jak nie trafiły nas kule.

Opowiedziałem o wszystkim, co się wydarzyło, a Skipetar spytał:

— Czy nie słyszałeś, kiedy ta czwórka wybiera się w drogę?

— Byłem przy tym, gdy jeden z nich powiedział, że wyjadą w południe.

— O tym słyszeliśmy także, ale uważamy, że oni tutaj nie przyjadą.

— Dlaczego?

— Bo się boją.

— Och, ci przybysze nie wyglądają na takich, co to się boją! Kogo mieliby się bać?

— Rozbójników.

— Nie wierzę. Nawet ja nie boję się rozbójników, a cóż dopiero ta czwórka! Gdybyście tylko widzieli broń jednego z nich.

— Słyszałem o tym. Ale podobno powiedziano mu, że chcą go złapać w zasadzkę.

— Nic o tym nie wiem, ale i ja słyszałem o jakichś dwóch rozbójnikach.

— A więc jednak! Co z nimi?

— Mübarek wynajął dwóch ludzi, którzy mają tych czterech przybyszy zabić po drodze.

— Skąd ta wiadomość?

— Z podsłuchanej rozmowy.

— Do diabła! Co za nieostrożność! Czy znane są nazwiska tych rozbójników?

— Nie. I myślę, że nikt ich nie zna.

— A co na to przybysze?

— Śmieją się.

— Na Allaha! Śmieją się? — parsknął Bybar. — Śmieją się z tych, którzy mają ich napaść? Myślą może, że rozbójnicy to słabeusze?

— Obojętnie jak silni są rozbójnicy. Nic nie zrobią całej czwórce, bo oni są kuloodporni.

— Kuloodporni? Do diabła! Nigdy w to nie wierzyłem i uważałem za naiwną bajkę to, że człowiek potrafi się uodpornić na kule. Dobrze się temu przyjrzałeś?

— Bardzo dobrze. Stałem całkiem blisko.

— Kule ich nie trafiły? Efendi ponoć je nawet łapał?

— I to ręką, a potem, kiedy ponownie wystrzelono tę samą kulę, przebiła deskę.

— Nie do wiary! — dziwił się Bybar.

— Było przy tym ponad pięciuset ludzi i oglądali naboje.

— Zatem trzeba uwierzyć. Gdybym to i ja potrafił taką sztuczkę, skonsumowałbym codziennie cały Koran.

— Chodzi chyba nie tylko o to, lecz przypuszczam, że w grę wchodzi jeszcze inne tajniki.

— Bez wątplenia. Dałbym wiele za to, aby móc je poznać.

— Nikt ich nie zdradzi — stwierdziłem.

— A ja myślę, że przynajmniej dwóch ludzi mogłoby je poznać?

— Kogo masz na myśli?

— Rozbójników, którzy na nich czatują.

— Och! Oni z pewnością nie!

— Nie rozumiesz tego, mimo że jesteś szeryfem. Czy ci przybysze są również odporni na ciosy i

klucie?

— Hm... Tego nie wiem.

— A więc na pewno nie są, bo gdyby tak było, to w każdym razie też by się z tym obnosili. A może uważasz, że my, gdybyśmy byli tymi Skipetarami, powinniśmy się obawiać tego z nich, który jeździ na arabie?

— Z pewnością nie w walce wręcz — oceniłem.

— A więc nie są jednak w pełni bezpieczni, lecz i ja jestem przekonany, że nic im się nie przydarzy, jeśli pośpieszymy im z pomocą.

— Macie naprawdę taki zamiar? — dowiadywałem się spokojnie.

— Dlaczego w to wątpisz? Wyjechaliśmy z Radowicza tym ludziom naprzeciw. Chcemy ich podjąć i mile zaskoczyć. Mają u nas zamieszkać jako nasi przyjaciele. I biada temu, kto chciałby im wyrządzić krzywdę!

— Hm... Wierzę. Ale waszych przyjaciół mogą napaść, zanim tu dojadą.

— Wykluczone. Tam nie ma odpowiedniego miejsca na napad.

— Masz takie dobre rozeznanie? — pytałem, starając się zachować obojętną minę.

— Owszem. Służyłem bowiem w wojsku. Dalej, w kierunku Radowicza, droga wiedzie przez las i tam jest odpowiednie miejsce na zasadzkę. Po obu stronach drogi sterczą skały, a las jest tak gęsty, że nie można uciec ani w prawo, ani w lewo. Gdyby tam napadnięto naszych gości, to zostaną na zawsze zgubieni.

W przerwie, jaka powstała, gdyż Bybar zamyślił się spoglądając w ziemię, usłyszałem wyraźne zawodzenie dobiegające z wnętrza domu. Słyszałem je już wcześniej, ale nie tak wyraźnie. Zdawało mi się, że był to głos dziecka. Sprawa wydawała mi się niemal podejrzana, ale myślałem sobie, że Skipetarzy nie dokonali tutaj z pewnością nic złego, bo tak spokojnie by przecież nie siedzieli.

— Kto tak zawodzi w tym domu? — zapytałem.

— Nie wiemy.

— Czy to han? A gdzie handzi?

— W izbie.

— Zajrzę do niego — odparłem. Wstałem i skierowałem się ku drzwiom.

— Stój!... Dokąd? — spytał Bybar. — Do karczmarza.

— Podejź tu, do okna!

Zorientowałem się, że bracia nie chcą mi pozwolić na rozmowę sam na sam z handzim. W każdym razie znał on Skipetarów i dlatego obawiali się, że ich może zdradzić. Pokuśtykałem więc do otwartego okna i wsadziłem głowę do środka. Zawodzenie nie ustawało.

— Handzi! — zawołałem do wnętrza izby.

— Słucham? — odpowiedział głos męski. — Kto tam tak zawodzi?

— Moja córka, bo ją bolą zęby.

— Ile ma lat?

— Dwanaście.

— Byłeś z nią u balwierza albo u hekima?

— Nie. Jestem na to za biedny.

— Pomogę ci, zaraz idę.

Bracia Aladzi słyszeli każde słowo. Kiedy się znów skierowałem ku drzwiom, powstali i udali się za mną. Izba, nawet jak na tamtejsze warunki, była nad wyraz uboga. Nikogo w niej nie było poza karczmarzem i chorą zawodzącą w kącie.

Mężczyzna ten siedział na stołku z łokciami wspartymi na kolanach, brodę podpierał rękami i

wcale na nas nie spojrział.

— Więc ty jesteś tu gospodarzem? — spytałem go. — A gdzie gospodyni?

— Nie żyje — odpowiedział głucho, nie patrząc na mnie.

— Jesteś godny pożałowania. Masz jeszcze inne dzieci?

— Troje mniejszych.

— Gdzie one?

— Nad Strumnica.

— Co za nieostrożność! Dzieci nie puszcza się bez opieki nad wodę.

Handzi podniósł głowę i spojrział na mnie zdumiony.

— Dlaczego nie idziesz po nie? — pytałem dalej.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie wolno mi wychodzić.

— Hm... Kto ci tego zabronił?

Obrzucił ponurym spojrzeniem braci Aladzi. W tym samym momencie spostrzegłem, że Sandar pogroził mu palcem. Zachowałem się tak, jakbym tego nie widział i poszedłem do kąta, powiedziałem do małej kilka miłych słów i zaprowadziłem ją do okna.

— Zbliź się — prosiłem łagodnym tonem, aby pozyskać jej zaufanie. — Postaram się, ulżyć ci. Otwórz buzię i pokaż mi ten ząb.

Uczyliła to bez wahania. Ząb zdawał się być zdrowy. Ból mógł mieć charakter reumatyczny. Na to nie było oczywiście lekarstwa. Wiedziałem natomiast z doświadczenia, jaki wpływ, szczególnie u dzieci, ma wyobraźnia. Przede wszystkim powinien ustać płacz.

— Zamknij teraz usta i potakuj lub zaprzeczaj mi głową — powiedziałem.

— Jeszcze boli? Przytaknęła.

— A zatem uważaj. Położę ci na chwilę dłoń na policzku i przestanie boleć.

Przytuliłem do siebie główkę dziecka i położyłem na obolałym policzku dłoń, spokojnie go głaszcząc. Nie znam się na magnetyzmie, ale zdałem się na wyobraźnię dziecka i na kojące uczucie rodzące się z chwilą, kiedy przyjazna, ciepła dłoń łagodnie dotyka obolały policzek.

— Przestało boleć? — spytałem po chwili. Dziewczynka ponownie przytaknęła.

— Całkowicie?

— Tak. Zupełnie! — odpowiedziało dziecko, podczas gdy rozpromieniła się jego twarzyczka, zaś oczy uśmiechały się z wdzięcznością.

— Nic nie mów i wciągaj chwilę powietrze nosem, wtedy ból już nie wróci.

Wszystko to było takie proste, takie oczywiste, a mimo to, kiedy chciałem wyjść, podszedł do mnie handzi i rzekł:

— Jęczała już od wczoraj. Tego nie można było znieść i dlatego dzieci sobie poszły. Ty, szeryfie, potrafisz działać cuda!

— Nie. To nie jest cud. Zastosowałem jedynie bardzo prosty środek i będzie on pomocny, jeśli twoją córkę dzisiaj jeszcze zatrzymasz w domu. Pójdę teraz po pozostałe dzieci.

— Ty, szeryfie, pójdziesz po nie?

— Oczywiście. Jeśli ty nie możesz.

Bracia Aladzi obrzucili go gniewnym spojrzeniem. On natomiast schylił się, jakby chciał coś podnieść, przez to znalazł się bliżej mnie i kiedy się znów podnosił, szepnął mi:

— Miej się na baczności! To Aladzi.

— Co to ma znaczyć? — krzyknął Sandar, który coś usłyszał. — Co powiedziałaś?

— Ja? Nic! — handzi starał się odpowiedzieć w sposób możliwie naturalny.

— Nie kłam sukinsynu, bo zaraz oberwiesz.

Skipetar zamierzył się pięścią — ja zaś ująłem go za ramię i upomniałem:

— Co czynisz, przyjacielu? Czyżbyś nie wiedział, że Prorok zabrania, by gniew szpecił oblicza jego wyznawców?

— Co mnie obchodzi twój Prorok?

— Nie rozumiem ciebie. Zachowujesz się jak człowiek zły, a mimo to pragniesz być przyjacielem owych czterech przybyszy, którzy nie obrażają żadnego robaczka?

Sandar opuścił ramię, rzucił na karczmarza ponure spojrzenie i odparł:

— Masz rację, szeryfie! Ale kocham prawdę i nienawidzę kłamstwa i dlatego tak się złościę. Wychodzimy!

Podążyłem za nim, ale na dworze poczynałem sobie jak człowiek wolny i pokuśtykałem ku rzece. Nie ulegało wątpliwości, iż bracia Aladzi traktują mnie na poły jako swego więźnia. Nie mogli mi pozwolić na powrót ani też na dalszą jazdę, gdyż mogłem ich z łatwością zdradzić, nawet gdybym ich nie rozpoznał i tego nie zamierzał. Dlatego musieli mnie trzymać na oku.

Na dole, w pobliżu wody, siedziało troje dzieci, w których domyśliłem się dzieci handziegów. Dałem im dziesięć piastrów, które otrzymałem od Bybara i powiedziałem, że mają przyjść do ojca, bo ich siostrzyczka wyzdrowiała. Podskakiwały z radości, wygramoliły się na brzeg i pobiegły do domu. Kiedy usiadłem znów przy stole, zorientowałem się, że bracia coś postanowili:

Tutaj nie byli całkiem bezpieczni przed ryzykownymi spotkaniami, a także zbliżał się czas, w którym my mieliśmy przybyć, dlatego przypuszczałem, że postanowili stąd wyruszyć. I zgadłem, gdyż Bybar rzekł:

— Mówiłem tobie, że istnieje tylko jedno jedyne miejsce, gdzie przybysze mogą zostać napadnięci. Jesteśmy z bratem zdania, że byłoby dobrze, gdybyśmy i my w tym miejscu się ukryli. Wtedy moglibyśmy napadniętym przyjść z pomocą. Czy ci to odpowiada?

— Hm... Właściwie to ta sprawa wcale mnie nie obchodzi.

— A jednak! Jeśli rozbójnicy tam czatują, napadną także na ciebie, gdy udasz się w dalszą drogę. Ponadto pragniemy ci pokazać prawdziwą i autentyczną sztukę Skipetarów, o której będziesz potem mógł opowiadać w Üsküb.

— Pobudziłeś moją ciekawość, a więc jadę z wami.

— Zatem, na koń!

— Czy zapłaciliście za rakię?

— Nie! Bo handzi postawił ją nam za darmo.

Postawił, bo musiał! To prawda. Podszedłem do okna i wrzuciłem kilka moich piastrów. Bracia mnie wyśmiali. Bybar poszedł po konie stojące za domem, podczas gdy Sandar pozostał przy mnie, abym się nie wymknął.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez most, odwróciłem się w siodle. Handzi stał w drzwiach i z przestrogą uniósł rękę. Nie przypuszczałem, że go jeszcze zobaczę. Z tamtej strony mostu droga prowadziła najpierw pośród pól, potem były łąki, następnie zagajniki, aż wreszcie wjechaliśmy w gęsty las.

W drodze nie rozmawiano. Rozbójnicy uważali mnie za ograniczonego człowieka, gdyż pomiędzy tym co mówili, a tym co czynili kryły się jaskrawe sprzeczności, które podpadłyby nawet tępemu osobnikowi. Gdyby w lesie mieli się rzeczywiście ukryć wrogowie, to głupotą byłoby chcieć ratować przybyszy w taki sposób, aby się również ukryć i przyjść im z pomocą dopiero w chwili walki. Powinniśmy raczej wysledzić kryjówkę rozbójników i przybyszy ostrzec. Być może udałoby

się ominąć niebezpieczną kryjówkę, albo, gdyby nie można było tego uczynić z powodu leśnego gąszczu, można by gromadnie, pieszo, zająć ptaszków ukradkiem i zgotować im totalną porażkę.

Pośrodku lasu droga opadała w dół, tworząc jednocześnie ostry zakręt. Z prawej i lewej strony sterczały skały, za którymi można się było ukryć, aby potem z wysokiego zrębu strzelać na drogę wiodącą parowem. Było to miejsce jakby stworzone do napaści i właśnie tutaj zatrzymali się bracia Aladzi.

— To tutaj — zdecydował Bybar. — Tu musimy się ukryć. Podjedźmy do tej skarpy!

Mówił cicho, abym uwierzył, że on faktycznie uważa, iż zbójcy mogli się gdzieś tutaj ukryć. Wtedy jednak oni powinni nas widzieć i słyszeć, a nie my ich! Doszedłem do przekonania, że moja twarz chyba już z natury nie sprawia wrażenia bardzo inteligentnej, gdyż sama tylko prymitywna maskarada nie wystarczyłaby do tego, by nadać jej durnego—wyglądu. I trzeba by jeszcze do tego być wręcz głupim, aby nie przejrzeć zamiarów owych ptaszków.

Na górze, na wysokim poboczu drogi, drzewa nie rosły zbyt gęsto, tak że jeszcze kawałek jechaliśmy konno. Potem musieliśmy konie prowadzić.

Zatrzymaliśmy się. Konie miały być uwiązane jeden do drugiego. Propozycja ta nie podobała mi się, gdyż miałem zamiar ukradkiem prysnąć. W tym celu mój koń powinien stać w takiej odległości od pozostałych koni, aby go bracia nie widzieli.

Niespostrzeżenie podniosłem z ziemi ostry kamyczek. Potem udawałem, że mojemu koniowi uwiązanemu do srokaczy chcę poluźnić popręgi, ale tak naprawdę to zaciągałem je tak ciasno, jak tylko mogłem, wkładając wcześniej kamyczek pod siodło tak, że ostry jego koniec znajdował się pomiędzy siodłem a skórą konia. Kamyczek musiał zwierzęciu sprawiać ból. Na efekt nie należało długo oczekiwać.

W tym czasie bracia Aladzi wyszukali odpowiednie miejsce, z którego mogli penetrować wzrokiem leżącą za nimi drogę, nie będąc widocznymi. Strzelby położyli obok siebie. Odpasali również swoje czekany. Odgadłem ich zamiary. Wierzyli, że kule nie mogą nam nic zrobić i dlatego chcieli nas zabić czekanami. Ludzie ci posiadali dużą sprawność w miotaniu tą bronią, lecz mimo że nigdy nie miałem jej w ręku, przypuszczałem, że potrafię operować czekanem równie dobrze, ponieważ posiadałem pewną wprawę w ciskaniu tomahawkiem.

Przysiadłem się do braci i rozmowa toczyła się teraz po cichu. Bracia zachowywali się tak, jakby byli gotowi do walki, aby przybyszy, a więc nas, obronić przed rozbójnikami. Sztuczka Skipetarów, jaką mi chcieli zademonstrować, polegała tylko na tym, że upewnili się co do mego współdziałania, mimo że sami byli mordercami. Dopiero ich czyn miał mnie zaskoczyć. W taki sposób, opowiadając później o swojej przygodzie, miałem objawić własną głupotę i narazić się na wyśmianie. Mój kamyczek zaczął od pewnego czasu spełniać swoje zadanie: koń Halefa stawał się niespokojny, bowiem parskał i wierzgał.

— Co ten twój koń wyprawia? — spytał Bybar.

— Och nic! — odparłem obojętnie.

— To ma być nic? On nas może zdradzić!

— Jak to?

— Jeśli będzie robił tak jak teraz, to można oczekiwać, że ukryci tu rozbójnicy usłyszą hałas i jesteśmy zgubieni.

Ale tak naprawdę to uważał, że to oczekiwani przybysze usłyszą hałas, co nakaze im być przezornymi.

— On będzie jeszcze gorszy — wyjaśniłem spokojnie.

— Niby dlaczego?

— Moja szkapa nie znosi, aby ją wiązać z innymi końmi. To taki kaprys, od którego nie mogę jej odzwycząić. Muszę ją zawsze trzymać na dystans od innych koni — rzekłem i po tych słowach wstałem.

— To odprowadź ją dalej! Stój! Zostaw derkę i nóż. A także turban!

— Ale po co?

— Byśmy wiedzieli, że wrócisz. Zdejmij turban!

Byłby to dopiero numer! Rabusie spostrzeżliby, że głowę mam niegoloną i nie jestem muzułmaninem, a już wcale nie szeryfem, dlatego odpowiedziałem z zimną krwią:

— Co ci przyszło do głowy? Czy szeryf może kiedykolwiek odsłonić głowę? Znam dobrze *Multeka el Buhur*, jak i *Miszkat el Messabih*, oraz sławną *Fetwę Alema Ghiri* i *Hamadana*. Wiem doskonale, co dozwolono wyznawcom Allaha. A teraz miałbym duszę oddać na pastwę wiatrom, aby ją poniósł sztorm?

— Więc zostaw tylko derkę i nóż. Idź już!

Odwiązałem konia i poprowadziłem go kawałek dalej, aby go tam byle jak umocować. Potem z największym pośpiechem pobiegłem przez krzewy i zarośla, to skacząc, to znów się czołgając, aż do minionego zakrętu drogi, na którą mogłem teraz wejść niewidoczny dla braci Aladzi. Wydarłem kartkę z mego notatnika i napisałem:

„Ajry ajry Hasyrlayin! Osko ile Omar jasz, Halef dört nal gisin, iki bin adymler tahminen — Jedźcie pojedynczo! Osko i Omar powoli, Halef galopem, mniej więcej przez dwa tysiące kroków”.

Karteczkę umocowałem przy pomocy drewnianego kółeczka, który szybko wystrugałem, i scyzoryka, na stojącym przy drodze drzewie, tak że nie można jej było nie zobaczyć. Oczywiście, że wcześniej mogli tędy przejeżdżać także inni ludzie, ale na to nie było rady. Zresztą Halef powinien w każdej chwili nadjechać.

Trwało to zaledwie dwie minuty. Wróciłem znów szybko do konia, aby go mocniej uwiązać i uwolnić od gniotącego kamyka. Zanim się z tym uporałem, usłyszałem za sobą kroki. To Sandar mnie szukał.

— Gdzie tak długo byłeś? — zapytał szorstko.

— Tu, przy koniu — odpowiedziałem dowcipnie i patrzyłem na niego zdumiony.

— Widzę! Ale musiało to tyle czasu trwać?

— Nie wolno mi robić tego, co chcę?

— Nie. Odtąd nie wolno. Należysz do nas i musisz się podporządkować!

— Czy który z was mi powiedział, na jak długo mogę się oddalić?

— Nie zadawaj, ośle, głupich pytań! I wynoś się tam, gdzie nasze miejsce!

— Jeśli będę chciał — odparłem, gdyż Sandar okazał się bezczelny nawet wobec domniemanego szeryfa.

— Nie masz tu nic do chcenia, rozumiesz? Jeśli natychmiast nie przyjdiesz, to ci pomogę.

Wówczas podszedłem do niego mówiąc:

— Słuchaj! Nie pozwalaj sobie za wiele! Nazwałeś mnie osłem. Jeśli nie masz szacunku dla szeryfa, to żądam przynajmniej szacunku dla mojej osoby. A jeżeli mi go odmawiasz, to potrafię go wymusić.

Tego się Sandar po mnie nie spodziewał.

— Co za bezczelność! Ja mam mieć poważanie dla tak śmiesznej osoby! Gdybym cię tylko dotknął, padłbyś ze strachu.

Złapał mnie za lewe ramię i ścisnął je tak mocno, że ktoś słabszy ode mnie z pewnością krzyknąłby z bólu. Ja natomiast roześmiałem mu się prosto w twarz i odparłem:

— Powinieneś złapać inaczej! O, tak!

Położyłem rękę na jego lewym ramieniu w ten sposób, że kciuk znalazł się pod obojczykiem, natomiast pozostałe cztery palce w wystającej ku górze i na zewnątrz części łopatki, tworzącej wraz z kością ramienia staw barkowy. Ktoś kto zna ten chwyt i potrafi go zastosować), powali jedną ręką najsilniejszego człowieka, Zacisnąłem palce szybko i mocno. Wtedy wrzasnął głośno i chciał mi się wywinąć, ale nie mógł, gdyż ból przeszył go od stóp do głowy, tak że ugięły się pod nim kolana i osunął się na ziemię. Krzyk ściągnął jego brata.

— Co się stało, Sandar? — zapytał.

— Allah akbar! Nic nie rozumiem! — odparł zapytany i podniósł się z ziemi. — Ten człowiek pokonał mnie jedną ręką i chyba złamał mi obojczyk.

— Pokonał cię? Dlaczego?

— Ponieważ zwymyślałem go z powodu długiej nieobecności.

— Do diabła! Co ci wpadło do głowy? Mam cię zmiażdżyć? Bybar pochwycił mnie, aby mną potrząsnąć. Stawianie oporu nie należało do mojej roli szeryfa, ale by ktoś mnie tarł i trzął jak chłopcem, nie było mi w smak. Dlatego złapałem również Bybara, przyciągnąłem go najpierw ku sobie i gwałtownie odepchnąłem na długość rąk, że musiał mnie puścić. Pochyliłem się nieco i nie wypuszczając go z ręki zgąłem przedramię i błyskawicznym poderwaniem podrzuciłem olbrzyma w górę i cisnąłem na ziemię.

Leżał tak przez sekundę, całkiem oszołomiony z bezgranicznego zdumienia, potem wstał i wyciągnął ku mnie obie ręce.

— Jeszcze raz? — zapytałem i zrobiłem krok do tyłu.

Byłem już zły. Możliwe, iż moje oczy patrzące znad osuniętych niebieskich okularów miały teraz inny wyraz, niżby przystało na pełnego namaszczenia szeryfa, gdyż Aladzi cofnął się przerażony i zawołał:

— Jesteś olbrzymem, szeryfie!

Schyliłem głowę i odpowiedziałem pokornie:

— Widocznie przypisano mi to w Księdze Żywota. Nie jestem temu winien.

Bracia głośno się roześmiali.

— Wiesz Bybar, ten człowiek wcale nie wie, jaką posiada siłę — stwierdził Sandar.

Bybar natomiast zlustrował mnie od turbanu po sandały i odparł:

— To nie tylko siła, to oznacza także ćwiczenie. Tym chwytem potrafi operować ktoś, kto go długo ćwiczył. Gdzie się tego nauczyłeś, szeryfie?

— U Wyjących Derwiszów w Stambule. Często w wolnych chwilach zmagaliśmy się dla żartów.

— Ach tak! A już myślałem, że jesteś zupełnie kimś innym, niż na to wyglądasz. Twoje szczęście. Bo gdybyś chciał nas zwieść, życie twoje byłoby tyle warte, co życie muchy w dziobie ptaka. Nie będziesz teraz siedział obok, lecz usiądziesz pomiędzy nami. Musimy się obchodzić z tobą ostrożnie.

Wróciliśmy na nasze poprzednie miejsce i bracia wzięli mnie tam między siebie. Zbudziłem w nich nieufność. Moje położenie pogorszyło się, ale się nim nie martwiłem, miałem nad nimi znaczną przewagę w rewolwerach.

Teraz już nie rozmawiano. Bohaterowie traktów uznali, że w istniejących warunkach najkorzystniejsze jest milczenie. Jeśli się o coś martwiłem, to nie o mnie, lecz o moich towarzyszy. Możliwe, że jednak nie spostrzegli mojej kartki, albo że zerwali ją jadący przed nimi ludzie lub zniknęła z jakiejś innej przyczyny.

Nie jest to jednak przyjemne uczucie siedzieć pomiędzy dwoma silnymi i po zęby uzbrojonymi rozbójnikami. To, że w Turcji może istnieć pewna grupa takich ludzi, bardzo łatwo wytłumaczyć:

wynika to z tamtejszych stosunków. Czyta się niemal w każdej gazecie o gwałtownych zajściach granicznych, rozbojach i rabunkach. Rząd wydał rozporządzenie, w którym nakazał, aby każdy z sędziów wyrokował wreszcie zgodnie z obowiązującym prawem. Jeden ze znanych i potężnych paszów wystosował do Wysokiej Porty memorandum, w którym zagroził, że zwolni się z funkcji, jeśli nie uzyska zgody na ukaranie biorących górę w jego okręgu sprawców rozbojów. Czyż zatem należało się dziwić, że w tych stronach podróżny sam wymierzał sprawiedliwość, której nie mógł dochodzić? Czy jest w tym coś niezrozumiałego, że ledwie rozbito jedną bandę, a już pojawiały się inne? Spokojny mieszkaniec czuł się prawie zmuszony do sojuszu z tymi ludźmi. To oni byli prawdziwymi władcami dzierżącymi okrutne rządy.

Siedzieliśmy już na tyle długo, że powoli traciłem cierpliwość. Wreszcie usłyszeliśmy z prawej strony jakiś szmer.

— Słyszycie! Ktoś się zbliża — powiedział Sandar i schwycił za topór. — Może to oni!

— Nie — odparł jego brat. — To pojedynczy jeździec. Właśnie jest na zakręcie.

Spojrzałem do tyłu i ku mojej radości zobaczyłem Omara, na dodatek samego. A więc moja kartkę znaleziono i przeczytano. Omar zbliżał się powoli z opuszczoną głową, jakby zatopiony w myślach. Nie spoglądał ani w lewo, ani w prawo.

— Poczestujemy go...? — spytał Bybar, wskazując na strzelbę.

— Nie... — odparł Sandar. — Ten człowiek nic nie ma, to po nim widać.

Te ptaszki nie obawiały się nawet mówić w mojej obecności o swoim właściwym rzemiośle.

Nie podnosząc ani razu w górę wzroku, Omar przejechał przed nami.

Po pewnym czasie Sandar zauważył:

— Zbliża się kolejny!

— Też taki hołysz?

— Ale... czy zamierzamy puszczać wszystkich?

— Teraz tak. Pomyśl bowiem, że nasze strzały będzie słychać.

— Oczywiście. Usłyszą je rozbójnicy — potwierdziłem z udaną naiwnością. — I zorientują się, że jesteśmy tutaj, aby im przeszkodzić.

— Głupiec! — roześmiał się ironicznie Sandar.

Teraz zbliżał się Osko. Również on sprawiał wrażenie beztroskiego i spokojnego człowieka. Jego wygląd nie zdradzał zamożności i dlatego minął nas szczęśliwie.

Za chwilę winien pojawić się Halef. I tu miał się zacząć mój kłopot. Bracia Aladzi zechcą go strzaleć wysadzić z siodła, aby zdobyć wspaniałego karego rumaka. Wprawdzie nie powinienem do tego dopuścić i poczęstować ich raczej kulką, ale byłoby lepiej, gdybym tego uniknął. Dlatego musiałem spróbować odwrócić ich uwagę. W tym celu baczenie, choć ukradkiem, śledziłem zakręt, zza którego winien wyłonić się Halef. Właśnie stamtąd wyskoczył. Bracia jeszcze go nie zauważyli. Wstałem.

— Dokąd? — zapytał szorstko Sandar.

— Do konia! Nie słyszysz, że znów jest niespokojny?

— Niech szejtan porwie twego konia. Zostaniesz tutaj!

— Nie masz mi nic do rozkazywania — odparłem stanowczo i wykonałem ruch, jakbym chciał odejść. Wtedy wstał i schwycił mnie za ramię.

— Zostaniesz, albo dam ci...

Przerwał mu okrzyk Bybara, który najpierw spojrzał na nas, ale również spostrzegł Halefa.

— Trzeci jeździec! Cisza... — polecił Bybar. Sandar patrzył na drogę.

— Maszallah! — wykrzyknął. — Jaki koń! To ten przybysz, to musi być on!

— Chyba nie! Bo jeździec jest o wiele za mały.

— Ale kary koń jest pełnokrwistym arabem, prawdziwej, czystej krwi! Na Allaha! On leci jak wiatr!

Sandar miał absolutną rację. Mój ogier zwał się Rih, a słowo to oznaczało wiatr. Sto razy leciałem na jego grzbiecie z wiatrem w zawody, ale nigdy jeszcze nie widziałem, jaki wspaniały widok przedstawia w biegu ten pyszny koń. Tułów dotykał niemal ziemi, nie można było rozróżnić nóg. Grzywa zasłaniała twarz jeźdźca, zaś ogon tworzył linię prostą i długą niby ster. A mimo to widziałem, że Rih przecież się wcale nie wysila. Gdybym to ja siedział w siodle, wtedy leciałby całkiem inaczej, gnany na złamanie karku znaną tylko mi „tajemnicą”!

Mój mały, dzielny Halef stał w strzemionach głęboko pochylony do przodu. Własną strzelbę jak i moją broń miał przewieszoną przez ramię. Z tyłu siodła przytroczył mój kaftan i wysokie jeździeckie buty. Jego własny kaftan powiewał w powietrzu, unoszony porywem wiatru wzniesionym wyjątkową szybkością konia. Hadzi jechał znakomicie. Droga, usiana dużymi i mniejszymi głazami, sprawiała przy takiej gonitwie pokaźne trudności. Jedno błędne stąpienie mogło zwalić z nóg i jeźdźca, i rumaka. Lecz mój Rih nigdy jeszcze nie zrobił fałszywego kroku. Ostrość jego wzroku, elastyczność i lekkość kończyn wzbudzały zachwyt także teraz. Gdyby był tutaj zarządca jakiejś stadniny, kto wie jaką sumę proponowałby za tego szlachetnego i nieskazitelnego karego ogiera!

A jak długo trwało, zanim koń i jeździec dotarli do nas od zakrętu? Stało się to tak błyskawicznie, że nie starczyło czasu, aby pomyśleć o tych kilku sekundach. Zaledwie spostrzegłem Halefa i zamieniłem jedynie tych kilka słów z Sandarem, a on był tuż i jak strzała przemknął przez parów.

— Powstrzymaj go! Zastrzel! Prędko! — wołał Sandar, podnosząc strzelbę.

Również Bybar przyłożył swoją do policzka, ale ogier minął nas tak szybko, że nie było czasu na celowanie. Również i dla mnie nie starczyło czasu, aby zapobiec wystrzałom, które właśnie gruchnęły. Ale daleko poza zasięgiem Halefa!

— Za nim! — krzyknął Sandar, tracąc niemal zmysły na myśl, że mu się wymyka drogocenna zdobycz. — Tam z przodu kończy się las, tam jest sposobne miejsce do celowania.

Z kamienia na kamień, skakał po stromiźnie, zaś Bybar podążał za nim, podniecony tak samo jak brat. Teraz miałbym czas i okazję, aby się wymknąć, ale nie mogłem tego uczynić. O Halefa się nie obawiałem.. a jednak, także o niego. Przypuszczałem, że cała trójka po przebyciu mniej więcej dwóch tysięcy metrów wprawdzie się nie zatrzyma, ale pojedzie znów stępa i wówczas bandyci mogli ją niepostrzeżenie dogonić i zestrzelić z koni. Wprawdzie nie mieli pocisków w jednolufowych strzelbach, które jednak mogli znów szybko załadować. A zatem musiałem im udaremnić pośpiech.

Dałem potężnego susa, by znaleźć się przy srokaczach, które w mig rozwiązałem. Wyjąłem zza szerokiego pasa batog i zacząłem bić zwierzęta. Konie stanęły dęba i rzuciły się do ucieczki w zarośla, ale zaplątawszy się cugłami w zarośla daleko nie umknęły.

Przeniosłem się szybko na pierwotne miejsce i krzyknąłem za braćmi:

— Sandar! Bybar! Zatrzymajcie się! Srokacze poniosły!

To poskutkowało. Bracia przystanęli, gdyż nie chcieli przecież utracić swoich doskonałych koni.

— Uwiąż je! — zawołał Sandar.

— Ale one uciekły!

— Do kroćset diabłów! Dokąd?

— Skąd ja mam to wiedzieć! Sam je zapytaj!

— Ty głupcze!

Bracia wrócili biegiem. Na ich miejscu nie spieszyłbym się, ale próbowałbym złapać karego

ogiera. Srokacze nie mogły uciec. Wspinali się na skarpe i wymyślali mi na całe gardło. Sandar był na górze pierwszy i szybkim spojrzeniem przekonał się, że koni naprawdę nie było. Natarł na mnie wrzeszcząc:

— Ty sukinsynu! Dlaczego ich nie trzymałeś?

— Patrzałem tak samo jak wy, nie na konie, lecz na jeźdźców.

— Ale mogłeś przecież uważać!

— Konie przestraszyły się waszych wystrzałów. Dlaczego strzelacie do ludzi, którzy nic złego wam nie zrobili! Zresztą konie nie należą do mnie, lecz do was. Nie jestem waszym parobkiem i nie muszę na nie uważać!

— Śmiesz tak do nas mówić? Masz za to!

Sandar trzymał strzelbę w prawej dłoni i chciał mnie dosięgnąć pięścią lewej. Uniosłem rękę do kontrataku, ale nie zauważyłem kamienia leżącego za moimi plecami i potknąwszy się o niego upadłem.

Sandar zamierzył się na mnie kolbą, zadając mi cios w pierś, przed którym zdołałem się tylko na poły osłonić. Uderzenie pozbawiło mnie tchu, ale w następnej chwili zerwałem się na nogi, złapałem obiema rękami olbrzyma za pas, uniosłem go w górę i cisnąłem nim w oddalone o kilka metrów drzewo, u stóp którego zaległ bez ruchu. Wtem ktoś złapał mnie z tyłu.

— Odpokutujesz za to, łajdaku! — wołał Bybar, który właśnie przybiegł. Schwycił mnie wpół i chciał mnie podnieść, ale ja rozstawiłem nogi, skuliłem się w ramionach i zaczerpnąłem głęboko powietrza, aby nabrać ciężaru, ale wtedy poczułem w stopie kłujący ból. Noga odmówiła mi posłuszeństwa. Musiałem ją zranić przy upadku.

Stojący za mną Skipetar wyteżył wszystkie siły, aby mnie podnieść w górę. Dyszał przy tym z gniewu i napięcia. Jego brat leżał nieprzytomny pod, drzewem. Możliwe, że uważał go za zabitego i pragnął go pomścić. Czułem, że bierny opór dłużej nie wystarczy. Należało uwolnić się z uścisku, dlatego dobyłem nóż i zadałem Bybarowi cios w rękę. Bybar puścił mnie, wyjąc z bólu i wściekłości, i wycedził przez zęby:

— Ty z nożem? Zastrzelę!

Odwrociłem się prędko i widziałem, że wyrwał z za pasa pistolet. Rozległ się trzask obu kurków. Możliwe, że mogłem go uprzedzić moim rewolwerem, ale nie chciałem go zabijać. Próbował we mnie wymierzyć. Podbiłem mu pistolet właśnie w momencie, w którym wypalił z jednej lufy. Strzał chybił. Błyskawicznie zadałem Bybarowi od dołu drugi cios pięścią w twarz, w nos, tak że zachwiała mu się głowa. Jednym chwytem wyrwałem złoczyńcy pistolet i wyrzuciłem go. Przez moment Bybar chwycił się za zranione usta i zakrwawiony nos. Potem wydał z siebie przeraźliwy krzyk i chciał mnie pochwycić, ale się schyliłem, podszedłem go, złapałem za nogi tak silnie, że palce wbiłem w ciało i przerzuciłem olbrzyma nad głowę. Rzuciłem się na leżącego szybko, aby nie zdążył się pozbierać i uderzyłem go w skroń tak mocno, że zakrzusiwszy się powietrzem, zemdlął.

Stało się to, co uważałem za niemożliwe: nie poddałem się żadnemu z braci Aladzi! Kiedy widziałem ich potężne ciała leżące bez ruchu przede mną, nie mogłem prawie uwierzyć w mój sukces. Z pewnością każdy z nich był silniejszy ode mnie, ale ja byłem szybszy niż oni i... znałem chwyt, których nie nauczyłem się oczywiście u Wyjących Derwiszów. Sprawdziłem stan obu braci. Nie umarli, a więc wkrótce powinni znów przyjść do siebie i dlatego właściwe dla mnie było, żebym stąd szybko zniknął. Aby ich jednak na pewien czas jeszcze unieszkodliwić, zabrałem zwisające im u pasa woreczki z prochem i podeptałem strzelby.

W tym zamieszaniu odczułem wyraźnie, że mam zranioną nogę. Jeśli przedtem udawałem, że utykam, to teraz kuśtykałem z konieczności. Podniosłem z ziemi sandały Halefa, które w czasie walki

zsunęły mi się z nóg, wsunąłem w nie stopy i poczłapałem do mego konia. Odwiązałem zwierzę i sprowadziłem je w dogodnym miejscu na drogę i tam skoczyłem w siodło. Po przejściu tego odcinka ból w nodze stał się jeszcze silniejszy.

Teraz, kiedy moja szkapa ruszyła z miejsca, z ulgą odetchnąłem. Tylko dzięki pomocy poczciwej Nebatji unikałem wraz z towarzyszami poważnego niebezpieczeństwa. Gdybym znalazł zaufanego posłańca, to naprawdę odebrałbym braciom Aladzi zrabowane pieniądze i wysłałbym je do niej. Ale tak, musiałem im je zostawić. Nie znajdowałem dla tych pieniędzy żadnego prawnie upoważnionego właściciela. A przekazać je urzędowi? W Ostromczy przyjrzałem się, jak to wygląda. Myślałem jednak z zadowoleniem o tym, co powiedzą bracia Aladzi, gdy się zorientują, kim faktycznie był ten głupi szeryf.

Nie musiałem daleko jechać, kiedy las się skończył. Droga wiodła teraz w dolinie Strumnicy, z rzeką po lewej ręce. W niedużej odległości spostrzegłem Halefa, Osko i Omara, którzy razem się zatrzymali. Poznali mnie od razu i wołali ku mnie ucieszeni. Spiąłem konia sandałami, nie mając ostróg, i pogalopowałem do nich.

— Och, sihdi! Jakże martwiliśmy się o ciebie! — wołał do mnie Halef z daleka. — Gdzie się podziewałeś?

— Byłem w lesie, który mijaliście i stamtąd przybywam.

— Widząc twoją kartkę, zaraz tak myśleliśmy.

— Zdjęliście ją?

— Tak, ale znów ją przybiliśmy.

— Dlaczego?

— Dla kawału. Myśleliśmy, albo to raczej ja myślałem, jak się te łotry będą denerwować, gdy zobaczą., w jaki sposób wystrychnęliśmy ich na dudka. Czyżbym postąpił źle?

— Błędu nie popełniłeś. W każdym razie bracia Aladzi znajdą kartkę i będą się potwornie wściekać, tym bardziej, gdy się z jej treści dowiedzą, że ten, na którego czatowali, spędził kilka godzin wraz z nimi.

— Co? Byłeś u nich?

— Rozmawiałem z braćmi, piłem z nimi, a nawet się z nimi biłem. A teraz leżą obaj w lesie nieprzytomni.

— Sihdi! A więc musimy do nich prędko wrócić, abym i ja mógł z nimi zamienić słówko.

— Nie jest to konieczne. Dostyc już ode mnie usłyszeli i to nie tylko słowa...

— Szybciej, mów!

— Zaraz, ale możemy przy tym przecież jechać dalej.

— A więc chodź, i przesiadaj się na Riha.

— Poczekaj. Jeszcze pojedę na twoim koniu. Ty zaś w nagrodę za to, że tak wspaniale przegalopowałeś przede mną, pojedziesz na Rihu do Radowicza.

— Widziałeś mnie jadącego?

— Przejeżdżałeś blisko nas.

— I dobrze trzymałem się w siodle?

— Wspaniale. Lepiej ode mnie.

— Kpisz sobie ze mnie, sihdi! Nie rób tego!

— A więc powiem ci po prostu, że cieszył mnie twój widok, ale czy słyszałeś, że do ciebie strzelano?

— Nie. Nie miałem o tym pojęcia.

— Uratował cię tylko Rih. Obaj Aladzi strzelali za tobą. Chcieli cię strącić z konia, aby go

zdobyć.

W tym momencie Halef wstrzymał Karego i rzekł:

— Sihdi! Będziemy jednak musieli zawrócić do lasu. Muszę tym łajdakom podziękować za obie kule.

— Ba... Jedziemy Mały! Bracia Aladzi nie znają się na żartach. Są to prawdziwe olbrzymy i mogą cię udusić dwoma palcami.

Jadąc dalej opowiadałem moim towarzyszom o spotkaniu z braćmi, oni zaś słuchali mnie z uwagą. Kiedy skończyłem, Halef rzekł:

— Czy uważasz sihdi, że ów miły kurier Tomasz przebywa jeszcze w Radowiczu?

— Chyba tak, bo byśmy go po drodze spotkali.

— Może trzeba by go tam poszukać? Chciałbym mu należycie podziękować za jego zachowanie. Czyżbym miał sobie pozwolić, aby mnie pomawiano, że nie znam zasad przyzwoitości?

— Ciebie taki zarzut nie dotyczy. Jestem gotów zaświadczyć, że w innych przypadkach byłeś bardzo uprzejmy, na przykład w Ostromczy w odniesieniu do saptije Selima, albo do kodży baszi, którzy dostatecznie zakosztowali słodyczy twego bicza.

— A więc Tomasza nie będziemy szukali?

— Nie. Ale jeśli on nas spotka, to zachowamy się tak, jakbyśmy go nie znali.

— Sihdi! To nie odpowiada memu dobremu sercu. Powiedz mi przynajmniej, jak długo pozostaniemy w Radowiczu?

— Nie mogę ci dokładnie odpowiedzieć. W każdym razie, dobrze by było, abyśmy bez zwłoki mogli przejechać przez miasto, ale najpierw muszę zbadać nogę. Możliwe, że leczenie nogi zmusi mnie do pozostania. Przypuszczalnie zwichnąłem ją przy upadku i będzie konieczny opatrunek.

— To niech mi tylko ten kurier nie wpadnie w ręce, bo sprawię mu taki prezent, że popamięta go do końca życia. W Ostromczy też byli tacy, których bym także chętnie poczęstował.

— Kto taki?

— Ci dwaj bracia, którzy nas śledzili i o naszym przybyciu mieli powiadomić mieszkańców ruiny.

— Ci, którzy się zatrzymali u handziego Ibareka?

— Tak. Oni. Otrzeźwieli we śnie szybciej, niż przypuszczaliśmy, gdyż przybyli zaraz po twoim wyjeździe.

— Gdzie ich widziałeś?

— W tym samym hanie, gdzie i my nocowaliśmy. Nie mieli pojęcia o tym, co się zdarzyło, i z miejsca udali się do ruiny. Kiedy zastali tam tylko pogorzeliśko, wrócili do hanu, aby zasięgnąć języka. Możesz sobie wyobrazić, jakie mieli miny, gdy się dowiedzieli, co się wydarzyło.

— Rozmawiałeś z nimi?

— Nie. Zostawili bowiem konie w stajni i zniknęli, i nie wrócili do naszego wyjazdu..

— Hm... Zasięgnęli wiadomości. Możliwe, że ich znów zobaczymy.

VI.

W RADOWICZU

Noga, którą zwichnąłem w potyczce z braćmi Aladzi, zaczynała mi doskwierać, dlatego przeszliśmy w galop, aby czym prędzej dotrzeć do celu. Kiedy na krótko przed Radowiczem zbliżaliśmy się znów do rzeki, zobaczyłem chałupinę, przed którą siedział stary człowiek przyglądający nam się z bacznością. Zatrzymałem się bez żadnego powodu i pozdrowiłem go. Starzec powstał chyba z racji mego zielonego turbanu i uniżenie mnie pozdrowiał.

— Znasz nas może ojczulku? — spytałem.

— Och, nie. Nigdy was jeszcze nie widziałem — odpowiedział. — Ale z początku uważałem was za złych Skipetarów.

— Czyżbyśmy wyglądali na Skipetarów?

— Z pewnością nie, ale zmylił mnie ten czarny koń. Gdyby siedzący na nim jeździec był większy, mimo że nie jesteście tak ubrani, myślałbym, że jednak mam przed sobą Skipetarów.

— O jakich Skipetarach myślisz?

— Wybacz szeryfie! Nie powinienem o tym mówić.

— No tak! Ale mogę cię zapewnić, że twoje słowa nie zaszkodzą żadnemu uczciwemu człowiekowi. Halef, obdarz ojczulka bakszyszem!

Hadzi wyjął sakiewkę i rzucił coś starcowi na kolana. Starzec potarł zapadłe usta i rzekł:

— Ty, szeryfie, jesteś potomkiem Proroka. Chętnie pragnąłbym tobie służyć, ale mi tego nie wolno. Sumienie mi zabrania, gdyż przyrzekłem, że będę milczeć. A więc zabierz swoje pieniądze!

— Mimo to zatrzymaj je, bo widzę, że jesteś biedny. A więc jak mi się zdaje, czekałeś tu na przejeżdżających Skipetarów?

— Zgadza się, szeryfie..

— Ilu ich ma być?

— Czterech. Jeden z nich, z wysokimi butami na nogach i z wielką, ciemną brodą, ma jechać na karym arabie. Czy ten ogier nie jest przypadkiem arabem?

— Oczywiście.

— Tak też myślałem, i o mało, a pomyliłbym was z tymi mordercami.

— Kto ci powiedział, że mają tutaj przybyć Skipetarzy?

— Hm... Nie wolno mi tego zdradzić.

— Jesteś bardzo dyskretnym człowiekiem.

— Nie byłbym może aż tak dyskretny, ale wy macie ze sobą coś, co wydaje mi się podejrzane.

— Tak! A co to takiego?

— Ta para wysokich butów przytroczonych z tyłu do siodła. Kary koń i buty z cholewami. Brakuje tylko człowieka, który ma jechać na karym ogierze z wysokimi butami na nogach. Gdybyś nie był błogosławionym potomkiem Proroka, który... ach, już wraca!

Jakiś młody człowiek szedł przez pole prosto na chałupę.

— Kto to taki? — spytałem.

— Mój syn, Abid, przewodnik... na Allaha, nie miałem o tym mówić!

Zrozumiałem, o co tutaj chodziło.

Otóż Mübarek zatrzymał się tutaj wraz z trzema towarzyszami, aby zabrać młodego człowieka za przewodnika, do miejscowości, do której oni sami nie znali drogi. Ponieważ zakładali, że gdybyśmy

się wymknęli braciom Aladzi, będziemy tędy przejeżdżać i rozpytywać się, dlatego wymyślili dla ojca i syna jakieś kłamstwo i prawdopodobnie wskazali na nas jako na Skipetarów. Miałem nadzieję, że syn będzie rozmowniejszy od ojca.

Kiedy Abid się zbliżył, zauważyłem, że ma bardzo kwaśną minę. Z ledwością nas pozdrowił i chciał wejść do chałupy. Stary chwycił go jednak za poję i spytał:

— Dlaczego nic nie mówisz, Abidzie? Czyżbyś nie otrzymał godnego bakszyszu?

— Bakszysz! Bakszysz! Dostałem coś całkiem innego, ale nie bakszysz — odparł młody człowiek bardzo zagniewany. — Ludzie stają się coraz gorsi. Nawet świętym nie można już ufać.

— Masz na myśli starego Mübareka — spytałem go.

— Skąd go znasz? Jesteś może jego przyjacielem?

— Co to, to nie! Wręcz przeciwnie. Jesteśmy tymi, przed którymi on was ostrzegał.

— Na Allaha! — zawołał przestraszony stary. — Gdybym to mógł przypuszczać? Oszczędź nas, efendi. Jesteśmy biednymi ludźmi.

Abid jest wypłaczem koszyków, a moje wnuki wycinają teraz nad rzeką wiklinę. Ja nie nadaję się do niczego i nie potrafię nawet ściągać z witek kory, bo gościec pokręcił mi jak widać palce. I wyciągnął ku mnie rękę.

— Uspokój się! — powiedziałem. — Nie jesteśmy rozbójnikami!

— Przecież co dopiero mówiłeś, że jesteście tymi ludźmi, przed którymi nas ostrzegano.

— Owszem. Jesteśmy przybyszami, ale kłamstwem jest, że jesteśmy Skipetarami.

— A gdzie wobec tego jeździec, który powinien siedzieć na karym koniu?

— Tym jeźdźcem ja jestem. Zamieniliśmy konie i włożyłem na siebie inną odzież, aby nie zostać od razu rozpoznanym przez ludzi, których pragnę schwytać. Ale zdaje mi się, że Mübarek zaszedł tobie za skórę?

Abid, do którego skierowane było to pytanie, odparł, zwrócony jednak ku ojcu:

— Zgadza się, ale nie tylko mnie, lecz również szwagrowi Szükrü. Widziałeś może konie Mübareka i jego towarzyszy?

— Skądże... Przecież jeszcze leżałem i nie nastał dzień. Gęsta mgła spowijała chatę. Co się przydarzyło zięciowi?

— Oni go okradli.

— Na Allaha! Tego biednego człowieka, który na dodatek stracił co dopiero żonę, twoją siostrę, a moją córkę. Co mu zabrali?

— Najlepszego z jego dwóch koni — srożył się Abid.

— O nieba! Dlaczego mu to zrobili? Mogli przecież ukraść innego konia od bogatego człowieka, wtedy Allah mniej by się gniewał. A Mübarek był przy tym? Od kiedy to pustelnicy stali się koniokradami?

— Nie ma już takich świętych jak dawniej. Chytróść, kłamstwo i obłuda. Nie wierzę już najbardziej pobożnemu mnichowi ani najdostojniejszemu szeryfowi.

Wymawiając ostatnie słowo, młody człowiek rzucił na mnie znamienne i w najwyższym stopniu nieufne spojrzenie. Wiedziałem już, czego się dowiedział i mogłem się także domyśleć, o czym tam mówiono, dlatego rzekłem do niego:

— Masz rację: na tym świecie pełno jest oszustw i podstępu. Chcę być wobec ciebie uczciwy. Wiedz, że nie jestem ani szeryfem, ani Skipetarem, lecz Frankiem, który nie ma prawa nosić zielonego turbanu. Popatrz!

Zdjąłem turban i pokazałem moją nieogoloną głowę.

— Efendi! Jesteś bardzo odważny! Rzykujesz przecież życiem.

— Tak źle jeszcze nie jest. Oczywiście, że w Mekce byłoby niebezpieczniej niż tutaj, gdzie jest tylu chrześcijan.

— A więc nie jesteś nawet muzułmaninem, lecz jesteś chrześcijaninem? Nie mogę w to uwierzyć!

— Zaraz ci to udowodnię, jeśli powiem, że Muhammad, aby się pomodlić do Chrystusa, musiałby przed nim nisko klęknąć, aby mu oddać pokłon. Czy jakiś muzułmanin powiedziałby coś podobnego?

— Nie, nigdy. Tym samym dowiodłeś, że jesteś chrześcijaninem, Frankiem. A może ty jesteś tym przybyszem, który Mübareka postrzelił w rękę?

— Kiedy to się miało stać?

— Wczoraj wieczór przy chacie na wzgórzu.

— Tak, to byłem ja. A więc trafiłem go? Było tak ciemno, że nikogo nie mogłem poznać. Wiesz o tym także?

— Oni ciągle o tym rozprawiali. Zatem jesteście prawdopodobnie tymi przybyszami, którzy uwięzili Mübareka i tych trzech.

— Tak. To my nimi jesteśmy.

— Wybacz efendi, że cię obraziłem. Oczywiście, że słyszałem o tobie tylko złe rzeczy, ale zło, które źli ludzie przypisują innym ludziom, zamienia się w dobro. Jesteście wrogami tych złodziei i oszustów, i dlatego jesteście dobrymi ludźmi.

— A więc darzysz nas teraz zaufaniem?

— Tak, efendi — rzucił Abid.

— Zatem opowiedz nam, jak doszło do twego spotkania z tymi przestępcami.

— Chętnie efendi. Zsiądź z konia i usiądź na ławce! Ojciec zrobi ci miejsce, a ja opowiem.

— Dzięki. Ojciec niech sobie siedzi. Ma siwy włos, a ja jestem jeszcze młody. W dodatku mam obolałą nogę, dlatego chętniej pozostanę w siodle. Mów, proszę!

— Było to dzisiaj rano. Właśnie wstałem i zabierałem się do codziennego obrządku. Mgła była jeszcze tak gęsta, że było widać ledwie na kilka kroków. Wtedy usłyszałem odgłosy jeźdźców, którzy zatrzymawszy się przed naszą chatą wołali na mnie.

— Więc znali cię już wcześniej?

— Mübarek mnie znał. Kiedy wyszedłem na dwór, zobaczyłem czterech jeźdźców, którzy prowadzili ponadto jeszcze jednego konia. Jucznego. Jednym z jeźdźców był Mübarek. W innym rozpoznałem później, gdy się zrobiło już jaśniej, a my byliśmy już w drodze, dawnego poborcę podatkowego z Üsküb, Manacha el Barszę. Zamierzali udać się do Toszköj i pytali mnie, czy znam dobrze drogę. Gdy odpowiedziałem im, że tak, prosili, abym ich tam zaprowadził i obiecywali dać bakszysz w wysokości co najmniej trzydziestu piastrów. Jestem biednym człowiekiem, efendi, i zaledwie w miesiącu zarobię trzydzieści piastrów. Znałem również Mübareka i uważałem go za świętego, dlatego ucieszyłem się, że będę mógł im służyć za przewodnika.

— Czy mówili, dlaczego chcą jechać do Taszköj?

— Nie, ale powiedzieli, że nastają na nich czterej Skipetarowie, którzy nie mogą się dowiedzieć, dokąd ich poprowadziłem.

— To było kłamstwo.

— Dopiero później się w tym zorientowałem — przyznał Abid.

— Gdzie leży Taszköj?

Nazwa ta oznacza wioskę skalną albo kamienną, dlatego przypuszczałem, że wioska ta leży chyba wysoko w górach. Wyplatacz koszyków powiedział:

— Stąd jedzie się na północ. Z Radowicza nie ma tam nawet drogi i trzeba dobrze znać lasy i góry, aby nie pobiłdzić. Wioska jest mała i biedna i leży tam, gdzie w pobliżu Żigancy droga wiedzie

w dół ku Bregalnicy.

Żigancy! To przecież ta sama miejscowość, której — wyjeżdżając z Radowicza — miałem zamiar szukać na północy, aby u rzeźnika Czuraka pytać o Derekulibę i usłyszeć coś bliższego o Szucie. Czyżby Mübarek chciał także tam pojechać? Może tam właśnie zastanie się to doborowe towarzystwo w komplecie?

— A czy zanim zdążyliście stąd wyjechać — wypytywałem dalej — powiedziano ci, że nic nie masz zdradzić?

— Tak. Mübarek opowiedział mi, że w drodze napadło go czterech Skipetarów, ale zdołał im umknąć. Poprzysięgli oni krwawą zemstę jemu i towarzyszom i prawdopodobnie będą go ścigać. Musi jechać na północ, ale nie przez Radowicz, gdyż tam by go widziano i Skipetarzy mogliby się dowiedzieć, dokąd się udał. Opisał was takimi, jakimi was widzę, tyle że ty masz na sobie inną odzież i nie siedzisz na karym koniu. Kiedy mieliście tędy przejeżdżać i o niego pytać, nie mieliśmy udzielać wam odpowiedzi. Za to milczenie dał nam swoje błogosławieństwo. Potem wyruszyliśmy w drogę. Kiedy tylko zrobiło się jaśniej, w koniu jucznym poznałem konia mego szwagra Szükrü, ale myślałem, że się pomyliłem. I dlatego nic nie powiedziałem.

— Czy konie tych ludzi nie wyglądały na bardzo zmęczone?

— Oczywiście! Były całe spocone, a z pysków toczyła im się piana.

— Można to sobie wyobrazić. Jeżeli uciekinierzy tak wcześnie się tu pojawili, musieli jechać bardzo szybko, co w nocy i na takiej drodze oznaczało znaczny wysiłek. Mów dalej!

— Oni jechali konno, ja zaś szedłem pieszo, ale i tak byłem zawsze przed nimi, dlatego niejedno słyszałem z tego, co mówili półgłosem. Przede wszystkim dowiedziałem się, że najpierw mieli tylko cztery konie i każdy z nich miał część ładunku przy sobie. Jednak potem, gdy zbliżali się do przysiółka, w miejscu, w którym droga prowadzi przez most, spotkali dwóch jeźdźców. Ci powiedzieli im, że mój szwagier trzyma za domem dwa konie, a na słupie podcienia wisi również juczne siodło.

Domyślałem się, kim był ów Szükrü i wtrąciłem się:

— Ja także jechałem przez ten przysiółek i widziałem tam tylko jedyny dom z podcieniem, a pod nim, jeśli sobie dobrze przypominam, wisiało siodło. Był to han stojący na prawo od mostu.

— To ten, o którym mówię!

— A więc handzi jest twoim szwagrem?

— Tak. Szükrü jest mężem mojej siostry, która niedawno zmarła.

— Zatrzymałem się u niego.

— Zatem widziałeś go i rozmawiałeś z nim?

— Owszem. I tego biednego człowieka okradli ci zbiegowie? Czy nie mówili nic o jeźdźcach, których spotkali na drodze?

— Mówili, ale nie mogłem się w tym połapać. Ciągłe słyszałem o dwóch srokaczach, ale srokacze to nie ludzie, a konie.

— W tym wypadku jest to jedno i drugie, i ludzie, i konie.

— Ci Srokacze mają kogoś napaść i zabić.

— Nas...

— Dlaczego was, efendi?

— Z zemsty. Ci Srokacze to dwaj bracia i osławieni złoczyńcy, którzy żyją jedynie z rozboju. Nazwano ich tym przydomkiem, bo jeżdżą na srokatych koniach.

— Ach, to tak! I ci rozbójnicy nie czyhali na was?

— Tak! Ale wymknęliśmy się im fortem, właśnie przez to, że się przebrałem. Teraz będą

wiedzieć, że ich zwiodłem i będą nas szukać.

— Może przyjadą i tutaj? — stwierdził Abid.

— Całkiem możliwe.

— Jeśli bracia Aladzi będą o was pytać, efendi, to co im powiedzieć?

— Nie chcę cię namawiać do kłamstwa. Powiedz w każdym razie tym zbójom, że byliśmy i pojechaliśmy do Radowicza, lecz o tym, co teraz mówimy, nie musisz z nimi rozmawiać.

— Nie dowiedzą się ani słowa.

— Mów dalej!

— Podśledzałem, że Mübarek i jego kamraci zabrali Szükrü konia z siodłem i załadowali go swoim bagażem. Wszystkiego nie mogłem usłyszeć, bo rozmawiali po cichu, były też dłuższe przerwy, kiedy nic nie mogłem usłyszeć. Ale tyle co słyszałem, wystarczyło, abym mógł wywnioskować, że Mübarek musi być wielkim złodziejem i rozbójnikiem. Najlepsze z tego, co zrabował, znajdowało się na jucznym koniu. Mniej wartościowe rzeczy, zabierające dużo miejsca, spalił wraz ze swoją chatą. Zbiegowie cieszyli się najbardziej, że Srokacze znaleźli się jak na zawołanie. Uznali więc swoich prześladowców, czyli was, za zgubionych.

— Na szczęście, potężnie się pomylili. I nie pozbędą się nas, bo będziemy im deptać po piętach.

— Gdybym to mógł jechać z wami! — oświadczył wyplatacz koszyków.

— Dlaczego? — spytałem.

— Bo okradli mego szwagra i okłamali mnie co do bakszyszu.

— Mocne argumenty! Poszedłeś z nimi aż do Taszköj?

— Jeszcze spory kawał dalej.

— To daleko stąd?

— Aby dotrzeć do samej wsi, potrzebowaliśmy pięć pełnych godzin.

— A dokąd stamtąd pojechali?

— Mübarek i jego kompani chcieli się udać w dolinę Bregalnicy. Nic więcej nie wiem.

— Mogę przypuszczać, dokąd zmierzali. A nie obstawałeś przy swojej zapłacie?

— Oczywiście! Byli jednak na tyle przebiegli, że wzięli mnie dalej niż leży Taszköj, gdyż tam być może znalazłbym pomoc do wymuszenia na nich zapłaty. Zatrzymali się więc pośrodku lasu, aby mi powiedzieć, że mnie więcej nie potrzebują. Zezłościłem się wtedy i zażądałem zwrotu konia mego szwagra. Wtedy zeskoczyli z koni. Dwóch z nich powaliło mnie na ziemię, a trzeci bił mnie batogiem. Musiałem to ścierpieć, bo mieli nade mną przewagę. Nikt mnie jeszcze nigdy nie bił. Szedłem z wysiłkiem przez dwanaście godzin. Plecy mam całe w ranach. Zmarnowałem dzień pracy, a język piecze mnie z głodu. Zamiast przynieść trzydzieści piastrów, nie mam nawet złamanego szeląga. Gdybym pozostał w domu, mógłbym pójść do Radowicza i sprzedać kilka koszy. Za to moglibyśmy kupić coś do jedzenia.

— Pociesz się — rzekł ojciec — bo od szeryfa, który nie jest szeryfem, dostałem w prezencie pięć piastrów. Możesz więc iść do Radowicza i kupić chleb.

— Dziękuję ci, efendi! — powiedział Abid. — Uważałem cię za złego człowieka, ale ty jesteś dla nas dobry. Chciałbym ci się w jakiś sposób przysłużyć.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zabrał głos Halef. Obrócił się w siodle i coś tam manipulował przy moich butach, które były tak krągłe i gładkie, jakby tkwiły w nich moje nogi.

Podczas naszej rozmowy wróciły dzieci koszykarza, obładowane wikliną.

— Co dzieci, jesteście głodne? — zapytał Halef.

Większe przytaknęły, natomiast najmłodsze się rozplakało. W Turcji dzieci reagują tak samo jak u nas. Jeśli zapytać dwuletniego berbecia, czy jest głodny, to zaraz się rozplacze.

— Przynieś kosz! — nakazał mały Hadzi ojcu głodnej gromadki. — Ale to nie ma być mały kosz.

— Do czego? — zapytał Abid.

— Chcę opróżnić te nieskończenie długie buty.

Koszykarz przyniósł kosz, który mógł już co nieco pomieścić i podniósł go w górę. Hadzi wysypał teraz do kosza z obu butów pełno owoców, mięsa i pieczywa, tak że kosz się wypełnił.

— No to macie! — uśmiechał się. — Daj teraz dzieciom jeść i Allah niech wam błogosławi.

— Aga! — zawołał uszczęśliwiony Abid — to wszystko ma być nasze?

— Oczywiście!

— Tyle nie zjemy nawet w ciągu tygodnia!

— I nikt wam też nie każe. Postępujcie wstrzeźliwie i nie zjedzcie także kosza.

— Dziękuję ci, Aga! Serce twoje jest pełne dobroci, a usta tryskają radością.

— Nie twierdzą tego. Nie jestem zbyt wesoło nastrojony, bo żal mi patrzeć na te puste buty. W każdym z nich tkwiła także kura tak zrumieniona i chrupiąca, jakby ją usmażono w trzecim niebie. Moja dusza uwielbia takie kury i to, że muszę się z nimi pożegnać, napęnia mnie smutkiem i łzami. Ale ponieważ te kury musiały pożegnać się z życiem, aby je można było skosztować, dlatego w końcu to wszystko jedno, w którym żołądku zostaną pochowane. A więc spożywajcie je z rozwagą i w nabożnym skupieniu i zachowajcie dla mnie kosteczki, dopóki nie wrócę.

Powiedział to z taką powagą i godnością, że wszyscyśmy się uśmiechali.

— Ale Halef, co ci przyszło do głowy, aby zaopatrzyć się aż w takie ilości zapasów i zrobić sobie z moich butów magazyn?

— Na ten piękny pomysł wcale nie wpadłem sam. Kiedy zgodnie z tym co mi poleciłeś, chciałem zapłacić handziemu Bajro w Ostromczy, ten powiedział, że to on wobec nas ma zobowiązania, a nie my wobec niego. Za przysługę, jaką wyświadczyliśmy jego szwagrowi Ibarekowi. Tutaj znów widać, jak Allah każdy dobry uczynek nagradza podwójnie, gdyż u Ibareka także nic nie płaciliśmy.

— I co z tego?

— Co z tego...! Z przezorności pragnąłem napomknąć, że smażony kurczak stanowi moją ulubioną potrawę...

— Ty nicponiu!

— Och, sihdi! Nie otrzymaliśmy ust do milczenia, lecz do mówienia. Uszy handziego były otwarte, a w jego pamięć wrył się kurczak. Kiedy pakowałem nasze rzeczy, przyniósł mi obie kury i mnóstwo dodatków, które widzisz w tym oto koszu, spoczywające w błogiej zgodzie.

— Nie powinieneś nic brać!

— Przepraszam, sihdi! Gdybym nic nie wziął, nie moglibyśmy teraz nic dać!

— Moglibyśmy mimo to!

— Ale nic takiego, co by momentalnie zaspokoilo dziecięcy głód. Zresztą wzbraniałem się, dopóki tylko mogłem, ale Bajro nie odstępował od swego zamiaru. Wyjaśnił mi, że dar ten nie jest dla mnie, lecz dla ciebie. To mnie rozczuliło i zmiękłem. Aby jednak zachować twarz, trzymałem się od tego wszystkiego z daleka. Dar był przeznaczony dla ciebie, a ponieważ handzi nie mógł ci go wręczyć osobiście, dlatego w twoim zastępstwie postanowiłem, by reprezentowały cię twoje buty. I oddaliłem się. Gdy je ponownie ujrzałem, przytyły one ku mojej radości, wypełnione produktami miłego świata zwierzęcego i błogiego świata roślinnego. Ja natomiast, w twoim imieniu wyraziłem handziemu podziękowanie zawarte w kunsztownej mowie, zatkałem od góry buty i przytroczyłem je do siodła. Jeżeli zgrzeszyłem, to proszę cię o łaskawe potraktowanie mojego błędnego kroku.

Nie można było żywić urazy do tego miłego człowieka. Byłem przeświadczony o tym, że z pewnością nie wpadło mu do głowy, aby napomknąć karczmarzowi o tym darze. Halef nigdy by

czegoś podobnego nie zrobił, gdyż posiadał bardzo wyczułone poczucie godności, ale chętnie się ze mną nieco przekomarzał i był bardzo zadowolony, jeśli udawałem, że udało mu się mnie sprowokować.

— Później pomyślę o odpowiedniej karze — groziłem. — Przynajmniej przez długi czas będziesz musiał zrezygnować z twojego ulubionego dania. Nieprędko z twojego powodu jakaś niewinna kura będzie musiała się pożegnać ze swoimi kurczętami.

— Zadowolę się także małym kurczaczkiem, sihdi, który oby mi tak smakował jak dzieciakom te jabłka.

Dzieci skupiły się wokół kosza i zabrały się najpierw do jabłek. Aż miło było popatrzeć, jak łapczywie pracowały owe pyszczki. Ze wzruszenia pojawiły się łzy w oczach dziadka. Syn wcisnął mu do ręki kawałek mięsa, ale on nie jadł. Z radości, że wnuki mogły zaspokoić głód, zapomniał o sobie.

Abid podziękował raz jeszcze i powiedział:

— Efendi! Powtarzam, że z radością wyświadczyłbym tobie jakąś przysługę, ale czy jest to możliwe?

— Owszem. Istnieje coś, o co cię nawet chciałem prosić..

— O co chodzi? — spytał Abid.

— Poprowadź nas także do Taszköj.

— Bardzo chętnie! Lecz kiedy?

— Tego jeszcze nie wiem. Bądź jutro rano w Radowiczu. Tam będę mógł ci to powiedzieć.

— Gdzie ciebie spotkam?

— Hm... Tego także nie mogę powiedzieć. Czy możesz mi wskazać jakiś han, w którym się dobrze mieszka?

— Najlepiej mieszka się w gospodzie „Pod Wysoką Portą”. Znam jej właściciela i zaprowadzę cię tam.

— Na to nie mogę przystać. Jesteś zbyt zmordowany.

— Och! Do Radowicza zajdę z łatwością. Będziemy tam za kwadrans. Muszę cię polecić handziemu. Czasem pracuję dla niego i on na mnie polega, mimo że jestem ubogim człowiekiem. Odwiedzę cię jutro rano, by się dowiedzieć, kiedy chcesz jechać do Taszköj.

— Będzie to zależało od mojej zwichniętej stopy. Czy w tym mieście jest jakiś dobry lekarz, do którego można mieć zaufanie?

— Jeśli masz na myśli chirurga, to jest jeden sławny na całą okolicę, który usuwa wszystkie dolegliwości u ludzi i u zwierząt. Potrafi nawet szczepić ospę, czego nikt poza nim nie umie.

— To istotnie cudowny lekarz! Ale musimy także porozmawiać o bakszyszu, który zaraz określimy.

— Od was nic nie wezmę, efendi. Obdarowaliście nas bowiem obficie.

— To był prezent! A to będzie stanowić twój zarobek. Jednego nie należy mylić z drugim.

— Ależ ja nie mogę przecież żądać pieniędzy. Musiałbym się wstydzić.

— A zatem dobrze. Nie będzie to wynagrodzenie, a tylko bakszysz, który dam twemu ojcu!

Kazałem Halefowi podać moją sakiewkę i skinąłem na starca. Z radości omal nie wyszedł z siebie, tak że w momencie, w którym ujrzał pięćdziesiąt piastrów w poskręcanych palcach, nie wykrztusił nawet słowa.

— Nie wiem, efendi, czym zasłużyłem na twoją dobroć i jak ci mam dziękować — powiedział wreszcie. — Oby hekim szybko wyleczył twoją stopę.

— Miejmy nadzieję. Ale powiedz, jak się nazywa ten sławny lekarz?

— Nazywają go Czufatasz.

— O, rany! Jeśli jego kuracja odpowiada brzmieniu nazwiska, to dziękuję za taką pomoc. Czufatasz, oznacza bowiem „Męczeński Głaz”.

— Nie martw się — pocieszał koszykarz. — On ci stopy nie będzie opatrywał nazwiskiem lecz plastrem, a to potrafi robić znakomicie.

— Chodź więc, jeśli chcesz z nami iść!

Abid wziął coś do przegryzienia po drodze i wyruszyliśmy. Po kwadransie byliśmy w mieście. Nasz przewodnik poprowadził nas bazarem w jakąś uliczkę, minęliśmy wrota i znaleźliśmy się na przestronnym i czystym dziedzińcu. Halef poszedł z Abidem do handziego, podczas kiedy ja pozostałem jeszcze na koniu, aby nie nadwerężyć nóg niepotrzebnym chodzeniem.

Po chwili wrócili z handzim, który świadcząc mi przesadne uprzejmości i stokrotnie mnie przepraszając wyjaśniał, że posiada niestety tylko małą izdebkę przylegającą do sali ogólnej. Nie ma tu po prostu zwyczaju, aby goście żądali specjalnego pokoju. W całym mieście nie ma zresztą takowego i także moje pomieszczenie trzeba dopiero przygotować i dlatego na razie musiałbym się pofatygować do sali dla gości.

Byłem z takiego obrotu sprawy zadowolony i zsiadłem z konia. Ojej! Noga mi nabrzmiała. Mogłem stąpnąć tylko z bólem, opierając się mocno na ramieniu Osko. Kiedy znaleźliśmy się w sali, nikogo tany nie było. Usiadłem w najbardziej ukrytym kącie obok drzwi prowadzących do przeznaczonej dla mnie izdebki. Halef wyszedł z Osko i Omarem z powrotem na dziedziniec, aby zatroszczyć się najpierw o konie.

Jadąc, nie pomyślałem o tym, aby zmienić przebranie. Pośród sfanatyzowanej ludności byłoby to w najwyższym stopniu groźne, ale tutaj niewiele powinno znaczyć.

Koszykarz zaofiarował się, że przywoła do mnie lekarza. Przytaknąłem mu. Ledwie co wyszedł, a w sali pojawił się jakiś gość. Siedziałem zwrócony plecami do wejścia i wykonałem pół obrotu, aby zobaczyć wchodzącego. Nie był to nikt inny jak kurier Tomasz, który nas zdradził przed Srokaczami.

— No! Niech cię tylko Hadzi tu zobaczy! — pomyślałem i odwróciłem się, gdyż nie chciałem mieć z nim do czynienia. Tomasz nie myślał jednak podobnie jak ja. Możliwe, że miał ochotę na rozmowę. Byłem jedynym gościem, którego tutaj zastał, a więc zrobił kilka kroków tam i z powrotem, potem przystanął obok mnie i spytał:

— Nie jesteś stąd?

Zachowywałem się tak, jakbym nie słyszał pytania.

— Nie jesteś stąd? — powtórzył bardziej doniosłym głosem.

— Owszem — oświadczyłem.

— Śpisz tu dzisiaj?

— Jeszcze nie wiem.

— Skąd przybywasz? — kontynuował pytania.

— Ze Stambułu.

— Ach, ze Stambułu, perły świata! Mogąc zatem mieszkać w pobliżu padyszacha, musisz być bardzo szczęśliwym człowiekiem.

— Jego bliskość uszczęśliwia tylko dobrych ludzi.

— Uważasz, że jest tam dużo złych?

— Jak wszędzie.

— Kim jesteś?

— Pisarzem.

— Jesteś więc uczonym! Z takimi ludźmi chętnie rozmawiam.

— A ja nie lubię gadać — odstręczałem zdrającę.

— Na Allaha! Jesteś nieprzystępny! Już chciałem zapytać, czy pozwolisz przy sobie usiąść.

— Pozwolę, ale to nie będzie dla ciebie przyjemne.

— Dlaczego?

— Moja twarz nie każdemu się podoba.

— Zobaczę, czy mnie się będzie podobać.

Tomasz usiadł przy moim stole, na ławie naprzeciwko mnie, i przypatrywał mi się. Miny, jaką przy tym stroił, nie da się opisać. Miałem jeszcze zielony turban na głowie i niebieskie okulary na nosie. To go zmyliło, mimo że moja twarz nie była zmieniona; Opadła mu szczeka, brwi ściągnął w dwa spiczaste kąty, natomiast jego wzrok spoczywał na mnie z takim wyrazem, że musiałem wysilać się, aby się nie roześmiać.

— Kim... kim ty jesteś, szeryfie... efendi? — jąkał się.

— Już ci to powiedziałem.

— Powiedziałeś prawdę?

— Wążysz się posądzać mnie o kłamstwo?

— Na Allaha, nie, gdyż wiem, że ty... że... Z obawy i zwątpienia nie mógł mówić dalej.

— O co chodzi? Co ty o mnie wiesz?

— Nic. Zupełnie nic, ponad to, że jesteś pisarzem i mieszkasz w Stambule.

— Co ty tak bajdurzysz?

— Bajdurzę? Och, szeryfie, nic w tym dziwnego, gdyż wydajesz mi się być tym, o którym myślę, że jest on tym, o którym... na Allaha! Masz całkowicie rację. Zupełnie mi się pomieszało, gdyż podobieństwo jest aż nazbyt wyraźne.

— Do kogóż to jestem aż tak podobny?

— Do pewnego nieżyjącego efendiego.

— Och! Kiedy on zmarł?

— Dziś. W drodze.

— To smutne, gdy wierny wyznawca Allaha umiera w drodze. Jego najbliżsi nie mogą go w ostatniej godzinie życia wesprzeć Surą Śmierci. A dlaczego on umarł?

— Został zamordowany.

— Okropne. Widziałeś jego ciało?

— Nie, szeryfie.

— A więc inni ludzie powiedzieli ci o jego śmierci?

— Zgadza się.

— Kto go zamordował?

— Tego nie wiadomo. Znaleziono go w lesie na drodze do Ostromczy.

— Jechałem co dopiero przez ten las, więc dlaczego nic nie słyszałem o zabójstwie? Czy chciano go obrabować?

— Nie. Miała to być zemsta.

— Krwawa?

— Nie, inna. Otóż, ten nieprzezorny Frank wywołał w Ostromczy prawdziwą rebelię, podjudził jednych ludzi przeciw drugim, a wieczorem podpalił jeszcze mieszkanie pobożnego człowieka.

— Jest to oczywiście przestępstwo, którego Allah nigdy mu nie wybaczy. Czeka go piekło.

— A więc przez zemstę wyspiegowano obcego przybysza i go . zabito.

— Czy był on sam? — wypytywałem dalej.

— Nie. Było z nim jeszcze trzech innych ludzi.

— A gdzie oni są?

— Zniknęli. Uważa się, że oni także zostali zamordowani.

— A co się stało z jego zwłokami?

— Nie wiem!

— Dziwne! I do tego Franka jestem podobny?

— Masz jego sylwetkę i jego twarz. Jedyne brodę masz krótszą i jaśniejszą.

— A zatem istnieje pomiędzy mną, szeryfem, a zabitym, przynajmniej jedna różnica, co mnie cieszy. Ale kim ty wobec tego jesteś?

— Muhbirem z Ostromczy.

— A więc wszystko doskonale wiesz. Hm... Słyszałem dziś, będąc w drodze, że grasują tu w okolicy zbójcy, dwaj Skipetarowie, zwani Srokaczami. Słyszałeś może o nich?

— Owszem, gdyż my, kurierzy, wiemy o wszystkim.

— I znasz ich?

— Co to to nie, szeryfie. Człowiek uczciwy nie może znać rozbójników. Co się z nimi dzieje?

— Widziano ich dziś rano w pobliżu Ostromczy.

— A więc Allah był łaskaw dla tej okolicy!

— Był u nich także pewien muhbir. O ile się nie mylę, miał na imię Tomasz.

Posłańcem wstrząsnął strach. Ja natomiast pytałem spokojnie:

— Czyżbyś go znał?

— Bardzo dobrze. Jest to mój... mój przyjaciel.

— A więc ostrzeż go, gdy go spotkasz. Tego człowieka bowiem szuka policja.

— Na Allaha! Dlaczego?

— Bo jest on współwinny w zabójstwie, wydając chrześcijanina mordercom, braciom Aladzi. To właśnie on zdradził im godzinę, o której cudzoziemcy zamierzali opuścić Ostromczę.

— Czy... czy „to prawda? — jąkał się.

— Tak oświadczył sam zamordowany.

— Czy zabity potrafi mówić?

— Ani on martwy, ani zabity. Oprócz ciebie, Tomaszu, nikt nie wiedział, że chciano go zamordować.

Kurier zerwał się z miejsca.

— Ty mnie znasz? — zawołał zmieszany.

— Oczywiście! A ci tam także cię znają.

Zdjąłem okulary i turban i wskazałem na drzwi, w których pojawili się właśnie: Osko, Omar i Halef. Tomasz zamarł z przerażenia, gdyż teraz mnie rozpoznał, a potem zawołał:

— Muszę już iść! Spiesz mi się! Mam jeszcze pilne sprawy do załatwienia.

Skoczył ku drzwiom, ale Halef trzymał go już za kołnierz.

— Dlaczego przyjacielu chcesz nas tak prędko opuścić? — pytał uprzejmie Mały.

— Muszę jeszcze wiele załatwić.

— Myślałem, że dostarczasz nowiny tylko w tę stronę. A ty zabierasz także majdan stąd do Ostromczy?

— Owszem, dlatego nie chcę się dłużej zatrzymywać!

— Możesz także ode mnie coś zabrać?

— Dla kogo?

— Napiszę ci.

— Co to będzie?

— Pozdrowienie. Tylko pozdrowienie.

— Chętnie je przekażę, ale teraz puść mnie!

— O, nie... Musisz przecież poczekać, ponieważ chciałem ci to pozdrowienie napisać.

— Potrwa to długo?

— Wcale nie. Z podobnymi koleżeńskimi listami nie robię długich ceregieli. Nie potrzebuję ani papieru, ani atramentu, gdyż piszę od razu na nie garbowanym pergaminie. I zaraz dodaję napiwek. Ołówek mam w stajni, więc drogi Tomasz, będziesz się musiał ze mną tam pofatygować. A zatem chodź!

Kurier patrzył badawczo na Małego. Nie ufał tej pozornej komitywie, ale Halef mówił wyjątkowo przyjaźnie. Tomasz podążył za nim, zaś Omar i Osko towarzyszyli im z uśmiechem. Z mego miejsca mogłem zlustrować przez otwarte okno niemal cały dziedziniec. Widziałem, jak go cała czwórka przemierzała, aby zniknąć za drzwiami stajni, które zostały potem zamknięte.

Po małej chwili usłyszałem z daleka odgłosy, jakie dziś jeszcze można słyszeć jedynie w Chinach i w Turcji. Nieopisane dźwięki będące następstwem gorącej zażyłości bata z człowieczą skórą.

Po pewnym czasie drzwi znów otwarto i ze stajni wyszedł kurier w postawie niezbyt imponującej, zaś jego twarz starała się odzyskać zakłócony spokój ducha. Jego chód był niemal podobny do chodu orangutana, który porusza się na nogach bez pomocy laski: uginające się kolana, skulony w sobie, z odrzuconą do tyłu głową. Tomasz nie był ciekaw, jakie wrażenie czyni jego dramatyczne odejście i nie oglądając się za siebie, „pożegłował w siną dal”.

Trzej rzecznicy sprawiedliwości natychmiast do mnie wrócili.

— Przywiodło go tutaj przeznaczenie! — orzekł Halef, a mówiąc to gładził się z uśmiechem zadowolenia po rzadkiej bródce. — Co ten łobuz powiedział, gdy cię zobaczył, sihdi?

I wszystko po kolei im powtórzyłem.

— Taki bezczelny gbur! Teraz niech zanieś owe trzydzieści szczerych pozdrowień, jakie mu wypisałem na plecach, do Ostromczy i da je, komu zechce.

— Nie bronił się?

— Nie miał na to ochoty, gdyż skutecznie go pouczyłem, że jeśli będzie się bronił, dostanie pięćdziesiąt razów. Natomiast, gdy się położy dobrowolnie, otrzyma tylko trzydzieści. Był jednak na tyle rozsądny, że wybrał to ostatnie. Postarałem się natomiast, aby trzydzieści pozdrowień poruszyło jego duszę w takim samym stopniu co pięćdziesiąt. Zgadzasz się ze mną, sihdi?

— Tym razem tak.

— Och, gdybyż to kismet chciało mi częściej sprawiać radość, oddając w me ręce podobnych łajdaków! Istnieje jeszcze kilku innych, którym chętnie kazałbym wybierać pomiędzy trzydziestką a pięćdziesiątką razów. Mam nadzieję, że w odpowiedniej chwili spotkam któregoś z nich. Ale, jak się sprawuje twoja noga, sihdi?

— Nie najlepiej. Omar niech się rozejrzy, czy w mieście można by kupić gips. Ty natomiast przynieś naczynie z wodą, w której zanurzę stopę, i ściągnij mi z nogi pończochę.

Wrócił także koszykarz i powiedział mi, że długo szukał, zanim znalazł doktora „Męczeńskiego”. Doktor był właśnie bardzo zajęty, ale zaraz przyjdzie.

Podziękowałem Abidowi za jego trud, dałem mu trochę tabaki i pozwoliłem wrócić do domu.

Halef przyniósł wodę. Badając nabrzmiałą nogę stwierdziłem, że jest ona zwichnięta, na szczęście nie całkowicie. Mógłbym chyba i sam ją nastawić, ale wolałem mieć przy tym lekarza. Błąd mógłby mnie zatrzymać tutaj na długo. Tymczasem, zanurzyłem nogę w zimnej wodzie.

VII.

DOKTOR „MĘCZEŃSKI”

Wreszcie lekarz przyszedł, ale uważałbym go raczej za chińskiego listonosza, niż za europejskiego eskulapa. Był mały i bardzo gruby. Policzki lśniły mu jak dorodne gwiazdkowe jabłka, zaś jego małe, nieco skośne oczka zdradzały, że kołyska jego rodu zwisała z żerdzi wspierającej mongolską jurkę. Na jego gładko wygolonej głowie spoczywał podniszczony fez, zsunięty daleko do tyłu i odsłaniający tym samym czoło. Krótki kaftan sięgał mu tylko do kolan i zdawał się tworzyć jedną jedyną potworną kieszeń, dlatego że był wypchany ze wszystkich stron, na górze i na dole, z prawej i lewej, z tyłu i z przodu. I co by nie powiedzieć, zawierał on wędrującą aptekę. Ponadto owemu uzdrowicielowi zwisał jeszcze z ramienia stosunkowo duży, czworokątny kosz, stanowiący przypuszczalnie pojemnik do drogocennego zestawu instrumentów. Na nogach miał grube wełniane pończochy z podwójnymi filcowymi podeszwami, które tkwiły w podbitych dużymi ćwiekami sandałach w rodzaju tych, o których mówi się obrazowo, że wystarczy w nich zrobić dwa kroki, aby przekroczyć Ren.

Wchodząc, medyk zsuł sandały z nóg i podszedł do mnie w samych tylko pończochach, wyrażając w ten sposób uprzejmość na miarę panującego obyczaju. Ponieważ nogę miałem zanurzoną w kąpieli, od razu się zorientował, że to ja potrzebuję jego pomocy. Skłonił się w moją stronę, przy czym kosz zsunął mu się do przodu i zdawało się, że rzemyk może go udusić. Odwzajemniłem pozdrowienie tak, jak najlepiej potrafiłem. Zdjął teraz kosz, postawił go na ziemi i spytał:

— Lubisz dużo mówić?

— Nie! — odparłem krótko.

— Ja też nie. A więc krótkie pytanie, krótka odpowiedź i szybko kończymy!

Nie spodziewałem się po Grubym takiej stanowczości. Oczywiście, że musiała ona robić wrażenie na mieszkańcach Radowicza i przysparzać medykowi pieniędzy. Stał przede mną na szeroko rozstawionych nogach, przyglądał mi się od góry do dołu i zapytał:

— To ty jesteś tym człowiekiem z nogą?

— Nie. Ja jestem facetem z dwiema nogami!

— Co? Obie złamane?

Nie zrozumiał mojego dowcipu. — Tylko jedna, lewa!

— Podwójne złamanie?

O rety! Hekim mówi o podwójnym złamaniu. Może za chwilę powie, że mam złamania w dziesięciu miejscach. Zresztą to jego sprawa. Ode mnie nie mógł żądać, bym wiedział, o co chodzi.

— Tylko zwichnięcie — odparłem.

— Pokaż język!

Jeszcze lepiej! Ale chcąc zadowolić doktora, pokazałem mu język. Obejrzał go, obmacał, przesuwał koniuszek tam i z powrotem, w tę i w tamtą stronę, aż stwierdził:

— Groźne zwichnięcie!

— Nie tak groźne!

— Cicho! Widzę to po języku! Kiedy zwichnięte?

— Przed trzema, najwyżej przed czterema godzinami.

— Za długo! Mogło z łatwością wystąpić zakażenie!

Prawie że roześmiałbym mu się w twarz, ale opanowałem się przyjmując ze zdziwieniem, że

słowo „zakażenie” zdołało się już także zadomowić w Turcji.

— Boli? — badał dalej.

— Można wytrzymać.

— Ma apetyt?

— Duży i urozmaicony.

— Bardzo dobrze, całkiem dobrze! Wytrzyma. Niech no pokaże nogę!

Lekarz przykucnął. Ponieważ nie było mu wygodnie, usiadł obok mnie, ja zaś położyłem mu poufale ociekającą wodą nogę na kolanach. Uzdrowiciel obmacał ją opuszkami palców, najpierw delikatnie, potem mocniej, przechylił wreszcie głowę i spytał:

— Masz skłonności do krzyku?

— Nie.

— To bardzo dobrze.

Szybki chwyt, silne pchnięcie, lekki chrzęst w stawie... potem spojrzał na mnie z błyskiem w oczach.

— I co, jak było? — dowiadywał się Gruby przyjaźnie.

— Cudownie.

— Jeszcze tylko usztywnić.

Jako chirurg był on w każdym razie doskonały. Kto wie, jak by się inny medyk nade mną znęcał, aby sprawę wyolbrzymić i móc wystawić słony rachunek.

— Czym usztywnić?

— Drewnianymi łupkami. Gdzie drewno?

— Nie chcę.

— Dlaczego nie? — pytał lekarz, marszcząc czoło.

— To się na nic nie zda.

— Na nic się nie zda? Chce może szyny ze srebra lub złota, wysadzane brylantami?

— Chcę opatrunek z gipsu.

— Gips? Zwariowałaś? Gipsem smaruje się ściany i mury, ale nie nogi!

Tu była jego słaba strona. Znajdowałem się przecież w Turcji.

— Z gipsu robi się także wspaniałe opatrunki — stwierdziłem.

— Chciałbym widzieć!

— Możesz zobaczyć. Właśnie posłałem po gips.

— Jak chcesz to zrobić? — mruczał.

— Poczekaj.

— A jeśli gipsu nie dostaniesz?

— Wtedy zrobię opatrunek z kleju.

— Z kleju! — krzyknął Gruby. — Chcesz sobie ze mnie zakpić?

— Wcale nie.

— Nie myśl, żeby to ci się udało!

— Och, gdybym tylko chciał! — śmiałem się.

— Co? Masz przed sobą człowieka uczonego!

— Ty także!

— Co studiowałaś?

— Wszystko! — stwierdziłem krótko.

— A ja jeszcze trzy razy więcej. Znam nawet pierwszy podręcznik o lekach Sabura ibn Saheli!

— Ja zaś mam w głowie cały medyczny słownik Abd el Meszdżida!

— Ja mam go nie tylko w głowie, lecz w całym ciele i we wszystkich członkach. Opatrunek z gipsu, albo nawet z kleju! Gips jest mąką, klej zaś jest miękki i płynny. Opatrunek natomiast musi być twardy.

— Gips i klej twardnieją. Zdziwisz się. A w ogóle, opatrunku nie wolno jeszcze wcale zakładać. Najpierw muszę robić okłady do momentu, w którym zginie obrzęk i zmniejszy się ból. Zrozumiano?

— Na Allaha! Mówisz jak lekarz!

— Bo ja się znam na tych sprawach również!

— A więc wpraw sobie sam twoje stawy, jeśli je zwichnąłeś. Dlaczego po mnie posłałeś?

— Żeby ci pokazać język.

— Wolę już język wołu, bo jest większy i robi lepsze wrażenie. Zapamiętaj to sobie. Moja wizyta kosztuje dziesięć piastrów. Ty, jako człowiek obcy, płacisz podwójnie. Zrozumiano?

— Masz tu dwadzieścia piastrów, ale mi więcej nie przychodź!

— Ani mi się śni! Mam już teraz dosyć!

Doktor „Męczeński” wrzucił pieniądze w zakamarek kaftana, przewiesił kosz przez ramię i podszedł do drzwi. Wsunął na nogi sandały i zamierzał właśnie wyjść, nie zaszczycając mnie nawet słowami pożegnania, gdy wtęm pojawił się Omar z naczyniem w ręku.

Lekarz przystanął, przyjrzał się zawartości naczynia i spytał:

— Co tam masz?

— Gips.

— Ach, to jest ten gips, z którego mają być szyny? Co za głupota, jaki nonsens! Jest to w najwyższym stopniu śmieszne. Tylko ktoś zbzikowany może w to wierzyć!

Omar zostawił drzwi otwarte, natomiast teraz je zamknął, aby lekarz nie mógł wyjść, postawił naczynie na ziemi, złapał medyka za ramiona i spytał:

— Ty gadzie, kim ty właściwie jesteś?

— Jestem lekarzem! Zrozumiano?

— Mógłbyś być równie dobrze grajkiem ulicznym! Co ty opowiadasz, że ktoś tu zgłupiał, stracił rozum i się ośmieszył! Nasz efendi chciał ten gips mieć! Jest mu potrzebny, a on wie zawsze, co robi.

i choćby było tysiąc takich pasibrzuchów jak ty, nie będą mieć w swoich pustych głowach tyle mądrości, ile ma jej efendi na koniuszku włosa. Jeśli obrażasz go takimi słowami, to bardzo szybko możesz wylądować w pokrzywach! Po tobie zaraz widać, że głupota jest twoją matką!! Czegoś podobnego, skierowanego pod swoim adresem, ów człowiek nigdy nie słyszał. Wyrwał się z uścisku Omara, cofnął się o kilka kroków, głęboko wciągnął powietrze i wypalił jak naładowany prochem:

— Mam ci może fezem... zatkać pysk? Masz go, ty małpisyntu, ty wnuku i prawnuku pawiana!

Zerwał fez z głowy, zmiął go w ręku i cisnął nim w twarz Omara. Omar złapał go, drugą rękę zanurzył w naczyniu, nasypał gipsu do nakrycia głowy i rzekł:

— Masz tu pokrywkę na twój dziurawy rozum!

I rzucił fez pełen gipsu w czerwoną z gniewu twarz medyka. Gips się wysypał i w tejże chwili lekarz upodobił się do gwiazdora ulepionego z białego ciasta. Gips dostał mu się także do oczu. Usiłował je przetrzeć, tupiąc przy tym nogami, zgubił sandały, krzyczał, jakby go ktoś zatknął na rożen, a kiedy znów przejrzał, ściągnął przez głowę kosz zawieszony na ramieniu i usiłował nim rzucić w głowę Omara. Ale Omar był na to przygotowany i złapał go. W tym momencie otwarła się pokrywa kosza i jego zawartość potoczyła się po ziemi: cęgi, nożyczki, łopatki, pincetki, pudełka i mnóstwo innych rzeczy z irygatorem do lewatywy jako najważniejszym instrumentem orientального lekarza.

Zwinny Arab szybko się nachylił i zaczął obrzucać tymi przedmiotami lekarza. Ten zaś nie mogąc

w zacierzewieniu wymyślić czegoś innego, odwzajemniał się tym samym. Podnosił z ziemi przedmioty, które odbijały się o niego i rzucał nimi z całej siły w Omara, a czynności tej towarzyszył cały arsenał wyzwisk, w których celował medyk i których nie wypada przytaczać. Owa huraganowa wymiana ognia sprawiała tak śmieszne wrażenie, że mimo woli parsknęliśmy donośnym śmiechem. Śmiech nasz słyszany na podwórzu, zwabił gospodarza i jego ludzi, którzy widząc ten osobliwy pojedynek, śmiali się wraz z nami.

Wreszcie Halef postanowił przyjść przyjacielowi z pomocą.

— Wyjmij z wody nogę, sihdi! — prosił, i przy tych słowach już ją złapał i podniósł. Wziął naczynie i pośpieszył z nim ku drzwiom, pragnąc lekarzowi odciąć drogę ucieczki. Podniósł z ziemi irygator i zaczął spryskiwać grubaska wodą tak żwawo i skutecznie, że ten po chwili ociekał jak zlany wodą pudel.

— Pięknie, świetnie, wspaniale! — wołał Omar. — Poczęstujmy go jeszcze gipsem. Lei żwawo, Halef!

Omar ben Sadek ujął w dłonie naczynie i cały gips wysypał na swoją ofiarę, podczas gdy Halef nie zaniechał oblewania. Chciałem położyć temu kres, ale nie mogłem opanować śmiechu, gdyż doktor „Męczeński” przedstawiał tragikomiczny widok. Nawet największy ponurak poddałby się temu nastrojowi wesołości. Ci, którzy się temu przyglądali, łapali się ze śmiechu za brzuchy.

Najbardziej śmiał się nasz gospodarz, człowiek nieduży, z wąskimi ramionami, z wyraźnie wystającym brzuszkiem i parą cieniutkich nóżek, które niejako z trudem dźwigały korpus. Perkaty nosek i szerokie usta z białym uzębieniem odpowiadały jego wesołemu zachowaniu. Złożył ręce i podtrzymywał nimi rozhuśtany brzuch. W oczach miał łzy i piał z zachwyty, raz po raz wołając:

— Haj, waj, tenim, wüdzudum, karnim, midem, dzygerim, dallakim, böbrekim, waj, hasmim, sindirmim — Ojej! Ojej! Mój brzuch, mój żołądek, moja wątroba, moja śledziona, moje nerki! Och jej! Moje kiszki, moje kiszki! Chyba pęknę, chyba trzasnę!

Wyglądał zresztą tak, jakby jego skóra nie mogła utrzymać roztrzęsionych organów.

Uczeń Eskulapa umknął do kąta i rękawem kaftana zasłaniał sobie twarz, wzywając pomocy, krzycząc i złorzecząc z niemalejącą siłą. Kiedy sikawka zaczęła zawodzić, Halef ujął naczynie i wylał zawartość na głowę lekarza ze słowami:

— Tak dzieje się z każdym, kto naszego efendiego nazywa człowiekiem zbikowanym. Osko, przynieś wody, ażeby sihdi mógł ochłodzić nogę. Natomiast tego mędrca od plastra, maści i łupków posadźmy na to krzesło i oczyścimy mu twarz. Bądź spokojny przyjacielu, bo inaczej zeszkrobię ci także nosek.

Mały Hadzi zaciągnął doktora na niskie krzeselko, podniósł z podłogi drewnianą łopatkę i począł zeszkrobywać gips z jego twarzy. To, co z niej zebrał, wcisnął mu sprytnie do uszu. Golony zbytnio się nie upierał, ale ciągle jeszcze złorzeczył. Im bardziej kołowaciał mu z wysiłku język, tym wulgarniejsze słowa cisnęły mu się na usta. Bluzgał najohydniejsze obelgi, a mimo to zdawało się, że nie wyraził jeszcze wszystkiego, co zamierzał.

Wiadomo, że gips twardnieje bardzo szybko i po kilku minutach stanowi skamieniałą masę. Tutaj odbywało się to szybciej, gdyż ubiór prędko nasiąkał wilgocią. Halef zaprzestał skrobienia dopiero wtedy, kiedy powłoka w całości stała się biała i zakrzepła.

— No już! — powiedział. — Oczyściłem cię, bo nawet wrogowi trzeba czynić dobrze. Ale więcej nie możesz ode mnie żądać. Pozbieraj sam swoje rzeczy i powkładaj je do kosza. Wstawaj! Kuracja zakończona.

Gruby chciał wstać z krzesła, ale zorientował się, że jego zeszywniała odzież na to mu nie pozwala. To był także powód, dla którego zgadzałem się na tę zabawę. Dzięki temu na własnym ciele

medyk doświadczył możliwości użycia gipsu w charakterze opatrunku.

— Nie mogę wstać, nie mogę wstać! — wołał lekarz, rozcapierzając wszystkie dziesięć palców.

— Mój kaftan jest jak ze szkła i za chwilę pęknie!

Halef złapał za kutasik fezu, ściągnął go z głowy medyka, na którą go wcześniej wcisnął, trzymał fez przed oczami uzdrowiciela i rzekł:

— Popatrz! Oto szanowne nakrycie twojej uczonej głowy. Jak ci się ono podoba?

Fez tworzył obecnie twardy, biały, dzwoniasty przedmiot uformowany kształtem głowy. Było to śmieszne!

— Mój fez! Mój fez! — wołał doktor. — Pamięta on czasy mojej młodości, a teraz wy, bankruci, pozbawiacie go czci należnej jego wiekowi i godności jego podeszłych lat! Oddaj go!

Chciał go pochwycić, ale kiedy podniósł ramię, gips na rękawie zaczął pękać.

— Waj, waj — ojej! ojej! — krzyczał. — Utracę zdrowie i sprawność rąk! Co począć? Muszę stąd iść. Czekają na mnie chorzy.

Doktor „Męczeński” chciał wstać, ale kiedy kaftan znów zaczął trzeszczeć, szybko ponownie opadł.

— Widzieliście? Słyszeliście? — pytał płaczliwie Gruby. — Kruszą się zarysy mojej postaci i linie mego ciała. Czuję, że także moje wnętrze rozpada się w kawałki. Zniknęła wytworność symetrii i w okropne fałdy zmieniała się miękka krągłość mego tułowia. Zrobiliście

ze mnie człowieka niepoważnego i mężczyznę pozbawionego uroku.

Podziw ludzi, którzy będą na mnie patrzeć, przerodzi się w śmiech, a przyjemność dla wzroku, w drwinę. Na ulicy będą na mnie wskazywać palcami, zaś nadobna małżonka będzie się w domu uskarżać na utratę moich zalet. Jestem człowiekiem skończonym i powinienem od razu się zdecydować na cmentarz, gdzie cyprys opłakuje umarłych. O Allah, Allah, Allah!

Jego gniew przerodził się w żal. Martwiła go utrata miłej powierzchowności. Już miał wybuchnąć na nowo śmiech, kiedy ruchem ręki nakazał ciszę i przemówił doń:

— Nie biadolić ci trzeba, lekarzu! Twój smutek przemieni się bowiem w radość, gdyż tutaj znalazłeś okazję, aby sprawdzić bardzo ważne dla ciebie doświadczenie.

— Próbę przeszedłem. Owszem. Ale ona nie jest dla mnie ważna. Przekonałem się, że nie należy zadawać się z ludźmi, którzy nie posiadają wykształcenia.

— Myślisz lekarzu, że można się go doszukać w tobie?

— Tak. Gdyż ja jestem człowiekiem, który leczy choroby ciała i odświeża zmęczone serca. I to jest prawdziwe wykształcenie!

— Jesteś człowiekiem, który mówi choremu, że jego język nie robi na tobie takiego wrażenia, jak język wołu. Jeśli to nazywasz wykształceniem, to jesteś rzeczywiście wielce kształconym uczoneym. Nie rozumiem, w jaki sposób chciałeś po języku poznać, czy moje zwichnięcie jest groźne, czy też nie.

— Jeszcze bardzo wiele rzeczy w życiu nie zrozumiałeś. To po tobie poznać. W każdym razie nie pojmujesz także, że postawiliście mnie w położeniu, które uwłacza memu honorowi i niweczy w kraju uznanie.

— Tego rzeczywiście nie rozumiem.

— Zatem twoja mądrość jest krótka jak dzień, zaś twoja głupota jest tak długa, jak równoleżniki wokół Ziemi, a mimo to kręcisz nosem, masz minę i prowadzisz rozmowy, jakbyś był profesorem wszystkich możliwych mądrości.

— Dla ciebie byłem także profesorem, gdyż dałem ci pogładową lekcję opatrunku.

— Na ten temat nie usłyszałem jednego słowa.

— Mówiłem o lekcji poglądowej, natomiast o wykładzie nie było mowy. To, czego się teraz nauczyłeś, może cię uczynić najślynniejszym lekarzem w krainach znajdujących się pod panowaniem padyszacha.

— Chcesz jeszcze ze mnie szydzić? Jeśli naprawdę jesteś taki mądry, jak uważasz, to daj mi dobrą radę, w jaki sposób mogę się wyzwolić z tej gipsowej skorupy.

— O tym potem! Wyśmiałeś mnie, kiedy ci powiedziałem, że można wykonać opatrunek z gipsu, a przecież jest to rzeczywiście coś najlepszego. Nie dopuściłeś mnie do słowa, dlatego zostałeś pouczony praktycznie. Weź do ręki kaftan! Przedtem był on miękki, a teraz jest twardy i trwały jak kamień, tak twardy, jak twardy musi być opatrunek, który ma unieruchomić kończynę. Czy nic jeszcze nie rozumiesz?

Zmarszczył brwi i słuchał mnie z uwagą, a ja ciągnąłem dalej:

— Jeżeli złamaną nogę wstawisz w łupki, to one jedynie obciążą kończynę, dlatego, że do niej przylegają. Taki opatrunek na nic się nie zda.

— Ale nie ma innego sposobu. Najlepsi lekarze w tym państwie łamali sobie daremnie głowy, aby wymyślić opatrunek, który byłby sztywny i by mimo to przylegał do kończyny. Sam posiadam książkę pod tytułem *O leczeniu złamań kostnych*. Można tam przeczytać, że takie złamania wstawia się wyłącznie w łupki..

— Kto jest autorem tej książki?

— Sławny lekarz Kari Asfan Zufikar.

— Otóż, ten człowiek żył przed dwustu prawie laty. I wtedy miał z pewnością rację, ale teraz by go wyśmiano.

— Och, ja go nie wyśmiewam.

— A więc twoje umiejętności i twoje poglądy pasują jedynie do tamtych czasów, ale już nie do dzisiejszych. Istnieją jeszcze całkiem inne sposoby. Czy przyjrzałeś się przedtem fezowi, który teraz znów chroni twoją głowę?

— Dlaczego nie miałbym mu się przyjrzeć? Ta mała złośliwa żaba dostatecznie długo trzymała mi go blisko nosa.

— A więc powiedz mi, jaki on przybrał kształt?

— Kształt mojej głowy.

— Idealnie. To samo dzieje się także z każdą inną częścią ciała. Jeślibym złamał rękę i każę ją nastawić, najpierw owinę ją cienkim cajgiem. Potem nasycę go gipsem rozpuszczonym w wodzie, owinę jeszcze kilka razy, każdorazowo pamiętając o gipsie. Kiedy gips już wyschnie i stwardnieje, uzyskam gotowy opatrunek, bardzo mocny i dokładnie przylegający do ręki.

Wykrzyknął: — Ach! Och! Ach! — po chwili wpatrywania się we mnie i zwracając się do Halefa rzekł: '

— Zdejmij mi prędko jeszcze raz fez z głowy!

Hadzi potrzymał go lekarzowi przed oczyma i obracał nim na wszystkie strony.

— Jeszcze lepiej — ciągnąłem dalej — jeśli nasycę tkaninę od razu mokrym gipsem i dopiero potem owija kończynę. A po to, by stwardniały gips nie uwierał chorej kończyny, należy ją owinać warstwą waty. Kończyna spoczywa wtedy miękko w sztywnym i szczelnie przylegającym do niej opatrunku.

Medyk znów na mnie spojrział i wreszcie wykrzyknął:

— Na Allaha! Toż to wspaniałe odkrycie i cudowny wynalazek! Już biegnę, śpieszno mi! Muszę to zapisać!

Skoczył na równe nogi, nie bacząc na sztywność kaftana, i pospieszył ku drzwiom.

— Poczekaj! Zabierz twój kosz z instrumentami! — wołał Halef. — I włóż najpierw na głowę fez!

Lekarz zatrzymał się, stwarzając wspaniały widok. Gips pękał wzdłuż i wszerz i odpadał z niego kawałkami. Kaftan był ciągle połamany i pofałdowany, przybrał kształt utworzony na siedzącym. Jego tylna, dolna część, zamiast zwisać, sterczała do przodu i przeszkadzała w chodzeniu. Gruby odwrócił się zatem plecami do Halefa, wyciągnął ręce do tyłu i prosił:

— Ciągnij za rękawy! Muszę się wydostać!

Halef złapał za nie i przytrzymał, zaś uczeń Eskulapa ciągnął tak uparcie, że wreszcie wyleciał z gipsowanej odzieży z taką siłą, iż potoczył się ku drzwiom, a ponieważ już wcześniej nacisnął klamkę i je otworzył, wystrzelił na podwórze jak z procy.

— Jeszcze tu wróć, wróć, zaraz wrZdejcę! — wołał gruby lekarz, przy czym upadł na ziemię, ale szybko się pozbierał i wybiegł.

Zawładnął nim entuzjazm dla gipsowego opatrunku. Musiał pobiec do domu, aby zapisać moje wskazówki. Nie martwiło go, że zostawił sandały, kaftan i fez, razem z koszem z instrumentami, i biegł ulicami z gołą głową. Ciałem i duszą był teraz pochłonięty sprawami swojego zawodu, ale nie nauczył się niestety więcej, niż to, co wiedzieli inni, którzy... nic nie wiedzieli.

Należało teraz oczyścić izbę. Sztywny kaftan został przewieszony przez poręcz krzesła i pozbierano drobiazgi. Potem przygotowano moją izdebkę. Osko przyniósł mi już dawno wodę i ku mej radości spostrzegłem, że obrzęk niknie. Później kazałem się zanieść do izdebki i położyć na przygotowanym legowisku. Nadal robiłem okłady, a wieczorem miałem zamiar nałożyć opatrunek. Trzeba było znów przynieść watę, gazę i gips. Mniej więcej po trzech godzinach leżenia usłyszałem za drzwiami głos lekarza:

— Gdzie jest efendi?

— Tam, w izdebce — dotarł do mnie głos Halefa.

— Zamelduj mnie!

Halef otworzył drzwi i lekarz wszedł, ale nie był to ten sam człowiek! Paradował w odświętnym stroju. Kaftan z błękitnego jedwabiu spowijał go aż do stóp wsuniętych w safianowe sandały, zaś na głowie miał turban w białe i niebieskie pasy, ozdobiony zapinką z granatu. Minę przybrał uroczystą, a chód na wskroś dostojny. Zatrzymał się w drzwiach, skrzyżował na piersi ręce, skłonił się głęboko i rzekł:

— Efendim, ars u şükür we hürmet iczün geldim — Efendi! Składam ci wizytę dziękczynienia i szacownego uznania. Pozwól mi wstąpić w twoje progi!

Skłoniłem uroczyście głowę i odpowiedziałem:

— Jaklasz, chosz sin — proszę cię, wejdz. Jesteś mile widzianym gościem!

Zrobił trzy kroczki i chrząknawszy zaczął:

— Efendi! Twoja głowa jest kolebką ludzkiego rozumu, a twój mózg przechowuje wiedzę wszystkich narodów. Twój umysł jest przenikliwy, a inteligencja bystra. Dlatego zgłębiłeś tajemnicę leczenia skręceń i zwichnięć. Twój geniusz przemierzył wszystkie sfery i zbadał wszystkie dziedziny wiedzy, aż dotarł do siarczanu wapnia, zwanego przez barbarzyńców gipsem. Dodałeś do niego wody i rozmieszałeś, aby wytrącić z niego kryształki i posmarować nim płótno do owijania kończyn, kości i piszczeli, aby im stworzyć oparcie, jeśli jest im ono potrzebne. Dzięki temu z biegiem czasu ustrzeżesz przed krzywizną i zniekształceniem miliony rąk i nóg, a przyszli profesorowie będą zbierać piasy, aby postawić ci pomnik, na którego płycie błyszcząco będzie złotym pismem twoje nazwisko. Ale zanim to nastąpi, pragnę je uwiecznić w księdze moich zapisów, dlatego proszę cię, abyś zechciał mi je wyjawić.

Mówił uroczyście niby rzecznik deputacji. Niestety, deputacja ta składała się tylko z niego samego.

— Dziękuję ci! — odparłem z szacunkiem. — Umiłowanie prawdy nakazuje mi powiedzieć tobie, że to nie ja dokonałem tego wielkiego wynalazku. W ojczyźnie mojej jest on na tyle rozpowszechniony, że znają go wszyscy lekarze i laicy. Chcesz zapisać nazwisko owego wynalazcy, to chętnie ci je podam. Ten uczony człowiek, któremu tylu ludzi zawdzięcza prawidłową budowę kości nazywał się Mathysen i był słynnym chirurgiem w Holandii. Nie zasłużyłem na twoje podziękowanie, ale cieszy mnie bardzo, że wynalazek ci się podoba i mam nadzieję, że go z powodzeniem będziesz stosował.

— Pragnąłbym ci dowieść, że zdecydowanie postanowiłem go stosować, ale podziękowania nie powinieneś odrzucać. Jeśli nawet nie jesteś wynalazcą tej metody, to wprowadziłeś u nas to nie mające sobie równych dobrodziejstwo. Nie zapomnę dzisiejszego dnia i ku mojej radości zauważyłem, iż mój kaftan się uchwiał. Od tej pory będzie on moim szyldem firmowym i zawieszę go obok drzwi mego domu, aby wszyscy ludzie ze złamanymi kończynami widzieli efekty pożytecznego działania siarczanu wapnia. Spróbowałem już, jak to robić i proszę cię, abys przypatrzył się memu dziełu i wystawił mi z niego notę. Zgadzasz się?

— Bardzo chętnie!

Lekarz podszedł do okna i klasnął w dłonie. Na ten sygnał otworzyły się drzwi do izby jadalnej i usłyszałem ciężkie kroki.

— Wejdźcie tutaj! — polecił.

Najpierw weszło dwóch mężczyzn niosących duży kubeł z gipsem. Jeden z nich miał także zapas opatrunku bawełnianego, który wystarczyłby do zabandażowania dziesięciu osób, natomast drugi trzymał w ręku zwój perkalu. Złożyli to, co przynieśli i oddalili się. Teraz weszło dwóch innych noszami. Spoczywał na nich brodaty człowiek przykryty po szyję. Mężczyźni postawili nosze i wyszli z izdebki.

— Zobaczysz moje pierwsze opatrunki — zaczął lekarz. — Nabyłem to, co niezbędne i wynająłem tego człowieka jako modela. Dostaje on ode mnie dziesięć piastrów za dzień i wyżywienie. Pozwól, że zabiorę chustę i przyjrzę się choremu.

I zdjął z niego okrycie. Kiedy mój wzrok padł na „modela”, musiałem panować nad sobą, aby nie wybuchnąć. Bo jakżeż ten człowiek wyglądał! Grubas wymyślił sobie wszystkie możliwe złamania i zwichnięcia i odpowiednio do tego ogipsował biedaka. Ale w jaki sposób?

Ramiona, ręce i nogi, za i przed łokciem, powyżej i niżej kolan, a także łokcie tkwiły w gipsowej powłoce grubej z pewnością na szerokość dłoni. Również klatka piersiowa znajdowała się w pancerzu, przez który z trudem przebiłaby się kula z pistoletu. Człowiek ów wyglądał naprawdę jak chory bliski śmierci. Mało, że nie mógł się poruszać, ale nie mógł prawie wcale oddychać. I to za niecałe dwie marki dziennie. Śmieszne. A więc całe dni miał ów pożałowania godny model tkwić w gipsie, i po co?

— Jak długo ma trwać ta próba? — spytałem.

— Tak długo, jak długo ten człowiek wytrzyma. Chcę przestudiować skuteczność oddziaływania siarczanu wapnia na różne części ciała.

— Na zdrowym człowieku? Jedyne skutki będą takie, że on tego długo nie wytrzyma. A co się dzieje z jego klatką piersiową?

— Ma złamanych pięć żeber, z prawej strony dwa i z lewej trzy.

— A z ramionami?

— Pękły obojczyki.

— A z biodrami?

— Wyskoczyły mu obie główki. Ale brak mi jeszcze jednego: otóż wyskoczyła mu z zawiasów szczęka i wystąpił szczękościsk. Jak tu postąpić z gipsem, tego nie wiem i będę w tym wypadku kierował się twoją wskazówką.

— Mój medyku! Tego się nigdy nie bandażuje!

— Nie?... Dlaczego?

— Jeśli nastawi się zwichniętą szczękę, wtedy usuwa się blokadę i gips jest niepotrzebny.

— Zgoda. Jeśli tak wolisz, to możemy założyć, że ma znów usta zamknięte.

— Bądź tak dobry i odsłoń również jego żebra! On łapie resztkami sił powietrze.

— Jak chcesz. Przyniosę od gospodarza narzędzia.

Bardzo byłem ciekaw, co medyk przyniesie. Kiedy wrócił zajmowałem się właśnie okładem i podniosłem wzrok dopiero wtedy, kiedy usłyszałem uderzenia młotka.

— Na Boga! Co ty robisz? Co masz w rękach?

Ponieważ był do mnie odwrócony plecami, nie mogłem nic widzieć. — Młotek i przecinak — odparł całkiem spokojnie.

— Chcesz mu naprawdę połamać żebra i pchnąć pomiędzy nie przecinakiem.

— A czym to zrobić?

— Nożycami, nożem, albo odpowiednią piłką, w zależności od miejsca i grubości gipsu.

— Piłę do cięcia kości mam w koszu. Zaraz ją przyniosę.

— Przeprowadź mojego małego przyjaciela! On ci pomoże, bo ja nie mogę.

Wystarczyło kilka wskazówek i Halef zabrał się do gipsu. Była to ciężka robota. I zanim „modela” uwolniono ze wszystkich opatrunków, nastąpiła noc i trzeba było zapalić światło. Biedaczyna, któremu oprócz wszystkich możliwych złamań lekarz chciał jeszcze wmówić szczękościsk, przez cały czas milczał. Natomiast kiedy odpadł od niego ostatni opatrunek, powiedział do mnie:

— Dziękuję ci, efendi!

Potem zrobił skok... i już był za drzwiami.

— Stój! — krzyknął za nim gruby lekarz. — Jesteś mi jeszcze potrzebny! Zaraz przystąpimy do roboty!

Ale było to daremne wołanie.

— Uciekł — biadał lekarz. — Co ja teraz pocznę z tym pięknym gipsem, opatrunkiem i płótnem?

— Daj mu spokój! — ostrzegłem lekarza. — Jak ty to sobie wyobrażałeś? Tą zawartością kubła zdołałbyś zagipsować co najmniej dwa domy. Coś niecoś będę z tego potrzebował i uważam, że jest już pora na założenie opatrunku.

— Pięknie, efendi! Zaraz się do tego zabiorę!

— Tylko powoli! Będziesz robił ściśle tylko to, co ci powiem! Człowiek ten był w gorącej wodzie kąpany. Podczas bandażowania opowiadał o przeprowadzonych przez siebie kuracjach. Gdy skończył, stwierdził:

— Oczywiście, że jest to zupełnie co innego! Muszę znów pozyskać człowieka do doświadczeń i go tu jutro przeprowadzić.

— A kiedy chcesz mu założyć gips?

— Jeszcze dziś wieczór.

— Na Allaha! I ma do jutra leżeć w gipsie? Przecież go uśmiercisz. Jeśli chcesz na nim ćwiczyć, to nie możesz tego robić na wszystkich kończynach naraz, lecz tylko na jednej i skoro gips zakrzepnie, musisz znów opatrunek zdjąć. Zapamiętaj ponadto, że w gipsie można wyciąć okienko.

— Po co? — dowiadywał się chłonny wiedzy ciekawski.

— Aby móc obserwować i leczyć poszczególne miejsca. Nie masz nauczyciela, który by cię uczył, ani też książki do studiowania, dlatego musisz się sam dokształcać i eksperymentować.

— Zostań tu, efendi, i ucz mnie! Wszyscy okoliczni lekarze będą twoimi uczniami.

— A my? Mamy być może doświadczalnymi królikami! — śmiał się Halef. — Tego by jeszcze brakowało! Dostyc się nauczyłeś przez jedno popołudnie, a dalej radź sobie sam.

— Jeśli nie macie czasu, to muszę zrezygnować z nauki. Prawdą jest, że nauczyłem się bardzo dużo i nie wiem, jak mam się odwdziaczyć. Pieniądzy nie weźmiesz, dlatego, efendi, pragnę ci dać coś na pamiątkę i będziesz się z tego cieszył.

— Co to takiego?

— Pewna ilość słoje ze spirytusem i różnego rodzaju tasiemcami i pasożytami jelitowymi, które są moją ogromną radością, ale tobie daruję je ze szczerego serca.

— Dziękuję ci! Ale słoje będą mi tylko przeszkadzać w podróży.

— Przykro mi, ale mimo to pragnę ci się odwdziaczyć. Dam ci coś najdroższego, co posiadam: mianowicie szkielet. Osobiście go ©skrobałem, wygotowałem, moczyłem i bieliłem.

— Także za to muszę ci podziękować. Z pewnością przyznasz, że nie mogę włożyć szkieletu na konia.

— Prawda. A więc przynajmniej pozwól mi, że ci po frankońsku uścisknę serdecznie dłoń.

Tak to najczęściej bywa z grubaskami, a takim był także nasz hekim, że w gruncie rzeczy był on miłym człowiekiem. Był żądny wiedzy i pełen wdzięczności, zaś od popołudnia zupełnie się odmienił. Poczł się szczęśliwy, gdy go zaprosiłem, by zjadł z nami kolację, a potem żegnał się tak serdecznie, jakbyśmy byli dawnymi, dobrymi przyjaciółmi. Jego tragarze musieli długo czekać na swego pana, aby zabrać z powrotem przyniesione ciężary. Na noszach, gdzie przedtem leżał „model”, stał teraz medyczny kosz i sztywny kaftan, który miał posłużyć medykwowi jako szyld. Pozostałą część wieczoru spędziliśmy na rozmowach o planach na jutrzejszy dzień. Mimo mojej chorej nogi byłem zdecydowany na wyjazd, ponieważ czwórce ludzi, za którymi podążaliśmy, nie powinniśmy pozwolić wyprzedzić się na tyle, aby zgubić ich ślad. Na kartce, która wpadła mi w ręce w Edirne, Hamd el Amasad napisał.

„Przeznaczcie jak najprędzej wiadomość do gospody w Karanorman ale nie wcześniej, jak dopiero po jarmarku w Melniku!”

Melnik znajdował się za nami, my zaś podążaliśmy do dziś za bratem Hamd el Amasada, nie mając pojęcia, gdzie owo Karanorman właściwie leży. W każdym razie miejscowość ta była celem, do którego zmierzał i prawdopodobnie obaj mieli się tam spotkać. Zamierzali uczynić coś złego, czemu chcieliśmy zapobiec. Z tego względu udaliśmy się na tę znużoną konną wyprawę. Gdybyśmy pozwolili im na większe wyprzedzenie, wówczas nasz cel mógłby zostać łatwo pogrzebany. Dlatego konieczny był nasz wyjazd w dniu jutrzejszym.

Halef traktował mnie jako chorego i chciał, abym się oszczędzał. Natomiast Osko i Omar byli zgodni ze mną. Omar wygłosił sentencję człowieka pustyni:

— Krew za krew! Poprzysiągłem pomścić śmierć ojca i muszę wypełnić to, co ślubowałem. Jeśli jutro nie pojedziecie ze mną, to dalszą pogoń poprowadzę sam. Nie będę miał spokoju, dopóty, dopóki mego noża nie zatopię w sercu mordercy.

Brzmiało to dziko i nieludzko. Jako chrześcijanin byłem zwolennikiem pięknej nauki wpływającej ze słów „Kochajcie nieprzyjaciół waszych”, ale kiedy przypomnę sobie moment, w którym jego ojciec, nasz przewodnik; utonął pod tą okropną skorupą solną szotu, to myślę, że za czyn taki należy odpokutować. Czy w taki sposób, jak to zamierzał Omar, zadecyduje odpowiedni moment.

W każdym razie postanowiłem nie tolerować barbarzyńskiego zabójstwa.

Rankiem spałbym pewnie znacznie dłużej, gdyby mnie nie zbudzono. Na dworze stał koszykarz i chciał ze mną mówić. Byłbym się o mało na niego nie pogniewał, ale kiedy zobaczyłem, że za nim wchodzi jego szwagier Szükrü, rozumiałem, że powód, dla którego mnie zbudzili, musi być ważny i dlatego ukazałem im bardziej przyjazne, niż zamierzałem, oblicze.

— Efendi! — powiedział Szükrü — nie przypuszczałem, że cię tak rychło znów zobaczę. Wybacz, że przerwaliśmy ci twój sen, ale muszę ci powiedzieć coś ważnego, chodzi bowiem o wasze życie.

— Znów! Może nie jest tak źle, jak myślisz.

— Byłoby z pewnością źle, gdybym cię nie mógł ostrzec. Bracia Aladzi byli bowiem u mego szwagra Abida.

— Ach! Kiedy?

— Wczesnym rankiem — odparł koszykarz, do którego skierowałem ostatnie pytanie. — Wstaliśmy wcześniej, radość bowiem z twoich darów nie dawała nam spać. Poszedłem nad rzekę, aby zobaczyć, co się złapało przez noc na wędki, które porzostawiałem jeszcze wieczorem. Kiedy wróciłem, dwóch jeźdźców na srokatych koniach zatrzymało się przed domem i rozmawiali z dziećmi. Ojciec jeszcze nie zdążył wstać z łóżka. Gdy mnie zobaczyli, zapytali, czy wczoraj nie przejeżdżali tędy czterej jeźdźcy, z których jeden nosił turban szeryfa i kolorowe okulary. Zaś jeden z koni był arabskim ogierem.

— Co im odpowiedziałeś? — pytałem podenerwowany.

— Pomyślałem sobie zaraz, że są to ci, o których rozmawialiśmy, bracia Aladzi, i powiedziałem im, że przejeżdżaliście tędy w drodze do Radowicza.

— Ale chyba nic więcej?

— Chciałem im tylko to powiedzieć, ale bracia Aladzi wypytali wcześniej dzieci i od nich dowiedzieli się, że opróżniliście u nas buty i daliście dziadkowi pieniądze, i że dzisiaj mam was zaprowadzić do Taszköj, gdzie byłem już wcześniej z Mübarekiem i jego towarzyszami.

— Musiałeś się do tego oczywiście przyznać. Powinienem się wystrzegać rozmowy w obecności dzieci. Czy rozbójnicy znów mieli strzelby?

— Owszem, ale sami wyglądali na poturbowanych. Jeden miał plaster na górnej wardze i nos koloru śliwki.

— To Bybar — wyjaśniłem — któremu jednym ciosem rozwaliłem wargę. Ale on miał przecież brodę?

— Obciął ją, aby zakleić plastrem wargę. Szükrü będzie wiedział. Bybar milczał, a mówił ten drugi. Z ledwością siedział na koniu, jakby miał przetracony kręgosłup.

— Trzepnąłem Sandarem o drzewo i z pewnością on to jeszcze czuje. A co robili potem?

— Uderzyli mnie kilka razy i pojechali do Radowicza.

— Myślę, że nie. Uważam, że bracia Aladzi pojechali do lasu, przez który ty masz nas poprowadzić. Chcą tam na nas napaść. Bez wątpienia znają dobrze tę okolicę.

— Efendi! Zgadłeś. Również i ja tak pomyślałem i skradałem się za nimi. Wkrótce rzeczywiście skręcili w prawo, ku górom.

— Zbóje! Tkwią tam teraz, czekając na nas. Muszę teraz przede wszystkim wiedzieć, co im powiedziałeś. Czy mówiłeś także o mojej chorej nodze, i to, że być może będę musiał pozostać w Radowiczu?

— Nie. Ani słowa.

— A więc będą nas dziś oczekiwać. Czy nie pytali, kiedy zamierzamy wyruszyć?

— Tak, a ja odpowiedziałem im, że się jeszcze dowiem. Aladzi poprzysięgli, że mnie zamordują i spalą moją chatę, jeśli bym ich zdradził. Dodali, że są oni tymi Aladzi, o których chyba słyszałem, i że z całą pewnością spełnią swoją groźbę.

— A mimo to mówisz mi o tym?

— Efendi! Jest to mój obowiązek i moja wdzięczność dla ciebie. Może uda ci się tak zadziałać, aby uważali, że zachowałem milczenie.

— To nic trudnego. Jestem ci wdzięczny za przestrożę, bez której źle byłoby z nami.

— Niestety, efendi! Byłbyś zgubiony — wtrącił jego szwagier. — Słyszałem to na własne uszy.

— Zatem rozbójnicy znów do ciebie wrócili?

— Oczywiście, ale nie cieszyłem się z tego, bo dość miałem pierwszych odwiedzin.

— Było to wczoraj przed południem? Czy widziałeś ich już wcześniej?

— O braciach Aladzi słyszałem, ale ich jeszcze nie widziałem. Zjawili się rano, zażądali rakii i usiedli przy stole przed domem, zaprowadziwszy konie za dom, i tak siedzieli.

— Wiedziałeś, kim są?

— Tak. Konie mieli srokatę, a ich ogromne sylwetki odpowiadały opisowi, który mi o nich przekazano. Byłem na nich oburzony, gdyż uważałem ich za złodziei mego konia i jucznego siodła.

— Wiedziałeś już zatem, że ci jedno i' drugie skradziono?

— Niestety. Widziałem, kiedy tylko wstałem i opowiedziałem braciom Aladzi o dokonanej kradzieży. Domyślili się chyba, że moje podejrzenie kieruję do nich, gdyż złościли się i wreszcie zmusili mnie do pozostania w domu. Nie wolno mi było nawet pójść po dzieci, co potem ty sam uczyniłeś, efendi.

— Czy nikt w tym czasie do ciebie nie zawitał? Myślę, że przybycie jakiegoś gościa mogło by ich przepędzić?

— A czy twoje, efendi, przybycie ich spłoszyło?

— Oczywiście, że nie — przyznałem.

— Nikt nie przejeżdżał, poza jednym człowiekiem, który się u mnie zatrzymał, mianowicie:...

— Kurierem Tomaszem z Ostromczy — wpadłem Szükrü w słowo. — Tomasz wiedział, że bracia go oczekują. Zresztą ubiegłej nocy byli już w pobliżu i wiedzieli, że posiadasz dwa konie. Oni są sprawcami kradzieży.

— O tym dowiedziałem się teraz od Abida.

— Czy Tomasz zatrzymał się tylko na chwilę ze Skipetarami?

— Och, nie! Zsiadł ze swego muła, przysiadł się do nich i siedzieli razem chyba z godzinę.

— Nie słyszałeś, o czym rozmawiali?

— Do izby nic nie dochodziło, lecz przypuszczałem, że. oni ukradli mego konia i obawiałem się zła z ich strony, ponieważ nie pozwalali mi opuszczać domostwa. Dlatego postanowiłem ich podsłuchiwać.

Z pewnością widziałeś, że z mojej izby drabina sięga pod dach szopki, gdzie trzymam słomę kukurydzianą. Wspiąłem się po niej i stamtąd mogłem się po cichu przedostać luką na zadaszenie podsienia. Słyszałem każde słowo i dowiedziałem się, co się wydarzyło w Ostromczy. Kurier informował w szczegółach i powiedział, że wyruszą w samo południe, a więc mniej więcej dwie godziny później będziecie przejeżdżali obok mego domu. Poza tym słyszałem, że on rozmawiał z nimi już poprzedniego wieczora.

— Ach, teraz stało się dla mnie jasne — odparłem — jak Mübarek mógł tak szybko znaleźć braci Aladzi i nasłać ich na mnie.

— Wydaje się, że potrzebował ich jeszcze przed waszym przybyciem, aby załatwić jakieś

porachunki. Przeszkodziliście mi i w ten sposób postanowił ich obecność wykorzystać przeciwko wam.

— Co jeszcze słyszałeś? — badawczo pytałem.

— Mübarek wraz ze swymi trzema towarzyszami zbiegł, a wy mieliście zginąć. Nawet dokładnie określił miejsce napadu, niedaleko za jedynym ostrym zakrętem drogi w lesie.

— W tym miejscu istotnie stoczyłem z nimi walkę.

— I jak mi opowiadał Abid, zwyciężyłeś ich. Efendi! Wierz mi, że był z tobą Allah, inaczej bowiem by cię pokonali!

— Oczywiście!... Mów dalej!

— Tomasz powiedział im, że nie mogą polegać na strzelbach i pistoletach, gdyż wy jesteście kuloodporni. Wydawało im się to śmieszne, ale kiedy im wszystko dokładnie opowiedział, zastanowili się nad tym i doszli wreszcie do wniosku, że naprawdę jesteście kuloodporni, dlatego postanowili, że nie będą do was strzelać, lecz zaatakują was toporami i nożami. Kurier opisał was tak dokładnie, że nie mogło być mowy o pomyłce i oddalił się. Po kwadransie ty się zjawiłeś.

— I co myślałeś, kogo masz przed sobą?

— Szeryfa. Nie mogłem przeczuwać, że to ty jesteś obcym efendim, który ma zostać zamordowany.

— Czy podsłuchiwałeś także nasze rozmowy?

— Nie, bo twoja osoba wydawała mi się być nieważna. Potem wszedłeś do środka i byłeś miły dla mnie i dla dzieci. Wyleczyłeś nawet moją córeczkę z bólu zęba. Wprawdzie nie wiedziałem, co ci złoczyńcy zamierzają z tobą uczynić, ale byłeś dla nas życzliwy i dlatego cię ostrzegłem.

— Narazając siebie!

— Nic groźnego nie mogło mnie spotkać. Mogłem oczekiwać tylko kilku smagnień batem. Kiedy bracia Aladzi z tobą odjechali, zacząłem się o ciebie obawiać, bo oni wymieniali między sobą jakieś dziwne spojrzenia, dlatego raz jeszcze kiwnąłem do ciebie, gdy się na moście odwróciłeś.

— Zrozumiałem, że chciałeś mnie ostrzec. A co robiłeś potem?

— Odwiedziłem sąsiadów, opowiedziałem im o zajściu i wezwałem ich, aby poszli za mną do lasu uwolnić cię z rąk rozbójników, a także wyratować tych czterech obcych, których także chcieli napaść.

— Ale sąsiedzi cię nie posłuchali — uzupełniłem jego opowiadanie. — Bali się zemsty braci Aladzi i pozostali w swoich czterech ścianach. Mogę to sobie wyobrazić.

— Postanowiłem jednak ostrzec przybyszy, dlatego usiadłem na ławce przed domem i na nich czekałem.

— Widziałeś ich?

— Nie. Dzieci zaczęły się bowiem między sobą kłócić. Płakały, więc poszedłem do nich uciszyć spór. W tym czasie musieli przejeżdżać ci obcy ludzie. Później zobaczyłem ku memu przerażeniu, że bracia Aladzi wracają.

— Z końmi?

— Oczywiście, efendi.

— A więc szybko znaleźli swoje konie. A humor im dopisywał?

— Jak możesz w ten sposób pytać. Musiałem wejść z nimi do izby i zdawało się, że towarzyszyło im tysiąc szejtanów. Było ze mną źle, ale to, co zdołałem pojąć z tego, co mówili, sprawiło mi ukrytą radość, gdyż dowiedziałem się, że pokonał ich głupi szeryf.

— A zatem nie zorientowali się, że szeryf jest przywódcą ludzi, na których czyhali?

— Taka myśl nie przyszła braciom Aladzi do głowy, ale potem, kiedy się uspokoili i znów

popijali rakiję, jeden z nich wyjął karteczkę, którą zaczęli czytać. Słyszałem, że wisiała ona na jakimś drzewie. Nie byli z niej jednak mądrzy i wiedzieli tylko, że chodziło o trzech jeźdźców kierujących się wskazówkami z tej kartki.

— Czy uważali tę trójkę za tych, na których czekali?

— Nie, bo brakowało im najważniejszej osoby. Zbójcy uznali, że wy dopiero będziecie przejeżdżać. Mimo że kurier powiedział im, że zostaliście ostrzeżeni, chcieli się jednak z wami zmierzyć. Byli tak bardzo wściekli, że zatracili rozwagę. Strzelby im połamano i mieli ze sobą tylko ich szczątki. Poczulem je na własnych plecach. Dzieci płakały i dlatego bili je także i kopali. Jeden z nich nie mógł się trzymać prosto, bo cisnął nim o pień drzewa. Rozebrał się i musiałem mu nacierać kręgosłup na przemian rakiją i masłem. Drugi ciągle krwawił. Zadałeś mu cios od dołu i rozerwałeś mu górną wargę, twierdził, że kciukiem. Nos miał poderwany w górę i napuchnięty, okrągły i gruszkowaty jak gniazdo os. Nacierał go rakiją. Później, gdy zjawili się jeszcze dwaj inni włóczykije, jeden z nich obciął mu brodę i poszedł do pobliskiego lasu po żywicę, z której potem, po dodaniu masła, zrobił opatrunek i nałożył na wargę.

— Zjawili się dwaj inni? Kto to taki?

— Z wyglądu prawdziwi obwiesie. Gdybyś ty ich widział! Ubiegłej nocy spali w Dabili u handźiego Ibareka i...

— Och! Znam ich. To bracia. Nie spostrzegłeś tego?

— Owszem. Wkrótce zorientowałem się, że są to bracia, podobnie jak Aladzi. Znali zarówno Skipetarów jak i was.

— A czy ci nowi przybysze wiedzieli, że spotkają braci Aladzi?

— Nie. Obie pary braci były zaskoczone spotkaniem. Ich radość była jednak większa niż zdumienie, gdy usłyszeli, że przyświeca im ten sam cel, a mianowicie, zemsta na was.

— W to nie wątpię. I mówili o nas?

— Bardzo wiele. O Edirne i o Melniku, skąd tak szybko czmychnęliście, chociaż mieliście tam zostać unieszkodliwieni. Staliście się w dwójnasób groźni, ponieważ podsłuchaliście rozmowę, siedząc w gołębniku. Obecnie wiedzieliście, że ludzi, za którymi podążaliście, należy szukać w ruinie znajdującej się w Ostromczy. Jeszcze bardziej groźne było to, że brat rusznikarza w Ismilanie uważał was za prawowitych posiadaczy kopczy i dlatego powiedział, że macie udać się do Żigancy.

— Popułnił zatem duże głupstwo.

— Gdy bracia Aladzi usłyszeli, że wiadomo wam o Derekulibie w pobliżu Żigancy, okropnie się zdenerwowali i powiedzieli, że trzeba was koniecznie unieszkodliwić i to zaraz, tu na drodze.

— Skipetarowie wciąż uważali, że myśmy ich jeszcze nie mijali?

— Tak. Usiedli bowiem w taki sposób, że żaden człowiek nie mógł przejechać, aby nie być przez nich zauważonym. Ci dwaj inni chcieli im przyjść z pomocą. Wpadało teraz czterech na czterech i Aladzi powiedzieli, że obecnie gotowi są walczyć z całym wojskiem. Pomyłkę tę sprostował oczywiście kurier Tomasz wracający z Radowicza.

— Hm... Więc on im wszystko wyjaśnił!

— Zawołano kuriera do środka, ten zaś krzyknął na widok jednego z nich. Bracia Aladzi powiedzieli mu, że tych czterech obcych jeźdźców jeszcze wtedy nie przejeżdżało. Ale Tomasz zapewnił ich, że widział was w Radowiczu i że otrzymał nawet od was dobrą porcję batów. Ogromnie się zdziwili. On nie rozumiał ich, natomiast rozbójnicy nie pojmwali jego. Wreszcie kurier zapytał, czy nie widzieli szeryfa, który w każdym razie jechał na karym ogierze. To byłeś ty, ponieważ jechałeś w przebraniu.

— Szkoda, że nie mogłem być przy tym! Chciałbym widzieć ich miny.

— Efendi! To było śmieszne i zarazem straszne. Takich przekleństw i bluźnierstw nigdy w życiu jeszcze nie słyszałem. Wszystko co można było zbić, pozbijali. Rozbójnicy szaleli i niszczyli wszystko jak szatani. Nie mieściło im się w głowie, że ich coś takiego spotkało! Chcieli głupiemu szeryfowi zrobić kawał, tymczasem to on sobie z nich zakpił! Nie mogli się uspokoić i byli podobni rozjuszonym bykom, przed którymi należy się salwować ucieczką.

— Wyobrażam to sobie. A co na to kurier?

— Był śmiertelnie przestraszony. Tomasz sam ci opowiadał, że zostałeś zamordowany i przez to się zdradził. Ponadto wiedziałeś już, że jest on w zмовie z braćmi Aladzi, i teraz obawiał się, że zawrócicie do Ostromczy, aby go przekazać w ręce sprawiedliwości.

— Tomasz może być spokojny. Pozostawimy go na pastwę jego własnego sumienia.

— Och, oby je tylko miał. Zadaje mu ono w każdym razie mniejszy ból niż razy, które dostał batem.

— Mówił o tym?

— Owszem. I był bardzo wściekły na Halefa. Najbardziej złościło go to, że sam musiał sobie wybrać owe trzydzieści batów. Mówił, że były one co najmniej tak silne, jak sto innych. Odzież kleiła mu się do poranionych pleców i dlatego prosił braci Aladzi najusilniej, aby was jednak zabili, po pierwsze z zemsty, a po drugie, abyście na niego nie donieśli.

— Czy mu to przyrzekli?

— Poprzysięgli mu waszą zagładę i chcieli zaraz wyruszyć do Radowicza, ale on im powiedział, że ponieważ będziecie tam nocować, dlatego nie trzeba się śpieszyć i można poczekać do rana. Niech się wyśpią i odpoczną, aby rano wstać ze świeżymi siłami. Oczywiście, że mi to wcale nie odpowiadało, bo postanowili na noc pozostać u mnie, a ja byłem przecież więźniem we własnym domu. Nie dowierzali mi i nie wolno mi było wyjść na próg. Bracia nie przespali ostatniej nocy i dlatego mieli wypocząć, podczas gdy dwaj pozostali na przemian czuwali.

— A Tomasz?

— Pojechał do Ostromczy, ale jutro chce znów wrócić do Radowicza, by się dowiedzieć, czy Srokacze zdołali was dopaść i zabić. Po odjeździe kuriera Aladzi kupili obu braciom strzelby i akcesoria do strzelania. Połamałeś ich własne strzelby i zabrałeś im również proch. Mimo że byli na ciebie bardzo wściekli, to przecież także cię wyśmiali, ponieważ zostawiłeś im pieniądze.

— Jeśli ci Skipetarzy wpadną mi znów w ręce, wtedy nie pozwolę się z siebie wyśmiewać. Ale co ci dwaj pozostali zamierzają zrobić? Oni przecież z nimi dziś nie pojechali?

— Zawrócili do Melnika, przekazując swoje zadanie do wykonania braciom Aladzi. Oni natomiast mają niejakiemu człowiekowi nazwiskiem Barud el... el... el, jak on się nazywał?

— Barud el Amasad.

— No tak. Właśnie tak. A więc jemu mają powiedzieć, że jego syn umarł... dalej, że wy posiadacie kopczę, i w końcu, że u jakiegoś masarza w Żigancy chcecie się dowiedzieć o Derekulibie.

— Może udałoby się wyprzedzić braci Aladzi?

— Strzeż się, efendi! Oni również jadą do Żigancy i znają najbliższą drogę prowadzącą przez Taszköj. Jeśli chcesz ich wyprzedzić, to musisz koniecznie jechać tą samą drogą i okrążyć ich w lesie, ale nie wiesz, gdzie oni są. Przeciwnie, to oni będą na was czatowali, by was napaść.

— Jesteśmy na to przygotowani. Jeśli wiemy, co nam zagraża, wówczas niebezpieczeństwo jest o połowę mniejsze. Gdybym nie miał chorej nogi, to mimo to pojechałbym tą drogą. Czytałbym ich trop i wciąż bym wiedział, co się dzieje. Ale wtedy musiałbym często zsiadać z konia, a tego robić dziś nie mogę. Z tego też względu nie mogę dopuścić do walki. W lesie konno się nie walczy, a w

pieszym boju byłoby ze mną kiepsko. Musimy wybrać inną drogę.

— Która jest jednak dłuższa.

— Nie szkodzi.

— A zatem nie wyprzedzisz ich, efendi.

— A może jednak. Pojedziemy stąd do Karbincy i stamtąd przez Warcy do Żigancy.

— Ale to brzydka droga, efendi.

— Właściwie nie. Gdybyśmy pojechali stąd do Istip i stamtąd przez Karaorman do Warcy, jechalibyśmy zawsze drogą, ale wtedy zrobilibyśmy okrąg pochłaniający dużo czasu. Pojadę raczej prosto do Karbincy, mimo że będzie to trudna jazda, bo nie wierzę, aby wiodła tam przejezdna ścieżka.

— Miejscami się trafia — powiedział koszykarz. — Ale jeśli ja mam cię poprowadzić, to zapewnię ci nie najgorszą drogę.

— Znasz tę okolicę?

— Dobrze. Wiem, że mam cię poprowadzić, a więc jest mi obojętne, czy udamy się do Taszköj czy do Karbincy. Również odległość jest prawie taka sama. Mogę to tak zorganizować, że omiemy nieprzejezdny las i pojedziemy na ogół dogodną trasą, tyle że na przemian to w górę, to w dół.

— To można wytrzymać.

— Kiedy jedziesz efendi? Czy mogę jeszcze na chwilę wpaść do domu?

— Owszem. Ale za pół godziny musisz tu znów wrócić. Nie możesz sobie wypożyczyć konia?

— Handzi zaraz mi go da.

— Porozmawiaj, za konia zapłacę.

— Możesz także wziąć mojego konia, który stoi na dworze — powiedział szwagier. — Ale obawiam się, że nie dotrzyma on kroku, bo jest stary. Ci szubrawcy zabrali mi dobrego konia. Już go nigdy nie zobaczę i nie mam także pieniędzy, aby kupić innego, mimo że go bardzo potrzebuję.

— A ile był wart ten koń? — zapytałem.

— Między nami mówiąc, sto pięćdziesiąt piastrów.

— To go odkupię.

— Chcesz go odkupić? — spytał zdziwiony. — Czy mówisz to poważnie, efendi?

— Dlaczego nie?

— Bo ja tego konia nie mam.

— Nie szkodzi. Odbiorę go od złodziei. Jeśli ich dogonię, zabiorę im przy okazji także twego konia.

— A jeśli ci się to nie uda?

— To już mój kłopot. Jednym słowem kupuję od ciebie konia, o ile w ogóle zamierzasz go sprzedać.

— Z radością, bo ja go już nigdy nie odzyskam. Ale, efendi, nie bierz mi tego za złe! Z pewnością chcesz zapłacić za konia dopiero wtedy, kiedy go rzeczywiście będziesz miał?

— Och, nie! Kto wie, jak długo będę musiał tym przestępcom deptać po piętach i kiedy ich spotkam! W jaki sposób miałbym ci wtedy dostarczyć pieniądze? Dam ci te dwieście piastrów zaraz.

— Sto pięćdziesiąt, powiedziałem.

— Nie. Dwieście!

— Źle mnie zrozumiałeś, efendi.

— To mój błąd. Myślałem o dwustu piastrach i wyjaśniłem ci, że konia kupuję za tę sumę. Zgadzasz się?

— Ale to za dużo.

— A jako ogonowe dam ci jeszcze pięćdziesiąt piastrów dla dzieci. Masz tu więc dwieście pięćdziesiąt piastrów!

Było to w sumie zaledwie pięćdziesiąt marek za najlepszego konia tego człowieka, ale w tamtych stronach obowiązują za zwyczajne konie inne ceny niż u nas. Na wsi nawet biedak posiada konia, gdyż tanie albo bezpłatne pastwisko istnieje wszędzie. To, że wyplatacz koszyków Abid nie miał konia, stanowiło oznakę jego wielkiego ubóstwa.

Mimo że suma była skromna, wywołałem nią przecież sporą radość. Strata, jaką poniósł dzielny Szükrü, została wynagrodzona ponad miarę. I sam nie poniosłem szkody, gdyż za konia zapłaciłem z pieniędzy złodziei, którzy je ukradli. Żałowałem teraz, że nie zabrałem sakiewek braciom Aladzi. Ich zawartością mógłbym świadczyć dobro biednym i dzielnym ludziom.

Zjedliśmy śniadanie i przygotowaliśmy się do wyjazdu. W pewne zakłopotanie wprawiła mnie moja chora noga. Co mam na nią wciągnąć? Właśnie o tym myślałem, gdy zjawił się lekarz.

— Efendi! — powiedział. — Pozwalam sobie złożyć tobie ranną wizytę, aby cię spytać, jaki miałeś sen.

Był odziany tak jak wczoraj wieczorem, zaś w rękę trzymał pakunek.

— Dziękuję — odpowiedziałem. — Sen miałem spokojny i wierzę, że twój także był taki.

— Allah nie był dla mnie tak łaskaw, gdyż nie spałem całą noc. Miałem głowę do tego stopnia wypełnioną gipsem, że nie mogłem spać. A kiedy jednak zasnąłem, śniłem ocean pełen gipsu i niebo jako zwój płócien, w które mnie ciągle zawijano i zanurzano w wodach. Ów okropny opatrunek tak mnie w końcu owinął, że nie mogłem oddychać. Krzyczałem głośno, ogarnięty strachem i... się przebudziłem. Lecz wzbraniałem się tak energicznie przed gipsowaniem, że stoczyłem się z poduszki aż na środek izby.

— Masz przynajmniej pojęcie, jak mógł się wczoraj czuć twój „model”!

— Podobać mu się to nie mogło, lecz mimo to leży on znów od godziny u mnie. Złamał bowiem kość udową i dwa palce prawej ręki. Założyłem mu piękny gips, teraz pali fajkę i pije do tego lemoniadę.

— Poddał się dobrowolnie?

— Nie. Musiałem iść po niego sam.

— A co z twoim gipsowym kaftanem?

— Wisi przed bramą mego domu na wieszaku i wabi sporo ludzi. Postawiłem przy nim ucznia, który objaśnia znaczenie kaftana, następnie każdy może wejść bezpłatnie do domu, aby przyjrzeć się opatrunkowi na „modelu”. Upłynie kilka dni, a zostanę sławnym człowiekiem, co zawdzięczam tobie. A co z twoją nogą?

— Bardzo dobrze!

— A zatem, jako twój przyboczny lekarz zalecam ci największy spokój, ale widzę, że siodła się wasze konie. Chyba nie zamierzasz odjeżdżać?

— Uważam, że jazda mi nie zaszkodzi.

— Owszem. Wiedziałem już wczoraj wieczorem, że jesteś zdecydowany dosiąść konia, ale co zamierzasz w czasie jazdy włożyć na nogę?

— W tej chwili o tym myślałem.

— A ja rozmyślałem o tym całą noc. I wtedy wpadło mi coś dobrego do głowy. Mam na wsi bogatego chorego, którego gnębi gościec. Nabrzmiały mu nogi i bolą go wszystkie paluchy. Dla niego zamówiłem parę ładnych, miękkich kapci. Ponieważ nie chciałeś przyjąć ode mnie ani tasiemca, ani szkieletu, zatem myślę, że mi pozwolisz, bym ci w dowód dziękczynienia i uszanowania złożył owe kapcie w darze.

Doktor „Męczeński” rozwinął zawiniątko i zaprezentował przede mną kaptcie. Wykonano je z mocnego sukna oblamowanego skórą i podbito grubą podeszwą.

— Uczyni mi tę przyjemność i przymierz je — prosił.

Chętnie spełniłem jego prośbę. Kapeć był odpowiedni na moją nogę i powiedziałem mu, że przyjmuję jego dar. Bardzo go to uradowało i mi dziękował. Gdy chciałem mu wyjaśnić, że to ja jestem wobec niego zobowiązany, pobiegł ku drzwiom i zanim je za sobą zamknął, życzył mi jeszcze szczęśliwej podróży.

Chcieliśmy wyjechać zaraz po powrocie koszykarza i dlatego spytałem handziego, ile mu płacę.

— Nic, efendi! — wyjaśnił krótko.

— Ależ my musimy tobie zapłacić!

— Uczynił to wcześniej hekim. Nauczyłeś go czegoś takiego, co mu przyniesie mnóstwo pieniędzy. Prosił jeszcze, bym cię jak najuniżeniej pozdrowił i życzył ci radosnego powrotu do twojej ojczyzny.

— Sihdi! — szepnął do mnie Halef— nie sprzeciwiaj się, lecz pozwól sobie zrobić tę przyjemność! Ten hekim jest mądrzejszy i bardziej przyzwoity, niż myślałem. Potrafił godnie ocenić twoją życzliwość i dlatego w Księdze Żywota przypisano mu łagodny zgon.

Z trudem wyszedłem na podwórze i korzystając z pomocy, dosiadłem koma. Dopiero w siodle poczułem się dobrze. Skierowaliśmy się kłusem ku wrotom, znów nie płacąc za nocleg.

Przejeżdżając przez jedną z wąskich uliczek, zobaczyłem gromadę ludzi. Przed domem, przed którym się skupili, wisiał biały przedmiot. Kiedy byliśmy blisko, poznałem kaftan z wciśniętym na kołnierz fezem. Lekarz wcale nie żartował. Kaftan wisiał tam w całej swej okazałości... jako osobliwy przykład tureckiej reklamy.

Sprawa ta wcale nie wydawała mi się śmieszna. I ludzie, pomiędzy którymi musieliśmy się przeciskać, mieli poważne miny. Zatrzymałem konia i posłałem do wnętrza koszykarza z zapytaniem o pana domu. Wrócił z przeczącą odpowiedzią. Nie wypadało zatem składać pożegnalnej wizyty samej tylko pani doktorowej.

Minawszy uliczki z niepokaźnymi bazarami, zбочyliśmy na drogę wiodącą do Istip. Droga do tej miejscowości jest mniej więcej tak samo długa jak z Ostromczy do Radowicza. Jechaliśmy nią krótko, lecz galopem. Potem przewodnik skręcił w prawo pomiędzy dwa zalesione wzniesienia, pośród których w dolinie płynął strumyk. Dolina ta pięła się rażno i pionowo niemal ku górze, a za nią ujrzałyśmy gładki, nie porośnięty grzbiet górski ciągnący się ku północy, ku któremu zmierzaliśmy jadąc kłusem.

Co można powiedzieć o tej okolicy? Wiadomo, że człowiek zapamiętuje tylko te miejscowości, które dostarczyły mu szczególnych przeżyć, a tych tutaj brakowało. Abid prowadził nas najczęściej przez nie zalesione tereny, mało przez to urokliwe.

We wsi Karbincy, niedaleko lewego brzegu Bregalnicy, zrobiliśmy postój i rozstaliśmy się z Abidem. Otrzymał jeszcze bakszysz, który go bardzo ucieszył. Potem przebyliśmy rzekę, aby się dostać do Warcy leżącej na prawym brzegu. Przez tę wieś prowadził znany już w dawnych czasach i często uczęszczany szlak konny łączący leżące na południe od Istip miejscowości: Karatowę, Kostendil, Dubnicę i Radomir, a nawet Sofię. Przeprawiliśmy się jeszcze przez rzeczkę Zletowską i znaleźliśmy się w Żigancy, wsi stanowiącej dzisiaj cel naszej podróży.

Mniej więcej o dziewiątej rano według naszego czasu opuściliśmy Radowicz i o trzeciej po południu przybyliśmy do Żigancy. Jadąc normalnie, nie dojechalibyśmy do tej wsi przed nastaniem nocy.

VIII.

MAM ZOBACZYĆ SZUTA

Żigancy nie jest jakąś poślednią wsią. Ponieważ znajduje się tutaj bazar, uznałbym ją raczej za miasteczko. Obszar położony pomiędzy Bregalnicą a Zletowską jest odpowiednio nawodniony i urodzajny. I w przeciwieństwie do innych miejscowości, przez które przejeżdżaliśmy, wygląd budynków wskazywał na pewną zamożność jej mieszkańców.

Pytaliśmy o han. Składał się on z kilku różnych budynków okalających duży dziedziniec, co sprawiało wrażenie dworskiej siedziby. Wyglądało na to, że właścicielem zajazdu jest Bułgar, i tak też było.

Przyjął nas bardzo życzliwie, obdarzał mnie najbardziej wyszukаныmi tytułami chyba tylko dlatego, że był znawcą koni i podziwiał mego Riha, i poprosił nas do siebie. Gospodarz miał na imię Ilja. Człowiek ten dysponował dwiema izbami, jedną na użytek codzienny, i drugą, przeznaczoną dla gości znaczniejszych, których pragnął wyróżnić.

Dwaj parobcy musieli mnie zdjęć z konia i zanieść do wykwintniejszej izby, gdzie ku memu zdumieniu stało coś w rodzaju szezlonga z długą, szeroką i miękką poduszką. Mebel ten można by prawie nazwać kanapą.

Kiedy gospodarz spostrzegł moje pytające spojrzenie, jakie skierowałem na przedmiot, na którym mnie posadzono, powiedział z uśmiechem zadowolenia:

— Dziwisz się, efendi, że znajdujesz tu taką sofę? Wykonano ją w Sofii i przywieziono tutaj. Jako muzułmanin jesteś przyzwyczajony do siadania z podwiniętymi nogami, ale ja jestem chrześcijaninem i wolno mi nogi wysuwać przed siebie. Ponieważ twoja noga nabrzmiała, docenisz wygody tej sofy.

— Jestem do takiego sposobu siedzenia przyzwyczajony od dzieciństwa — odparłem — bo nie jestem muzułmaninem, lecz chrześcijaninem.

— Jeżeli jesteś chrześcijaninem nawykłym od młodości do sofy, to przybywasz chyba z bardzo daleka?

— Przybywam z Niemiec.

— Wiem, gdzie leży ten kraj.

— Naprawdę? To mnie cieszy.

— Tak. Niedaleko Bawarii, tam gdzie płynie Wołga i obok Izwiczery, gdzie Tuna wpływa do Ak denis adalary.

— Z radością słyszę, że znasz położenie mojej ojczyzny. Rzadko spotyka się tutaj tak świątłych ludzi.

— Ponieważ nie chcą się uczyć i nic nie pamiętają — odparł Ilja połaskotany pochlebstwem. — Ja natomiast mam otwarte oczy i uszy i nie pozwalam, aby cokolwiek wymknęło się mojej pamięci. Wiem jeszcze wiele więcej o twojej ojczyźnie.

— Od razu to zauważyłem.

— Stolicą twego kraju jest Monachium, gdzie warzy się najlepsze arpa suju, którego u mnie możesz się do woli napić, a w...

— Masz arpa suju? — przerwałem mu. — Chyba sam je warzysz?

Pomyślałem, że i tutaj zawitał może jakiś obrotny Bawarczyk, aby za swój przepis na piwo uzyskać darmowe utrzymanie.

— Owszem — odparł piwowar z Żigancy — warzę je sam i ludzie chętnie je piją, szczególnie latem.

— Z czego je warzysz?

— Tego nie mogę ci zdradzić, efendi. To wielka tajemnica.

— W Bawarii każde dziecko zna tę tajemnicę. Znam nawet kilka tajników warzenia różnych rodzajów piwa. Wiem, jak się warzy ciemne i jasne gatunki, mocne albo słabe, i również te całkowicie jasne, które nazywa się ak arpa suju. — Efendi! Jesteś zatem jeszcze bardziej zręcznym piwowarem od tego, który przebywał u mnie i od którego się nauczyłem.

— Skąd pochodził ten człowiek?

— Ze Stambułu.

Aha! Był to z pewnością ten sam człowiek, którego piwo piłem już u Ibareka w hanie w Dabili.

— Dokąd zmierzał?

— W swoje strony.

— Którędy?

— Do Dunaju i wzdłuż jego biegu.

A zatem na północ. A ja chcę na zachód. W takim razie nie dogonię tego gorliwego wysłannika Gambrinusa. „Rozpromieniony” chętnie podążyłbym jego śladem, przynajmniej kawałek drogi, rozpromieniony efektem osiągnięcia jego ucznia, u którego piłem niedawno turecki wyrób warzony według niemieckiego przepisu.

— Coś niecoś już o nim słyszałem i piłem jego piwo.

— I jakie ono było, efendi?

— Bardzo ciepłe!

— Trzeba do niego dolać zimnej wody ze studni. Chcesz może dzban piwa?

— Oczywiście.

— Duży?

— Podaj najpierw mały, niech skosztuję.

Ilja oddalił się w momencie, w którym do izby weszli trzej moi towarzysze. Zaprowadzili konie na pastwisko położone za domem i przekazali je pod opiekę pastucha. Kiedy im powiedziałem, że będą się mogli napić piwa, radośnie się ożywili. Wydawało mi się jednak, że raczej chcą mi się przypodobać i radość ich nie wynika z „wewnętrznej” pobudki. Postanowili się jednak cieszyć z podstawowego i krzepiącego trunku pitego w mojej ojczyźnie.

Handzi przyniósł dzban o pojemności mniej więcej półtora litra. Śmiało przytknąłem go do ust. W nosie poczułem faktycznie działanie kwasu węglowego.

— W jaki sposób przechowujesz arpa suju? — zapytałem.

— W dużych dzbanach ze szczelnie zamkniętymi otworami.

— Dlaczego je tak zamykasz?

— Bo w ten sposób powstają w arpa suju gazy, dzięki czemu smakuje ono lepiej. Tworzą się pęcherzyki i piwo się perli.

— Kto ci to pokazał?

— Bawarczyk, który mnie nauczył warzenia arpa suju. Spróbuj! Nie tylko spróbowałem, lecz piłem, bo napój nie był zły. To samo

czynili moi towarzysze, dlatego zamówiłem większy dzban, czym zjednałem sobie w mig sympatię Bułgara. Przyniósł żądany dzban, przy którym mogliśmy siedzieć do wieczora i spytał, czy nie życzymy sobie do piwa również zakąski.

— Później. Teraz jeszcze nie — odparłem. — Chcemy przedtem porozmawiać z jednym z

tutejszych mieszkańców. Znasz tutaj wszystkich?

— Dlaczegoż by nie?

— Również rzeźnika Czuraka?

— Jego również, ale on był rzeźnikiem. Teraz jest handlarzem bydła. I dużo podróżuje.

Najchętniej poszedłbym do Czuraka, aby go odwiedzić w jego domu. W ten sposób ludzi się najlepiej poznaje i najpewniej ich można ocenić. Niestety nie mogłem się poruszać, a jechać do niego konno i kazać się wnosić, byłoby tak samo niewygodne jak i śmieszne.

— Czy on jest Bułgarem, czy Turkiem? — dowiadywałem się.

— Nie, to Skipetar.

— A jak żyje?

— Bardzo dobrze. Dawniej był to biedny człowiek, ale handel przynosi widocznie dużo pieniędzy, gdyż Czurak należy teraz do najbogatszych ludzi w okolicy.

— Cieszy się zatem dobrą opinią?

— Oczywiście! Czurak jest człowiekiem dzielnym, pobożnym, dobroczynnym i bardzo poważanym. Jeśli chcesz z nim załatwić jakiś interes, to poznasz go jako uczciwego człowieka.

— To dobrze, gdyż pragnę z nim załatwić pewną sprawę.

— A więc zatrzymałeś się u mnie pewnie tylko chwilowo i zamieszkasz potem u niego?

— Pozostanę u ciebie. Cieszyłem się na pobyt w Żigancy, gdyż opowiadano mi, że okolica jest tu piękna.

— I tak naprawdę jest, efendi. Jej walorem jest już położenie pomiędzy dwiema rzekami. Są i wspaniałe góry ciągnące się w kierunku Zletowa i dalej. Zachęca to do wędrówek.

— Mówiono mi o tym. Szczególnie interesująca ma być droga do Derekuliby.

Celowo skierowałem rozmowę na kolibę. Chciałem się z ust niewtajemniczonego dowiedzieć, co ta nazwa dla niego oznacza.

— Do Derekuliby? — zapytał Ilja. — Wcale o niej nie słyszałem.

— A więc nie jest ona znana?

— Nigdy jeszcze o niej nie słyszałem.

— Ale musi być przecież w okolicy coś, co tak się nazywa.

— Chyba nic takiego nie ma. Tu się urodziłem, zawsze w Żigancy mieszkałem i musiałbym o tej kolibie słyszeć.

— Hm... Jeśli tak, to nazwą tą operował jedynie człowiek, który ze mną o niej rozmawiał.

— To możliwe — stwierdził Ilja.

— Ale nawet w tym wypadku musi ona istnieć. Sądząc z nazwy, jest to szałas postawiony w parowie. Czy słyszałeś może o czymś takim?

— Czy koliba jest zamieszkała?

— Tego nie wiem.

— Jeśli nikt w niej nie mieszka, to ją znam. Istnieje w lesie Szalas stojący w najbardziej mrocznym zakamarku parowu. Drewniany, postawiony przez mego ojca, las bowiem należał do niego, ale mniej więcej osiem lat temu wykupił go ode mnie rzeźnik.

Fakt ten posłużył mi za dowód, że chodzi właśnie o poszukiwaną kolibę, dlatego pytałem dalej:

— Na co twemu ojcu był potrzebny taki szałas?

— Służył do przechowywania narzędzi, motyk, szufli, łopat.

— A na co przeznaczyl go rzeźnik?

— Tego nie wiem. Myślę, że go nie używa, ale kazał w nim postawić siedzenia, których tam przedtem nie było.

— Czy szalas jest zamknięty?

— Tak. Koliba ma dwa pomieszczenia. Całkiem z tyłu, w parowie, istnieje w skale wąska naturalna rynna, na której wspiera się szalas. Dlaczego tak skwapliwie o niego pytasz?

— Bo mówiąc o nim, powiedziano mi, że droga prowadząca do niego jest cudowna.

— Zatem wprowadzono cię w błąd. Jedzie się bowiem najpierw pośród ugorów, a potem mrocznym lasem, który wszystko przesłania. Ściany doliny zwężają się coraz bardziej, a tam, gdzie się łączą, las jest najbardziej niedostępny i tam właśnie stoi koliba, obok źródła tryskającego ze skały. Nie jest to wcale ładne miejsce.

W tym momencie włączył się Halef:

— Sihdi! Szukamy miejsca, którego nie możemy znaleźć, a dziś rano wymieniłeś podobnie brzmiącą nazwę. Czy nie mówiłeś o miejscowości zwanej się tak samo, jak miejscowość wymieniona na karteczce Hamd el Amasada? Powiedziałeś, że nasza dzisiejsza droga mogłaby tamtędy prowadzić.

— Masz na myśli Karaorman?

— Tak. Tak to właśnie brzmiało.

— Brak tu jednej głoski, szukamy bowiem miejscowości o nazwie Karanorman.

— Może to tylko błąd literowy.

— Możliwe. Znasz Karaorman? — spytałem handziego.

— Tak — odparł. — Bywałem często w tej wsi, gdyż droga do Istip właśnie przez nią prowadzi.

— Czy jest tam jakiś duży han?

— Nie ma tam żadnego gościńca. Stamtąd jest już tak blisko do Istip, że ludzie wolą zatrzymywać się już w samym mieście.

— Chodzi mianowicie o miejscowość lub budynek o nazwie Karanorman-han.

— Nigdy takiej nazwy nie słyszałem. Czegoś podobnego w pobliżu nie ma.

— Też tak myślałem.

— Jeśli chcesz się upewnić, to zwróć się do kjai w Karaorman.

— Chyba to będzie zbyteczne. A kto jest kjają w Żigancy?

— Ja. Już wcześniej mój ojciec był także kjają.

— A więc jesteś biegły w prawie?

— Zgadza się, ale w tym zakresie niewiele mam pracy. Tutaj mieszkają bowiem sami dobrzy ludzie. Jeśli się komuś coś przydarzy, to sprawcami są zawsze obcy przybysze. Niestety władza kjai jest jednak bardzo nieskuteczna. Zdarza się, że sprawcy wprost się wyśmiewają z mojego urzędu, gdyż wiedzą, że to raczej oni znajdą wsparcie, a nie ja.

— To źle. W takich przypadkach musisz postępować surowo, aby nie utracić szacunku.

— Tak też czynię, ale zdaję się przy tym mniej na moich zwierzchników niż na siebie. Włóczędzy, którzy nie mają dla nikogo szacunku, darzą pewnym respektem parę mocnych pięści, a takich mi nie brak. Nie bawię się wtedy w żadne ceregiele. Zdarza się niekiedy, że złąją obie strony, ale to nie jest bezpieczne postępowanie. Kilka tygodni temu o mało straciłbym życie.

— Jakim sposobem?

— Czy słyszałeś może o braciach Aladzi?

— Oczywiście.

— To najbardziej bezczelne i groźne łotry, jakich tylko znam. Zuchwali, przebiegli jak żbiki, okrutni i brutalni. Pomyśl, jeden z nich, Bybar, wjechał pewnego wieczoru na moje podwórze, zsiadł z konia, i nie bacząc na to, że w izbie było dużo ludzi, zaczął się po niej przechadzać, żądając głośno ode mnie prochu i ołowiu.

— Od kjai? To niebywale!

— Ma się rozumieć. Gdybym mu dał to, czego zażądał, pogrzebałbym moje dobre imię, dlatego odmówiłem. Wtedy on rzucił się na mnie i doszło do zaciętej walki.

— I zwyciężyłeś, bo miałeś do pomocy ludzi.

— Och! Nikt nawet nie kiwnął palcem, bo wszyscy bali się zemsty braci Aladzi. Nie jestem wprawdzie słabeuszem, ale nie oparłem się takiemu mocarzowi. Bybar mnie powalił i byłoby ze mną całkiem źle, gdyby mi nie pomogło dwóch pacholków. Złapaliśmy go wspólnie za kołnierz i wyrzuciliśmy go za drzwi.

— Nieźle! Oto szef miejscowej policji wystawia uprzejmie za drzwi rozbójnika, którego powinien przymknąć!

— Śmieję się! Byłem rad, że się go pozbyłem. Odjeżdżając, odgrażał się w straszliwy sposób. Następnego dnia poszedłem na pole. Kiedy przechodziłem obok zarośli, padł stamtąd strzał. Kula przeszła mi pod ręką. Dwa palce dalej i utknęłaby w moim sercu, ale widać, że sprawca dokładnie nie celował.

— I co potem zrobiłeś?

— Szybko uskoczyłem za grube drzewo i wyjąłem pistolet. Z krzaków wyjechał Bybar na srokaczu i śmiejąc się szyderczo powiedział, że dziś mi tylko pokazał, co mnie czeka. Następnym razem wyceluje lepiej. I odjechał.

— Spotkałeś go potem?

— Nie. Ale nie wychodzę teraz z domu bez strzelby, bo jeśli jeszcze raz się zobaczymy, wtedy jeden z nas umrze: on albo ja.

— A więc przygotuj się Ilja! To spotkanie może nastąpić jeszcze dziś.

— Jak to? Jeszcze dzisiaj?

— Wiem, że obaj Aladzi przybędą najdalej jutro do Żigancy.

— Matko Najświętsza! Skąd to wiesz? Niechże się opanuję! Opowiedziałem mu o spotkaniu i mojej walce z nimi.

— I jeszcze żyjesz! — dziwił się Ilja. — To wielki cud!

— No tak, ale nie wyszedłem z tego bez szwanku. Zwichnąłem sobie w czasie walki nogę, dlatego siedzę przed tobą w tych oto kapciach.

— Zwichnąłeś sobie nogę i mimo to umknąłeś tym olbrzymom?

— Owszem. Aladzi dowiedzieli się, że zamierzałem jechać do Żigancy i dlatego są teraz w drodze, aby się zemścić.

— Och, biada! Sam ściągasz tych zbójów na nasze głowy.

— Masz mi w związku z tym coś do zarzucenia?

— Och, nie! Muszę cię raczej chronić. Ale od czego mam zacząć? Sam mogę narazić swoje życie.

— Twoja obrona jest mi niepotrzebna, ale mimo to stworzę ci niedogodną sytuację, gdyż musisz zaaresztować jednego z tutejszych mieszkańców.

— Któż mógłby to być?

— Rzeźnik Czurak.

— Efendi! To niemożliwe!

— A może jednak. Najpierw przyjrzyj się tym dokumentom! Dowiesz się z nich, że wolno mi domagać się twojej pomocy, jeżeli uznam to za niezbędne.

Kiedy kjaja przejrzał paszporty, oddał mi je z głębokim skłonem i rzekł:

— Efendi! Słusznie rozumowałem, że musisz być bardzo dostojnym człowiekiem, gdyż znajdujesz się pod opieką samego sułtana. Tym gorzej jednak dla mnie, gdyż muszę spełniać każdą twoją wolę

bez oczekiwania na odgórne wsparcie. Jeśli odmówię ci poparcia, poskarżysz się na mnie i dostanę za swoje. Natomiast gdy cię wesprę i wpędzę w tarapaty moich zwierzchników, wtedy oberwę również. Obojętnie, czy będę działał, czy też nie, zawsze napytam sobie biedy.

— Nie martw się! Będę starał się postępować w taki sposób, abyś nie doznał żadnej krzywdy. Czy słyszałeś o Szucie?

— Oczywiście. Szut jest przywódcą rozległego sprzysiężenia przestępców. Nikt go nie zna, nie wiadomo kto nim jest i gdzie mieszka, lecz on i jego ludzie są wszędzie.

— Szukam go.

— Ty? Ach, więc jesteś chyba wysokim urzędnikiem policji i podróżujesz jako tajny agent?

— Nie. Nie jestem urzędnikiem. Pragnę rozmawiać z Szutem we własnej sprawie.

— Nigdy go nie znajdziesz.

— Jestem już na jego tropie. Tu w Żigancy mieszka jego zaufany człowiek.

— Kogo masz na myśli? — pytał Ilja, wytrzeszczając oczy. — Znów tego Czuraka.

— Uwierzę we wszystko, co mówisz, efendi, tylko nie w to!

— A zatem rzeźnik musi być zręcznym obłudnikiem.

— Nie! To dzielny człowiek będący nawet moim przyjacielem.

— Byłeś więc nieostrożny w doborze przyjaciół.

— Daj mi dowody, efendi!

— Uczynię to, ale przedtem żądam od ciebie absolutnego milczenia! Czurak nie może się domyśleć, że rozmawiałem o nim z tobą.

— Będę milczał — przyrzekł Ilja.

— To ci zaraz coś powiem. Czy słyszałeś może o Mübareku z Ostromczy?

— Tak. Uważa się go za wielkiego świętego, który podobno czyni cuda.

— Wierzysz w to?

— Nie, bo nie jestem muzułmaninem.

— Ten człowiek jest bardzo niebezpiecznym złoczyńcą. Zdaje się, że jest on zastępcą Szuta.

— Efendi! Opowiadasz rzeczy, które budzą moje zdumienie.

— Udowodniłem mu przestępstwa i sąd w Ostromczy uwięził go na podstawie moich dowodów. Mübarek jednak zbiegł i zmierza teraz tutaj z trzema innymi przestępcami oraz ze swoimi kompanami, braćmi Aladzi.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece — westchnął kjaja.

— Oni mają zamiar odwiedzić rzeźnika Czuraka.

— A więc nadal utrzymujesz, że to przestępca?

— Tak. Lecz teraz niczego od ciebie nie żądam i oczekuję jedynie, byś mi nie rzucał kłód pod nogi.

— Wcale nie mam takiego zamiaru. Rozporządzaj mną według twej woli!

— Możliwe, że ci, o których mowa, już przybyli. Chciałbym się w tym upewnić.

— Jeszcze ich nie ma. Musiałbym ich widzieć, gdyż rzeźnik mieszka naprzeciwko, po drugiej stronie, w domu, który widzisz przez okiennice. Zresztą on sam wrócił dopiero przed godziną konno do domu.

— Może przekazesz mu, by zechciał się do mnie pofatygować, gdyż pragnę z nim rozmawiać.

— Jak rozkażesz. Czy mam być obecny przy waszej rozmowie?

— Nie. Chcę jedynie, byś nie dał po sobie nic poznać. Bądź mu przyjazny, jak zawsze!

Ilja wyszedł, aby wysłać posłańca, który po chwili zniknął w domu rzeźnika.

Byłem go ciekaw. Przygotowałem się na to, że ujrzę człowieka płaszcącego się, służalczego, z

ustami pełnymi pochlebstw, i przypuszczałem, że jest on raczej paserem, a nie czynnym członkiem bandy.

Wyjąłem kopcę, którą zabrałem płatnerzowi Deselimowi z Ismilanu i zatknąłem ją z przodu na moim fezie. Halef uczynił to samo ze swoją kopcą. Zielonego turbanu już nie nosiłem. Kopcza, jako znak członkostwa, musiała coś mówić rzeźnikowi. Jeżeli Mübarek i jego towarzysze dotąd nie przybyli, to mogłem mieć nadzieję, że dzisiaj odkryję od dawna daremnie poszukiwaną tajemnicę. Przykazałem surowo moim towarzyszom, aby byli przychylni rzeźnikowi i zaniechali wszystkiego, co mogłoby pobudzić jego nieufność.

Po chwili ujrzałem Czuraka wychodzącego z domu z posłańcem. Pomyliłem się. Był zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałem. Wysoki i silny, szczupły i muskularny, taki, jacy byli mieszkańcy gór. Nosił biały fez, czerwone pumpy, błękitną kamizelkę ozdobioną srebrnym sznurem i czerwoną, haftowaną złotem kurtkę z szerokimi rękawami. Biodra opasał złotym, jedwabnym szalem, za którym tkwił handzar i dwa pistolety. Błyszczące buty sięgały mu do kolan, zaś nogawki miał wsunięte w cholewy.

Na podwórzu zamienił kilka słów z handżim Ilją i wszedł do środka. Ciemne oczy prześlizgiwały się po nas przenikliwym spojrzeniem, które przez dłuższą chwilę zatrzymało się na mnie.

Oczy te zapadły w moją pamięć jako zimne, nieczułe, okrutne. Zdawało się, że nie potrafią być nigdy łagodne. Zaciśnięte do tego stopnia, że po obu stronach tworzyły się w kącikach zmarszczki. Potem znów obojętnie spoglądały spod powiek.

Pozdrowił mnie i skłonił się, jak człowiek, który chce być uprzejmy, nic przy tym nie tracąc z własnej godności i zapytał:

— Czy to ty jesteś tym efendim, który pragnie ze mną rozmawiać?

— Owszem. Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale proszę cię, zechciej na chwilę spocząć!

— Pozwól, że postoję, mam bowiem mało czasu.

— Może zajmę cię na dłużej, niż myślisz. A może masz mało czasu ze względu na gości?

— Nie mam gości.

— I również ich nie oczekujesz?

— Nie — odparł rzeźnik krótko.

— A więc proszę cię, zechciej usiąść. Mam chorą nogę i nie mogę stać, a byłoby mi głupio siedzieć, podczas gdy ty miałbyś tak sterczeć.

Czurak usiadł. Mimo że bacznie mu się przyglądałem, nie potrafiłem dojrzeć czegokolwiek, co mogłoby wzbudzić moje podejrzenia. Siedział przede mną oto pewny siebie Skipetar, zaproszony do obcego przybysza i oczekujący na wyniszczenie powodu zaproszenia. Nie sprawiał wrażenia ani obłudnika, ani człowieka podstępnego, albo też skrywającego cokolwiek.

— Znasz to? — spytałem, wskazując na kopcę.

— Nie — odparł Czurak.

Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Nie mógł się przecież zdradzić zaraz po pierwszym pytaniu, przede mną, zupełnie obcym człowiekiem.

— Przypatrz się dokładnie temu guzowi!

Czurak przyjrzał mu się obojętnym wzrokiem i rzekł:

— Ba... jakiś guz! Czy z tego powodu kazałeś mnie przywołać?

— Tak — powiedziałem bez ogródek.

— Handluję końmi i byłem, nie zaś takimi guzikami — brzmiała jego odpowiedź.

— Dobrze o tym wiem. Tymi guzami w ogóle się nie handluje. Przybyłem tu, aby ci przekazać pozdrowienie.

— Od kogo? — zapytał chłodno.

— Od Deselima, płatnerza i kahwedziego w Ismilanie i od jego brata.

Jego oczy nabrały odrobiny życzliwości, zaś twarz stała się mniej poważna.

— Znasz ich obu? — spytał.

— Bardzo dobrze. Znam ich, bo jesteśmy braćmi.

— Skąd przybywasz?

— Ze Stambułu. Jestem wysłannikiem Usty, o którym z pewnością słyszałeś.

— Słyszałem. A do kogo zostałeś wysłany?

— Do Szuta.

— Znajdziesz go?

— Myślę, że znajdę.

— Hm... To będzie trudne.

— Nie dla mnie, bo ty mi udzielisz informacji.

— Ja? Co ja wiem o Szucie. Czy uważasz mnie za rozbójnika?

— Co to, to nie, ale widzę, że jesteś dzielnym Skipetarem, znającym znaczenie kopczy, który będzie postępował tak, jak ona nakazuje.

— Wiem, jak powinienem postępować, efendi. Kopcza, jaką posiadasz, oznacza przywódcę, ale przestała być naszym znakiem rozpoznawczym. Została unieważniona, bo jej nadużywano. Wprowadzono inne znaki rozpoznawcze.

— Jakie? — spytałem obojętnie.

— Pozwolisz, że ci ich nie wyjawię, bo przecież ty sam powinienes się nimi wylegitymować.

— Są to słowa?

— Owszem. Pierwsze oznacza miejsce. Gdzie zamierzasz szukać Szuta?

— W kolibie... w Derekulibie.

— Zgadza się, efendi. Ty naprawdę jesteś naszym człowiekiem, ale jest jeszcze jeden znak rozpoznawczy, znasz go?

Nie miałem niestety pojęcia, jakie to może być słowo. W tym momencie przypomniałem sobie przewoźnika z Ostromczy i słowo, jakim się zameldował u starego Mübareka. Syrdasz — powiernik, wołał stojąc pod drzwiami. Czyżby to słowo obowiązywało także tutaj? Postanowiłem posłużyć się nim i odpowiedziałem:

— Oczywiście, że je znam, bo jestem syrdaszem, powiernikiem. Czurak skinął zadowolony i niemal serdecznie rzekł:

— Także to się zgadza! Jesteś jednym z naszych. Mogę mieć do ciebie zaufanie i witam cię serdecznie. Czy nie chcesz opuścić tego hanu i zostać moim gościem?

— Dziękuję ci, ale musisz przyznać, że lepiej będzie, bym pozostał tutaj.

— Jesteś mądrym i przezornym człowiekiem. To mnie cieszy i umacnia we mnie zaufanie. Z jakim to posłaniem przybywasz?

— Mogę je wyjaśnić jedynie Szutowi.

— Potrafisz także milczeć. Hm... Co począć?

Czurak wstał i rozmyślając przemierzał izbę tam i z powrotem, i powiedział:

— Jest to coś osobistego, czy chodzi o jakiś interes?

— Chodzi o interes, który może przynieść dużo pieniędzy. Oczy zapłonęły mu *żądzą*..

— I czego ode mnie oczekujesz?

— Że mnie zaprowadzisz do Derekuliby.

— Uważasz, że zastaniesz tam Szuta?

— Mam nadzieję.

— Otóż mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że on będzie tam na ciebie czekał, jeśli go powiadomię. To potrwa zaledwie małą godzinkę. Będziesz na tyle cierpliwy?

— Jeśli tak trzeba, poczekam.

— Pośpieszę się — zapewnił Czurak.

I rzucając badawcze spojrzenie na moich towarzyszy, ciągnął:

— Kim są ci ludzie?

— To moi przyjaciele i towarzysze.

— W tej samej sprawie? Przytaknąłem, on zaś pytał dalej:

— Również i oni chcą zobaczyć Szuta?

— Niekoniecznie. Wystarczy, że sam z nim porozmawiam.

Przez jego twarz prześlizgnął się cichy, nieokreślony uśmiezek. Podkreślił końce długiego wąsa, jeszcze raz przemknął spojrzeniem po całej trójce i oświadczył:

— Oni muszą z nami pojechać. Szut będzie ich chciał z pewnością widzieć, jako że tobie towarzyszą.

— Dobrze. Niech tak będzie.

— Efendi! Po twoim obuwiu widzę, że masz chore nogi. Co ci się przydarzyło?

— Zraniłem nogę w czasie jazdy i nie mogę chodzić.

— W jaki sposób chcesz za mną podążać do Derekuliby?

— Konno.

— Zatem nie znasz drogi. Konno nie przedrzesz się przez gąszcze.

— Czy Szut nie mógłby się pofatygować do mnie?

— Nic podobnego! Nie zrobiłby tego, nawet gdyby go o to poprosił sam padyszach.

— Wierzę.

— Zresztą nigdy nie pokazuje twarzy. Stale ją czerni. Zrozumiałe, że z taką twarzą nie może tutaj przybyć.

— Racja. Ale jak mam dotrzeć do koliby?

— Istnieje tylko jedna możliwość: trzeba cię tam zanieść.

— To niewygodne. Tragarze się zmęczą.

— Och nie. Nie muszą cię nieść na rękach. Weźmie się lektykę. Otrzymasz ją ode mnie. Moja matka jest tak stara i słaba, że nie może chodzić. Kazałem dla niej wykonać lektykę, aby mogła składać wizyty bez nadwężenia nóg.

— Będę ci wdzięczny. Zamówisz także tragarzy?

— Ale skądże? Tragarze! Czyż możemy posługiwać się obcymi ludźmi? Będą cię musieli nieść twoi ludzie.

— Zgoda. Niech przyniosą lektykę.

— Nie tak zaraz, gdyż wpierw muszę powiadomić Szuta, a potem musisz powiedzieć handziemu, że jesteś moim przyjacielem, i że Ilja musi zrobić wszystko, co mu każę.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie wiem, co zamierzasz zameldować Szutowi i co będzie rezultatem waszej rozmowy. Być może, że będę musiał wrócić na wieś w charakterze posłańca. Możliwe, że Szut zaprosi cię także w gościnę, albo kto wie, co jeszcze nam zaproponują. Ilja w takim wypadku musi wiedzieć, że jestem twoim pełnomocnikiem.

— Zgadza się także na to — rzekłem.

— Dalej: od tej chwili licząc, za godzinę pójdziecie z lektyką i zatrzymacie się za wsią po

prawej stronie. Będę czekał dopiero tam, gdyż nikt nie powinien nas widzieć razem.

Czurak podszedł do okiennicy od strony podwórza, zawołał handźiego i powiedział:

— Załatwiam z tym efendim pewną sprawę. Za godzinę on stąd wyjedzie i możliwe, że przyśle ci później przeze mnie wiadomość. Dlatego każe ci teraz powiedzieć, abyś czynił wszystko, co ci z jego polecenia przekażę. Zapytaj go sam!

Ilja spojrział na mnie, a ja przytaknąłem. Rzeźnik wyszedł. Widziałem, jak wchodził do swego domu, który wkrótce znów opuścił.

— Nie rozumiem cię, efendi — zaczął teraz gospodarz. — Myślałem, że uważasz rzeźnika za przestępcę, a obdarzasz go takimi pełnomocnictwami. Muszę go zatem słuchać, gdy się pojawi.

— Bynajmniej. Stworzyłem tylko pozory i to pełnomocnictwo teraz cofam. Może się zdarzyć, że przyśle Czuraka, ale wtedy dam mu kartkę z notesu, na której napiszę tylko słowo *Allah*. Jeżeli ci ją pokaże, uczynisz wszystko, co będzie chciał, ale jeśli nie będzie miał kartki z tym słowem, wtedy będziesz się wzbraniał.

— Czurak będzie się na mnie gniewał.

— Byłoby gorzej, gdybym to ja się na ciebie gniewał. On może nabrać ochoty na naszą broń i nasze konie. Czy masz pewną stajnię?

— Tak, efendi.

— A więc zaprowadź do niej nasze konie i niech ich przed kradzieżą strzeże dwóch pacholków. To wszystko. Szkodę musiałbyś mi powetować.

— Na Boga! Gdybym miał ci zapłacić za karego ogiera, musiałbym chyba sprzedać ten han! Sam go też będę pilnował.

— Staraj się, a teraz przynieś nam coś do jedzenia!

Jedliśmy, a po godzinie Osko i Omar przynieśli lektykę z domu rzeźnika. Usiadłem w niej, jeszcze raz przykazałem gospodarzowi, jak się ma zachować i wyruszyliśmy.

Osko i Omar nieśli lektykę i fuzje przewieszane przez ramię. Halef kroczył przodem i niósł trzy strzelby: swoją i moje dwie, dla których w lektyce nie było miejsca. Kiedy minęliśmy wieś, spostrzegliśmy rzeźnika. Zobaczył nas i podązał przed nami w dużej odległości. Dopiero kiedy zaczął się las i z daleka nic nie można było zobaczyć, zatrzymał się i czekał na nas. Popatrzał zdziwionym, prawie gniewnym wzrokiem i powiedział:

— Jesteście uzbrojeni jak na wojnę!

— Broń jest symbolem wolnego człowieka — odparłem. — Jesteśmy przyzwyczajeni, by się z nią nigdy nie rozstawać.

— Ale teraz musicie to uczynić, bo inaczej nie będziecie mogli rozmawiać z Szutem, który nie znosi, aby się zbliżać do niego z bronią. Możecie ją złożyć przed kolibą, gdzie będzie przeze mnie dobrze strzeżona.

— Nie oddam broni — odparłem — a jeżeli Szut nie chce z nami rozmawiać, to nie będziesz nam już potrzebny.

Równocześnie kazałem zawrócić. Pochód skierował się w stronę wsi. Rzeźnik rzucił jakieś niezupełnie ukrywane przekleństwo i mruknął:

— Stać! Tak być nie może! Ściągnąłem Szuta i źle będzie ze mną, jeśli was do niego nie przywiode.

— Zatem postaraj się, aby nie stawiano nam nonsensownych żądań.

— Szut nigdy nie popełnia nonsensów, ale spróbuję wyjednać dla was pozwolenie na zatrzymanie broni. Dziwiłbym się jednak, gdyby zrobił dla was wyjątek.

Czurak kroczył dalej zły, a my podążaliśmy znów za nim. Nie podobało mi się, że się tak zawziął,

aby nas rozbroić. Czyżby prowadził nas w pułapkę, z której nie ma ucieczki? Dopóki będziemy uzbrojeni, dopóty nie musimy się obawiać, ale jeśli napadną na nas w drodze! Byłem bezbronny. Lektyka składała się z noszy, na których postawiono domek z drewnianych palików. Musiałem siedzieć z podkurczonymi nogami, co mi z powodu chorej nogi dokuczało i ledwie mogłem się ruszać. Zanim otworzę drzwiczki i wyskoczę, to w przypadku napaści już mnie dosięgnie kula, a wyskoczyć z powodu chorej nogi nie mogłem. Strzał zza krzaka obezwładniłby Halefa, mimo jego trzech strzelb. Osko i Omar dźwigali lektykę, dlatego również i oni nie byli zdolni do natychmiastowego odparcia ataku. Znaleźliśmy się zatem raczej w paskudnym położeniu.

Las nie był tak gęsty, jak go przedstawiał Czurak. Mogliśmy spokojnie posuwać się konno pomiędzy i pod drzewami. Także i to kłamstwo nie mogło wpłynąć na złagodzenie mojej podejrzliwości. Uchyliłem nieco drzwiczek domku i trzymałem gotowy do strzału rewolwer.

IX.

W KOLIBIE

Znajdowaliśmy się w dolinie, której ściany coraz bardziej zbliżały się ku sobie. Tam gdzie się spotykały, zatrzymaliśmy się. Potrzebowaliśmy mniej więcej pół godziny, aby osiągnąć cel.

— Oto koliba — stwierdził rzeźnik. — Wysiadaj, efendi!

Odsunąłem drzwiczki do końca i wyrząłem. Skalne ściany pięły się pionowo, tworząc na styku niezbyt głębokie wcięcie, szczelinę całkowicie gładką bez jakiegokolwiek występu czy szpary w sjenicie, gdzie zdołałaby się zakorzenić jakaś roślina.

Do tej szczeliny ciasno przylegała koliba, postawiona z nieciosanych pni. Paliki pokryte korą tworzyły na niej dach. Drzwi zdawały się być tylko przymknięte.

— Zamelduj mnie, zanim wysiądę — odpowiedziałem.

Czurak wszedł do koliby, pozostawiając drzwi uchylone. Widziałem, że pod ścianami stały niskie, prymitywne ławy.

Naprzeciw wejścia znajdowały się drugie drzwi, stojące teraz otworem. Wąskie i niskie, wyposażone w żelazny skobel, w który można było wsunąć długą zasuwę położoną w kolibie na ziemi. W każdym razie była to tylna ciemna część pomieszczenia, o której mówił Ilja. Teraz zdawało mi się, że płonęło tam światło.

Podpadało mi, że na dachu koliby żerdzie tworzące niejako parkan zasłaniały dolną część szczeliny, czyniąc ją niewidoczną. Mogło się tam z łatwością ukryć kilku ludzi.

— Efendi! — rzekł rzeźnik po powrocie z koliby. — Szut żąda, abyście odłożyli broń.

— Nie uczynimy tego.

— Szut nie cierpi, aby ktoś stawał przed nim z bronią przy boku.

— A jednak byłeś u niego, mimo posiadania noża i pistoletów.

— Ze mną jest inaczej. Jestem jego najbardziej zaufanym powiernikiem.

— A zatem nie mamy sobie nic do powiedzenia — odparłem stanowczo. — Halef, wracamy!

Osko i Omar już łapali za lektykę, kiedy rzeźnik rzekł:

— Jesteś uparty, efendi! Zapytam go jeszcze raz.

Czurak powtórnie zniknął w kolibie i wrócił z odpowiedzią, że możemy wejść z bronią. Sam nie opuściłem lektyki, lecz kazałem się nieść do koliby. Halef zajrzał za drugie drzwi i zameldował mi po cichu:

— W środku jest tylko jeden nieuzbrojony człowiek, całkiem czarny na twarzy.

— Czy są tam jakieś inne drzwi?

— Nie ma żadnych.

Mimo że drugie drzwi były wąskie i niskie, tragarze wnieśli przez nie lektykę. W świetle latarni spostrzegłem, że owo przypominające jaskinię pomieszczenie ma trójkątny kształt. Podstawę ostrokątnego trójkąta tworzyła przednia ściana z drzwiami. Dłuższe były oba boki utworzone z gładkiej skały. Zupełnie z tyłu, w kącie, stała ślepa latarka, obok której siedział Szut w długim, czarnym kaftanie, z twarzą zaczernioną sadzami. Z tej przyczyny, i również z powodu skąpego światła, nie można było dostrzec rysów jego twarzy. Nie mogłem także dokładnie dojrzeć, z czego wykonano sufit tej skalnej koliby. Znajdowaliśmy się w szczelinie i było pewne, że mamy sufit nad głową, bo inaczej, z góry wpadałoby dzieńne światło.

Osko i Omar postawili lektykę drzwiczkami do Szuta, natomiast on ustawił latarkę tak, aby jej

światło padało wprost na mnie. Rzeźnik stał przy wejściu. Wszystko to sprawiało osobliwe, ale niezbyt groźne wrażenie.

Wtedy odezwał się Szut:

— Kazałeś mnie przywołać, zatem powiedz, czego ode mnie chcesz? Głos jego brzmiał niewyraźnie i głucho, nienaturalnie. Mogło to wynikać ze złej akustyki pomieszczenia albo go zmienił po to, aby później nie być po głosie rozpoznany.

Powiedział tylko tych kilka słów, a jednak zdawało mi się, że kiedyś już go słyszałem. Nie chodziło o tonację, o barwę dźwięków, ale o wymowę pojedynczych słów, która mi tę myśl podsunęła.

— To ty jesteś Szutem? — zapytałem.

— Owszem — odparł wolno Czarny.

— A zatem mam dla ciebie pozdrowienia.

— Od kogo?

— Najpierw od Usty ze Sztambułu.

— On nie żyje!

— Co mówisz?

— Został zabity. Strącony z galerii wieży w Galacie.

— Szejtan! — wyrwało się Omarowi, który go stamtąd strącił.

— Nie wiedziałeś tego? — spytał Szut.

— Wiem o tym.

— A mimo to przynosisz mi pozdrowienia od nieboszczyka.

— Nie przyszło ci do głowy, że kazał cię pozdrowić, zanim umarł?

— Możliwe. Ale jego mordercę osiągnie kara i będzie on umierał powoli śmiercią głodową.

Masz jeszcze inne pozdrowienia?

— Tak. Od Deselima z Ismilanu.

— On również nie żyje. Skręcił kark i zrabowano mu kopczę. Los tego, który go zamordował, będzie taki sam, jak los zabójcy Usty. Mów dalej!

— Poza tym przynoszę ci pozdrowienia od Mübareka i obu braci Aladzi.

— Ci trzej sami mnie już pozdrowili. Twoje pozdrowienie jest więc zbyteczne.

— Są tutaj?

— Tak. Są tutaj. A wiesz, kim ja jestem?

— Szutem?

— Och, nie! Nie jestem Szutem! Ty go nigdy nie zobaczysz. Ty w ogóle nigdy już nic nie zobaczysz, bo ja jestem..

Usłyszałem za plecami potężny odgłos. Rzeźnik znikł — zatrzęsął za sobą drzwi i słyszeliśmy, jak zaryglował je od zewnątrz. Zgasła latarka.

— ...Mübarek! — rozległo się nad nami. — Zostaniecie tu, aby szeznać i pożreć się żywcem!

Słowom tym towarzyszył drwiący śmiech. Nad nami zobaczyliśmy jasny otwór. Widzieliśmy podwójny sznur, na którym zawisnął Czarny, wyciągnięty na nim przez otwór. Potem opadła kłapa, która go zamykała i znaleźliśmy się w nieprzeniknionej ciemności.

Wszystko to stało się tak szybko, że niemożliwe było, by temu zapobiec. Gdybym nie siedział w lektyce i nie miał chorej nogi, wówczas łotry nie zamknęłyby nas tak łatwo w pułapce.

— Na Allaha! — złościł się Halef.

— Przypatrywaliśmy się spokojnie, jak Czarny ulatniał się przez otwór, zamiast poczęstować go kulką, choć było na to dość czasu.

— To prawda, efendi. Byliśmy głupcami! — uznał Osko.

— Tak jest — zaśmiał się gorzko Halef. — Dotąd byliśmy głupcami tylko w pojedynkę, teraz zostaliśmy nimi pospołu. Sihdi razem z nami.

— Masz rację, Halef — potwierdziłem jego słowa. — Ale posłuchaj!

Na zewnątrz, pod drzwiami zrobił się niebywały harmider. Walono w nie pięściami, potem pojedynczo każdy wymieniał swoje imię, dołączając wiązanek najstraszniejszych złorzeczeń. Nasz los malowano nam wszystkimi możliwymi barwami. Nie ulegało wątpliwości, że uwięziono nas, abyśmy tu zginęli.

— Sihdi! Nie brakuje nikogo. Są wszyscy! — krzyczał Hadzi. — Na Allaha! Gdybym mógł stąd wyjść, poczuliby mój bicz.

— Nie mów o nim! On nas nie uratuje.

— Mamy więc umrzeć z głodu! Myślisz naprawdę, że tak się stanie?

— Mam nadzieję, że nie. Najpierw musimy to pomieszczenie zbadać. Po obu stronach nie ma wyjścia, tylko przednimi drzwiami albo górą.

— Sihdi! Czy nie masz przy sobie twojej latarki, flaszeczki z oliwą i fosforem? — spytał mnie Halef.

— Mam ją przy sobie, jak zawsze. Bierz!

Jeżeli się włoży kawałek fosforu do flaszeczki z oliwą, fosfor po otwarciu korka natychmiast świeci, kiedy tylko dotrze do niego tlen.

Światła jest mniej lub więcej, w zależności od rozmiaru flaszeczki i czystości szkła. Zawsze noszę taką flaszeczkę przy sobie, nawet wtedy, kiedy nie jestem w podróży. Przy wchodzeniu nieznanymi schodami albo przy przechodzeniu przez ciemne, nieznanne miejsca, oddaje ona nieocenione usługi. Najodpowiedniejsze jest do tego szlifowane szkło.

Halef wziął latareczkę, wpuścił do oliwy powietrze i w taki sposób zdołał teraz nieźle oświetlić drzwi. Od wewnątrz obito je mocną blachą, osadzono na żelaznych zawiasach z hakami wczepionymi w kamień i zalanymi ołowiem. Może udałoby się poluźnić haki, wypchnąć drzwi, ale najpierw trzeba się rozejrzeć, czy nie ma innego wyjścia.

Sprawdzaliśmy pomieszczenie, którego podłóże stanowiła, podobnie jak ściany boczne, lita skała. Obmurowanie drzwi, wykonane z odłamków sjenitu i zaprawy, było tak mocne, że nie można w nim było wykuć ani wywiercić żadnego otworu. Blachę na drzwiach przybito okazałymi gwoździami. Nożami nic tu nie dało się zrobić. A górą, przez sufit? Omar wspiął się na barki Osko, a mimo to nie zdołał go sięgnąć wyciągniętą ręką. Na razie musieliśmy z tej drogi zrezygnować.

Należało zatem spróbować wybić z haków zawiasy i moi trzej towarzysze zabrali się rażno do roboty. Noże piszczały i zgrzytały w kamieniu, dlatego z zewnątrz dał się słyszeć głośny śmiech. Oczywiście, że tego rodzaju sposób ratunku był ryzykowny. Nawet gdyby udało nam się otworzyć drzwi, dosięgłyby nas strzały, zanim zdołalibyśmy choć raz odpalić.

Uplłynęło już kilka godzin. W pracy natomiast nie było postępu. Oska nóż się złamał i dałem mu mój. Nie miałem się włączać do pomocy. Czas mi się dłużył, dlatego na kolanach podszedłem do drzwi i sprawdziłem, co wywiercono. Niestety, nawet nie na głębokość centymetra! Złapałem sam za nóż i zacząłem wiercić, ale z tak miernym rezultatem, że po kwadransie przestałem. Szkoda było sił trwonionych bez efektu. Złamał się także nóż Omara.

— Zostawmy to — poleciłem. — Musimy oszczędzać siły, gdyż z pewnością będą nam jeszcze potrzebne. Może zjawi się tu Ilja, jeśli nie wrócimy. Powiedziałem mu, iż rzeźnik jest członkiem bandy. Jeżeli nie wrócimy, Ilja będzie się o nas martwił i zacznie nas szukać. Wie przecież, że oddaliliśmy się z Czurakiem.

— Ale nie wie, dokąd! — rzucił Halef.

— Niestety zapomniałem mu wszystkiego powiedzieć, ale o kolibie rozmawialiśmy i z pewnością będzie tutaj szukał.

— Nie wierzę w to, gdyż za bardzo obawia się braci Aladzi, a kiedy ich tutaj zobaczy, czmychnie.

— Pytanie, czy oni tu zostaną.

— Przypuszczalnie tak, gdyż koliba nie pozostanie bez straży.

— Teraz odpoczniemy. Jeśli przez pewien czas nie będziemy nic robić, wtedy strażnicy pomyślą, że poddaliśmy się losowi i czujność ich osłabnie.

Nastała cisza. Ale wyczekiwanie bardzo dręczyło moich dzielnych towarzyszy, wreszcie nie mogłem dłużej powstrzymać ich nalegania.

— Sprawdźmy sufit — powiedziałem. — Zamyka go pokrywa i chodzi tylko o to, jak ją otworzyć.

— Omar, stojąc na moich barkach, nie mógł go przedtem sięgnąć — rzekł Osko.

— Zrobimy zatem wyższą piramidę. Halef niech usiądzie na barkach Omara. Może to wystarczy. Jesteś dość silny i utrzymasz ich obu.

Halef wziął latarkę i usiadł na karku Omara. Natomiast Omar wszedł na plecy Osko, który stanął na czworakach. Teraz podniósł się powoli i Omar stanął mu na ramionach. Przy tym wszyscy trzej, aby nie upaść, trzymali się możliwie mocno głazów w wąskiej szczelinie. Halef wyciągnął teraz w górę ręce i zameldował:

— Dotykam sufitu, sihdi!

— Mów ciszej! Ktoś może być na zewnątrz. Teraz poświeć.

W górze, w kącie, gdzie widzieliśmy otwór, dostrzegłem migotanie światełka. Halef trzymał je lewą ręką, podczas gdy prawą obmacywał sufit.

— Sufit jest z grubych pni — szepnął. — Ale pokrywa jest tylko z desek.

— To dobrze. Jest zatem cienka. Postukaj po niej, abyśmy po odgłosie poznali grubość.

— Ale mnie usłyszają!

— Lepiej by było, gdyby cię nie słyszeli, ale dobrze byłoby też wiedzieć, czy na dachu siedzą strażnicy.

Zastukał, i zaraz usłyszeliśmy głośny śmiech i wołanie:

— Słuchajcie! Nasi wrogowie są pod nami przy włazie! Zza koliby padło pytanie:

— Zasuwa trzyma?

— Oczywiście!

— To nie wyjdą. Musiał się wspiąć jeden na drugiego.

— Owszem. Wykonują akrobacje. Dopiero gdy zgłodnieją, będą ćwiczyć całkiem inaczej. Wolałbym otworzyć.

— Nie waż się!

— Mógłbym ich wtedy zdzielić kolbą po łbie.

— Na to zawsze jest czas. Niech łomocą.

— Słyszałeś sihdi? — pytał mnie Halef. — Mamy się pozwolić zabić kolbą?

— Nie. Poprosimy tych panów, aby się odczepili od pokrywy.

— Będą się wzbraniać.

— Moja prośba nie znosi odmowy. Zejdź Halef! Zajmę twoje miejsce.

Osko z wolna się pochylił. Omar zsunął się z jego pleców, potem Halef zeskoczył z ramion Omara.

— Najpierw odetchnijcie trochę, bo mimo wszystko wymagało to wysiłku. Jestem cięższy niż Halef i będę na górze dłużej od niego.

Odczekaliśmy kilka minut, potem Omar wziął mnie na swoje barki.

— Ale bądźcie teraz w dwójnasób ostrożni — ostrzegałem. — Upadek z moją chorą nogą mógłby się okazać szczególnie groźny.

— Nie ma obawy, efendi! — powiedział Osko. — Będę stał jak drzewo. Szczelina jest na tyle wąska, że mogę się o nią oprzeć łokciami. To daje pewniejszą pozycję.

Omar wspiął się znów na barki Osko. Byłem wyższy od małego Hadżiego i nie musiałem wysuwać specjalnie rąk, aby dosięgnąć pokrywy. Dotykałem jej prawie głową. Miałem przy sobie flaszczykę i oświetlałem nią deski. W krawędź pokrywy wbito żelazny skobel, w który wpuszczono zasuwę. Oba ostre końce skobla przebiły drewno i zagięto je tak, że się w nim ukryły.

Opukałem palcem pokrywę. Po odgłosie poznałem, że deski nie są grubsze niż na dwa centymetry. Stukanie wywołało odzew:

— Słyszysz? Znów są przy włazie, ale gdyby próbowali podnieść klapę, to tylko wraz ze mną.

Ponieważ znajdowałem się teraz blisko mówiącego, poznałem wyraźnie głos rzeźnika. Zarówno słowa jak i dźwięk zdradzały, że siedział na pokrywie. Nieostrożność, jakiej nie można się było spodziewać po bandycie.

Czurak śmiał się szyderczo. Odpowiedział mu śmiech drugiego człowieka, który mówił:

— Myszy się nie wymkną, bo koty siedzą przy norze.

Nie znałem tego głosu. Słyszałem jednak, że człowiek ten siedział obok pokrywy, mniej więcej tam, gdzie miałem głowę.

— Słyszysz? — pytał Halef. — Strażnicy są nadal, więc chyba ich poprosisz, aby stąd odeszli. Chciałbym wiedzieć, jak to zrobisz?

— Zaraz się dowiesz. Podaj mi strzelbę. Dwóch mnie utrzyma. — Teraz rozumiem. Którą?

— „Niedźwiedziówkę”.

Powiedziałem to oczywiście po cichu, aby nie słyszeli mnie strażnicy. Halef dał strzelbę Osko, który podał ją Omarowi.

— Słuchaj mnie, Omar! — szeptałem. — Nie mam na górze miejsca, aby załadować strzelbę. Będę jedynie nakierowywał lufy w miejsce, w które mają trafić kule. Powiem „raz” i „dwa”. Ty zaś weźmiesz kolbę w obie dłonie. Na „raz”, wypalisz z prawej lufy, a gdy znów wyceluję i powiem „dwa”, wypalisz z lewej, zrozumiałeś?

— Tak, efendi!

Trzymałem w ręku sprzężone lufy i skierowałem je na środek pokrywy, tam, gdzie siedział rzeźnik:

— Teraz... „Raz”!

Padł strzał. Nad nami rozległ się krzyk przestachu i bólu.

— Na Allaha! Oni strzelają!

Nie był to głos rzeźnika, lecz tego drugiego, który siedział na części sufitu wykonanej z okrągłych pni. Skierowałem lewą lufę w miejsce styku dwóch pni, tam gdzie kula nie trafiała w grube drewno, lecz mogła przemknąć przez przylegające do siebie krawędzie.

— „Dwa”!

Drugi strzał „niedźwiedziówki” zagrzmiał w ciasnym pomieszczeniu jak armatni wystrzał.

— Allah! Allah! — wrzeszczał trafiony. — Jestem ranny. Jestem zabity!

Rzeźnik nic nie mówił. Słyszałem, jak wydał z siebie krzyk bólu i więcej ani słowa. Ktoś głośno jęczał.

— Ciężko ci, Osko? — spytałem.

— Im dłużej, tym ciężej.

— Zatem odpoczniemy. Mamy czas.

Gdy znów siedziałem na ziemi i wokół stali moi przyjaciele, Halef stwierdził:

— Sihdi! Tak wyrażonej prośbie nikt się nie oprze. Trafiłeś?

— Dwa razy. Czurak najprawdopodobniej zginął. Kula przeniknęła w organizm przez jego „szacowne siedzenie”. Ten drugi jest tylko ranny.

— Kto to może być?

— Prawdopodobnie strażnik więzienny. Gdyby to miał być ktoś inny, poznałbym go po głosie, ale strażnik mówił tak niewiele, że nie przypominam sobie jego głosu.

— Uważasz, że nikt inny już w tym miejscu nie stanie?

— Ktoś trzeci nie popełni już takiego głupstwa, bo mógłby to przypłacić życiem.

— Ale jak otworzymy pokrywę? To jest najważniejsze.

— Rozwalę strzałem skobel. Kilka strzałów wystarczy. Podsypię więcej prochu, aby się powiodło.

— Oby tak było!

— Na pewno się uda.

— A więc działajmy! — naglił Halef.

— Ho, ho! Nie tak prędko. Mam nadzieję, że na górze leży jeszcze sznur, na którym wyciągano Mübareka. Moglibyśmy po wyjściu spuścić się na nim na zewnątrz. Ale jest jeszcze dużo do przemyślenia. Gdy tylko pojawimy się we włazie, poczęstują nas kulami.

— Myślałem, że na górze nikogo już nie będzie — napomknął mały Hadzi.

— Bezpośrednio nad nami z pewnością ich nie będzie, ale na dachu koliby powinni stać. Będą mogli strzelać zza parkanu.

— A więc jednak się stąd nie wydostaniemy?

— Spróbujemy. Mimo wszystko. Wychodzę pierwszy.

— O nie, sihdi! Raczej ja! Mają cię nam zastrzelić?

— Albo ciebie nam?

— Komu na mnie zależy? — odparł szczerze Hadzi.

— Nam wszystkim! Pomyśl o twojej Hanneh, najmilszej spośród wszystkich kobiet i dziewcząt! Ja nie mam żadnej Hanneh, która by na mnie czekała.

— Ale ty nawet bez Hanneh jesteś więcej wart niż ja z dziesiątkiem takich kwiatów piękności.

— Nie kłóćmy się! Ważne jest to, że ufam sobie więcej niż tobie. Ja pójdę pierwszy, a ty będziesz drugi, ale wyjdiesz dopiero wtedy, kiedy ci pozwolę.

Wyjąłem zza pasa zielony turban i owinąłem nim fez. Halef widział to w świetle flaszeczki i zapytał:

— Po co to? — Chcesz się wystroić na śmierć?

— Nic podobnego. Zatknę turban na lufie sztucera i wystawię go nad włazem. Nasi wrogowie pomyślą, że to wychodzi jeden z nas i zaczną strzelać do turbanu. Potem zabraknie im w lufach naboju, bo nie mają dwururek, a ja zyskam nad nimi przewagę sztucerem Henry'ego.

— Słusznie! Tylko celuj dobrze i nie pozwól żadnemu z nich uciec!

— Czy można trafić, gdy jest ciemno?

— Ciemno?

— Tak jest! Pomyśl, jak długo już tu jesteśmy. Na dworze nastała noc, lecz wypoczęliśmy... więc zaczynamy. Zapamiętajcie: jeśli się wydostanę, podchodzi do włazu Halef, ale wygramoli się

dopiero, gdy mu powiem.

Przewiesiłem sztucer przez ramię i wziąłem do ręki strzelbę z lufami naładowanymi większą dawką prochu. Omar wziął mnie znów na barki i wspiął się na ramiona Osko. Musiałem się śpieszyć, aby oni dwaj nie osłabli.

— Będziemy strzelać tak jak przedtem — szepnąłem Omarowi. — Najpierw wystrzelisz z prawej, a potem z lewej lufy. Celuję w widełki skobla. Już: raz!... dwa!

Rozległy się strzały i kule przeszły na wylot, gdyż mogłem patrzeć przez oba otwory. Na dworze było jasno.

— Nasi strażnicy palą ognisko — zameldowałem. — To i dobrze, i źle zarazem, gdyż jak my ich, tak i oni nas spostrzegą.

— Puściły skoble? — pytał Halef.

— Zaraz zobaczę.

Pchnąłem pokrywę. Ciężka „niedźwiedziówka” spisała się na medal.

— Omar! Podaj na dół strzelbę! — rozkazałem. — Pokrywa się otwiera. Teraz zaprzyjcie się mocno, bowiem muszę klęknąć na ramionach Omara.

Aby znaleźć się w nowej pozycji, musiałem zdobyć się na pewien wysiłek i zgiąć się przy tym, bo głową zawadzałem o sufit. Teraz pchnąłem pokrywę w górę tak mocno, że przekoziółkowała. Ze sztucerem w dłoni, gotowym do strzału, przez moment czekałem. Nic nie było słychać, ale na dworze panowała jasność i cienie migocącego ognia tańczyły na ścianie skalnej.

Zatknąłem turban na lufę i powoli go wysuwałem, stękając przy tym, jakby ktoś wydostawał się z włazu. Podstęp okazał się skuteczny, bowiem padły dwa strzały. Jeden z nich musnął lufę i o mało a wytrąciłby mi sztucer z ręki.

Z trudem wydostałem się do połowy z otworu. Widziałem ogień. Na dachu koliby leżały zwłoki rzeźnika oraz stało tam dwóch ludzi strzelających do turbanu. Dzielił ich ode mnie wspomniany parkan, zza którego do mnie celowali. Ci nieostrożni ludzie zapomnieli o najważniejszym: mogłem ich na tle ognia widzieć lepiej niż oni mnie. Jeden z nich zajęty był ponownym ładowaniem, drugi podnosił strzelbę, mierząc nią w moim kierunku.

Szybko wycelowałem. Nie chciałem go zabić i mierzyłem w lewy, w górę uniesiony łokieć. Nacisnąłem spust. Upuścił strzelbę, wrzasnął głośno i rzucił się w dół. Drugi osobnik odwrócił się w największym pośpiechu, zeskoczył i pobiegł ku ognisku. Był to Bybar. Siedział tam jego brat oraz Barud el Amasad i Manach el Barsza.

— Uciekajcie od ognia! — warknął Bybar. — Jesteście widoczni!

Cała trójka wstała migiem i wszyscy czterej pobiegli do lasu. Człowiek, do którego oddałem ostatni strzał, był chyba Mübarekiem. I w tym momencie przypomniałem sobie, że miał niezwykle grubą rękę. Trzymał ją obwiązaną pod rękawem, gdyż został raniony strzałem, który go trafił w ruinie w Ostromczy.

Przebiegłem przez parkan i zachołgałem się do krawędzi dachu. Zgadłem! Na dole, bez ruchu, leżała długa, szczupła postać. Nie poznałem tych dwóch stąd, z góry, gdyż przez parkan widoczne były tylko ich sylwetki.

Światło ognia nie docierało na tę stronę koliby. Było tu raczej ciemno. Gdyby mi się udało tędy zejść, wówczas ci, którzy ukryli się za drzewami, wcale by mnie nie zobaczyli.

Nagle usłyszałem za sobą głos:

— Jestem sihdi. Czy mogę już wyjść?

— Tak, Halef, ale nie podnoś się, bo cię zastrzelą.

— Przecież jesteśmy kuloodporni!

— Nie żartuj! Chodź! Przyczołgał się.

— Och! A to kto?

— Czurak. Trafiony.

— Szybko go dosięgła kara. Niech Allah mu będzie łaskawy!

Gdy się rozejrzałem dokładniej, zobaczyłem żelazne kółko przymocowane do skały. Do kółka uwiązany był podwójny sznur, który widzieliśmy już przy wyciąganiu Mübareka, przerzucony teraz przez krawędź dachu.

— Strażnik spuścił się po tym sznurze — uznał Halef.

— Prawdopodobnie. To urządzenie zostało tu celowo zainstalowane. Czyżby to, co nas spotkało, stosowano już wcześniej do innych?

— Och, sihdi! Może tam już niejednego zagłodzono na śmierć?

— Po tych łotrach można się tego spodziewać. W każdym razie z nami chcieli na serio tak postąpić. Spuścimy linę do wjazdu, aby wydostał się Osko oraz Omar.

Tak też zrobiliśmy i wkrótce przycupnęli oni obok nas. Wytrzeszczaliśmy daremnie oczy, aby zobaczyć kogoś z tych, którzy umknęli do lasu.

— Czy uważasz, że możemy linę przerzucić na zewnątrz i spuścić się po niej niezauważeni? — pytał Halef.

— Tak uważam, bo tu jest ciemno. Zresztą zrobimy próbę. Najpierw spuścimy nieboszczyka. Mogą do niego spokojnie strzelać. Będę trzymał sztucer w pogotowiu. Jeśli zabłyszczą ich wystrzały, zdradzą mi cel.

Moi towarzysze musieli się trochę wysilić, aby podać nieboszczyka przez parkan. Potem przeciągnięto mu sznur pod ramionami i powoli go spuszczano, aby sprowokować przeciwnika do strzału, ale nic się nie poruszyło.

— Teraz zsunę się ja — powiedziałem. — Natychmiast doczołgam się do zarośli i dalej w las. Muszę tam ich zastać, jeśli tu jeszcze są. Widziałem po drodze staw. Powinny tu być ropuchy i żaby, dlatego nie podpadnie, gdy będę je naśladował. Zostaniecie na górze tak długo, aż usłyszycie mój znak. Jeśli usłyszycie głos ropuchy, to zostańcie, dopóki nie wygaśnie ogień. Natomiast gdy zakumka żaba, tylko raz i bardzo niskim głosem, wtedy zejdzicie, ale na dole się zatrzymacie, czekając aż przyjdę.

— To zbyt niebezpieczne dla ciebie, sihdi!

— Ba... żeby tylko stary Mübarek nie udawał i nie zamierzał czegoś złego! Strażnik z Ostromczy musi też tu gdzieś tkwić. Bądźcie ostrożni! Idę!

Strzelba leżała na dole w kolibie. Przerzuciłem sztucer przez ramię, uchwyciłem się liny i szybko zjechałem w dół. Na dole leżały zwłoki rzeźnika, a obok spoczywał nieruchomo Mübarek, jakby nie żył. Sznur był wystarczająco długi. Odciąłem z niego spory kawał i spętałem łotra. Krwawiło mu ramię i widziałem, że ma rozharatany łokieć. Być może, że spadł na głowę i stracił przytomność.

Czołgałem się dalej wzdłuż skały, zakryty paprocią i innymi chaszczami. Wzrok miałem przy tym zawsze skierowany w stronę ogniska. Dostrzegłbym zatem wszystko, co znajdowałoby się pomiędzy ogniskiem a mną. Czuję się bezpiecznie. Co ci ludzie mogli tutaj wiedzieć o indiańskim sposobie podchodzenia nieprzyjaciela? Uważali, że ciągle jeszcze znajdujemy się na dachu koliby i jeżeli jeszcze tu byli, to spoglądali tam, a nie za siebie. Zresztą, gdyby mnie nawet spostrzegli, nie musiałem się obawiać. Z moim wielostrzałowym sztucerem miałem nad nimi przewagę.

Zrobiłem chyba z pięćdziesiąt kroków, kiedy poczułem obecność koni. Przemykałem dalej i usłyszałem głosy. Wkrótce zobaczyłem zwierzęta i ludzi. Konie były uwiązane do drzew, zaś ludzie stali w gromadce, rozmawiając półgłosem. Zwierzęta stały niespokojnie. Broniły się przed nocnymi

owadami, waliły w ziemię kopytami i machały ogonem. Powstawał z tego taki szelest, że nawet ktoś bez wprawy mógł się do nich zbliżyć ukradkiem. Wreszcie dotarłem do zwierząt. Wpełzłem pomiędzy dwa konie i ległem w głębokim sitowiu. Wrogów miałem teraz w odległości nie większej niż trzy kroki.

— Mübarek padł — burknął właśnie Manach el Barsza. — Stary, stając tam, postąpił jak osioł.

— O mnie też tak myślisz? — spytał Sandar.

— Byłeś o tyle ostrożniejszy, że nie pozwoliłeś się trafić.

— Ten obcy zastrzeliłby mnie także, gdybym w porę nie uciekł.

— Który to był?

— Który? Jeszcze o to pytasz! Oczywiście, że ten, którego zważają Kara ben Nems.

— Wydostał się mimo chorej nogi?

— Oczywiście. Lepiej, żeby skręcił kark, zamiast nogi! Podziękowałem za to Allahowi, ale przynajmniej widać, że można go także zranić.

— Ba! Nie wierzyłem w to, że jest on kuloodporny. To bzdura.

— Bzdura? Wierzę w to teraz bardziej niż przedtem. Gdy wystawił głowę z włazu, obaj z Mübarekiem wzięliśmy go na muszkę. Zaklinam się po tysiakkroć, że go trafiłem. Wylot mojej strzelby wystającej zza parkanu znajdował się nawet nie o dwie długości ręki od głowy, którą widzieliśmy całkiem wyraźnie. Trafiliśmy obaj. Widziałem, jak głowa się zachwiała, gdyż taka kula, kiedy uderzy, to ze straszną siłą, ale w tym samym momencie usłyszałem uderzenie kul o skałę. Odskoczyły one od głowy i gdyby nas nie zasłaniał parkan, z pewnością by nas trafiły. Tuż potem złożył się do wystrzału efendi i zastrzelił Mübareka. Trafił go z pewnością w głowę, bo stary wydał ostatni krzyk i spadł zabity. To samo by mnie czekało, gdybym nie rzucił się do ucieczki.

— Wspaniale, naprawdę wspaniale!

— Owszem. Wiecie, że nie boję się nawet szejtana, ale lękam się tego przybysza. Można go jedynie załatwić nożem bądź czekaniem i to się dziś stanie.

— I dokładnie wiesz, że załadowałeś? — pytał Manach el Barsza.

— Ubiłem kulę dwa razy tak mocno jak zawsze. Pomyślcie, że nacisnąłem spust z odległości czterech stóp od głowy!

— Hm! Gdybym mógł do niego strzelić chociaż raz! Chętnie bym spróbował.

— Nie waż się! Czekałaby cię zguba, gdyż odbita od niego kula ciebie dosięgnie. Czemu nie posłuchaliście mojej rady, aby napaść na łajdaków wtedy, kiedy niesiono tego efendiego do koliby! Niczego wówczas nie podejrzewali.

— Ale Mübarek zabronił.

— To było głupstwo z jego strony.

— Kto mógł przeczuwać, że do tego dojdzie! To była piękna myśl, aby tych sukinsynów tam w środku zagłodzić. Ale diabeł otoczył ich szczególną opieką. Mam nadzieję, że teraz nam ich pozostawi.

— Można oszaleć. Żeby przez sufit zastrzelić rzeźnika, a temu drugiemu zgruchotać nogę! Zginął facet nędzną śmiercią.

— Uważam, że wcale go nie szkoda — stwierdził oschle Barad el Amasad. — Od dawna mi się narażał i sprawiał jedynie kłopot. Nie można było nic przy nim mówić, dlatego, kiedy przynieśliście go do koliby, poczęstowałem go solidnie kolbą.

Okropność, bo oto strażnika więziennego zamordował człowiek, którego on uwolnił. W ten sposób zemsta spełniła się sama. Ci oprawcy okazali się być prawdziwymi mieszkańcami piekieł.

— A więc decydujemy się, bo czas ucieka! — rzekł Sandar. — Zaatakujemy ich przy kolibie?

— Nie! — odparł Manach el Barsza. — Tam jest zbyt jasno! Szubrawcy nas zobaczą i jesteśmy zgubieni, bo mogą do nas strzelać, podczas gdy nasze kule im nie zaszkodzą. Musimy ich napaść w ciemności, aby niczego się nie domyślili. Cztery ciosy albo cztery klucia i są załatwieni.

— Przystaję na to, ale gdzie to ma nastąpić?

— W lesie.

— Może się nie udać. Raczej na skraju lasu, w zaroślach. Jeśli nawet nie będzie jasno, to gwiazdy rozjaśniają mrok na tyle, że będziemy wiedzieć, gdzie uderzyć. Nasi wrogowie będą wracać tą samą drogą, którą tu przybyli, bo innej nie znają. Nie możemy się z nimi rozminąć. Najlepiej będzie, jeżeli będziemy czekać na naszych prześladowców za zaroślami na otwartym polu.

— To dobry pomysł! — przytaknął Bybar, a z jego niewyraźnego głosu można się było domyśleć, że został ranny w nos i w usta.

— Nas jest czterech i ich jest czterech. Zajmijcie się tragarzami i tym małym. Mnie przypadnie efendi. Pokieraszował mi twarz, więc muszę go mieć.

— Będzie siedział w lektyce, bo nie może chodzić, więc jak się do niego dobierzesz? Poczęstuje cię kulą, zanim zdołasz otworzyć drzwiczki.

— Myślisz, że się będę bawił lektyką? Domek jest przecież zrobiony z cienkich patyków. Uwinę się raz, dwa. Rozbiję czekaniem lektykę i cwaniaka, który w niej siedzi. Za jednym razem.

— A jeśli to się nie uda?

— Musi się udać, musi!

— Pamiętaj o tym, co było! Wszędzie i zawsze myśleliśmy, że musi się udać, a jednak ci faworyci szejtana zawsze szczęśliwie uszli. Trzeba pomyśleć o wszystkim. A jeśli pojawi się jakaś przeszkoda, to co wtedy?

— Hm! Gdyby wiedzieć, kiedy oni wyruszą z Żigancy!

— Z pewnością jutro. Będą myśleć, że nam się spieszy i podążą za nami.

— A więc zrobmy to, o czym mówiliśmy już po południu: podeślemy im naszego Suefa, który ich podprowadzi pod nóż. Jest on najbardziej przebiegłym sprzymierzeńcem, jakiego znam i zna okolice stąd aż do Prizrenu, i to lepiej niż ja własną kieszeń. Możemy mu to zadanie powierzyć.

— Dlatego proponuję wyruszyć. Nie wiemy, kiedy wrogowie opuszczą kolibę. Byłoby przykre, gdyby nas wyprzedzili.

Dłużej nie mogłem czekać i czołgając się do tyłu dotarłem do skały, wzdłuż której przemykałem do koliby. Przez pewien czas pozostawałem jednak jeszcze w ukryciu w takiej odległości, abym nie został dostrzeżony i abym mógł się przekonać, że ludzie Szuta faktycznie się oddalili. Potem podniosłem się i opierając się ręką o skałę, kuśtykałem dalej. Dokuczało mi zbyt długo zgięte kolano, ale cały wysiłek przerzuciałem na prawą nogę. Zrezygnowałem z naśladowania kumkania żaby, gdyż wkrótce znów się znalazłem w promieniu ogniska, a ponieważ stałem wyprostowany, moi towarzysze zaraz mnie zobaczyli.

— Schodźcie na dół! — poleciłem.

Spuścili się po linie, natomiast ja poczułem się teraz tak zmordowany, że musiałem usiąść.

— Trzeba się zająć zabitymi — uznał Halef. — Może mają przy sobie coś, co może się przydać.

— Rzeźnikowi nic nie zabierajcie — ostrzegłem. — On do nas nie należy. Niech kjaja postępuje z nim według swego uznania, ale to, co nosił przy sobie Mübarek, zabieramy.

Stary miał przy sobie nóż i dwa pistolety. Jego strzelba leżała na dachu koliby i nie była nam potrzebna. Natomiast Halef wyjął z jego kieszeni dwa duże pełne woreczki.

— Hamdulillah! — wykrzyknął. — W tym tkwią kalifowie i uczeni w Koranie! Tam jest również złoto, sihdi!

— Owszem. Jeżeli ktoś może dać kodzy baszi pięć tysięcy piastrów za uwolnienie, to znaczy, że ma pieniądze. Możemy mu je zabrać bez obawy, że popełniamy bezprawie.

— Oczywiście, że je zabieramy! Pomyśl, jak szczęśliwa była Nebatja i jak uradował się handzi Szükrü oraz wypłatacz koszyków, Abid! Tymi pieniędzmi możemy ukoić wiele trosk i otworzyć dla siebie niebo Allaha.

— Zatem schowaj je! Ty, Halefie, będziesz skarbnikiem naszej jałmużny!

— Dziękuję ci! Będę wiernym i uczciwym urzędnikiem. Policzymy to, co mamy.

— Nie mamy teraz czasu na liczenie. Musimy jechać. Zabierzcie obu do koliby! Więzienny strażnik też już tam leży.

— Również go zastrześliłeś?

— Nie. Tylko go zraniłem, ale Barud el Amasad zabił go kolbą, bo strażnik stał mu się niewygodny.

— Co za łotr? Ha... Gdybym go tylko dorwał w moje ręce!... Chwytajcie, wy dwaj! Najpierw wniesiemy naszego sihdiego.

Kiedy moi towarzysze posadzili mnie i wyszli, aby przynieść zwłoki rzeźnika i Mübareka, usłyszałem okropny jęk. Zatem wartownik żył. Kiedy Halef wrócił, posłałem go po zapaloną głównię, w świetle której zobaczyliśmy stojącą na ławie latarnię Mübareka i zapaliliśmy ją.

Teraz mogliśmy się przypatrzeć jęczącemu. Wyglądał okropnie. Moja kula zdruzgotała mu podudzie, miał także rozplataną czaszkę. Nie było już dla niego ratunku. Patrzył na nas osłupiałym wzrokiem.

— Halef! Masz tu mój fez i przynieś w nim wody.

Fezy są tak doskonale spilśnione, że nie przepuszczają wody. Wlaliśmy konającemu kilka łyków do ust i oblaliśmy mu głowę po kilkakroć. To mu zrobiło dobrze, gdyż spoglądał przytomniej, a po spojrzeniu widać było, że zaczyna myśleć.

— Znasz nas? — spytałem. Przytaknął słabym skinieniem głowy.

— Za kilka chwil staniesz przed Sędzią Najwyższym. Czy wiesz, kto ci rozharatał czaszkę?

— Barud el Amasad — wyszeptał zbiegły strażnik więzienny z Edirne.

— Któremu chciałeś wyświadczyć przysługę. Zostałeś oszukany i Allah ci wybaczy, jeżeli będziesz żałował twego czynu, a więc powiedz, czy Mübarek jest Szutem?

— Nie.

— Kto zatem nim jest? — Nie wiem.

— Nie wiesz także, gdzie on mieszka?

— W górach Szar Dagh, niedaleko wsi o nazwie Wajcza.

— Na północ od Kajkanedeli?

Znów skinął głową, bo nie mógł dalej mówić. Przerywał odpowiedzi i mówił tak cicho, że aby go zrozumieć, musiałem przybliżyć ucho do jego ust. — On umiera, sihdi — westchnął Halef współczująco.

— Przynieś wody!

Hadzi wyszedł, ale jego pomoc nie była już potrzebna, gdyż człowiek ten zmarł na naszych rękach, nie powiedziawszy więcej słowa.

— Zaniesiemy obu nieboszczyków i Mübareka do drugiego pomieszczenia — zdecydowałem. — Kjaja niech ich potem zabierze.

— Efendi! Mübarek otworzył oczy. Odzyskał przytomność — stwierdził Osko i poświecił staremu w twarz latarnią.

Halef natychmiast się nad nim pochylił, aby się przekonać, czy to prawda. Okazało się, że stary

cwaniak odzyskał przytomność. Wzbraniał się wprawdzie mówić, ale spojrzenia jego świadczyły o przywróconej świadomości. Pałała w nich wściekłość, jakiej nigdy jeszcze u nikogo nie widziałem.

— Żyjesz jeszcze stary trupie? — natarł na niego Halef. — Byłoby szkoda, abyś zginął od kuli, gdyż nie zasłużyłeś na taki koniec. Powinieneś umierać w męczarniach, abyś poznał przedsmak słodocy, jakie cię czekają w piekle.

— Sukinsyn! — syknął stary łotr.

— Potwór! Chciał nas zagłodzić na śmierć. Czy myślisz głupcze, że zdołasz więzić tak sławnych i zwycięskich bohaterów? Przenikamy przez głaz i niestraszne nam ostrze ani spiż. Ty natomiast będziesz w twojej własnej pułapce daremnie krzyczał o pomoc i świeże powietrze.

Oczywiście, że było to tylko czcze gadanie. Rannego zaniecono do tylnego pomieszczenia i położono pomiędzy ciałami martwych. Trochę strachu nie mogło łotrowi zaszkodzić.

Kiedy przyjrzałem się uważniej lektyce, okazało się, że domek na niej umieszczony można zdjąć. Kazałem to zrobić i dzięki temu uzyskałem swobodę ramion. Podniosłem „niedźwiedziówkę” i sztucer i po wygaszeniu ogniska ruszyliśmy w powrotną drogę. Ja znów w lektyce. Przedtem poluźniliśmy Mübarekowi więzy. Mógł się teraz podnieść i chodzić tam i z powrotem. Natomiast okute żelazem drzwi zamknęliśmy dużą zasuwą. Pozostawiliśmy starego z obawą, że będzie tu tkwił bez pomocy.

Niedobrze wędruje się lasem nocą, jeśli nie ma wytyczonych duktów, na dodatek z lektyką. Mimo to utrzymaliśmy przewidziany kierunek. Moi towarzysze stąpali możliwie jak najciszej. Halef trzymał w pogotowiu pistolety, a ja, rewolwery — na wszelki wypadek.

Po minięciu lasu zboczyliśmy w prawo, w kierunku łąk nad Zletowską, gdzie teren był przestronniejszy. Nadkładaliśmy w ten sposób drogi, ale dzięki temu uniknęliśmy walki, która mogła grozić śmiercią albo ranami. Dotarliśmy szczęśliwie do haju, w którym przez salę jadalną zaniecono mnie do „salonu”. Siedział tam Ilja. Gdy nas zobaczył, poderwał się na nogi.

— Efendi! — zdziwił się gospodarz — przecież ty wyjechałeś!

— Niby dokąd?

— Do Karatowej.

— Kto to powiedział?

— Czurak.

— A więc był tutaj?

— Tak. Zażądał waszych koni i bardzo się złościł, gdy mu wyjaśniłem, że nie mogę mu ich wydać, bo wycofałeś pełnomocnictwo. Groził mi twoim gniewem. Twierdził bowiem, że zaniecono cię do Karatowej, gdzie mają na ciebie czekać konie.

— Gdybym mógł to przewidzieć! Chodziło mu nie tylko o mojego Karego, nie tylko o konia, ale także o moje życie.

— O życie, powiadasz?

— Owszem. Mamy dużo do opowiadania, zaś rzeźnik nie żyje.

— Spotkało go jakieś nieszczęście?

— Tak, jeśli nazwiesz nieszczęściem to, że go zastrzeliłem.

— Zastrzeliłeś? — zawołał Ilja przerażony. — Ty? Oczywiście, że jest to nieszczęście, dla niego, dla jego rodziny i także dla ciebie.

— Dlaczego dla mnie?

— Czy uczyniłeś to świadomie?

— Nie chciałem go zastrzelić, ale trafić chciałem.

— A więc strzelałeś z rozmysłem i muszę cię jako zabójcę zaarrestować.

— Wnoszę przeciw temu zdecydowany sprzeciw. Czy mi nie mówiłeś, że rzeźnik jest Skipetarem?

— Tak. Jest nawet Miriditą .

— A więc wcale stąd nie pochodzi?

— Nie. Jego ojciec przywędrował z Orossi, głównego ośrodka Miriditów.

— A zatem, co cię obchodzi jego śmierć? Czy Miridici podlegają prawom padyszacha?

— Nie. Oni uważają siebie za wolnych Arnautów.

— Wiesz także o tym, że załatwiają sami swoje sądy i to w oparciu o dawne prawa Skanderbega?

— Oczywiście, że o tym wiem.

— Nie musisz się więc martwić o śmierć rzeźnika. Zabiłem go, słusznie albo i nie, jest to u tych ludzi obojętne. Podpadłem pod prawo „krwawej zemsty” i krewni zabitego muszą jej na mnie dokonać. Ty nie masz w tej sprawie nic do zrobienia.

— Och! — westchnął Ilja głęboko. — To mnie bardzo zadowala.

— Jesteśmy co do tego zgodni. Jest jednak jeszcze jeden zabity.

— Kto to taki?

— Pewien dozorca więzienny z Edirne, który uwolnił więźnia i wraz z nim uciekł. Teraz ten więzień go zabił. Przy tych zabitych zastaniesz także Mübareka, któremu rozharatałem łokieć.

— Również jemu? Efendi! Jesteś jednak okropnym człowiekiem!

— Przeciwnie. Jestem bardzo dobrym człowiekiem, ale sprawa miała się tak, że nie mogłem inaczej postąpić.

— Jak do tego doszło?

— Przysiądź się do nas. Muszę ci wszystko opowiedzieć.

Kjaja usiadł i zacząłem moją opowieść. Mieliśmy dość czasu, dlatego opowiadałem możliwie wyczerpująco. Opowiedziałem mu także, dlaczego poszukujemy Baruda el Amasada. Ilja uzyskał jasny wgląd w nasze zamiary, a to umożliwiło mu rozeznanie, z jakimi łajdakami mamy do czynienia. Kiedy wreszcie zamilkłem, siedział przerażony.

— Czy można coś takiego uważać za możliwe? — dziwił się kjaja. — Jesteście podobni do wojów kalifa Haruna al Raszyda, którzy objeżdżają całe państwo i złych karzą, a dobrych nagradzają.

— Och! W żadnym wypadku nie możemy się z nimi mierzyć. Ludzie, o których ci opowiedziałem, wyrządzili wiele złego naszym przyjaciółom i nam również. Zamierzają dokonać dalszych przestępstw i dlatego podążamy za nimi, aby temu zapobiec. Co teraz poczniesz?

Ilja drapał się obiema rękami po głowie i wreszcie odparł:

— Daj mi jakąś dobrą radę!

— Jesteś urzędnikiem i musisz wiedzieć, co nakazują ci przepisy. Mojej rady nie potrzebujesz.

— Wiedziałbym, co powinienem uczynić, gdybyś ty nie popełnił wielkiego głupstwa. Dlaczego strzeliłeś Mübarekowi tylko w łokieć? Czy nie mogłeś celować w głowę lub w pierś? Wtedy zniknąłby z tego świata.

— I to mówisz ty, ty, jako kjaja?

— Nie. Teraz nie mówi do ciebie kjaja. Gdyby stary także został zabity, kazałbym całą trójkę pogrzebać i nie usłyszałbym na ten temat żadnego słowa. Teraz natomiast muszę Mübareka uwięzić i przekazać go sądowi. Przykry przypadek.

— Nie widzę w tym nic przykrego. Przysporzy ci to nawet zasług. Mübarek wymknął się z więzienia w Ostromczy, a ty go schwytasz i odsyłasz do więzienia w Üsküb. I to wszystko.

— Nie żartuj! Nie wyobrażasz sobie, co mnie tutaj czeka. Ale i ty nie ujdiesz chyba z życiem i

padniesz ofiarą wendety.

— Czy rzeźnik ma tutaj męskich krewnych?

— Tak. Brata Hajdara.

— Czy on jest w domu?

— Jest na miejscu, bo moją wcześniejszą wiadomość parobek przekazał jemu, a nie osobiście Czurakowi.

— Hm... Trzeba się oczywiście zastanowić. Jeżeli jest taki jak jego brat, to muszę się przed nim strzec.

— Jest co najmniej taki. Nie uważałem, by był tak dzielny jak Czurak, ale ponieważ rzeźnik okazał się łotrem, to być może Hajdar jest większym hultajem od niego. Dopóki tu zostaniesz, nie będziesz pewien życia, dlatego chciałbym ci udzielić dobrej rady: siadajcie bez zwłoki na koń i wyjedźcie. Będzie to dla was naprawdę najlepsze.

— I dla ciebie także! Nieprawda?

Pytanie to wprawiło go w zakłopotanie. Mówił do mnie z zapalem, który mogła mu podyktować jedynie troska o własną osobę. Był to dzielny człowiek, ale jako syn swego kraju, musiał się wszelako liczyć z zawodnością tamtejszej praworządności.

— Dlaczego dla mnie, efendi?

— Gdy wyjedziemy, puścisz wolno Mübareka. Wówczas nie będziesz musiał obawiać się zemsty, lecz będziesz od niego oczekiwał wdzięczności.

Zaczerwienił się. Znaczyło to, że trafiłem w sedno. Mimo to powiedział:

— Nie myśl tak o mnie! Będę postępował bardzo surowo, zgodnie z moimi obowiązkami.

— Tego też od ciebie oczekuję. Żądam tylko, abyś go do wieczora ujął. Oba trupy możesz tam zostawić. Jest mi to obojętne.

— Ale co mam z nim począć?

— Zamknąć go tutaj, a jutro dostarczyć do Üsküb.

— Na Boga! Wtedy bracia Aladzi zaatakują mój dom!

— Pomożemy ci go bronić.

— Później dosięgnie mnie ich zemsta!

— Bracia Aladzi nie wyrządzą ci krzywdy, bo ich także dostarczymy jutro do Üsküb, a także Manacha el Barszę i Baruda el Amasada.

— A ty ich masz?

— Nie! Ale niebawem będziemy ich mieli.

— W jaki sposób?

— Przy pomocy mieszkańców Żigancy, których poprosimy, aby na nich ruszyli.

— Oni nie posłuchają, efendi!

— Muszą! Czyżbyś nie wyczytał, iż cieszę się względami sułtana?

— Niestety.

— A więc musisz moje żądanie spełnić. Rozbójnicy zatrzymali się na skraju zarośli. Nie ma nic łatwiejszego, jak ich otoczyć i pojmać.

— Niestety mylisz się. Będą stawiali opór.

— Musisz sobie tak poczynić, aby wcale nie mieli okazji do obrony.

— Jak mamy to zrobić?

— Jak to zrobić, powiem ludziom, gdy się tutaj zbiorą.

— Ale żaden z nich nie przyjdzie, jeśli im każę powiedzieć, o co chodzi.

— Tego ci nie wolno robić. Przyznajesz, że zgodnie z przepisem masz w takim wypadku prawo i

obowiązek wezwać do pomocy całą miejscową, zdolną do walki społeczność.

— Owszem. Mam takie prawo.

— I muszą cię posłuchać?

— Bezwzględnie muszą, efendi.

— A zatem, wezwiesz teraz rozkazem twoich ludzi, aby czym prędzej zebrali się w twoim haniu z bronią w rękę. A gdy już wszyscy się zbiorą, sam im powiem, czego od nich żądamy. Przemówię do nich w taki sposób, że poczują się dumni, iż mogą wyruszyć przeciwko tym złoczyńcom.

Ilja wyraził jeszcze kilka wątpliwości, ale ja nie zrezygnowałem z mego żądania, więc wreszcie rzekł:

— Dobrze. Jeżeli tak zdecydowanie nalegasz, pójdę po mego policjanta i poinstruję go w twojej obecności.

Gdy się oddalił, Halef powiedział:

— Nie rozumiem cię, sihdi. Czy ty naprawdę wierzysz, że ci poczciwi poddani sułtana złapią chociażby jedną muchę?

— Nie, nie wierzę. Chcę tylko, abyśmy się pośmiali. Podróżuję przecież po to, aby poznać kraje i ludzi. Pragnę zobaczyć zebranych mieszkańców tej miejscowości, aby zaobserwować, jak oni dyskutują i żartują. Znajdowaliśmy się dzisiaj w niebezpieczeństwie i wolno nam się teraz odprężyć.

Moi towarzysze zgodzili się ze mną: mieli ochotę widzieć owo pospolite ruszenie.

Po pewnym czasie handzi wrócił, prowadząc za sobą policjanta, który nie odznaczał się szczególnie władcą postawą. Jego twarz pokrywał wprawdzie niepospolity zarost, ale reszta wcale do tego nie pasowała. Wyglądał na człowieka, który nie dojada, zaś jego ubiór składał się ze spodni sięgających tylko kolan i ze starej, podartej kurtki, z przodu zszytej na okrętkę. Łydki miał gołe. Wokół głowy zawinął bawełnianą chustę z rodzaju tych, które u nas kupuje się na jarmarkach za dwie marki tuzin. W rękę dzierżył kij z drzewa oliwkowego grubości dziecinnej nóżki. Zamiast uchwytu kij zakończony był sierpem... po co? Jako broń? Wówczas byłoby to naprawdę niebezpieczne narzędzie.

— Efendi! Oto i mój policjant — powiedział kjaja. — Chcesz go sam pouczyć?

— Nie! Ty to uczyn! Jesteś przełożonym i musisz wydawać rozkazy. Kjaja przekazał policjantowi moje polecenie. Potem zapytałem go o posiadany zapas piwa.

— Właśnie wczoraj przygotowałem nowy zapas — odparł. — Wystarczy na cały tydzień dla ciebie i twoich towarzyszy.

— Sprzedasz mi je?

— Dobrze. Ale po co ci aż tyle piwa?

— Twój policjant niech zapowie ludziom, że otrzymają cały zapas piwa i jeszcze rakię, jeśli wykonają powierzone im zadanie.

W tym momencie policjant podniósł kij jak do przysięgi i rzekł:

— Wielka jest twoja dobroć, efendi! Na Allaha! Będziemy się pojedynkować i walczyć tak, jakbyśmy wyruszali w pole przeciwko wrogom padyszacha.

— A więc wiesz, o co tutaj chodzi?

— Wiem. Bowiem kjaja, mój łaskawca, obdarzył mnie zaszczytnym zaufaniem i mi wszystko powiedział.

— Ale ty tego nie powtórzysz?

— Ani słowa! Moje usta będą niby księga z siedmioma pieczęciami, do której nie wolno zaglądać, niby żelazna skrzynia, do której zaginął klucz.

— Też ci tak radzę, a teraz pospiesz się!

— Polecę jak myśl, która w sekundzie obiega świat. Odwrócił się, krocząc z godnością i

umiarem ku drzwiom.

— Tego jeszcze nigdy nie było — powiedział gospodarz. — Żaden człowiek nie zafundowałby piwa dla wszystkich mężczyzn z całej wsi, a już na pewno nie ktoś obcy. Będą cię tutaj sławili przez długie lata, efendi, i będą was wspominać przez całe życie.

— Ile to piwo będzie kosztować?

— Pięćdziesiąt piastrów. Było to mniej więcej dziesięć marek.

— A ilu tych ludzi przyjdzie?

— Około dwudziestu.

— A ile tutaj kosztuje tłusty baran?

— Och, u nas jest on o wiele tańszy niż w Stambule, albo tam skąd przybywasz, w Edirne.

Zapłacisz tylko piętnaście piastrów.

— Możesz zatem powiedzieć ludziom, że jeśli okażą się dzielni, będą mogli na dziedzińcu upiec na różnie dwa barany.

— Efendi! Ściągasz na swoją głowę błogosławieństwo naszej wsi. Ludzie będą...

— Już dobrze! — przerwałem mu. — Sam posiadasz tłuste barany. Wyszukaj dwa i postaraj się także o tęgą kolację dla nas.

— Będziesz ze mnie zadowolony. Będę się o was troszczył, jakby sam kalif zjechał do mnie w gościnę!

I wybiegł.

— Teraz dopiero ma humor — śmiał się Osko.

— Tak, ale ta jego radość mi się nie podoba. Kjaja zdaje się teraz nie martwić się już o życie i byt swoich walecznych ludzi. To mi się wydaje podejrzane. Myślę, że podjął jakieś środki ostrożności, które gwarantują bezpieczeństwo jego ludziom.

— Chyba nam nie wyrządzi przez to krzywdy?

— To niemożliwe. Wypłoszy tylko naszych wrogów. To będzie jedyne, czego zdoła dokonać.

Długo trwało, zanim zjawił się pierwszy z walecznych bohaterów. Kjaja otworzył drzwi do sali jadalnej i meldował:

— Efendi! Nadchodzą. Czy mam już nalewać piwa?

— Nie. Twoi ludzie muszą się najpierw wykazać dzielnością. Powoli zjawili się jeden po drugim. Każdy z nich podchodził do otwartych drzwi, robił ukłon i przypatrywał się nam zaciekawionym spojrzeniem.

Ale w tych spojrzeniach rysowało się coś więcej niż czysta ciekawość czy radość z uczt, jaka ich czekała. Była w nich przede wszystkim przebiegłość! Ludzie ci znali jakąś tajemnicę, która dawała im zadowolenie. Wszyscy byli uzbrojeni: w strzelby, pistolety, szable, topory, noże i sierpy osadzone na długich drążkach oraz w inne narzędzia.

Później usłyszeliśmy głośny entuzjazm tej gromady wojowników. Wrócił policjant, za którym podążało kilku ludzi. Również i oni byli uzbrojeni, ale każdy z nich miał poza tym jakiś muzyczny instrument. Wszedł wraz z nimi, z godnością, wyprostowany.

— Efendi! — zameldował — wojownicy już się zebrali i czekają na twoje rozkazy.

— Dobrze! A co to za ludzie?

— To czalgydżylar, którzy najpierw będą grać czenk makami, a potem makam er raks en naghah. Dodadzą oni wojennego animuszu naszym wojownikom.

— Aha... To znaczy, że chcecie wyruszyć na wroga z muzyką?

— Oczywiście! Jest to przecież w zwyczaju każdego wojska. Do szturm podrywa je głos trąbki.

Wspaniale. Cicho i bezszelestnie miano osaczyć i ująć czterech rozbójników, tymczasem

policjant chce na nich wyruszyć z orkiestrą. Ale ponieważ mówił o szturmie i wojennej muzyce, musiał widocznie powiedzieć wojownikom, o co w tym wszystkim chodzi. Przekroczył zatem mój nakaz, lecz nic teraz na to nie powiedziałem. Nie dopuścił mnie zresztą do słowa, gdyż schwycił za ramię człowieka, który przed sobą miał zawieszony coś w rodzaju bębna i trzymał w rękach dwa kije, popchnął go w moim kierunku i objaśnił:

— Ten tutaj wali w dawul . To mistrz tego instrumentu. Odpychając go, przyciągnął ku nam drugiego, niosącego obręcz obciążoną skórą.

— Ten wybija takty na dawuldzuku , a ten dmucha w düdük . Przy tych słowach popchnął człowieka z długą, drewnianą fujarką, na miejsce poprzednika, ale i jego odtrącił znów na bok i wyłuskał dwóch innych z instrumentami strunowymi.

— Ten brzdąka na kytarze , a ten rzępoli na kemanie — objaśniał. — Ale teraz efendi, zaprezentuję instrument najważniejszy. Otóż ostatni z nich przedstawi tobie właściwy instrument wojenny. Jest on mistrzem dźwięków, gdyż to on nadaje właściwy takt i jeśli tylko zechce, potrafi przepędzić wroga. Dmie bowiem w surnę , której nikt się nie oprze. Z pewnością będziesz z naszej muzyki wyjątkowo zadowolony.

Powątpiewałem. Tak zwana gitara, którą się jeden z ludzi tak pilnie zajmował, składała się z deski z przyklejoną szyjką. Dwie struny mógłby kołysać wiatr, gdyby nim w izbie powiało. Gęśle stanowiła wybrzuszona szyjka. Na mostku wspierały się trzy struny tak grube, że mógłby się nimi posłużyć basista. Smyczek stanowiła krzywa różga, do której przywiązany był mocny sznur. Kawał smoły w ręku muzykanta miał chyba zamiast kalafonii przydać sznurowi odpowiednią szorstkość.

I wreszcie ten puzon! To był naprawdę najprawdziwszy puzon. Ale skąd go wziął ten człowiek? I jak on wyglądał? Pełno na nim było nieoczekiwanych wklęsłości i załamań, jakby to Samson posługiwał się nim do zabijania Filistrów. Jego pierwotny kształt zmienił się z upływem czasu. Zdawało się, że polecono mu, aby się zbliżał coraz bardziej i bardziej do kształtu nieregularnej spirali i kiedy wziąłem z rąk puzonisty ów dziwaczny sprzęt, aby sprawdzić, czy można go jeszcze wyciągać, stwierdziłem nie tylko, że puzon ma przeciwko temu niejakie opory, ale również i to, że był on oprócz tego całkiem zardzewiały. Szczęśliwy posiadacz instrumentu wyczytał chyba z rysów mojej twarzy, że nie darzę puzonu pełnym zaufaniem, gdyż pośpieszył z zapewnieniem, że puzon swoją powinność wykona.

— Mam nadzieję.

— Efendi! Ponieważ do piwa dodajesz jeszcze rakiję, dlatego tym oto puzonem zadam braciom Aladzi śmiertelny cios!

— Osioł! — szepnął mu do ucha policjant. — Nie mieliście tego wcale wiedzieć!

— Ach tak... — stwierdził puzonista. — Cofam zatem słowa!

— Ale już je wypowiedziałeś — śmiałem się. — A więc wiecie już, o co chodzi?

— Oni mi nie dawali spokoju, efendi! — usprawiedliwiał się policjant.

— Ich chęć walki rozgorzała tak szybko, że milcząc naraziłbym na szwank moje życie.

— To dobrze, że uchroniłeś życie. Teraz nie muszę chyba tym dziarskim ludziom wyjaśniać, czego od nich oczekuję.

— Och! Krótką mowę mógłbyś do nich wygłosić, aby ich jeszcze bardziej zagrzać i aby stali się niepokonani!

— Ja tę mowę wygłoszę, prawda, sihdi? — rzekł Halef. Ponieważ wiedziałem, że bardzo lubi przemawiać, skinąłem przyzwalająco głową i spytałem:

— A kto będzie tymi wojownikami dowodził? Policjant wyjaśnił mi z godnością:

— Oczywiście, że jako policjant będę osobiście pełnił funkcję müsзира i mam już plan działania.

Podzielię wojsko na dwie połowy, którymi będą dowodzili generałowie. Pod ich dowództwem osaczymy, przestępców ukradkiem i ich uwięzimy. Nie zdołają nam uciec, gdyż zajdziemy ich z dwóch stron.

— Bardzo dobrze! Z muzyką?

— Tak! Gdyż w ten sposób już przy zbliżaniu się napędzimy wrogowi strachu. Potem złożymy ci do nóg związanych złoczyńców, ale ponieważ musisz teraz przyznać, jacy będziemy dzielni i chwaccy, dlatego z baranami nie musisz czekać aż do naszego zwycięskiego powrotu. Możesz kazać je piec już teraz. Przyprowadziłem kilka kobiet, które dobrze się znają na takim zajęciu. Są na dziedzińcu i rozpoczęły już przygotowania. Dla was będą te części barana, które znajdują się powyżej ogona, najdelikatniejsze i najlepsze. Wiemy bowiem, na czym polega uprzejmość.

— A więc są tu także kobiety?

— Nie tylko! Spójrz na dziedziniec, a zobaczysz także synów i córki tych kobiet.

— Niech zatem kjąja poleci parobkom, aby zabili nie dwa, lecz cztery barany i niech je przekaże niewiastom.

— Efendi! Ty opływasz w bogactwo! Ale obyśmy nie zapomnieli o najważniejszym: kto dostanie te cztery skóry?

— Podzieli się je pomiędzy czterech najbardziej dzielnych.

— Jestem pewien, że przypadnie mi przynajmniej jedna z nich. Twój towarzysz niech zacznie teraz swoją mowę, gdyż za chwilę trudno będzie okiełznać zapal wojowników.

Wraz z muzykami wycofał się teraz do sali jadalnej. Natomiast Halef stanął w otwartych drzwiach łączących oba pomieszczenia i z tego miejsca przemówił, a jego mowa była sama w sobie majstersztykiem. Niezwykle szczodry w epitetach, nazywał słuchaczy niepokonanymi i znakomitymi bohaterami, wplatając w to co mówił sarkastyczne uwagi, które tylko my potrafiliśmy zrozumieć.

Kiedy tylko Hadzi skończył, rozległ się dźwięk, który przestraszył mnie do tego stopnia, że zerwałem się z miejsca. Zabrzmiało to niczym ryk pół tuzina amerykańskich bawołów zatkniętych żywcem na rożnie. Na pytanie, co to takiego, Handzi odparł:

— To puzon dał sygnał do wymarszu.

Izba pustoszała. Na dworze przed bramą rozległ się głos marszałka. Dzielił swoje wojsko na dwie gromady i bohaterowie ruszyli. Kilka piorunujących dźwięków puzonu zaintonowało melodię marsza bojowego. Z fletu jakby się chciał wyrwać jakiś trel, ale wkrótce zamarł, przedzierzgając się w zapamiętały gwizd. Warczał bęben, włączył się tamburyn, nie było słyhać skrzypiec i gitary. Ich łagodne, delikatne dźwięki zginęły, przytłoczone siłą akordów wydobywanych z instrumentów bojowych. Im bardziej się to wojsko oddalało, tym bardziej słabła melodia. Słyhać ją było jeszcze tak, jak gdyby burza hulała za opłotkami, a potem było to już tylko zamierające kwilenie, niby w katarynce, z której uchodzi powietrze.

O KROK OD ŚMIERCI

Pozostawiliśmy dzielnych wojowników ich bohaterskim czynom i sięgnęliśmy po nasze cybuchy. Na dziedzińcu płonęło kilka ognisk, na których pieczono barany po niecałe trzy marki sztuka.

Ilja nie miał nic do roboty. Przysiadł się do nas, zapalił także fajkę i gubił się w przypuszczeniach, czy zostaną ujęci wszyscy czterej, albo chociażby jeden, a może i żaden ze złoczyńców. Na jego twarzy pojawił się pewien rys wskazujący na to, że kjaja przed nami jednak coś ukrywa. Zakładałem, że był on uczciwym człowiekiem, ale teraz ukrywał przed nami coś, co miało bezpośredni związek z będącą w pełnym toku wyprawą.

— A jeśli im się nie powiedzie — snuł swoje wątpliwości — to co będzie?

— To przestępców nie będziemy mieli.

— Ja mam na myśli piwo.

— Przecież się je wypije.

— A barany?

— Zostaną zjedzone.

— Efendi! Ty mówisz jak mędrzec, ale jeśli bracia Aladzi czmychną, nie pomoże największa odwaga.

— Marszałek już się postara o to, by w porę uszli. Sama muzyka ich do tego zmusi. A może ostrzegł ich już wcześniej?

— Ostrzegł? Co masz na myśli?

— No, przecież saptije mógł do nich pobiec, aby im powiedzieć, że daremnie na nas czatują, bo jesteśmy już tutaj u ciebie.

Patrzył na mnie badawczo, czy mówię to naprawdę poważnie.

— Efendi! O co ty mnie posądzasz?

— O coś, co jest bardzo możliwe. I przy tej okazji powiedział im także, że powinni się trochę przesunąć, bo nakazano mu zwołać przeciwko nim owo pospolite ruszenie.

— Tego by przecież nie zrobił, gdyż byłoby to wbrew prawu!

— Ale gdyby taki rozkaz wyszedł od ciebie?

Kjaja zaczerwienił się, spojrział w bok i niepewnie odparł:

— Uważasz, że mógłbym tak postąpić?

— Wyglądasz mi bardzo podejrzanie. Pozbyłeś się całkowicie niepokoju o twoich bohaterów, a pierwszy z owych dzielnych ludzi zjawił się tak późno, że wszystko wskazuje na to, iż saptije mógł odbyć krótki spacer w krzaki. Ale nie chcę ci robić zarzutu z powodu twojej troski o mieszkańców Żigancy. Mam nadzieję, że niewielu z nich dzięki temu zginie!

Powiedziałem to w tonie żartobliwym, dlatego odpowiedź swoją potraktował także na wpół serio:

— Moi wojownicy będą walczyć jak lwy. Nie mamy oczywiście takiej broni, jaką wy posiadacie, ale oni potrafią się posługiwać tą bronią, jaką mają. Tutejszą strzelbą nikt nie zdoła wyrwać skobla z drewna. Nigdy jeszcze nie widziałem tak ciężkiej broni.

Wziął moją strzelbę opartą o ścianę i ważył ją w dłoniach.

— Czy nie jest ona zbyt ciężka? — dowiadywał się kjaja.

— Nie. Jestem do niej przyzwyczajony.

— Dlaczego robi się u was takie ciężkie strzelby? Przy celowaniu boli przecież ręka.

— Teraz już się takich strzelb nie wykonuje. To jest stara strzelba. Należy do rodzaju tych, które zwano „niedźwiedziówki”, posługiwano się bowiem nimi podczas polowania na niedźwiedzie. W Ameryce istnieje pewien rodzaj szarych niedźwiedzi. Są one tak silne, że potrafią unieść w paszczy wołu. Żadna z wcześniejszych kul nie uśmiercała go na mur i dopiero z takiej strzelby jak ta, można było oddać skuteczny strzał.

— Ty także zabijałeś te niedźwiedzie?

— Tak, bo do czego miałbym taką strzelbę.

— A dlaczego taszczysz ją tutaj, gdzie nie ma niedźwiedzi?

— Dlatego, że w czasie mojej podróży trafiałem w regiony, gdzie wprawdzie nie było niedźwiedzi, ale były za to inne duże zwierzęta. Zastrzeliłem z niej lwa i czarną panterę. Nadto, dzięki swemu ciężarowi zapewnia ona celność przy strzelaniu z wolnej ręki. O tym zaś, że świadczy mi ona także inne usługi, mogłeś się dziś przekonać.

— Czy jest nabita?

— Owszem. Kiedy tylko oddam strzał, natychmiast ją nabijam. Tak postępuje każdy myśliwy!

— To raczej już ją odstawię. A jaką szczególną wartość przedstawia ta druga strzelba?

Muszę nadmienić, że siedzieliśmy przy stole dostawionym do otwartej okiennicy. Siedziałem zwrócony twarzą do okna, zaś Halef był do niego odwrócony plecami. Z prawej mojej strony siedział Ilja, z lewej Omar, za mną zaś stał Osko, który właśnie nabił fajkę i powstał z miejsca, aby ją zapalić od lampy. I pozostał w tym miejscu, by przypatrywać się handziemu, który odłożył „niedźwiedziówkę” w taki sposób, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności znalazła mi się pod ręką i teraz sięgał po sztucer Henry'ego. Handzi pytał mnie o sposób posługiwania się nim, ja natomiast wyjaśniałem mu, w jaki sposób mogę oddać dwadzieścia pięć strzałów bez ładowania. Nagle przestraszył mnie okrzyk Osko:

— Na Allaha, efendi! Strzeż się! — krzyczał na całe gardło.

Obejrzałem się za siebie. Czarnogórzec wskazywał na okno. Stał z szeroko rozwartymi oczami, a twarz miał śmiertelnie bladą. Zastygł po prostu z przerażenia. Gdy podążyłem wzrokiem za jego ręką, zobaczyłem naprzeciwko siebie wylot z lufy. Strzelec stał na drodze i oparł strzelbę, aby nie chybić.

Istnieją okoliczności, w których umysł w ułamku sekundy tworzy myśli i wnioski, które w normalnej sytuacji wymagają minut. Działanie zdaje się być jedynie instynktowne, ale w rzeczywistości umysł formułuje skuteczne wnioski tylko dlatego, że myśli splatają się w błyskawiczny sposób.

Strzelba była wycelowana w moją głowę w taki sposób, że nie widziałem lufy, a jedynie jej wylot w postaci krążka. Chwila przestרחu i zwłoki zadecydowałyby skutecznie o moim życiu. Musiałem działać z prędkością myśli. Ale jak? Jeśli umknę z głową w bok, wtedy nie zostaną trafiony ja, lecz stojący za mną Osko. Aby go ratować, nie mogłem pozbawiać mordercy celu, jakim była moja głowa, dlatego poruszałem nią bardzo szybko tam i z powrotem, by cel stał się niepewny i złapałem za „niedźwiedziówkę”.

Nie da się tego tak szybko opowiedzieć albo przeczytać, jak szybko to się działo. Celujący we mnie morderca nie mógł widzieć, że porwałem strzelbę ze stołu. Bez składania się do strzału — co by oczywiście spostrzegł — wystawiłem ją, przyłożyłem dwulufową strzelbę do grożącego mi wylotu lufy i oddałem oba strzały prawie równocześnie.

Od okrzyku Osko, do obu strzałów, upłynęło tak mało czasu, że nie dałoby się go zmierzyć. Ledwie przebrzmiał krzyk, huknęły także dwa — a raczej trzy strzały, gdyż stojący na dworze strzelec także wystrzelił, na szczęście dziesiątą ułamek sekundy później niż ja. Odgłosowi wystrzałów

towarzyszył przeraźliwy krzyk.

Halef usłyszał ostrzegawczy okrzyk Osko i odwrócił się ku oknu, ale moja strzelba była tak samo szybka jak jego wzrok. Nie spostrzegł jednak obcej lufy, dlatego skoczył na równe nogi wołając:

— Sihdi, co się dzieje? Ty strzelasz?

— Bandyta! — rzucił ciągle jeszcze zdrętwiały, stojący z wyciągniętą ręką Osko, podczas gdy sam się poderwałem, cisnąłem na stół „niedźwiedziówkę” i wyrwałem sztucer z rąk Ilji.

Nie mogłem widzieć, kim był człowiek stojący na dworze. Jeśli ten łotr miałby się jeszcze tam znajdować, to z pewnością zginął, gdyż stojąc z boku okna, gdzie przestałem stanowić łatwy cel, oddałem jeden za drugim osiem strzałów. Mój wierny Hadzi pojął natychmiast, o co tutaj chodzi.

— Przestań strzelać! — zawołał do mnie.

W następnym momencie znalazł się przy oknie, którym chciał wyskoczyć.

— Zwariowałeś! — zawołałem, łapiąc go za nogi, aby go wciągnąć z powrotem.

— Muszę tam!... — wołał Mały. Wyrwał się i wyskoczył na drogę. Na zdrowej nodze wykonałem prędkie, długi krok, który mnie zbliżył do okna. Ściana nie była gruba. Szybko wysunąłem przez okno najpierw sztucer, a potem głowę wraz z lewym ramieniem. Cały się nie zmieściłem, gdyż okno było dla mnie zbyt wąskie. Widziałem Halefą biegnącego w prawo, gdzie znajdowały się szerokie, otwarte wrota, zaś luna z płonących ognisk jasno oświetlała drogę. Równocześnie, z ciemnych drzwi stojącego naprzeciwko domu rzeźnika, oderwała się jakaś postać, biegnąc za Halefem.

Byłżeby to wróg? Wycelowałem ze sztucera. Wtem zobaczyłem jakiegoś człowieka przebiegającego obok wrót. Był on wyraźnie widoczny w świetle płomieni.

— Manach el Barsza! — ryknął za nim Halef. Również i ja go poznałem i widziałem, jak Halef przemknął obok wrót. Celowałem w wąskie oświetlone miejsce, które musiał przebyć ów trzeci człowiek goniący za małym Hadzim.

Postać prześladowcy pojawiła się teraz w świetle. Był on ubrany tak samo jak rzeźnik. Kiedy zgrał mi się z muszką, nacisnąłem spust i chybiłem. Ponieważ wystawiłem na zewnątrz lewe ramię, musiałem z lewej strony strzelać i mierzyć. Niech ktoś spróbuje oddać skuteczny strzał nocą, do tego w niewygodnej, ściśniętej pozycji, oszołomiony migotaniem ognia, z fuzją przy lewym policzku i z prawym zamkniętym okiem! Było to prawie niemożliwe. Natychmiast wycofałem się z okna i rozkazałem Osko i Omarowi:

— Szybko za nimi! W prawo, drogą w górę! Halef jest pomiędzy dwoma zbirami!

W tym momencie padło kilka strzałów z pistoletu. Obaj schwycili za strzelby.

— Zostawcie to! Przydadzą się tylko noże i pistolety. Dalej! Dalej!

Na ten sygnał moi dwaj towarzysze pobiegli na pomoc dziarskiemu Halefowi. Nie mogłem niestety podążyć wraz z nimi, gdyż nie pozwalało mi na to moje unieruchomienie.

Ilja wciąż jeszcze siedział na miejscu, tak samo zdrętwiały. Dłonie jego pozostawały ciągle w pozycji trzymających sztucer, który mu przecież z nich wyrwałem. Od ostrzegawczego okrzyku Osko ani się nie poruszył, ani nie wyrzekł słowa.

— Ef... ef... fendi! — wybełkotał. — Co to było?

— Przecież widziałeś i słyszałeś.

— Strze... strzelano!

Złapałem go za ramię i potrząsałem nim.

— Opanuj się, Ilja! Cały zeszywniałeś ze strachu!

— To do mnie strzelano?

— Nie. Do mnie — uśmiechałem się.

— Myślałem, że chcieli mnie zastrzelić, bo wam pomagałem.

— Nie obawiaj się. Twoje drogie życie nie było zagrożone, tylko moje. Ale zamknij lepiej okiennice. Nie dawajmy nikomu okazji do ponownego celowania w nas.

Ilja, idąc za moim poleceniem, wstał i chwiejnym krokiem podszedł do okna. Z pewnością nie był tchórzem, ale szybkość następujących po sobie wypadków wytrąciła go z równowagi. Po zamknięciu okiennicy znów opadł na krzesło, a ja ponownie zapaliłem fajkę.

— Efendi! Ty palisz, a na dworze walczą? — dziwił się.

— Nie mogę im przecież pomóc! Gdybyś ty był dzielniejszy, pobiegłbyś za nimi!

— Dziękuję, to nie moja sprawa.

— A więc pal także!

— Jeszcze cały drzę. Twoja stara strzelba wali przecież jak armata!

— Owszem. Dość silnym basem przemawia ta dobra matrona. Widziałeś, jakie to słuszne. Gdyby nie była nabita, już byłoby po mnie.

— Przecież ty strzelałeś do bandyty?

— Niestety nie, bo go zupełnie nie widziałem. Widziałem jedynie wylot jego strzelby. Celował wprost w moje czoło. Nie mogłem nic innego zrobić, jak tylko strzałem podbić mu lufę i to mi się udało.

Kobiety i dzieci będące na podwórzu wpadły w panikę. Słyszały bowiem także strzały i widziały biegnących mężczyzn. Wszyscy wiedzieli, że bracia Aladzi są w pobliżu i dlatego ogarnęła ich nerwowość.

Na moment zapadła cisza, przzerwana otwarciem drzwi, w których stanęli: Osko, Omar i Halef. Stan Małego był opłakany. Odzież miał brudną i poszarganą, a z czoła ściekała mu po twarzy krew.

— Jesteś ranny? — spytałem zatrwożony. — Coś groźnego?

— Nie wiem. Zobacz sam, sihdi!

— Dajcie wody!

Ponieważ nie było wody pod ręką, zanurzyłem chustkę w piwie i obmyłem dzielnemu Halefowi twarz.

— Dzięki Bogu! To tylko lekkie draśnięcie — pocieszyłem go. — Za dwa tygodnie blizna się zagoi.

— To nadzieja! — śmiał się Halef. — Ale strzelającemu sprawiłem zawód, bo miałem nie żyć.

— Kto do ciebie strzelał? Manach el Barsza?

— Nie. Ten drugi.

— Znałeś go?

— Nie! Było bowiem tak ciemno, że nie mogłem poznać jego twarzy, mimo że nasze brody były tak blisko siebie, iż mogliśmy się pocałować.

— Przypuszczam, że to był Hajdar, brat rzeźnika.

— Bardzo możliwe, bo poczynął sobie właśnie jak rzeźnik.

— Opowiadaj! Omar niech w tym czasie przyniesie apteczkę z torby przy siodle.

— Otóż, sprawy potoczyły się bardzo szybko. Kiedy wystawiłem głowę przez okno, zobaczyłem leżącego pod nim człowieka. Chciałem na niego skoczyć, ale wtedy złapałeś mnie z tyłu. Jednak zdołałem ci się wyrwać, lecz gdy znalazłem się na drodze, podniósł się i uciekł.

— To był Manach el Barsza. Podśluchałem go, kiedy mówił dziś do swoich kompanów, że chętnie by do mnie strzelił.

— Wyskakując trafiłem na długi, wąski przedmiot, na którym się potknąłem i upadłem. Musiała to być strzelba, która jeszcze tam leży.

— To moim strzałem wytrąciłem ją z ręki Manacha el Barszy i to kopnięcie czy też pchnięcie kolby powaliło go na ziemię.

— W każdym razie stracił na krótko świadomość, gdyż inaczej by tak nie leżał. Natychmiast się podniosłem i za nim skoczyłem. Kiedy przebiegał obok wrót, rozpoznałem go i zawołałem do was.

— Ja go również rozpoznałem.

— Biegł jak ogień, ale deptałem mu po piętach. On się natomiast potknął i upadł. Byłem tak blisko, że nie mogłem się w porę zatrzymać i wpadłem na niego, co on wykorzystał, aby się pozbierać i pobiec dalej.

— Głupio postąpił. Mógł się przecież rzucić na ciebie.

— Jasne, że tym łobuzom brak sprytu.

— A kto strzelił potem?

— Ja. Już w czasie wstawania wyjąłem pistolety zza pasa i do niego strzeliłem. Lecz ja także zgłupiałem i strzelałem w biegu. Gdybym przystanął, aby móc spokojnie wycelować, z pewnością bym go trafił, gdyż moje pistolety niosą daleko. Drugi raz już mi się coś takiego nie przydarzy.

Wszedł Omar z opatrunkami.

— Na dworze leży pod oknem strzelba Manacha — rzekł do niego Halef. — Przynieś ją!

— Chciałem posłuchać, co opowiadasz.

— Zaczekam.

Okazało się po przyniesieniu strzelby przez Omara, że Manach el Barsza otrzymał potężne uderzenie, gdyż kolba była pęknięta. Po wylocie lufy widać było wyraźnie, gdzie trafiły kule.

— Ale ona nie jest naładowana — stwierdził Halef, ścierając sobie pilnie krew z twarzy. — A więc musiał jednak strzelać.

— Oczywiście. Prawie równocześnie ze mną.

— A zatem twoje kule podbiły mu lufę i jego kula musi tkwić po drugiej stronie w ścianie, w pobliżu sufitu.

Osko wziął do ręki lampę i wkrótce znalazł dziurę, w której tkwiła kula.

— Oto ona — powiedział. — Tkwiłaby teraz w twojej głowie, efendi, gdybym nie zauważył w porę strzelby wykierowanej w ciebie.

— Wiem, że ci zawdzięczani życie.

— Jestem z tego dumny. Tak wiele tobie zawdzięczamy, szczególnie ja, bo uwolniłeś moją córkę z rąk tego Abrahima Mamura. Teraz i ja mogłem się tobie chociaż w małym stopniu przysłużyć.

— Nie możesz umniejszać tego, co zrobiłeś. Serdecznie ci za to dziękuję!

— Nie musisz mi dziękować. Ktoś inny na twoim miejscu zostałby zastrzelony mimo mego ostrzeżenia. Jak zdołałeś wpaść na pomysł, aby podbić strzałem lufę? Wystarczyło, byś się tylko nachylił.

— Wtedy on strzelając, trafiłby ciebie.

— A więc chciałeś także mnie ratować?

— Tak było. Ponieważ jednak znaleźliśmy jego kulę, możemy także poszukać moich kul. Jego kula zmieniła ich docelowy kierunek. Przypatrzcie się bliżej oknu!

Były. Tkwiły obok siebie w miękkiej cegle i Osko je stamtąd wydłubał.

— Tę z góry także wydostanę — powiedział. — Muszę te trzy kule przechować na pamiątkę. A teraz, mów dalej Halef!

On zaś opowiadał:

— To co się potem działo, znasz prawie tak samo jak ja. Dogoniłem Manacha i złapałem go z tyłu, ale on dał potężnego susa w bok i mi się wyrwał... a ja upadłem. Był teraz mądrzejszy niż

przedtem. Rzucił się bowiem na mnie i złapał mnie za gardło. Właśnie dobyłem noża, aby mu zadać cios, kiedy rzucił się na mnie ktoś drugi. Kto to był, nie wiem, ale jutro go poznam, gdyż przejechałem mu nożem po twarzy, tak że nie mógł mnie przytrzymać, natomiast przy mojej skroni miał lufę pistoletu. Krew zalewała mu widocznie oczy, gdyż wołał: „Trzymaj go, Manach!” I Manach trzymał mnie. Leżałem z twarzą odwróconą na bok. Wylot pistoletu uwierał mi skroń. Odrzuciłem głowę do tyłu, on zaś nacisnął na spust. Zdawało mi się, że ktoś dotknął mego czoła rozżarzonym drutem. Wtedy zebrałem w sobie wszystkie siły, aby się uwolnić. Nóż wypadł mi z rąk. Ci dwaj trzymali mnie teraz za szyję i za rękę. Jeden z nich zaklął, gdyż ktoś złapał go z tym.

— To ja — oświadczył Osko. — Złapałem go za gardło, ale zbyt pośpiesznie... i nie tak, a więc wyrwał mi się i uciekł.

— Właśnie. I w tym momencie Manach el Barsza czmychnął — dorzucił Halef. — Zabrakło mi powietrza i zanim go zaczerpnąłem, Manach ulotnił się bez pożegnania.

Znaleźć się nagle w obliczu śmierci i tak samo szybko zostać uratowanym, stanowi osobliwe i nieopisane uczucie. Na szczęście miliony ludzi nie mają o tym pojęcia.

Ranę Halefa dało się łatwo zabandażować i mogła po niej pozostać tylko płytka blizna.

— Znów dałeś dowód dzielności, mój mały Hadzi — powiedziałem do niego. — Co powie na to perła niewiast, gdy zobaczy owe znamiona twojej odwagi?

— Hanneh pomyśli, że uczyniłem to dla mego sihdi, którego ona także kocha. Ileż ja będę mógł jej o nas opowiadać! Niewielu będzie takich Arabów, którzy odbyli podróże podobne do naszych! A potem, kiedy ja... słyszycie!

Słyszeliśmy odległy dźwięk, brzęk, jak gdyby przenikliwe bzykanie komara. Stawał się on coraz mocniejszy i wkrótce rozróżniliśmy marsz bitewny powracającego walecznego wojska.

— Idą! — powiedział Ilja, przy czym dopiero teraz powstał z krzesła. — Przyprawdzą ze sobą jeńców.

— Którzy znaleźli się we wsi, aby do mnie strzelać, podczas kiedy dzielni mieszkańcy wyszli sobie na spacer — odparłem.

— Przecież tutaj był tylko jeden z nich, efendi! Trzech pozostałych z pewnością pochwycono.

— Jeśli tak, to płacę po tysiąc piastrów za każdego!

— Jeszcze nie wiemy, czy moi ludzie nie odnieśli sukcesu. Ja, jako zwierzchnik policji, muszę ich powitać.

Wiedziałem, że poszedł ostrzec policjanta, aby nie składał mi żadnych zeznań, pozostawiając otwarte drzwi, byśmy mogli widzieć powrót zwycięskiego wojska.

Najpierw pojawił się marszałek, wywijając niby tamburmajor sierpem osadzonym na żerdzi. Za nim podążała orkiestrowa hałastra grająca ze wszystkich sił, ale nie z nut, ani do taktu, lecz każdy według własnego uznania. Za nimi postępowali bohaterowie w postawie tak dumnej, jakby dokonali czynów Rolanda albo Bayarda. Czterech z nich niosło mary zrobione z młodych pni i gałęzi, na których spoczywali obaj zabici: rzeźnik Czurak i onegdajszy strażnik więzienny.

Zatrzymano się w izbie frontowej. Muzyka wykonała tusz, po czym zapadła głęboka cisza. Z dworu docierała do nas woń pieczonych baranów. Marszałek polny szeroko wyduł nozdrza, z lubością chłonąc powiew przysmaku, i zbliżył się do nas z godnością.

— Efendi! — zameldował. — Wyprawa zakończona. Sam zabiłem obu braci Aladzi, dlatego należą mi się dwie baranie skóry.

— A gdzie ich zwłoki?

— Wrzucone do rzeki.

— A gdzie masz dwóch pozostałych złoczyńców?

— Również w nurtach Zletowskiej. Zginęli śmiercią topielców.

— A kto tego dokonał?

— Nie bardzo wiadomo, dlatego będziemy zmuszeni losować, komu przypadną dwie pozostałe skóry.

— Dziwne, byście utopili ich tak, że nie można udowodnić, iż marszałek kłamie.

— Efendi! Ty mnie nie obrażaj!

— A od kiedy to nieboszczyk pojawia się we wsi, aby strzelać przez okno do mojej głowy?

Policjant przeraził się.

— Co chcesz przez to powiedzieć, efendi?

— Tylko to, że ci czterej ludzie, przeciwko którym wyruszyła wyprawa, w tym czasie strzelali tutaj do nas.

— To były ich duchy.

— A więc radzę tobie, byś z twoim dzielnym wojskiem zjadł sobie duchy tych czterech baranów, gdyż ich mięsa nie dostaniecie.

— Efendi! Ty nam je przyrzekłeś! Trzymamy cię za słowo!

— Przyrzekłem je wam pod pewnymi warunkami, których nie spełniliście. Jeżeli uważasz mnie za człowieka, któremu można opowiadać takie kłamstwa, to każę cię wybatożyć. A mam na to władzę. Zapytaj kjaję, on ci to potwierdzi.

Mówiłem bardzo głośno, tak że słyszeli mnie także stojący na dworze. Mieli bardzo poważne miny i spuścili głowy. Policjant sprawiał wrażenie niewinnego grzesznika. Znajdujący się tuż obok mnie kjaja zrozumiał, że musi się ująć za swoim podwładnym, ale bez przyznawania mi racji.

— Efendi! Myślisz z gruntu fałszywie. Nikt ci nie powiedział nieprawdy. Jak mogliśmy na coś takiego się odważyć!

— Zgadza się! Jak mogliście się odważyć, by mnie okłamywać i robić ze mnie głupca? Wiesz przecież, że znajduję się pod ochroną sułtana i cieszę się względami jego najwyższego urzędu. Co wobec mnie znaczy kjaja, albo jakiś tam policjant! A mimo to wierzyliście, że można mnie wprowadzić w błąd. Tego ani nie mogę, ani nie wolno mi ścierpieć. Chciałem dać ludziom piwa, rakiję i cztery pieczone barany, wy zaś odwdzięczacie mi się za to kłamstwem! Zatrzymaj sobie zatem piwo! Natomiast jutro zabiorę barany i dam je godniejszym ludziom.

Jeśli żadne z moich poprzednich słów nie zrobiło na nich wrażenia, to ostatnia groźba osiągnęła zamierzony skutek. Ilja wycofał się zakłopotany. Marszałek pochłaniał łapczywie woń pieczystego, zacisnął wargi i bezradnie tarł ręką o nogawki. Natomiast sztukmistrz od puzonu okazał się być człowiekiem, który znalazł wyjście. Podeszedł do nas długimi krokami, stanął nagle przede mną i rzekł:

— Efendi! Nie chcemy postradać baranów. Gdybyś nas ich pozbawił, ciężko obarczyłbyś swoje sumienie, dlatego chcę się uwolnić od własnych wyrzutów sumienia poprzez wyznanie prawdy.

— Widzę, że znalazł się tutaj chociaż jeden uczciwy człowiek — odparłem.

— Och! Wszyscy jesteśmy uczciwi, ale przecież tylko jeden może tutaj mówić. To ja nadaję takt i mam najsilniejszy ton w moim puzonie, dlatego pragnę zabrać głos także tutaj. Myśmy nie walczyli, lecz udaliśmy się tylko do koliby, aby przynieść zabitych. Wody Zletowskiej nie widziały żadnego trupa. Jeśli rozkażesz, to powiem publicznie, jak to się stało.

— Zatem mów!

— Siedziałem w domu i wyrównywałem głębokie wgłębienie, jakie powstało w moim puzonie, w momencie, kiedy zdzierałem nim wczoraj obrażającego mnie faceta i wówczas to przyszedł do mnie policjant, który jest moim szwagrem, bo ożenił się z siostrą mojej żony. Opowiedział mi o tobie, o

braciach Aladzi i o tym, czego zażądałeś od kjai. Ilja dał mu tajne polecenie, abym poszedł w zarośla i powiedział braciom Aladzi, że wyście im umknęli i aby zawczasu wzięli nogi za pas, gdyż wkrótce nadejdzie tutaj wojsko, aby ich pojmać.

— Tak też myślałem!

— Strażnik porządku publicznego, dla podkreślenia więzów przyjaźni i powinowactwa, pragnął podzielić się ze mną sławą, jaka popłynie z rozmowy z braćmi Aladzi i poprosił mnie, bym zechciał mu towarzyszyć.

— Albo obawiał się raczej iść sam, dlatego zabrał cię ze sobą.

— Mylisz się. Ani w jego, ani też w moim sercu nie ma lęku. Nie lękam się najsilniejszego wroga, gdyż w moim puzonie posiadam potężną broń, którą już niejedną głowę pokryłem guzami. A więc wyruszyliśmy.

— Ale się nie spiesząc?

— Tak, gdyż musieliśmy się naradzić, w jaki sposób pozbyć się delikatnej misji, dlatego szliśmy powoli obraną drogą, oznajmiając od czasu do czasu donośnym głosem, że nie przybyliśmy w zarośla, aby ich zabić.

— Wykazaliście przezorną mądrość, gdyż w przeciwnym razie mogliby was napaść.

— Och nie! Czyniliśmy tak, aby braci Aladzi za bardzo nie przerazić, lecz oni naszą delikatność odpłacili niewdzięcznością.

— Na czym ona polegała?

— Na batogach, których nie poskąpili mojemu kochanemu szwagrowi, podczas gdy ze mną nie odważyli się tak postąpić.

— Ho, ho! — wpadł mu w słowo policjant. — Czy jeden z Aladzi nie zdzielił cię tak, że przysiadłeś na ziemi?

— Mylisz się, było bowiem ciemno, zaś ciosy spadały na ciebie tak gęsto jak grad, tak że w ogóle nie mogłeś się rozglądać ani na mnie zważać. Twoje słowa nie mają przeto wagi dowodu.

— Nie kłóćcie się! — napomniałem ich. — Co potem robili bracia Aladzi?

— Pytali, jakie zadanie ma do spełnienia nasza gromada, więc wyjaśniliśmy im, że wpierv mamy ich ująć, a potem zabrać z koliby starego Mübareka i oba trupy. Oni uważali, że Mübarek nie żyje. Gdy się dowiedzieli, że stary żyje, bardzo się ucieszyli i postanowili szybko się do niego udać, aby nie wpadł on w twoje ręce. Szwagier dostał jeszcze kopniaka od...

— Nie! To ty zostałeś kopnięty! — krzyknął policjant.

— Zamilcz! Wszystko jedno kto go dostał, jesteście bowiem spowinowaceni. A więc dali jednemu z nas jeszcze kilka kopniaków i ze strachu schronili się we fałdach nocnego okrycia naszej matki ziemi.

— I wówczas wróciliście, by zwołać waszych bohaterów.

— Owszem. Potrzebowaliśmy więcej czasu, ale ponieważ mogliśmy ci podpaść, musieliśmy się spieszyć!

— Mówiliście przy tym każdemu, że nie potrzebuje się niczego bać, gdyż wrogowie czmychnęli?

— Tak, efendi.

— ...że jedyne niebezpieczeństwo, jakie na nich czyha, to picie piwa i jedzenie pieczystego z baraniny?

— Powiedzieliśmy im to, by twojej dobroci przysporzyć sławy.

— Czy podczas wyprawy natrafiliście chociaż na ślad braci Aladzi?

— Nie napotkaliśmy ich śladu, lecz ich samych.

— Ach, gdzie?

— Na krańcu wsi. Stali tam na koniach, po dwóch, z lewej i prawej strony drogi. Mübarek stał obok. Przeszliśmy pośród nich z janczarską muzyką. To nie żarty chodzić nocą do ciemnego lasu po nieboszczyków. Leżą teraz w przednim pokoju.

Wskazał przy tym ręką na drzwi. Odpowiedziałem:

— Wszystko, co mi opowiedziałeś, już wcześniej wiedziałem. Ponieważ wyznałeś mi jednak prawdę, nie pozbawię was uczty.

— A kto dostanie skóry?

— Kto we wsi jest najbiedniejszy?

— Drwal Pero, który stoi z tyłu z siekierą.

— A więc niech je bierze. Odnieście nieboszczyków i każcie przynieść arpa suju.

Moje polecenie wywołało entuzjazm. Wniesiono duże brzuchate dzbany napełnione piwem. Ponieważ Turcy nie znali wcześniej piwa, nie mieli dla niego nazwy. Używali więc czeskiego określenia *piwo*, albo nazywali je opisowo *arpa suju*. *Arpa*, oznacza jęczmień, *su*, to woda, natomiast *ju*, to końcówka dopełniacza rzeczownika *su*. *Arpa suju*, tłumaczy się dosłownie jako *jęczmienna woda*, określenie które wcale nie brzmi zachęcająco.

Podczas gdy każdy z obecnych starał się zdobyć jakieś naczynie do picia, wziąłem policjanta na bok i zapytałem:

— Dokąd zaniesiecie zwłoki rzeźnika Czuraka?

— Na drugą stronę, do jego domu.

— Dopilnujesz tego?

— Tak, gdyż jestem prawą ręką litery prawa.

— A więc powierzę ci pewne zadanie. Przekonałem się, że jesteś mądrym i sumiennym dyplomata, który wie, jak podejść do każdej sprawy, a zatem słuchaj! Bardzo proszę, abyś będąc tam, starał się zobaczyć brata rzeźnika.

— To przecież proste.

— Albo i nie. Może on nie chce, aby go zobaczyć.

— Ale ja jestem policją i na moje wezwanie musi się pokazać.

— Nie w ten sposób. Nie życzę sobie, abyś postępował rygorystycznie. Masz natomiast działać roztropnie i sprytnie.

— Właśnie tak działałam.

— A więc postaraj się go zobaczyć. Jeśli ci się to uda, dostaniesz pięć piastrów.

— Jest to tak pewne, że proszę cię, abyś mi je dał już teraz.

— Nie mój drogi. Oszukałeś mnie, więc muszę być ostrożny. Nie próbuj mi także wmawiać, że go widziałeś, jeśli go nie zobaczysz. Będę doskonale wiedział, czy nie wprowadziłeś mnie w błąd.

— Och, efendi! Żadne nieprawdziwe słowo nie przejdzie przez moje usta. O co ci właściwie chodzi?

— O tym potem! Masz mu się tylko przyjrzeć. Wystarczy, jeśli to uczynisz.

— Lecz pomyśl, że żądasz ode mnie wielkiej ofiary. Kiedy mnie tu nie będzie, ludzie wypiją cały drogocenny napój.

— Twoją miarę dostaniesz.

Poszedł. Widziałem, jak polecił dwom ludziom nieść zwłoki rzeźnika. Zwłoki strażnika przeniesiono na razie do ukrytego zakamarka.

Teraz było wszystko na swoim miejscu. Bohaterowie, dzierżąc w dłoniach wszystkie możliwe i niemożliwe naczynia, pili piwo siedząc, jedni z podkurczonymi pod siebie nogami na ziemi, drudzy natomiast, naszym sposobem, za stołem. Na dworze, przy ogniskach, siedziały beczynnio kobiety i

dzieci. Również im postawiono kilka dzbanów z piwem. Chłopcy i dziewczęta zbierali skrzętnie kapiący z opiekanych baranów tłuszcz. Ktoś tam posłużył się w tym celu kamykiem, ktoś inny drewnikiem, na które kapał tłuszcz, aby go potem szybko oblizać.

Mały, może ośmioletni pędrak, wpadł na wspaniały pomysł skombinowania wymarzonego przysmaku. Podstawiał on mianowicie swój niewielki fez pod rożen, łapał doń parę kropel tłuszczu, wywracał go potem spodem na wierzch i ocierał tłustymi plamami język, rozkoszując się co niemiara. Jeśli sukno zbyt wchłonęło tłuszcz, albo tłuszcz się zanadto do niego przykleił, wtedy pomagał sobie dziarsko zębami. Kazałem go później do siebie przyprowadzić i przyjrzałem się fezowi. Malec wygryził dziury w fezie i cieszył się ogromnie, kiedy wynagrodziłem go piastrem za wytrwałą pilność.

Jednego z baranów dosłownie oblegała jakaś gromada zapamiętałych łasuchów. Dwie kobiety doglądały żaru i na przemian obracały rożen. Gdy tylko któraś z nich się zagapiła, natychmiast doskakiwał do barana ktoś ze zuchwałej zgrai i oblizywał pieczeń, gdzie popadło, po czym pośpiesznie zmykał.

Nie było to łatwe przedsięwzięcie, gdyż żar mógł łakomczuchowi osmalić odzienie. Na szczęście dzieci nie grzeszyły nadmiarem jedwabnych falbanek i brukselskich koronek. Jeśli zamiar się powiodł, wówczas gromada wydawała okrzyk triumfu, kiedy jednak łakomczuch dostał od kobiety klapsa albo wymierzano mu siarczysty policzek, co zdarzało się dziewięć na dziesięć razy, bywał przez gromadę gromko wyśmiany. Jednak każdorazowo, obojętnie czy się zamiar udał, czy też nie, towarzyszyła mu wysoce charakterystyczna gra mimiki, albo z powodu wymierzonego policzka, albo dlatego, że szczęśliwy łakomczuch sparzył sobie język.

Ta wielość pojedynczych obrazków tworzyła całościowy, przyciągający kolorytem pejzaż. Ludzie — zarówno młodzi jak i starzy — przestali się krępować. Piwo spłukało sztywną, zewnętrzną powłokę, którą mieszkaniiec Bliskiego Wschodu ma dla obcego przybysza. Z wolna się z nami oswajano i wkrótce zostaliśmy otoczeni przez gromadę żywo reagujących ludzi, którzy umożliwili mi dokonywanie bardzo cennych obserwacji.

Policjant wrócił i złożył mi meldunek z powierzonego mu zadania:

— Udało się, efendi! Widziałem go, ale kosztowało mnie to niemało trudu. Będziesz musiał chyba dać mi dziesięć piastrów zamiast pięciu.

— Dlaczego?

— Bo wymagało to dziesięciokrotnego zwiększenia natężenia bystrości mego umysłu. Gdy o niego zapytałem, otrzymałem odpowiedź, że jest on nieobecny. Lecz byłem na tyle mądry, aby powiedzieć, iż mam dla niego ważną wiadomość o ostatnich chwilach zmarłego. Wtedy wpuścił mnie do izby. Przeraziłem się, kiedy go zobaczyłem, miał bowiem długą, głęboką ranę biegnącą od czoła przez nasadę nosa i policzki. Obok niego stało naczynie z wodą do robienia okładów.

— Pytałeś go, co mu się przytrafiło?

— Oczywiście. Powiedział, że topór spadł z gwoźdźnia wprost mu na twarz.

— I chciał z pewnością słyszeć, co mu powiesz?

— Powiedziałem mu, że jego brat żył, gdy go podnosiłem i jeszcze raz westchnął.

— I to wszystko?

— Czy to nie wystarczyło? Czy miałem moje delikatne sumienie obarczać jakimś jeszcze większym kłamstwem? Za takie małe westchnienie gotów jestem odpowiadać przed Najświętszą Trójcą. Gdybym jednak powiedział, że nieboszczyk wygłosił jeszcze długą mowę, wtedy nadmiernie bym obciążył swoją duszę.

— Co się tyczy ciebie, to nie kazałem ci mówić nieprawdy, a dziesięć piastrów za jedno

westchnienie, to chyba za dużo.

— Dla ciebie? Człowieka o tak świetnej umiejętności przekonywania i wrodzonych zaletach? Gdybym posiadał walory twego charakteru, wrażliwość twoich uczuć, bogactwo twego serca i elastyczność twego umysłu, zażądałbym pięćdziesięciu piastrów!

— Ja też bym tak sobie życzył.

— Myślę o sobie, a nie o tobie. Tym bardziej, że sprawa nie przebiegała tak prosto.

— A jak?

— Hajdar wściekł się, skoczył na równe nogi i strasznie przeklinał. Powiedział, że postara się, abym i ja teraz wzdychał i to porządnie. Resztę możesz sobie wyobrazić.

— Niestety. Tak wyraźnie, jak myślisz, nie potrafię sobie tego wyobrazić.

— A więc odebrałem to, co się normalnie zwie biciem, co ja jednak nazywam następstwem mego wewnętrznego oddania twojej osobie.

— Czy ciosy były silne?

— Nieprawdopodobnie!

— Miłe!

— Jak dla kogo. Będę bowiem potrzebował sporo leków, aby się wyleczyć, rakiję do nacierania jako lek zewnętrzny, wewnątrznie piwo dla ochłody, i pieczeń z barana w celu wzmocnienia nadwerżonej chyżości.

— Myślę, że rakiję będziesz musiał także zażywać, a co się tyczy chyżości, to dowiedziesz jej, czym prędzej stąd się oddalając. Masz tu dziesięć piastrów.

— Efendi! Twoje słowa obrażają, lecz twoje czyny są kojącymi plastrami. Zdobyłeś sobie moje serce i moją duszę, zaś moje nerki dyszą rozkoszą przywiązania i oddania dla twojej drogiej i niepowtarzalnej istoty.

— Zmiataj policjancie, bo cię nauczę moresu! — Zrobiłem ruch ręką, jakbym chciał sięgnąć po bicz i policjant natychmiast znikł.

Dzięki gorliwemu dogłądaniu i kosztowaniu baranów okazało się niebawem, że pieczeń jest gotowa i można ją dzielić. Aby nie powstał spór, Halef zajął się rozbiorem mięsa, na czym się doskonale znał. Pojedyncze kawałki losowano. Nam przypadły części ogonowe. Ponadto Ilja bardzo się troszczył, aby specjalnie dla nas podać obfite i na miejscowy sposób wykwentne jedzenie. W tym względzie mogliśmy być z niego zadowoleni.

Po niemal doszczętnym spałaszowaniu czterech tłustych baranów, kapela wojenna usadowiła się w kącie podwórza i przedzierzgnęła się teraz w orkiestrę do tańca i do wtórowania śpiewom. Najpierw tańczyli mężczyźni. Potem można było zobaczyć także kilka tańczących kobiet. Jakaś para, mężczyzna i kobieta, pokazywała mierną pantomimę wykonywaną przy akompaniamencie gitary i gęśli. Pomiędzy jednym a drugim tańcem słychać było wokalistów, śpiewających niekiedy solo, a niekiedy w chórze. Podczas gdy soliści rzewnie zawodzili, śpiew chóralny był wyłącznie śpiewem wojennym na jeden głos, przerywanym okrzykami grozącymi pęknięciem bębenków. Nie różnił się natężeniem akompaniament, w którym puzon, bęben i flet odgrywały rolę główną.

Późno, bo było już chyba przed północą, do zajazdu przybył na nocleg jakiś jeździec. Był to mały człowieczek, który zsiadł z wynędzniałej, zaniedbanej i starej szkapy. Przybysz zamienił kilka słów z handżim. Ów raczył mi powiedzieć, że jutro być może zyskam niezwykle użytecznego towarzysza podróży.

Pomyślałem zaraz o człowieku, o którym mówili bracia Aladzi, a który miał mnie na nich naprowadzić. Nazywali go Suf. Oryginalnie, po arabsku. Miał on rozpocząć działanie w przypadku, gdyby się dzisiejszy napad nie powiódł, a ponieważ do zaplanowanego ataku nie doszło, dlatego z

całą pewnością należało oczekiwać, że Suef zacznie działać. Możliwe, że zechce się do nas zbliżyć jeszcze tego samego dnia i stąd moje podejrzenie, że przybysz to właśnie on. Musiałem postępować ostrożnie i dokładnie się rozpytywać.

— Skąd ci przyszło do głowy, by mówić o jakimś przewodniku? — spytałem handziego. — Nikogo takiego nam nie trzeba.

— A może jednak. Znaście drogę?

— Nigdy dotąd nie znaliśmy żadnej drogi w tym kraju, a pomimo to zawsze trafiliśmy, gdzie trzeba.

— A więc nie życzysz sobie przewodnika? — Niestety nie.

— Jak chcesz. Myślałem, że ci sprawię przyjemność.

Chciał już odejść. Nie wyglądało na to, że spełnia pilne zadanie przybysza, dlatego drążyłem dalej:

— Kim jest człowiek, o którym mówisz?

— Nie jest to być może dla was odpowiedni towarzysz podróży. Jest to bowiem ubogi krawiec, nie mający nawet stałego mieszkania.

— Jak się zwie?

— Nazywa się Afrit.

— Nie pasuje to do jego postaci. Nazywa się bowiem „Olbrzym”, a jest prawie karłem!

— Nie jest temu winien, że nosi takie nazwisko. Zawdzięcza je swemu ojcu. Możliwe, że i on również był taki mały i pragnął, aby jego syn był większy.

— Czy on pochodzi stąd?

— Nie wiem, gdzie się urodził. Wszędzie znany jest tylko jako wędrowny krawiec. Zatrzymuje się na pobyt tam, gdzie jest praca i pozostaje do jej ukończenia. Zadowala się wyżywieniem i niewielką zapłatą.

— Czy Afrit jest uczciwy?

— W najwyższym stopniu. Ze względu na jego bezinteresowność ukuto nawet przysłowie, które brzmi: Uczciwy jak krawiec.

— Skąd przybył?

— Ze Zletowa, położonego od nas na północ.

— I dokąd zmierza?

— Do Üsküb i jeszcze dalej. Ponieważ zamierzałeś tam także jechać, dlatego myślałem, by ci go polecić. Normalną drogą pojedziesz długo, a na skróty sam nie trafisz.

— Czy z krawcem już o nas rozmawiałeś?

— Nie, efendi. On nawet nie wie, że tu jest ktoś obcy. Pytał jedynie, czy może tu pozostać do jutra rana. Chciałem mu powierzyć jakąś robotę, ale on nie może jej się podjąć z powodu choroby.

— Gdzie teraz przebywa?

— Jest z tyłu za domem, gdyż zaprowadził konia na pastwisko. Po zwierzęciu poznasz jego ubóstwo.

— A więc pozwól mu potem do nas wstąpić. Będzie naszym gościem. Wkrótce przyszedł. Mały, kruchy człeczyna w ubogim przyodziewku.

Sprawiał wrażenie przygnębionego i skromnie zajął miejsce w kąciuku. Oprócz noża nie miał przy sobie innej broni. Z torby przewieszzonej przez ramię wyjął kromkę twardego kukurydzianego chleba i począł go jeść. Biedak z pewnością nie był sprzymierzeńcem rozbójników. Zaprosiłem go do naszego stołu i zachęciłem do jedzenia tego, co pozostało z naszego posiłku.

— Dziękuję ci za życzliwość, efendi — powiedział uprzejmie Afrit. — Jestem naprawdę głodny

i spragniony, ale ja jestem tylko biednym krawcem i nie wypada mi zasiadać przy jednym stole z panami. Jeżeli chcesz mi coś dać, z wdzięcznością to przyjmę, ale proszę cię, pozwól mi zjeść to tutaj, gdzie siedzę.

— Jak sobie życzysz. Podaj mu, Halef!

Hadzi zaniósł Afritowi takie ilości jedzenia, że posiliłoby się tym kilka osób. Postawił także przed nim piwo i rakiję.

Gdy się pokrzepił, podszedł do nas i uniesieniem mi się dziękował. Twarz jego miała wyraz zatroskany i pocziwy, zaś spojrzenie tak szczere, że poczułem się wobec niego zobowiązany.

— Masz krewnych? — spytałem go.

— Nikogo. Żona i dziecko umarły mi przed dwoma laty na ospę i pozostałem sam.

— Jak się nazywasz?

— Na ogół mówią o mnie „wędrowny krawiec”, ale nazywam się Afrit.

— Czy możesz mi powiedzieć, skąd pochodzisz?

— Dlaczego nie. Muszę przecież wiedzieć, gdzie się urodziłem! Pochodzę z małej górskiej wioski położonej w Szar Dagh. Nazywa się ona Wajcza.

Ho, ho, pomyślałem. Była to nazwa miejscowości, o której mówił mi przed śmiercią strażnik więzienny, że w pobliżu niej mieszka Szut. Spotkanie z ubogim krawcem mogło mieć dla mnie duże znaczenie.

— Jesteś tam znany? — spytałem.

— Bardzo dobrze. Często tam bowiem bywam.

— Kiedy tam znów będziesz?

— Niebawem. Chcę się udać do domu przez Üsküb i Kalkandele.

— Aby kogoś po drodze odwiedzić?

— Nie, ale tam mieszka cudotwórca, który ma mi pomóc, gdyż jestem chory.

— Czy nie powinieneś się raczej udać do prawdziwego lekarza?

— Leczył mnie lekarz, ale bez skutku. Natomiast cudotwórca już mi bardzo ulżył.

— Na co się skarżasz?

— Podobno mam kamienie w wątrobie.

Afrit wyglądał tak, jakby go coś wewnątrz bolało. Żal mi go było.

— Kiedy stąd wyruszasz?

— Jutro rano.

— Do Üsküb?

— Niezupełnie. To zbyt daleko, by dotrzeć tam w ciągu jednego dnia.

— Czy po drodze jest jakaś dobra gospoda?

— Nawet kilka.

— Zabierzesz nas z sobą?

— Jakżebym mógł z wami jechać? Nie potrafię rozmawiać z takimi panami.

— Przecież rozmawiasz ze mną tak, że mi się spodobałeś. Jeżeli ci to odpowiada, to pojedziemy razem, a ja cię wynagrodzę jako przewodnika.

— Och, nie! To dla mnie zaszczyt, jeśli będzie mi wolno wam towarzyszyć, a w kilku jedzie się lepiej niż w pojedynkę. Przyłączę się do was, jeśli przyzwolisz.

Tym samym sprawa została uzgodniona i krawiec udał się na swoje miejsce. Potem życzył nam dobrej nocy i oddalił się na nocleg. Moi towarzysze byli także przekonani o pocziwości krawca, natomiast Ilja jeszcze raz nas w tym utwierdził.

Z wolna pustoszało podwórze i przednia izba i także na nas przyszła pora snu. Handzi

przygotował mi na „sofie” miękkie posłanie. Moi towarzysze musieli natomiast spać przy koniach, których nie chciałem tutaj pozostawiać bez dozoru.

Kiedy zostałem sam, zamknąłem drzwi od wewnątrz. Okiennice były także zamknięte, a ponieważ mogłem zawierzyć dobremu słuchowi, dlatego spokojnie zasnąłem.

KRAWIEC AFRIT

Rankiem zbudziłem się dopiero wtedy, kiedy Halef zapukał do drzwi. Na wpół przytomny posuwałem się wzdłuż ściany i otworzyłem. Do środka wpadło jasne dzienne światło. Zasnęłam. W domu unikano wszelkiego szmeru, aby mi nie przeszkodzić w śnie.

Krawiec zjadł z nami śniadanie, potem zapłaciłem rachunek i gotowaliśmy się do drogi.

Ilja był przez chwilę nieobecny i wygłaszał teraz natchnioną mowę na pożegnanie. Zakończył ją napomknieniem:

— Rozstajemy się w przyjaźni, efendi, mimo że przysporzyłeś mi niemało zmartwień. Ponieważ wszystko pomyślnie się ułożyło, pragnę ci przekazać na drogę jeszcze jedno ostrzeżenie. Byłem właśnie naprzeciwko w domu rzeźnika, gdyż jako sąsiad musiałem wyrazić rodzinie wyrazy współczucia. I okazało się, że brata nieboszczyka nie zastałem w domu. Mówiono mi, że wyjechał, ale w podwórzu zauważyłem najlepszego konia rzeźnika. Koń był osiodłany. W związku z tobą.

— Może Hajdar ma do załatwienia jakąś sprawę?

— Tylko w to nie wierz! Jeżeli był tak ranny, jak to mówił policjant, znaczy to, że tylko zemsta krwi mogła go wypędzić z domu. Miej się na baczności!

— Jaki to koń?

— Gniadosz z długą, szeroką gwiazdką na czole. To najlepszy koń w całej okolicy. Jeżeli ten człowiek zamierza się z tobą rozprawić, to nie zawróci wcześniej, niż cię nie zabije, gdyż zgodnie z regułą będzie pozbawiony czci, jeśli pozwoli ci umknąć.

— Dziękuję ci za ostrzeżenie. Bywaj!

— Bywaj! I nie przestrasz się, gdy wyjedziesz za wrota!

— A co ma mnie przestraszyć?

— Zobaczysz i usłyszysz.

Ruszyliśmy. Dopiero teraz otwarto wrota. Jechałem na przedzie. Kiedy znalazłem się pod łukiem wrót, zaś łeb mego ogiera już się za nimi pokazał, huknęło, jakby to grom spadł z nieba, a towarzyszył mu straszliwy hałas. Mój Kary stanął dęba, wierzgając kopytami. Z trudem udało mi się osadzić go na ziemi.

I cóż to było tą piekielną wrzawą? Był to tusz, muzyczny tusz wykonany na naszą cześć. Na drodze stała wczorajsza orkiestra. Pierwszy impuls dał puzon i teraz grzmiał i huczał w asyście pozostałych instrumentów. Wreszcie na znak puzonisty nastąpiła cisza.

— Efendi! — zawołał do mnie właściciel puzonu. — Ponieważ wczoraj wyraziłeś nam swoje wysokie uznanie, dlatego pragniemy nie być ci dłużni. Pozwól, że ustawimy się na czele i odprowadzimy was do końca wsi. Mam nadzieję, że nie odmówisz naszej prośbie.

I nie czekając na odpowiedź, pochód ruszył z muzyczną wrzawą. Tuż za wsią Halef wyraził tym panom słowa podziękowania, po czym zawrócili oni do domu. My natomiast skierowaliśmy się do Warcy, skąd przybyliśmy wczoraj. Tam jednak nasza droga skręcała w bok, ponieważ stamtąd zamierzaliśmy jechać do Jersselii.

Gdy znaleźliśmy się już po drugiej stronie mostu na Zletowskiej, rzekłem do Halefa:

— Jedźcie wolno. Czegoś jeszcze zapomniałem. Muszę zawrócić, ale wkrótce was dogonię.

Pojechali, lecz ja nie miałem wcale zamiaru wracać ponownie do wsi. Chodziło mi natomiast o co innego, ale nie chciałem, aby się krawiec o tym dowiedział. Zbyt mało go znałem, abym mógł mu

ufać. Brat rzeźnika knuł zemstę: to było pewne. Jego koń stał przygotowany do drogi. Jeśli naprawdę tak było, to Hajdar wyruszył zaraz po nas. Nie powinienem zatem długo czekać, aby się zorientować, czy musimy się go obawiać. W każdym razie przez ten most musiał jechać. Skierowałem konia w zarośla rosnące nad brzegiem. Schyliwszy się trochę, mogłem się w nich ukryć. I tam czekałem.

Nie upłynęło nawet pięć minut, kiedy koń Hajdara przebył klusem most. Hajdar jechał na gniadoszu z gwiazdką, ze strzelbą przytroczoną do siodła i z czekanem u boku. Twarz miał zeszpeconą plastrem od czoła poprzez nos i policzek. Nie jechał jednak w kierunku Warcy, lecz podążał z biegiem rzeki, do miejsca, w którym łączyła się ona z Bregalnicą, potem dalej w kierunku stromych zboczy dźwigających płaskowzgórze Jersselü.

Podążałem za nim ostrożnie z lunetą w dłoni. Ogier niósł mnie tak miękko i w takim tempie, że mały punkt, jaki stanowił jeździec, miałem ciągle w polu widzenia. Przekroczyliśmy drogę prowadzącą z Karanorman do Warcy, potem podążałem za nim równinną płaszczyzną łąk porośniętych wysepkami krzewów.

Ponieważ owe wyspy krzewów wciskały się pomiędzy nas, zacząłem go tracić z oczu. Musiałem się teraz posuwać jego dość wyraźnym tropem. Z lewej strony stromo opadały zbocza. Ślad prowadził ku nim. Skończyła się trawa a pojawił — żwir. Krzewy natomiast nie ustępowały. Trop był teraz trudny do wykrycia, ale mimo to go nie zgubiłem. Znajdowałem się tuż przy kamiennym zboczu, wzdłuż którego się posuwałem.

I oto... cofnąłem raptownie Karego... usłyszałem tuż przed sobą parsknięcie innego konia. Właśnie zamierzałem wyjechać zza kępy krzewów. Wyglądałem teraz ostrożnie spoza nich i zobaczyłem gniadosza uwiązanego do najbliższego krzaka. Siodło było puste. Kiedy posunąłem się na moim koniu jeszcze o krok, dojrzałem Miriditę, który szedł powoli, szukając czegoś na ziemi, i zniknął za następną kępą zarośli. Kogo albo czego szukał? Chętnie bym się tego dowiedział, ale nie mogłem go śledzić, gdyż konno nie mogłem za nim podążać, bo z pewnością by mnie zauważył, i pieszo także nie, ponieważ nie mogłem chodzić.

Ale jedno było możliwe, jeśli czas mi na to pozwoli, a mianowicie, unieszkodliwić strzelbę Hajdara zawieszoną przy kulbace. Nie miałem wprawdzie czasu, aby kulę wyjąć, ale istniał inny sposób, by ją unieszkodliwić. A gdyby mnie Skipetar nawet przy tym zaskoczył, wówczas z całą pewnością miałem nad nim przewagę, o ile nie zastał tutaj kompanów, których pragnął spotkać. Zsiadłem z konia, biorąc do ręki sztucer, częściowo po to, aby się na nim jak na lasce opierać, częściowo po to, aby mieć go jako niezawodną broń. Na zrobienie tych kilku kroków do gniadosza mogłem się odważyć. Kiedy byłem już przy nim, ściągnąłem strzelbę Hajdara z siodła, odciągnąłem kurek i wyjąłem z komory nabój. Sięgnąłem następnie po szpilkę — zawsze miałem ich kilka przy sobie — i wbiłem ją możliwie głęboko i mocno w otwór zapłonowy. Gnąc szpilkę to w lewo to w prawo, złamałem ją. Otwór został całkowicie zatkany i strzelba była teraz bezużyteczna niby zagwożdżona armata. Włożyłem nabój z powrotem i spuściłem kurek. Po czym zaczepiłem tak jak poprzednio strzelbę do siodła, wycofałem się kuśtykając i dosiadłem ogiera. Znajdowałem się teraz zbyt blisko, dlatego zawróciłem i zatrzymałem się nieco dalej. Po pewnym czasie usłyszałem tętent kopyt i zbliżające się głosy ludzi.

— Zmitrężyliśmy już dość czasu — mówił ktoś, i jak mi się zdawało, był to Barud el Amasad. — Nie zamierzamy wlec się za nimi daremnie jeszcze przez jeden dzień, lecz wyprzedzimy ich i będziemy na nich czekać. Tymczasem zanim się pojawią, możemy odpocząć.

— Te sukinsyny wyruszyły zbyt późno — odparł ktoś inny, którego głosu nie znałem, a był to prawdopodobnie Miridita. — Również i mnie się czas dłuży. Teraz będę się spieszył.

— Staraj się, abyś nie zawiódł tak jak wczoraj wieczór.

— To było co innego. Dzisiaj mi się ten przybłęda nie wymknie. Załadowałem nawet lufę siekanym ołowiem.

— Ale uważaj! On jest kuloodporny! — Siekany ołów to nie kula!

— Doprawdy, może masz rację. Powinniśmy już dawno o tym pomyśleć!

— Zresztą nie wierzę w takie brednie.

— Ho, ho! — słyszałem odpowiedź Manacha el Barszy. — Wczoraj wieczorem nabiłem bardzo starannie strzelbę, podkradłem się do okna i nawet oparłem lufę na parapecie. Potem celowałem dokładnie w jego głowę. Gdy pociągnąłem za spust, rozległ się straszny huk i moja strzelba powaliła mnie na ziemię. To, że go nie trafiłem, sam widziałeś. On jest po prostu kuloodporny.

— Teraz chcę się posłużyć siekanym ołowiem, a kiedy i to nie pomoże, chwycę za topór, którym posługuję się na medal, natomiast Frank nigdy nie miał takiej broni w ręce. Nie będę go, też atakował z tyłu, lecz będę mu patrzył prosto w oczy.

— Nie za śmiałe to?

— Ba... Zanim chciałby się bronić, będzie już martwy!

— A jego ludzie?

— Ich się nie boję.

— Natychmiast się na ciebie rzucą.

— Nie będą mieli czasu. Pomyślcie, że mam szybkiego gniadosza. Zresztą wybiorę miejsce za zaroślami, gdzie zaraz za nimi zniknę.

— Nie zapominaj, że jego Kary ma przewagę nad twoim gniadoszem.

— Co mi może zaszkodzić Kary, jeżeli zabiję jeźdźca?

— Ktoś inny go dosiądzie i cię dogoni, może ten mały szatan, zwinny i szybki jak małpa.

— To by mi odpowiadało. Oberwałby za wczorajsze.

— Życzymy zatem szczęścia! Masz za zadanie pomścić brata, a więc działasz w słusznej sprawie i Allah zapewni ci niewątpliwie zwycięstwo, a gdyby mimo to ci się nie powiodło, to podążysz za nami. Wiesz, gdzie nas szukać, a dzisiaj wieczorem postanowimy, jak unieszkodliwić tych facetów. Teraz się rozstaniemy, ponieważ wiemy, że wyruszyli i chcą pojechać do Üsküb.

— Nie obieracie zatem tej samej drogi co oni?

— Nie, gdyż my jedziemy przez Engely, podczas gdy oni jadą przez Jersselii. Będziemy wcześniej od nich.

— Mogę zatem z wami jeszcze chwilę zostać. Jeśli się dzisiaj u was nie zjawię, znaczy to, że mi się poszczęściło i już nigdy nie zobaczycie tego intruza, będzie bowiem gryzł ziemię. Naprzód!

Znów usłyszałem człapanie oddalającego się konia. Ostrożnie wysunąłem się nieco na moim Karym i zobaczyłem braci Aladzi na srokaczach, Miriditę na gniadoszu, Manacha el Barszę, Baruda el Amasada i Mübareka skulonego w siodle z ręką na temblaku.

Gdybyż oni wiedzieli, że znajdują się co najwyżej pięć metrów za nimi! Co by się wtedy działo! Wystarczyłoby, żeby mój koń tylko raz parsknął i byłbym zdradzony. Ale mądre to zwierzę wiedziało, co znaczy, jeśli mu przez moment kładłem rękę na nozdrza. Wówczas z pewnością nie wyda z siebie głosu.

Teraz znów mogłem ruszyć do moich towarzyszy, którzy już dawno minęli miejscowość Warcy. Skręciłem po drugiej stronie w prawo, tak że nie otarłem się o tę miejscowość. Nie znałem okolicy, nie było także utartej drogi z Warcy do Jersselu. Słyszałem o tym od krawca. Lecz mimo to znalazłem, mniej więcej trzy kilometry od rzeczonyj wsi, trop moich ludzi. Trop ten prowadził mnie doliną usianą skalnymi ułomkami w górę do lasu, gdzie w miękkiej ziemi był bardzo wyraźny, dzięki czemu nie musiałem wyteżać wzroku i mogłem jechać szybciej. Wkrótce moich towarzyszy

dogoniłem.

— Sihdi, właśnie mieliśmy zamiar na ciebie zaczekać — rzekł Halef. — Co tam zapomniałeś?

Zanim odpowiedziałem na pytanie, rzuciłem badawcze spojrzenie na małego krawca. Zdawało się, że nie był ciekaw mojej odpowiedzi.

— Chciałem się rozejrzeć za Miriditą, bratem rzeźnika — odparłem. — Słyszałeś przecież od Ilji, że ci bracia są Miriditami.

— A co nas obchodzi ten Miriditą?

— Obchodzi, gdyż ma zamiar zastrzelić mnie siekanym ołowiem albo zabić czekanem.

— Skąd to wiesz?

— Sam to powiedział... do naszych dobrych przyjaciół, którzy chcieli nas zabić.

Opowiedziałem całą przygodę, nie wspominając jednak o tym, że zagwoździłem strzelbę Miridity. Mówiąc to obserwowałem bacznie krawca. Robił on szczerze zdziwioną minę i wreszcie rzekł:

— Co to za ludzie, efendi? Czy rzeczywiście ktoś może być aż tak bezbożny?

— Jak słyszysz.

— Na Allaha! Nie miałem o tym pojęcia. Coście im zrobili?

— Tego się dowiesz przy okazji, kiedy będziesz z nami podróżował dłużej, gdyż w Üsküb nie pozostaniemy. Przejedziemy tylko przez miasto i potem szybko dalej do Kalkandeli i do Prizren.

— A więc udajecie się w moje rodzinne strony! Bardzo mnie to cieszy, a o tym, co się wam wczoraj przydarzyło, usłyszałem dziś rano od parobczaków. Ale i dzisiaj grozi wam śmierć. Niejednego może ogarnąć strach i trwoga!

— Możesz się od nas przecież odłączyć!

— Nie myślę o tym. Może to tylko zależy ode mnie, czy ujdziecie szczęśliwie. Poprowadzę was tak, że Miriditą z pewnością was nie znajdzie. Poprowadzę przez hale i otwarte trasy. Potem zejdziemy w dół ku słynnej żyznej równinie zwanej Mustafa, ciągnącej się od Üsküb na południowy wschód aż po Köprülü, na której buduje się nową linię kolejową. Jest to otwarta przestrzeń. A jeśli wam to odpowiada, pozostanę waszym przewodnikiem także po minięciu Üsküb.

— To miłe z twojej strony. Wygląda na to, że znasz kawał tego kraju?

— Znam tylko te okolice, ale za to dokładnie.

— Jesteśmy ludźmi obcymi i słyszeliśmy niekiedy o człowieku zwanym Szut. Czy wiesz może, kto to taki? — zapytałem od niechcienia.

Karzeł uniósł wysoko brwi i odparł:

— To osławiony zbój. — Spojrzał ze strachem za siebie i dodał: — Nie radzę o nim mówić, ma on bowiem wszędzie swoich ludzi, którzy mogą stać za każdym drzewem.

— Czyżby jego banda była aż tak liczna?

— Szut ma wszędzie powiązania, w każdej wsi, w każdym mieście. Członkiem jego bandy może być zarówno najwyższy sędzia, jak i najpobożniejszy imam.

— Nie można go złapać?

— Nie. Prawo nic tu nie zdziała. Jestem znawcą Koranu, Sunny i jej wykładni, ale słyszałem kiedyś, że nasze przepisy są tak ciemne i wieloznaczne, że tam, gdzie się je stosuje, mogą przynieść więcej szkody niż pożytku. Sędzia może nadać takiemu prawu najprzeróżniejszą wykładnię.

— Jest to niestety aż nadto prawdziwe.

— Nie może być u nas inaczej, jeśli nie można prawa egzekwować i jeśli nikt nie musi się o nie troszczyć. Weźmy chociażby Albańczyków, wszystkie te ludy i poszczególne plemiona, w których każdy ród ma swoje własne ustawy, zwyczaje i prawa. Stanowi to odpowiednie pole do działania

dla takiego człowieka jak Szut, który śmieje się ze sułtana i jego urzędników. Drwi sobie z sędziów, władz, policji i żołnierzy. Nikt z nich nie może mu nic najmniejszego zarzucić. Tutaj każda wieś żyje w nieprzyjaźni z sąsiednią wioską. Każda miejscowość ma z inną miejscowością do wyrównania jakąś kradzież, rabunek, a nawet zemstę krwi. Jest to wieczna wojna, w której przewagę ma oczywiście najbardziej brutalny i bezwzględny złoczyńca.

— Gdzie indziej coś podobnego nie mogłoby się zdarzyć — stwierdziłem.

— Czy w innych miejscach, w innych krajach, nie ma rozbójników?

— Niekiedy się zdarzają, ale działają krótko, nieraz kilka dni, dlatego gdyż prawo ma tam właściwą moc i może ich szybko unieszkodliwić.

— Och! Podstęp często góruje nad siłą!

— Podstęp zwalcza się podstępem. U nas nie ma tak chytrego złodzieja, którego nie przechytrzyłby policjant. Gdyby taki tu się znalazł, to wkrótce znalazłby Szuta.

— Ba! Szut by go wcześniej wytropił, i co potem?

Wyglądało na to, że krawiec w tonie swojej wypowiedzi wyraża określony stosunek do Szuta. Mówił bowiem tak, jakby sobie drwił, albo mi się zdawało?

— Możliwe, że inspektor byłby zgubiony, ale inni znaleźliby się na jego miejscu — powiedziałem.

— Oni zginęliby tak samo jak on. W obecnym układzie nikt Szuta nie złapie. Najlepiej o nim nie mówić, dlatego i my przerwijmy tę rozmowę. Nawet człowiek tak biedny jak ja boi się na myśl o nim. Zarabiam grosze i niewiele mogę uciuć, ale przecież i tak musiałem odłożyć kilka piastrów dla cudotwórcy, który ma mnie leczyć. Gdyby ci rozbójnicy na mnie napadli, pozbawiając mnie plonu mojej pracy, wtedy nie miałbym nawet na leki, które mają mnie uzdrowić!

— Czy ten cudotwórca jest sławny?

— W całej okolicy.

— Dzięki niemu znana jest chyba i wioska Wajcza?

— Zapewne. Możesz to wszędzie sprawdzić.

— Ja w każdym razie słyszałem już o Wajczy. Ale przy tej okazji mówiono także o znanym hanie, który znajduje się ponoć w pobliżu.

— Jak go zwać?

— Nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, ale zdaje mi się, że nazwa ta zaczynała się jakby coś w rodzaju Kara...

Afrit spojrzał na mnie przenikliwie. Na ułamek sekundy wypadł z roli i błysnął wzrokiem jak rażącym gromem, lecz zaraz potem narzucił sobie poprzednią łagodność i rzekł:

— Kara, Kara... Hm! Nie mogę sobie przypomnieć. Gdybyś znał całe słowo, może bym na to wpadł.

— Może sobie jeszcze przypomnę. Kara... Kara... Halef, ty także słyszałeś tę nazwę. Czy jej sobie nie przypominasz?

— Karanorman? — odparł Hadzi, który mnie dobrze zrozumiał.

— No właśnie. Han Karanorman! Słyszałeś o nim Afrit? — Wyglądało na to, że musi się namyśleć, zanim odpowie.

— Owszem. Teraz wiem, co masz na myśli, ale to nie jest jakiś wielki han tylko ruina. Nikt tam nie mieszka. Ongiś, przed wiekami, był to karawanseraj, a teraz leży w ruinach. A co właściwie mówiono o tym miejscu?

— Że zamieszkuje je Szut.

— Szut?...

Zaskoczyła mnie zmiana układu ust Afrita. Wyglądało to tak, jakby za chwilę miał pęknąć ze śmiechu. Zdumiałem się, gdyż raczej oczekiwałem przejawów obawy. Po tym, co mi przed śmiercią wyznał strażnik więzienny, Szuta należało szukać bez wątpienia w pobliżu Wajczy, ale mina krawca omal nie podważyła mego przeświadczenia.

— Myślę, że ci jednak coś wmówiono — dorzucił Afrit ze zwykłą dla siebie łagodnością. — Przebywałem tam każdej godziny dnia i nocy i nigdy nie widziałem nic, co wskazywałoby na to, że ta powiastka polega na prawdzie. Nikt również w całej okolicy nic nie wie. Uważam nawet, że Szuta wspomina się tam o wiele rzadziej niż gdzie indziej.

— Z pewnością Szut w miejscu zamieszkania wystrzega się, by nie drażnić ludności.

— Może i tak. Widzę, efendi, że masz głowę nie od parady i szybko dostrzegasz sedno rzeczy, ale to może ci przynieść tylko zgubę. Wiesz, podejrzewam cię, że ty szukasz Szuta.

— Ach! Skąd taka myśl?

— Wskazuje na to całe twoje zachowanie.

— Słuchaj, co ci powiem: Otóż zaczynam rozumieć, że masz nie mniej bystry umysł. Może to i dla ciebie okazać się zgubne.

— Żartujesz. Jestem biednym krawcem, ale ty jak słyszę od wielu dni śledzisz stronników Szuta i śledzisz ich w dalszym ciągu. Uważam, że jesteś policjantem, jednym z tych sprytnych, o których mi przedtem mówiłeś.

— Nie jestem policjantem.

— Ale na to wygląda. Możliwe, że szukasz Szuta w Karanorman, ale tam nie dojedziesz.

— Dlaczego?

— Bo wcześniej zostaniesz zamordowany. Jeżeli Szut jest w Wajczy, to już wie, jakie są twoje zamiary. Jest ci zatem pisana śmierć.

— Zobaczymy!

— Za późno, byś coś zobaczył.

— Powtarzam, że nie jestem ani urzędnikiem, ani policjantem. Niech Szut i jego ludzie zostawią mnie w spokoju.

— Lecz ty ich również!

Te cztery słowa zostały wypowiedziane rozkazującym tonem. Głos Afrita drżał i brzmiał ochryple. Ten karzeł, zwany Afritem, czyli olbrzymem, nie był tym, za kogo się podawał. Mógłbym to poprzysiąc, ale posiadał potężny dar przeistaczania się w kogoś innego. Mały krogulec potrafiący się stroić w piórka turkawki. Możliwe, że to on był owym Suefem, który miał mnie „podprowadzić”, lecz wydawało mi się to nieprawdopodobne, gdyż znał go przecież także z nazwiska kjaja Ilja. Albo też tylko członkowie bractwa zwali go „Suef”? Czyżby podróżował jako ubogi, pocziwy krawiec po to, aby dla rozbójników wyszukiwać okazje? Muszę się przed nim mieć na baczności. I odparłem:

— Zostawię ich w spokoju. Wcześniej nie obchodzili mnie także bracia Aladzi, ani ci inni, dopóki nie dali mi do tego powodu.

— Czyń zatem tak, jakbyś tego powodu nie miał!

— Nie, mój drogi, tego nie uczynię. Kto staje na mej drodze, tego stratuję, nawet gdyby to miał być sam Szut. Jeżeli on szuka zaczepki, niech spróbuje. Dopiero się okaże, kto na tym źle wyjdzie.

Karzeł podniósł głowę i wydłużył szyję, jakby miał zamiar wybuchnąć drwiącym śmiechem. Widziałem tę drwinę na jego twarzy. Opanował się jednak i rzekł z przestrogą:

— Nie zagrozi mu żaden urząd sułtana. Nawet wojsko jest wobec niego zbyt słabe. A ty? W pojedynkę i w dodatku obcy chcesz mu zagrozić?

— Szut działa tak samo w pojedynkę jak ja. I jest dla mnie tak samo obcy, jak ja dla niego. Jeśli

go spotkam, to o zwycięstwie zadecyduje jedynie nasza siła, zęczność i przebiegłość.

— Widzę, że naprawdę masz zamiar odszukać Szuta.

— Jestem zbyt dumny, by temu zaprzeczyć.

— Hm... I chcesz z nim nawet walczyć?

— W zależności od okoliczności. Jestem tutaj obcym człowiekiem i nie obchodzą mnie ani miejscowi ludzie, ani tutejsze stosunki. Jest mi zupełnie obojętne, czy jakiś tam Szut żyje, czy też nie, czy jest o jednego bandytę za dużo, czy za mało. Ale mam do niego osobistą pretensję. Jeżeli posłucha mego żądania, to...

— Jeżeli przychyli się do twojej prośby, tak chyba pragnąłeś się wyrazić, efendi?

— Wcale nie. Człowiek uczciwy ma przewagę nad złodziejem i może mu rozkazywać. A zatem, jeśli Szut posłucha mego żądania, to się z nim rozstanę i włos mu nie spadnie z głowy. A gdy zaś tego nie uczyni, to będzie się o nim mówić w czasie przeszłym!

Widziałem, że jego mała, wąska pierś z trudem łapie powietrze. Afrit stał się trupioblady. Złościł się ogromnie, ale opanował się i spokojnie rzekł:

— Efendi! Zachowujesz się tak, jakby cię nie można było zranić i jakbyś się nie bał tysiąca Szutów.

— Bo też tak jest — odpowiedziałem, przy czym uderzyłem dłonią o kolano, aż klasnęło. — Jest nas tylko czterech i mamy do załatwienia porachunki z Szutem, a więc on i jego kompani muszą się nas bać, a nie my ich. Raz dmuchnę i już ich nie ma!

Mówiąc to, dmuchnąłem na uniesioną w górę dłoń. Nie zamierzałem się przechwalać albo sprawiać wrażenia zarozumialca, ale odgrywając ważniaka realizowałem pewien psychologiczny zamiar. Chciałem małego krawca doprowadzić do wściekłości, tak aby stracił nad sobą panowanie i pozwolił się rozszyfrować, lecz ten człowiek górował nade mną. Mrugnął do mnie wesoło i rzekł:

— A więc dmuchaj sobie, aż nie zdmuchną ciebie. Jestem twoim przyjacielem. Odniosłeś się do mnie przyjaźnie i ugościłeś biednego krawca. Jestem ci za to wdzięczny i chcę cię uchronić przed złem, dlatego cię ostrzegłem. Ale ty mnie nie słuchasz i dlatego nie ma dla ciebie ratunku. Jesteś tutaj obcym człowiekiem, ja natomiast znam ten kraj zupełnie z innej strony. Przynależę ci, że cię poprowadzę do Kalkandeli, lecz jestem przekonany, że tego miasta nigdy nie zobaczysz, gdyż twoje życie jest zbyt krótkie na taką podróż. — Będę tam najdalej za dwa albo najwyżej za trzy dni.

— Niestety. Wtedy będziesz już w grobie!

— Skąd taka pewność? Brzmi to tak, jak gdybyś był szczególnym powiernikiem Szuta.

— To nie twoja sprawa. Mówię tak, bo widziałem na podobnych przykładach, że Szut nie pozwala z siebie żartować!

— Nie będę przecież stroił sobie żartów ze szwagra Deselima!

— Kto ci to zdradził, efendi? — zawołał gwałtownie.

Teraz go dopiero złapałem mimo niezwyklej przebiegłości i umiejętności maskowania. Więc znał Deselima i wiedział, że jest on szwagrem Szuta. Obłudny krawczyzna zdradził się sam! Lecz ja zachowałem się tak, jakbym tego nie zauważył, gdyby bowiem domniemany Afrit zorientował się, że go przejrzałem, nie mógłbym już z niego wyciągnąć żadnej korzyści.

— Deselim sam mi o tym mówił — odpowiedziałem.

Błysnął na mnie oczami, ale tylko przez moment. Było to spojrzenie pełne nienawiści! Wiedział, że Deselim skrzyknął przeze mnie kark. Spostrzegłem to. Ten mały, uprzejmy, służalczy człowieczek był moim śmiertelnym wrogiem!

— Było to bardzo nieostrożne z jego strony — stwierdził zyczliwie. — Ale czy Deselim wie, czym się trudni jego szwagier..., i że on jest Szutem?

Obłudnik zorientował się, że popełnił błąd i usiłował go naprawić, udając dziecięcą szczerość.

— Z pewnością, gdyż inaczej by mi tego nie powiedział — odparłem.

— Jak to z niego wydobyłeś?

— Przebiegłością.

— Na Allaha! Jesteś bardzo niebezpiecznym człowiekiem! Gdybym to ja był Szutem, musiałbyś natychmiast zginąć, ale ponieważ jestem tylko ubogim krawcem, dlatego cieszę się, że istnieją ludzie, którzy swoją mądrością potrafią przechytrzyć zło. Jeśli jednak znasz tajemnicę, to jest ona dla ciebie bardzo niebezpieczna. Szut musi cię kazać zabić, aby uratować siebie.

— Ba! W ostatnich tygodniach miało mnie to już kilka razy spotkać. Nie dalej jak wczoraj dwa razy, i przedwczoraj, i przed- przed- wczoraj. Dzisiaj chce mnie Miridita zastrzelić siekanym ołowiem albo zabić toporem!

— I odważyłeś się za nim jechać? Gdyby się odwrócił, byłbyś zgubiony!

— Nie ja, lecz on! — stwierdziłem.

— Nie bądź tak pewny siebie! Hajdar jest Miridita i to dzielny!

— A kim ja jestem, zobaczysz dzisiaj. Kiedy za nim podążałem, miałem go zawsze przed sobą. Każdej chwili mogłem go poczęstować kulką. I kto miał nad kim przewagę?

— Jeżeli jesteś dobrym strzelcem, to miałeś go tym razem w ręku, ale jeżeli się dziś jeszcze raz spotkacie, to on będzie nad tobą górą.

— To się nie stanie.

— Z całą pewnością! On przecież czyha na ciebie i będzie do ciebie strzelał, gdzie i kiedy zechce. Ani się tego nie spodziewasz. Będiesz trupem, zanim go zobaczysz.

— Ja zaś ci mówię, że jeśli on odważy się podnieść na mnie strzelbę, to nie zdoła nawet wystrzelić!

— Allah mi świadkiem, że to zuchwałość! — zawołał rozgniewany szpieg.

— To nie zuchwalstwo. Wiem co mówię!

— A ja ci mówię, że gdyby nawet z jakiegokolwiek powodu kula nie miała cię trafić, to ugodzi cię jego czekan. Hajdar jest mistrzem w miotaniu tą bronią. Czy rzucałeś już kiedyś toporem hajduków?

— Nie.

— To jesteś zgubiony. A gdybyś wymknął się jemu, to są przecież jeszcze ci, którym się wczoraj wymknąłeś. Mogli się skryć za każdym krzewem, aby cię napaść.

— To niemożliwe! — Dlaczego?

— Ponieważ pojechali do Engely. A gdyby byli tutaj, pozostawiliby ślady. Mój koń oznajmiłby mi o nich parskaniem, a ja widziałbym ich już z daleka, bo moje oczy są od lat przyzwyczajone do lasu.

Krawiec zdrajca był jednakowoż przekonany, że za godzinę będzie już po mnie, dlatego denerwował się, że wyrażam się lekceważąco o moich wrogach.

— Powtarzam, że nic ci nie pomoże. Nie wierzysz nawet w to, że prawda jest prawdziwa!

— Ba, skoro już sama prawda domaga się, by jej prawdziwości trzeba dowieść, to znaczy, że nie jest prawdziwa! Skończmy z tym gadaniem. Przeciwno mnie stawali nie tylko tacy ludzie jak ów brat rzeźnika Hajdar, i wiem jak się przed nim bronić. Słuchaj Halef: gdy on na mnie napadnie, to macie nas zostawić samych. Nie będziecie mieć z tym nic wspólnego.

— Jak sobie życzysz, sihdi — odparł obojętnie Mały. Wzniesienia prowadzące do płaskowyżu Jersselü są porośnięte

lasem. Równinę stanowią wspaniałe pastwiska i uprawne pola. Minęliśmy pasmo drzew i

jechałiśmy teraz rozległą, płaską równiną, porośniętą krótką, delikatną trawą. Czasami widok bywał przesłonięty jakimś pojedynczym krzewem.

W pewnym momencie trafiliśmy na ślady konia, pojawiające się z lewa i skręcające w naszym kierunku. Zatrzymałem konia i przyglądałem im się z siodła.

— Czego szukasz? — spytał krawiec.

— Chcę zobaczyć, kto tędy jechał — odparłem.

— Jak chcesz to stwierdzić?

— W wiadomy mi sposób, którego ty nie znasz. Widzę, że to był Miridita. Przejeżdżał tędy mniej więcej przed kwadransem.

— Tak nie możesz twierdzić!

— A jednak! Czas od momentu przejazdu zdradzają zdeptane trawy. Jedźmy dalej!

Teraz musiałem obserwować w dwójnasób, a mianowicie trop i rzekomego krawca. Spostrzegłem, że ogarnął go jakiś nieokreślony niepokój. Wzrok miał niespokojny, a przy tym i bardziej przenikliwy. Spoglądał, to w prawo, to w lewo, jakby wyczekując czegoś, co mogło się pojawić w zaroślach. Czyżby miało to swoją przyczynę? Z pewnością! Dlatego również sam baczniej obserwowałem krzaki i wkrótce spostrzegłem, że Miridita udziela naszemu przewodnikowi potajemnych wskazówek. Widziałem, to z lewej to z prawej, nadłamane gałązki wygięte w kierunku, który mieliśmy obrać.

Widać z tego, że Miridita umówił się z krawcem, wierząc, że wpadli na genialny pomysł. Mógłbym wykorzystać swoje obserwacje, nie mówiąc ani jednego słowa, ale nie chciałem, aby zdrajca w duchu się z nas śmiał. Postanowiłem zatem zdradzić, że odkryłem zamierzoną napaść, dlatego zatrzymałem się, kiedy dojechaliśmy do jednego z takich znaków i odezwałem się do Halefa:

— Hadzi Halefie, widzisz tę nadłamaną gałązkę?

— Tak, sihdi.

— Czy wiesz, kto ją mógł złamać?

— Jakaś zwierzyna.

— Musiałby to być gruby zwierz i powinien zostawić zauważalny ślad.

— Trawa już się chyba wyprostowała, tak że już go nie widać.

— W takim wypadku musiałyby upłynąć wiele godzin od czasu złamania gałązki i miejsce złamania zdołałoby wyschnąć. Tymczasem jest ono świeże i wilgotne do tego stopnia, że złamanie musiało nastąpić co najwyżej przed kwadransem.

— Kto miałby to uczynić i co nas to obchodzi, sihdi? Dlaczego troszczysz się tak bardzo o gałązkę?

— Bo może mi ona opowiedzieć całą historię.

— Historię? Sihdi, wiem, że jak nikt inny potrafisz czytać w śladach i tropach. Ślady Miridity mamy wyraźnie przed nami. Ale co dla nas znaczy ta gałązka?

Krawiec zatrzymał się z boku i starał się przydać twarzy spokojny wyraz. Ale z układu jego ust, gdy się im dobrze przyjrzeć, można było wyczytać skrywaną ironię.

— Jeżeli ty nie wiesz, co mówi ta gałązka, to może Afrit, nasz przewodnik, jest bystrzejszy od ciebie — powiedziałem.

Szpieg zrobił natychmiast zdumioną minę i odparł:

— Efendi! Nic nie wiem i niczego się nie domyślam, i ty również nic nie wiesz. Co miałyby nam mówić taka gałązka?

— Bardzo dużo.

— Owszem. Wyraża ona prawdę o przemijaniu. Jeszcze wczoraj była zielona, a teraz więdnie i

usycha.

— Tak. I ma mi ponadto uzmysłwić, że i mnie przeznaczona jest śmierć.

— Jak to? Nie rozumiem cię, efendi.

— Albowiem jestem przekonany, że to Miridita złamał gałązkę.

— Dlaczego?

— Miał w tym swój cel. Czy nie spostrzegłeś także innych złamanych gałązek?

— Nie, efendi.

— Jest to już jedenasta gałązka, jaką zauważyłem.

— To przecież nic nie oznacza.

— Zdarza się niekiedy, że idąc lub jadąc konno, w zamyśleniu złamie się odruchowo jakąś gałązkę, ale nadłamać jedenaście gałązek i do tego to z prawej, to z lewej strony, można było jedynie w określonym zamiarze.

— Chciałbym znać ów zamiar.

— Wystarczy bacznie obserwować. Prawdopodobnie znajdziemy jeszcze więcej takich znaków i wtedy zobaczysz, że wszystkie one zostały nadłamane w jedną stronę.

— Oczywiście, gdyż zwierzyna właśnie tak biegła.

— Nie ma tu mowy o jakiejś zwierzynie. Gałązki zostały nadłamane dokładnie na wysokości wyciągniętej ręki jeźdźca. Tak wysoko nie sięga żadna sarna, ani też poroże jelenia. Ponadto ślad Miridity prowadzi zawsze bądź w prawo, bądź w lewo do krzaka ze złamaną gałązką.

— Jeśli jesteś tak przenikliwy, to powiedz nam teraz, efendi, co on chciał przez to wyrazić?

— Czy znasz może człowieka nazwiskiem Suef?

Karzeł, który obstawał uporzecznie przy tym, że jest ubogim krawczywą, musiał być nieprzeciętnie opanowany, gdyż na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień. I gdyby nie mimowolny cień, jaki przemknął w skierowanym na mnie spojrzeniu, pomyślałbym, że się jednak myślę.

— Suef? — odparł. — Słyszałem to nazwisko, ale nie znam nikogo, kto się tak nazywa.

— Ponieważ znasz tę okolicę, myślałem, że znasz także człowieka, którego mam na myśli.

— Nie znam go. A kim miałby on twoim zdaniem być?

— Sprzymierzeńcem Szuta. I ma nas dziś podprowadzić pod lufę strzelby Miridity.

— Co ty masz na myśli, efendi?

Twarz jego zdradzała teraz jeśli nie strach, to wyraźny niepokój. Ale mógł on dotyczyć zarówno mojej jak i jego osoby.

— Wiadomo mi — ciągnąłem dalej — że wczoraj uzgodniono, iż tenże Suef ma spróbować pozyskać nasze zaufanie, by potem zwabić nas w pułapkę.

— Zdajesz się być wszechwiedzącym, efendi.

— Jestem tylko uważny. Nic nadto.

— Skąd ci o tym wiadomo?

— Nie chciałbym o tym mówić. Mam zwyczaj obserwowania wszystkiego i wyciągania z tego wniosków, jak przykładowo uczyniłem z tymi gałązkami.

— Czy ów Suef naprawdę się pojawił?

— Och nie. Miał nam zaoferować swoje usługi w charakterze przewodnika. Ale na szczęście wcześniej spotkaliśmy ciebie i dlatego Suef rozumiał, że nie ma co u nas szukać.

— A jaki to ma związek z gałązkami?

— Miridita chce Suefowi wskazać, którędy ma jechać.

— A zatem nie wiedziałby, że Suef nie jedzie z nami?

— Myślę, że nie. Ów szpieg i zdrajca chciał się prawdopodobnie zbliżyć do nas w drodze, ale ze

swojego ukrycia zobaczył ciebie i zrozumiał, że przewodnika nam już nie potrzeba. Zapewne skrada się teraz za nami.

Oblicze krawca się wypogodziło. Był on faktycznie niespokojny o to, że zostanie rozszyfrowany; Teraz się uspokoił; ponieważ powiedziałem mu, że Suef podąża dopiero za nami. Nie podejrzewał, że go rozpoznałem, a ja nie dałem mu tego odczuć.

— Ale myślę, że ty się jednak mylisz — zaczął znów. — Twoje podejrzenie jest błędne.

— Jak to?

— Dlaczego Miridita miałby łamać gałązki? Zdrajca Suef zobaczyłby przecież jego ślad. Jeśli jakiś trop jest tak wyraźny, wtedy nie wymaga on dodatkowych oznaczeń!

— A jednak! Hajdar nie chce przecież pokazać, którędy jechał, lecz wskazuje Suefowi drogę, którą ma on nas prowadzić.

— Czy to nie to samo?

— Niezupełnie. Jestem przekonany, że nie potrwa długo, a kierunek owych znaków oddali się od tropu.

— Na Allaha! Jaką ty masz głowę! — zawołał domniemany krawiec. Zabrzmiało to jak niekłamany podziw. Trafiłem zatem w dziesiątkę i odparłem:

— Moja głowa wcale nie jest lepsza od twojej. Po prostu, dokładnie rozważyłem całą sprawę. W myśli widzę wyczekującego tutaj Miriditę i widzę również nas prowadzonych przez zdrajcę Suefa. Jeżeli Miridita pragnie mnie zabić, musi na mnie czatować. Będzie zatem stał z boku za krzewami i dlatego musi najpierw zboczyć z naszej trasy. Chyba się z tym zgadzasz?

— Och, tak!

— A więc musi wcześniej dać jakiś znak, aby od pewnego miejsca Suef przestał za nim podążać. I ten znak wkrótce znajdziemy. Jedźmy dalej!

Kiedy znów ruszyliśmy, krawiec powiedział:

— Jestem bardzo ciekaw, czy twoje przypuszczenia się sprawdzą.

— Ja natomiast jestem przekonany, że się nie mylę. Wiem dobrze, że jeszcze teraz nie muszę się niczego obawiać. Napaść nastąpi dopiero wtedy, gdy kierunki się rozwidlą. I tak jak tutaj ci udowodniłem, że gałązki zdradziły mi wszystkie myśli i zamiary Miridity, tak potrafię przewidzieć o wiele więcej, aniżeli ty myślisz i przypuszczasz. Szut nie jest dla mnie groźny.

Przejeżdżaliśmy jeszcze obok kilku nadłamanych gałązek. Zwróciłem uwagę szpiega na fakt, że koń Miridity ocierał się niemal o zarośla.

Potem dotarliśmy do miejsca, które przewidziałem. Ślad konia odbijał w lewo, podczas gdy na wprost, na dwóch naprzeciw siebie stojących krzewach, złamane gałązki wskazywały drogę przed siebie.

— Popatrz! Oto miejsce, o którym wspominałem — stwierdziłem. — Miridita pojechał w lewo, aby urządzić na nas zasadzkę. Suef ma nas natomiast poprowadzić na wprost pomiędzy tymi krzewami. Czy nie jesteś tego samego zdania?

— Nie potrafię ci odpowiedzieć, efendi. Nie dorosłem do twego sposobu rozumowania.

— Przecież ci wszystko dokładnie wyjaśniłem!

— Tak. Ale mimo wszystko nie rozumiem twoich przewidywań. Myślę, że się chyba mylisz.

— Nie mylę się.

— Co teraz zrobisz, efendi?

— Gdyby Suef był przy mnie, najpierw bym go tu, na miejscu, wybatożył tak, że nie mógłby się potem podnieść.

— Zasłużył na to! Lecz tu go niestety nie ma.

— W każdym razie jest za nami. Mam ogromną ochotę, by tu na niego poczekać.

— Będzie się wystrzegał naszego wzroku.

— Całkiem słusznie, ale i tak dostanę go w swoje ręce i wtedy otrzyma należną zapłatę.

— Słusznie, efendi!

— Czy uważasz, że sto batów wystarczy?

— Och, nie. Jeśli go dostaniesz, to musisz go zachłostać na śmierć, gdyż zdrajca jest gorszy od sprawcy.

— Słusznie, ale wystarczy, że dostanie pięćdziesiąt.

— Byłaby to wyjątkowa pobłażliwość i łaskawość, efendi.

— Zapamiętaj swoje słowa i nie proś potem dla niego o łaskę, ale to sprawa na później. Teraz musimy się uporać z obecną chwilą.

— Owszem, sihdi. Nie możemy tu przecież stać! — ostrzegał Halef. — Miridita tkwi być może niedaleko stąd.

— Tego się nie obawiam. Pojedziemy dalej, ale niezupełnie w kierunku, jaki wskazują gałązki, lecz nieco dalej w prawo. W ten sposób dzielić nas będzie od niego większa przestrzeń. Pozostanę tutaj na moment, ale szybko znów do was dołączę. I jeszcze jedno, Halef! Weź swoją strzelbę do ręki. Nie wiadomo, co się może zdarzyć. Miriditę biorę na siebie. Ale gdybyś przypadkiem spostrzegł Suefa, to natychmiast do niego strzelaj!

— Rozumie się! — odparł Halef.

— A ponieważ nasz poczciwy Afrit jest nieuzbrojony, musimy go chronić. Osko i Omar wezmą go pomiędzy siebie, a ty pojedziesz za nimi i bądź w pogotowiu, gdyby stało się coś podejrzanego.

— Bez obawy, sihdi! Natychmiast się nim zajmę!

Hadzi rozumiał w czym rzecz. Byłem przekonany, że natychmiast zastrzeli zdrajcę, gdyby mu przyszło do głowy uciekać. On sam natomiast patrzył na mnie niespokojnym, badawczym spojrzeniem i rzekł:

— Efendi! Nie musicie sobie z mego powodu zadawać aż tyle trudu!

— To nasz obowiązek. Znajdujesz się u nas i dlatego jesteś wrogiem naszych wrogów. Musimy się więc tobą zaopiekować. I nie oddalaj się od moich towarzyszy, gdyż może ci się przydarzyć coś, za co nie będziemy odpowiedzialni. Bezpieczny jesteś jedynie z nimi.

— A ty nie jedziesz z nami?

— Na razie się zatrzymam.

— Dlaczego?

— Z tchórzostwa. Niech Miridita najpierw was zastrzeli, zanim trafi mnie. Naprzód!

Halef roześmiał się, słysząc moją odpowiedź, i patrząc na trop Miridity mrugnął do mnie. Odgadł, że chcę za nim podążyć. Poczekałem, aż moi przyjaciele przejechali pomiędzy krzewami i powoli podążyłem tropem skręcającym w lewo. Należało mieć teraz oczy otwarte na wszystko. Hajdar mógł mnie spostrzec o wiele wcześniej, niż ja jego. Dlatego zboczyłem z tropu i podążyłem teraz równoległe z lewej strony. Krzewy rosły tu w stosunkowo regularnych odstępach mniej więcej co pięć do ośmiu metrów. Gdy tylko zbliżyłem się do kolejnego krzewu, zatrzymałem się i penetrowałem go wokół. Nagle usłyszałem przenikliwy gwizd. Rozległ się on tam, gdzie powinni się teraz znajdować moi towarzysze. Kto to mógł gwizdać? Halef, aby mnie ostrzec albo dać mi sygnał? Nie. Gdyż jego sygnał byłby inny. Czy może domniemany krawiec? Czyżby uzgodnił z Miridita, że oznajmi nasze przybycie także gwizdem? Wówczas niezwykłą zuchwałością byłoby przekazywanie owego sygnału w warunkach, w których wiedział, że przejrzałem jego plan.

Ledwie ów dźwięk przebrzmiał, gdy zza krzaka przede mną zawołał ktoś półgłosem *oldu*, czyli

nareszcie. Usłyszałem stłumiony odgłos kopyt, bo ziemia w tym miejscu była miękka, i wyprostowałem się w siodle, aby ponad krzakiem spojrzeć na drugą stronę. Ujrzałem tam Miriditę, który siedział w trawie obok konia, a teraz właśnie go dosiadał. Również i on stanął w strzemionach i rozglądał się wokół, wyraźnie nas poszukując.

XII.

CZEKAN SKIPETARA

Muszę przyznać, że Miridita wybrał dobre miejsce, gdyż pasowało ono wybornie do zamierzonego przedsięwzięcia. Mógł nas błyskawicznie zaatakować spomiędzy zarośli i tak samo szybko mógł za nimi zniknąć. Jego nagłe pojawienie się musiałyby nas zaskoczyć. Zanim byśmy się połapali, o co chodzi, zdołałby mnie zastrzelić lub zabić i znalazłby się znów w bezpiecznym miejscu, nim moi wystraszeni towarzysze pomyśleliby o pościgu.

Było to oczywiście pięknie pomyślane, ale plan ten wcale nie zyskał mojej aprobaty i aby go pokrzyżować, już od dwóch minut rozwijałem w rękach lasso.

Broń ta, która w ręku wprawionego człowieka bywa groźna dla przeciwnika, nie jest tylko, jak myśli wielu, broniminu wyłącznie amerykańską. Wszystkie ludy koczownicze posiadające stada posługują się lassem w różnorodnej postaci i we właściwy sobie sposób. Węgierski czikos posługuje się liną lub chwytnym rzemieniem tak samo jak rosyjski tabuńczyk. Turkmeni mają długie, poręczne kaji i podobnie jak Mongołowie, Ostiacy, Tunguzi i Kirgizi potrafią zarzucaną ruchomą pętlą pochwycić pojedyncze sztuki ze stada.

Dlatego nie był to wcale śmieszny pomysł, aby wziąć ze sobą lasso w podróż. Stykałem się bowiem przede wszystkim z nomadami i mój pleciony, długi na dziesięć metrów rzemień oddał mi wielokrotnie nieocenione usługi. Wiadomo, że kiedyś musiałem go pociąć i zużyć do innego celu, a potem splotłem sobie z rzemieni nowe, oczywiście nie tej klasy, lasso.

Zaczepiłem teraz górny koniec lassa do kółka przy przednim łęku. Miałem zamiar schwytać Miriditę. Nie widział on chyba jeszcze w życiu lassa i z pewnością nie miał pojęcia, jak się przed nim obronić. Aby nie zdradzić przed nim przedwcześnie mego zamiaru, nie trzymałem zwoju w ręku, lecz zawiesiłem go przy kuli u siodła. Wziąłem natomiast do ręki „niedźwiedziówkę”. Była to jedyna broń, którą mogłem odeprzeć topór. Kunszt to zresztą nie lada, którego podjąć się może tylko ten, kto do perfekcji opanował sztukę odparowania lecącego z impetem tomahawku przy pomocy strzelby. W takiej sytuacji topór leci w bok i człowiek wychodzi cało, uniknąwszy groźnych zazwyczaj obrażeń, które mogłyby wyniknąć z nieumiejętnej obrony. Ale nie wystarczy wcale lecący topór zwyczajnie obserwować i przewidzieć, w które miejsce uderzy. Trzeba również — nie bacząc na potworną prędkość topora i na spiralę lotu — w odpowiednim momencie idealnie odparować jego uderzenie. Inaczej bowiem topór ześlizgnie się na lufie strzelby i mimo wszystko trafi w cel. Przede wszystkim jednak trzeba strzelbę przejmującą na siebie uderzenie trzymać oburącz, bo inaczej dostanie się w twarz nie tylko toporem ale i strzelbą, gdyż uderzenie jest potężne. Lufę należy trzymać ukosem, aby topór padł na nią pod ostrym kątem i odbijając się poleciał dalej, tworząc w powietrzu kąt rozwarty. Aby te wymogi spełnić, trzeba mieć siłę, bystry wzrok i wprawę.

Sytuacja wyglądała teraz następująco: Ustawiłem się na koniu tak, że na wprost siebie miałem kierunek, w którym znajdowali się moi towarzysze. Z lewej mojej strony znajdował się Miridita. Skierowałem na niego wzrok i poznałem, że się natęży, aby zobaczyć jeźdźców.

Gwałtownym ruchem głowy zdradzał wyraźną złość z tego powodu, że Suef, nie poprowadził nas w kierunku oznaczonym gałązkami. Gdybym nie kazał Halefowi jechać bardziej w prawo, wówczas moi towarzysze przejeżdżaliby o wiele bliżej Miridity. A tymczasem teraz poruszali się oni na skraju równiny, co czatującemu na nich z pewnością wcale nie odpowiadało.

Wreszcie zobaczyłem nadjeżdżających. Również i on musiał ich zobaczyć. Rosnące jednak tu i

tam krzewy uniemożliwiały mu rozróżnienie poszczególnych ludzi. Nie mógł się zatem przekonać, czy i ja jestem z nimi. Ponieważ oczekiwał jednak tego z całym przekonaniem, ruszył z miejsca, najpierw wolno, potem szybciej, aż puścił konia kłusem.

Podążałem za Miridita ze strzelbą w prawej ręce i starałem się, aby dzieliły mnie od niego zawsze jakieś zarośla. Był to chyba zbytek przezorności, gdyż cała jego uwaga skierowana została wyłącznie do przodu i w ogóle nie przychodziło mu na myśl, by się oglądać za siebie. Miękki grunt tłumiał odgłos kopyt mego konia, a ponadto szmer jego własnego zwierzęcia zagłuszał moje ruchy. Rozstrzygnięcie musiało zapaść w najbliższych sekundach. Nie obawiałem się w najmniejszym stopniu, miałem jedynie respekt przed jego toporkiem.

Skipetar musiał jeszcze przejechać obok dwóch krzaków. Przy ostatnim wziął rozpęd i znalazł się z przeraźliwym okrzykiem, którym chciał nas przestraszyć, na równinie. Zatrzymał konia i złożył się do strzału, ale nie strzelił. Nawet nie wycelował, lecz wrzasnął po raz drugi, a był to krzyk wyrażający zdumienie i złość, zobaczył bowiem, że mnie tam nie było. Moi towarzysze także się zatrzymali. Halef wybuchnął głośnym śmiechem.

— Czego od nas chcesz? — pytał. — Dlaczego robisz taką minę, jakbyś połknął własną głowę razem z plastrem?

— Sukinsyny — zaskrzeczał Skipetar.

— Złócisz się? Chyba dlatego, że nie widzisz tego, kogo szukasz? Spójrz za siebie!

Mściciel obrócił się w siodle i zobaczył mnie w odległości około piętnastu metrów za nim.

— Szukasz mnie? — zapytałem z uśmiechem.

Wtedy, obróciwszy konia, poderwał go ku mnie i podniósł do góry strzelbę wołając:

— Na ciebie czekam, szejtanie! Chyba mnie znasz? Nie ruszyłem z miejsca i przytaknałem.

— Zamordowałeś mego brata! Czeką cię zatem zemsta krwi. Będę do ciebie strzelał, nie z tyłu, zdradziecko, lecz z przodu!

— Nie strzelaj! Wszyscy jesteśmy kuloodporni!

— To się okaże! Do piekła z tobą!

Pociągnął za spust. Spłonka stuknęła, lecz strzału nie było.

— Widzisz? — śmiałem się. — Ostrzegałem. Teraz jesteś mój! Podniosłem „niedźwiedziówkę”, jakbym chciał strzelić. Wówczas

dobył zza pasa czekan i wściekle krzyknął:

— Jeszcze nie! Nie dostałeś ze strzelby, to dostaniesz toporem!

Zakreślił nad głową siekierą i cisnął ją ku mojej głowie. Z tak bliskiej odległości czekan rozplatałby mi czaszkę, gdybym odparował niewłaściwie i uczynił najmniejszy choćby błąd.

Przez moment słyszałem świst topora. Tępy, a jednak przenikliwy. Uważnym spojrzeniem sprawdziłem ruch ramienia Miridity. Siedziałem nieruchomo w siodle ze strzelbą trzymaną oburącz. Potem błyskawicznie pchnąłem strzelbę w górę. Topór uderzył o lufę i poleciał na bok. Trafiałby mnie dokładnie w czoło.

Mściciel był tym do tego stopnia zaskoczony, że wypuścił cugle z lewej ręki. Nie miał teraz innej broni jak pistolet, a pistoletu nie musiałem się obawiać.

— Widzisz, że mam w pogardzie także twój topór — zawołałem do niego. — Teraz na ciebie kolej. Strzeż się!

Wymierzyłem do niego z „niedźwiedziówki”. To go na nowo poruszyło. Złapał cugle, spiął konia i popędził pośród równiny, tak właśnie, jak się tego spodziewałem.

Podjechałem do Halefa i dałem mu strzelbę, która mi tylko przeszkadzała. Wziął ją, ostrzegając mnie pilnie:

— Szybko, szybko! Inaczej nam umknie!

— Cierpliwości! Mamy czas. Niech ten poczciwy, biedny krawiec Afrit zobaczy jeźdźca, z którym Szut z pewnością nie zechce rywalizować. Podążajcie galopem za mną!

Krótki gwizd i mój Rih ruszył lotem strzały. Położyłem mu cugle na szyję i stanąłem w strzemionach, mimo że chora noga bardzo mi przeszkadzała. W czasie jazdy zawiesiłem lasso na lewym przedramieniu, natomiast pętlę trzymałem w lewym ręku. Moim karym ogierem nie musiałem kierować ani wodzą, ani nogami, gdyż mądre to zwierzę wiedziało, o co chodzi.

Miridita uciekał najpierw prosto, co było głupotą z jego strony, gdyż moja kula z łatwością by go trafiła, ułatwiał mi bowiem w ten sposób celowanie, gdybym w ogóle chciał go zastrzelić. Ponieważ jednak otwarta przestrzeń była w tym miejscu najszerza, dlatego skierował się w lewo, gdzie znajdowały się zarośla, które mogły mu zapewnić ochronę i może także ratunek. Rih, bez naprowadzania, jak sprawny pies myśliwski, rzucił się natychmiast w lewo. Od Miridity dzieliła mnie odległość około czterdziestu długości konia, ale nie upłynęła nawet minuta, a już były to tylko dwie długości.

— Rozkazuję ci, stój! — wołałem.

Skipetar odwrócił się w moją stronę. Zdołał już przygotować pistolety i strzelił do mnie. Widziałem już po celowaniu, że mnie nie trafi, zakręciłem pętlę lassa nad głową i wypuściłem je. W momencie, w którym zawisło ono jak szeroki krąg nad głową jeźdźca, osadziłem mego ogiera w miejscu i raptownie go cofnąłem. Pchnięcie, krzyk — Rih stał, natomiast gniadosz biegł dalej, zaś Miridita leżał na ziemi z pętlą ciasno krępującą ręce i ciało. Widziałem, że się nie rusza, dlatego nie spieszyłem się do zsiadania z konia. Nie mógł mi przecież uciec.

Kiedy podjechałem ku niemu, widziałem, że Miridita ma zamknięte oczy. Stracił przytomność. Pozostałem w siodle i poklepywałem konia w podzięce za wysiłek. Ogier bardzo lubił tego rodzaju pieszczoty. Odwrócił szyję i usiłował mnie dotknąć językiem, ale mnie nie dosięgnął. Dlatego próbował machnąć mnie przyjaźnie ogonem. Aby mu sprawić tę przyjemność, przechyliłem się do tyłu i wysunąłem dłoń, którą chyba z dziesięć razy musnął ogonem i zarżał z zadowolenia.

Po pewnym czasie przybyli także moi towarzysze. Zdziwiło mnie, z jaką lekkością galopowała stara, wyschnięta szkapa krawca. Zdawało się, że jest bardzo zadowolona z tego, że może sobie raz porządnie pobiegać. Chudy karzeł siedział w siodle doskonale! Myślę, że szkapa była tak samo obłudna jak jej pan.

— Zabity? — spytał Halef.

— Nie wiem. Sprawdź!

Halef zeskoczył z konia i sprawdzał stan pojmanego.

— Jedyne zasnął na chwilę, sihdi. Masz tu jego czekan.

Halef podniósł z ziemi topór i podał mi tę wspaniałą broń. Zdobny trzon topora obciążnięto rybią skórą wysadzaną perłami. Sam topór był dawnej, szlachetnej i wspaniale cyzelowanej roboty. Po jednej stronie wyryto na nim po arabsku: *Li ma'ak kelimet* — *Zamieńmy słówko*, i po drugiej: *Awasi chatrak* — *Na zdrowie, żegnaj*. Artysta, wykonawca dzieła, widać lubił uszczypliwe uwagi.

— I co, Afrit, olbrzymie, co powiesz o tym koniu? — pytał Halef.

— To niezrównany koń! Nigdy jeszcze takiego nie widziałem — odparł zapytany. Przypatrywał się przy tym ogierowi oczami znawcy. A w spojrzeniach nie potrafił ukryć żądzy posiadania mojego ogiera. Można to było po nim poznać, mimo że bardzo się starał, aby to ukryć.

— Pięknie! — odparł Halef zadowolony z pochwały. — Ale co powiesz o jego panu?

— Wart mieć takiego konia, gdyż dobrze na nim jeździ.

— Dobrze? Co ci przyszło do głowy, Afrit! Ty też dobrze jeździsz, ale w porównaniu z nim

jesteś zabłą na karku wołu. A kto ciebie pytał, jak on jeździ? Myślałem o czymś innym. Czyż mój sihdi nie dotrzymał słowa?

— Tak! Oczywiście!

— Oczywiście? Mówisz tak, bo jesteś do tego zmuszony. Czy nie dowiódł tego, że Miridita jest w stosunku do niego chłopczykiem, który nie potrafi zapiąć guzika? Jak pięknie podszedł Kara ben Nemsi tego oto mściciela! Czy przypuszczałeś, że on będzie go powtórnie tropił?

— Nie przypuszczałem, Hadzi Halefie.

— A ja zaraz wiedziałem. Twój mózg jest jak ciasto, które wyschło i spiekło się od nadmiernej gorączki i nie nadaje się już do spożycia. Miridita był bardzo zdziwiony, nie widząc z nami naszego sihdi, i jakże się przeraził, gdy spostrzegł go za swoimi plecami! A wiesz, dlaczego jego strzelba nie wypaliła?

— Coś się w niej zepsuło.

— Nie dlatego, lecz dlatego, że jesteśmy kuloodporni. Rozumiesz, ty krawcu wszystkich ubogich krawców! A rzut czekanem? Czy potrafiłbyś go w taki sposób odbić?

— Klnę się na moją biedną duszę, że nie!

— Na twoją biedną duszę, ty nigdy niczego nie potrafisz, gdyż twoja dusza jest tylko długim nieporadnym przedmiotem, jak glista, która wije się w tobie daremnie, aby złapać jakąś mądrą myśl. A potem to polowanie! Czy widziałeś już kiedyś, jak się przy pomocy rzemienia ściąga jeźdźca z konia?

— Nie, nigdy.

— W to wierzę. Ty w ogóle jeszcze wiele, bardzo wiele nie widziałeś z tego, co my potrafimy i możemy. W jaki sposób twój Szut chce wystąpić przeciwko naszemu efendiemu? Nasza przebiegłość i nasze męstwo będą jak śruba wżerająca się w jego ciało!

— Mój Szut? Tak nie mów.

— Bronisz go!

— Nie przyszło mi to do głowy!

— Nie mówiłeś, że Szut jest silniejszy od nas i nas zniszczy? — Powiedziałem to aby was życzliwie ostrzec.

— A zatem powiem ci tak samo życzliwie, żebyś w przyszłości nie strzepił sobie języka! Niepotrzebne nam twoje ostrzeżenia. Sami wiemy, jak postępować, dlatego że znamy siebie i naszych wrogów. Są oni w stosunku do nas jak liche trawy w stosunku do palm kąpiących swoje czupryny w chmurach. Szut będzie leżał u naszych stóp tak jak ten Miridita. Zaś tych, którzy mu służą, ubijemy jak w cybuchu tytoń.

— Co ja takiego zrobiłem, Hadzi Halefie, że tak obcesowo ze mną rozmawiasz?

— Stawiasz Szuta wyżej od nas! Czy to nie wystarczy? Nie widziałeś dotąd tak dzielnych ludzi, ale oto masz przed sobą bohaterów, którzy Szuta traktują jak muchę. Chwyta się ją i zgniata jedną ręką!

Ponieważ mały Hadzi wpadł w trans czczych przechwałek, dlatego postanowiłem sprowadzić go znów na ziemię i zapytałem:

— Gdy podążałem za Miridita, usłyszałem jakiś gwizd. Kto to gwizdał?

— Krawiec.

— Dlaczego?

— Powiedział, że widział w krzakach jakiegoś psa.

— Owszem, efendi. Wyraźnie go widziałem — gorąco zapewniał zdrajca.

— Co cię to zwierzę obchodziło?

— Myślałem, że pobłądził i mogliśmy go zabrać do najbliższej wsi, skąd się prawdopodobnie wyrwał.

— Tak! Zdaje się, że Miridita zna ten gwizd.

— Nie zna. Z całą pewnością.

— A przecież usłyszawszy go, natychmiast podniósł się z ziemi i wskoczył na konia. Zdaje się, że umówił się z Suefem, iż ten oznajmi gwizdem swoje przybycie. Obaj popełnili głupstwo, gdyż w ten sposób zdradzili, że działają w zмовie. Mam nadzieję, że zdrajca wpadnie mi w ręce i wtedy zwrócę mu uwagę na jego głupotę.

— Czy nie chciałbyś spojrzeć na Miriditę? On się rusza. Skipetar wykonał ruch nogami, aby zmienić swoje położenie. Widziałem, że otworzył oczy i wpatrywał się we mnie ze złością.

— No i... — zapytałem go. — Jak ci się podoba finał twojej przygody?

— Bądź przeklęty! — odparł.

— Nie jesteś zbyt łaskawy, a mimo to dobrze ci życzę.

— Wiem, co mi życzysz. Chcesz mnie zabić!

— Mylisz się. Gdybym pragnął cię zabić, mógłbym to zrobić dzisiaj wiele razy, w bardzo łatwy sposób.

— A więc wymyśliłeś dla mnie coś gorszego?

— Co masz na myśli? — chciałem się dowiedzieć.

— Och! Istnieje wiele sposobów unieszkodliwienia wroga krwi bez potrzeby natychmiastowego zabijania.

— Można go na przykład skazać na śmierć głodową, jak to zamierzali zrobić z nami.

— Szejtan dopomógł wam stamtąd się wydostać! — zasyczał Miridita.

— O, nie! Gdyby on miał nas wspierać, to lepiej, żebyśmy zostali w kolibie.

— A mimo to macie za sobą diabła, gdyż jesteście kuloodporni!

— Uważasz, że do tego trzeba pomocy szatana? Można to uczynić samemu, bez niczyjej pomocy. Trzeba tylko trochę pomyśleć i czegoś się nauczyć. Wszelako nie obawiamy się ani twojej kuli, ani też twego siekanego ołowiu, którym tak starannie nabiłeś lufę.

— Aha... Ty masz moją strzelbę?

— Nie mam. Masz ją przy siodle, ale twój koń uciekł razem z nią.

— Skąd możesz wiedzieć, że załadowałem siekany ołów?

— Wiem zawsze wszystko to, co muszę wiedzieć. Nie możesz teraz wracać do domu do Żigancy, lecz musisz podążać za twoimi sprzymierzeńcami, zgodnie z tym, jak się z nimi umówiłem.

— Ja?... Dokąd?

— Cel jest ci dobrze znany. Czyż nie wyprzedzili ciebie w drodze do Engely?

— Efendi! Kto ci to powiedział?

— Mój sen. Widziałem ich we śnie na wzgórzu po drugiej stronie Warcy, gdzie na ciebie czekali. Przybyłeś; zsiadłeś z konia i odszukałeś ich, aby im powiedzieć, że wreszcie wyruszyliśmy. Potem pojechaliście wszyscy razem. Lecz ty wkrótce od nich odłączyłeś, aby przyjechać tutaj, gdzie Suef miał nas oddać w twoje ręce.

— Suef! — zawołał przestraszony.

Wzrokiem szukał krawca i go znalazł. Zachowywałem się tak, jakbym nie widział ostrzegawczego spojrzenia, którym obdarzył go karzeł. Ów znak zdawał się uspokoić Miriditę, gdyż spytał:

— Kim jest ten Suef?

— Twoim przyjacielem.

— Nie znam żadnego Suefa.

— A może poznasz go, kiedy, jak przypuszczam, każę go na twoich oczach wybatożyć. Uzgodniłeś z twoimi kompanami, że jeśli u nich dzisiaj się nie zjawisz, to znaczy, że mnie zabiłeś. Gdyby natomiast twoja napaść miała się nie udać, wówczas dołączysz do nich dzisiejszego wieczora. I nie powiodło ci się. Chcesz odjechać?

Mściciel nie wiedział, co ma o mnie myśleć. Postanowił jednak kontynuować rozmowę w ponurym tonie:

— Nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiesz, ale też nie muszę tego wiedzieć. Lepiej skończ ze mną!

— Dlaczego miałbym cię zabijać?

— Bo nastaję na twoje życie.

— Dla mnie nie jest to powód, gdyż jestem chrześcijaninem i nie odpłacam złem za zło.

— A więc nie znasz prawa o zemście krwi?

— Znam.

— Zatem wiesz, że do końca życia muszę nastawać na twoje życie?

— Wiem.

— A mimo to nie zabijasz mnie?

— Nie. Broniłem się przed tobą, a ty nic nie zdołałeś mi zrobić. To wystarczy. Chrześcijanie nie znają wendety, dlatego zabójstwo jest u nas przestępstwem zasługującym na karę śmierci. Tobie prawo o zemście krwi nakazuje zabójstwo. Nie mogę się na ciebie gniewać za to, że chcesz być posłuszny prawu.

Spoglądał na mnie jak we śnie, gdyż nie mógł pojąć moich słów.

— Lecz — ciągnąłem dalej — zastanów się, czy zasłużyłem na zemstę krwi. Zostałem uwięziony i musiałem się uwolnić. Musiałem strzelać i nie wiedziałem przecież, że to właśnie twój brat tam siedzi. Sam ponosi on winę za to, że trafiła go moja kula. Wiedział bowiem, że mamy przy sobie broń. Było głupotą z jego strony, że siedział na włązie.

— Efendi! Twoje słowa zawierają wiele kropel prawdy!

— A dlaczego twój brat chciał mnie skazać na śmierć głodową? Co ja takiego zrobiłem? Czy może go obraziłem, znieważylem, okradłem albo obrabowałem? Och, nie! Przybyłem, aby pytać o Szuta. Od twego brata zależało, czy mi odpowie, czy nie, a ja w spokoju pojechałbym dalej. Dlaczego stał się moim wrogiem?

— Bo jego przyjaciele są twoimi wrogami, i dlatego, że pragniesz Szuta zniszczyć.

— Tego także nie chcę.

— Szukasz go i zabiłeś jego szwagra Deselima. Podlegasz zemście krwi i przez nią zginiesz.

— Nie zabiłem Deselima. On ukradł mi konia, spadł z niego i skręcił sobie kark. Czy jestem więc mordercą?

— Mogłeś mu pozwolić zbiec, ale ty goniłeś za nim.

— Ach tak... A więc podlegam zemście krwi, gdyż nie chciałem pozwolić na kradzież mego konia? Darzyłem was szacunkiem, bo uważałem, że jesteście dzielnymi ludźmi o szczerych sercach. A teraz widzę, że jesteście tchórzliwymi i podstępными szubrawcami. Jesteście nędznymi złodziejami, a jeśli wam się odbierze zrabowaną zdobycz, wtedy mówicie, że podlegamy zemście krwi. Wypada na was tylko splunąć. Ohyda! Wasz Szut jest dla mnie teraz nędznym rzezimieszkiem, a ci, którzy mu służą, to pożałowania godne łotry, na których wcale nie będę zważał. A teraz zbieraj się i zmykaj! Nie boję się ciebie. Strzelaj do mnie, ile razy będziesz chciał. Halef! Uwolnij go z łoża!

— Sihdi! — zawołał przestraszony Halef. — Zwariowałaś?

— Nie. Rozwiąż go!

— Nie zrobię tego.

— Mam to może sam zrobić? On nie strzelał do mnie za moimi plecami, lecz stanął na wprost moich oczu. Zanim strzelił, wygłosił także do mnie piękną mowę, podczas której mogłem go zabić, gdybym tylko tego chciał. Nie jest więc skrytobójcą i dlatego nie chcę go jako takiego traktować. Poluźnij łąso!

Teraz Halef posłuchał i rozwiązał Miriditę. Hajdar podniósł się z ziemi, lecz gdybyśmy oczekiwali, że zniknie nam szybko z oczu, byłibyśmy w błędzie. Poruszał ścierpniętymi od rzemienia rękami i podszedł do mnie:

— Nie wiem, co ma znaczyć twoje zachowanie, efendi.

— Powiedziałem, idź sobie, dokąd chcesz.

— A więc niczego ode mnie nie żadasz?

— Nie.

— Nawet zapewnienia, bym cię oszczędzał?

— Nie przyszło mi to do głowy!

— Lecz ja muszę cię zabić!

— Spróbuj!

— Sam wiesz, że dziś wieczorem mam podążyć za moimi przyjaciółmi.

— Wiem, i nie mam nic przeciwko temu.

Na jego twarzy pojawiły się oznaki wewnętrznej walki. Walczyły w nim duma i pobłażliwość, nienawiść i wzruszenie. Potem rzekł:

— Czy uznasz mnie za tchórza, jeśli przyjmę darowaną przez ciebie wolność?

— Nie. Także bym z niej skorzystał, a mimo to uważałbym się za odważnego człowieka.

— Zgoda. Chcę przyjąć darowane mi przez ciebie życie, ale żaden człowiek nie dotknąłby mnie, jeśli w zamian za nie zaniechałbym zemsty krwi. Dlatego też ona będzie dzieliła nas nadal, lecz na razie pozostanie w zawieszeniu. Widzę mój czekan u twego pasa. Wiem, że jest on twoją prawowitą zdobyczą, ale mimo to proszę cię, abys go potraktował jako dobrowolny dar ode mnie. Czy wiesz, co to oznacza?

— Nie wiem.

— Oznacza to, że zemsta krwi pozostanie na razie w zawieszeniu. Jeśli tylko zwrócisz mi czekan, zemsta odżyje na nowo.

— Do czasu zatrzymania przeze mnie czekana, trwa między nami zawieszenie broni?

— Tak. Czy tak rozumując, weźmiesz tę broń ode mnie?

— Wezmę.

— Dokąd pobiegł mój koń?

— Pasa się po drugiej stronie, opodal krzaków.

— A zatem idę, efendi! Chętnie bym ci podał rękę na pożegnanie, ale twoja dłoń została splamiona krwią mego brata. Wolno mi cię dotknąć tylko po to, by cię zabić. Żegnaj!

— Żegnaj!

I oddalił się. Będąc już daleko, odwrócił się do nas raz jeszcze i pokiwał nam, podszedł do swego konia i odjechał. Czekan mam jeszcze do dziś. Zemsta krwi ciągle jeszcze trwa w zawieszeniu i chyba nigdy już nie odżyje.

Mały krawiec przypatrywał się całemu wydarzeniu z natężoną uwagą. Wyglądało na to, że mimo wcześniejszych zapewnień był święcie przekonany o tym, że każe Miriditę zabić. Natomiast nie dał po sobie poznać, czy takie rozwiązanie mu odpowiadało, czy też nie. Jego mina wyrażała teraz tylko

największe zdziwienie.

Halef był wyraźnie niezadowolony. Sprawiłoby mu wielką przyjemność, gdybym mu polecił wymierzenie Hajdarowi pięćdziesięciu batów i wypuszczenie go po egzekucji. Lecz abstrahując od nikczemności takiego postępowania, zyskałbym przez to w dwójnasób zacieklego, śmiertelnego wroga, podczas kiedy teraz nie musiałem się z jego strony niczego obawiać. Ponieważ Hadzi nie ważył się robić mi wymówek, całą swoją niechęć wyładował na domniemanym krawcu.

— Ty zafajdana pętelko! Co tak się gapisz w niebo, jak wilk na gwiazdy? Czemu się tak dziwisz?

— Twojemu panu.

— Ja również.

— Mógł go kazać zabić — powiedział ostrożnie rzekomy Afrit.

— I ciebie też!

— Mnie! Dlaczego?

— Powiem ci to w swoim czasie, jeśli będę mógł ci to zarazem dać na pi.

— Wówczas straciecie przewodnika.

— To byłaby szkoda!

— I kto wie, co mogłoby się wam jeszcze przydarzyć w drodze!

— Nic więcej ponad to, co i z tobą. Czy wiesz, jak się w tym kraju wykonuje prawo zemsty krwi?

— Tak. Wiem.

— Czy to prawda, że ów spór został teraz zakończony?

— Został zawieszony do czasu zwrotu czekana. Ogranicza się to wyłącznie do zemsty krwi, do niczego więcej.

— Jak to rozumiesz?

— To znaczy, że on może was na przykład napaść, aby was obrabować i przy tym zabić. A zatem nie zabiłby was z zemsty krwi, lecz przy okazji rabunku.

— Allah jest wielki, lecz wasza uczciwość bardzo mała — zawołał oburzony Halef. — Co pomoże memu sąsiadowi, jeżeli go zapewnię, że mu nie ukradnę dyni, a następnej nocy zabiorę mu jego melony? Wszyscy jesteście szubrawcami!

Przerwałem tę rozmowę zapytaniem:

— Jak daleko jest stąd do Jersselü?

— Godzinka jazdy — odparł ochoczo Suef.

— A więc możemy się tam zatrzymać, by się odświeżyć. Jest tam han?

— Owszem. Znam także handziego.

— A gdzie proponujesz spędzenie nocy?

— W Kilisseli. Tam także znam handziego.

— Jak długo trzeba tam jechać?

— Z Jersselü ze cztery godziny.

— Dlaczego wybrałaś właśnie tę wieś?

— Jest to piękna miejscowość położona na równinie Mustafa, gdzie wszystko, czego dusza zapagnie, można nabyć tanio i obficie.

— Jak daleko jest stamtąd do Üsküb?

— Osiem godzin konnej jazdy.

— Zgoda. Zatrzymamy się więc w Kilisseli.

Krawiec jako przewodnik jechał z przodu i zdawało się, że go w ogóle nie obchodzimy. Ponieważ Osko i Omar jechali za nim, mogłem o nim rozmawiać z Halefem bez obawy, że mnie

usłyszysz.

— Sihdi! — pytał Hadzi. — Ty także wierzysz, że to jest ów Suef? Skinąłem tylko głową, a Halef pytał dalej, przyglądając mi się z ukosa:

— Dotrzymasz słowa w sprawie tych pięćdziesięciu razów?

— Suefowi się one należą, ale nie teraz.

— Sowiecie na nie zasłużył. Dziwiłem się, że tak dużo mu powiedziałeś, mimo że wiesz, iż trzymasz z naszymi przeciwnikami.

— Zrobiłem to celowo.

— Zawsze masz jakieś ukryte zamiary. Przewidujesz więcej niż my i dlatego postępujesz tak, jakbyś obdarzył tego zdradzieckiego krawca swoim zaufaniem. Ja natomiast sprawię mu chłostę i pozostawię go na łasce losu.

— I zbierzesz z tego kiepskie żniwo. Dopóki jest on przy nas, będziemy informowani o wszystkim, co planują przeciwko nam jego kompani. Dziś wieczorem dokonają napaści, która, jak przewidują, będzie ostatnia, bo skuteczna. Dziś wieczorem mamy wszyscy zginąć. Tylko nie wiem jeszcze, w jaki sposób.

— Ale się przecież zorientujemy?

— Owszem. I to właśnie przez krawca. Z podejmowanych przez niego czynności będziemy z pewnością mogli wywnioskować, co ma się dziać.

— Będę więc miał szeroko otwarte oczy.

— O to cię proszę, gdyż sam nie mogę się o wszystko troszczyć. Z powodu mojej nogi będę chyba musiał siedzieć w izbie. Będziecie we trójkę obserwować, co się dzieje na dworze. Musimy się przede wszystkim dowiedzieć, gdzie są bracia Aladzi, Barud el Amasad i pozostali, gdzie i kiedy będą chcieli rozmawiać z krawcem oraz gdzie, kiedy i jak zamierzają z nami skończyć.

— To bardzo dużo, sihdi! Teraz możemy się cieszyć, że pozbyliśmy się najbardziej zażartego wroga.

— Masz na myśli Miriditę?

— Tak. Jego w każdym razie dziś wieczorem nie będzie.

— Ja natomiast uważam z całą pewnością, że on się tam zjawi.

— Aby pomóc braciom Aladzi?

— Przeciwnie, aby nas wspomóc w walce z nimi.

— Ach, w to nie wierzę!

— Ja zaś tak. To uczciwy Miridita i tylko dlatego jest moim wrogiem, że moja kula trafiła jego brata, ale nie z powodu Szuta. Myślę, że Hajdar nas obecnie szanuje i czuje wstręt do perfidnego i podstępного działania. Pamięta, że darowałem mu życie. A który człowiek nie kocha swego życia? Dlatego poczuwa się do wdzięczności.

— Czyż nie oszczędzałeś także innych? A czy ci dziękowali?

— Nie. Ale to byli tylko nędzni szubrawcy. Gdyby mieli jego charakter, jego otwartość, dawno byśmy się z nimi uporali. Jestem przekonany, że on się zjawi i możliwe, że jego obecność nam się przyda.

Tak jak przewidywał krawiec, do Jersselu zawitaliśmy po godzinie. Była to wyżynna wioska, o której nic szczególnego nie można powiedzieć. Zatrzymaliśmy się przy haniu i poprosiliśmy o posiłek: kwaśne mleko z kukurydzianym plackiem. Konie nakarmiono i napojono.

Podpadło mi, że na widok wioski krawiec wyrwał się do przodu. Uczynił to, jak mówił, aby zamówić dla nas coś orzeźwiającego. Halef spojrział na mnie, pokiwał głową i spytał:

— Wiesz, po co się wyrwał?

— By powiedzieć w hanie, aby nie wołano na niego Suef, lecz Afrit.

— Też tak myślę. Ale jeżeli tak, to musiał to wcześniej omówić także z naszym gospodarzem z Żigancy!

— Możliwe, że znają go tam tylko jako Afrita.

— Albo też gospodarz nie był wobec nas szczery.

— Być może, ale tak nie uważam.

Po spożytym posiłku udaliśmy się w dalszą drogę i wkrótce zjechaliśmy z zachodniej strony wysoczyzny w dół na wspomnianą już rozległą równinę Mustafa. Jechaliśmy pośród żyznych pól, z których zwieziono już zbiory, przecięliśmy drogę prowadzącą z Engely do Komanowej i po czterech godzinach dalszej jazdy zobaczyliśmy przed sobą Kilisseli.

Była to urocza, choć mało romantyczna okolica. Brakowało gór, lecz tym bardziej cieszyły nas znajdujące się po obu stronach drogi lasy, pośród których zdarzały się wiecznie zielone drzewa. Przejeżdżaliśmy także wśród wspaniałych plantacji, na których dojrzewały południowe owoce. Żyzne pola, z których zebrano zboża, ciągnęły się z lewa i prawa, a kiedy zbliżaliśmy się do wsi, zobaczyliśmy duży staw rybny, w którego kryształowej wodzie odbijały się drzewa dużego ogrodu. Ogród otaczał budynek, którego pałacowy wygląd musiał na siebie zwracać uwagę w kraju ubożego budownictwa.

— Co to za budynek? — spytałem naszego przewodnika.

— To pałac — odparł.

— Czyj?

— Gospodarza, u którego będziemy nocowali.

— Ale jak mi się zdaje, pałac ten nie jest jednak publicznym zajazdem.

— O nie, efendi.

— A mówiłeś przecież o hanie?

— Myślałem, że to obojętne, czy powiem „han” czy „konak”. Znam przecież właściciela. Widzi on chętnie u siebie gości i z radością was przywita.

— Kto to taki?

— Turek z Salonik, który osiadł tutaj, aby odpocząć od interesów. Nazywa się Murad Habulam aga.

— A jak wygląda?

— Aga jest w średnim wieku, chudy i wysoki, bez brody.

Nie czułem sympatii do wysokiego, chudego i gładkiego na twarzy Turka. Nie mogłem sobie wyobrazić jakiegoś dzielnego, prostolinijnego i uczciwego Turka, w postaci na poły albo i pełnego szkieletu, i z doświadczenia wiedziałem, że w państwie osmańskim trzeba się mieć na baczności przed człowiekiem, który jest nieprzeciętnie wysoki, chudy i na dodatek nie ma jeszcze brody. Moja mina musiała sprawiać niekorzystne wrażenie, gdyż krawiec zapytał:

— Czy ci to nie odpowiada, że chcę was do niego zaprowadzić?

— Nie to. Tylko uważam za niestosowne, aby obcy człowiek gościł pięciu zupełnie sobie nie znanych mężczyzn.

— Ale to nie wy się narzucacie, lecz prosi was aga.

— To coś nowego!

— Chcę ci przez to wyjaśnić, że Murad Habulam aga bardzo chętnie widzi u siebie gości. Bywam często u niego i on upoważnił mnie generalnie, abym przyprowadzał mu obcych ludzi, takich, których nie będzie się musiał wstydzić. Gospodarz lubi gości i jest uczonym oraz bywałym w świecie człowiekiem, podobnie jak ty. Przypadniecie sobie do gustu. Prócz tego jest tak bogaty, że nie

sprawia mu żadnego kłopotu przyjęcie dziesięciu albo nawet dwudziestu gości.

Uczony i bywały w świecie człowiek! To przyciągało. I aby mnie jeszcze bardziej zachęcić, krawiec dorzucił:

— Zastaniesz wspaniałe mieszkanie i park wraz z tym wszystkim, co bogaty człowiek mieć powinien.

— Ma również książki?

— Duży zbiór.

W tym momencie odpadły oczywiście wszelkie skrupuły i wysłałem krawca do przodu, aby nas zameldował.

Podczas gdy rozprawiałem z Halefem o arcybogatym i uczonym Turku i wyraziłem przypuszczenie, że awizowanie nas jest zbyteczne, gdyż właściciel dowiedział się o naszym przyjeździe już od braci Aladzi, nagle spłoszył się jego koń.

Jechaliśmy tuż nad skrajem stawu, po którym płynęła właśnie ku nam jakaś łódź. Siedziała w niej młoda dziewczyna, której silne ramiona poruszały wiosła. Miała na sobie strój niezamężnych Bułgarek. Spod czerwonej chusty zarzuconej na głowę zwisały dwa długie, czarne warkocze.

Bułgarka musiała się bardzo śpieszyć, gdyż wyskoczyła z łodzi nawet jej nie uwiązując i chciała nas prędko minąć. Jej czerwony strój, być może pośpiech, albo jeszcze coś innego, spłoszyły konia Halefa. Koń skoczył do przodu i musnął dziewczynę kopytem, tak że upadła. Mój ogier również się spłoszył i stanął dęba. Bułgarka chciała się podnieść, ale uczyniła to tak niezręcznie, że znalazła się pod moim koniem i krzyknęła głośno ze strachu.

— Ciszej! Płoszysz tylko konie! — zawołałem do niej. — Leż spokojnie.

Rih dreptał jeszcze trochę w miejscu, ale jej nie nadepnął i mogła się wreszcie podnieść. Miała zamiar natychmiast czmychnąć, ale się do niej odezwałem:

— Zatrzymaj się na chwilę! Jak cię zwa?

Przystanęła i spojrzała na mnie. Miała buzię typowej bułgarskiej dziewczyny, łagodną, okrągłą i pełną, mały nosek i miłe spojrzenie. Sądząc po ubiorze, była biedna, nie miała też butów. Koń Halefa musiał jej zadać ból, gdyż unosiła w górę jedną nogę.

— Wołają mnie Anka — odparła.

— Masz rodziców?

— Tak, efendi.

— A rodzeństwo?

— Och, liczne! — A chłopca?

Spurpurowiała na buzi, ale mimo to szybko odparła:

— Wspaniałego!

— A jak mu na imię?

— Janik. Jest parobkiem.

— Więc oboje nie jesteście chyba bogaci?

— Gdybyśmy mieli majątek, dawno byłabym jego żoną, ale na razie go zbieramy.

— Ile to ma być?

— Ja mam wnieść tysiąc piastrów i on także tysiąc.

— I co chcecie z tym począć?

— Powędrujemy w pobliże Skopje, gdzie mieszkają moi i jego rodzice i wydzierżawimy ogrodnictwo. Jego ojciec jest ogrodnikiem i mój również.

— No, i... jak z tym oszczędzaniem. Rośnie wam ta suma?

— Bardzo powoli, efendi. Mój zarobek jest niski i czasem chcę dać także coś ojcu, który również

jest tylko dzierżawcą.

To mnie ucieszyło. Bułgarka wyglądała na prostoduszną i szczerą dziewczynę. Dawła ojcu część pieniędzy ze swego skąpego zarobku, mimo że przez to odsuwała własne utęsknione szczęście.

— Boli cię? — zapytałem.

— Koń mnie trafił kopytem.

Nie było z nią chyba jednak źle, gdyż stała znów wyprostowana. Sięgnąłem do trzosa i wyjąłem z niego drobiazg, może pięćdziesiąt albo siedemdziesiąt piastrów, chcąc to jej podać.

— A więc, Anko, musisz pójść do lekarza i do apteki, aby zagoiła się twoja rana. Masz tu coś, aby za jedno i drugie zapłacić.

Chciała szybko wziąć pieniądze, ale wnet cofnęła rękę i rzekła:

— Nie mogę tego przyjąć.

— Dlaczego nie?

— Być może nie muszę iść ani do lekarza, ani do apteki, dlatego nie wolno mi wziąć pieniędzy.

— A więc weź je jako prezent ode mnie!

Zrobiła uroczo speszoną minę i zakłopotana spytała:

— Za co? Przecież w niczym się tobie nie przysłużyłam, efendi.

— Jeśli to jest prezent, to przecież nic się za niego nie żąda. Dołóż te pieniądze do swoich oszczędności... albo poślij je swojemu ojcu, który z pewnością je potrzebuje.

— Dobrze mi radzisz, efendi! Poślę te pieniądze mojemu ojcu. Będzie się za ciebie modlił do Matki Boskiej, mimo że jesteś muzułmaninem.

— Ale ja nim nie jestem. Jestem bowiem chrześcijaninem.

— Cieszę się z tego jeszcze bardziej. Sama jestem katoliczką i mój narzeczonny jest wyznawcą tej samej wiary.

— Powiem ci jeszcze, że byłem w Rzymie i widziałem Ojca Świętego w otoczeniu kardynałów.

— Och, gdybyś mógł mi o tym opowiedzieć!

Życzenie to podsunęła jej z pewnością kobieca ciekawość, ale płynęło ono niewątpliwie z potrzeby serca, widać to było po jej oczach.

— Chętnie bym to dla ciebie uczynił, Anko, ale prawdopodobnie już cię chyba nigdy nie zobaczę.

— Jesteś tutaj obcy, efendi. Gdzie pragniesz się zatem zatrzymać?

— U Murada Habulama.

— Sweta Panagia — Matko Najświętsza! — zawołała przerażona. Podeszła szybko do mnie, uchwyciła strzemień i zapytała zdławionym głosem: — Czy ty jesteś' może tym efendim, który ma przybyć wraz z trzema towarzyszami?

— Jestem efendim i mam trzech towarzyszy, ale czy tu mnie oczekują, tego nie wiem.

— Czy przybywasz dziś z Żigancy?

— Tak.

— A zatem to jesteś ty.

Podniosła się na palcach i szeptała mi do ucha jeszcze ciszej niż przedtem:

— Miej się na baczności, efendi!

— Możesz mówić głośno. To moi przyjaciele. Przed kim miałbym się strzec?

— Przed moim agą, Muradem Habulamem.

— Ach, to ty u niego służysz? — wypytywałem ją.

— Tak. I Janik też.

— Czy masz jakiś powód, aby nas ostrzegać?

— Oni czyhają na wasze życie.

— Słyszałem o tym, ale czy możesz mi powiedzieć, jak to się stanie?

— Na razie nie. Podśluchiwałam i Janik także. Co nieco słyszeliśmy, z czego przeczuwamy, że macie zginąć w okrutny sposób.

— Chcesz mnie od tego uchronić?

— Bardzo chętnie, efendi, gdyż ty wyznajesz moją wiarę i widziałeś Ojca Świętego. Będę cię chroniła, nawet gdyby aga miał nas wypędzić!

— Jeśliby to uczynił, to ja się o was zatroszczę.

— Mówisz prawdę, efendi?

— Daję słowo.

— Wierzę, że go dotrzymasz, bo jesteś chrześcijaninem. Nic więcej nie mogę ci teraz powiedzieć, gdyż nie mam czasu. Muszę śpieszyć do kuchni, bo moja pani wyjechała do Üsküb. Musiała natychmiast wyjechać, kiedy tylko przyszła wiadomość o waszym przybyciu. Strzeżcie się przed Humunem, który jest zaufanym sługą agi i mnie nienawidzi, gdyż Janik jest mi miłszy od niego. Będziecie mieszkali w Ichtiar ana kullesi i będę się starała przekazywać wam wiadomości. Gdybym nie mogła przyjść sama, to przyślę do was Janika, któremu możecie ufać.

Mówiła w gwałtownym pośpiechu i szybko pobiegła dalej.

— Co tam nowego, efendi? — zapytał Osko. — Jakie niebezpieczeństwo nam grozi? Może udamy się raczej do hanu!

— Uważam, że nie, bo tam bylibyśmy tak samo zagrożeni, nie mogąc się bronić. Tutaj natomiast znaleźliśmy pomocników i przyjaciół, od których się dowiemy, co mamy robić.

— Shidi ma rację — zgodził się ze mną Halef. — Allah zesłał nam tę dziewczynę i jej narzeczonego, aby nas chronić. Chrześcijaństwo musi być czymś dobrym, dlatego że natychmiast łączy serca. Ponieważ jestem muzułmaninem, nie mogę być chrześcijaninem, ale gdybym nim nie był, wówczas zostałbym zwolennikiem Jezusa, syna Maryi. Spójrzcie! Oto kiwa na nas krawiec zdrajca!

Dojechaliśmy do narożnika ogrodowego muru i posuwaliśmy się dalej wzdłuż niego aż do otwartych wrót, w których zatrzymał się oczekujący nas krawiec.

— Bywajcie, bywajcie! — wołał do nas. — Jesteście mile widzianymi gośćmi. Aga was oczekuje!

— Czyż nie może on sam wyjść do nas?

— Niestety nie, gdyż choruje na nogi i nie może chodzić.

— Sprawiamy mu zatem kłopot i zakłócamy spokój?

— Wcale nie. Aga Murad Habulam cieszy się, że z jego samotności wyrwie go obecność ludzi, z którymi może porozmawiać, gdyż najgorsza w jego chorobie jest nuda.

— W tym możemy mu pomóc. Będzie miał z nami zajęcie i rozrywkę.

XIII.

„ZŁE SPOJRZENIE”

Wjechaliśmy przez otwarte wrota. Po opisie, jakiego dokonał przewodnik, i po wrażeniu, jakie z daleka wywarł na nas budynek, oczekiwałem czegoś, co przypominałoby pałac. Ale cóż to właściwie było!

Trzeba przyznać, że ów pałac był długi i wysoki, ale na poły zrujnowany. Straszły w nim puste okna. Dach miał w wielu miejscach dziury. Odpadł tynk z jego murów, zaś wzdłuż frontu osypywał się pył z suszonych powietrzem cegieł, rozsypujących się pod wpływem zmian aury.

Zajechaliśmy przed wysoką i szeroką bramę, gdzie przyjął nas człowiek, którego wydłużona twarz obwiesia w żadnym wypadku nie wzbudzała zaufania.

— To Humun, sługa agi — objaśnił Suef.

Aha... A więc od razu mieliśmy do czynienia z człowiekiem, którego należało się strzec. Pokłonił mi się z głębokim uszanowaniem, wskazał ręką na dwóch młodych osiłków stojących za nim i powiedział:

— Efendim! Mój pan zasmucił się bardzo, gdy usłyszał, że nie możesz chodzić. Dlatego polecił, ażeby ci ludzie cię do niego zanieśli. Są oni tak silni, że możesz na nich polegać.

Zsiadłem z konia. Osilki splotły ręce i złapały się drugą ręką za ramiona. Usiadłem na splecione dłonie i oparłem się o ich ręce. W ten sposób na zaimprovizowanym siodełku niesiono mnie przez sień i dwie izby do salonu. Moi towarzysze podążali za mną, natomiast krawiec zniknął.

Ów selamlik był nie najgorzej wyposażony. Ze ścian zwisały dywany. Na podwyższeniu, naprzeciw wejścia, siedział pan tego domu. Obok znajdowało się podobne podwyższenie, przeznaczone przypuszczalnie dla mnie. Rozłożono także kilka poduszek dla moich towarzyszy. Tragarze zatrzymali się ze mną w drzwiach. Aga skłonił się, nie wstając z miejsca, i rzekł:

— Witam cię, efendim! Niech Allah błogosławi twoje wejście do mego domu i pozwoli ci u mnie spędzić długie dni! Wybacz, że nie wstaję, ale podagra dokucza moim nogom, tak że nie mogę nimi poruszać. Zechciej zająć miejsce z mojej prawej strony. Twoi towarzysze mogą rozprostować kości, siadając przed nami.

Posadzono mnie obok niego, podczas gdy moja trójka usiadła naprzeciwko. Wyraziłem kilka uprzejmych słów podziękowania i usprawiedliwienia, które przerwał zapewnieniem, że to nie ja, ale on powinien mi podziękować. Tragarze oddalili się, a służący przynieśli fajki i kawę. W Oriencie zamożność mężczyzny ocenia się jego zasobnością w fajki. Mierząc taką miarą, aga Murad Habulam był bardzo bogatym człowiekiem. Fajki podane jemu i mnie miały cybuchy z oryginalnego różanego drewna obszytego złożoną nicią i ozdobionego perłami i drogocennymi kamieniami. Wspaniale prezentowały się ustniki wykonane z nieprzezroczystego, matowego bursztynu, który w krajach Orientu ceni się o wiele bardziej od przezroczystego. Małe porcelanowe czarki były niezwykle misternej roboty, a gdy skosztowałem kawy musiałem przyznać, że tylko raz, i to w Kairze, piłem lepszą od tej. Wschodnim zwyczajem piło się ją ze zmieloną kawą na dnie. Objętość czarki odpowiadała mniej więcej zawartości czterech naparstków.

Pierwszorzędny był także tytoń. Szkoda tylko, że fajczane główki były takie małe. Po piętnastu zaciągnięciach trzeba je było znów nabijać, czym zajmował się Humun, ulubieniec swego pana.

Dobry obyczaj wymaga, że zaraz po przybyciu gościa nie wypytuje się o jego sprawy, lecz poprzestaje na razie na ogólnikach. Potem Murad Habulam przysunął się nieco do mnie i zapytał:

— Czy miałaś dobrą podróż, efendim?

— Allah szczęśliwie mnie prowadził — odparłem.

— Krawiec Afrit powiedział mi, że przybywasz z Żigancy.

— Byłem tam wczoraj.

— A poprzednio?

— W Radowiczu i Ostromczy.

— A więc byłeś codziennie w drodze?

— Tak, gdyż jedziemy z Edirne i Stambułu.

— Ze Stambułu! Allah był dla ciebie niezwykle łaskawy, że pozwolił ci przyjść na świat w mieście padyszacha!

— Niestety tam się nie urodziłem. Przybyłem do Stambułu drogą wiodącą przez Damaszek i Palestynę.

— A więc jesteś Szamli ?

— Także nie. Jestem Frankiem, Almanem, i podróżowałem na Saharę, aby stamtąd wyruszyć do Egiptu i Arabistanu.

— Allah jest wielki! I wielka jest twoja podróż. Czy powiodło ci się w interesach?

— Nie podróżuję, aby załatwiać interesy. Chcę widzieć kraje, ludy, które je zamieszkują, pragnę poznać języki i obyczaje. Dlatego na tak długi czas opuściłem moje rodzinne strony.

Przyglądał mi się z niedowierzaniem.

— Dlatego? Na Allaha! Jaką korzyść masz z tego, że zobaczysz góry i doliny, ludzi i zwierzęta, pustynie i bory? Co masz z tego, że widzisz, jak ludzie się ubierają i słyszysz, jak mówią?

Był to pogląd, z którym się często spotykałem. Pewna kategoria ludzi zupełnie nie pojmuje, że odwiedza się obce ludy i kraje wyłącznie z ciekawości. Uznawali oni tylko podróżowanie w interesach albo jedynie pielgrzymkę do Mekki. Nic więcej nie znajdowało u nich zrozumienia.

— Lubisz geografie? — zapytałem go.

— Bardzo. Chętnie czytam takie książki.

— A kto je napisał? Jak myślisz?

— Uczeni ludzie, którzy w tych krajach przebywali.

— I im to właśnie zawdzięczasz, że ich książki ciebie bawią i uczą.

— Oczywiście!

— A więc w mojej ojczyźnie również istnieją ludzie, którzy pragną takich książek. Są tysiące czytelników. Dlatego potrzebni są także podróżnicy, udający się w odległe kraje, aby je poznać i opisać. Do nich i ja należę.

— A więc jesteś alim w geografii, ale pytam cię mimo to: co ty z tego masz? Opuszczasz swój dom i rezygnujesz z życiowych uciech, aby w dalekich krajach znosić niewygody, cierpieć głód i pragnienie i może nawet walczyć z niebezpieczeństwem.

— Tak to właśnie jest — przytaknąłem.

— Potem siadasz i psujesz sobie przy pisaniu oczy, aby ciekawscy mogli się dowiedzieć, co widziałeś. Na co ci się to przyda?

— Czy podróżowanie nie jest przyjemnością?

— Niestety nie. Jest bowiem uciążliwe.

— A więc, nigdy byś na przykład nie zadał sobie trudu wejścia na wysoką górę, aby ujrzeć wschodzące słońce?

— Nie, bo jestem przy zdrowych zmysłach. Dlaczego miałbym opuszczać mój wygodny dom, gdzie mogę palić fajkę i pić spokojnie kawę. Po co miałbym się wspinać i wdrapywać, aby potem

znów schodzić. To zbyt cenne. Słońce wschodzi i zachodzi, nawet jeśli nie siedzę na wierzchołku góry. Allah urządził wszystko bardzo mądrze i moja wspinaczka w żadnym stopniu nie przyczyni się do zmiany jego postanowień.

Tak oto wyglądają zapatrywania tych ludzi! Allah, wszędzie Allah. Oto ich maksyma i usprawiedliwienie ich umysłowej i cielesnej gnuśności.

— A więc nie podjąłbyś się także trudów i mozołów dalekich podróży tylko dla poznania obcych krajów? — pytałem.

— Nie zrobiłbym tego.

— A ja jednak mam z tego pewną korzyść, żyję z tego.

— Jak to? Czy góry, które widzisz, potrafisz zjeść, a rzeki wypić?

— Nie. Lecz jeżeli napiszę taką książkę, dostanę za to pieniądze i to jest mój dochód.

Wreszcie powiedziałem coś, co nie brzmiało całkiem niedorzecznie.

— Aha! — powiedział pan domu. — Teraz cię rozumiem. Nie jesteś geografem, lecz kitabdżim.

— Och, nie. Lecz kitabdżi zapłaci mi za to, co napiszę, wydrukuje to potem w książce i sprzeda czytelnikom. Obaj zrobimy interes.

Murad Habulam położył palec na nosie, pomyślał chwilę i odparł:

— Teraz rozumiem: to ty jesteś tym człowiekiem, który przywozi kawę z Arabii, zaś kitabdżi jest tym, który sprzedaje ją ludziom.

— Tak to mniej więcej jest.

— Czy zapisujesz wszystko, co widzisz?

— Nie wszystko, lecz tylko to, co godne czytania.

— Na przykład, jeśli poznasz naprawdę dobrego człowieka?

— To o takim w mojej książce napiszę.

— Albo bardzo złego?

— Także o nim napiszę, aby czytelnicy mogli go poznać i nabrać do niego wstrętu.

Zrobił poważną minę i podrapał się ustnikiem fajki pod turbanem. To mu się nie podobało i wydawało podejrzane.

— Hm... — mruknął. — A więc dzięki tobie będą zarówno dobrzy jak i źli znani w twoim kraju?

— Na to wygląda.

— Wymienisz ich także z nazwiska?

— Z całą pewnością.

— Kim i czym są, i gdzie mieszkają?

— Z całą pewnością — podkreśliłem.

— Co zrobili, o czym z nimi rozmawiałeś i czego się o nich dowiedziałeś?

— Bez ogródek!

— Na Allaha! Jesteś wielkim zdrajcą! Trzeba się ciebie bać!

— Dobrzy nie muszą się mnie obawiać, lecz będzie się ich sławić we wszystkich krajach, gdyż książki te zostaną także przełożone na inne języki. Słusznie natomiast, jeśli znani będą także źli, wzbudzający wstręt i odrazę.

— Będziesz także pisał o Żigancy?

— Nawet bardzo dużo, bo miałem tam wiele przeżyć.

— Może także o Kilisseli?

— Oczywiście, gdyż Kilisseli jest piękną miejscowością, której nie mogę przeoczyć.

— Co o niej napiszesz?

— Tego jeszcze nie wiem. Poczekam na to, co tu mnie czeka. Lecz to, że masz wspaniałe fajki i

wyborną kawę, z przyjemnością rozstawię.

Murad Habulam spoglądał przez chwilę w milczeniu przed siebie. Z chwilą, kiedy tu wszedłem, bacznie mu się przyglądałem. Wydawało mi się, że go skądś znam. W każdym razie pan domu nie sprawiał wrażenia bogatego człowieka. Na głowie miał stary i brudny turban, i taki sam kaftan. Nogi miał z powodu podagry grubo owinięte. Mimo to jego stopy były gołe i tkwiły w starych, cienkich i znoszonych pantoflach. Turek był wysoki i bardzo chudy. Twarz pokrywały mu przedwczesne zmarszczki. Ostre rysy, małe, kłujące i zimne oczy, mocno rozwinięty podbródek i ku dołowi opadające kąciki ust, bynajmniej nie przydawały przyjemnego wyrazu jego twarzy. Tak samo można sobie było wyobrazić twarz skąpca myślącego tylko o zysku, gromadzącego pieniądze bez pytania o sposób, w jaki się do nich dochodzi.

— Mam nadzieję — powiedział wreszcie Turek — że będzie ci się u nas podobało, i że będziesz o mnie pisał tylko dobrze.

— Jestem o tym przekonany. Przyjąłeś mnie tak gościnnie, że mogę ci jedynie być wdzięczny.

— Byłbym cię przyjął jeszcze całkiem inaczej i ugościłbym cię o wiele lepiej, lecz mój dom wyjechał do Usküb, a ja się nie mogę poruszać. Dokucza mi podagra, której nabawiłem się w czasie wojny.

— A zatem byłeś żołnierzem, może nawet oficerem?

— Byłem czymś jeszcze lepszym i jeszcze ważniejszym. Byłem dostawcą wojskowym i zaopatrywałem bohaterów sułtana w żywność i odzież.

Dostawcą wojennym! Pomyślałem o biednych, półnagich i wygłodzonych żołnierzach i o worach pieniędzy, jakie w czasie wojny krymskiej napełnili sobie panowie dostawcy.

— Pełniłeś bardzo wysoki urząd i cieszyłeś się zaufaniem sułtana — odparłem.

— Tak to właśnie było — dumnie wyjaśnił aga. — Dostawca przechyła zwycięską szalę. To dostawca wiezie wojaków do zwycięstwa. Bez niego nie ma dzielności, odwagi, jest tylko głód, nędza i choroby. Ojczyzna zawdzięcza mi bardzo dużo.

— Czy mam o tym wspomnieć w mojej książce?

— Owszem. Wspomnij, proszę cię. Gzy o państwie padyszacha i jego poddanych możesz napisać dużo dobrego?

— Bardzo dużo — odpowiedziałem krótko, spostrzegłem bowiem, że chce teraz przejść do sprawy dla niego najważniejszej.

— Chyba napiszesz i o niejednym złym?

— To też. Wszędzie istnieją dobrzy i źli ludzie.

— Czy spotkałeś u nas wielu łajdaków?

— Szczególnie w ostatnim czasie i to zwłaszcza tutaj, w tej okolicy.

Turek robił wszystko, aby rozmowę skierować na odpowiednie tory.

— Czytelnicy zatem wszystkiego się dowiedzą. Gdybym to mógł mieć taką książkę!

— To byś jej nie przeczytał, gdyż nie będzie ona wydrukowana w twoim języku.

— Więc mógłbyś mi przynajmniej teraz coś z jej treści powiedzieć.

— Może później, kiedy trochę wypocznę.

— A zatem polecę, by ci wskazano twoje mieszkanie. Ale przedtem mógłbyś mi powiedzieć choćby trochę.

— Jestem naprawdę bardzo zmęczony, ale chcę, abyś wiedział, że szanuję twoje życzenie i dlatego mój przyjaciel Hadzi Halef Omar przedstawi ci krótko to, co przeżywaliśmy w ostatnich dniach.

— Niech więc zaczyna. Słucham.

Halefowi podobało się, że miał opowiadać, ale irytowało go, iż aga odniósł się do niego w sposób niemal nonszalancki. Wiedziałem więc, że mu zaraz za to odpłaci.

— Najpierw pozwól mi — zaczął Halef — bym ci rzekł, kim jest ten, który będzie tak łaskawy i skieruje do ciebie swoje słowa. Jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuħd al Gossarah, wojownik Haddediħnów z wielkiego plemienia Szammarów. Przodek mojego pradziada wojował u boku Proroka, zaś praprzodek bohatera zajadał arbuzy z Ibrahimem, ojcem Izaaka. Czy linia twoich przodków jest równie doskonała?

— Linia moich przodków sięga wysoko — odparł nieco zakłopotany Murad.

— To dobrze, gdyż nie można człowieka osądzać według posiadanych fajek i filiżanek, lecz po wiadomej liczbie jego przodków. W raju przebywają tysiące przodków mego rodu, którego umiłowanym potomkiem ja właśnie jestem. Nie będę miał zaszczytu wspomnieć każdego z nich, ale ponieważ mój przyjaciel i siħdi, efendi Kara ben Nemsı, życzył sobie, abym opowiadał, dlatego żądam, byś poświęcił mi całą swoją uwagę.

Mówił tak spokojnie, że sprawiał wrażenie, jakby sam był przy tym, gdy ów praprzodek zajadał z Abrahamem arbuzy! A jednocześnie dawał odczuć naszemu gospodarzowi, że mówi mu o tym niejako z łaski.

Halef w przemyślany sposób opisał wydarzenia. Żaden prawnik nie zrobiłby tego lepiej niż mały Hadzi. Nie zdradził się przed dawnym dostawcą nawet najmniejszym słowem, które mogłoby nasunąć mu myśl, że wiemy, jaką ma on do spełnienia rolę. Odczuwałem wewnętrzną radość, a kiedy skończył i rzucił mi pytające spojrzenie, wyraziłem mu skinieniem uznanie za przykładną relację.

Murad zachowywał się tak, jakby się nie posiadał ze zdumienia. Odłożył fajkę, co u muzułmanina znaczyło bardzo wiele, załamał ręce i zawołał:

— O Allahu, Allahu! Ześlij na ziemię twoich mścicieli, aby złoczyńców, których czyny wołają o pomstę do nieba, wytrzebili ogniem! Czy mam wierzyć w to, co usłyszałem? Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę, nie mogę!

Popadł w milczenie. Wziął do ręki różaniec i przesuwał paciorki w chudych palcach, jakby się modlił. Potem zniemacka podniósł głowę, spojrzał na mnie badawczo i rzekł:

— Efendim! Czy potwierdzasz prawdziwość słów tego Hadziego?

— W stu procentach.

— Napiszesz to wszystko w twojej książce? O Szucie, o braciach Aladzi, Manachu el Barszy, Barudzie el Amasadie i Mübareku?

— Wspomnę o tym wszystkim.

— To dla nich okrutna kara. I wierzysz, że ich jeszcze kiedyś spotkasz?

— Z całą pewnością, gdyż oni mnie ścigają. Tu w twoim domu jestem oczywiście bezpieczny. Zawdzięczam to tobie i poczciwemu krawcowi Afritowi. Lecz jutro, kiedy wyruszę w dalszą drogę, złoczyńcy znów będą mnie prześladowali.

— Efendi! Chyba nie zlekceważysz mego domu, pozostając w nim tylko przez jedną noc.

— Zastanowię się. Zresztą cóż, zgodnie z twoją wiarą już od samego zarania w Księdze Żywota zostało zapisane, jak długo u ciebie pozostanę. Żaden z nas nie zdoła tu niczego zmienić. Nawet sam Allah nie może teraz nic innego zrobić.

— Tak to jest. Lecz wierzę, że jeszcze długo będzie nade mną świeciło światło twoich oczu. Mieszkam samotnie w moim domu, ty zaś umilisz mi życie i pozwolisz zapomnieć o cierpieniu, jak długo tu będziesz przebywał.

— Również i mnie byłoby przyjemnie, gdybym odpowiednio długo mógł się cieszyć twoją obecnością — odparłem. — Podobno podróżowałaś i to daleko?

— Kto ci to mówił?

— Krawiec.

Spostrzegłem po jego twarzy, że Suf powiedział nieprawdę. Mimo to Turek odpowiedział:

— Owszem. Kiedy miałem jeszcze zdrowe nogi, schodziłem miasta i wioski wielu krajów.

— A poprzednio powiedziałaś, że nie wszedłbyś nawet na żadną górę, aby zobaczyć wschód słońca!

— Teraz bym nie wszedł ze względu na chore nogi — bronił się.

— Dlaczego zawijasz nogi, a stopy pozostawiasz gołe?

Bacznie mu się przypatrywałem. Murad sprawiał wrażenie zakłopotanego. Czy miał jakiś powód do tego, aby tylko symulować podagrę?

— Gdyż chorobę mam w łydkach, a nie w stopach — wyjaśnił.

— A paluch cię nie boli?

— Nie, efendi.

— I nie ma na nim obrzęku?

— Mam zdrowy paluch.

— A jak wieczorem z gorączką?

— Nigdy jeszcze nie miałem gorączki.

Człowiek ten sam się zdradził, jeżeli bowiem nie miał tych wszystkich objawów, to nie miał również podagry! Był w pełni nieświadom objawów, które towarzyszą podagrze. Wiedziałem teraz, w czym rzecz. Aby wspomnieć jeszcze jego domniemaną bibliotekę, zapytałem:

— Ukojenie swego bólu i samotności znajdujesz w książkach, które posiadasz?

— Książkach? — spytał zdziwiony.

— Tak, tak. Jesteś uczonym człowiekiem i posiadasz mnóstwo pism, których ci tylko można pozazdrościć.

— Kto to powiedział?

— Również krawiec.

Widocznie krawiec wymyślił sobie to kłamstwo, aby mnie zwabić. Murad zorientował się w tym, co powiedziałem, i śpiesznie odpowiedział:

— Efendim! Moja biblioteka wcale nie przedstawia takiej wartości, jak sobie wyobrażasz. Dla mnie ona oczywiście wystarczy, ale dla takiego uczonego jak ty, nie ma ona znaczenia.

— Mam jednak nadzieję, że mi pozwolisz, bym ją kiedyś obejrzał.

— Owszem, ale nie teraz. Jesteś bowiem zmęczony i dlatego pozwolisz, że każę zaprowadzić was do waszego mieszkania.

— A gdzie ono?

— Nie w tym domu, gdyż tutaj by wam zbyt mocno przeszkadzano. Kazałem dla was przygotować Ichtiar ana kullesi. Będziecie się tam czuć swobodnie.

— Jak wolisz, ale dlaczego tę budowlę zwiesz Wieżą Starej Matki?

— Tego nie wiem. Mówią, że jakaś kobieta wracała tam często po śmierci, stając wieczorem w białym całunie na tarasie wieży i błogosławiąc swoje dzieci. Wierzysz w duchy?

— Nie wierzę, ago.

— A więc nie będziesz się chyba także bał staruszki? — Ani myślę! Czy ona się jeszcze pojawia?

— Ludzie mówią, że tak i dlatego nie chodzą nocą do wieży.

Dlaczego aga mi to mówił? Jeżeli w tej wieży straszy, to powinienem chyba odrzucić propozycję noclegu w takim miejscu. Możliwe, że w stroju owej mary chciał nam ktoś zrobić jakiś kawał, a

odpowiedzialność zrzucić na starą kobietę. Był to doprawdy dziecinny pomysł, który mógł się jedynie zrodzić w umyśle takich jak ci ludzie.

— Będziemy się cieszyć — odparłem — że przynajmniej raz zobaczymy upiora i zapytamy go, jak też tam wygląda w kramie zmarłych.

— Jesteś na tyle odważny, efendi?

— No pewnie.

— Ale może ci się przytrafić coś złego. Nie należy rozmawiać z żadnym duchem, bo można to przypłacić życiem.

— W to nie wierzę. Allah nie pozwoliłaby jakiś potępieniec wyrwać się z mąk piekielnych, aby spacerować sobie po ziemi. Zaś duchów dobrych nie trzeba się przecież obawiać. Natomiast z tymi, którzy podszyją się pod upiora, damy sobie radę. A teraz proszę cię, każ nas zaprowadzić do wieży.

— Pójdziecie przez ogród i myślę, że sprawi ci to przyjemność. Utrzymanie go kosztuje mnie dużo pieniędzy, a jest on tak wspaniały, jak park szczęśliwców znajdujący się za wrotami pierwszego raju.

— Boleję nad tym, że nie będę mógł się nim cieszyć, gdyż dolegliwość stopy nie pozwala mi na pójście pieszo.

— Jeżeli chcesz, to mimo to będziesz mógł się nim cieszyć. Nie musisz bowiem iść, lecz możesz jechać. Mój „dom” ma także kłopoty z chodzeniem, dlatego kazałem wykonać krzesło na kółkach, w którym można jechać. Teraz mego „domu” nie ma i możesz się posługiwać jego ruchomym krzesłem.

— Dziękuję za dobry uczynek.

— Każę owo krzesło zaraz sprowadzić. Powiezie cię Humun i on też będzie was obsługiwał.

Wiedziałem, że służący miał nas obserwować, abyśmy nie robili nic, co uszłoby jego uwadze, dlatego odparłem:

— Nie mogę cię pozbawiać twego lokaja i jestem przyzwyczajony do pomocy moich towarzyszy.

— Na to nie mogę pozwolić odparł pan domu. — Oni są tak samo moimi gośćmi jak i ty. Byłoby nieuprzejmością z mojej strony, gdybym zamierzał traktować ich inaczej. Nie przerywaj mi! Humun będzie zawsze przy was, by wykonywać wasze polecenia.

Będzie zawsze przy nas! A więc zostaliśmy oddani pod jego nadzór. W jaki sposób mógłbym się go pozbyć?

Humun wrócił z fotelem na kółkach. Usiadłem w nim i pożegnałem się z agą. Ruszyliśmy wraz z moimi towarzyszami, ale mój fotel popychał Humun. Wyszliśmy długą sienią, najpierw na podwórze, z którego zrobiono gnojowisko. Po obu jego stronach stały niskie szopki wypełnione słomą. Czwarta strona podwórza była zamknięta budynkami stajennymi z prześwitem pośrodku, który prowadził do ogrodu. Rozpoczynał się on trawnikiem, na którym stało kilka kop siana. Dalej przechodziliśmy obok warzywnika, gdzie wśród warzyw i jarzyn kwitły także kwiaty. Miałżeby to być słynny Ogród Szczęśliwców? Jeżeli tak, to Prorok nie miał szczególnego wyobrażenia o goście swoich muzułmanów.

Minąwszy wspomniane grządki, znów znaleźliśmy się na trawniku większym od poprzedniego. Również i tutaj stało kilka dużych stogów siana i różnego rodzaju zbóż. I oto wyrosła przed nami Wieża Starej Matki. Stara, okrągła, czteropiętrowa, a więc stosunkowo wysoka budowla. Jak zwykle w takich budowlach, również i ona nie miała okien ze szklanymi szybami. Wejście do niej stało otworem. Parter składał się z jednego jedyne pomieszczenia, z którego na górę prowadziły nadwerężone schody. Pod ścianą rozścielono maty i dywany, na których leżało sporo poduszek. Pośrodku spoczywała na niskich nóżkach czworokątna deska. Miała ona zastępować stół. I to było wszystko.

— Oto wasze mieszkanie, efendi — wyjaśnił Humun, kiedy wjechał ze mną do wnętrza.

— Często mieszkają tutaj goście?

— Nieczęsto. Ten pokój jest najlepszy z przez nas posiadanych i łaskawca pragnie cię nim wyróżnić.

— A co jest nad nami?

— Jeszcze dwa takie same jak to pomieszczenia, zaś na samej górze znajduje się komnata widokowa. Są one jednak nieurządzone, bo nigdy się w nich nie mieszka.

Otoczające nas ściany wyglądały tak, jakby od czasu do czasu nadgryzało je lekkie trzęsienie ziemi. Surowe. Nietynkowane. Bez komina. Po prostu głucha dziura.

Po drodze wpadł mi do głowy pomysł, w jaki sposób mógłbym się pozbyć służącego. Idąc, spotkaliśmy bowiem człowieka o złym wzroku i zaropiałych oczach i w tym momencie, mimo woli, przypomniałem sobie, że mieszkańcy Bliskiego Wschodu wierzą zabobonnie, iż istnieje coś takiego, co się nazywa „złym spojrzeniem”, a Włosi zwą „iettatura”. Jeżeli człowiek obdarzony złym spojrzeniem popatrzy na kogoś przenikliwym wzrokiem, to ten może oczekiwać czegoś najgorszego. Człowiek posiadający przenikliwe, kłujące spojrzenie łatwo może zostać uznany za „iettatore”, którego wszyscy unikają.

Aby uchronić dzieci przed złym spojrzeniem, zawiązuje im się na szyi czerwone wstążki albo korale. Dorośli znają tylko jeden sposób, aby uchronić się przed następstwami złego spojrzenia. Polega on na tym, aby w stronę złego spojrzenia wystawić rozczapierzone palce. Ten kto to uczyni, a potem szybko się oddali, uchroni się przed szkodliwymi następstwami „iettatury”.

— Jestem bardzo zadowolony z tego mieszkania — powiedziałem. — Mam jednak nadzieję, że na wieczór przyniesiesz nam jakąś lampę?

— Przyniosę ją wraz z wieczornym poczęstunkiem. Czy masz jeszcze jakieś życzenie, efendi?

— Wody! Woda, to wszystko, czego nam teraz potrzeba.

— Biegnę po nią i myślę, że będziecie zadowoleni z mojej sprawności. Takich panów jak wy trzeba szybko obsługiwać. Słyszałem, coście opowiadali łaskawcy. Darzę was szacunkiem i oddaniem. Z drżeniem serca słuchałem o niebezpieczeństwach, na jakie byliście narażeni. Allah miał was w opiece, inaczej już dawno byście zginęli.

— Zgadza się. Allah nas zawsze ratował. Obdarzył mnie bowiem darem, który chroni mnie w każdym niebezpieczeństwie i żaden wróg nie uczyni mi nic złego.

Natychmiast pobudziłem jego ciekawość.

— Co to takiego, efendi? — zapytał podnieconym głosem.

— Moje oko.

— Twoje oko?... Jak to?

— Spójrz mi w oczy, prosto i otwarcie! Zrobił, jak mu kazałem.

— I co, nic nie zauważyłeś? — badałem.

— Nie, efendi.

— Czy w moim wzroku nie ma nic, co by ci podpadło?

— Nic nie spostrzegłem.

— To właśnie dobre dla mnie, że niczego po mnie nie poznać. Natomiast wystarczy, bym tylko spojrział na moich wrogów, a już są zgubieni.

— Jak to? O efendi, Kara ben Nemsy?

— Bo już nigdy w życiu nic im się nie uda. Jeżeli zechcę, to na tego, na kogo spojrzę, spadać będą tylko nieszczęścia. Mój wzrok przyczepi się do niego na zawsze. Jego dusza należy odtąd do mnie i wystarczy, bym tylko o nim pomyślał, życząc mu czegoś złego, a to zło natychmiast go dotknie.

— Czy to prawda, efendi? — pytał śpiesznie pełen strachu. — Czy ty masz może owo fena gös?

— Tak właśnie jest. Mam „złe spojrzenie”, ale patrzę nim tylko na ludzi chcących mego nieszczęścia.

— A więc niech mnie Allah ustrzeże! Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego. Allah, Wallah!

Rozczapierzył w moją stronę wszystkie dziesięć palców, obrócił się na pięcie i dał drapaka w największym pośpiechu. Moi towarzysze się roześmiali.

— Wspaniale to zrobiłeś! — radował się Halef. — On już tu nie przyjdzie, gdyż ma nieczyste sumienie. Przyślą nam innego służącego.

— Z pewnością i przypuszczalnie tego, którego sobie życzę: Janika, narzeczonego młodej chrześcijanki.

— Dlaczego miałoby się tak stać, sihdi?

— Gdyż Humun jest do niego z powodu Anki wrogo nastawiony. Źle mu zatem życzy i postąpi w taki sposób, aby znenawidzony rywal otrzymał od Murada Habulama polecenie usługiwania nam. Teraz jednak pomóżcie mi zająć miejsce na poduszce, a potem idźcie na zwiady. Muszę znać sytuację, jaką mamy w wieży.

Kiedy usiadłem, wszyscy trzej weszli na wieżę, ale wkrótce wrócili, zaś Halef meldował:

— Nie wierzę, aby czyhało tu na nas jakieś niebezpieczeństwo. Obie izby, na pierwszym i drugim piętrze, podobne są do tego pomieszczenia.

— Czy są tam również okiennice?

— Są, i można je zaryglować mocnymi, drewnianymi zasuwami.

— A więc możemy się tak zabezpieczyć, że nikt tu nocą nie wejdzie bez szmeru. A co jest na samej górze?

— Odslonięty ze wszystkich stron taras z dachem wspartym na czterech słupach. A wokół biegnie kamienna balustrada.

— Widziałem ją z zewnątrz. To tam pojawiała się stara kobieta, aby błogosławić stamtąd swoim dzieciom.

— Teraz by już jednak nie wyszła, dawniejszy otwór bowiem został zamurowany — zauważył Halef.

— Musiał zaistnieć ku temu jakiś powód. Ale w jaki sposób, można wejść na ów taras widokowy. Ponieważ jest on odkryty, może tam napadać i woda mogłaby zalewać niższe pomieszczenia. Temu musiano jakoś zapobiec?

— Owszem. Wylot schodów zamknięty został podnoszoną pokrywą. Obito ją na obrzeżu, podobnie jak sam otwór, gumą, tak że pokrywa jest wodoszczelna. Od środka tarasu posadzka jest nieco nachylona, natomiast w murze wykonano mały otwór, którym woda 'może spływać.

— Hm! Ten otwarty taras może okazać się dla nas niebezpieczny. Można się do niego wspiąć z zewnątrz.

— To za wysoko, sihdi.

— Uważam, że nie. Nasza izba jest tak wysoka, że stojąc mogę . prawie dłonią sięgnąć sufitu. Jeżeli pomieszczenia położone nad nami są tak samo wysokie, to zakładam, że podłoga tarasu leży na wysokości jedenastu arszynów. O ile dodam do tego dwa arszyny na grubość murów, to będzie to mniej więcej trzydzieści arszynów.

— Potrzebna jest zatem drabina o takiej wysokości i z pewnością gdzieś ona tutaj jest.

— Też tak uważam. Czy pokrywę można zamknąć?

— Nie — powiedział Halef.

— No proszę! A w pozostałych podłogach nie ma żadnych pokryw do zamknięcia wylotów

schodowych?

— Nie, nie ma.

— A więc dla wrogów naszych, którzy będą mieć przy sobie drabinę, droga do nas stoi otworem. Wdrapią się i zaskoczą nas z góry, skąd z całą pewnością nie powinniśmy się ich spodziewać. Muszę osobiście wejść na górę, aby się przyjrzeć całej sprawie. Weźmiesz mnie na ramiona, Omar!

— Wskakuj, efendi!

Usiadłem okrakiem na jego barkach, on zaś poniósł mnie na górę. Każde piętro wieży składało się podobnie jak parter tylko z jednej izby. W podłogach znajdowały się luki, którymi poprowadzono schody. Luki nie posiadały zamknięć, poza górnym piętrem zamykanym masywną, ciężką pokrywą. Guma na obrzeżach pokrywy czyniła ją wodoszczelną. Mur otaczający ów górny taras był wysoki tylko na dwa łokcie, tak że pomiędzy słupami wspierającymi dach znajdowały się przestronne otwory. Z nich roztaczał się miły widok na pola uprawne i owocowe gaje.

Wokół wieży biegł zewnętrzną stroną balkon, tu i ówdzie osypujący się, z którego niejedyn kamień zdołał się już zwalić. Przebywanie na balkonie groziło nieszczęściem, i to było z pewnością powodem zamurowania otworu doń prowadzącego. Można się było wspiać na balkon z zewnątrz, przy pomocy drabiny, aby potem zejść do nas trzy piętra w dół. Gdybyśmy chcieli się przed tym ustrzec, wówczas musielibyśmy zabarykadować pokrywę od wewnątrz na tyle, aby od zewnątrz nie można jej było otworzyć.

Widoczność teraz nieco się pogorszyła. Już podczas ostatniej godziny naszej jazdy zauważyliśmy chmury, które zasnuły skraj horyzontu i pięły cię coraz wyżej.

Ledwo znaleźliśmy się znów w naszym pomieszczeniu, zjawił się w nim barczysty młodzian, który przyniósł nam dwa naczynia z wodą, w jednym do picia, w drugim do mycia. Miał szczerą, mądrą twarz i przyglądał się nam przyjaznym i bystrym wzrokiem.

— Dobar wieczor — dobry wieczór! — pozdrowił nas po bułgarsku i kontynuował po turecku: — Aga kazał mi przynieść wodę, efendi. Posiłek będzie wkrótce także gotowy.

— Dlaczego nie przyszedł Humun?

— Bo jest potrzebny adze.

— Ale aga powiedział nam przedtem coś wręcz przeciwnego.

— Zaczęły go boleć nogi, dlatego potrzebuje służącego.

— Więc przysłano nam ciebie?

— Tak, efendi. Jeżeli nie życzysz sobie jakiejś zmiany.

— Podobasz mi się bardziej niż Humun. Ty jesteś chyba Janik, narzeczony Anki?

— Tak, efendi. Dałeś Ance bogaty upominek. Ona przyjrzała się otrzymanym pieniądzom dopiero po powrocie do domu i kazała przeze mnie je tobie oddać, bo z pewnością się pomyliłeś. To niemożliwe, byś tyle chciał jej dać.

Janik podawał mi pieniądze.

— Ja ich nie odbiorę. Jeżeli będę zadowolony z twoich usług to być może i ty otrzymasz taki prezent.

— Efendi! Ja nie chcę bakszyszu. Jestem biedny, ale chętnie będę ci służył. Anka powiedziała, że ty jesteś naszej wiary i w Rzymie widziałeś nawet Ojca Świętego. Jest to zatem sprawa serca, które każe mi okazać tobie moje oddanie.

— Widzę, że jesteś dzielnym młodzieńcem i cieszyłbym się, gdybym mógł ci się okazać w czymś pomocnym. Masz jakieś życzenie?

— Tylko jedno. Abym rychło mógł mówić o Ance jako o mojej żonie.

— A więc staraj się, abyś szybko uskładał te tysiąc piastrow!

— Ach, to Anka już to wypaplała! Ale jeśli już o tym mówimy, to mój tysiąc już prawie mam. Natomiast Anka nie ma jeszcze tyle.

— Ile ci jeszcze brakuje?

— Tylko dwieście.

— Kiedy je zarobisz?

— Chyba w ciągu dwóch lat, muszę być jednak cierpliwy. Ukraść ich nie mogę, zaś aga płaci nędznie.

— A co by było, gdybym ci te dwieście piastrów podarował?

— Efendi! Ty chyba żartujesz!

— Nie wypadaloby mi żartować z takiego dzielnego młodzieńca jak ty. Chcę ci dać te pieniądze, a tym pomożesz nimi Ance. Proszę, oto one!

Równowartość nie wynosiła nawet czterdziestu marek. Dałem mu je z przyjemnością, bo był ich wart, a poza tym nie obciążało to mojej kieszeni. Bardzo się uradował, chociaż nie mógł zrozumieć, że ktoś obcy może go bez powodu tak hojnie obdarować. Nie wyjawilem mu zresztą prawdziwej przyczyny. I bez tego zamierzałem osiągnąć swój cel, bo byłem przekonany, że Janik z całą stanowczością opowie się teraz po naszej stronie. Zapewnił nas zresztą, że uczyni wszystko, abyśmy byli z niego zadowoleni.

Ostrożnie zacząłem go wypytywać o jego pana, i w rezultacie zdołałem ustalić, że:

Murad Habulam był człowiekiem, który przeszedł na islam, bratem Manacha el Barszy, poborcy podatkowego, który zbiegł z miasta Üskiib po sprzeniewierzeniu pieniędzy publicznych. Dlatego twarz agi zdawała mi się być znajoma. Manach el Barsza zjawiał się często u Murada Habulama, a ponieważ nie powinien się nikomu pokazywać, przynajmniej nie w tej okolicy, miał on kryjówkę w stogu postawionym blisko naszej wieży. Kryjówka ta miała stanowić dla służby tajemnicę, ale służba dawno już ją odkryła, nie puszczając oczywiście pary z ust. Również Janik otrzymał polecenie, aby się od nas zbytnio nie oddalał i informował swego pana, o czym będziemy mówić.

— A więc powiedz mu — rzekłem na zakończenie — że nas nie rozumiałeś, gdyż rozmawialiśmy po arabsku, a ty nie znasz tego języka.

— Tak będzie najlepiej. Teraz muszę już iść, gdyż posiłek jest już z pewnością gotowy.

Wychodzącego Janika poprosiłem o to, żeby zostawił otwarte drzwi, abym mógł się przyjrzeć podejrzanemu stogowi. Miał on sporą , objętość, ale w miejscu naprzeciwko nas, u dołu stogu, spostrzegłem coś, co wyróżniało to miejsce w całym stogu. Było to na pewno wejście. Ze szczytu lejkowatego zadaszienia wystawała żerdź wyposażona w wiecheć. Możliwe, że to urządzenie służyło do przekazywania potajemnych sygnałów.

Janik wrócił wkrótce z dużym koszem w ręku i wyłożył zawartość na nasz niski stół. Posiłek składał się z placków kukurydzianych, mięsa na zimno i ciepłej, pachnącej pysznie jajecznicy.

— Efendi! — powiedział. — Anka szepnęła mi, abyście się wystrzegali jedzenia jajecznicy.

— Czy zauważyła coś podejrzanego?

— Aga sam ją przygotowywał i wyprawił Ankę z kuchni, ale ona go podpatrywała i zobaczyła, że wyjął z kieszeni torebkę z trucizną na szczury.

— Czy aga pozostał w kuchni?

— Owszem. I pytał mnie, o czym rozmawialiście, a ja odpowiedziałem mu tak, jak kazałeś. Poleciał mi, bym dla was był bardzo uprzejmy i rozmawiał z wami jak najczęściej, aby nakłonić was do odpowiedzi, a może i wzbudzić w was ochotę do nawiązania ze mną rozmowy. Aga przyrzekł mi pięć piastrów bakszyszu, jeżeli dobrze się wywiążę z mego zadania.

— A więc zastanów się, czy masz ochotę sprzedać duszę piekłu za pięć piastrów.

— Nie zrobię tego nawet za tysiące! Anka kazała wam powiedzieć, że chleb i mięso możecie jeść bez obaw.

— Zatem jej posłuchamy. Natomiast jajecznicą poczęstujemy zaraz wróble.

Do jakiego stopnia nasze mieszkanie było komfortowe, można chyba najlepiej ocenić na podstawie faktu, że kilka rodzin wróbli założyło tutaj swoje siedziby. Z murów wypadł niejeden kamień i w powstałych otworach znajdowały się gniazda zuchwałych ptaków, które nie posiadały ani stylu, ani na tyle zmysłu porządku, by swoim miejscom lęgowym nadać jakiś trwały i miły dla oka kształt.

Wróble wcale się nas nie bały. Wpadały do wnętrza i wylatywały z niego zupełnie się nie trwożąc i przyglądały nam się ze swoich okienek z ową ufnością, z jaką patrzą wróble na ludzi, których się wcale nie obawiają. Rzuciłem im do kąta kilka kawałków jajecznej potrawy, do których zleciały się z piskiem i jazgotem. Ogół ptasich mieszkańców znajdował się teraz w wieży. Na dworze zaś pociemniało i dalekie grzmoty oznajmiły nadchodzącą burzę.

— Przynieś nam jakąś lampę — poleciłem Janikowi — i wykorzystując okazję powiedz adze, że pozamykamy na zasuwę wszystkie okiennice.

— Dlaczego?

— Z pewnością cię o to spyta. Powiedz mu, że nie zamierzamy wpuszczać do wnętrza ducha starej matki.

Gdy Janik się oddalił, moi towarzysze udali się na górę, aby zaryglować okiennice. Chłopak wrócił niosąc starą, kamionkową lampę, w której było tak mało oliwy, że po godzinie lampa z pewnością by zgasła.

— Dlaczego przyniosłeś tak mało oliwy? — wypytywałem.

— Aga mi więcej nie dał. Powiedział, że chyba wkrótce położycie się spać. Anka natomiast jako mądra dziewczyna dała mi ukradkiem to tutaj.

Wyjął z torby buteleczkę z oliwą.

— Nie jest to tylko skąpstwo — powiedziałem sobie. — Aga Murad chce, abyśmy znaleźli się bezradni w ciemności.

Trwożliwe popiskiwanie i ćwierkanie zwróciło moją uwagę ku wróblom. Ptaki siedziały w gniazdach z nastroszonymi piórami i sprawiały wrażenie, że cierpią na jakieś dolegliwości. Jeden z nich, trzepocząc skrzydełkami, opuścił swoje schronienie i upadł na ziemię, gdzie kilka razy się otrząsnął i więcej się nie poruszył. Nie żył.

— Tak szybko! — mruknął Halef. — Ten łajdak musiał dla nas wsypać porządną porcję trucizny.

— Oczywiście, że do otrucia czterech silnych mężczyzn potrzebna jest odpowiednio duża dawka. Jasne, że z nami nie poszło by tak łatwo jak z wróblami. Człowiek ten jest nie tylko bezgranicznie zły, ale jest także w najwyższym stopniu głupi. Pomyślał bowiem sobie, że padniemy szybko jak te wróble i nie będziemy mieli czasu na zemstę.

Na ziemi leżało już teraz wiele martwych ptaków. Żał mi było tych biednych wróbli, ale musiałem je poświęcić, aby upewnić się co do zamiarów agi.

— Co teraz poczujesz z tym omletem, sihdi? — zapytał mnie Halef. — Może pójdziemy do Murada Habulama i zmusimy go batem do skonsumowania własnego omletu?

— Wykonamy pierwszą część twojej propozycji z pominięciem końcówki. Złożymy teraz krótką wizytę Muradowi, zabierając ze sobą omlet przybrany martwymi ptakami.

— Nie czyn tego efendi! — prosił Janik — bo będzie ze mną źle, gdyż aga domyśli się, że was ostrzegłem.

— Zapobiegniemy temu w ten sposób, że powiemy iż poczęstowaliśmy cię omletem. Ty

natomiast musisz udawać, że masz silne bóle brzucha. Potrafisz to odegrać?

— Myślę, że tak.

— Resztę mnie pozostawcie. Możesz nam teraz powiedzieć, gdzie znajduje się w tej chwili aga Murad?

— W swoim pokoju za salonem, w którym wy u niego przebywaliście. Drzwi do tego pokoju bez trudu zobaczycie. Jeśli go tam nie będzie, to zastaniecie go w kuchni, gdyż Anka powiedziała mi, że on chce być także przy przygotowywaniu dla was kolacji.

— A gdzie jest ta kuchnia?

— Na lewo od drzwi wejściowych. Przewożono cię obok niej. Ale postępujcie tak, aby was zbyt wcześnie nie spostrzeżono, gdyż aga może się wtedy ukryć.

Janik wyszedł. Wyruszyliśmy po chwili, ja na ruchomym fotelu. Halef nie pozwolił sobie odebrać przywileju niesienia omletu i przykrył go połą kaftana. Zrezygnowaliśmy jednak z przejścia przez podwórze, kierując się zatem ku stajni, a potem szliśmy wzdłuż budynku mieszkalnego, aby nas zbyt wcześnie nie zobaczono.

Najpierw szukaliśmy pana domu w jego pokoju. Ponieważ salon wyłożono dywanami i matami, nie spowodowaliśmy żadnego szmeru. Osko otworzył drzwi prowadzące dalej i zajrzał do środka.

— Czego chcesz? — usłyszałem przerażony głos Murada Habulama.

W tym momencie Omar wjechał z moim fotelem. Kiedy tylko Turek mnie zobaczył, rozczapierzył wszystkie dziesięć palców w moim kierunku, krzycząc w najwyższym przerażeniu:

— Hasza, fi amahn Allah! — Boże zachowaj mnie, Boże uchroni mnie! Odejdź, odejdź! Masz bowiem złe spojrzenie!

— Nie obawiaj się! Dopóki będziesz mi przychylny, moje oko ci nie zaszkodzi.

— Nie wierzę w to! Odejdź, odejdź!

Aby na mnie nie patrzeć, odwrócił się z przerażeniem i wyciągnął obie ręce w kierunku drzwi.

— Co ty sobie wyobrażasz? — odezwałem się surowo. — Czy w taki sposób traktuje się gościa? Mówię ci, że moje spojrzenie ci nie zaszkodzi i nie odejdę wcześniej, zanim nie omówię z tobą celu mego przybycia, a zatem odwróć się do mnie i bez obawy spojrzij mi w twarz!

— Czy na Allaha możesz mnie zapewnić, że twój wzrok, mimo że na mnie padnie, nie wyrządzi mi zła?

— Zapewniam cię.

— A więc spróbuję. Ale mówię ci, że dosięgnie cię moja najstraszniejsza klątwa, jeżeli sprowadzisz na mnie nieszczęście.

— Nie będziesz musiał tego czynić, bo moje oko spocznie na tobie tylko z życzliwością, nie wyrządzając ci szkody.

Dopiero teraz aga odwrócił się do mnie, ale na jego twarzy malowała się tak wielka trwoga, że w duchu się uśmiełem.

— Czego sobie ode mnie życzysz? — zapytał.

— Chciałem cię prosić o małe wyjaśnienie, a przedtem jeszcze skierować do ciebie życzliwą prośbę. Istnieje taki zwyczaj, że pan domu łamie się chlebem ze swymi przyjaciółmi. Ty nie mogłeś tego uczynić, gdyż podagra uniemożliwiła ci...

W połowie przerwałem i zacząłem przyglądać się teraz bacznie nogom Murada. Ale tak naprawdę, to zaraz przy wejściu spostrzegłem, że z jego nóg zniknęły grube spowicia. Aga stał przede mną wyprostowany. Obszerne pludry zwisały mu w falbanach wokół kolan, a jego ruchy wywołane przerażeniem były tak szybkie i zdecydowane, że wykluczały jakąkolwiek bolesną chorobę. Dlatego po przerwie wywołanej zdziwieniem powiedziałem:

— Co ja widzę? Czyżby Allah dokonał cudu i twoja choroba nagle ustąpiła?!

Zaskoczyłem agę tym kłopotliwym pytaniem do tego stopnia, że zdołał on tylko wymamrotać kilka niezrozumiałych słów.

— A bałeś się mego wzroku? — ciągnąłem dalej. — Tym, którzy są do mnie przychylnie usposobieni, moje spojrzenie przynosi samo dobro. Jestem przekonany, że twoje nagłe wyzdrowienie zawdzięczasz memu oku i mojej życzliwej przyjaźni.

Takie stwierdzenie podsunęło mu wygodną wymówkę i korzystając z tego skwapliwie powiedział:

— Tak, efendi. Sposób wyzdrowienia mógł być tylko taki. Od lat cierpię na to schorzenie. Ledwo ode mnie wyszedłeś, poczułem w nogach jakieś nieopisane uczucie. Spróbowałem iść i patrzcie... udało się! Jeszcze nigdy w życiu nie poczułem się tak zdrowy i silny jak obecnie. Tylko twoje spojrzenie mogło to sprawić!

— A więc staraj się, aby się nic nie odmieniło! Zmiana twego usposobienia spowoduje także odmianę w stanie twego zdrowia. Będziesz bardziej chory niż kiedykolwiek przedtem.

— Efendi! Dlaczego miałbym o tobie inaczej myśleć. Nie uczyniłeś mi nic złego, lecz mnie uzdrowiłeś. Jestem twoim przyjacielem, a ty jesteś nim dla mnie.

— To prawda. I właśnie dlatego przykro mi, że nie mogłem z tobą dzielić naszego posiłku. Nie powiesz jednak o nas, że nie znamy zasad uprzejmości i przyjaźni. Dlatego przyszedliśmy tutaj, aby ci przynieść najlepszą część i prosić ciebie, byś ją spożył w naszej obecności. Będziemy się przyglądać i serdecznie cieszyć, gdy dar ten skonsumujesz, wyrażając tym samym twój szacunek dla nas. Podaj go, Hadzi Halef Omar!

Halef odchylił połą kaftana z omletem, podszedł do Murada i podał mu go ze słowami:

— Och, ago! Weź tę gościnną potrawę i z łaski swej pozwól nam się przyjrzeć, jak ci ona smakuje!

Na omlecie spoczywało sześć martwych wróbli.

— Co to ma znaczyć? Skąd tu te wróble?

— Poczęstowałem je kawałkiem omletu, lecz one skosztowawszy go, zdechły zaraz z rozkoszy. Stały się teraz ptakami rajskimi i unoszą się obecnie w rajskich ogrodach, aby słowiczymi trelami opiewać chwałę twoich kulinarnych umiejętności.

Murad nie wyciągnął ręki po omlet. Zrobił się blady i wyjąkał:

— Nic z tego nie rozumiem, efendim. Dlaczego wróble zdechły od omletu?

— Chciałem cię właśnie o to spytać i dlatego tutaj przyszedłem.

— Co mam na to odpowiedzieć?

— Przecież ty to najlepiej wiesz. Czy to nie ty przygotowywałeś tę potrawę?

— Ja!? Jak mogłeś wpaść na myśl, że miałbym ją sam smażyć?

— Myślałem, że przyjaźń, jaką nas darzysz, kazała ci przygotować potrawę własnymi rękami.

— Nie wpadłem na taki pomysł. Nie jestem kucharzem i wszystko bym popsuł.

— Komu zatem zawdzięczamy tę wspaniałą jajeczną potrawę?

— To Anka, służąca, ją smażyła.

— Pokaż jej ten omlet i powiedz, żeby sama go spróbowała. Nie jest to potrawa życia, lecz potrawa śmierci. Tego, kto ją spożyje, zamieni w proch.

— Przerażasz mnie, efendi!

— Przeraziłbyś się jeszcze bardziej, gdybym nie miał owego złego spojrzenia. Leżelibyśmy teraz w wieży martwi, a nasze dusze zjawiałyby się nocą wraz ze zjawą starej kobiety, aby oskarżać lekkomyślnych, którzy umieścili śmierć w potrawie. Mój wzrok jest na szczęście tak bystry, że

potrafi wszystko przemknąć. Dlatego spostrzegłem w mej zaraz truciznę na szczury i aby ci jej obecność udowodnić, rzuciłem ją ptakom, które bardzo szybko pozdychały.

— Na Allaha! I ja mam w to uwierzyć?

— Ja ci to mówię i dlatego musisz mi wierzyć.

— Ale w jaki sposób mogło do tego dojść? W mojej kuchni nie ma przecież trucizny!

— Lecz szczury w domu masz?

— Bardzo dużo.

— I także truciznę, aby je zniszczyć?

— Owszem. Sprowadziłem ją z Üsküb.

— A gdzie ją przechowujesz?

— Tu, w moim pokoju. Leży na gzymsie. Tylko sam mam do niej dostęp.

Spojrzałem w to miejsce. Na wąskim występie stały różnego rodzaju skrzyneczki i puszki. Brakowało jednej torebki. Możliwe, że miał ją jeszcze w kieszeni. Dlatego powiedziałem:

— Jeśli nie potrafisz tego wytłumaczyć, to posłużę się moim wzrokiem, który dojrzy wszystko, co ukryte. Widzę w kuchni Ankę i także ciebie, potem ty ją po coś posyłasz. Podczas kiedy ona jest na dworze, wyjmujesz z kieszeni torebkę z trucizną i wsypujesz ją do ciasta.

Aga cofnął się o kilka kroków.

— Efendi! Nie jestem przecież trucicielem!

— Tego nie powiedziałem. Może tylko przez przeoczenie wzięłeś truciznę za cukier.

— Nie, nie! Twój wzrok cię okłamuje. Ja przecież wcale nie byłem w kuchni!

— Ja jednak nie będąc tam fizycznie, widzę cię w myślach w tym właśnie miejscu!

— Jesteś efendi w błędzie. To musiał być ktoś inny!

— Ja się nigdy nie mylę. Włóż rękę do kaftana, a okaże się, że truciznę masz przy sobie.

Mimo woli wsunął prawą rękę do kieszeni, ale wyjął ją znów szybko i zawołał:

— Nie wiem, czego ty chcesz, efendi! Dlaczego miałbym nosić przy sobie truciznę?

— Aby poczęstować nią szczury.

— Ale ja nie mam żadnej trucizny!

— Ago Muradzie Habulamie, teraz mnie okłamujesz. Masz przecież torebkę w kaftanie!

— Nie mam, o Kara ben Nemi!

— Hadzi Halef, wyjmij ją!

Hadzi podszedł do niego i już chciał sięgnąć ręką, lecz Murad Habulam cofnął się i uniósł się gniewem:

— Coś się do mnie przyczepił? Uważasz może, że jestem łobuzem, z którym można robić, co się komu żywnie podoba? Żaden człowiek nie ma prawa, by mnie przeszukiwać i plądrować moje kieszenie, i do tego w moim własnym domu!

W tym momencie Halef podniósł w górę ostrzegawczo palec.

— Nie wzbraniaj się, ago! Jeśli rozniewasz mego pana, rzuci on na ciebie złe spojrzenie i wtedy nie rękę za twoje życie. Zastanów się!

Hadzi już teraz bez przeszkód zanurzył rękę w kieszeni Murada i wyjął stamtąd torebkę z trucizną.

— I co teraz powiesz, Muradzie Habulamie! Kto miał rację?

— Ty, efendi! — wybełkotał. — Ale na Allaha, ja zupełnie nie wiem, jakim sposobem ta torebka znalazła się w mojej kieszeni. Musiał mi ją ktoś włożyć, aby mnie zniszczyć.

— Mam w to uwierzyć?

— Musisz, bo przysięgam ci na brodę Proroka. Nie mógł tego zrobić nikt inny jak tylko Janik, gdyż tylko on przebywał w kuchni.

— Jego najmniej o to podejrzewam.

— Ty go nie znasz. Janik jest podstępny człowiekiem, który ma tylko złe zamiary. Dlaczego wysłał was do mnie? Czyż nie jest u was, aby was obsługiwać? Czyżby nie wiedział, że was nie oczekiwałem? Dlaczego was nie powstrzymał przed przyjściem do mnie?

— Bo tego nie mógł zrobić. Aby nie słuchać jego sprzeciwów, wysłałem go do stajni, a potem wyszliśmy szybko i po kryjomu.

— A mimo to uważam, że winien jest Janik!

— Podejrzewasz go, mimo że nie jest winowajcą. Janik zjadł bowiem kawałek omletu, którym go poczęstowaliśmy. A czy jadłby go, gdyby sam wsypał do niego truciznę?

— Co? On jadł, on?

— Sam go spytaj. Nie widzisz, że kawałka brakuje? Brakujący kawałek ukryliśmy.

— Na Allaha! Janik teraz umrze!

— Niestety! A ty jesteś tego sprawcą! Dlaczego podałeś nam tę śmiertelną strawę? Mnie nie oszukasz. Ale nie chcę cię teraz karać, lecz zostawię ci jeszcze czas na skruchę. Wystrzegaj się jednak knowania przeciwko nam! Powiniennem właściwie natychmiast opuścić twój dom, ale wówczas nieszczęście zatrzyma się u ciebie i cię unicestwi. Dlatego z litości pozostanę jeszcze do jutra, abyś mógł się poprawić. Teraz zostawiamy cię samego. Zastanów się, jak nierozsądnie postąpiłeś i jak chcesz dalej postępować!

Aga nie odpowiedział nawet półsłówkiem, a myśmy się oddalili. Wystrzegalem się jasnej wypowiedzi. Nie powinien się bowiem jeszcze dowiedzieć, co i jak o nim myślimy. Kiedy znaleźliśmy się na podwórzu, zabłysło i zagrzmiało. Rozpętała się burza i dlatego śpieszno nam było, aby znaleźć się w wieży, gdzie oczekiwał nas Janik.

W WIEŻY STAREJ MATKI

Z powodu burzy i zbliżającego się schyłku dnia, zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Halef chciał zapalić lampę, ale mu to odradziłem. Drzwi pozostały uchylone, tak że z mojego siedzenia mogłem przez szparę patrzeć w ogród i mieć na oku wrogów. I choć było to mało prawdopodobne, że coś zauważę — bo postępować będą raczej z wielką ostrożnością — to zdarzyło się coś co można nazwać szczęśliwym dla nas trafem.

Oto oślepiająca błyskawica rozjaśniła na moment ciemności, ale ta sekunda wystarczyła, abym zobaczył kręcących się przy stogu zboża ludzi. Dwaj z nich, nachyleni, usiłowali wyciągnąć z niego kilka snopów, aby otworzyć w ten sposób wejście do wnętrza. Kim byli ci ludzie? Prawdopodobnie należeli oni do oczekiwanych przez nas osobników, którym deszczowa pogoda zapędzająca mieszkańców do domu, stwarzała sprzyjającą okazję, aby dostać się do kryjówki. Postanowiłem ich podsłuchiwać.

Najpierw poleciłem Janikowi, aby stanął przy drzwiach i zaobserwował, kiedy zaistnieje odpowiedni moment. Nieustanne błyskawice zapewniały dostateczne oświetlenie. Gdy Janik zameldował mi, że nikogo już nie widzi i otwór w stogu został znów zasłonięty, kazałem jemu i Omarowi, aby zanieśli mnie pod stóg. Kiedy potem obaj w pośpiechu szybko się wycofali, spróbowałem wcisnąć się pomiędzy ułożone poziomo snopy. Było to trudne, gdyż snopy zbiły się ściśnięte własnym ciężarem, ja natomiast musiałem unikać wszelkiego szelestu.

Z tego też względu sprzyjał mi głośny łoskot deszczu, wycie wichru i niemalże bezustanne dudnienie grzmotu. Z głową do przodu, coraz głębiej wciskałem się pomiędzy snopy. Żdźbła żyta były bardzo długie, można powiedzieć, że odpowiadały wzrostowi człowieka i w dodatku powiązane były nie na chybił trafił w byle jakie wiązki, ale ułożono je specjalnie tak, że snopki stawały się dłuższe ponad normalną długość słomy. Stąd grubość ściany stogu przekraczała długość mego ciała, dzięki czemu mogłem zniknąć w stogu razem z nogami, nie wystawiając ze słomy także głowy we wnętrzu.

Snopy spoczywały pełnymi kłosami do środka. Z wolna posunąłem się tak dalece do przodu, że kłosa zasłaniały mi twarz, ja natomiast mogłem spomiędzy nich obserwować całe puste wnętrze stogu. Burza bardzo mi w tym wszystkim sprzyjała. Ruchy moje powodowały nieunikniony szelest w słomie i wypadanie ziarna, co by mnie w innych warunkach niechybnie zdradziło. Nie mogąc się swobodnie poruszać, nie byłbym w stanie się nawet bronić. Trafiłaby mnie każda wycelowana we mnie kula, gdyż nie mógłbym się od niej uchylić. Jedyne ratunek był tylko w tym, że mogłem ubiec wroga. Dlatego jeszcze przed zanurzeniem się w stogu wziąłem do ręki oba rewolwery, bo przecież wciśnięty w słomę nie mógłbym po nie sięgnąć. Wszystko inne, nawet nóż i zawartość moich kieszeni, pozostawiłem w wieży, gdyż cokolwiek bym tutaj zgubił, trudno by to było odnaleźć.

Kolista powierzchnia stogu miała około ośmiu metrów średnicy i mniej więcej dwumetrowej grubości ściany. A zatem, wewnętrzne pomieszczenie miało średnicę około czterech metrów, tak że nawet tuzin siedzących mężczyzn miało w nim wystarczająco dużo miejsca. Pośrodku stał wbity w ziemię mocny, wydrążony kół, podpierający gruby, słomiany dach. Wokół rozłożono snopy przeznaczone do siedzenia, zaś na słupie wisiała zapalona latarnia oświetlająca pomieszczenie. Wejście składało się z kilku mniejszych wiązek łatwych do odsuwania i zasuwania, co z zewnątrz było niewidoczne, natomiast od wewnątrz było łatwe do rozpoznania.

Po co urządził Murad Habulam tę kryjówkę? Czy tylko po to, aby ukryć w niej swego brata Manacha el Barszę? Wtedy mógłby ją zrobić o wiele mniejszą, a poza tym w jego domu czy zagrodzie znalazłoby się z pewnością jeszcze inne wygodniejsze lokum, które mogłoby służyć jako miejsce pobytu jednej jedynej osobie. Zresztą były poborca podatkowy przyjeżdżał z pewnością tylko konno i dlatego dla zwierzęcia byłaby także niezbędna jakaś specjalna kryjówka.

Stóg był więc przygotowany do przyjęcia liczniejszego towarzystwa. Służył on do tajnych spotkań i łatwo się było domyślić, że przestający tu ze sobą ludzie należeli do zwolenników Szuta. O ile tak naprawdę było, to z całą stanowczością można rzec, iż Murad Habulam był wybitnym członkiem przestępczej bandy. Siedział teraz naprzeciw mnie. Po obu jego bokach siedzieli: jego brat Manach el Barsza i Barud el Amasad. Obok Baruda usadowił się Mübarek z ręką na temblaku. Przy wejściu stał służący Humun, a naprzeciwko brat zabitego rzeźnika z Żigancy, Hajdar. Zjawił się tutaj także, tak jak przypuszczałem.

Po tej samej stronie, gdzie byłem ukryty, przycupnęli bracia Aladzi i szpieg Suef. Widzieć ich nie mogłem, ponieważ siedzieli poniżej mojej tkwiącej w słomie głowy, ale słyszałem, jak rozmawiali. Było tu zatem dziewięciu ludzi, przed których wrogością musiała się bronić nasza czwórka. Odzież mieli przemoczoną od deszczu i do tej mokrej odzieży przylepiła się teraz taka ilość plew, że nie można było poznać jej właściwej barwy.

Pierwszy, którego usłyszałem, był Miridita, zgłaszający mało znaczącą dla mnie przestrożę:

— Nie powinniśmy zostawiać naszych koni w zagajniku, bo w takiej burzy nie jest to bezpieczne.

— Nie musisz się obawiać — odparł Murad Habulam. — Moi parobcy są dobrymi stróżami.

Konie stały zatem w jakimś zagajniku i to pod nadzorem kilku parobków agi. To pozwoliło mi się upewnić, że oprócz Humuna ma on jeszcze więcej zaufanych ludzi.

Mübarek zdjął rękę z temblaka i Barud el Amasad odwinął z niej bandaż. Habulam podał mu puszkę z maścią, którą z pewnością już wcześniej u niego zamówiono. Na ziemi stał dzban, którego zawartością wymyto rany. Widziałem, że mój przedwczorajszy strzał przeszedł przez ramię starego, natomiast wczorajsza kula zdruzgotała mu staw łokciowy. Obie rany, a szczególnie ta ostatnia, musiały go bardzo boleć, tym bardziej, że nie było mowy o jakimś prawidłowym opatunku. W najlepszym wypadku będzie miał sztywną rękę, lecz bardziej prawdopodobne było to, że będzie trzeba mu amputować przynajmniej przedramię. Należało się jednak obawiać, że jeśli nie znajdzie się wkrótce pod właściwą opieką, to pojawi się u niego gangrena.

Po umyciu ran, nałożono na nie lnianą szmatkę posmarowaną maścią i zawinięto je chustą. Mübarekowi nie drgnął przy tym żaden mięsień twarzy. Musiał mieć bardzo mocne nerwy, gdyż inaczej nie zniósłby tego bólu.

— Na Allaha! Jakże cię ten przybłęda zaprawił! — wzdychał Murad Habulam. — Ta ręka nigdy już nie będzie taka jak ongiś.

— Zostałem kaleką... Nędznym kaleką, który nie może władać ręką — powiedział przez zaciśnięte zęby stary. — Ale ten giaur umrze za to dziesięciokrotną śmiercią. Czy udało się go z łatwością wciągnąć w pułapkę?

— Wpadł jak wrona, której zimą wyklada się w papierowej torebce kawałek mięsa. Głupi ptak wkłada do środka głowę, aby wyjąć z niej mięso. Ponieważ jednak torebkę wysmarowano klejem, dlatego przykleja się ona ptakowi do głowy, przez co ptak nic nie widzi i można go złapać nawet rękami. Taką właśnie torebkę zarzuciliśmy przybyszowi na głowę. Mój brat mówił mi o nim jako o bardzo mądrym człowieku, ale on tego wcale nie dowiódł.

— Mądry to on nie jest, ale ma na swoich usługach szejtana, który go chroni.

— Mylisz się, nie służy mu żaden diabeł, tylko ma złe spojrzenie.

— Na Allaha! — zawołał Mübarek. — Czy to prawda?

— Powiedział o tym Rumunowi i ostrzegł go przed tym spojrzeniem. Ale najgorsze jest to, że ma on nie tylko zwyczajne złe spojrzenie działające przy bezpośrednim spotkaniu, lecz może również działać na odległość. Wystarczy, że wyobrazi sobie chociażby tylko w myślach jakąś osobę i spojrzy na nią oczami ducha, wówczas jego wzrok posyła wskazanej w myślach osobie całe zło.

— Niech Allah będzie dla nas łaskawy! To nie diabeł, lecz jego zły wzrok czyni go niepokonanym. Kto z nim walczy, musi na niego patrzeć i wtedy jest zgubiony. Nie można więc z tym człowiekiem walczyć otwarcie, lecz trzeba go uśmiercić podstępem i uważać za wszelką cenę, aby na nas przy tym nie spojrział.

— A więc nici z naszego pięknego planu? — spytał Murad.

— Niby tak. Chyba że jeden z was odważyłby się udawać upiora, ale nie radziłbym tego nikomu, gdyż spocznie na nim wzrok przybysza i przyniesie mu zagładę. Komu to przypadło?

— Humunowi.

— Nie chcę, nie chcę! — wołał przerażony służący. — Wpierw się zgodziłem, ale teraz nie mam ochoty udawać ducha starej matki. Życie jest mi jeszcze miłe.

— Może znajdzie się zatem ktoś inny na ochotnika — powiedział aga. Ponieważ jednak nikt nie opowiedział się za duchem, dlatego ciągnął dalej: — A więc nie? Musimy więc wymyślić coś innego. W tym gronie możemy to omówić.

— To wcale nie wymaga jakiejś długiej narady — wyjaśnił Barud el Amasad. — Chcemy śmierci tych ludzi i musimy ich zabić, przy czym uniknąć trzeba, aby ten Niemiec na nas spojrział. Może się to stać tylko w ten sposób, że napadniemy we śnie na niego i jego ludzi.

— Prawidłowo! — przytaknął Manach el Barsza. — Poczekamy, aż przybysze zasną, i wtedy na nich napadniemy, chyba że wcześniej zginą od trucizny na szczury podanej im przez mego brata.

— Trucizna na szczury? — spytał Mübarek. — Podano im coś takiego?

— Owszem. Omówiłem to z Muradem w momencie, w którym zameldowałem mu o waszym przybyciu. Truciznę chciał im podać w omlecie, który z pewnością już spożyli.

— No to śmierć ich jest pewna, o ile tylko nie wsypał jej zbyt mało.

— Wsypałem do jaj pełne trzy garście — mruknął Habulam. — To wystarcza, aby otruć dziesięciu ludzi, lecz okazało się, że tym kreaturom wcale ta trucizna nie zaszkodziła.

— Nie zaszkodziła? — dziwił się Mübarek. — Jak to?

— Bo ci ludzie wcale jej nie jedli! Ten giaur ze złym spojrzeniem spostrzegł w niej zaraz truciznę.

— To przecież niemożliwe! — obruszył się Manach.

— Niemożliwe? Chciałbym wiedzieć, co w ogóle jest dla tego człowieka niemożliwe! Pomyślcie tylko, że wraz z trzema swoimi towarzyszami przyniósł mi ten omlet. I w ironicznie przyjaznym tonie powiedział mi, że najlepsza część posiłku należy się gospodarzowi i dlatego miałem tę potrawę zjeść.

— Ojej!

— Efendi zażądał do tego, abym spożył ją na jego oczach. Obłożył ją nawet martwymi wróblami, na których wcześniej wypróbował truciznę.

— Na Allaha! W ten sposób wszystko się wydało!

— Niestety... Na nieszczęście jadł ją także Janik i chyba będzie musiał umrzeć.

— Tego człowieka nie szkoda! — wtrącił się Humun złośliwie.

— Bo to twój wróg? Ale zastanów się, jakie podejrzenia padną na mnie! Z tego powodu można by mnie oskarżyć o trucicielstwo.

Aga opowiedział całe zdarzenie zdumionym słuchaczom i zakończył stwierdzeniem:

— Zniszczyłem cały omlet wraz z wróblami i niech mi teraz ktoś udowodni, że jedzenie było zatrute!

— Dowiedzie tego śmierć Janika.

— Wcale nie! Kto będzie wiedział, co on jadł? Powiem, że sam ten omlet jadłem i w najmniejszym stopniu mi on nie zaszkodził.

— Czy ci obcy będą dziś wieczorem jeszcze coś jedli?

— Myślę, że tak. Muszę im przynajmniej zaproponować solidną kolację, oczywiście bez trucizny. Nie mogę ponownie ryzykować, bo obwołają mnie trucicielem i udowodnią mi przestępstwo. Obsłużę ich dobrze i nakarmię obficie, tak jakby byli moimi najmilszymi gośćmi.

— Moim zdaniem dobrze czynisz. Gościnność zmyli naszych wrogów i rozwieje ich podejrzenia. Upewnią się, że są bezpieczni, co nam ułatwi robotę. A więc nakarm ich do syta. To ci się opłaci, gdyż poniesiony koszt jest drobiazgiem w porównaniu z ogromną korzyścią, jaką osiągasz z naszego sprzysiężenia i jeszcze osiągniesz.

— Ogromna korzyść? Mówisz do mnie tak, jakbym zarobił na was miliony. Zyski, jakie mi zapewniacie, są nikłe w porównaniu z niebezpieczeństwem, na jakie się narażam, jako wasz wspólnik.

— Oho!

— Pomyśl o obecnej sytuacji! Jeśli zabijemy tych obcych, to jestem zgubiony. Moje wpływy nie wystarczą na to, abym uratował życie. Wy sami wyjedziecie i nie pozwolicie się złapać. Nie macie ojcowizny ani żadnej nieruchomości. Gdybym chciał się salwować ucieczką, musiałbym utracić wszystko, co posiadam.

— A zatem poczynaj sobie mądrze! — mruknął Mübarek. — Po naszych wrogach nie może pozostać nawet najmniejszy ślad.

— Trzeba ich posiekać na drobne i wrzucić do stawu Murada na pożarcie szczupakom — powiedział Suef.

— I ja mam potem zjeść te szczupaki? — spytał aga z gestem obrzydzenia. — Ani mi się śni!

— Wcale nie musisz. Ryby możesz przecież sprzedać. Musimy się tylko pośpieszyć, aby skończyć wszystko bez hałasu przed świtem, gdyż nie wolno nam strzelać.

Potem naradzano się długo, jak na nas napaść i udusić albo też zatłuc. Wreszcie wrogowie nasi doszli do wspólnego wniosku, że wejdą na wieżę z zewnątrz po drabinie, podniosą pokrywę zakrywającą schody i następnie zejną ostrożnie aż na najniższe piętro, gdzie będziemy spać.

— Ale ci szubrawcy mogą jednak czuwać — rzucił Barud el Amasad.

— Myślę, że nie — odparł aga. — Po co mieliby czuwać? Pozamykają drzwi i okna, a ponieważ nie przypuszczają, że ktoś może wejść na wieżę od góry, poczują się całkiem bezpiecznie. Zresztą, o tym czy śpią, możemy się wcześniej przekonać.

— W jaki sposób? — dowiadywał się Manach el Barsza.

— Będziemy nadśłuchiwać pod oknami — wyjaśnił Murad Habulam. — Jestem święcie przekonany, że będą spać. Po ciemku trudno nie zasnąć.

— Ty im przecież dałeś jakąś lampę? — wypytywał Manach.

— Owszem, ale z tak małą ilością oliwy, że zgaśnie ona już przed północą.

Ten stary łajdak nie domyślał się oczywiście, że Janik zaopatrzył nas w oliwę.

— A czy te schody nie trzeszczą? — dowiadywał się Barud el Amasad.

— Nie, bo są kamienne. Niektóre z nich mogą być nieco obluźnione, ale nie dają żadnego dźwięku.

— Byłoby gźniupio, gdybyśmy wraz ze stopniami zwalili się na dół.

— Nie musimy się tego obawiać. Zabierzemy zresztą latarnię, aby oświecić stopnie, zanim na nich postawimy nogę.

— Żeby te łajdaki nas zwęszyły?

— Nie ma obawy. Wieża ma kilka pięter, a więc promień latarni nie padnie na niższe piętro. Zanim znajdziemy się na dole, odstawimy latarnię i zabierzemy ją dopiero wtedy, kiedy będzie już po przybłędach.

— To dobrze. Mimo to sprawa nie jest łatwa. Nasze zadanie musimy wykonać bez hałasu w ciemności. To będzie trudne!

— Ja się nie obawiam — powiedział Murad. — Musimy się tylko dokładnie porozumieć i podzielić role, aby każdy wiedział, co ma do roboty. Wtedy można załatwić wszystko szybko, sprawnie i ze spokojem.

— Co masz na myśli przez te role?

— Myślę, że każdy z nas powinien wiedzieć, za kogo ma się zabrać, byśmy sobie wzajemnie nie przeszkadzali. Jednakże tym Niemcem musi się zająć dwóch ludzi.

— Tak też będzie — powiedział Sandar. — Mój brat i ja się nim zajmujemy.

— Dobra! — przytaknął aga. — Wybierzmy zatem najsilniejszych. Powinien przypaść jeden na jednego. Po braciach Aladzi najsilniejszy jest Hajdar. On powinien zająć się tym, którego nazywają Osko.

— Tego Osko zostawcie mnie — sprzeciwił się Barud el Amasad. — Ja jestem tym, którego on prześladowuje. Na mnie pragnie się zemścić i dlatego chcę go udusić własnymi rękami.

— Na tobie pragnie się zemścić? Dlaczego?

— Gdyż swego czasu uprowadziłem jego córkę i sprzedałem ją jako niewolnicę, nieważne komu.

— Żaden ojciec by tego nie puścił płazem!

— Dlatego Osko depce mi od tamtej pory stale po piętach. To Czarnogórzec. Dawniej byliśmy przyjaciółmi.

— A więc to on cię obraził, za co się zemściłeś, kradnąc jego córkę?

— On sam w niczym mi nie zawinił. Jego córka Senica była bardzo piękna, dlatego przywódca zaprzyjaźnionego z nami sprzysiężenia ujrzał ją i zapragnął pojąć ją za żonę, ale ona dała mu kosza. Wówczas zwrócił się do mnie, proponując mi wysoką sumę. No i jak byście postąpili na moim miejscu?

— Wzielibyśmy pieniądze — roześmiał się Murad Habulam.

— Słusznie. Uprowadziłem ją bez trudu, gdyż ufała mi jako przyjacielowi ojca i sprzedałem ją cudzoziemcowi, który ją zabrał do Egiptu, gdzie mu ją wkrótce znów uprowadzono.

— Kto ją uprowadził?

— Nie zgadniecie. Ten, który winien jest wszystkiemu, ale to wszystkiemu, łotr, który zwie się Kara ben Nems!

— Ten Aleman?

— Tak, ten.

— Niech go Allah przeklnie!

— Mam nadzieję, że twoje życzenie jeszcze dziś się spełni! Senica kochała syna jakiegoś bogatego hurtownika ze Stambułu. Na imię mu było Isla i on to właśnie zetknął się z Niemcem w Egipcie. Ten ostatni odnalazł i uprowadził Senicę i przekazał ją Isli, który pojechał do Stambułu i tam ją pojął za żonę. Chciałbym tylko wiedzieć, w jaki sposób ten Aleman ją wysłedził.

— Właśnie dzięki jego złemu spojrzeniu — stwierdził aga.

— On wszystko widzi i wszystko wykryje. A ten człowiek, któremu sprzedałeś Senicę, i któremu znów ją uprowadzono, wcale się nie mścił?

— Miał taki zamiar, ale to mu się nie udało, gdyż Alemana ma w swej pieczy diabeł. Owszem, jednemu z jego towarzyszy udało się nawet później zamordować mego przyjaciela. A teraz wraz z Osko chcą dopaść mnie. Ten stary Czarnogórzec nie ma pilniejszej sprawy, jak się na mnie zemścić.

— Wybijemy mu to z głowy!

— Też tak uważam i dlatego biorę starego na siebie. Hajdar niech sobie odszuka tego, którego zwą Omarem.

Miridita siedział dotąd w milczeniu i bez ruchu, z rękami założonymi na piersiach. Teraz natomiast wykonał ręką ruch wyrażający niechęć i spokojnie rzekł:

— Mnie ten Omar dziś nie obchodzi.

— On cię nie obchodzi? — dziwił się aga. — A więc wybrałeś sobie kogoś innego? Może Hadzi Halefa? Uważałem, że jesteś odważniejszy, ale widocznie się pomyliłem.

— Może stwierdzisz, że brak mi odwagi, jeśli powiem wam teraz, że nie zabiorę się za żadnego z tych ludzi.

Oświadczenie Miridity zdziwiło wszystkich niepomierne.

— Chcesz tym samym powiedzieć, że wcale nie zamierzasz uczestniczyć w rozprawie z naszymi wrogami? — zapytał porywczo Murad.

— To właśnie miałem na myśli.

— W ten sposób okazałbyś nam swoją niewierność, dlatego mam nadzieję, że tylko żartujesz.

— Powiedziałem to zupełnie poważnie.

Nastąpiła cisza, w czasie której wszystkie pytające spojrzenia skierowane były na nieruchome oblicze Hajdara. Wreszcie odezwał się Barud el Amasad:

— Jeżeli naprawdę tak myślisz, to lepiej by było, żebyśmy cię wcale nie poznali. Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam. O ile pozostaniesz przy swoim postanowieniu, to będziemy zmuszeni uważać cię za wroga.

— Nie jestem waszym wrogiem — odparł Miridita. — Nie będę wam przeszkadzał w waszym zamiarze, ale też nie będę brał w nim udziału.

— Dziś rano jeszcze mówiłeś inaczej.

— Od tego czasu mój pogląd się zmienił.

— A więc nie uważasz już tych ludzi za naszych wspólnych wrogów?

— Uważam ich za wrogów, bo zabili mego brata, ale zawarłem z nimi ugodę o zawieszeniu broni.

— Zawieszenie broni! Zwariowałeś? Jak to się ma do słów, które powiedziałeś wcześniej, wchodząc tutaj?

— Nie widzę w tym żadnej sprzeczności.

— A ja tak i to bardzo dużą. Przecież rano odłączyłeś się od nas z mocnym postanowieniem zabicia przybyszy albo chociażby tylko owego Kara ben Nensi. Dlatego rozczarowałeś nas, kiedy przybywszy powiedziałeś, że nie udało ci się wykonać twego planu. Teraz powiadasz nam nawet, że zawarłeś z nimi swego rodzaju ugodę o zawieszeniu broni. Myśleliśmy, że oni ci umknęli, ale teraz wiemy, że nawet z nimi rozmawiałeś!

— Rzeczywiście, rozmawiałem.

— I zawarłeś z nimi pokój?

— Jedynie chwilowy.

Im bardziej spokojnie odpowiadał Hajdar, tym bardziej irytował się Barud el Amasad. Wreszcie

wstał ze swego miejsca, podszedł do Hajdara i krzyknął:

— Tego ci nie było wolno!

— Dlaczego nie? Kto mógłby mieć coś przeciwko temu?

— My! Oczywiście, że my! Jesteś naszym sprzymierzeńcem i nie masz prawa ani pozwolenia czynić czegoś podobnego bez naszej zgody. Twoja ugoda to nic nie znaczące zero, gdyż została zawarta bez nas i przeciwko nam. Zapamiętaj to sobie!

Miridita ściągnął brwi. Zabłyły mu oczy, ale jeszcze się opanował i odparł tak spokojnie jak przedtem.

— A więc uważasz się za kogoś, kto może mi rozkazywać?

— Oczywiście. Jesteśmy sprzymierzeńcami i nikt z nas nie może nic czynić wbrew woli pozostałych członków sprzysiężenia, dlatego muszę ci powiedzieć, że postąpiłeś lekkomyślnie i nierozważnie!

— Szejtan! — zawołał rozwścieczony Hajdar. — Pozwalasz sobie robić mi wymówki, ty, którego w ogóle nie znam, o którym nawet nie wiem, kim ani skąd jesteś i w którym miejscu znajdziesz swoje wejście do piekła? Jeśli obrazisz mnie choćby jednym słowem, to moja kula strąci cię w przepaść, w której mieszka Iblis. Jestem Miriditą i należę do najślawniejszego i najbardziej dzielnego plemienia Arnautów i nie pozwolę sobie obrażać. Twoje obelgi postawiły cię na krawędzi grobu. Jeden mój ruch i spadasz!

— Oho! Też mam broń... — zasyczał Barud el Amasad i położył rękę na pistolecie.

— Hopla! — wtrącił się Mübarek. — Czyżby przyjaciele mieli się unicestwić w niezgodzie? Barudzie el Amasad, to dobrze, że tak żarliwie występujesz w naszej sprawie, ale nie wolno ci tego robić w obraźliwych słowach. Siadaj! Hajdar natomiast powie nam, w jaki sposób zawarł z tymi ludźmi ugodę o zawieszeniu broni.

Barud usiadł niechętnie, a Miriditą powiedział:

— Dałem mój czekan Alemanowi.

— Na Allaha! To święty obyczaj, którego nigdy nie wolno złamać. Na jak długo dałeś mu tę broń?

— Do czasu, aż mi ją dobrowolnie odda.

— To tak, jakbyś mu ją dał na wieczność!

— Jeśli on tak postanowi, nie mogę mieć nic przeciwko temu.

— Nie chcę cię ganić, bo nie znam jeszcze twoich powodów. Z człowiekiem, na którym ciąży zemsta krwi, nie zawiera się takiego pokoju bez bardzo ważnego powodu. Musisz zatem temu giaurowi, którego niech potępi Allah, bardzo dużo zawdzięczać.

— Zawdzięczam mu wszystko, bo moje życie. Spoczywało ono w jego ręku, a on mnie go nie pozbawił.

— Opowiedz nam, jak to się stało?

Miriditą opowiedział o swoim nieszczęsnym napadzie tak prawdziwie, że moje zachowanie wypadło w jak najkorzystniejszym świetle. I zakończył:

— Widzicie, że nie postąpiłem lekkomyślnie. „Kerem silahdan daha kuwvetli dir. Dotąd nie dawałem wiary temu powiedzeniu, teraz jestem tego samego zdania. Mój brat sam był winien swojej śmierci. Kiedy mimo to zamierzałem go pomścić, wystąpiłem przeciwko Alemanowi z taką wrogością, że musiałby mnie zabić, aby uratować własne życie. On zaś tego nie uczynił. Znalazłem się w jego ręku, a mimo to on mnie nawet nie tknął. „Kanyn bedeli kan, żąda prawo zemsty, ale Koran każe odpłacać wybaczeniem za wybaczenie! Komu mam być posłuszny, Koranowi Proroka, czy ustaleniom grzesznych ludzi? Czy w świętych księgach nie piszą, że: „Wdzięczność prowadzi do

nieba!" Efendi uczynił dla mnie coś najlepszego. Gdybym w zamian za to czyhał na jego życie, na zawsze ściągnąłbym na siebie gniew Allaha. Dlatego dałem mu mój czekan. Jeśli więc nie podniosę na niego ręki, to nie musicie zaraz myśleć, że będę działał przeciwko wam. Róbcie, co chcecie! Nie przeszkadzam wam, ale nie żądajcie ode mnie, bym uczestniczył w zamordowaniu mego dobroczyńcy!

Hajdar mówił poważnie i bardzo dobitnie. W taki sposób jego słowa prawie że osiągnęły zamierzony skutek. Zebrani spoglądali na siebie w milczeniu. Nie mogli mu nie przyznać racji. Ale wybaczenia, które chciał dla nas tym określonym sposobem uzyskać, nie podzielali.

— Szejtan bu Alamanisi deri-ile satchile jut — diabli niech wezmą tego Niemca! — wrzasnął wreszcie Mübarek. — Wychodzi na to, że temu człowiekowi musi się wszystko udać i ze wszystkiego wyjdzie obronną ręką. Chciałem od siebie dodać, że miałeś drobny powód do tego, by poddać się uniesieniu, ale nie może to sięgać za daleko. Rozumiem więc, że wzdragasz się odebrać życie temu giaurowi, który ciebie przy życiu pozostawił. Ale dlaczego chcesz uchronić także pozostałych? Przecież nic im nie zawdzięczasz. Alemana wzięli na siebie bracia Aladzi. Masz się zająć Omarem i nie widzę powodu, który by ci na to nie pozwalał.

— Mam do tego dostateczne powody. Efendi to co robi, nie robi w pojedynkę, lecz w uzgodnieniu ze swymi towarzyszami. Moja wdzięczność należy się nie tylko jemu, ale także pozostałym. A nawet, gdybym miał jakiś obowiązek tylko wobec niego, to i tak bym nie napadał na żadnego z jego towarzyszy, gdyż wyrządziłbym mu przez to przykrość. Tak nakazuje nasz dawny zwyczaj. Przyszedłem, aby wam powiedzieć, że w tej sprawie na mnie nie liczcie. Postanowiłem w niej nie uczestniczyć i niezmiennie pozostanę wierny temu zamiarowi.

— Pomyśl o następstwach!

— Nie mam nic do pomyślenia.

— A jednak... Czy jest ci to obojętne, że stracisz naszą przyjaźń?

— Ma to być pogrożka? Jeśli tak, to lepiej byłoby, byś jej nie wypowiadał. Dałem Niemcowi mój czekan jako znak danego słowa i go dotrzymam! Kto zechce mi w tym przeszkadzać, będzie miał ze mną do czynienia. Jeśli chcecie waszą przyjaźń przekształcić we wrogość, to czyńcie to w imię Allaha, ale nie myślcie, że was się boję. Będę się zachowywał całkowicie neutralnie, ale tylko tak długo, jak długo zostawicie mnie w spokoju. To wszystko, co miałem do powiedzenia. Skończyłem i teraz mogę odejść.

Hajdar nachylił się i rozsunął snopki tworzące wejście. Obecni zrozumieli, że nie pozwoli się zatrzymać, dlatego Mübarek powiedział:

— Jeżeli naprawdę chcesz odejść, to przysięgnij nam na brodę Proroka, że nie będzie cię obchodził los tych przybyszy!

Czyniąc gniewny ruch ręką Miridita odpowiedział:

— Takie żądanie jest dla mnie obrazą! Dałem wam słowo i musicie temu słowu wierzyć. Czyżbyś sam przywykł do niedotrzymywania słowa? Mimo to złożę tę przysięgę, bo nie chcę się rozstawać z wami niepokodzony. Jesteś teraz zadowolony?

— Wystarczy, lecz pamiętaj, jaka cię czeka kara, jeśli byś nas zdradził! Nie pozwolimy z siebie żartować!

Zostało to powiedziane w tonie, który poruszył dumę Miridity. Zrobił zdecydowany krok w kierunku Mübareka i rozgorączkowany powiedział:

— I ty ważysz się do mnie mówić to, ty, którego charakter i postępowanie jest jednym wielkim kłamstwem? Kim ty bowiem jesteś? Świętym! Czyż to nie jest kłamstwem? Byłeś także Busrą, kaleką. Czyż to nie było oszustwem? Skąd przybywasz i jak brzmi twoje nazwisko? Nikt go nie zna i

nikt nie może go powiedzieć. Zjawileś się w tym kraju jak dzuma, przed którą Allah chce ustrzec swoich wyznawców. Usadowiłeś się w rozsypującej się ruinie jak cykuta czy lulek zatruwające całe otoczenie. Sam jestem tylko grzesznym człowiekiem, ale daleko mi do twego postępowania, a już wcale nie pozwolę, abyś ty mnie obrażał. Jeżeli myślisz, że posiadasz władzę, której miałbym się obawiać, to lęk przed tobą pozostawiam ludziom słabym. Wystarczy jedno słowo, a jesteś zgubiony, ale ja go nigdy nie wypowiem, chyba że ty mnie do tego zmusisz. Nie zapominaj o tym, a teraz dobranoc!

Rozchylił snopki i wyczołgał się. Na skinienie Murada Habulama skrycie podążył za nim Humun. Kiedy po chwili wrócił, zameldował, że Miridita faktycznie się oddalił.

— Allah odebrał mu rozum! — mruknął Barud el Amasad. — Na niego nie ma już co liczyć.

— Niestety, nie — przyznał Mübarek — ale na próżno mi nie groził. Postaram się, aby nie mógł nam szkodzić.

— Chcesz go zabić? — spytał Manach el Barsza.

— Jeszcze nie wiem, co zrobię, ale znów mamy wyraźny przykład, jak niezbędne jest to, aby się pozbyć efendiego i jego towarzyszy. Teraz pozostaje pytanie, kto z was zabije Omara.

— Ja się nim zajmę — powiedział rzekomy krawiec, a właściwy Suef.

— Zgoda! — odparł Mübarek. — Pozostał jeszcze tylko mały Hadzi. Niestety sam nie będę mógł wam pomóc, jestem bowiem ranny.

— Dajcie go w moje ręce — powiedział Manach el Barsza. — Pozbawię go życia z dziką rozkoszą. Mały jest niepozorny i sprawia wrażenie słabeusza, ale nie wolno go nie doceniać. Ten karzeł jest śmiały jak pantera i zwinny jak krogulec. Słyszeliśmy także, że jest niezwykle silny. Mówię to, abyście nie myśleli, że wybieram go dlatego, iż brak mi odwagi. A co się tyczy czasu, w którym mamy dokonać napaści, proponuję, abyśmy nie decydowali się na określoną godzinę. Będziemy pilnie nadśłuchiwać, a gdy tylko spostrzeżemy, że nasi prześladowcy się położyli, przystąpimy do dzieła.

— Jestem tego samego zdania — oświadczył Murad Habulam. — Idę, bo musimy się przygotować. Humun idzie ze mną, ale od czasu do czasu będę go przysyłał, aby się dowiedzieć, czy możemy zaczynać.

Aga powstał z miejsca.

— Poczekaj jeszcze chwilę! — poprosił Mübarek. — Chciałbym cię jeszcze o inne sprawy zapytać.

W tym momencie postanowiłem się wycofać. Po wyjściu gospodarza byłoby mi raczej trudno opuścić stóg. Zakładałem, że potem zapadnie milczenie i w takim wypadku usłyszano by szelest słomy. Teraz natomiast rozmawiano tak głośno, że nikt nie mógł usłyszeć, jak się wycofuję. I powiodło się, ale pozostała jeszcze do przebycia droga do wieży. Nie było to wprawdzie daleko, ale nie miałem niczego, na czym mógłbym się wesprzeć. Zauważyłem jednak, że w wieży otworzyły się drzwi i Omar wystawił z nich głowę, powtarzając tę czynność co dwie, trzy minuty. Spostrzegłszy mnie podbiegł, wziął mnie na plecy, zaniósł do wieży i posadził na dywanie. Opowiedziałem im, co widziałem i co słyszałem. Z moich słuchaczy najbardziej gniewnie nastrojony był Halef.

— Sihdi — powiedział — chciałbym tym łotrom złożyć wizytę i każdego z nich poczęstować kulą w łeb. Mielibyśmy wreszcie z nimi spokój i moglibyśmy kontynuować naszą podróż.

— Chcesz zostać mordercą?

— Mordercą? Co ty sobie wyobrażasz? Te łotry są jak zwierzęta drapieżne, a skoro bez wyrzutów sumienia zabijam śmierdzącego szakala albo hienę, to mogę tych łotrów również unieszkodliwić bez obarczania sobie sumienia. I to nie jest zbrodnią.

— W moich oczach, tak. Jeżeli mogę się obronić przed wrogiem w inny sposób, to zabijanie go jest czymś karygodnym. Sprytem osiągnie się nieraz więcej niż siłą.

— Co masz zamiar zrobić?

— Pozwolę naszym przeciwnikom wejść na wieżę i postaram się o to, aby stamtąd nie mogli zejść.

— To niezła myśl, ale jeśli tam wejdą, to przecież tą samą drogą wrócą na dół.

— A czy zdołają zejść, gdy zabierzemy im drabinę, kiedy tylko znajdą się na górze?

— No to zejda po schodach.

— Tę drogę możemy im zagrozić. Potrzebny jest nam tylko młotek i duże gwoździe, aby przybić pokrywę do podłogi.

Janik wyraził gotowość dostarczenia nie tylko tego, ale również dużej, żelaznej klamry.

— To dobrze — kontynuowałem. — Ta klamra najpewniej nas zabezpieczy. Umocnimy pokrywę nad najwyższym stopniem tak, że nikt jej z zewnątrz nie podniesie. Wówczas nie zejda na dół, a ponieważ zabierzemy im drabinę, będą musieli stać na górze w deszczu aż do nastania dnia. To z pewnością ostudzi nieco ich zamiary.

— Sihdi — zauważył Halef — twój obecny plan sprawi chyba, że będę inaczej patrzył na twoją dobroć i łaskawość. Pięknie jest pomyśleć o tym, że ci hultaje będą stać tam na górze przez całą noc. Usiąść nie będą mogli, bo napada im ze wszystkich stron. Z pewnością nabiera się dużo wody. To górne piętro jest zbudowane na kształt latarni bez cylindra. Służyło ono tylko jako taras widokowy i deszcz może je zalewać, ile zechce. Ponieważ drzwi prowadzące na taras zostały zamurowane, a pokrywa jest także szczelna, to co się dzieje z wodą?

— Spływa małym otworem w murze — powiedział Janik.

— Nie można go zatkać?

— Bardzo łatwo, pakułami.

— Wspaniale! Zatkamy, i to mocno. Mordercy, stojąc w wodzie, nabawią się artretyzmu, reumatyzmu, podagry i tysiąca innych chorób z przeziębienia. Chciałbym, żeby po szyję znaleźli się w wodzie i...

Halef zerwał się z miejsca i chodził szybko tam i z powrotem. Miał pewien pomysł. Przystanął więc przed Janikiem, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł:

— Janik! Najlepszy i najwierniejszy przyjacielu! Lubię cię, ale lubiłbym cię sto razy bardziej, gdybyś miał to, co jest mi potrzebne.

— A o co chodzi? — spytał zagadnięty.

— Jest mi potrzebny sprzęt, którego chyba u was nie ma. Nie macie chyba pompy do gaszenia ognia, co?

— Dużej pompy niestety nie mamy, ale jest u nas taka pompa ogrodowa na dwóch kołach.

— Człowieku! Bracie! Przyjacielu! Jesteś po prostu wspaniały! Nie przypuszczałbym, że możecie mieć pompę!

— Aga sprowadził ją w zeszłym roku, bo mu wciąż podpalano stóg. Stoi w ogrodzie w pogotowiu.

— Ile wody się w niej mieści?

— Trochę więcej niż w dużej wannie.

— To dobrze, ale na co mi wspaniała pompa, jeśli brak do niej najważniejszego.

— Co masz na myśli?

— Wąż! Możliwie długi wąż. Ale takiego chyba u was nie ma? Mały Hadzi był bardzo podniecony. Zadawał pytania tak skwapliwie, jakby tu chodziło o największe szczęście na ziemi.

— Mamy także wąż, wprawdzie nie taki, który służy do przechowywania wody w czasie podróży, ale można nim doprowadzać wodę do gaszenia pożaru. Ale jaki długi miałby on być?

— Taki, by wystarczył do szczytu wieży.

— Jest wystarczająco długi, może nawet jeszcze trochę dłuższy.

— Niech cię uściskam, Janik! Jesteś radością, rozkoszą i szczęściem mego życia! A więc istnieje nie tylko sikawka, ale także wąż. Zachwycające! Wąż tak długi, jak trzeba! Kto by pomyślał, że w Kilisseli znajdę taki sprzęt!

— Łatwo to zrozumieć. Bez tego węża sikawka na nic by się nam nie zdała, gdyż musielibyśmy nosić wodę z daleka.

— Masz na myśli staw przy drodze.

— Nie, bo to byłoby za daleko. Tuż za wieżą przy murze, mamy zbiornik ciągle uzupełniany wodą.

— Zbiornik, z którego można napełnić sikawkę! Głęboki! Duży! Czy jest w nim dużo wody?

— Nie wiem, do czego ci ta woda jest potrzebna, ale myślę, że wystarczy jej do wykonania twego zamiaru.

— Tak myślisz? To wspaniałe! Twoje słowa są jak krople rosy padające na obumierające pola. Twoja mowa warta jest więcej niż sto piastrów, a gdybym miał kiedyś zostać milionerem, dostałbyś nawet tysiąc. A więc nie wiesz, do czego jest mi potrzebna ta woda?

— Nie wiem.

— I także się nie domyślasz?

— Nie.

— A zatem niech Allah ma w opiece twój mózg przypominający wysuszoną cytrynę. Zauważ, iż efendi natychmiast zgadnie, do czego zmierzam. Prawda, sihdi?

Ponieważ pytanie to skierowane było do mnie, skinąłem potakująco głową.

— I co ty na to?

Oczy Halefa błyszczały niekłamaną radością. Myśl o splątaniu naszym wrogom psikusa wprawiała go w zachwyty. Dlatego z jakimś rozczarowaniem słuchał mojej opinii.

— To nic więcej jak dziecinada.

— Nie wolno ci tak mówić, sihdi. Te łotry wejdą na wieżę, aby nas zabić. Ty chcesz się postarać, by stamtąd nie mogli zejść i pozostali całą noc na górze. No i dobrze, dlatego chcę dorzucić swoje trzy grosze, aby się tam na górze zbyt dobrze nie czuli. Do górnego pomieszczenia na wieży napompujemy pełno wody. Owo pomieszczenie jest wprawdzie otwarte, ale jego ściana sięga człowiekowi do piersi i do tej wysokości powinni zbrodniarze stać w wodzie. A może czujesz dla nich jakieś współczucie? Wzrusza cię to, że mordercy mogą się przeziębnić, i że może im dokuczać jakiś nieznaczny ból zęba?

— Nie! Nie to. Noc powinni oni faktycznie spędzić w przykrych warunkach, ale mimo to nie odpowiada mi twój zamiar.

— Karę powinni ponieść!

— I słusznie, ale możesz nam tylko zaszkodzić.

— Och nie, sihdi. Przygotujemy się w taki sposób, że nikt się tego nie domyśli. Omar! Osko! Co wy na to?

Obaj zagadnięci zgadzali się z Halefem. Wszyscy natarli na mnie z prośbami, aż wreszcie rad nieraż powiedziałem „tak”.

Janik oddalił się i po chwili wrócił ze zwiniętym węzem oraz liną. Wszyscy weszli wraz z nim na wieżę i wkrótce usłyszałem mimo tłukącego o okiennice deszczu głośnie uderzenia młotka. Janik miał

klamrę i młotek zatknięte za pasem. Po zaczepieniu węża przybili pokrywę tak mocno, że nikt nie zszedłby z góry.

Gdy wrócili, Halef stwierdził z zadowoleniem:

— To jest dobra robota, sihdi. Ty sam lepiej byś tego nie zrobił.

— A jak umocowaliście wąż?

— Tak, że zwisa z wieży, a na dole można go połączyć z sikawką. — Ale kiedy oni będą przystawiać drabinę, to go zobaczą.

— Janik mówi, że drabinę będą musieli przystawić z przeciwnej strony, gdzie nie przeszkadzają im drzewa. Nasadka węża znajduje się na tarasie przy ścianie, tak że woda będzie spływać po murze bez szmeru. Mordercy będą mieli kłopot, aby ją w ciemności odnaleźć. W pozostałych izbach zamknięte są wszystkie okiennice i tylko czekać, aż się zjawią goście kąpielowi.

— To jeszcze potrwa, gdyż Murad Habulam mówił o tym, że dośle nam jeszcze smaczną kolację.

— Mam ją przynieść? — spytał Janik.

— Tak. Zrób to. Im wcześniej zjemy, tym krócej będziemy czekać, ale udawaj, że faktycznie jadłeś omlet i odczuwasz bóle. Postaraj się także porozmawiać z Anką! Może będzie chciała ci coś przekazać.

Janik wyszedł, a my czekaliśmy w ciszy na jego powrót, nie mieliśmy bowiem już nic ważnego do omówienia. Halef przykucnął na swoim kocu, zacierał niekiedy z cichym śmiechem dłonie i wydawał przy tym jakieś niezrozumiałe okrzyki. Myśli miał całkowicie zaprzątnięte zamoczeniem naszych wrogów.

Janik nie wrócił sam. Przyniósł nam kolację w towarzystwie Humuna, bo sam nie zdołałby wszystkiego unieść. Służący nie wszedł jednak do środka, lecz przystanął na zewnątrz i czekał, aż Janik odbierze od niego to, co przyniósł i szybko się oddalił.

Jedzenie było wyśmienite. Dostaliśmy pokaźną miskę zupy rybnej, takiej jakiej nie powstydzono by się w Pradze albo w Wiedniu. Ponieważ nie było łyżek, przyniesiono nam filiżanki do czerpania i podawania zupy do ust. Był także ogromny kapłon faszzerowany ciastem z figami i tłuczonymi orzechami. I pieczone koźlą, wcale nie tak złe, wbrew opinii dyskredytującej w nieuzasadniony sposób kozie mięso. Był też tłusty pilaw z rodzynkami i duszonymi migdałami. Na deser składały się owoce i słodycze, których jednak nie tknęliśmy. Z całej kolacji nie zjedliśmy nawet połowy. Może nie zjedlibyśmy w ogóle niczego, lecz Anka kazała nam powiedzieć, iż możemy jeść bez obaw, gdyż wszystkie potrawy przygotowała sama i w czasie gotowania nikt do kuchni nie wchodził.

— Czy aga jest w domu? — pytałem Janika.

— Tak. Pali fajkę i siedzi zamyślony. Przywołał mnie i zapytał, co mi dolega, gdyż mam jakąś niewyraźną minę. Odpowiedziałem mu, że zjadłem pigwę, która musiała być niedojrzała i boli mnie teraz brzuch.

— To bardzo mądre z twojej strony. Jest chyba przekonany, że nie domyślasz się jego trucicielskich zabiegów i dlatego nie będzie przed tobą udawał.

— To prawda, efendi. Murad Habulam z niczym się przede mną nie krył. Odślonił przede mną wściekłość, jaką do was pała, i chciał wiedzieć wszystko, o czym mówicie i co robicie. Opowiedziałem mu, że boli cię noga i nie możesz chodzić. Zaś wasze znużenie jest tak wielkie, że zamierzacie się wcześniej położyć. W związku z tym polecił mi, abym zaraz po jedzeniu przygotował wam posłanie. Im wcześniej się położycie, tym wcześniej wstaniecie, stwierdził, i dlatego muszę się wyspać, aby was obsłużyć.

— Bardzo mądrze z jego strony! A gdzie ty normalnie śpisz?

— Z Humunem i pozostałą służbą.

— To niedobrze. Nie będziesz mógł się wymknąć niezauważony, a jesteś nam potrzebny.

— Och, efendi! Co się tyczy tego, to możesz być spokojny. Od dziś nikt nie chce ze mną spać i Humun na polecenie agi rozkazał mi spać na poddaszu. Jeśli sobie życzysz, to będę udawał, że chcę iść spać, przyjdę natomiast tutaj do wieży. Zapukam, a wy mnie wpuściecie.

— Ale nie tak zwyczajnie. Mógłby to przypadkiem uczynić także ktoś inny. Zastukaj pięścią w tylną okiennicę, najpierw raz, potem dwa i wreszcie trzy razy. Powiedz o tym sygnale także Ance! Nie wiadomo, co może się zdarzyć u Murada Habulama podczas twojej nieobecności. Anka niech uważa i w razie potrzeby niech nas zawiadomi.

Janik zabrał naczynia i przyniósł nam jeszcze kilka koców na posłanie. Kiedy ponownie wyszedł, zgasiliśmy światło. Wprawdzie drzwi i okiennice zostały od wewnątrz zamknięte, ale było w nich tyle szczelin, że z zewnątrz widziało się, iż światło zostało zgaszone.

Mniej więcej w dwie godziny później Janik wrócił. Zastukał w umówiony sposób i wpuściliśmy go.

— Przychodzę tak późno — szeptał — bo postanowiłem śledzić agę. Najpierw cała służba musiała pójść spać, a potem aga skradał się z Humunem w kierunku stogu. Obaj co dopiero do niego weszli.

— Teraz wiemy, jak się sprawy mają. Będą myśleli, że śpimy i wkrótce zaczną wchodzić na wieżę.

— To trzeba zobaczyć — powiedział Halef i szybko pobiegł z kolegami na górę.

Wciąż jeszcze padało i to tak głośno, że nie było słyhać kroków ludzi będących na dworze.

Siedziałem teraz sam w dolnej izbie. Po pewnym czasie cała czwórka zeszła na dół i Halef meldował:

— Sihdi! Wrogowie są na górze. Właśnie wchodzi ostatni. Jest ich siedmiu.

— W stogu było dziewięciu. Miridita odjechał, zaś ranny Mübarek nie bierze udziału w akcji.

— Zgadza się. Teraz zabieramy drabinę i pojedziemy z sikawką.

— Okryjcie się kocami, bo przemokniecie do suchej nitki. Zrobili to w największym pośpiechu. Odsunęli zasuwy drzwi i wyszli. Wstałem, trzymając się ściany i otworzyłem tylną okiennicę. Na dworze było ciemno, ale pomimo mroku i rzęsiwego deszczu spostrzegłem czterech mężczyzn krzątających się w pobliżu. Potem usłyszałem rytmiczny łoskot dźwigni sikawki. Zamocowali do niej wąż i co sił pompowali na górę wodę. Zbiornik znajdował się pod moim oknem. Od czasu do czasu dawał się słyszeć rozkazujący ton głosu Halefa. Mimo ulewy mały Hadzi był w najwyśmienitszym nastroju.

Na górze panowała cisza. Przypuszczalnie bandyci znajdujący się na wieży nie mogli zrozumieć, skąd się bierze woda, ale starali się nie zdradzić swojej obecności. W każdym razie zadawali sobie dużo trudu, aby otworzyć pokrywę nad schodami. Na wypadek, gdyby to im się udało i zeszliby na dół, przygotowałem się na przyjęcie ich z pistoletem w rękę. Mimo jednak wyostrzonego słuchu nic do moich uszu nie dochodziło. Widocznie Halef dobrze przytwierdził pokrywę.

Upłynęło sporo czasu, może ponad godzinę, gdy cała czwórka wróciła do mnie.

— Praca wykonana, sihdi! — zameldował bardzo zadowolony Hadzi. — Pompowaliśmy ze wszystkich sił i zmokliśmy przy tym jak pudle. Pozwolisz, że zapalimy lampę.

— Ze światłem będzie nawet lepiej.

Nalał oliwy i zapalił lampę. Potem towarzysze moi udali się na górę do pomieszczenia, nad którym nasi przeciwnicy stali we wodzie. Otworzyli tam jedną z okiennic i usłyszałem po chwili głos Halefa:

— Allah was pozdrawia moi panowie! Chcecie po tym dokuczliwym upale zaczerpnąć trochę

świeżego powietrza? Nasz efendi zapytuje, czy nie przysłać wam lunety, abyście się lepiej przyjrzeni deszczowi.

Odpowiedzi nie słyszałem. Zagadywani zachowywali się cicho.

— Dlaczego kąpiecie się nocą i to tak wysoko? — ciągnął Halef. — Czy jest to w tym kraju normalne? Przykro by mi było, gdyby woda nie miała odpowiedniej temperatury, ale nie należy nikogo w kąpeli podglądać, dlatego uprzejmie się wycofamy. Może do świtu będziecie gotowi! Wówczas ja, wasz najuniższy sługa, pozwolę sobie zapytać o wasze samopoczucie.

Zszedł wraz ze wszystkimi na dół i śmiejąc się mówił:

— Zostali pięknie zwabieni w pułapkę, sihdi, i żaden nie odważy się odezwać. Zdawało mi się, że słyszę, jak szczękają zębami. Teraz możemy się przyjemnie wyspać, bo nikt nam nie przeszkodzi.

— Możecie spokojnie spać — powiedział Janik. — Jesteście zmęczeni konną jazdą, a mnie się jeszcze nie chce spać. Będę czuwał i gdyby to było konieczne, zaraz was obudzę. Oni w żaden sposób do nas nie zejdą. Mogłoby się tylko zdarzyć, że woda przecieknie przez sufit. Ale to nie byłoby groźne.

Miał rację, a ponieważ mogliśmy na nim polegać, zatem ułożyliśmy się do snu.

„ŚWIĘTO CHŁOSTY”

Mimo że byłem zmęczony i potrzebowałem spokoju, długo nie mogłem zasnąć. Słyszałem częsty, cichy chichot mego Halefa, cieszącego się z udanego figła, nie mogącego z tego powodu także zasnąć. Słyszałem monotony, nieustanny szmer deszczu, który mnie wreszcie uspił. Wkrótce jednak zostałem znów przebudzony głośnym pukaniem. Stukano do drzwi i to w sposób, jaki przekazałem Janikowi. Podniosłem się, zakładałem bowiem, że jest to Anka z jakąś wiadomością. Janik otworzył i moje przypuszczenie się sprawdziło. Dziewczyna weszła do środka. Halef, Omar i Osko także się przebudzili.

— Wybacz, efendi, że was budzę — powiedziała nasza śliczna dziewczyna. — Przynoszę wam wiadomość. Janik opowiedział mi, że zamierzaliście zamoczyć tych na górze. I co, czy to się wam udało?

— Tak. Oni tam jeszcze są.

— A ja uważam, że już ich tam nie ma.

— Ach! W jaki sposób zdołaliby zejść na dół?

— Tego nie wiem, ale mam wszelkie podstawy ku temu, aby sądzić, że oni są już w pałacu.

— Zaskoczyłaś mnie. Zatem mów!

— Janik polecił mi, abym na wszystko uważała. Aga wysłał mnie szybko na spoczynek, ale nie położyłam się i spoglądałam przez okno. Widziałam, jak mój pan i Humun skradali się do ogrodu. Po to, abym słyszała, kiedy będzie wracał, zesłam na parter i położyłam się za drzwiami izby, obok których wracając musiał przechodzić, i zostawiłam je lekko uchylone. Mimo że starałam się czuwać, to jednak zasnęłam. Nie wiem, ile upłynęło czasu, kiedy zbudził mnie jakiś szmer. Dwóch mężczyzn weszło z podwórza i przechodziło obok moich drzwi. Jeden z nich coś mówił i po głosie poznałam agę Murada Habulama. Klął tak, jak nigdy dotąd. Słyszałam, że w kuchni rozpalono duży ogień i że zażądał na zmianę odzieży. Myślę, iż rozmawiał z Humunem. Wkrótce zrobiło się tam głośno. Słyszałam podniesione głosy, trzask i łoskot płonącego drewna. Nie wiem, co się tam dzieje, ale przybiegłam tu, aby wam powiedzieć to, co zaobserwowałam.

— Jesteś bardzo dzielna, a ci ludzie musieli w jakiś sposób zejść. Halef! Dokąd zanieśliście tę drabinę?

— Myśmy jej nie odnieśli, tylko położyliśmy ją na ziemi. Ci z wieży nie mogli jej przecież sięgnąć.

— To prawda, ale kilku z nich mogło się zsunąć po węzu i to oni przystawili drabinę.

— Nie daj Bóg! Zaraz to sprawdzimy!

Wybiegł, a za nim Osko i Omar. Kiedy po paru minutach wrócili, Halef miał bardzo zmartwioną minę i mruczał:

— Tak, sihdi. Uciekli. Byłem na górze.

— A więc drabinę przystawiono do wieży?

— Niestety. A wąż leży z drugiej strony wieży na ziemi.

— A więc, jest dokładnie tak, jak myślałem. Zbrodniarze odkryli wąż. Kilku z nich zsunęło się po nim, potem odczepili go na górze, aby spadł. Ci z dołu przystawili drabinę. Reszta po niej zeszła i wszyscy udali się do kuchni, aby się rozgrzać i wysuszyć mokrą odzież.

— Chciałbym, aby siedzieli w piekle, gdzie wysuszyliby się o wiele szybciej niż w kuchni! —

mówił zagniewany Halef. — Co teraz pocniemy, sihdi?

— Hm... Trzeba się nad tym zastanowić. Myślę, że... Przerwano mi. Nie zamknęliśmy drzwi na zasuwę i pozostały one odemknięte, tak że wydostawał się nimi promień światła. W tym momencie otwarto je szerzej i dał się słyszeć głos Murada Habulama:

— Anka! Ty diablico! Kto ci pozwolił tutaj przyjść? Dziewczyna drgnęła przestraszona.

— Natychmiast stąd wychodź! — rozkazał stojący na dworze. — A ten sukinsyn Janik też tam jest? Dlaczego wałęsacie się po ogrodzie? Wylaźcie! Bat was nauczy posłuszeństwa!

— Ago Muradzie — odezwałem się. — Czy nie zechciałbyś być tak miły i wejść do środka?

— Dziękuję! Nie chcę, byś mnie zniszczył twoim złym spojrzeniem. Gdybym wiedział, że masz taki wpływ na służbę, to zamknąłbym przed tobą mój dom.

— O tym możemy szerzej porozmawiać, tylko wejdź!

— Ani myślę! Wypuść tylko moją czeladź! To podstępne plemię nie ma u ciebie nic do roboty!

— To ich sobie zabierz!

Aga nic mi nie odpowiedział, ale doszły do mych uszu jakieś ciche głosy. A zatem nie był sam.

— Jeżeli sam nie chce przyjść, to go przyprowadzę — powiedział Halef i podszedł do wpółprzymkniętych drzwi. Usłyszałem wtedy szczęk odwodzonego kurka i jakiś głos wołał:

— Cofnij się sukinsynu, bo cię zastrzelę! Halef zatrzasnął drzwi.

— Słyszałeś, sihdi? — spytał, bardziej zdziwiony niż przestraszony.

— Całkiem wyraźnie — odparłem. — To był głos Baruda el Amasada.

— Też tak myślę. Dwóch ludzi stało przy stogu i wycelowało strzelby w moim kierunku. Ponieważ ludziom Szuta nie powiodła się skrytobójcza napaść, dlatego próbują atakować otwarcie.

— Raczej w to wątpię. Nie odważą się nas tu zastrzelić. Gdyby postępowali serio, wówczas nie ograniczyliby się do gróźb, lecz strzelaliby bez ostrzeżenia.

— Tak uważasz? Ale dlaczego ci dwaj tutaj przyszli?

— To proste. Zabierają się bowiem do ucieczki. Zauważyli nieobecność Janika i Anki i zaczęli coś podejrzewać. Szukano ich i znaleziono u nas. Bandyci zrozumieli, że najlepsza jest dla nich ucieczka, a ponieważ nie chcą, byśmy im w tym przeszkodzili, ci dwaj trzymają nas tutaj w szachu, podczas gdy cała reszta szykuje się do szybkiego wyjazdu.

— Całkowicie się z tobą zgadzam, sihdi. Ale czy będziemy spokojnie na to patrzeć?

Wziąłem do ręki sztucer, wstałem, i dotykając ściany przesuwalem się wzdłuż niej ku okiennicy znajdującej się przy drzwiach. Kazałem Omarowi zgasić lampę, aby mnie z dworu nie można było dojrzeć. Odsunąłem okiennicę i wyjrzałem przez okno. Przestało padać i zaczynało świtać. Kilka kroków od wieży stały dwie postacie. Jedna z nich opierała strzelbę kolbą o ziemię, druga trzymała swoją w prawym ręku lufą w górę. Ponieważ człowiek ten odwrócony był do mnie profilem, lufa znajdowała się tuż przy jego policzku. Wyglądało na to, że z zapałem o czymś rozmawiali.

Położyłem sztucer na dolnej krawędzi okna i mimo panującej jeszcze ciemności byłem pewny celności mego strzału. Teraz wycelowałem i nacisnąłem spust. Niemal równocześnie ze strzałem rozległ się okrzyk bólu. Kula trafiła. Strzelba uderzyła faceta najpierw w twarz a potem wyleciała mu z impetem z ręki.

— Podstęp! Nieszczęście! — krzyczał poszkodowany. Poznałem go po głosie. Był to Barud el Amasad.

— Uciekajmy! — wołał Manach el Barsza. — Ten strzał zbudzi wszystkich mieszkańców pałacu. Podniósł strzelbę Baruda, złapał go za ramię i pociągnął za sobą. I momentalnie czmychnęli.

Ze słów Manacha wynikało, że nie zamierzali strzelać. Zależało im na tym, aby ludzie agi nie spostrzegli ich obecności.

Zwróciłem się do moich towarzyszy.

— Łapcie za broń i pędźcie do stajni. Całkiem możliwe, że bandyci będą chcieli zabrać nasze konie.

Wszyscy rzucili się ku wyjściu. Usiadłem naprzeciwko drzwi, trzymając w ręku sztucer, aby być na wszystko przygotowanym.

Oddaliła się także Anka, ale po pewnym czasie wróciła z Janikiem i Omarem, który zameldował, iż Osko i Halef pozostali w stajni, by pilnować koni. Wyglądało na to, że nikomu na nich nie zależało. W ogóle nie widzieli żadnego człowieka i to mnie uspokoiło. Teraz należało się dowiedzieć, gdzie znajdują się drzewa, pod którymi stały konie naszych wrogów, lecz ani Anka ani Janik tego nie wiedzieli.

— Jestem przekonany, że Humun wie — dorzucił młodzieniec — ale on ci tego nie zdradzi.

— Ho, ho, mam na to bardzo skuteczny środek — odparłem — a mianowicie cęgi, którymi potrafię wyciągnąć wszystko, co zechcę.

— Potrafisz zatem dużo więcej niż inni. Humun jednak nigdy nie zdradzi swego pana ani jego kompanów.

— Będiesz przy tym, by się przekonać, jak on mi wszystko wyśpiewa. Czy znasz; może bliżej krawca Afrita?

— Nie znam. Wprawdzie wiem, że on się nazywa Suef, ale nic poza tym. Bardzo często bywa on u agi Murada Habulama i jestem głęboko przekonany o tym, że łączą ich podejrzone interesy, dlatego wolałem mu zawsze schodzić z drogi. Lepiej z takimi ludźmi wcale się nie spotykać. Najchętniej bym stąd wyjechał.

Przyszła mi do głowy pewna myśl:

— Wiem od Anki, że mieszkacie w pobliżu Üsküb. Czy słyszałeś może o miejscowości Wajcza, położonej za Kalkandelami?

— Znam ją bardzo dobrze! Byłem tam kilkakroć.

— Czy znasz także han zwany Karanorman?

— Masz na myśli starą ruinę, która stanowiła ongiś jakiś karawanseraj?

Ta wiadomość zgadzała się z tym, co mi powiedział wczoraj Suef. A więc w tym względzie mówił prawdę.

— Właśnie. Nasza droga poprowadzi zapewne w tym kierunku. Poszukuję wielkiego zbrodniarza, który jest prawdopodobnie przyjacielem i człowiekiem bliskim Muradowi Habulamowi.

— Co? To z takimi ludźmi przyjaźni się mój aga?

— Niestety. Ludzie, którzy byli dzisiaj u niego i czyhają na nasze życie, są mordercami i rabusiami. A co znaczy aga, o tym mogłeś się przekonać widząc, że chce nas otruć.

— To prawda, efendi. Nie zostanę tu dłużej! Opuszczę ten dom i jeśli pozwolisz, będę ci towarzyszył w drodze do Wajczy.

— Właśnie to chciałem ci zaproponować. Pierwotnie Suef miał być naszym przewodnikiem, ale po tym co zaszło, nie wchodzi to w rachubę. Zarówno Anka jak i ty nic na tym nie straciecie, bo myślę, że Anka też nie zechce zostać u swego dotychczasowego chlebobdawcy.

— Oczywiście, że nie! — zapewnił skwapliwie Janik. — Nasze szczęście się niestety oddali przez to, że na dłuższy czas Anka straci pracę...

— Co się tyczy zarobku, to otrzymasz go ode mnie i Anka tak samo. Oboje uratowaliście nam życie. Gdyby was tu nie było, to byśmy już nie żyli, a więc możecie oczekiwać od nas nagrody odpowiadającej waszemu czynkowi i naszym zasobom.

— To prawda! — odezwał się głos przy drzwiach. — Nie dopuścimy do tego, aby nas

pomawiano, że jesteśmy niewdzięczni.

Tym, kto to mówił, był Halef. Wrócił właśnie ze stajni i słyszał końcowy fragment naszej rozmowy. I ciągnął dalej:

— Nie jesteśmy niestety bogaci, ale może zdołamy przyczynić się do waszego szczęścia. Jeżeli z naszego powodu zwalnacie się z dotychczasowej służby, to musimy postarać się o to, abyście nie musieli na nowo pójść do kogoś na służbę. A więc pytam cię z całą powagą sumienia, czy ty, Janiku, pragniesz obecną tutaj Ankę pojąć za żonę?

— Z wielką ochotą! — śmiał się zadowolony Janik.

— A kiedy?

— Jak najrychlej.

— A ty kwiecie Kilisseli, która uratowałaś nam życie, czy pragniesz tego oto Janika pojąć za męża, któremu zawsze będziesz posłuszna, oczywiście w granicach zdrowego rozsądku?

— Tak! Chcę Janika za męża — powiedziała rumieniąc się dziewczyna.

— A zatem, nasze błogosławieństwo niech spłynie na was z tego oto mieszka szczęścia i zadośćuczynienia. Jestem bowiem sławetnym skarbnikiem naszej korporacji. Zamierzaliśmy zamienić pieniądze nieszczęścia w monety szczęścia i teraz mamy po temu okazję.

Halef wydobył głęboki mieszek, który zawierał pieniądze zdobyte w utarczkach koło Derekuliby, i rozsypał go.

— Zgadzasz się, sihdi? — spytał mnie.

— Z miłą chęcią! — uśmiechnąłem się, ciekaw, ile on im zechce dać.

— A więc nadstawcie wasze dłonie, aby mógł je napełnić deszcz szczęścia.

Janik wcale się nie ociągał. Połączył obie dłonie i wystawił je w kierunku Hadzięgo. Anka, widząc to, uczyniła podobnie. Otwarte dłonie tworzą coś w rodzaju sporej miseczki i mogą pomieścić ładną sumkę. Halef zanurzył rękę w mieszku i zaczął przy tym liczyć. Wkładał po złotej monecie raz do ręki Anki, raz do ręki Janika.

— Bir, iki, üç, dört, bez, alti, jedi, sekiz, dokuz, on... a więc do dziesięciu.

Odliczył li tylko same tureckie funty w złocie, każdy po sto piastrów, a więc w sumie tysiąc piastrów albo inaczej mówiąc: 180 do 190 marek, co dla tych ludzi stanowiło znaczącą sumę.

Potem zapytał rodośnie zaskoczoną parę:

— A czy wiecie, co to jest akcza fark?

— Nie wiemy — wyznał Janik.

— Akcza fark stanowi różnicę pomiędzy ceną złota a ceną srebra. Obecnie stanowi to osiem od stu. Jeżeli będziecie chcieli rozmiąć taką monetę, to powinniście za sto piastrów w złocie otrzymać sto osiem srebrnych. Pamiętajcie o tym, bo jest to dwa razy po osiemdziesiąt piastrów dla was obojga.

Takie wyjaśnienie było dla nich niezbędne. Sto sześćdziesiąt piastrów stanowiło dla tej pary niemałą sumę. Ale oni słuchali tylko jednym uchem. Jedyne oczy wyrażały, co myślą i czują. Ich rozpromienione spojrzenia wpatrzony były w złoto.

— Hadzi Halef Omar! — zawołał wreszcie Janik. — Czy ty sobie z nas żartujesz?

— To, co robię, robię zupełnie serio — odparł Halef. — Róbcie z waszą własnością to, co ja robię z moimi pieniędzmi. Proszę!

I śmiejąc się zwinął mieszek, wsuwając go do pasa. Oni krępowali się jednak, by postąpić tak, jak im kazał.

— Muszę jednak zapytać efendiego! — zawołała Anka. — To jest bardzo dużo pieniędzy! Nie potrzebujemy aż tak dużo, bo mamy przecież nasze oszczędności. Jeśli dajecie nam cały majątek, to

co wam zostanie?

— Nie troszcz się o nas — śmiał się mały Hadzi. — Znamy się na tym, jak żyć bez pieniędzy. Podążamy ścieżką gościnności i nawet nasi najwięksi wrogowie muszą nam płacić daninę. Albo myślicie może, że waszemu adze, Muradowi Habulamowi, zapłacimy chociażby jednego piastra za to, co nam zgotował? Ani nam się śni! Być może, że sihdi pozwoli, bym mu zapłacił inną monetą, którą nie tylko się tłoczy, ale także bije. Widzicie więc, że nie potrzebujemy pieniędzy. Zabierzcie zatem te kilka sztuk złota, bez obawy, iż przez to zbiedniejemy. Ponadto od niedawna przyswoiliśmy sobie chwalebny nawyk obdarowywania zacnych ludzi mieniem odebranym każdemu z tych złodziejasków, który wpadnie nam w ręce. Może wkrótce znów się natkniemy na podobnych przestępców! Wtedy poczujemy się znów jak pączek w maśle i będziemy chwalić Allaha za dobrodziejstwa, jakich nam przysparza kraina padyszacha.

Aby położyć kres dziękczynnej wylewności uszczęśliwionej pary, poleciłem Halefowi i Janikowi, by pozbiali nasze rzeczy i poszli do stajni osiodłać konie.

— Zamierzasz wyjechać, efendi? — spytał zakłopotany Janik.

— Później. Ale chcę, aby konie stały na wszelki wypadek w pogotowiu. Ciebie i Ankę zabierzemy z sobą. — Aga na to nie pozwoli!

— Już ja się o to postaram.

— Będziemy ci za to w dwójnasób wdzięczni. Przybyłeś tutaj, jakbyś...

— Nic nie mów! Wiem, co chcesz powiedzieć i wiem także, że jesteś dobrym i uczynnym człowiekiem; to nam na teraz wystarczy.

Gdy wyszli, ja zaraz usadowiłem się w fotelu na kółkach i poprosiłem Omara, by mnie wywiózł.

W tym czasie szarawy świt zdołał się rozjaśnić i widoczność była już jako taka. Przestało padać i niebo zwiastowało dobrą pogodę.

Przy przejściu do stajni mijaliśmy drewnianą wiatę. Jej dach opierał się na tylnej ścianie i z przodu na drewnianych słupach, tak że można było widzieć wszystko, co się w niej znajdowało. Zauważyłem tam wóz, ale nie był to żaden z owych ciężkich pojazdów zwanych arba, najczęściej ciągniętych przez woły, lecz lżejszy i miłszy dla oka, nazywany w tych stronach „koczu” albo „hintof”. Obok wisiała turecka uprząż, która tak się miała do upręży niemieckiej roboty, jak włosy czarnego, tłustego eunucha do fryzury francuskiego baletmistrza. Oba te przedmioty odpowiadały mojemu zamierzeniu, tym bardziej, że w stajni obok innych koni stał młody, rączy koń, na którego owa uprząż zdawała się pasować. Doglądałem pojenia i siodłania naszych koni, a potem kazałem się zawieźć do Murada Habulama.

— Czy mamy tam także iść, Anka i ja? — zapytał młody Bułgar.

— Oczywiście.

— Ale to dla nas nic dobrego.

— Niczego się nie obawiajcie. Będziecie stali za moimi plecami i nie -ruszajcie się stamtąd bez mojej zgody!

Wychodząc ze stajni, zobaczyliśmy w pobliżu pewnego człowieka, który stał pod ścianą i zdawał się nas obserwować.

— Kto to taki? — spytałem Janika.

— Hamzi. Jeden z tych parobków, którzy prawdopodobnie pilnowali w polu koni naszych wrogów. Nie chcesz go zapytać, gdzie to było?

— On by mi tego chyba nie powiedział.

— Zapewne.

— W takim razie oszczędzę sobie słów, gdyż Humun z pewnością wszystko mi wyśpiewa.

Kiedy doszliśmy do sieni, zauważyłem służącego. Stał w miejscu, z którego mógł zaglądać przez otwarte drzwi do stajni. A więc również i on poświęcił nam swoją uwagę.

— Czego tutaj chcecie? — warknął.

— Pragnę mówić z twoim agą — odpowiedziałem.

Wzdragał się spojrzeć mi w oczy, gdyż bał się mego wzroku i wyciągnął palce w sposób zapobiegający złemu spojrzeniu.

— To niemożliwe — odparł. — Aga bowiem śpi.

— A więc proszę cię, byś go obudził.

— Tego mi nie wolno zrobić.

— Ale ja sobie tego życzę!

— Twoje życzenia mnie nie obchodzą.

— A więc rozkazuję ci! — powiedziałem z naciskiem.

— Nie masz mi nic do rozkazywania.

— Halef! Bat!

Ledwie wypowiedziałem te słowa, a już bicz ze skóry hipopotama znalazł się na karku złowrogiego człowieka i to z taką siłą, że chłostany przywarł natychmiast do ziemi. Halef wykrzykiwał:

— Ty prostaku! Kto ci tu nie ma prawa rozkazywać? Mówię ci, że gdy ja jestem przy moim efendim, wówczas musi mu być posłuszne całe państwo sułtana i wszystkie kraje na ziemi, bo jestem jak ryczący lew przy tobie, kichająca glisto!

Humun chciał się oprzeć razem, ale padały one tak szybko i tak gęsto, że musiał im się spokojnie poddać. Lecz wydał z siebie ryk ogarniający cały pałac. Wreszcie Halef skończył. Trzymał jednak nadal bat uniesiony w górę, kiedy pytał:

— Czy teraz wreszcie ściągniesz z legowiska tego starego potwora?

— Złożę na ciebie skargę! I zostaniesz odarty ze skóry! Żywcem! — Wrzasnął chłostany i wziął nogi za pas.

— Efendi! To nie wróży nic dobrego! — ostrzegał Janik.

— Nie boimy się — odparłem. — Dzisiaj mamy wielkie święto, zwane Świętem Chłosty. Będziemy je obchodzić w największym skupieniu.

— Nigdy jeszcze nie słyszałem o takim święcie.

— A więc dzisiaj je poznasz — triumfował Halef. — Sihdi! Wypowiedziałeś wielkie i wspaniałe słowo. Będziesz radością wiernych wyznawców i rozkoszą szczęśliwych mieszkańców ostatnich trzech niebios. Nareszcie pokażesz, że jesteś ozdobą męskiego rodzaju i koroną bohaterów. Moje mięśnie staną się jak węże, zaś palce jak kleszcze raka. Będę szalał pośród rozbójników i miotał się wśród morderców. Wycie rozlegnie się w Kilisseli i wrzask podniosą synowie przestępstwa. Matki i córki tych, którzy nie mają czystego sumienia, podniosą lament, zaś ciotki i siostry nieprawych rwać będą włosy z głowy i rozdzierać czarczafy. Odwet otwiera paszczę, a sprawiedliwość ostrzy pazury, gdyż oto macie przed sobą sędziego z batem zemsty w rękę, bohatera Święta Chłosty, który zwie się Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah!

Stał z rozpromienionym obliczem i wzniesionymi rękami, w postawie mówcy, który świadom jest, iż oto uczestniczy w rozwiązywaniu arcyważnych dla świata spraw.

Humun okłamał nas mówiąc, że jego pan śpi. W momencie, w którym skręcaliśmy do selamliku, gdzie Murad Habulam witał mnie po przybyciu, sam gospodarz wybiegł nam naprzeciw i sapiąc z przejęcia wołał:

— Efendi! Dlaczego bijecie mojego sługę? Mam wielką ochotę kazać was wybatożyć!

Aga nie był sam, lecz towarzyszył mu Humun i krawiec Suef zwący się Afrit, zaś za tą grupą pojawiło się jeszcze pięciu albo sześciu parobków i kilka służebnych dziewczek.

Zakoczyła mnie w pewnym sensie obecność Suefa. Nie przypuszczałem, że go tu jeszcze spotkam, myślałem bowiem, że udał się wraz z pozostałymi rzezimieszkami w siną dal. Czego on tu jeszcze szuka? Czy zamierza wobec nas grać w dalszym ciągu rolę krawca? A może pragnął zrzucić z siebie maskę w przekonaniu, że może sobie na to pozwolić, bo nic mu nie mogliśmy udowodnić, a ponadto wierzył w naszą wyrozumiałość i pobłażliwość? No nic, bracie, poczekajmy, aż przyjdzie kolej na ciebie!

Nie odpowiedziałem nic Muradowi Habulamowi, ale dałem znak Omarowi, aby mój fotel popychał spokojnie dalej. Moje milczenie wznagało złość Turka, który wściekał się, miotając groźby mające nas doszczętnie unicestwić. Kiedy dotarliśmy do drzwi, Halef chciał je otworzyć, ale aga zagroził mu drogę krzyżując:

— Nikomu nie wolno tutaj wchodzić! Zabraniam!

— Ty? — dziwił się Halef. — Ty nie masz nam nic do zabrania.

— Stanowię w tej miejscowości najwyższą władzę sądową i policyjną!

— Można zatem drogiemu Kilisseli życzyć szczęścia, bo jeśli najwyższa władza sądowa grabi i morduje, cóż mają robić poddani! Zejdź nam zatem łaskawie z drogi, bo jeśli tego nie uczynisz, to pocałuje cię mój bat, głośno, dźwięcznie i namiętnie. Zrozumiano?

Halef zamierzył się batem, a ponieważ aga w dalszym ciągu tarasował drzwi, otrzymał taki cios, że uskoczył ze swego miejsca ze zręcznością godną cyrkowego artysty i krzychał:

— Hadzi Halef bije mnie! Allah mi świadkiem i wy też! Złapcie go! Przewróćcie! Zwiążcie!

Wezwanie to odnosiło się do parobków, lecz ani oni, ani też Humun czy Suef, nie wazyli się tknąć małego Hadziego. Hadzi natomiast, wcale się nie oglądając, otworzył drzwi i wszedł do środka. Podążyliśmy za nim. Murad Habulam wpadł za nami, reszta także napierała do przodu. Zatrzymał się pośrodku pokoju i ryknął:

— Bezcelność, którą jak najsurowiej ukarzę jako przełożony miejscowego sądu karnego.

— Kilisseli jest skromną wioską, w której nie ma takiego sądu — odparłem. — Ale ja jestem tutaj sędzią!

— Nie wierzę. A gdzie studiowałeś?

— Studia nie są tu potrzebne.

— Ho, ho! Jeżeli chcesz być sędzią, to najpierw do dwunastego roku życia powinieneś uczęszczać do szkoły podstawowej, a potem do szkoły średniej, aby uzyskać tytuł softy. Posiadasz go, czy też go posiadasz?

— To cię nie obchodzi.

— Bardzo mnie to obchodzi, bo jeśli ktoś chce sprawować nad nami sąd, musi udowodnić, że posiada wymagane do tego kwalifikacje i po temu prawo. Potrafisz po arabsku mówić i pisać?

— Tak.

— Także po persku?

— Tak.

— I znasz na pamięć Koran? Gdyż znajomości tego wszystkiego wymaga się od softy.

— Znam Koran na pamięć.

— Przekonaj mnie o tym. Zacytuj czterdziestą szóstą surę zwaną „el Ahkaf”.

— Jak się ona zaczyna? — zapytał zakłopotany niegdysiejszy Ormianin.

— Od słów „W Imię Boga Miłosiernego, Litościwego”, jak każda inna sura.

— Ale nie jest to właściwy początek.

— Ten zaczyna się tak: „Objawienie Księgi pochodzi od Boga, Potężnego, Mądrego! My stworzyliśmy niebiosa i ziemię, i to, co jest między nimi, w prawdzie i na określony czas. Lecz ci, którzy nie wierzą, odwracają się od tego, do czego są nawoływani... Mów dalej!

Podrapał się za uchem i spytał:

— Kto ci dał prawo, byś mnie wypytywał? Byłem softą i ty musisz w to wierzyć! Strzeżcie drzwi, aby nikt z obcych, tutaj oskarżonych, nie mógł zbiec i przynieście natychmiast kozioł do chłosty!

Aga wydał w ten sposób rozkaz swoim podwładnym i znalazł szybki posłuch. Humun i Suf stanęli po obu jego stronach, natomiast pozostali ludzie zajęli stanowiska pomiędzy nami a drzwiami, aby nam uniemożliwić ucieczkę. Jedna ze służebnych dziewczek pobiegła po wymieniony sprzęt.

Murad Habulam usiadł teraz pośrodku pokoju i skinął na stojących obok, aby uczynili to samo.

— Jesteście świadkami i ławnikami — powiedział — i uwiarygodnicie mój wyrok.

Trzy te indywidua przybrały teraz tak poważne miny urzędników, że kosztowało mnie sporo wysiłku, aby się nie roześmiać.

— Czy mamy to przemilczeć, sihdi? — spytał mnie Halef po cichu. — To przecież wstyd.

— Nie wstyd a zabawa. Już nieraz stawaliśmy się z oskarżonych oskarżycielami i to stanie się także dzisiaj.

— Spokój! — zawołał do mnie aga. — Przestępca stojący przed sądem milczy. Janiku, Anko! Co macie tam do szukania u tych złoczyńców? Popełniliście ciężkie przewinienie i poniesiecie zasłużoną karę. A teraz jazda mi stąd.

Było to naprawdę śmieszne! Mieliśmy przy sobie całą naszą broń, a ten stary grzesznik uważał, że pogodzimy się z jego wyrokiem. Janik i Anka pozostali za moimi plecami, dlatego Murad Habulam powtórzył polecenie jeszcze bardziej surowym tonem.

— Wybacz! — powiedziałem. — Tych dwoje pozostaje od dziś na służbie u mnie.

— Nic o tym nie wiem.

— Teraz ci to powiedziałem, a więc już wiesz.

— Rozumiem. Odstęczyłeś ode mnie tych ludzi, ale nie zniosę tego i mimo to ukarzę ich.

— Porozmawiamy o tym później — odparłem spokojnie. — Widzisz, że przewód sądowy może się rozpocząć.

Wskazałem ruchem głowy na dziewczkę, która przyniosła właśnie kozioł do wykonywania kary chłosty i postawiła go przed starym.

Była to długa, wąska, pierwotnie czworonożna drewniana ława, którą pozbawiono na jednym końcu obu nóg, tak że pozostały jej na zwężonym końcu tylko dwie, blisko siebie osadzone nogi. Ławę położono na ziemi nogami do góry. Przestępca musiał się położyć brzuchem na desce, przez co jego nogi znalazły się przy nogach kozła.

W takiej pozycji przywiązywano delikwenta, wymierzając mu przepisane razy, na gołe, sterczące poziomo stopy.

Murad Habulam patrzył na tę ławę prawie pieszczotliwie. Potem znacząco skierował swój wzrok na nas i zawołał do jednego ze stojących za nami parobków:

— Bejaz! Ty, jako najsilniejszy, będziesz wykonawcą wyroku.

Do ławy podszedł teraz wysoki, silny chłop, który z lubością zaczął się przyglądać kijom przyniesionym przez dziewczkę i ułożonym tuż obok ławy. Murad Habulam dumnie się wyprostował, chrząknął i zwracając się do mnie zaczął:

— Nazywasz się Kara ben Nemi?

— Tak mnie tutaj nazywają — odpowiedziałem.

— I to ty jesteś panem i władcą stojącego obok ciebie Hadżiego Halefa Omara?

— Nie jestem jego władcą, lecz przyjacielem.

— Nie ma w tym różnicy. Przyznajesz, że on mnie bił?

— Tak.

— I również Humuna, mojego sługę?

— Tak.

— Ponieważ sam to przyznajesz, nie muszę zatem pytać Hadżiego Halefa. Czy wiesz, ile razy wymierzył on Humunowi?

— Nie liczyłem.

— Przynajmniej dwadzieścia — zawołał Humun.

— Dobrze. Ja oberwałem wprawdzie tylko raz, ale..

— Żałuję! — wpadł mu w słowo Halef. — Chciałem ci wlepić dwa razy więcej niż Humunowi!

— Milcz! — wrzasnął na niego gromkim głosem aga. — Wolno ci mówić tylko, kiedy pytam.

Poza tym, dziękuj Allahowi, żeś mnie więcej nie bił, że cię powstrzymał. Jestem tutaj panem i władcą i za każdy cios, który na mnie spadnie, otrzymasz trzydzieści razy. A więc licząc te dwadzieścia, które dostał Humun, będzie ich razem pięćdziesiąt i one spadną teraz na twoje stopy. Podejdź i zdejmuj buty!

Bejaz przygotowywał powrozy, którymi zamierzał związać Halefa. Rozejrzałem się po moich towarzyszach. Robili naprawdę wspaniałe miny.

— Pospiesz się! — przynaglał Murad Habulam Halefa, a ponieważ Halef nie posłuchał, rozkazał Bejazowi:

— Przyprowadź go!

Parobek zbliżył się do Halefa. On zaś wyjął zza pasa jeden z pistoletów, wycelował go w Bejaza i odwiódł kciukiem oba kurki. Bejaz, widząc to, uskoczył w bok i przestraszony krzyczał do swego pana:

— Na Allaha! Ten człowiek strzela! Sam go sobie przyprowadź!

— Tchórz! — szydził Murad Habulam. — Ty, taki olbrzym, boisz się tego karła?

— Nie jego, lecz pistoletu.

— Nie wystrzeli. Do dzieła ludzie! Przyprowadzić mi go! Parobczaki spoglądali po sobie. Bali się Hadżiego. Tylko krawiec

Suef okazał się odważny. On także wyciągnął zza pasa pistolet, którego wcześniej nie zauważyliśmy u niego, podszedł bliżej i powiedział do parobka:

— Czyń swoją powinność, Bejaz! Gdy tylko podniesie pistolet, dostanie kulę w łeb!

Człowiek ten jeszcze wczoraj sprawiał wrażenie pokojowo usposobionego, i nieszkodliwego krawca, teraz natomiast twarz jego wyrażała nienawiść i stanowczość, które innym ludziom niż my mogłyby napędzić stracha.

— Ty? Krawiec i chcesz strzelać? — śmiał się Halef.

— Milcz! Nie jestem krawcem! Czego wy przybłądy tutaj szukacie? Co was obchodzą nasze sprawy? Chcecie położyć kres naszemu postępowaniu, a jesteście przecież tak bezgranicznie głupi, że uważacie mnie za krawca! Jeśli...

— Kto tu jest bezgranicznie głupi? — przerwał mu Halef. — Czy twój ptasi mózg wciąż jeszcze nie zrozumiał, że już wczoraj w czasie jazdy do Jersselü wiedzieliśmy, że jesteś szpiegiem Suefem, z którym mój sihdi bawi się jak kot z myszką? I pomyśleć, że takim półgłówkom Szut musi zawierzać swoje bezpieczeństwo i swoje drogie życie! Jakże mi cię żal, biedny Szucie!

Słowa te, wypowiedziane w tonie największego współczucia, wyprowadziły Suefa z równowagi. Zawołał więc w największej furii:

— Zaraz poznasz, co ta mysz znaczy! Jeżeli natychmiast się nie położysz i nie zdejmiesz obuwia, to pokażę ci, w jaki sposób się posłuszeństwo egzekwuje.

Mówił to całkiem serio. Halef patrzył na niego z ukosa, przełożył pistolet do lewej ręki, z czego zorientowałem się, co nastąpi, i zapytałem przyjaznym tonem:

— W jaki sposób to zrobisz?

— O, właśnie w taki!

Suef wyciągnął rękę, aby złapać Hadziego. Halef zrobił natomiast błyskawiczny unik i zadał Suefowi potężny cios, tak że wytrącił mu z ręki pistolet i posłał go szerokim łukiem na ziemię. Zanim Suef zdążył się podnieść, Halef szybko wsunął broń za pas, uklęknął na nim i policzkował go obiema rękami i to z taką prędkością, że Suef nie zdążył nawet kiwnąć palcem w swojej obronie.

Murad Habulam zerwał się ze swego miejsca i wściekle ryczał. Humun gestykulował jak szalony, ale nie ważył się przyjść Suefowi z pomocą. Wrzeszczeli parobcy i piszczały dziewczki, nie ruszając się jednak z miejsca. Zrobiła się piekielna wrzawa, aż wreszcie Halef puścił przeciwnika i podniósł się z kolan.

Suef rzucił się tam, gdzie leżał wytrącony mu z ręki pistolet, ale Halef był jednak szybszy i kopnął nogą broń, tak że odbiła się ona o moje krzesło i pozostała na podłodze. Suef skoczył w tę stronę i chciał ją podnieść, ale w tym momencie znalazł się w zasięgu moich ramion. Kiedy się pochylił, złapałem go za kark i pociągnąłem w górę. Mój chwyt miał ten skutek, że ręce zwisały mu bezwładnie i strachliwie łapał powietrze. Osko podniósł pistolet i zatknął go za pas. Lewą ręką klepnałem szpiega w głowę i posadziłem go u moich stóp na podłodze.

— Tu siedź i nie ruszaj się — przykazałem mu. — Jeśli tylko zrobisz najmniejszy ruch i będziesz chciał wstać, rozgniotę ci łeb jak jajko.

Opuścił głowę i ręce, i spokojnie siedział. Pozostali domownicy ciągle jeszcze szumieli.

— Zrób z nimi porządek, Halef!

Ledwo wypowiedziałem te słowa, a już bat Małego wylądował na plecach Murada Habulama. Stary natychmiast ucichł, milczał także Humun, reszta poszła momentalnie za jego przykładem.

— Siadaj! — warknąłem na sędziego, który zaraz usiadł.

— Wynosić mi się sprzed drzwi! — poleciłem służbie. — Stańcie w kącie! Zostaniecie tam tak długo, jak długo wam każę!

Spiesznie wykonali rozkaz. Nikogo więcej za naszymi plecami nie było i mogliśmy się teraz wszystkiemu i wszystkim dokładnie przyjrzeć.

Po adze widać było, że nie wie, co powiedzieć, i jak się zachować. Gniewnym wzrokiem spoglądał to tu, to tam. Zacisnął pięści i usta. Wreszcie otworzył je, aby dać upust złości skierowanej przeciwko mnie.

— Milcz, bo dołożę ci batem! — ostrzegłem go. — Teraz ja mówię! Myślisz może, że przybyliśmy tutaj, abyś nam rozwalił kijem pięty? Albo też wydaje ci się, że możesz nad nami sprawować sąd? Teraz my wydamy na was wyrok i również go wykonamy. Kazałeś przynieść koziół, więc się nim posłużymy.

— Co ci wpadło do głowy! — odparł. — Chcesz mnie tutaj, w moim własnym domu...

— Spokój! — przerwałem mu. — Masz milczeć, kiedy ja mówię. Twój dom jest jaskinią zbójców, a ty myślisz, że...

Ale i mnie przerwano, bo oto nagle Osko krzyknął i rzucił się na rzekomego krawca. Ja również, mimo że wzrok miałem skierowany na Murada Habulama, dostrzegłem ruchy Suefa. Ten karzeł był

naprawdę niebezpieczny! Był to jedyny człowiek, który odważył się sięgnąć po broń. Uznał chyba, że nie zwracam na niego uwagi i znieacka wydobył prawą ręką zza pazuchy nóż. Błyskawicznie wspiął się ku mnie i chciał pchnąć w moją pierś błyszczące ostrze, ale mu się to nie udało. Osko zdążył go schwycić za uzbrojoną rękę i ja także złapałem go za gardło. Dосkoczył do nas także Halef i pokonanemu ponownie bandycie wyjął z ręki nóż.

— My go przytrzymamy, a ty przeszukaj jego pas i kieszenie — poleciłem.

Uczył to i wyjął stamtąd starą, załadowaną króciwą, różne drobiazgi i sakiewkę pełną pieniędzy, którą Mały otworzył i podając mi ją powiedział:

— Popatrz na to złoto! A ten karzeł udawał ubogiego człeka, który ledwie może wyżyć z wędrowniej krawiecczyny! To złupiony albo skradziony pieniądz. Co z tym zrobimy?

— Włóż mu te pieniądze z powrotem do kieszeni. Nie należą bowiem do nas i nie możemy udowodnić, że zostały skradzione. Broń mu natomiast zabierzemy, aby nikomu nie mógł wyrządzić krzywdy.

Posadziłem niegodziwca zgrzytającego zębami znów na podłodze. Postanowiłem go unieszkodliwić, ale aby to osiągnąć, nie musiałem zaraz odpłacać mu tym samym, żądając śmierci za śmierć. Powinien jednak ponieść taką karę, którą zapamiętali która mu zarazem utrudni zajmowanie się nami.

— Halef! Osko! Omar! Przywiążcie go do kozła — nakazałem. Nie trwało nawet minuty, jak Suefa przywiązano do kozła w sposób przygotowany do chłosty.

— Czy przyznajesz, że twój dom jest faktycznie jaskinią zbójców?

— krzyknął Halef do agi. — Ale teraz nasza cierpliwość się skończyła. Teraz zrozumiecie, co znaczy porywać się na nasze życie.

— Nic o tym nie wiem — stwierdził aga.

— Milcz! Z tobą potem pogadamy. Zaczniemy bowiem od tego nędznika. On to przyprowadził nas do tej mordowni, wiedząc, że mamy tu zginąć, a teraz chciał cię ugodzić nożem, sihdi! Postanów, co z nim począć? Czy nie uważasz, że zasłużył na śmierć?

— Tak jest. Zasłużył na śmierć, ale darujemy mu życie. Możliwe, że stanie się jeszcze innym człowiekiem. Zaś pobudką do poprawy niech będzie chłosta, którą chciano tobie wymierzyć.

— Ile razy?

— Pięćdziesiąt. Tyle razy przyrzekłem wczoraj Suefowi. On zaś słyszał to i uznał za wyjątkową łagodność i łaskę.

— Ale wtedy chodziło o bicz.

— Czy uważasz kije w pięty za coś łżejszego?

— Nie stać mnie na wydanie takiego osądu — śmiał się mały Hadzi. — Nie posmakowałem dotąd ani bicza, ani kija.

— Dobrze. Pozostaniemy zatem przy tych pięćdziesięciu.

— Kto się tym zajmie?

— Zdaje się, że ty, Halef, cieszyłeś się na taką okazję.

Mimo że normalnie Halef chętnie posługiwał się biczem, oczekiwałem jednak, że odrzuci moją propozycję. I nie pomyliłem się w ocenie mojego dzielnego towarzysza, który z gestem dezaprobaty powiedział z dumą:

— Dziękuję ci, sihdi! Tam, gdzie trzeba się upomnieć o szacunek dla nas przy pomocy bicza, jestem zawsze gotów, ale nie chcę być policjantem. Bat jest symbolem panowania, dlatego wybrałem bicz, a odrzucam kij. Wykonanie wyroku należy do kata, ja zaś nie jestem katem.

— Masz rację! Sam zatem zadecyduj, kto to ma zrobić.

— Z miłą chęcią. Człowiek patrzy z przyjemnością, gdy przyjaciele czynią sobie honory. Humun jest sprzymierzeńcem Suefa. Niech zatem jako wyraz szacunku i braterskiej miłości wymierzy mu tych pięćdziesiąt kijów.

Decyzję tę w pełni aprobował. Wyraziłem to skinieniem głowy, w wyniku czego Halef zwrócił się do Humuna:

— Słyszałeś, co przed chwilą mówiono? A więc podejdź no i wyświadczyć przyjacielowi rozkoszną sprawiedliwość!

— Nie zrobię tego! — wzbraniał się służący.

— Nie mówisz chyba tego poważnie. Radzę ci, pomyśl o sobie. Jeśli ty tego nie zrobisz, to sam je dostaniesz. Przyrzekam ci to na brodę mego ojca. A więc do roboty! Nie ociągaj się, bo ci zaraz pomogę!

Humun zrozumiał, że nie zdoła się wykręcić. Podeszedł do kozła i wziął jeden z kijów. Można było po nim poznać, że nie zamierza się przykładać do egzekucji. Dlatego Halef ostrzegł go:

— Ale mówię ci, że za każdy cios, który wyda mi się zbyt słaby, sam oberwiesz biczem. A więc, bierz się w garść! Osko! Poproś efendiego o bicz i stań z tamtej strony tego dobrego człowieka! Gdy tylko poczęstuję go korbaczem, uczynisz to samo. To go zachęci do spełnienia naszych oczekiwań. Omar niech się zajmie liczeniem.

Humun znalazł się w bardzo przykrym położeniu. Sam chętnie by oszczędził swego kompana, lecz z prawej strony stał Halef, a z lewej Osko z biczem w ręku. Był zatem sam narażony i zrozumiał, że musi być posłuszny. W każdym razie widać było po sposobie, jakim trafiał kijem w odpowiednie miejsce, że nie robi tego po raz pierwszy.

Suef się nie odzywał. Nie mógł się ruszać, ale gdyby spojrzenia, jakie na nas rzucał, były sztyletami, to przebiłby nas na wskroś. Murad Habulam nie spuszczał oka z tego przedstawienia. Poruszał jedynie wargami. Wyglądało na to, jakby chciał przemówić, ale się opanował. Jednak w momencie, w którym Humun zamierzył się po raz pierwszy, nie wytrzymał i zawołał:

— Nie rób tego! Rozkazuję ci!

— Ani słowa więcej! — zbyłem go. — Chcę postąpić z wami łagodniej, niż wy zamierzaliście postąpić z nami. Jeśli jednak powiesz jeszcze słowo bez mego pozwolenia, to zawiozę cię do Üsküb i przekażę w ręce sędziego. Możemy dowieść, że nastawałeś na nasze życie, a jeżeli zdaje ci się, że sędziowie wypuszczą cię na wolność po naszym wyjeździe, to chcę ci zwrócić uwagę, że w Üsküb rezyduje kilku zachodnich konsulów, którzy mają tę władzę, że potrafią wyegzekwować na tobie najsurowszą karę. Zrobisz mądrze, gdy będziesz milczał. — Murad skapitulował. Znał potęgę władzy wspomnianych urzędników i bał się ich, dlatego od tej chwili nie powiedział więcej ani słowa.

Zdrajca otrzymał swoich pięćdziesiąt razów. Zacisnął zęby i nie wydał z siebie żadnego odgłosu poza zgrzytaniem. Ja natomiast zamknąłem oczy przy pierwszym uderzeniu. Obecność przy takiej egzekucji nie należy do przyjemnych, ale wmówiłem sobie, że w poczuciu sprawiedliwości, a także ze względu na nas samych i na naszych bliźnich, nie wolno mi okazać tutaj laski. Bity Suef nie wydał z siebie głosu, lecz kiedy padł ostatni cios, zawołał:

— Rakiję! Rakiję! Polejcie mi stopy rakiją! Prędko, prędko!

Murad Habulam odważył się teraz przemówić i polecił Ance przynieść rakiję. Przyniosła pełną butelkę. Humun odebrał ją z rąk Anki i najpierw przytknął ją do ust schłostanego. Suef pociągnął kilka łyków, a potem polano mu szczypiącym płynem rany. Zasyczał tylko z bólu. Ten człowiek musiał mieć żelazne nerwy albo też kiedyś bito go tak często, że jego natura przywykła do takiej rozkoszy. Uwolniony z pęt zaczął się do Murada Habulama. Tam podciągnął nogi ku sobie, wsadził głowę pomiędzy kolana i odwrócił się do nas pogardliwie plecami.

— Ten jest załatwiony, sihdi — zameldował Halef. — Czyja kolej teraz?

— Humuna — odparłem krótko.

— Ile?

— Dwadzieścia!

— Kto je wymierzy?

— Sam decyduj.

— Niech będzie Murad Habulam!

Hadzi postąpił słusznie. Przez to, że jeden przestępca miał bić drugiego, posiał między nich nienawiść i chęć zemsty. Aga wzbraniał się.

— Humun był zawsze wiernym sługą, dlatego nie będę go bił.

— Właśnie dlatego, że ci wiernie służył, okażesz mu namacalny dowód twego zadowolenia — odparł Halef.

— Nie pozwolę się zmusić!

— Jeśli aga poskąpi swemu słudze tych dwadzieścia razy, to sam otrzyma czterdzieści — zadecydowałem.

To poskutkowało. W momencie przywiązywania do kozła Humun wzbraniał się, ale nic mu to nie pomogło. Jego pan z niechęcią sięgał po kij, lecz dwa zagrażające mu bicze wzmacniały na tyle jego rękę, iż razy osiągnęły swoją pełną skuteczność. Humun w czasie chłosty nie zachowywał się tak po męsku jak Suef. Spostrzegłem natomiast, że służba wymieniała między sobą zadowolone spojrzenia i spoglądała na mnie z niejaką wdzięcznością. Humun był faworytem agi i niewątpliwie dręczył pozostałych. Również i on kazał sobie pokropić rany gorzałką i zawlókł się do kąta, gdzie zwinął się w kłębek.

— Kto następny? — dopytywał się Halef.

— Murad Habulam — brzmiała moja odpowiedź. Wymieniony stał jeszcze obok kozła z kijem w rękę. W tym momencie odskoczył przerażony do tyłu i krzyknął:

— Co? Jak? Ja mam być chłostany?

— Oczywiście! — potwierdziłem, mimo że miałem wobec niego inne zamiary.

— Żaden człowiek nie ma do tego prawa!

— Mylisz się. Ja jestem tym, który ma to prawo. Wiem bowiem wszystko! Czy nie otworzyłeś twego domu po to, abyśmy zostali w nim zamordowani?

— To wierutne kłamstwo!

— Czy to nie twój brat, Manach el Barsza, piastujący urząd poborcy podatkowego w Üsküb, którego został później pozbawiony, był wczoraj u ciebie i zameldował ci zarówno o przybyciu naszym jak i jego towarzyszy.

— Chyba ci się śniło. Ja nie mam brata!

— A zatem śniłem może także, że z nim omawiałeś, iż nas ulokuje się na Wieży Starej Matki, a Humun ma tam wystąpić w roli ducha?

— Opowiadasz efendi całkiem nieznanne mi rzeczy!

— Za to Humun wie o tym wszystkim, bo poznaję to po jego zdziwionym spojrzeniu, które mi właśnie posyła. Dziwi się, że znam tajemnicę. Plan z upiorem był niewykonalny, dlatego wpadliście na pomysł, by wdrapać się na wieżę i nas zamordować.

— Na Allaha! Straciłeś chyba zmysły?

— Mnie mieli zabić bracia Aladzi. Barud el Amasad chciał zamordować Osko, gdyż pała do niego zemstą z powodu uprowadzenia Senicy. Twój brat, Manach el Barsza, postanowił zająć się Halefem, a Suef wyraził gotowość zabicia Omara. Miridita natomiast wycofał się ze wszystkiego,

ponieważ zawarł ze mną pokój i dał mi swój czekan, który widzisz u mnie za pasem.

— Allah akbar! On wie wszystko! Wszystko mu powiedziało jego złe spojrzenie! — mamrotał przerażony Humun.

— Nie! Nie! On nie wie nic! — wołał Murad Habulam. — Efendi! Nie znam nikogo z tych, których nazwiska wymieniłeś.

— Wszyscy oni byli na wieży, a przedtem byliście wszyscy, całą dziewiątką, we wnętrzu pustego stogu stojącego obok wieży.

— U mnie nie ma żadnego pustego stogu!

— A więc ci go pokażę i powiem jeszcze, że sam wpętlęm pomiędzy snopy, skąd was widziałem i podsłuchiwałem. Słyszałem każde słowo, każde!

Cofnął się i wpatrywał się we mnie ze strachem.

— Czy zanim Miridita nie odszedł, nie kłócił się z Mübarekiem?

— Ja... ja... o niczym nie wiem — bełkotał.

— A zatem zapytamy Suefa, może on coś wie, a jeśli nie odpowie, to bat rozwiąże mu z pewnością język.

Szpieg odwrócił się ku mnie, wyszczerzył zęby jak dzikie zwierzę, strzelił ku mnie wściekłym spojrzeniem i syknął:

— Ty sukinsynie! Czy myślisz, że sobie coś robię z tej twojej chłosty? Czy słyszałeś może, abym skomlał? Myślisz może, że zmusisz mnie biciem do mówienia prawdy?

— To mów bez bicia, jeśli jesteś taki odważny!

— Odwagi mi nie brak. Jest dokładnie tak, jak powiedziałaś, a więc wiedz, że chcieliśmy ciebie zabić! I to nam się nie udało, ale, na Allaha, nie potrwa długo, a trupy wasze rozniosą wrony!

— On bredzi! — krzyknął Murad Habulam. — Z bólu pomieszał mu się rozum!

— Tchórz! — zaskrzeczał Suef.

— Zapytaj jeszcze Humuna, sihdi — powiedział Halef. — Jeżeli nie będzie chciał mówić, to dołożymy mu na podeszwy jeszcze dwadzieścia kijów.

Podszedł do służącego i schwycił go za ramię.

— Zostaw mnie, ty pomocie szatana! Wyznam wam wszystko, wszystko! — krzyczał Humun.

— Czy jest tak, jak mówi mój sihdi?

— Tak, tak, właśnie tak!

— Również i on zwariował z bólu! — wołał Murad Habulam.

— Dobrze. Usłyszysz zatem jeszcze dwóch dalszych świadków. Janik! Powiedz zgodnie z prawdą, czy twój aga jest niewinny?

— Aga chciał was zamordować — oświadczył parobek.

— Łajdak! — wył aga. — Zagroziłem ci karą za nieposłuszeństwo i dlatego chcesz się zemścić!

— Anka! — kontynuowałem. — Czy możesz przyznać, że twój pan wsypał truciznę na szczury do omletu?

— Tak! — odpowiedziała. — Widziałam to na własne oczy.

— Na Allaha, co za kłamstwo! Efendi! Przysięgam na Proroka i na wszystkich kalifów, że jestem całkowicie niewinny!

— Popeliłeś okropne krzywoprzysięstwo, które cię... Przerwano mi zdanie w połowie. To, że Ormianin, który przeszedł

na islam, fałszywą przysięgą znieważał imię Proroka i pamięć kalifów, do żywego dotknęło obecnych tu muzułmanów. Halef złapał za bicz. Rozległ się gniewny pomruk. Humun podniósł się na poranionych stopach i idąc z trudem zbliżył się do swego pana, splunął mu w twarz i krzyczał:

— Fui! Bądź przeklęty na całą wieczność! Twoje tchórzostwo zaprowadzi cię do dżehenny! Służyłem panu, którego Allah niech strąci w najgłębszą głębię piekiel. Teraz cię opuszczam, ale najpierw jeszcze się policzymy!

Również Suf stał przed agą i zawołał:

— Hańba tobie i twojej starości! Zgubiłeś duszę i wymazałeś się z pamięci wiernych! Odtąd nic mnie już z tobą nie łączy!

Kuśtykając wrócili obaj na swoje miejsca. Z łatwością brali na sumienie samo zabójstwo, ale bez reszty obrażało ich uwłaczanie godności Allaha i jego następców.

Murad Habulam stał tak, jakby go trafił piorun. Obiema dłońmi zasłaniał czoło. Nagle wyrzucił ramiona w górę i podniósł lament:

— Zbłądziłem! Na Allaha! Ale naprawię ten błąd. Przyznaję, że mieliście zostać zamordowani i że wsypałem do jądła truciznę! La ilaha il'Allah, we Mohammed rassulu 'llah! — powtarzał zawodząc.

Zaś Halef podszedł do niego, położył mu dłoń ciężko na ramieniu i rzekł:

— Twoje szczęście, że odwołałeś przysięgę! Mój efendi wprawdzie nie dał mi takiego przyzwolenia, ale przysięgam na brodę Proroka, że zanim opuściłbym ten dom, zgasłoby słońce twojego życia. A więc przyznajesz się do winy?

— Tak.

— A zatem, zniesiesz także karę, jaką ci nałożymy. Ile razy mu wymierzyć, sihdi? — pytał Halef.

— Sto! — zdecydowałem.

— Sto? — zaskrzeczał stary. — Ja tego nie przeżyję!

— Twoja sprawa! Dostaniesz sto kijów w pięty!

Aga niemal się załamał. Widziałem, jak mu się trzęsły kolana. Był wielkim łajdakiem i jeszcze większym tchórzem.

— Okaż miłosierdzie! — skomlał. — Allah ci wynagrodzi!

— O, nie! Allah by się na mnie gniewał, gdybym postępował w taki sposób przeciwko jego przykazaniom. A co by na to powiedział Humun i Suf, gdybym ci darował karę, podczas gdy oni musieli się jej poddać!

— Na kozioł z nim! — wołał Suf.

— Należy mu się ta setka! — wtórował mu Humun.

— Słyszysz? — upominał go Halef. — Tego chce Allah i tego chcemy także my. Podejdź no tutaj i wyciągnij swoje członki, byśmy cię mogli przywiązać.

Schwycił Murada za ramię, chcąc go zmusić do położenia. Okrutny starzec wił się jak glista i kwilił jak dziecko. Skinąłem na Osko i Omara. Schwycili go także i przycisnęli do kozła. Przywiązano go, mimo że się sprzeciwiał. Jego nagie, kościste stopy już teraz wykonywały takie ruchy, jakby odczuwały oczekujący je ból.

— Kto się weźmie za kij? — zapytał Halef.

— Ty! — odparłem krótko.

Chciał zaoponować, ale zrozumiał mój znak, że ma milczeć.

— Ciesz się, ago Muradzie Habulamie — mówił Hadzi, łapiąc za kij — ciesz się, że to ja będę tym, który obdarzy cię dobrodziejstwem kary. Tych sto razy podziła na ciebie jak tysiąc. I zdejmie z twojej duszy sporą część twoich grzechów.

— Miłosierdzia! Łaski! — błagał aga. — Dam okup, zapłacę za cięgi!

— Zapłacisz? — śmiał się Halef. — Chyba żartujesz! Skąpstwo przejąłeś po dziadku, a

chciwość jest matką twoich przodków.

— Och nie! Nie! Nie jestem skąpy. Zapłacę wszystko, wszystko!

— Na to mój efendi nie pozwoli, ale chętnie bym się dowiedział, ile byś dał, aby uniknąć kijów.

— Dam wam chętnie za każde uderzenie całego piasra.

— A więc sto piastrów? Zwariowałeś? To co jest przyjemnością dla nas, kosztuje dziesięć tysięcy piastrów, a twój ból, jeśli czeka cię chłosta, wyniesie dwadzieścia tysięcy. Stanowi to razem trzydzieści tysięcy! A ty proponujesz za ledwie sto! Wstydź się!

— Milcz! Nie mam czasu na poznawanie twego skąpstwa. Muszę zaczynać.

Halef ustawił się przy stopach starego, udając, że celuje kijem w odpowiednie miejsce i się zamierzył.

— Na Boga, nie bij! — jęknął Murad Habulam. — Dam więcej! Dam dużo, dużo więcej!

Oczywiście, że był to teatr. Cała ta chłosta nie była budującym zdarzeniem i przyznaję, że uczestniczyłem w niej z odrazą. Ale proszę moich czytelników, aby nie wmawiali mi od razu niechrześcijańskiego albo grubiańskiego postępowania, chociaż muszę przyznać, iż nie można go także nazwać godziwym, mimo że było ono w pełni uzasadnione. Znajdowaliśmy się bowiem w kraju, którego nie można nazwać cywilizowanym i mieliśmy do czynienia z ludźmi przywykłymi do życia w godnych pożałowania warunkach panujących w Azji Mniejszej. Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę, że ludzie ci byli członkami niezwykle groźnej bandy przestępców o szerokim zasięgu działania, której istnienie umożliwiały jedynie tamtejsze zdemoralizowane stosunki. Od Konstantynopola, aż tu, do Kilisseli, mieliśmy do czynienia z ludźmi, dla których ani cudza własność, ani też życie drugiego człowieka nie stanowiły żadnej świętości. Znajdowaliśmy się ustawicznie w śmiertelnym niebezpieczeństwie i jeszcze teraz w każdej chwili groziło nam unicestwienie. Zwabiono nas do tego domu w sposób przemyślany i przebiegły, aby nas zamordować. Zamierzano nas otruć, a gdy to się nie udało, udusić albo zadźgać. Czyż należało się zatem dziwić, że ogarnęła nas szczególna zawziętość za to, że każdej minuty dnia i nocy musieliśmy być zawsze w stałej gotowości? Znajac miejscowe stosunki musieliśmy zrezygnować z szukania pomocy w urzędach. Byliśmy zdani wyłącznie na siebie. Jaka kara mogła zrównoważyć wymierzone przeciwko nam napady? Czy było w tym coś okrutnego albo zgoła coś krwiożerczego, że postanowiliśmy wychłostać znajdujących się w naszych rękach bezbożnych i pozbawionych sumienia szubrawców? Z pewnością nie! Jestem raczej przeświadczony, że postępowaliśmy zbyt łagodnie i pobłaźliwie.

Kto mógłby nas potępić za to, że skazaliśmy Murada Habulama na kilka minut udręki? Zamierzałem osiągnąć przez to określony cel. Gdyby mnie nawet pomawiano o stosowanie przymusu, szantażu albo jeszcze czegoś innego i stwierdzono, że łamię zasady kodeksu obowiązującego w moim kraju, za co grozi mi kara, odpowiem, że niestety nie znajdowaliśmy się w Niemczech. Musieliśmy się liczyć z istniejącymi warunkami i do dziś nie robię sobie wyrzutów z tytułu mojego ówczesnego postępowania.

— Chcesz dać więcej? — pytał Halef. — Ile?

— Płacę trzysta... — a ponieważ Hadzi znów się zamierzył, aga dorzucił w pośpiechu — czterysta, pięćset piastrów! Nie mam więcej niż pięćset.

— A zatem — rzekł mały Hadzi — jeżeli nie masz więcej, to musisz przyjąć nasz dar. Jesteśmy oczywiście bogatsi od ciebie. Mamy w zapasie tyle razów, że możemy nimi obdzielić całe Kilisseli. Aby ci to udowodnić, będziemy wspaniałomyślni i dołożymy ci jeszcze pięćdziesiąt, tak że otrzymasz sto pięćdziesiąt razów. Mam nadzieję, że twoje wdzięczne serce doceni naszą hojność.

— Nie! Nie! Nie chcę stu pięćdziesięciu! Nie chcę nawet stu!

— One zostały jednak tobie przysądzone, a ponieważ ty, jako biedny człowiek, masz na zbyciu

tylko pięćset piastków, nie można naszego wyroku zmienić. Omar! Chodź tu! Będziesz znów odliczał! Chcę wreszcie zacząć.

Zamierzył się i na prawą stopę agi spadło pierwsze uderzenie.

— Allah kerim! — wrzasnął przeraźliwie stary. — Zapłacę sześćset!

— Dwa... — liczył Omar. Cios spadł na lewą stopę.

— Powstrzymaj się! Powstrzymaj! Dam osiemset, dziewięćset, dam tysiąc piastków.

Halef rzucił ku mnie pytające spojrzenie, a kiedy skinąłem, opuścił podniesiony znów w górę kij i powiedział:

— Tysiąc? Sihdi! Jaki wydasz rozkaz?

— To będzie zależeć od Murada Habulama — odparłem. — Pytanie, czy ma on ten tysiąc piastków w gotówce?

— Mam — przyznał się pan domu.

— No to możemy się zastanowić.

— Co tu jest do zastanowienia? Dostaniecie pieniądze i możecie sobie poużywać żywota.

— Mylisz się. Jeżeli w ogóle okażę ci tę łaskę, aby darować ci karę za tak nikłą sumę, to te tysiąc piastków przeznaczymy dla ubogich.

— Róbcie z tym, co chcecie, tylko mnie puśćcie!

— Możliwe, że ze względu na ludzi, dla których te pieniądze są przeznaczone, uczynię to, wszelako pod jeszcze jednym warunkiem.

— Jeszcze jeden warunek? Na Allaha! Czyżbyście chcieli jeszcze więcej pieniędzy?

— Nie. Nie to. Żądam tylko, abyś zwolnił Janika i Ankę natychmiast ze służby.

— Chętnie! Chętnie! Niech sobie idą!

— Wyplacisz im także należne wynagrodzenie bez jakichkolwiek potrąceń!

— Dobrze. Otrzymają wszystko.

— Pięknie! Opuszczą oni twój dom wraz ze mną. Jednak pieszo aż w okolice Üsküb, to zbyt daleko. Ponadto będą dźwigać swoje osobiste rzeczy. Dlatego moim życzeniem jest, aby jechali oni wozem, który stoi na dole pod szopą!

— Och! To mi się nie podoba!

— Jak uważasz. Halef! Rób swoje! Po raz trzeci.

— Stop! Stop! — zaskrzeczał aga, widząc, że Mały się zamierzył.

— To niemożliwe, abym dał im wóz! Oni mi go bowiem nie oddadzą.

— Janik i Anka są uczciwymi ludźmi. Zresztą możesz ich przez urząd zmusić do zwrotu.

Murad Habulam wzdragał się wprawdzie jeszcze chwilę, wreszcie przystał na to, że Janik i Anka pojedą jego wozem i jego koniem, po czym pojazd przekażą żonie agi.

— Wreszcie chyba wszystko uzgodniliśmy? — zapytał, głęboko wzdychając.

— Jeszcze nie. Podpiszesz mi bowiem pisemne oświadczenie, co zamierzałeś z nami zrobić.

— Na co ci takie pismo?

— Przekażę je Janikowi. Jeżeli tylko będziesz go prześladował, odda to oświadczenie sędziemu.

— To dla mnie zbyt ryzykowne!

— Halef! Łap za kij!

— Poczekaj! — wrzasnął stary. — Pomyśl, że Janik może wykorzystać to pismo przeciwko mnie także wtedy, kiedy nie będę go atakował!

— A ty musisz przy tym pamiętać — odparłem — że to oświadczenie właściwie wcale nie zwiększa twego zagrożenia. Gała służba, która tutaj stoi, słyszała to, do czegoście się przyznali. Oni wiedzą, co tu się stało i wkrótce wszyscy mieszkańcy w okolicy dowiedzą się, że chciano nas tu

zamordować, a ty jesteś trucicielem. Ludzie będą tobą gardzić i będą cię unikać. Właśnie ta okoliczność wpłynęła na moje łagodne postępowanie. Zostaniesz ukarany wcale nie z mojej zemsty. Twoje oświadczenie ani twojej kary nie przyspieszy, ani też jej nie zwiększy. A więc zastanów się, bo nie mam czasu.

Halef zaakcentował moje wezwanie, dotykając kijem stopę agi, jakby się znów przymierzał. To poskutkowało.

— Dam ci to oświadczenie — zdeklarował się Murad Habulam.

— Rozwiążcie mnie.

Agę uwolniono z więzów i w asyście Halefa i Omara udał się po pieniądze i przybory do pisania, wolno kuśtykając, zaś jego stróże poszli za nim. Parobcy i dziewczki coś tam między sobą szeptali. Wreszcie jeden z chłopaków podszedł do mnie i powiedział:

— Efendi! My także nie chcemy zostać u agi Murada Habulama. Ale on się z pewnością na to dobrowolnie nie zgodzi, i dlatego chcieliśmy cię prosić, abyś go do tego zmusił.

— Tego nie mogę zrobić.

— Jednak zrobiłeś to dla Anki i Janika!

— Byłem im winien wdzięczność, gdyż oni uratowali nam życie. Wy natomiast byliście w dobrej komitywie z mordercami.

— To nieprawda, efendi!

— Czyż nie strzeżliście ich koni?

— Zgadza się. Staliśmy cały wieczór i całą noc w ulewnym deszczu i liczyliśmy na zapłatę, ale ludzie ci wyruszali rozwścieczeni i za naszą przysługę poczęstowali nas kuksańcami.

— Kiedy pojechali?

— Jeszcze przed nastaniem świtu.

— W jakim kierunku?

— Jechali traktem prowadzącym do Üsküb.

— Gdzie stały ich konie?

— Za wsią, przy pigwowych drzewach.

— Jeśli mnie tam zaprowadzisz, to spróbuję załatwić wasze zwolnienie.

— Chętnie cię zaprowadzę, efendi.

W tym momencie wrócił Murad Habulam ze swoimi strażnikami. Omar niósł papier, pióro i atrament. Halef natomiast zbliżył się do mnie z pełną kieszą i rzekł:

— Tu jest te tysiąc piastrów, sihdi. Przeliczyłem je. Schowałem pieniądze.

Aga pokuśtykał do Janika i Anki, dał im należne pieniądze i ofuknął z wściekłością:

— Znikajcie mi z oczu i oddajcie uczciwie wóz w Üsküb! Ja natomiast będę się codziennie modlił, aby Allah zesłał na wasze małżeństwo nieszczęście i waśnie!

Słowa te wznieciły gniew w Janiku. Schował swoje pieniądze i odpowiedział:

— Obrażasz nas i jesteś łajdakiem, jakiego drugiego chyba nie ma. Tym razem uniknąłeś ręki kata, gdyż efendi jest chrześcijaninem i kierował się łaską, ale wkrótce nadejdzie godzina, w której wasza zbójcka banda zostanie zasłużenie ukarana. Godziny wasze są policzone, gdyż wasz herszt zostanie pokonany przez dzielnego efendiego.

— Musiałby go wpierw znaleźć — drwił aga.

— Och! Z pewnością tego dokona, bo wie, gdzie on się znajduje!

— Wie naprawdę?

— Myślisz, że tego nie wiemy. Ja sam pójde z efendim do Karanorman-Han i stanę przy jego boku.

Wymknęło mu się! Ostrzegałem gestem nieostrożnego Janika, ale on tego nie widział. Pragnąłem mu przerwać, lecz Janik mówił tak żarliwie, że nie udało mi się tego zamiaru osiągnąć.

Murad Habulam nadstawił uszu. Na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

— Kara-nor-man-Han! — wołał. Przy czym szczególnie akcentował sylaby nor-man. — Co to za miejscowość?

— To miejscowość w pobliżu Wajczy, gdzie przebywa wasz szef.

— Kara-norman-Han! — śmiał się drwiąco stary. — Bardzo dobrze! Co ty na to powiesz, Suef?

Domniemany krawiec słysząc, że się do niego mówi, odwrócił się i spojrzał badawczo w twarz Janika. Na pytanie Murada Habulama roześmiał się i odpowiedział:

— Wspaniale! Niech idą i szukają. Chciałbym widzieć, jakie zrobią miny, jeżeli znajdą tam tego przywódcę.

Zdziwiła mnie taka reakcja, podobnie jak wczoraj zaskoczyło mnie zachowanie Suefa w tej samej sprawie. Uważałem raczej, że bandyci się przerażają, natomiast oni ironizowali. I nie wyglądało na to, że udawali. W tym momencie wiedziałem z całą pewnością, iż ich herszt wcale nie przebywa w Karanorman-Han.

Nie mogłem jednak teraz kontynuować moich rozważań. Musiałem przystąpić do pisania, co czyniłem na sposób arabski na kolanie. Towarzyszący mi ludzie zachowywali się cicho, abym się nie pomylił.

Murad Habulam usiadł obok Suefa. Szeptali między sobą i gdy od czasu do czasu spoglądałem na nich ukradkiem, zauważyłem z wyrazu ich twarzy, że traktują nas z politowaniem. Wreszcie zaczęli chichotać i ta bezczelność mnie zezłościła.

— Zejdź na dół i zaprzęgay konia — poleciłem Janikowi. — Załadujcie wasze rzeczy! Wkrótce wyjeżdżamy.

— Czy mam przyprowadzić nasze konie? — zapytał Halef.

— Na razie nie, ale idź jeszcze raz do wieży. Zauważyłem, że zostały tam jeszcze resztki omletu, które podrzuciliśmy wróblom. Dokładnie je pozbieraj, może nam będą jeszcze potrzebne.

Bystry Hadzi natychmiast mi przypomniał, że mam także torebkę z trucizną, którą zabraliśmy Habulamowi.

— To bardzo dobrze. Aga się z nas podśmiewa. Postaram się, aby spoważniał.

Halef, Janik i Anka oddalili się. Hadzi wrócił, kiedy skończyłem pisanie, i przyniósł garść większych i mniejszych okruchów w ilości wystarczającej do chemicznego przebadania.

— Efendi! Co chcesz z tym uczynić? — spytał zakłopotany Murad Habulam.

— Przedłożę je policyjnemu aptekarzowi i każę sprawdzić, czy część trucizny z torebki znalazła się faktycznie w omlecie.

— To przecież nie ma sensu!

— Ma i to niezwykle. Chcę bowiem w ten sposób stłumić twoją wesołość.

— Myśmy się nie śmiali!

— Nie kłam! Pogarszasz tylko w ten sposób sprawę.

— Śmialiśmy się tylko z tego Karanorman-Han, efendi.

— Czy to takie śmieszne?

— Nie. Ale Janik mówił o jakimś szefie, o którym nic nie wiemy, zaś Karanorman-Han jeszcze mniej nas obchodzi.

— Tak? A więc nic nie wiecie o człowieku zwanym Szut?

— Nie! — odparł, mimo że widziałem, jak go zmroziło, kiedy wymówiłem to nazwisko. — Nie znam ani jego, ani miejscowości, o której mówicie.

— A znasz może miejscowość, która zwie się podobnie? Patrzyłem na niego przenikliwie. Przeczytał raz po raz ślinę, spuścił oczy i wyjął:

— Nie. Nie znam.

— Słuchaj! Wiedz, że po tobie widać twoje kłamstwo. Nie potrafisz udawać na tyle dobrze, abyś mnie zwiódł. Zaraz się o tym przekonamy.

Wyjąłem z kieszeni portfel. W jednej z jego przegródek tkwił świstek, na którym Hamd el Amasad pisał do swego brata Baruda. Świstek ten wpadł w moje ręce. Wyjąłem go i przyjrzałem mu się jak najdokładniej.

Wskutek tego, iż wyraz Karanorman-Han napisano niewyraźnie, nie zagłębiałem się wcześniej w jego odczytanie i dlatego uważałem, że go odczytałem właściwie. Dopiero teraz, ledwie mój wzrok padł na napisaną nazwę, zorientowałem się w czym rzecz.

Pismo arabskie nie posiada mianowicie liter na oznaczanie samogłosek. Zaznacza się je znakami diakrytycznymi, zwanymi po arabsku *hareket*. Są to kreseczki albo haczyki umieszczane pod albo nad odpowiednią spółgłoską. Tak więc mała kreseczka (-) zwana *ustun*, albo *esre*, postawiona nad literą, oznacza *a* albo *e*. Natomiast taka sama kreseczka postawiona pod tą literą oznacza *y* lub *i*. Tak zwane *ötürü*, czyli haczyk (apostrof) wyrażony znakiem ' znajdujący się nad literą, oznacza *o* oraz *u*, albo też *ö* oraz *ü*. Nic zatem dziwnego, że przy niewyraźnym piśmie, bardzo łatwo można coś źle odczytać. To zdarzyło się także z nazwą miejscowości napisaną na karteluszk.

Uważałem mianowicie czarną plamkę na papierze za *ötürü* i przeoczyłem kreseczkę pod literą, bo była ona tak maleńka, że z ledwością można ją było zauważyć. Należało więc czytać *i* zamiast *o*, i tym samym trzecia sylaba powinna brzmieć *nir*, zamiast *nor*.

Poza tym, człowiek piszący nazwę miejscowości napisał pierwszą literę czwartej sylaby na tyle niewyraźnie, że nie można się było zorientować, w jakim kierunku zmierza zawijas. Z tego względu czytałem *m* jako *w*. Częstka wyrazu złożona z tych dwu sylab brzmiała teraz *nirwan* zamiast *norman*, zaś pełna nazwa zmieniła brzmienie na Karanirwan-Han.

Czy taka miejscowość znajdowała się w pobliżu Wajczy, jak to sądził nieżyjący już więzienny dozorca, nie było dla mnie ważne. Mogłem przypuszczać, że Szut nie zdradzał miejsca pobytu wszystkim sprzymierzeńcom, a znali je tylko najbliżsi spośród nich. W każdym razie właściwie odczytana nazwa brzmiała: Karanirwan-Han. Co do tego nie miałem już żadnych wątpliwości.

Kiedy podniosłem głowę znad karteluszk, spostrzegłem ku memu zdziwieniu, że Murad Habulam ciekawsko się weń wpatrywał.

— Co tam masz, efendi?

— Karteczkę, jak widzisz.

— A co na niej napisano?

— Właśnie nazwę Karanorman-Han.

— Pozwól mi ją obejrzeć, efendi!

Czyżby ten człowiek Szuta znał może Hamda el Amasada? Postanowiłem pokazać karteczkę Muradowi. Jeżeli będę go bowiem obserwował, to może uda mi się wyciągnąć wnioski z jego zachowania.

— Masz! — powiedziałem. — Tylko go nie zgub, bo będzie mi jeszcze potrzebny.

Aga wziął ode mnie karteluszek i przyglądał mu się. W pewnej chwili zobaczyłem, że zbladł. Jednocześnie słyszałem ciche, ale znaczące chrząknięcie Halefa. Chciał on w ten sposób zwrócić na siebie moją uwagę. Szybko na niego spojrzałem, on zaś skinieniem powiek, niemal niedostrzegalnym, wskazał mi na Suefa. Zauważyłem, że zdrajca podniósł się na kolanach i wyciągał szyję. Wzrok miał zwrócony na Murada Habulama, zaś wyraz twarzy świadczył o napięciu, z jakim starał się nic nie

uronić z tego, co się działo.

Tymczasem gospodarz przyglądał się uważnie mojej kartce. Wreszcie pokiwał głową i powiedział:

— Kto by to potrafił odczytać? Ja nie! To nie jest żaden język.

— A jednak! — odparłem.

— Są to wprawdzie jakieś sylaby, ale one nie tworzą przecież żadnych wyrazów!

— Trzeba je inaczej odczytywać, wtedy zdanie to będzie wyraźniejsze.

— Potrafisz? To czytaj!

— Wydaje mi się, że ta karteczka bardzo cię zaciekawiła?

— Myślę, że tego się wcale nie da odczytać, a ty uważasz coś wręcz przeciwnego. Uporządkuj te sylaby i mi je odczytaj!

Spoglądając ukradkiem, lecz przenikliwie, na niego i Suefa, powiedziałem:

— Jeśli je prawidłowo ustawić to otrzymamy następujące zdanie: In pripa veste la karanorman han ali sa panajir melnikde. Zrozumiałeś?

— Tylko niektóre słowa.

Widziałem wyraźnie, jak błyskawicznie drgnęła twarz Murada. Przerażony Suef wrócił do poprzedniej pozycji kucznej. Widziałem teraz w czym rzecz i zauważyłem:

— Jest to mieszanina tureckiego, serbskiego i rumuńskiego.

— Ale po co? Dlaczego piszący nie posłużył się jednym językiem?

— Gdyż treść karteczki nie jest przeznaczona dla każdego. Szut i jego zaufani posługują się między sobą tajnym pismem. Wybrali oni wyrazy z tych trzech wspomnianych języków i rozmieszczają sylaby wprawdzie według określonej zasady, ale z pozoru tak chaotycznie, że niewtajemniczony nie potrafi go odczytać.

— Lecz ty potrafiłeś mimo to tę wiadomość odszyfrować — powiedział Murad Habulam.

— Oczywiście.

— A więc jesteś człowiekiem Szuta?

— Zapominasz, że jestem Europejczykiem — zaśmiałem się.

— Chcesz przez to powiedzieć, że jesteś mądrzejszy od nas?

— Owszem. Dla was ten szyfr jest wystarczający, my natomiast, ponieważ pomyślano go bardzo naiwnie, potrafimy go z łatwością odgadnąć.

— Ale jak właściwie brzmi treść tych niezrozumiałych dla mnie słów?

— Wysłać pilnie wiadomość do Karanorman-Han, ale nie wcześniej jak po jarmarku w Melniku.

— I tak to wyczytałeś? — powiedział aga z dziecinnym zdziwieniem. — Czy ta kartka jest dla ciebie tak ważna, że prosiłeś, abym jej nie zgubił?

— Tak, gdyż poszukuję Szuta i mam nadzieję znaleźć go przy pomocy tej kartki.

— A więc byłeś na jarmarku w Melniku, a teraz chcesz pojechać do Karanorman-Han?

Przytaknąłem ochoczo i tak szczerze, jak gdybym tylko czekał na pytania. Zmyliło go moje zachowanie, dlatego w dalszym ciągu wypytywał:

— A kto tę kartkę napisał?

— Jeden z twoich znajomych, Hamd el Amasad, brat Baruda el Amasada, który tej nocy był tutaj u ciebie.

— Mimo to nigdy nie słyszałem o Hamdzie el Amasadzie. Gdzie on teraz jest?

— Był w sklepie kupca Galingre w Skutari. Obecnie wyjechał stamtąd, aby się udać do Szuta, u którego chce się spotkać ze swoim bratem Barudem.

— Skąd to wiesz?

— Mówi mi o tym ten karteluszek.

— Efendi! Masz głowę na karku. To co mi opowiadałeś o złym spojrzeniu, było obliczone na to, by mnie zwieść. Wcale nie posiadasz złego spojrzenia. Wszystko to podpowiedział ci twój bystry umysł. Wiem to teraz. Możliwe, że znajdziesz także poszukiwaną przez ciebie drogę do Karanorman-Han.

— Już ją znalazłem, ale obecnie nie pojedę do tej miejscowości.

— A dokąd to, efendi, pojedziesz?

— Zamienię literę *o* na *i*, oraz *m* na *w*, i dlatego pojedę do Karanirwan-Han.

Powiedziałem to powoli i ze szczególnym naciskiem. Ponieważ spoglądałem przy tym badawczo na agę, zauważyłem, że zmienił się na twarzy i jak człowiek przestraszony przesunął ręką po głowie.

— Szejtan... — syknął Suef.

To odezwanie się dowiodło, że jestem na właściwym tropie.

— Czy istnieje miejscowość o takiej nazwie? — pytał Murad Habulam ściśniętym głosem.

— *Nirwan*, to perskie słowo, a więc należałoby jej chyba szukać w pobliżu perskiej granicy. Ale czy ty wiesz, czym jest etymologia, a więc nauka o tworzeniu wyrazów?

— Nie wiem, efendi.

— A więc nie mogę ci także wyjaśnić, dlaczego rozbiór tego słowa wskazuje na to, że miejscowość otrzymała nazwę wywodzącą się od osoby właściciela.

— A może mi to jednak wytłumaczysz?

— Spróbuję. Człowiek, o którego chodzi, to *nirwani*, a więc pochodzący z perskiego miasta Nirwan. Nosi czarną brodę i dla tego zwie się go kara, czyli czarny. Tutaj zwa go zatem Karanirwan. Zbudował on zajazd, czyli han, i dlatego łatwo zrozumieć, że ów dom nazwano od przydomku właściciela Karanirwan-Han, i jeszcze dziś go tak zowią.

— Szejtan! — wymknęło się znów Suefowi. Murad Habulam otarł sobie pot z czoła i rzekł:

— Jakie to wspaniałe, że potrafisz z jednego przydomka wysnuć zaraz całą opowieść! Obawiam się tylko, że się mylisz.

— Ja natomiast mógłbym poprzysiąc, że ów han nie znajduje się ani w żadnym miasteczku, ani w jakiejś wsi.

— Dlaczego?

— Gdyż w tym przypadku podano by nazwę miejscowości na tym świstku. Zajazd stoi z całą pewnością samotnie.

— Jeśli tak jest, to go nigdy nie znajdziesz. Jesteś tu człowiekiem obcym i z pewnością nie masz czasu na dłuższy pobyt niezbędny do gruntownych poszukiwań.

— Mylisz się. Mam nadzieję, że znajdę go bardzo łatwo. Czy znasz jakiegoś Persa w tej okolicy?

— Nie, nie znam.

— Wierzę temu. Persowie należą tu bowiem do rzadkości, więc każdy by słyszał o Persie, gdyby taki tutaj był. Ponadto są oni szyitami i wypełnianie religijnych praktyk przez szyitę daleko by go rozślawiło. A zatem w czasie dalszej podróży muszę się tylko wywiadywać o Persa.

— Ale taki może mieszkać bardzo daleko od twojej trasy, tak że ludzie, których po drodze napotkasz, mogą nic o nim nie wiedzieć.

— Jestem pewien, że poszukiwany mieszka jednak w tym kierunku.

— Jak chcesz to sprawdzić?

— Mówi mi o tym karteczka. Albo czy uważasz może, że Barud el Amasad, jadąc do brata, będzie nadkładał drogi?

— Na pewno nie.

— A więc pojedzie najkrótszą trasą?

— Oczywiście, efendi.

— Muszę zatem w dalszym ciągu, tak jak dotąd, podążać jego śladem. Zaprowadzi mnie w ten sposób do Karanirwan-Han, do jego brata i może także do Szuta. Nie uważasz?

— Szejtan! — po raz trzeci zaklął cicho Suf. Zachowywałem się jednak tak, jakbym nic nie słyszał. To kolejne głębokie westchnienie było dla mnie znów dowodem, że się nie myłę.

— Efendi — powiedział aga — to, co mówisz, brzmi bardzo ładnie i życzę ci, aby ci się powiodło, ale nie wierzę, że tak będzie. Mówmy raczej o czym innym! Czy rzeczywiście chcesz zabrać tę truciznę i okruchy do Üsküb? Zapłaciłem wam okup i dostałem dwa razy w pięty, co mnie jeszcze paskudnie boli. Mógłbyś przecież na tym poprzestać.

— Okupiłeś się, a potem się z nas wyśmiewałeś. Teraz przyznasz, że twoje drwiny były nie na miejscu. Znajdę ten han bez was. Ale za to, że ważyliście się na drwiny, zostaniecie ukarani. Nie należę do ludzi, z których można sobie kpić. Truciznę i okruchy przekażę w Üsküb policji.

— Efendi! Dam jeszcze sto piastrów na biednych.

— Nawet gdybyś dawał tysiąc, to ich nie przyjmę.

— Proszę cię, pomyśl, czy nie ma nic takiego, co by cię odwiodło od twego zamiaru?

— Hm... — mruknąłem na znak namysłu.

Wzbudziło to w starym nadzieję. Widział, że przynajmniej się zastanawiam.

— Zastanów się! — powtórzył natarczywiej.

— Może... owszem... może znalazłoby się coś stosownego jako wyrównanie. Powiedz mi najpierw, czy w tej okolicy trudno znaleźć chętnych na służbę?

— Ludzi, którzy chcą podjąć się służby, jest pod dostatkiem — odparł spieszenie.

— A więc nie będziesz miał trudności ze znalezieniem parobków i dziewczek?

— Żadnych. Muszę tylko chcieć.

— A więc chciej!

— Jak mam to rozumieć?

— Spójrz na tych ludzi. Oni chcą, abyś ich zwolnił ze służby. Aga się tego nie spodziewał. Odwrócił się i obrzucił swoją służbę groźnym spojrzeniem. Potem spytał:

— Skąd to wiesz?

— Oni mi to powiedzieli.

— Na Allaha! Każę ich wybatożyć!

— Nie zrobisz tego. Czyż sam nie posmakowałeś kija? Ostrzegam cię. Zastanów się nad sobą i odmień swoje życie. Dlaczego nie chcesz tych ludzi zwolnić?

— Bo tak mi się podoba.

— A więc niech ci się także podoba to, że zabiorę truciznę do Üsküb. Halef! Czy konie są gotowe?

— Tak, sihdi — odparł zapytany. — Wystarczy je tylko przyprowadzić. Janik z pewnością już także zaprzął.

— A więc ruszamy. Zawieźcie mnie przed bramę!

— Zatrzymaj się! — zawołał Murad Habulam. — Jesteś w gorącej wodzie kąpany, efendi!

— Po co się guzdrzesz — odparłem. — Daj twoim ludziom należną odprawę i niech sobie idą!

— Uczynię to, ale nie mogę przecież pozostać bez służby!

— To sobie wynajmij ludzi doraźnych. Nie mam czasu na długie rokowania. Oto pismo, przeczytaj je i podpisz!

Wziął ode mnie papier, usiadł i zaczął je uważnie czytać. Treść pisma wyraźnie mu nie

odpowiadała. Niejedno można było sformułować tak czy inaczej, ale nie zgodziłem się na żadne zmiany i wreszcie Murad Habulama podpisał się pod nim. Halef zabrał oświadczenie Murada i zaniósł je Janikowi.

— A co z ludźmi? — zapytałem. Aga nie odpowiedział od razu. Wtedy Suef zawołał ze złością:

— Niech idą do szejtana! Możesz zatrudnić innych, którzy nie będą wiedzieć, co się tu działo wczoraj i dziś. Wypędź ich! A im dalej pójdą, tym lepiej!

Słowa te wpłynęły na decyzję Habulama, który poszedł do domu i wrócił z pieniędzmi, a ja pozostałem, aż wypłacono wynagrodzenia. Potem dałem mu truciznę i okruchy i kazałem przyprawić konie.

Można sobie wyobrazić, że nasze pożegnanie z gospodarzem było dalekie od czułości. Przepraszał, że nie towarzyszy mi do drzwi, ale ma okaleczone stopy.

— Przekonałeś się — ostrzegałem go z powagą — że Allah przemienia największe kłamstwo w prawdę. Kiedy przybyliśmy tutaj wczoraj powiedziałaś, że nie możesz chodzić, co było kłamstwem. Dzisiaj stało się to prawdą. A co się tyczy twojej gościnności, nie mam co ci za nią dziękować. Suef miał mi wskazać jakiś han, ale wprowadził mnie w błąd. W hanie bym zapłacił, ale tobie nic nie proponuję. Wziąwszy wszystko razem, jesteśmy dzisiaj kwita i mam nadzieję, że nie zostanie otwarty jakiś nowy między nami rachunek.

— Ale my nie jesteśmy jeszcze kwita! — zawołał rozwścieczony Suef. — Zapłacisz ty mi za ten dzisiejszy rachunek!

— Bardzo chętnie! I to znów batem!

— Niestety! Następnym razem będą to kule!

— To się jeszcze okaże. Wiem dobrze, że w kilka minut po moim wyjeździe ty także opuścisz ten dom...

— Przecież nie mogę chodzić...

— Dlatego pojedziesz.

— Jesteś wszystkowiedzący — ironizował zdrajca. — Jeśli naprawdę jesteś taki mądry, to powiedz mi, dokąd się udam?

— Za pozostałymi.

— Po co?

— Aby im zameldować, że szukam Karanirwan. Pozdrów ich ode mnie i powiedz im, że następnym razem będą stać nie w wodzie, ale we krwi, oczywiście własnej.

Osko wypchnął mnie na fotelu na kółkach na zewnątrz. Na dworze dosiedliśmy podstawionych koni. Przed domem stał także wóz z Janikiem i Anką. Swój niewielki dobytek złożyli z tyłu na wozie. Ich twarze rozpromieniała radość.

— Pojedziemy najpierw do miejsca, w którym znajdowały się konie naszych wrogów i podążymy potem za wami — zawołałem.

Parobek, który chciał nas poprowadzić, był gotów. Ominęliśmy wieś i już po pięciu minutach byliśmy na miejscu, gdzie parobek się z nami pożegnał. Zapytałem go jeszcze, aby nie pominąć najważniejszego, ilu ludzi stąd wyjechało. Było ich pięciu, ale on znał tylko brata Habulama, Manacha el Barszę. Kazałem mu opisać czterech pozostałych. Okazało się, iż byli to Barud el Amasad, Mübarek i obaj Aladzi. Ranny Mübarek trzymał się w siodle prosto. Stary posiadał naturę hipopotama.

Z powodu chorej nogi sam nie chciałem zsiadać z konia i dlatego poleciłem moim towarzyszom, aby sprawdzili ślady kopyt.

— Na co się to przyda? — pytał Osko.

— Do późniejszego rozpoznania koni. Może znajdziemy się w przykłej sytuacji, w której nie będziemy wiedzieć, kogo przed sobą mamy. W takim przypadku byłoby dużym ułatwieniem, gdyby któryś z koni miał na kopycie jakąś charakterystyczną cechę odcisniętą w śladzie. Konia takiego z łatwością byśmy wówczas poznali.

W cieniu olbrzymich platanów, licznych krzewów i drzewek pigwy znajdowała się łączka stratowana końskimi kopytami i tam zatrzymaliśmy się. Śladów było zatem sporo, ale żaden z nich nie miał nic szczególnego, co by go potem pozwoliło odnaleźć. Odjechaliśmy więc z kwitkiem. Deszcz do tego stopnia rozmiękczył ziemię, że z łatwością można było podążać po odcisniętych śladach. Prowadziły one ku drodze wiodącej przez Guriler i Karadżinową do Üsküb. Nawet na samej drodze trop był wyraźny ponieważ sporo było na niej szlamu i nikt tędy nie przejeżdżał.

WYSOKA WODA

Wkrótce dogoniliśmy wóz szczęśliwej pary i teraz, ponieważ nikt z mieszkańców pałacu nie mógł tego widzieć, dałem zdumionemu Janikowi tysiąc piastrów wymuszonych od jego dotychczasowego pana jako ślubny prezent. Dzielny chłopak wzbraniał się przed przyjęciem dodatkowego upominku, ale się wreszcie przełamał. Oboje rozpltywali się w dziękczynnych słowach. Uszczęśliwiliśmy dwoje ludzi i to zrekompensowało nam w znacznym stopniu ostatnie przykrości.

Błoto na drodze zalegało na tyle grubą warstwą, że mogliśmy się posuwać jedynie bardzo powoli. I każde, nawet najmniejsze zlewisko wody występowało z brzegów. Na szczęście niebo uśmiechało się do nas przyjaźnie.

Halef zbliżył się do mnie na swym koniu i zaczął:

— Czyżbyś, sihdi, pragnął wyprzedzić naszych przeciwników? Ale czy nam się to uda?

— Nie. Nie będziemy tego robić, ponieważ byłoby to z korzyścią tylko wtedy, gdyby Karanorman znajdowało się tam, gdzie myślałem. Odkąd jednak okazało się, że jestem w błędzie i nie wiem, gdzie się znajduje nasz cel, musimy tak jak dotąd podążać ich śladami. Ale wierzę, że wkrótce się dowiem, gdzie leży ów Karanirwan-Han.

— W każdym razie jeszcze za Üsküb. Nie uważasz?

— Owszem, gdyż w przeciwnym razie musiałyby się znajdować po drodze do Üsküb, a to uważam za całkiem nieprawdopodobne.

— Czy Üsküb to duże miasto?

— Myślę, że brakuje mu niewiele do trzydziestu tysięcy mieszkańców.

— Zgubimy więc poszukiwane przez nas ślady.

— Stambuł jest o wiele większy, a czy nie znaleźliśmy tam tego, co trzeba? Przypuszczam zresztą, że wcale nie zagościmy w Üsküb, ponieważ pięciu naszych ulubieńców będzie go unikać. Pamiętaj Halef, że Manach el Barsza był tam poborcą podatkowym i przepędzono go z urzędu, dlatego nie zechce się pokazywać w tym mieście. Przypuszczalnie okrążą oni z daleka Üsküb, aby z tamtej strony wrócić na drogę prowadzącą do Kalkandeli. Jeżeli dobrze myślę, to Karanirwanu należy szukać jeszcze za tą miejscowością, w samotnych dolinach Szar Dagħ.

Dotarliśmy teraz do Kriwej Rjeki, której wezbrane fale wystąpiły z brzegów. Jeśli dopływy Wardaru niosły z gór takie masy wody, to i nurt główny musiał się gwałtownie podnieść. Przebycie starego mostu groziło niebezpieczeństwem, gdyż most był prawie zalany, a jego filary zdawały się chwiać pod naporem fal. Poziom wody na drodze przekraczał pół metra. Zdaje się, że wczorajsza burza wyładowała się właśnie nad Szar Dagħ i Kurbeczką Planina. Jechaliśmy teraz środkiem Mustafy, czyli znanej z urodzajności równiny, i po pół godziny dotarliśmy do wsi Guriler, położonej przy prawym dopływie Kriwej Rjeki. Również i ta rzeka wystąpiła z brzegów, czyniąc znaczne szkody. Mieszkańcy wioski stali w wodzie i w pocie czoła starali się ujarzmić wodę i ująć ją w tamy.

Chcąc dotrzeć do Üsküb, powinniśmy byli trzymać się dotychczasowej trasy do Karadzinowej. A uczęszczana droga prowadziła niemal w prostej linii. Tutaj też ślady były zatarte, bo ruch był duży. Mogły się one znów pojawić z tamtej strony wioski. Lecz kiedy mieliśmy ją już za plecami, tropu nie można było odnaleźć. Byłem zdania, że żadna inna droga z niej nie wychodziła. Czyżby należało przypuszczać, że bandyci znajdowali się jeszcze we wsi? W wiosce był mały han. Widzieliśmy go

jadąc, ale nie wzbudził on wcześniej naszego zainteresowania. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak zawrócić, aby się czegoś dowiedzieć. Han stał tak blisko rzeki, że woda podchodziła niemal do drzwi. Jakiś człowiek starał się usypać przed nim zaporę. Na moje pozdrowienie ledwie odpowiedział i obrzucił mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Zły gość do was zawitał — powiedziałem, wskazując na wodę.

— Och! Są jeszcze gorsi goście — odparł uszczypliwie.

— Co może być gorszego od żywiołu ognia i wody?

— Ludzie!

— To ty tu jesteś handzimą?

— Owszem. Chcesz się u mnie zatrzymać? Widziałem, jak tędyście przejeżdżali. Dlaczego zawróciłeś? Jedź sobie dalej!

Podparł się motyką i przyglądał mi się podejrzliwie. Człowiek ten miał poczciwy wyraz twarzy i nie wyglądał nieprzyjaźnie. Jego odstręczające zachowanie miało swoją przyczynę, której się domyślałem, dlatego rzekłem:

— Zdaje się, że jesteś do mnie uprzedzony. Czym sobie zasłużyłem na tak nieuprzejme potraktowanie?

— To prawda, że uprzejmość jest chlubą człowieka, ale istnieją ludzie, do których to powiedzenie nie może mieć zastosowania.

— I mnie do nich zaliczasz?

— Zgadza się.

— To wysoce błędne mniemanie. Ktoś mnie przed tobą oczernił.

— Nie trudź się, bo cię znam — stwierdził handzima z pogardliwym ruchem ręki. — Jeśli jesteś rozsądny, to opuścisz naszą wieś. Nie jesteś w jakimś odludnym miejscu, gdzie trzeba by się obawiać ciebie i twoich ludzi, bo nie można by znikąd liczyć na pomoc. Popatrz na tego człowieka! Widzisz, że znajdują się u mnie ludzie padyszacha.

Przed dom wyszedł jakiś umundurowany człowiek. Podobieństwo obu wskazywało na to, że byli braćmi. Również i on przyglądał mi się niewyraźnie.

— O co chodzi temu gościowi? — spytał oberżystę.

— Nie wiem, i wcale nie chcę wiedzieć — odparł zapytany. — Już mu powiedziałem, żeby sobie jechał dalej.

— Tak też uczynię — powiedziałem. — Ale muszę zasięgnąć pewnej informacji i mam nadzieję, że na uprzejme zapytanie otrzymam uprzejmą odpowiedź.

— Otrzymasz ją, jeśli tylko będziemy ją znali — rzekł żołnierz. — Jestem hekim askeri w Üsküb i przyjechałem do brata w odwiedzinach. I to ci chciałem powiedzieć, nim zadasz pytanie.

Teraz wszystko było dla mnie jasne i dlatego postanowiłem zasięgnąć języka:

— Dziś rano zawitało do was pięciu jeźdźców? Lekarz skinął głową.

— Jeden z nich był ranny i ty go opatrywałeś?

— Tak było. A może wiesz, kto go zranił?

— Ja sam.

— Więc prawdą jest to, co ci ludzie nam opowiadali.

— Ale co mówili?

— Wiesz to chyba lepiej ode mnie. A jeżeli nie masz innych pytań, to nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

Odwrócił się.

— Stój! Czeka! — powiedziałem. — Mogę sobie wyobrazić, że was oszukano, ale w jaki

sposób, tego nie wiem. Ponieważ jesteś lekarzem w służbie sułtana, z pewnością potrafisz czytać. Spójrz na ten papier!

Wyjąłem mój paszport zwany fermanem i podałem go lekarzowi. Gdy tylko wzrok jego padł na figurującą na nim pieczęć, uczynił głęboki skłon i zdumiony powiedział:

— To przecież pieczęć wielkiego wezyra! Taki dokument wystawia się jedynie za specjalnym zezwoleniem padyszacha.

— Oczywiście! Cieszę się, że jesteś tak doskonale zorientowany.

— I ty jesteś prawowitym właścicielem tego fermana?

— Tak. Przekonaj się o tym porównując zawarty w nim opis z moją osobą.

Uczynił to, a potem rzekł do brata:

— Wyrządziliśmy krzywdę temu efendiemu. Nie jest on tym, o którym nam mówiono... Masz tu twój paszport. Oszukano nas, gdyż powiedziano nam, że jesteście rozbójnikami.

— Spodziewałem się czegoś w tym rodzaju, gdyż ludzie, którzy się u was zatrzymali, to właśnie bandyci. Czy słyszałeś może o braciach Aladzi?

— Owszem. To zbójce, którzy w całej okolicy poczynawszy od gór Kerubi i Bastrik aż po Dowanicę Planinę sieją niepokój. Próby pochwycenia ich spaliły na panewce. Dlaczego pytasz mnie o tych zbójców?

— Ponieważ oni tu byli. Czy nie przyjrzałeś się koniom tych pięciu jeźdźców?

— Owszem. Były wśród nich dwa srokacze, dwa wspaniałe konie, które... na Allaha! Co za skojarzenie! Obaj rozbójnicy dosiadają srokatych koni i dlatego właśnie zwie się ich Aladzi.

— A więc jaki z tego wniosek?

— Że to byli oni!

— Prawidłowo! Gościliście u siebie obu Aladzi, zaś trzej pozostali, to podobne dranie.

— Tego bym nie przypuszczał! Sami są rozbójnikami, a o tobie mówili jak najgorzej. Mówili, że jesteście zbójnikami, i że spotkali was w hanie w Kilisseli, a po jakimś zatargu czyhaliście na nich i otworzyliście do nich ogień. Opatrywałem tego starego, którego w rękę trafiły dwie kule.

Pokrótkie opowiedziałem całe zdarzenie lekarzowi i od niego dowiedziałem się, że pięciu bandytów wyruszyło do Üsküb.

— Ale na drodze nie widzę żadnych śladów.

— Pojechali bowiem drogą prowadzącą do Rumelii — brzmiała odpowiedź. — Droga do Üsküb jest z powodu deszczu zbyt grząska. Do Rumelii mogą jechać ciągle samymi łąkami.

— Ale nadkładają w ten sposób drogi, co dla ранego nie jest bez znaczenia. Powiadam ci, że nie chcieli jechać do Üsküb, tam bowiem mogłoby im grozić aresztowanie, dlatego was okłamali, abyście nam nie zdradzili, dokąd się udali. Czy drogę do Rumelii trudno znaleźć?

— Wcale nie. Skręca ona zaraz za mostem w prawo i łatwo zobaczysz ślady pięciu koni, grunt bowiem jest tam miękki.

Pożegnałem ich i wróciłem do czekających na mnie towarzyszy.

— Nasi przeciwnicy nie zamierzają jechać do Üsküb, lecz pojechali do Rumelii.

— Do Rumelii? — zdziwił się Janik. — A więc zjechali z drogi. Chcesz za nimi podążyć, efendi?

— Tak. Będziemy musieli się tutaj rozstać.

— Ale uzgodniliśmy przecież, że będę wam towarzyszył?

— To się zmieniło w momencie, w którym okazało się, że celu naszej podróży nie mamy co szukać w okolicy Wajczy. Oprócz tego musisz Ankę odwiedzić najpierw do rodziców, my zaś nie możemy czekać, aż wrócisz, bo nam się śpieszy. Nie martwcie się o nas, lecz starajcie się o to,

abyście byli szczęśliwi.

Nastąpiła teraz wzruszająca scena pożegnania z parą narzeczonych.

Kiedy skręciliśmy za mostem w bok, wyraźnie mogliśmy na trawiastym podłożu rozpoznać ślady ściganych. Nie było tutaj wytyczonej drogi.

— Co możesz powiedzieć o Rumelii, sihdi? — pytał Halef, który jechał znów przy moim boku.

— Niewiele. Miejscowość ta leży przypuszczalnie przy drodze wiodącej wzdłuż Wardaru do Üsküb. Z tamtej strony rzeki znajduje się linia kolejowa.

— Ach! To może mogliśmy pojechać raz pociągiem. Kiedy wrócę do najpiękniejszej z pięknych, do mojej Hanneh, to z dumą będę mógł jej powiedzieć, że przynajmniej raz siedziałem w wozie ciągnionym przy pomocy dymu.

— Nie dymu, lecz pary.

— To przecież obojętne.

— Nie. Ponieważ dym możesz zobaczyć, podczas gdy para jest niewidoczna.

— Jeżeli pary nie można widzieć, to skąd wiesz, że para istnieje?

— A czy muzykę widzisz?

— Nie! sihdi.

— A zatem według twojego rozumowania nie ma także muzyki. Nie potrafię ci w kilku słowach wyjaśnić istoty i działania maszyny parowej. Aby mnie zrozumieć, musiałbyś także posiadać niezbędne wiadomości wstępne.

— Czy chcesz mnie obrazić, sihdi? Nieraz już przecież udowadniałem, że je posiadam.

— Ale nie z dziedziny fizyki.

— O jakie wiadomości ci chodzi?

— O te, które dotyczą sił i praw przyrody.

— Jeżeli o to chodzi, to znam wszystkie siły i prawa przyrody. Gdy mnie ktoś obrazi, to zgodnie z bardzo prostym prawem przyrody dostanie ode mnie w gębę. A wymierzenie policzka stanowi moją przyrodzoną siłę, jaką się posługuję. Może nie mam racji?

— Mój drogi Halefie! Masz często rację, także wtedy, gdy jej nie masz. Nadto przykro mi, że ów kwiat niewieści, jakim jest twoja Hanneh, nie usłyszy od ciebie, że jechałeś koleją.

— Dlaczego?

— Po pierwsze, nie wiem, czy ta kolej została już uruchomiona, a po drugie, musimy przecież ścigać naszych wrogów. Ponieważ oni nie jadą koleją, dlatego i nam odpada taka przyjemność.

Droga była teraz znośna i posuwaliśmy się naprzód stosunkowo szybko. Po półgodzinnej jeździe mieliśmy przed sobą wieś Rumelię. Z lewej strony dobiegała tutaj droga prowadząca z Koprulu przez Kapetanli-Han, wiodąca z prawej strony dalej do Üsküb.

Gdy tak wodziłem wzrokiem po wspomnianej drodze, zobaczyłem jeźdźca pędzącego cwałem od strony Kapetanli-Han. Ktoś, kto tak jak on pędził w grząskim błocie, musiał się bardzo śpieszyć. Wziąłem do ręki lunetę i gdy tylko przez nią spojrzałem, podałem ją Hadziemmu. Ten podniósł ją do oka i zaraz opuścił.

— Na Allaha! — wykrzyknął. — To przecież nikt inny tylko Suef. Miałem więc rację, mówiąc rzekomemu krawcowi Afritowi, że natychmiast po naszym wyjeździe opuści Kilisseli.

— Pojedziemy kłusem — upomniałem moich. — Suef chce ostrzec bandę, lecz do tego nie wolno dopuścić. On wie, gdzie oni są.

— Ale nie zdołamy go uprzedzić — odparł Halef. — Jest już zbyt blisko wsi. Natomiast z tamtej strony Rumelii możemy go zaskoczyć.

— Tylko wówczas, jeśli na rzece jest most. Gdyby przeprawa odbywała się przy pomocy łodzi

lub promu, wtedy Suef zyska nad nami przewagę. Zobaczymy!

Rih ruszył z kopyta z ogromną prędkością. Suef do tej pory nas nie spostrzegł. Po chwili zauważyłem jednak, że przez moment dziwnie się zachowuje, a potem machnął pejczem i uderzył konia. Poznał mnie i chciał mnie wyprzedzić. Oczywiście, że był on bliżej wsi niż ja, ale jego szkapa nie mogła się mierzyć z moim arabem. Na mój gwizd kary ogier zdwoił jeszcze prędkość. W przeciagu minuty znalazłem się na drodze, po której zbliżał się Suef i zatrzymałem się pomiędzy nim a Rumelią. Strach nie pozwalał mu przejechać spokojnie obok mnie. Nie było tu nigdzie objazdu, gdyż z lewa Wardar toczył wezbrany, żółty nurt. Zatrzymałem się pośrodku drogi i czekałem na moich towarzyszy. Suef zatrzymał się także, mniej więcej czterysta kroków za mną.

— Rih spisał się na medal! — śmiał się nadjeżdżający Halef. — Aż trudno sobie wyobrazić, by koń mógł być tak szybki. I co teraz? Chcesz z tym człowiekiem rozmawiać?

— Nie chcę, jeśli nie zostaną do tego zmuszony.

— Popelniliśmy jednak duży błąd.

— Jaki? Powiedz Halef!

— Ponieważ Suef oberwał po piętach, nie przeszkadza mu to w konnej jeździe. Gdybyśmy mu wychłostali to miejsce, którym padyszach siadając dotyka tronu, nie mógłby on ani chodzić, ani siedzieć w siodle.

— Nic byśmy przez to nie zyskali, gdyż Murad Habulam wysłałby innego gońca. A więc naprzód! Jechaliśmy dalej, natomiast Suef podążał powoli za nami. Z pewnością bardzo go złościło to, że pojawiliśmy się na jego drodze.

Rumelia zdawała się być większa niż Guriler. Wieś ciągnęła się od drogi w dół aż do rzeki. Wardar przedstawiał groźny widok. Wezbrały brudne fale. Szerokie rozlewisko zalało łąki poprzetykane wierzbami. Po tamtej stronie rzeki zauważyliśmy teren budowy kolei żelaznej.

Z wolna ciągnęła kolumna ludzi. Robotnicy pracowali kilofami i łopatami, zaś w pobliżu nasypu stały długie, drewniane szopy służące robotnikom za chwilowe mieszkanie.

Zamiast mostu był tutaj prom. Ciężki i szeroki, zawieszony na linach umocowanych po obu brzegach, poruszany przez przewoźników za pomocą mocnych żerdzi.

— Co teraz? — spytał Halef, gdy zatrzymaliśmy się przed pierwszymi chatami Rumeli. — Czy będziemy się zaraz przeprawiać?

— Na razie nie — odparłem. — Zjedziemy na bok i zaczekamy, co pocnie Suef. Potem udamy się za nim. Nie wiemy, gdzie są jego kompani. Karzeł stanie się wbrew swej woli naszym przewodnikiem.

— Och nie, sihdi. On z pewnością będzie na tyle mądry, by wyprowadzić nas w pole.

— A my nie pozwolimy się oszukać. Musisz pamiętać, że jego stopy okrutnie go bołą. Trzyma je wprawdzie w strzemionach i nie musi ich nadweręzać, ale mimo to konna jazda sprawia mu ból. Będzie więc usiłował szybko dotrzeć do celu i jeśli nawet będzie zamierzał nas zwieść, to przecież nie bardzo oddali się od właściwego kierunku. A więc jedźmy równolegle z nim!

Pojechaliśmy jeszcze kawałek dalej, tak że Suef minął nas w przyzwoitej odległości i udał się ku promowi. Zatrzymaliśmy się tak, że twarzą byłem zwrócony do niego. Przy tym udawaliśmy, że go nie obserwujemy, lecz on mógł rozpoznać nasze udawanie. Ku naszemu zdumieniu Suef wcale nie zbliżył się ku promowi. Pchnął konia do przodu, potem znów go wycofał i uważnie przyglądał się kolei, jakby ta krzątanka przy budowie przykuwała jego uwagę.

— Zdrajca coś knuje — śmiał się Halef. — Jest sprytniejszy od nas.

— Zobaczymy. Udaje, że interesuje go jedynie budowa kolei, ale widzę przecież, że często spogląda także w bok, w kierunku otynkowanego na biało domu. Obok drzwi wejściowych znajduje

się tam kół, przypuszczalnie do uwiązania koni. Możliwe, że jest to han i ma on zamiar tam zajechać. Działajmy zatem tak, jakbyśmy chcieli się przeprowić.

Podjechaliśmy ku promowi. Z desek ułożono kładkę, aby suchą stopą przebyć zatopiony odcinek brzegu. Ponieważ kładka była przeznaczona tylko dla pieszych, musieliśmy jechać w wodzie sięgającej koniom po brzuch. Przeprowa nie była bezpieczną sprawą, gdyż stary prom zdawał się być na wpół przegniły. Liny, którymi był przywiązany, wyglądały co najmniej podejrzanie, nie wzbudzała również zaufania załoga złożona ze starego człowieka i trzech wyrostków.

Fala była ponadto bardzo wysoka. Rzeka niosła ze sobą różnego rodzaju przedmioty zagarnięte z zalanych brzegów. Potworzyły się wiry, w które łatwo można było wpaść. Krótko mówiąc, kiedyśmy stanęli na promie, poczułem się odrobinę nieswojo. Stary przewoźnik siedział na promie i kurzył fajkę. Bacznie nam się przy tym przyglądał i porozumiewawczo skinął na swoich pomocników.

Ustawiłem się tak, że miałem Suefa na oku. Ledwo stanęliśmy na promie, ruszył on kłusem w kierunku białej chaty, zsiadł z konia, uwiązał go i z trudem pokuśtykał do środka.

— Halef i Osko, biegnijcie za nim! Musicie się koniecznie dowiedzieć, co on tam robi i o czym rozmawia. Nie spuszczać go z oka!

Obaj żwawo zawrócili końmi ku brzegowi i pojechali w kierunku chaty. Nie minęło nawet pół minuty od czasu jak Suef wszedł do hanu, a już i oni wchodzili do hanu.

Teraz zwróciłem się do starego:

— Ile ci się należy za przeprowę czterech konnych?

— Dwadzieścia piastrów — odpowiedział i wyciągnął w moim kierunku prawą dłoń. Uderzyłem go przez nią lekko biczem i rzekłem:

— Nic ci nie dam.

— No to zostaniesz na brzegu!

— Co to, to nie! Przewieziesz nas. Zażądałeś pięciokrotnie wyższej ceny. I zostaniesz za to ukarany. Przeprowisz nas, a na tamym brzegu za każdego piastra dostaniesz w pięty. Spójrz tutaj na ten sułtański paszport! Zrozumiesz wtedy, że nie należę do ludzi, którzy pozwolą się oszukiwać.

Rzucił okiem na pieczęć, wyjął z ust fajkę, skrzyżował ręce na piersi, pokłonił się i uniżenie rzekł:

— Efendi! Wszystko, co zsyła Allah, jest dobre, a więc przewiozę was i dostanę za to dwadzieścia razów w pięty. Allah niech błogosławi padyszachowi i jego potomkom!

Tak wyglądały stosunki na rubieżach Turcji, ale ja nie byłem Turkiem, wyjąłem zatem dwadzieścia piastrów, dałem mu je i śmiejąc się rzekłem:

— Odpuszczę ci tę chłostę, gdyż współczucie mnie ogarnia na widok podeszłych dni twego żywota. Widzę, że rzeka wezbrała i przeprowa przez nią jest trudna i niebezpieczna, a więc żądasz pewnie wtedy więcej niż zwykle. Twoje żądania nie mogą jednak być zbyt wygórowane.

Stary wzbraniał się wziąć pieniądze i patrzył na mnie niemo z rozdziawioną gębą.

— Mam może te pieniądze schować z powrotem? — mówiłem z uśmiechem.

Znów odzyskał zwyczajne ruchy. Skoczył ku mnie, wyrwał mi pieniądze z ręki i zawołał:

— Co? Jak? Płacisz, mimo że stoi za tobą sułtan i jego najwyższy rangą wezyr?

— A czyż protegowani nie mogą być łagodni i sprawiedliwi?

— Och ago, och efendi, emirze! Oni zazwyczaj tacy nie są! Lecz twoje oczy świecą łaską, a w twoich słowach dźwięczy miłosierdzie życzliwego serca, dlatego niech Allah błogosławi ciebie w tobie samym, w twoich przodkach i praprzodkach, a także w twoich dzieciach i w prawnukach twoich ostatnich potomków. Tak... Rzadko dostępujemy takiej łaski, mimo że mamy twarde i na dodatek niełatwy kawałek chleba.

— Ale tam, po drugiej stronie pracuje wielu ludzi. Zarabiasz więc o wiele więcej, niż gdyby ich tutaj nie było.

— Zarabiam o wiele mniej, gdyż ci ludzie uruchomili powyżej mego promu, przy pomocy dużej łodzi, drugi prom. To przynosi mi duży uszczerbek, a dzierżawę płacę taką samą.

— Czy ludzie odważą się teraz, podczas powodzi, przeprowiać przez Wardar?

— Dziś jeszcze nie próbowali, gdyż jest na to zbyt niebezpiecznie. Potrzebna byłaby podwójna ilość wiosła.

— Ale ty przeprowiałeś dzisiaj już wielu ludzi? Czy było wśród nich także pięciu jeźdźców, z czego dwóch na srokatyh koniach?

— Tak, efendi. Przy czym jeden z nich był ranny. Przybyli z tamtego brzegu, z hanu, gdzie się na krótko zatrzymali.

Wskazał na wspomniany biały dom.

— Ile czasu minęło od chwili, kiedy ich widziałeś?

— Będzie chyba ponad dwie godziny, a bodajbym ich nigdy nie ujrzał!

— Dlaczego?

— Bo mnie oszukali. Gdy przybiliśmy na drugą stronę i zażądałem od nich zapłaty, zamiast pieniędzy dostałem batem. A ponadto obarczyli mnie zadaniem, którego jednak nie wykonam. Nie będę świadczył przysług komuś, kto mi nie płaci.

— Mogę wiedzieć, kogo ono dotyczyło?

— Oczywiście. Człowieka, który zatrzymał się w pobliżu was i zsiadł przed gospodą.

— Więc ty go znasz?

— Krawca każdy zna.

— Czy on jest naprawdę krawcem?

— Tak się mówi, ale nie znam żadnego z mieszkańców, któremu on by coś uszył.

— Hm... Co mu miałeś przekazać?

— Żeby się pośpieszył, bo będą na niego czekać tylko do rana. Gdzie? Tego nie wiedział, a spośród pięciu jeźdźców znał tylko byłego poborcę podatków z Üsküb, który zadręczał ludzi aż do upustu krwi.

— Niech Allah ześle tysiąc plag jego ciała i dziesięć tysięcy chorób jego duszy — dorzucił.

Przewoźnik chciał mówić dalej, ale się odwrócił, coś innego bowiem zajęło jego uwagę. Z gospody wyszło dwóch ludzi z wiosłami. Podeszli oni ku wodzie i kroczyli wzdłuż niej w górę rzeki.

— Na Allaha! — zawołał przewoźnik. — Czyż są oni na tyle lekkomyślni, aby przepłynąć rzekę w łodzi?

— Gdzie ją przycumowano?

— Na górze, tam, gdzie na brzegu siedzi kobieta. Nie dojrzysz jej, bo znajduje się za tamtą wikliną.

Obaj mężczyźni dotarli do wspomnianego miejsca, zamienili kilka słów z kobietą i zniknęli za zaroślami.

— No tak... — powiedział stary. — Jednak się odważą. Uda im się tylko wtedy, jeśli Allah zechce ich mieć w opiece. W każdym razie nie popłyną przez rzekę sami, a ich pasażer musiał im słono zapłacić. Ja przewiozłbym go taniej.

— Wygląda na to, że zapłaciła im ta kobieta.

Powiedziałem tak, bo zobaczyłem, że kobietą również zniknęła za krzakami. A zatem wsiadła do łodzi. Stary jednak wyjaśnił:

— Ona nie da nawet grosika. Należy do grupy tamtych robotników i płynie za darmo. Ta kobieta

siedziała tam już od wczesnego rana, ale do tej pory nikt jeszcze rzeki nie przepływał. Ale co to? Czyżby krawiec zamierzał...

W momencie, w którym stary to mówił, Suef wyszedł z hanu i dosiadł konia. Spojrzał na nas kątem oka i pojechał w kierunku łodzi, gdzie znów zsiadł z konia.

— Na Allaha! Krawiec chce płynąć łodzią! — wołał przewoźnik. — Niech ma się na baczości, aby nie musiał połknąć zbyt wiele wody. Wiem, że to biedak, dlatego zabrałbym go za ćwierć piastra albo nawet za darmo. Dlaczego nie przyszedł do mnie?

Uważałem za zbyt cenne wyjaśniać staremu powody, dla których Suef go unikał. Odgadł on prawdopodobnie nasz zamiar i uznał, że łodzią dostanie się szybciej na drugą stronę niż my naszym ciężkim promem. Jeśli będąc na tamtym brzegu wskoczy szybko na konia i oddali się galopem, wtedy może nam zniknąć z oczu. Nie pomyślał jednak o śladach, które po nim zostaną.

Spiesząc się wrócili także Halef i Osko.

— Sihdi! Ten łajdak przeprowia się łodzią — zameldował Hadzi. — Zaproponował trzydzieści piastów za przeprawę.

— Czy słyszeliście jeszcze coś?

— Owszem, ale niewiele. W momencie, w którym weszliśmy do hanu, Suef rozmawiał z handzimą o pięciu jeźdźcach. Na nasz widok Suef dał mu znak, aby zamilkł, ale ten był w pół zdania i kończył je tak, że mogliśmy jeszcze coś usłyszeć.

— I co słyszeliście?

— Że ta piątka będzie oczekiwać krawca w Treska-Konak.

— Gdzie jest ten budynek?

— Nie wiem i nie mogliśmy się tego dowiedzieć także od handzimego, który najwyraźniej trzyma z krawcem.

— I nic więcej nie mówiono?

— Tylko o promie. — I to słyszeliście?

— Owszem, a Suef patrzył przy tym na nas ze szczególną zajadłością. Miał uciechę w tym, że może nas zirytować. Najchętniej poczęstowałbym go batem. Uważa, że przeprowi się na drugą stronę wcześniej od nas.

— Nic mu nie mówiliście?

— Ani słowa.

— To dobrze. Spójrz! Prowadzi konia za uzdę. Wsiada faktycznie do łodzi, a szkapa ma płynąć za nim. Ona może temu nie podolać.

— Och, sihdi! Obserwowałem tego konia podczas naszej wczorajszej jazdy. Jest on o wiele lepszy, niż na to wygląda. Ten koń ma w sobie szejtana.

— Mimo tego co się stało, byłoby mi przykro, gdyby wydarzyło się jakieś nieszczęście szczególnie tej kobiecie, która z nim razem wsiadła. Przeprowiamy się i to możliwie szybko. Do dzieła!

Ten okrzyk odnosił się do przewoźników. Stary wyczyścił właśnie fajkę i wyjął woreczek, aby znów ją nabić i mimo mojego polecenia spokojnie kontynuował swoje zabiegi.

— Słyszałeś! Odłóż fajkę! — nakazałem mu. — Raz się obejdzcie bez palenia.

— O nie, efendi! — odparł bez gniewu. — Fajka należy do mego fachu. Nie mogę jej poniechać. Tak było przez całe moje życie i tak pozostanie aż po moją ostatnią przeprawę.

— Ale ja chcę być tam wcześniej od łodzi!

— Nie wymyślaj sobie zmartwienia, efendi! Ta łódź prawdopodobnie nigdy tam nie dopłynie.

Przewoźnik nabijał w dalszym ciągu spokojnie fajkę. Potem wyjął gołą ręką węgielek z ognia

zarzącego się na kupce kamieni. Ogień ten rozpalony został tylko po to, aby móc zapalić fajkę. Kiedy stary zaciągnął się już kilka razy, zawołał głosem feldmarszałka:

— Do diabła, chłopaki! Do roboty! Musimy zasłużyć na piastry, któreśmy otrzymali!

W tym momencie spoza wiklinowych zarośli wyłoniła się łódź. Na przedzie siedziała kobieta, pośrodku wyteżali siły obaj wiosłarze, zaś z tyłu przycupnął Suef z wodzami w rękę. Łeb konia wystawał z wody. Łódź nie posiadała steru.

Na nasz widok Suef podniósł rękę i uczynił ironiczny gest. Jeśli łódź płynęłaby w dalszym ciągu z początkową prędkością, to znalazłaby się na tamtym brzegu już wtedy, kiedy my dotrzemy dopiero do połowy Wardaru, ponieważ załoga naszego godnego przewoźnika zdawała się nie mieć w kończynach stawów. Z namaszczeniem odczepili prom z łańcucha, pochwycili żerdzie i badali nimi wodę tak dokładnie, jak gdyby chcieli znaleźć na dnie rzeki szpilkę. Nasze konie nie były niestety przyzwyczajone do takiej przeprawy. Musieliśmy zatem pozostać przy nich, aby je uspokajać, gdyż w przeciwnym razie kazałbym moim towarzyszom przyłożyć się do żerdzi.

Halef znalazł właściwy środek na przyspieszenie pojazdu. Wyjął zza pasa bicz i zwrócił się do jednego z chłopaków:

— Pospiesz się!

Równocześnie zdzielił go lekko biczem przez plecy. I ledwie się to stało, stary zawołał:

— Na Allaha! Och rozpacz! Och nieszczęście! Pchajcie, zasuwasz chłopaki! Starajcie się, mężowie! Im szybciej będziemy po tamtej stronie, tym większy będzie bakszysz, który otrzymamy od tych wspaniałych szejków i emirów.

Te słowa zachęty tak podziałały na trzech młodzieńców, że wyteżyli siły. Nasz prom płynął ze zdwojoną prędkością. Łodzi natomiast nie spuszczałyśmy z oczu. Chcąc dotrzeć do punktu leżącego dokładnie naprzeciw na drugim brzegu, wiosłarze musieli utrzymywać łódź w górnym biegu rzeki. W przybrzeżnej wodzie nie było to trudne. Jednak im bardziej łódź zbliżała się do środka rzeki, tym bardziej musieli się ludzie wysilać. A mimo to łódź nie mogła utrzymać pożądanego kursu i zamiast się oddalać, zbliżała się do nas. Suefa to wyraźnie zaniepokoiło. Widzieliśmy z jego gestykulacji, że zagrzewał wiosłujących do jeszcze większego wysiłku. Również i nasi ludzie musieli ciężko pracować. Prąd rzeki był tak potężny, że liny wydawały głuchy pomruk. Gdyby jedna z nich pękła, znaleźlibyśmy się na łasce żywiołu. Stary przewoźnik użył całego zasobu słów, aby zachęcić chłopaków do zwiększenia wysiłku.

Ludzie wiosłujący w łodzi popełnili duży błąd. Powinni oni najpierw wiosłować po tej stronie w górę, w spokojniejszej wodzie, tuż przy brzegu, do chwili, w której łódź wymagałaby tylko nieznacznego wspomnienia w podtrzymywaniu kierunku i pozwolić się stamtąd znieść z prądem na tamten brzeg. Łódź przybliżyła się do nas o połowę drogi i była na tyle blisko, że mogliśmy wyraźnie widzieć twarze pasażerów. Przewoźnik przyglądał się kruchej łodzi okiem znawcy.

— Nie dopłyną — stwierdził. — Albo połamię wiosła, albo... na Allaha, są już faktycznie w połowie! Mocne chłopcy! Jednak im się uda, lecz... och, zguba! Och, nieszczęście! Teraz to już koniec.

Stary miał rację. Jednemu z wiosłujących prawe wiosło wyskoczyło z dulki i uderzyło go w rękę z taką siłą, że z bólu wypuścił także lewe i za chwilę woda porwała oba wiosła. Teraz wiosłował tylko jeden człowiek, ale to nie wystarczało.

Na tamtym brzegu ucichły kilofy i łopaty. Robotnicy stali nad wodą i z uwagą przyglądali się wydarzeniom. Teraz i my znaleźliśmy się pośrodku rzeki. Siła wody wyniosła prom z jednej strony w górę. Prom mógł zostać z łatwością zalany i wtedy byłoby po nas. Był to moment największego zagrożenia.

Siedzącego w łodzi człowieka opuściły siły. Ściągnął ku sobie wiosła i opuścił ręce na kolana.

Fala pochwyliła łódź i pchała ją wprost na nasz prom z nieprawdopodobną prędkością. Z tamtego brzegu rozległo się wołanie:

— Sora! Kobieto! Trzymaj się!

Ale stało się. Głośny trzask... i łódź zderzyła się z promem. Przerażeni ludzie krzyczeli: z obu brzegów rzeki, z łodzi, i z promu. Krzyk wyrwał się z wielu gardzieli, a mimo to zabrzmiał jak jeden ogromny krzyk trwogi.

W takich momentach wielu ludzi postępuje według jakiegoś utajonego instynktu podsuwającego im właściwe rozwiązanie, mimo że absolutnie zawodzi myślenie. Błyskawicznie czynią to, co właściwe i później wcale nie potrafią powiedzieć, dlaczego postąpili tak a nie inaczej. Inni kierują się jasnym i dogłębnym rozeznaniem. Nikt mi nie powie, że w momencie zagrożenia nie ma czasu na podjęcie decyzji.

Czyż to nie jest cudowne, że najlepszy Stwórca wyposażył umysł człowieka w tak zadziwiające siły?

We śnie na przykład jedna minuta skupia w sobie wydarzenia kilku dni albo i jeszcze dłuższego czasu. Śniłem kiedyś, że zdaję egzamin. Cały dzień przeznaczono na pracę pisemną. Ukończyłem ją jako pierwszy i udałem się na kilkugodzinną wycieczkę w góry. Egzamin ustny trwał następne dwa dni. Wieczorem ostatniego dnia, krótko przed zakończeniem egzaminu, złamała się ławka, na której siedzieli słuchacze i... przebudziłem się. Śpiący ze mną w pokoju zatrzaskało okno. Na moje zapytanie powiedział mi, że najdalej trzy minuty temu prosiłem go, aby nie zadręczał mnie pytaniami, gdyż jestem bardzo zmęczony i chcę spać. W ciągu trzech minut przeżyłem zatem trzy egzaminacyjne dni ze wszystkimi szczegółami. Dokładnie znałem treść mojej pracy pisemnej o objętości wielu stron. Pamiętałem również większość zadawanych mi pytań. Owszem, wiedziałem nawet, jakie osoby spotkałem na sennym spacerze i o czym z nimi rozmawiałem. Oczywiście, że następnego ranka wszystko dokumentnie zapomniałem. Jeżeli zatem trzy minuty snu skupiają w sobie trzy pełne dni, a więc jedna minuta snu obejmuje pracę ciała i umysłu wykonywaną na jawie w ciągu tysiąca czterystu minut, to mamy tu do czynienia z taką zdolnością umysłu, której nie można od niego oczekiwać na jawie.

Znajdowałem się już w sytuacjach, w których o życiu zarówno moim jak i innych ludzi zdecydować miał ułamek sekundy, a kiedy czas ten jak i niebezpieczeństwo minęły, dokładnie wiedziałem, że w tym ułamku sekundy oceniłem zagrożenie, uzmysłowiłem sobie wszelkie dostępne mi środki obrony i wybrałem oraz zastosowałem to co z nich najlepsze i najpewniejsze. Brzmi to nieprawdopodobnie i wygląda na cud, ale tysiąc takich dużych i jeszcze większych cudów zdarza się w codziennym życiu, jeśli sobie nawet tego nie uświadamiamy.

Znajdujemy się bowiem nie tylko w otoczeniu samych cudów, jakimi Bóg nas obdarzył, lecz sami jesteśmy jego największym cudem. Jeśli jakiś bezbożnik będzie temu przeczył... to mu współczuję!

Podobnie było tutaj z wezbranym Wardarem. Siedząca w dziobowej części łodzi kobieta krzyczała przerażona, wczepiając kurczowo palce w burtę łodzi, ale uderzenie było tak silne, że ją wyrzuciło. Zniknęła w brudnych zwałach fal — a ja wraz z nią.

W jaki sposób zsiadłem z konia, ile czasu zajęło mi, aby rzucić strzelby, opróżnić zawartość kieszeni i pasa ze wszystkiego co się w nich znajdowało, tego nie powiem. Halef twierdził później, że zeskoczyłem z siodła jeszcze przed zderzeniem, w przekonaniu, że kobieta się nie utrzyma. Daremnie usiłowałem od tego odwieść, lecz nic o tym nie wiem. Cała moja uwaga koncentrowała się tylko na tym jednym punkcie. Wiedziałem dokładnie tylko to, że schwyciłem kobietę jedną ręką i wciągnąłem ją pod wodę, aby przedostać się z nią pod łodzią i pod promem, gdyż oba pojazdy mogły się okazać dla nas niebezpieczne.

Kiedy znów się wynurzyłem, widziałem, że fala poniosła nas spory kawał w dół. Trzymałem kobietę za rękaw błękitnego, oblamowanego kabacika. Była nieprzytomna, a więc w stanie, który był dla mnie wygodny. Minąłem środek rzeki i musiałem baczyć, aby dotrzeć do brzegu bez nadmiernego nadużywania sił w walce z falą. W takich sytuacjach należy płynąć na grzbiecie, mimo że miało to tę ujemną stronę, że nie można było spoglądać do przodu. Jest to jednak wygodniejsze i pozycja taka pozwala więcej udźwignąć. Ułożyłem kobietę w poprzek mego ciała tak, że jej głowa nie stykała się z wodą i pozwalałem się nieść fali.

Ponieważ spoczywało na mnie ciało nieszczęsnej kobiety, dlatego sam byłem dość poważnie zanurzony w wodzie. Mimo że starałem się mieć nogi wysoko, tylko z dużym wysiłkiem wystawiałem od czasu do czasu nos i usta z wody, aby zaczerpnąć powietrza. Zdobywałem się przy tym na ogromny wysiłek, aby się zbliżyć do brzegu. Nie było to wcale takie proste, jakby się mogło wydawać. Strumień wody rozbijał się o brzeg i wracał w postaci wysokich, szerokich fal aż na sam środek nurtu. Mogłem spoglądać jedynie w górę i trochę w bok, ale absolutnie nie w przód i musiałem uważać na liczne przedmioty pływające w wodzie lub z niej wystające.

Ludzie biegli brzegiem, w dół rzeki, w tym samym kierunku, w którym ja się posuwałem, i tylko mnie denerwowali swoim krzykiem. Nie mogli za mną nadążyć, gdyż płynąłem z zawrotną prędkością, która mnie mogła ogłuszyć. Należało koniecznie zachować zimną krew. Gdybym w tych wirach i odmętach uczynił jakiś fałszywy gest, albo gdybym chociaż na chwilę stracił wiarę w siebie, wówczas i ja, i ta kobieta bylibyśmy zgubieni. Niełatwo płynąć w ubraniu nawet w spokojnej wodzie, ale płynąć w tak wzburzonym żywiole z przytłaczającym mnie ciężarem i z ongiś przyjemnymi a teraz uciążliwymi przeciwgoścowymi kapciami na nogach, które otrzymałem od lekarza w Radowiczu, to było jednak coś zupełnie innego. Jak się potem okazało, wcale nie byłem tak długo w wodzie, ale czas ten wydłużał mi się jednak w wieczność.

Wreszcie udało mi się oderwać od środka rwącego nurtu i odpłynąć w bok, pokonując także wiry tworzące się nad właściwym, zalany brzegiem. Znajdowałem się w spokojnej wodzie, ale ku memu zdziwieniu nie mogłem sięgnąć dna. Denerwowałem się, gdyż kiedy tylko usiłowałem złapać grunt, zapadałem się coraz głębiej. Wreszcie usłyszałem jakieś wołanie:

— Na Boga! Płyn dalej, dalej! Tam są doły. Zbliź się tu!

Do budowy kolejowego nasypu użyto ziemi, znajdującej się w pobliżu, przez co powstały głębokie doły, ponad którymi teraz płynąłem. Ponieważ woda zalewała mi oczy, nie mogłem zobaczyć wołającego, ale przypuszczałem, że stał na nasypie i ku niemu się kierowałem. Nasyp wyłaniał się z wody, która sięgała aż do jego zrębu.

Gdy się przy nim znalazłem, wyciągnęło się ku mnie i ku kobiecie dziesięć albo też i dwadzieścia rąk. Zaraz też odebrano ode mnie uratowaną. Po trochu czołgałem się na nasyp, a po trochu mnie nań wciągano. Teraz dopiero poczułem, że zwisająca na mnie odzież ważyła centnary. Wokół mnie rozbrzmiewał szal radości, tylko dwa głosy zawodziły żałośnie, przekonane o tym, że kobieta nie żyje. Powiedziałem im, że to niemożliwe, aby ta kobieta utonęła. Oczywiście, mogła dostać udaru. Zniesiono ją w górę rzeki do robotniczych baraków.

W tym momencie usłyszałem tętent kopyt. Trzej moi towarzysze, z Halefem na czele, zbliżali się ku mnie galopem po nasypie.

— Sihdi! Sihdi! — wołał już z daleka. — Jesteś martwy czy żyjesz?

— Żyję! — odpowiedziałem. — Czuję się tylko jak zmoczona kura.

— Allahowi niech będzie za to chwała, jemu dzięki i cześć! Zeskoczył z konia, rzucił się obok mnie na ziemię, ujął moje dłonie i rzekł:

— Jak można wskakiwać do takiej wody? Czy się jej napiłeś?

— Owszem, i smakowała ona prawie tak samo jak piwo karczmarza w Dabili.

— Wolałbym jej raczej nie kosztować. Na Allaha, okropnie się przeraziłem, kiedy zniknąłeś w rzece! Czy kobieta warta jest tego, aby dla niej narażać życie?

— Oczywiście! Czyżbyś nie naraził swego życia dla najmilszej ze wszystkich niewiast, twojej Hanneh?

— Zgoda, ale wtedy chodziłoby o Hanneh! Lecz kim była ta kobieta? Byłaż może twoją siostrą albo narzeczoną? Czyżby cię kochała i miała kiedyś zostać twoją żoną?

— Ta kobieta to nasz bliźni, któremu groziła śmierć, a ja nie boję się wody.

— Ale ta rzeka szczególnie dziś się złości, bo wyrwałeś z jej objęć ofiarę. Przywiodłem ci Riha, bo przecież nie możesz chodzić. Wsiadaj na koń! Musimy znaleźć ci miejsce, gdzie wysuszysz odzież.

— Gdzie są moje strzelby i reszta rzeczy?

— Wszystko mam. Strzelby są zawieszane przy siodle.

— A co się działo z resztą ludzi z łodzi?

— Obu wiosłujących wciągnęliśmy na prom, lecz krawiec wpadł do wody.

— I utonął?

— Co to, to nie. Szejtan jeszcze nie chce o nim słyszeć. Widziałem, jak płynął ze swoją szkapą. Poszukam go.

Podniósł się i wypatrywał Suefa. Po chwili zaś, wskazując w dół rzeki, zawołał:

— Tam są obaj, on i jego koń!

Spojrzałem we wskazanym kierunku i zobaczyłem daleko w dole rzeki zdrajcę trzymającego się końskiego ogona. W ten sposób zwierzę go ciągnęło. Byli już blisko brzegu. Ta stara szkapa była faktycznie cennym zwierzęciem.

— Czy mam tam zjechać i dać mu po nosie, kiedy wylezie z wody? — pytał Hadzi.

— Nie. Suef nabawił się dostatecznie dużo strachu. To mu wystarczy.

— Ale on nam umknie. W takim stanie nie możesz go przecież gonić!

— Zostaw go! I tak go dogonimy.

Osko i Omar okazywali również wielką radość z powodu mojej udanej wodnej eskapady, która wcale nie była zaplanowana. Znajdowaliśmy się w otoczeniu robotników kolejowych, którzy dzielali naszą radość i zachęcali mnie, abym się udał do jednej z chat, gdzie będę mógł przy piecu szybko wysuszyć odzież. Było to oczywiście nieodzowne i dlatego dosiadłem konia i zawróciłem właśnie w momencie, kiedy krawiec dobił do brzegu. To, co teraz robił, było mi na razie obojętne.

Nie musiałem kierować moim koniem, postarali się bowiem o to robotnicy. Pochwycili wodze, a nawet strzemiona, inni zaś szli z przodu, po bokach, a także z tyłu, i tak odprowadzano mnie niemal triumfalnie — ale był to triumf nieco mokry, ponieważ z mojej odzieży ściekała woda, kapiąc w kapcie. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Suefa galopującego na przełaj. Wyglądało więc na to, że koń i jeździec wyszli cało z opresji.

Halef widział moje spojrzenie. Nachmurzył się, pogroził jeźdźcowi pięścią i mruknął:

— Chwasty żyją długo, lecz Allah je stwarza i także unicestwia. Tam, gdzie prom przybił do prawego brzegu, stał przewoźnik ze swymi trzema pomocnikami. Na mój widok zaczął wygłaszać podniosłą przemowę:

— Tysiącrotne dzięki świętym kalifom, dziesięciotysięczna chwała prorokom i stutysięczna cześć wszechmocnemu Allahowi, który cię ustrzegł w chwili zagrożenia. Kiedy cię ujrzałem w odmętach, serce moje stężało na kamień, a dusza ronila łzy krwawe. A teraz, kiedy znów cię widzę całego i zdrowego, mój duch jest pełen radości i zachwytu, ponieważ dotrzymasz słowa i dasz nam przyrzeczony bakszysz.

A więc do tego celu zmierzała ta długa przemowa, którą postanowiłem odparować:

— Nic nie wiem o jakimś przyrzeczeniu.

— A więc woda zmała ci pamięć. Pomyśl o tym, co mówiono, kiedy twój towarzysz ponagłał nas batem.

— Moja pamięć nie ucierpiała. Przypominam sobie każde słowo. Żądałeś wprowadzić bakszyszu, ale ja przecież nic ci na to nie odpowiedziałem.

— O efendi! Ubolewam nad tobą! Twoja pamięć jednak zawodzi! Właśnie dlatego, że mi nic nie odpowiedziałeś, zoczyło to przystanie na moją propozycję. Powinieneś wyraźnie określić, że odmawiasz nam bakszyszu. Ponieważ tego zaniedbałeś, musimy nasz bakszysz otrzymać!

— A jeśli mimo to go odmawiam?

— To będziemy zmuszeni skarcić twoją duszę i uznać cię za człowieka, dla którego przyrzeczenie nic nie znaczy.

Te słowa spotkały się z potępieniem, nie z mojej strony, ale ze strony robotników. Ponieważ stary nalegał na wypłatę bakszyszu, którego mu nie przyrzekłem i czynił to w obraźliwych słowach, rozgniewał tych ludzi. W mig go pochwycono i spadło na niego dziesięć, a może i dwadzieścia pięści.

— Dajcie spokój! Puśćcie go! — przekrzykiwałem ogólny hałas, jaki przy tym powstał. — Dam mu ten bakszysz!

— To zbyt cenne! — krzyknął ktoś do mnie. — Dostaje go już od nas. Widzisz przecież.

— Przestańcie! Przestańcie! — skrzeczał stary. — Ja już przecież nic nie chcę!

Wyrwał im się z rąk i pobiegł na prom, na którym schronili się już wcześniej trzej jego dzielni pomocnicy. Rozwinął przy tym prędkość która nie licowała ze statecznością, którą przedtem zaprezentował. Zapomniał nawet, że postanowił sobie nic nie poczynać bez fajki. Fajka mu wypadła, on zaś pozostawił ją na łasce losu. Podniósł ją jakiś robotnik i śmiejąc się rzucił za nim fajkę na prom. Przewoźnik złapał tymczasem nie ją, lecz łańcuch, aby czym prędzej odbić od brzegu. Ale kiedy tylko zaczął o nas od niego dzielić pasmo wody, zaczął złorzeczyć i nazwał mnie sknerą i wiarołomnym skąpcem.

Halef podszedł do brzegu, wycelował w przewoźnika i zawołał:

— Milcz, bo będę strzelał!

Lecz stary nadal złorzeczył. Nie chciał bowiem uwierzyć, że Hadzi wykona to, czym groził. Przewoźnik trzymał w ręku żerdź, którą się wcale nie posługiwał. Halef wystrzelił. Celował w żerdź i kula trafiła w nią w pobliżu dłoni starego, aż posypały się drzazgi. Wówczas przewoźnik podniósł krzyk, wypuścił żerdź przez burtę do wody, sam zaś padł plackiem na deski promu przypuszczając, że w tej pozycji będzie bezpieczny przed drugą kulą.

Gromada robotników głośno się roześmiała, ponieważ nagła żwawość starego śmieszyła ich tak samo jak nas.

Dotarliśmy do największej z chat robotniczej kolonii i zatrzymaliśmy się przed wejściem. Zsiadłem z konia i zaprowadzono nas zaraz do wnętrza.

WAŻNE WIEŚCI

Pomieszczenie było duże. Na ścianach wisiał mizerny dobytek robotników kolejowych. Wokół umocowano deski w charakterze siedzeń, służących także jako legowiska, zaś w najodleglejszym kącie stał potężny piec kaflowy, jakiego nigdy dotąd jeszcze nie widziałem. Na piecu były cztery kotły do gotowania, zaś jego płyta stanowiła dogodnie miejsce do suszenia mokrej odzieży.

Ledwie zdążyłem wejść, a już z innej chaty nadszedł młody, krępy człowiek, który wołał do mnie:

— Miałeś rację, efendi! Sora nie umarła, ona żyje. Oddycha. Zostawiłem ją tylko na chwilę samą, aby ci podziękować.

— Czy ona jest twoją krewną?

— To moja żona. Jestem tutaj nadzorcą. Zdecydowała się na przeprawę, gdyż poleciłem jej, aby była tu od wczesnego rana. Ale ty musisz się przebrać. Przyniosę zaraz moje własne odświętne ubranie.

Oddalił się i wkrótce wrócił, niosąc spodnie, kurtkę, kamizelkę i parę pantofli, i z tym wszystkim udałem się za małe przepierzenie, aby tam się przebrać. Halef mi w tym pomagał, a ściągając ze mnie mokre części odzieży biadolił:

— Sihdi! Oto przepadła powaga twego stanu i wdzięk twojej osoby. To piękne ubranie kosztowało cię w Stambule ponad sześćset piastrów, a teraz woda pozbawiła je owego świetnego wyglądu. Popatrz! Twój wysiłek spowodował, że pękła ci w okrutny sposób nogawka. Trzeba ją zeszyć, aby nie urazić wdzięku twoich członków. Noszę przy sobie zawsze igłę i nici, ale czy tutaj znajdzie się żelazko, abym mógł nadać twemu ubraniu foremniejszy kształt, w to wątpię.

— Spytaj! Może wśród robotników znajdzie się jakiś krawiec.

Halef oddalił się z moim ubraniem i po chwili słyszałem, jak na dworze wołał:

— Słuchajcie synowie i wnuki kolei: czy któryś z was jest może krawcem?

— Jest taki! Tutaj! — zawołał jakiś głos.

— Niech ci Allah błogosławi, przyjacielu, za to, że w czasie twojej młodości wpadłeś na pomysł, aby dzieło tkacza zeszyć nićmi, tak by mężczyźni twojego narodu mogli w nie włożyć ręce i nogi! Ale... czy ty potrafisz zszywać podarte miejsca?

— Owszem. I to tak, że wyglądają one piękniej niż przedtem.

— Jesteś zatem wielkim mistrzem igły, ale czy masz może również żelazko?

— Nawet dwa!

— A więc powierzam ci ubranie mojego przyjaciela i łaskawcy. Masz je wysuszyć i wyprasować i to, co podarte, uczynić niewidocznym. Jeżeli zrobisz to tak, że nikt tego nie zobaczy, otrzymasz bakszysz, a wierni wszystkich krajów będą się cieszyć z twojej zręczności i będą cię sławić aż po granice wszechświata. Weź ubranie w twoje ramiona i niech cię oświeci duch Proroka.

Rozśmieszył mnie, bo wyobrażałem sobie powagę na obliczu Małego, z jaką lał on ów rzęsy potok słów. Kiedy wrócił, zajęty byłem akurat sprawdzaniem gipsowego opatrunku.

— Po nim także widać, że przebywał w wodzie — mrucał Mały. — Rozmiękł?

— Nie, nie rozmiękł, ale chcę go się jednak pozbyć. Wprawdzie upłynęło niewiele dni od kiedy go założyłem, ale myślę, że mogę już to zrobić.

Usunęliśmy opatrunek nożami i nie odczułem przy tym żadnego bólu. To dobrze. Po usunięciu

gipsu ze stopy spróbowałem nadebrać. Wypadło nadspodziewanie dobrze. Zrobiłem nawet za przepierzeniem kilka kroków tam i z powrotem, stąpając przy tym stosunkowo mocno. Zwichnięcie było zatem mniej groźne, niż myślałem.

— Chyba już nie będziesz zakładał tych gościcowych kapci? — pytał Hadzi, wskazując przy tym na wspomniane obuwie, które woda doprowadziła do opłakanego wyglądu.

— Nie. Zostawię je tutaj.

— Teraz znów możesz wciągnąć na nogi wysokie buty z cholewami i zaraz będziesz wyglądał zupełnie inaczej. W kapciach wydawałeś mi się być przodkiem mojego pradziadka, który stracił zęby jeszcze przed potopem. Czy mam przynieść skórzane buty? Są przytroczone do mojego konia.

Przystąpiłem na to i stwierdziłem, że noga znajduje w butach wystarczające oparcie. Ponieważ większość dnia spędzałem w siodle, nie musiałem jej nadwerężyć.

Wypożyczone ubranie leżało na mnie całkiem nieźle, ponieważ jego właściciel był podobnej postury co ja. Gdy mnie w nim ujrzał, cieszył się i prosił nas, abyśmy wstąpili do jego chaty, gdzie jego żona chciała mi podziękować.

Robotnicy tymczasem siedzieli wszyscy razem i posilali się. Ich posiłek składał się z gęstej papki z mąki kukurydzianej i wody. Ludzie ci musieli zadowolić się taką potrawą podawaną każdego dnia.

Kiedy weszliśmy do chaty nadzorcy, kobieta zaczęła mi dziękować w gorących słowach. Poprosiłem ją jednak, aby je sobie darowała. Jej mąż był tak szczęśliwy z jej uratowania, iż pomyślałem o nich, że jest to nadzwyczajna miłość, rzadko spotykana.

— Cieszę się z tego, że jesteś wyznawcą Chrystusa — powiedział do mnie.

— Skąd to wiesz? — zapytałem.

— Powiedzieli mi o tym twoi dwaj towarzysze, podczas gdy ty zmieniałeś ubrania. Słyszałem również, że nie jesteś poddanym sułtana, lecz że należysz do narodu, który prowadził wielką, zwycięską wojnę przeciw Francuzom.

— Czy pochodzisz z tych tu okolic? — spytałem w odpowiedzi na to.

— O nie. Nazywam się Zef i niemal wszyscy tutaj pochodzimy

z gór, gdzie żyje bardzo wiele biednych ludzi. Mieszkańcy nizin nie mają ochoty na pracę przy budowie kolei. Kiedy usłyszeliśmy, że przy budowie można zarobić na chleb, wielu ludzi ściągnęło tutaj z naszych stron, a ponieważ wyuczyłem się na budowniczego, objąłem nad nimi kierownictwo i nadzoruję tu do dzisiaj.

— A więc skończyłeś jakąś szkołę wyższą?

— Co to, to nie. Jestem w rodzinie drugim synem. Mój starszy brat Niko dostanie nasz dom i dlatego nabrałem ochoty, aby sobie także postawić dom. Sam się nauczyłem czytać i pisać, a potem poszedłem w naukę do budowniczego w Üsküb. Mój ojciec Dżordże jest pasterzem, mniej więcej o osiem godzin drogi stąd.

— Gdzie?

— To nie jest wieś, ani nawet mała osada. Są tam jedynie dwa domy stojące przy brodzie na rzece Tresce, a ponieważ nasz sąsiad wydzierżawił konak, dlatego nasze małe osiedle zwie się Treska-Konak.

— To dobrze! Wspaniale! — zawołałem.

— Dlaczego?

— Szukam bowiem miejsca zwanego Treska-Konak.

— Chcesz tam pojechać? Do mego ojca czy do dzierżawcy konaka, Dżemala?

— Wygląda na to, że do Dżemala.

— Wygląda na to? To znaczy, że sam jeszcze tego nie wiesz? — spytał zdziwiony.

— Nie wiem. Człowiek, który przeprowadził się w jednej łodzi z twoją żoną, ma zamiar tam pojechać, a ja muszę podążyć za nim. Szuka on ludzi, z którymi i ja chciałbym słówko zamienić.

— To brzmi tak, jak gdybyś był do nich wrogo usposobiony, efendi.

— Zgadłeś. Pojechało tam dzisiaj pięciu mężczyzn, którzy zamierzają uczynić coś złego, a my chcemy temu zapobiec. Musieli oni przebyć rzekę promem.

— Ach tak! A był może z nimi niejaki Manach el Barsza, który był poborcą podatkowym w Üsküb?

— Oczywiście.

— A zatem widziałem ich. Stałem na brzegu, kiedy przybyli. Kłócili się z przewoźnikiem, którego zdzielili batem, zamiast mu zapłacić. Manach, przejeżdżając obok mnie, groził mi także.

— Dlaczego?

— Bo on mnie nienawidzi. Pobierał pogłówne od chrześcijan i żądał ode mnie kwotę dziesięć albo i dwanaście razy większą, czego mu wreszcie odmówiłem. Z innymi postępował tak samo, a więc zmówiliśmy się i złożyliśmy na niego skargę, oszukał on bowiem chrześcijan na wielką sumę.

— I jaką karę mu wymierzono?

— Efendi! Żadną. Uciekł, i mówi się, że zabrał ze sobą całą zawartość kasy. Nie może się już w Üsküb pokazać. A więc ty szukasz tego człowieka? On zawsze się przyjaźnił z naszym dzierżawcą i teraz jest z całą pewnością także u niego.

— Czy możesz mi opisać drogę do Treska-Konak?

— Trzeba znać dobrze te okolice, aby tam bez przeszkód zajechać. Opis byłby zbyt zawikłany, ale jeżeli zechcesz, to chętnie dam ci zaufanego człowieka, który zna tę okolicę tak samo jak ja. Będzie on poczytywał sobie za wielki zaszczyt, że zaprowadzi cię do mego ojca, a ponieważ opowie mu o twoim dobrym uczynku, to możesz być pewien serdecznego przywitania.

Przyjąłem tę propozycję z radością i zapytałem:

— Czy mieszkanie twego ojca znajduje się daleko od konaka?

— Pieszko, w odległości dwóch minut.

— A więc mieszkańcy konaka zobaczą nas, kiedy będziemy się zbliżali?

— Jeśli chcesz pozostać przed nimi w ukryciu, to mój szwagier Irad poprowadzi was w taki sposób, że was nie spostrzegą. Ponadto, gdy tam przybędziecie, będzie ciemna noc. Szwagier jest teraz zatrudniony przy budowie. Gdy wróci, przekażę mu moje polecenie. Jednak teraz proszę was, bądźcie moimi gośćmi. Jest południe i musimy jeść. Mogę wam zaproponować coś, co w kraju Muhammada można dostać niezwykle rzadko.

Otworzył skrzynię wypełnioną sianem i wyjął z niej... szynkę i kilka solidnie uwędzonych kiełbas.

— Na Allaha! Czy naprawdę myślisz, że będziemy jeść ten świński zadek i krew z mięsem upichconym w dymie — wołał Halef. — Prorok nam tego zabronił i popełnilibyśmy wielki grzech, jeśli zanieczyścimy się na zawsze wieprzowiną!

— Halef! Przecież nikt tego od ciebie nie żąda — uśmiechałem się. — Ale co mnie się tyczy, to poczęstuję się z największą przyjemnością.

— Ale przecież w środku są tasiemce!

— Co mi tam tasiemiec.

— Właściwie to nie powinienem się wcale przyglądać, gdyż już sam widok wieprzowiny powinien nas napełniać odrazą. Ponieważ jednak Osko i Omar są nieobecni, nie muszę się obawiać wymówek Omara, gdy z przyjaźni do ciebie, sihdi, tutaj sobie posiedzę, a kiedy będziesz wkładał szynkę do ust, wtedy zamknę oczy albo spojrzę przynajmniej w bok.

Zef położył przed nami szynkę, wędliny, chleb, pieprz i sól. Wyjął zza pasa nóż, ja zaś poszedłem za jego chwalebny przykładem. Zef odciął sobie spory kawał szynki, ja uczyniłem to samo i ucza się zaczęła. Nigdy dotąd szynka nie smakowała mi tak, jak wtedy w Rumelii.

Halef siedział nieco z boku za mną. Nie mogłem widzieć, czy mnie obserwował, ale znając Małego wiedziałem, że cieknie mu ślinka; Widział przecież, jak mi smakowało, i że odkroiłem sobie drugi plaster szynki.

— Czy ona naprawdę tak wspaniale smakuje? — dopytywał się po chwili.

— Nie ma nic smaczniejszego.

— Na Allaha! Dlaczego Prorok zabronił nam jeść szynkę?

— Bo sam nigdy nie posmakował wędzonego wieprzowego udźca. Inaczej z pewnością poleciliby to jeść swoim wyznawcom.

— Sihdi! A może ten *zakaz* spowodowany jest tasiemcami?

— Nie ma tu żadnych tasiemców. Daję słowo.

— A więc myślisz, że mogę zaryzykować? - Bez wahania!

Słyszałem, jak przełyka ślinę. Sprawa ta bawiła także Zefa, który jednak tego nie okazywał, lecz żuł z wielką przyjemnością, przy czym starał się robić minę wskazującą na to, że z każdym kęsem potęgował się jego zachwyty. Halef wstał i wyszedł przed dom. Wiedziałem, że wypatrywał Osko i Omara. Wrócił po chwili z wyrazem zadowolenia na twarzy. Wspomnianych dwóch w pobliżu nie było. Stali na nasypie, podziwiając lokomotywę, która właśnie ciągnęła jakiś roboczy pociąg. Nie mieli czasu, aby się troszczyć o nas.

Mały Hadzi usiadł znów i zaczął:

— Sihdi! Czy nie uważasz, że Prorok w drobnych sprawach niekiedy nie ma racji?

— Nie wiem, ale to przecież archanioł Gabriel podpowiedział mu cały Koran.

— A czy anioł nie mógł się także mylić?

— Raczej nie, drogi Halefie.

— Albo też Prorok niewłaściwie zrozumiał anioła? Jeśli dobrze pomyślę, to wydaje mi się, że Allah nie stworzyłby świń, gdybyśmy nie mieli ich jeść.

— Jestem tego samego zdania.

Wciągnął głęboko powietrze. Zjadłem drugi plaster szynki i w ślad za moim gospodarzem sięgnąłem po kielbasę. Halef powinien zrozumieć, że skończymy jeść, zanim on przewycięży swoje wątpliwości.

— Powiedz prawdę, sihdi, czy jest to aż tak smakowite, jak na to wskazują wasze twarze.

— Nasze oblicza nie potrafią wyrazić tej smakowitości.

— To pozwól mi ją przynajmniej powąchać.

Było to oczywiście śmieszne. Odkroiłem kawałek szynki, nakłułem na koniec noża i podałem go Halefowi, nie patrząc przy tym na niego. Również nadzorca był na tyle mądry, że na niego nie patrzył.

— Ach! Och! To pachnie niemal rajem! — wołał Mały. — Jakież to pożywne, a jakie wonne i kuszące! Szkoda, że Prorok tego zabrania! Masz tu twój nóż, sihdi.

Halef zwrócił mi go, natomiast kawałek mięsa zniknął z noża.

— No... i gdzie się podział ten kawałek szynki? — pytałem, udając zdziwienie.

— Jest na nożu!

— Nie ma.

— A zatem spadł — wyjaśnił Mały.

— Jaka szkoda... ale Halef, ty przecież coś jesz? On zaś ze sprytną miną odparł:

— Muszę gryźć, gdyż ten kawałek wpadł mi właśnie do ust. A może uważasz, że powinienem go

całkiem połknąć?

— Nie. A jak ci smakuje?

— Tak wyśmienicie, że mam małą prośbę.

— Słucham!

— Pozwolisz, że zamknę drzwi na zasuwę?

— Myślisz, że ktoś na nas napadnie?

— Nie to. Osko jest także chrześcijaninem i mnie rozumie, lecz Omar nie studiował tak dogłębnie nakazów Proroka jak ja, i gdyby teraz wszedł tutaj, mógłby ulec pokusie. Chciałbym tego uniknąć. Omar nie powinien sobie obciążać duszy tym, że skalał się zapachem mięsa, którym napelnia się flaki, a potem się je wędzi.

Wstał, zaryglował drzwi, znów przy nas usiadł, wyjął nóż i odciął sobie spory kawał szynki, który szybko zniknął pod rzadkim wąsikiem mającym z prawej: strony sześć, a z lewej siedem kłaczków. Potem pogłaskał się z lubością po brzuchu i rzekł:

— Widzisz, sihdi, jakie mam do ciebie ogromne zaufanie.

— Widziałem niestety jedynie, jaki jesteś głodny.

— Jest to następstwem mego zaufania. To, co spożywa mój sihdi, nie może mnie pozbawić siódmego nieba, i oczekuję od twojej dyskrecji, że nikomu nie będziesz mówił o tym, iż wyrażony przez ciebie pogląd ma dla mnie taką samą wagę jak nakazy świętych kalifów.

— Nie mam powodu do tego, aby gdziekolwiek trąbić, że ty także zjesz chętnie raz coś dobrego.

— Jeśli tak, to z przyjemnością wezmę jeszcze kawałek kiełbasy, ponieważ szynka była znakomita. Zef z pewnością mi na to pozwoli, gdyż za gościnność Allah po stokroć wynagradza.

Nadzorca skinął zachęcająco głową, zaś Halef bardzo się starał, aby dowieść, że z przykazania Allaha nic sobie dzisiaj nie robi. Kiedy skończył, wytarł nóż o spodnie i rzekł:

— Istnieją stworzenia, które bardzo cierpią z powodu ludzkiej niewdzięczności. Świnia z pewnością nic takiego nie uczyniła, aby zasłużyć na wzgardę, jaką ją darzą wyznawcy Allaha. Gdybym był na miejscu Proroka, byłbym bardziej uważny w momencie wysłuchiwanie przekazywanego Koranu. Wówczas zwierzęta, będące przysmakiem człowieka i radujące jego serce, zyskałyby sobie szczególny szacunek. A teraz, ponieważ skończyliśmy, mogę znów otworzyć podwoje bez obawy, że mój przyjaciel Omar poniesie szkodę na swojej duszy.

Podniósł się i odsunął zasuwę w momencie, w którym do chaty chciał wejść jakiś chłopak.

— Izrad! — zawołał do niego nadzorca. — Nie będziesz dziś więcej pracował, daję ci urlop. Efendi ben Nemsu chce pojechać do Treska-Konak i ty go tam najprostszą drogą poprowadzisz.

Młody człowiek, korzystając z okazji, dziękował mi serdecznie za uratowanie jego siostry Sory, i cieszył się, że może mi się jakoś odwzajemnić.

— A czy masz konia? — spytałem go. — Nie możesz przecież biec, kiedy my szybko pojedziemy.

— Wypożyczę sobie konia ze wsi. Kiedy zamierzasz wyjechać, efendi?

— Jak najwcześniej.

— Będziesz musiał jeszcze dobrą chwilę poczekać, gdyż twoja odzież jeszcze się nie wysuszyła.

W tym czasie postaram się o konia.

Chłopak wyszedł.

— Będziesz miał z niego dobrego przewodnika — powiedział Zef — i udzieli ci on wszelkich wiadomości.

— To dobrze, gdyż będę go musiał o niejedno zapytać.

— Możesz przecież pytać także i mnie.

— Przede wszystkim bardzo chciałbym wiedzieć, gdzie leży miejscowość zwana Karanirwan-

Han?

— Karanirwan-Han? Hm... Dlaczego chcesz to wiedzieć?

— Gdyż pięciu ściganych przez nas mężczyzn chciało tam pojechać.

— Nie znam niestety miejscowości o takiej nazwie. Istnieje natomiast Karanorman-Han, położony w Szar Dagh koło Wajczy.

— Wiem o tym, ale nie jest to miejscowość, której szukam. Karanirwan-Han to z pewnością pojedynczy dom, którego właściciel jest Persem.

— Persowie należą tu do rzadkości.

— Nie znasz żadnego Persa?

— Chyba jednego znam.

— Jak się nazywa?

— Nie znam jego właściwego nazwiska. Nosi on pokaźną czarną brodę i dlatego nazywaliśmy go zawsze Kara Adżem, czyli czarnym Persem.

— Możliwe, że jest to poszukiwany przeze mnie człowiek. Musi on mieć gęstą czarną brodę, bo przecież nazywa się Kara Nirwan. A skąd jest ten człowiek, o którym mówisz?

— Tego dokładnie nie wiem. Musi pochodzić z wyżyn z okolicy Jaliczy albo Lumy. Przypominam sobie, że kiedyś opowiadał o niedźwiedziu, którego spotkał na zboczu góry Szalesz. Ta góra znajduje się w pobliżu wspomnianych miejscowości.

— Czy w Szar Dagh zdarzają się także niedźwiedzie?

— Bardzo rzadko. Jak mówi mój ojciec, dawniej było ich więcej, lecz teraz zdarza się tylko raz na kilka lat, że taki miś gdzieś się tam przybłąka.

— Czy wiesz może, kim jest ten Pers?

— Handlarzem końmi i to bardzo znacznym. Jest chyba bardzo bogaty. Widziałem go wiele razy, miał z sobą ponad dziesięciu parobków i całe stado koni, gdy zajeżdżał do konaka naszego sąsiada Dżemala.

— To bardzo ciekawe i może nasuwać wiele wniosków. Ten handlarz końmi jest Persem i zwie się go Kara Adżem. Zajeżdża do dzierżawcy konaka, do którego zmierza także Manach el Barsza wraz z pozostałą czwórką. Bardzo prawdopodobne, iż ów Kara Adżem jest człowiekiem, którego szukamy.

— Będę się cieszył, jeśli was zaprowadzę na właściwy trop.

— Czy twój szwagier wie coś bliższego?

— O nim nic. Izrad, podobnie jak ja, dawno nie był w rodzinnych stronach, ale jeśli będziesz dziś u mego ojca, to zapytaj ojca i mego brata Niko. Być może ci dwaj będą mogli ci coś bliższego powiedzieć.

— Czy twój ojciec przyjaźni się z Dżemalem?

— Oni nie są dla siebie ani przyjaciółmi, ani wrogami. Są po prostu sąsiadami skazanymi na współżycie. Dzierżawca ma w sobie coś ze skrytości i fałszu.

— A może wiesz, czy nie utrzymuje kontaktu z podejrzanymi ludźmi?

— Do takiego samotnego konaka przybywa wielu różnych ludzi, dlatego trudno o nich cokolwiek powiedzieć. Chyba tylko to, że utrzymuje kontakty ze starym Szarką, a to nie oznacza nic dobrego.

— Kto to jest ten Szarka?

— To węglarz, który mieszka w górach razem z kilkoma pomocnikami. Podobno mieszka w głębokiej i ciemnej pieczarze i mówi się po cichu, że w pobliżu pogrzebano niejednego człowieka, który nie umarł w naturalny sposób. Niemal żaden z wędrowców, wstępujących na ścieżkę prowadzącą wśród gór w pobliżu pieczary, już jej nie opuścił. I zawsze są to ludzie, którzy mieli

przy sobie pieniądze albo inny cenny dobytek.

— Toż to prawdziwa mordownia! I nikt się nie zajął tymi zbrodniczymi czynami Szarki?

— Nie. Gdyż nikt nie odważy się do niego zbliżyć. Jego pomocnicy to istne osiłki, każdy silny jak tur, z którymi lepiej nie zaczynać.

Kiedyś wysłano oddział trzydziestu żołnierzy, aby ująć braci Aladzi, którzy się u niego zatrzymali, ale żołnierze wrócili stamtąd nic nie wskórawszy i jeszcze dobrze oberwali.

— Od kogo?

— Tego nie wiedzieli. Na żołnierzy zawsze w nocy napadali ludzie, których nigdy dobrze nie widzieli.

— A więc bracia Aladzi byli także u węglarza! Znasz ich?

— Nie znam — odparł Zef.

— A przecież dzisiaj ich widziałeś. To byli ci dwaj rośli mężczyźni na srokatych komach, którzy jechali z Manachem el Barszą. Miano, jakie noszą osławieni bracia, zawdzięczają maści swoich koni.

— Rzeczywiście! Kto by to pomyślał! Widziałem braci Aladzi! Teraz nie dziwię się, że ci ludzie zapłacili przewoźnikowi batem. Pojechali do Treska-Konak. Tam jednakowoż nie pozostaną. Możliwe, że znów chcą odwiedzić węglarza.

— Niewykluczone.

— To proszę cię na Boga: nie jedź za nimi! Węglarz Szarka i jego pomocnicy to na wpół dzicy ludzie, którzy najsilniejszego wilka zgniotą jedną ręką.

— Znam ludzi, którzy też to potrafią, mimo że nie są ani na wpół, ani też całkiem dzicy.

— Ale przecież lepiej unikać takich okrutników!

— Co to, to nie. Mówiłem ci, że przestępstwu należy zapobiegać, lecz zbrodnię popełnioną należy pomścić. Pomścić ludzi, którzy są przyjaciółmi moich przyjaciół.

— Czy nie możesz powierzyć tego komu innemu?

— Nie, bo będą się bać.

— To przekaz sprawę policji!

— Ona będzie się jeszcze bardziej bała. Nie. Muszę ścigać tych pięciu jeźdźców, choćbym miał się przy tym potykać ze wszystkimi węglarzami świata.

— Boję się o ciebie. Szarka to istny diabeł. Jest ponoć owłosiony jak małpa i ma szczękę pantery.

— Chyba przesadzasz?

— Nie. Wiem to od ludzi, którzy go widzieli. Naprawdę lepiej z nim nie zaczynać.

— Spryt i mądrość mają przewagę nad siłą — odparłem. — Zresztą jesteśmy tak dobrze uzbrojeni, że nikogo nie musimy się bać.

— I... — dorzucił dumnie Halef, wskazując na siebie — mój efendi nie jest sam, lecz w mojej osobie ma wypróbowanego przyjaciela i obrońcę. Niech no tylko gromady wrogów ważą się do nas zbliżyć! Połkniemy ich jak dzika świnia szarańczę!

Brzmiało to bardzo zabawnie. Jego wzrost wcale nie współbrzmiał z pewnością siebie zawartą w słowach. Ja, słuchając go, zachowywałem powagę, natomiast nadzorca nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Śmiejesz się? — zapytał go Halef. — Nie ścierpię obrazy, nawet ze strony tego, kto raczył mnie szynką i kiełbasą. Gdybyś znał mnie bliżej, drżałbyś przed moim gniewem i trząśniesz się przed moją złością!

— Prawie się trzęsę — powiedział Zef z najbardziej poważną miną.

— Och, to jeszcze długo nic! Musisz się tak trząść, aby dusza twoja głośno trzepotała o ściany ciała. Nie wiesz, z jakimi to walczyliśmy ludźmi i zwierzętami. Zabiliśmy króla pustyni lwa i walczyliśmy z wrogami, na widok których schowałbyś się do skrzyni razem z wędzoną szynką. Dokonaliśmy czynów, które nas uwiecznią. Będzie się o nas pisać w Księgach Bohaterów i w pismach poświęconych niepokonanym. Nie pozwolimy, aby ktoś się z nas śmiał! Czy znasz może moje nazwisko?

— Nie znam, lecz słyszałem, że efendi woła na ciebie Halef.

— Halef! — stwierdził Mały pogardliwie. — Co znaczy Halef? Nic. Na wielu ludzi woła się Halef. Ale czy ci ludzie są pielgrzymami do świętego miejsca, czy są oni hadzi? Czy mają oni ojców i dziadów, przodków i praprzodków praojców, którzy wszyscy byli także hadzi? Mówię ci, że jestem Hadzi Halef Omar ben Hadzi Abul Abbas ibn Hadzi Dawuħd al Gossarah. Moi przodkowie należą do tych bohaterów, którzy żyli tak dawno, że żaden człowiek nic już o nich nie wie, ja też nie. Czy możesz to powiedzieć o swoich przodkach?

— Owszem.

— Co?

— Że też o nich nic nie wiem.

Nadzorca powiedział to z drwiącą powagą. Halef spojrział mu w twarz z gniewnym milczeniem, uczynił potem lekceważący ruch ręką, obrócił się na pięcie i wyszedł ze słowami:

— A więc milcz! Nie może się równać ze mną ten, kto nic nie wie o swoich przodkach.

— Lecz... — śmiał się w ślad za nim Zef — przed chwilą mówiłeś, że ty także nic nie wiesz o swoich przodkach?

— Ale to moi przodkowie, a nie twoi. Nie muszę o nich nic wiedzieć, bo są tak sławni, że nie potrzeba o nich nic wiedzieć! — odkrzyknął mu Hadzi z wielką irytacją.

— Ten twój towarzysz, to niezły mądrała — śmiał się nadzorca.

— To dzielny chłopak! Wierny, zręczny i nie zna lęku — odparłem. — On się rzeczywiście nie boi węglarza. Chciał ci to właśnie powiedzieć, ale na swój sposób. To mieszkaniec pustyni, a ludzie pustyni lubią wypowiadać się w taki sposób. A teraz chciałbym pójść do krawca. Może skończył już naprawę mego ubrania.

— A ja muszę rozdzielić między ludzi pracę. Przepraszam cię, efendi, że się oddalę.

Wyszliśmy. Kiedy chciałem wejść do chaty, w której mieszkał krawiec, zza drzwi dobiegły do mnie jakieś złorzeczenia. Ktoś je nagle pchnął tak, że o mało dostałbym nimi w twarz. Wypadło z nich dwóch mężczyzn. Halef trzymał w jednym ręku moje spodnie, a drugą ręką chwycił krawca. Ciągnął go za sobą, tak że był do mnie odwrócony plecami i nie wiedział, na kogo wpadł. Robiąc pół obrotu, Hadzi krzyknął:

— Nie masz oczu, ty głupcze!

— Oczywiście Halef, że mam oczy — odpowiedziałem. Odwrócił się gwałtownie i kiedy mnie zobaczył, powiedział:

— Ach sihdi! Właśnie się do ciebie wybieram!

Był czerwony z gniewu, pociągnął biednego krawca o krok bliżej mnie, pokazywał mi spodnie i spytał:

— Sihdi! Ile zapłaciłeś za te spodnie?

— Sto trzydzieści piastrów.

— To byłeś głupi, tak głupi, że budzisz we mnie litość!

— Dlaczego?

— Bo zapłaciłeś sto trzydzieści piastrów za coś, co miało być spodniami, ale nimi nie jest!

— Więc co to jest?

— Całkiem zwyczajny worek, w który możesz włożyć wszystko, co zechcesz: groch, fasolę, kukurydzę, nawet jaszczurki i żaby. Może w to nie wierzysz?

Halef spoglądał na mnie z taką złością, że mogłem się przestraszyć. Spokojnie więc odpowiedziałem:

— Co ci przyszło do głowy, aby moje spodnie nazwać workiem?

— Sam popatrz, a się przekonasz!

Włożył pięść w rozerwaną nogawkę, ale nie mógł wystawić ręki z drugiej strony. Dzielny krawiec widocznie przedobrzył i chcąc zszyć podarte miejsce zaszył także nogawkę.

— Widzisz? Widzisz tę niespodziankę i to utrapienie? — krzyczał na mnie Halef. — Musisz w nie wejść, bo to są spodnie, które stały się teraz marnym i nędznym workiem. Teraz możesz jeździć po świecie z jedną nogą w nogawce, a z drugą gołą. Co powiedzą na twój widok ludzie, dla których jesteś sławnym efendim? I gdzie tam w tej nędznej wsi albo tutaj zdobędziesz inne spodnie?

— A czy muszę mieć inne spodnie?

— Pewnie! Takich przecież nie możesz wciągnąć!

— Oczywiście, że mogę je wciągnąć. Ten nieszczęsny krawiec powinien tylko spruć szew i zaszyć rozdarte miejsce.

— Spruć... szew...! — dziwił się Halef, wpatrując się we mnie. Potem głośno się roześmiał i dorzucił: — Masz rację, sihdi. Byłem tak zagniewany, że o tym nie pomyślałem... wypruć nici, nic bardziej słusznego!

Zalękniona i zakłopotana twarz krawca znów się wypogodziła, ale nie miało mu to tak całkiem ujść na sucho, gdyż Hadzi natarł na niego:

— Czy przyznajesz wreszcie, jak wielkie głupstwo popełniłeś? Najpierw zaszyłeś nogawkę, a potem nawet nie wiesz, co z tym zrobić!

— Och wiem, tylko nie dopuściłeś mnie do słowa! — bronił się biedny cwaniak.

— Na Allaha! Jacy różni są ludzie! Pytałem ciebie całkiem spokojnie, w jaki sposób można ten błąd naprawić. I jak marabut czekałem cierpliwie na twoją odpowiedź. Ale ty stałeś, jakbyś połknął wielbłąda, którego garb utkwiał ci w gardle i dlatego złapałem cię samego za twój garb, aby cię zaprowadzić do sihdiego. Tak to wyglądało. Czy potrafisz ten szew spruć?

— Potrafię — odparł speszony krawiec.

— A jak długo to potrwa?

— Dwie do trzech godzin.

— Na Allaha! To z powodu twojej łataniny mamy tutaj tkwić do wieczora? Nic podobnego! Na to nie możemy się zgodzić.

— Tak długo to nie potrwa — powiedziałem uspokajająco — ponieważ ja mu sam pomogę.

— Czy nie uwłacza to godności twego zawodu i nie przynosi ujemny respektowi, jaki wzbudza twoja postawa?

— Absolutnie nie. Usiądę tutaj wraz z tym poczciwym człowiekiem, który jest kiepskim krawcem i podczas gdy on wyprasuje i prawdopodobnie spali inne rzeczy, zajmę się spodniami. Powiedz mi jednak artysto igły, czy ty naprawdę jesteś krawcem?

— Właściwie to nie, panie.

— No to kim ty właściwie jesteś?

— Stolarzem.

— A skąd ci przyszła do głowy taka odważna myśl, by się podawać za krawca?

— Dlatego, że mam dwa żelazka.

— Od kogo?

— Od mego dziadka, który faktycznie był krawcem. To wszystko, co po nim odziedziczyłem. Kupiłem sobie jeszcze igły i nici, a gdy się nadarzy okazja, naprawiam ludziom odzież, gdyż jako stolarz nie mam teraz roboty. Dlatego też pracuję przy budowie kolei.

— Jesteś zatem człowiekiem wszechstronnym. I naprawiasz ubrania! Przypuszczam, że tak samo, jak urządziłeś moje spodnie?

— O nie, efendi! To było tylko przeoczenie.

— Znakomicie!

— A więc, zasiadamy razem do roboty. Ale popatrz, co to takiego? Pokazałem mu zrobiony przez niego szewek. Nie wiedział jednak, o co mi chodzi i spoglądał na mnie pytająco.

— Jakiego koloru jest ten materiał?

— Granatowego, efendi.

— A jaki kolor mają nici, którymi szyłeś?

— Białe.

— Wygląda to okropnie. Czy nie masz jakichkolwiek nici ciemnych, mogą być nawet czarne?

— Mam. Pod dostatkiem.

— To dlaczego ich nie wzięłeś?

— Białe nici są jeszcze raz tak mocne jak czarne, dlatego pomyślałem, że będą one lepiej trzymać i rozdarte miejsce znów się nie rozpruje, gdybyś czasem był zmuszony ponownie pływać w odzieży.

— Jak widzę, jesteś zapobiegliwym człowiekiem. Ale ja pozwolę sobie wziąć czarne nici. Wejdz!

— Czy mam w czymś pomóc, sihdi? — spytał Halef.

— Owszem, możesz mi potrzymać spodnie.

Chata była pusta, gdyż ludzie byli na budowie. Usiadłem wraz z Halefem na desce. Spodnie trzymałem w rękę. Dostaliśmy igłę i nici, zamiast nożyczek mieliśmy noże i mogliśmy zaczynać robotę. Będąc uczniem, przyszywałem sobie niejedną guzik, a niekiedy także coś zaszyłem. Jako tako znałem się na ściegach, dlatego przystąpiłem do owego dzieła z dużą ufnością we własne siły. Natomiast stolarz-krawiec krzątał się w tym czasie przy piecu i wrzucał do niego szczapy drewna w takiej ilości, jakby chciał upiec wołu. Kafle wydzielaly ciepło przypominające mi piękne dni pobytu na Saharze. Moja odzież zdążyła wyschnąć i należało ją jeszcze tylko wyprasować.

Artysta zabrał się najpierw do kamizelki. Położył ją na desce i wyjął cęgami żelazko z ognia. Żelazko było rozżarzone, a drewniany uchwyt uległ spaleni. Stolarz-krawiec spoglądał to na żelazko, to na mnie i drapał się znów bardzo energicznie po głowie.

— O co chodzi? — spytałem.

— Mam pytanie, efendi. Co mam teraz robić?

— Prasować!

— Ale jak?

— Jak zawsze. Ty to przecież wspaniale potrafisz.

— Hm... To skomplikowana historia.

— Dlaczego?

— Jeśli będę prasował teraz rozżarzoną żelazką, to spalę kamizelkę. Jeśli natomiast będę czekał, to żelazko ostygnie i kamizelki nie spalę, ale jej także nie wyprasuję. Możesz mi coś na to poradzić? Słyszałem, że dużo po świecie podróżowałeś. Być może, przyglądałeś się kiedyś pracy krawca.

— Słuchaj! Mam prawo bardzo brzydtko myśleć o twoim dziadku.

— Proszę ciebie, nie czyn tego! Mój dziadek... niech Allah wejrzy na niego w raju... był pobożnym muzułmaninem i dzielnym poddanym padyszacha.

— Możliwe, ale z pewnością nie był krawcem.

Artysta podniósł teraz także drugie ramię, aby się podrapać obiema rękami, i przedstawiał sobą obraz zabawnego zwątpienia, ale mi nic nie odpowiedział.

— No i jak to jest? Nie mam racji?

— Efendi — wykrztusił — skąd ty to wiesz?

— Zgaduję. Powiedz mi zatem, jak to właściwie było?

— Jeśli tak naprawdę chcesz wiedzieć, to mój dziad był drwalem, który prócz tego czasem coś uszył dla innych drwali, a żelazko, jak mi się zdaje, także odziedziczył po swoim dziadku.

— Który też pewnie nie był krawcem? — głośno się roześmiałem. — Jesteś żonaty?

— Nie. Ale wkrótce się ożenię.

— To pośpiesz się, abyś te słynne żelazka przekazał w spadku wnukom. Trzeba pozostać wiernym rodzinnej tradycji i mam nadzieję, że te żelazka nigdy nie trafią do innej rodziny.

— Nie. Nigdy do tego nie dopuszczę — zapewniał poważnie. — Moja rodzina nigdy się nie rozstanie z tą cenną spuścizną. Ale teraz proszę cię, byś powiedział, co mam robić?

— Powiem ci, żebyś już więcej nie dotykał tej spuścizny. Jeśli muszę sobie spodnie sam naprawić, to mogę je potem także sam wyprasować.

Wciągnął głęboko powietrze i zrobiwszy dwa kroki znalazł się za drzwiami. Halef najchętniej pośpieszyłby za nim, aby go wybatożyć za to, że podawał się za krawca, nie mając o tym najmniejszego pojęcia. Chciałem mu jeszcze powiedzieć, że nie zawsze opłaca się stroić w cudze piórka.

Muszę jednak szczerze przyznać, że prasowanie nie było również moją najmocniejszą stroną, zwłaszcza że nie pamiętam, aby w mojej rodzinie dziedziczono jakieś żelazko. Kiedy wreszcie mój majstersztyk doprowadziłem do końca, nie pozostało mi nic innego, jak tylko być z niego dumnym, w czym Halef usilnie mnie umacniał. Twierdził, że nigdy jeszcze nie widział tak mocnych i trwałych ściegów i cieszył się szczególnie z tego, że wyprasowane fragmenty nabrały pewnego blasku, tak jakby posmarowano je masłem. Mistrzowie igły zapewnili mnie potem, że koniecznie muszę się tym chełpić.

Teraz zjawił się nadzorca Zef ze szwagrem Izradem, który zameldował, że jest gotów do drogi. Krawiec wykoncypował sobie chyba, że nie będzie już zapotrzebowania na jego kunszt. Wsunął głowę w drzwi i kiedy zobaczył mnie w moim własnym ubraniu ucieszył się i wszedł do izby.

— Efendi! — powiedział. — Jesteś jak widzę gotów. Ale ponieważ używałeś obu moich żelazek, dlatego mam nadzieję, że nie poskąpisz mi hojnego bakszyszu!

— Zaraz go dostaniesz — powiedział z uśmiechem Halef. Zniknął za przepierzeniem i wrócił z moimi goścowymi kapciami.

Prześlknięte wodą, przypominały one raczej worki niż kapcie. Halef podając je krawcowi, mówił dobrodusznie:

— W dowód naszego trwałego uznania dla twoich umiejętności, pragniemy cię uhonorować tymi oto słoniowymi kapciami. Dołącz je do twoich żelazek i przekaz je wnukom i prawnukom, aby twoi potomkowie zyskali wieczną pamiątkę przypominającą im o tym, że ich przodek opanował trudną sztukę zaszywania nogawek. Allah stworzył mały i osły. Ciebie posłał jednak jako szczyt tamtych stworzeń tutaj do Rumelii.

Krawiec wziął kapcie i przyglądał im się badawczo, robiąc przy tym wielkie oczy. Takiego bowiem bakszyszu nie oczekiwał, na dodatek z takim przemówieniem.

— Co tak w nie patrzysz, jakbyś myślał, że tkwi tam twój rozum? — pytał Halef. — Zabieraj je i zmiataj, i chwal naszą wielkoduszność, która obdarzyła cię takim darem!

Wezwanie Halefa poparłem kilkoma piasrami wrzuconymi w czeluść kapci. W ten sposób niejako rozgrzeszyłem tego człowieka. Odzyskał teraz znów mowę, dlatego podziękował za upominek i wybiegł.

Nastąpiło teraz pożegnanie. Skróciłem je do minimum i ruszyliśmy. Jechaliśmy na przełaj przez rozległe łągi, kierując się wciąż na zachód.

Przygotowano na podstawie bookini.pl